

Eric Haney

DELTA FORCE

Przekład: Katarzyna Matejczyk-Wyka

urne spacer/

Zielonka, 2010

Tytuł oryginału: Inside Delta Force

Przekład: Katarzyna Matejczyk-Wyka Redakcja: Jakub Karp Korekta: Zespół

Skład i projekt graficzny: Unisława Tuszyńska Fotografia na okładce: © Corbis/FotoChannels

All rights reserved.

Copyright © 2002 by Eric L. Haney

This translation published by arrangement

with Delacorte Press, an imprint of Random House

Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Copyright for the Polish Edition © 2010: Inne Spacery — Sembrador Jarzębinowa 9 05-220

Zielonka redakcja@innespacery.pl www.innespacery.pl

Wszystkie prawa autorskie i wydawnicze zastrzeżone. Żadna część, w tym tabele, rysunki i fotografie, ani całość wydawnictwa „Delta Force” nie może być reprodukowana, kopiowana ani rozpowszechniana bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN: 978-83-930794-8-3 Druk i oprawa: Opolgraf S.A.

WSTĘP

Jestem koczownikiem ze starego koczowniczego rodu. Większość moich przodków to Irlandczycy i Szkoci. Ludzie będący szczególną mieszanką Celtów z północy Wysp Brytyjskich i najeżdżających ich wikingów z Danii i Norwegii. W rezultacie zrodził się pozbawiony ziemi, niepiśmienny, anarchiczny i wojowniczy lud. Trudny, jeśli nie niemożliwy, do rządzenia. Korona uważała to plemię za niebezpiecznych buntowników i stopniowo pozbywała się ich, wysyłając dziesiątkami tysięcy do Nowego Świata.

Po dotarciu do amerykańskich kolonii ludzie ci rozprzeczli się tak daleko, jak to tylko możliwe, od wszelkiego rządowego nadzoru. Wielu z nich przekroczyło góry Blue Ridge i migrowało przez wyżyny obecnie stanowiące południową część Stanów Zjednoczonych. Byli pionierami na amerykańskich rubieżach. W owej ojczyźnie ci renegraci skłonni byli podróżować razem w niespokrewnionych grupach, chętnie również łącząc się z miejscowymi Indianami z plemion Irokezów i Creeków.

Przodkowie moi, tak po mieczu, jak i po kądzieli, byli góralami i rolnikami, opłacającymi dzierżawę częścią swoich plonów - od tak dawna, jak tylko udało mi się ustalić. Nie istnieją żadne zapiski o pochodzeniu, ponieważ moi rodzice byli pierwszymi z rodu, którzy nauczyli się czytać oraz pisać i mieli jakąkolwiek nieruchomość. Odziedziczone dobra mogą być łatwo roztrwonione, jednak odziedziczonej biedy nie tak łatwo się pozbyć.

Co otrzymałem w spadku po przodkach? Rzeczy, moim zdaniem, niezwykle cenne: prosty rozum i twarde ciało. Zmysł niezależności i świadomość, że wszędzie mogę się czuć jak w domu. Poczucie humoru. Poczucie własnej godności, które powoduje pewne przewrażliwienie, tak typowe dla naszego ludu. Łatwo nas obrazić i sprowoko-

wać do przemocy. Kiedy bowiem jedyną rzeczą, jaką posiadasz, jest twój honor, chcesz go bronić za wszelką cenę.

Odziedziczyłem także zamiłowanie do wędrowania i ciekawość świata. Mam też po nich wojowniczy charakter, zawsze byliśmy dobrym materiałem na żołnierzy, jeśli nas dobrze dyscyplinowano i tresowano. Odziedziczyłem raczej duchowość niż religię, która sprawdzała się świetnie, zwłaszcza w godzinie próby. Jestem pewny siebie i odporny. Moja psychika oczyszcza się sama. Kocham życie.

Dorastałem w górach północnej Georgii w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wtedy

miejsce to uważane było za Trzeci Świat, a niektórzy nadal twierdzą, że tak jest. Elektryczność podciągnięto nam, gdy byłem chłopcem. Kilka lat później wystaraliśmy się o kanalizację.

Choć mam całkiem sporo własnej inteligencji, w szkole nie kierowano mną w żadną stronę i byłem raczej nie-zaangażowanym uczniem. Uwielbiałem jednak czytanie i na początku każdego roku szkolnego pochłaniałem podręczniki i na tym późniejjechałem. Bardziej podobało mi się włóczenie po górach, polowanie, wędkowanie i odkrywanie świata.

Jako pierwszy w rodzinie ukończyłem szkołę średnią, a to oznaczało spore, jak dla nas, osiągnięcie, bo i nasze wymagania nie były zbyt wysokie. Nie żeby moi rodzice sprzeciwiali się edukacji, po prostu żadne z nich nie wyszło poza podstawówkę i nie mieli możliwości czy zrozumienia, by mi pomagać.

Może nie byliśmy uczonymi, ale wiedzieliśmy, jak wstępować do wojska. Dorastałem słuchając wojennych opowieści i historii przekazywanych przez rodzinę i przyjaciół. Byłem zdecydowany wstąpić do armii, gdy tylko będzie to możliwe. Zaciągnąłem się więc do wojska wiosną 1970 roku, a do służby miałem zameldować się natychmiast po rozdańniu matur. Zakochałem się w armii od pierwszego wejrzenia.

Zostałem żołnierzem zawodowym i będę nim aż do śmierci. Wojowanie to zawód, który odciska się w duszy i powoduje, że już na zawsze przyglądasz się światu i wszelkim ludzkim zachowaniom przez niepowtarzalny zestaw mentalnych filtrów. Im bardziej dogłębne i intensywne jest doświadczenie, im gorętsze piętno, tym głębiej odciska się ono w człowieku.

Przez dwadzieścia lat służyłem Ameryce w najbardziej wymagających i niebezpiecznych oddziałach. Jako żołnierz piechoty, jako Ranger, a w końcu jako przez osiem lat jako członek-założyciel supertajnych sił antyterrorystycznych Delta Force.

Bezpośrednia brutalna walka kładzie się cieniem na każdym, kto jej doświadcza. W przypadku niektórych ludzi ich dusze uwięzione zostały głęboko pod narosłymi warstwami ochronnymi i pozostają tam ukryte, niezdolne lub niechętne by wyjść poza twardą skorupę bezpieczeństwa.

Są też tacy, którzy przeżywają doświadczenie bitwy zupełnie inaczej. Ich powierzchowność staje się jak zwierciadło, uwydatniające i wyolbrzymiające wszystko to, co jest w życiu najważniejsze. Każde uczucie staje się cenne i ważne. Nawet to bolesne. A czasem zwłaszcza to bolesne. Czuję, że doświadczenia właśnie tak ukształtowały mnie.

Nienawidzę zniszczenia i marnotrawstwa sztuki wojennej, ale uwielbiam wojny doświadczać. W boju rodzaj ludzki widać w ekstremach - od najgorszej i od najlepszej strony. Nie ma nic pomiędzy. Nikt się nie ukryje.

Wojna nauczyła mnie także, że w każdym z nas tkwią wszystkie składniki przepisu na istotę ludzką. Zmieniając proporcje możemy wszyscy stać się tchórzami lub bohaterami, złodziejami i aniołami uczciwości, egoistami i altruistami, przegranymi i zwycięzcami, łasicami i lwami. Kwestia

proporcji, w jakich pozwolimy tym cechom — lub je zmusimy — zdominować nasze życie. W boju nie ma wygranych. Zwycięzcy po prostu tracą mniej ludzi, niż przegrani. Jedna ze stron może wymuszać coś na drugiej, ale nie ma w tym nic szlachetnego czy cnotliwego. Ludzie są zabijani i okaleczani, domy i społeczności są niszczone, ludzkie życia obracane w ruinę, a rodziny rozdzielane i rzucane na wiatr — a zaledwie kilka lat później już nie pamiętamy dlaczego. Nad biurkiem mam zdjęcie zrobione w roku 1982 Szwadronowi B - mojemu staremu oddziałowi w Delcie. To jedno z niewielu zdjęć grupowych kiedykolwiek zrobionych w tej jednostce. Przedstawia ono wytrwałych weteranów operacji specjalnych. W ciągu kolejnych 10 lat niemal każdy z ludzi na zdjęciu był co najmniej raz ranny, niektórzy nawet wielokrotnie. Wielu zostało okaleczonych lub doprowadzonych do kalectwa na całe życie. Niektórzy zginęli w akcji. Wszystkim nam ciężą wspomnienia tych czasów i zdarzeń, i wszyscy jesteśmy dzięki tym doświadczeniom lepszymi ludźmi.

Oto historia o tym niebezpiecznym, acz fascynującym świecie widzianym moimi oczami i doświadczanym na własnej skórze. Historia opowiedziana tak uczciwie i wiernie jak tylko potrafiłem. Nie mogłem zrobić więcej.

A w imię honoru moich poległych towarzyszy, nie mogłem zrobić mniej.

W latach 70. XX wieku Stany Zjednoczone stały się ulubionym chłopcem do bicia dla wszystkich grup, które można by nazwać terrorystycznymi. Terrorysty zaczęli bezkarnie godzić w amerykańskie interesy na całym świecie. Z biegiem lat częstotliwość i okrucieństwo tych napadów znacznie wzrosły. Ameryka, olbrzym na miarę Guliwera, wzbudzała obrzydzenie działaniami wojennymi w Wietnamie i była niechętna, ale także niezdolna, by pozbyć się brzęczących komarów terroryzmu.

Przez lata osławiony oficer Sił Specjalnych pułkownik Charlie Beckwith, niczym wołający na puszczy, ostrzegał przed zagrożeniem terrorystycznym i mówił o środkach, jakie należy przedsięwziąć, by stawić mu czoła. Widział zapotrzebowanie na zwarty, znakomicie wyszkolony i uniwersalny oddział armii amerykańskiej, zdolny do natychmiastowego wykonywania trudnych misji specjalnych.

Ukształtowany na wzór brytyjskiego SAS (Special Air Service), stanowiłby narzędzie o chirurgicznej precyzji, służące do wykonywania zadań specjalnych, które wykraczają poza możliwości regularnej armii.

Nieustępliwość Charliego była tak przekonująca, że puściła w ruch maszynę, która w końcu doprowadziła do powstania takiego oddziału. Jednak stworzenie tej organizacji wewnątrz konserwatywnej struktury wojskowej i tchnięcie w nią życia było zadaniem porównywalnym z wyborem nowego papieża.

W armii obowiązuje żelazna zasada: nie lubimy zmian. A nikt nie nienawidzi ich bardziej, niż

bezpośredni beneficjenci swobodnego status quo — generalicja. Zdarza się jednak, że czasami generalskie dystynkcje na kołnierzach noszą ludzie myślący. Głośne i ciągle nawoływania pułkownika Beckwitha o narodowe siły antyterrorystyczne trafiły do uszu dwóch takich postaci: generałów Boba Kingstona i Edwina „Nieśmiałego” Meyera.

Kingston stacjonował w Fort Bragg w Północnej Karolinie i z łatwością dostrzegł możliwość stworzenia sił postulowanych przez Beckwitha. Wiedział jednak, że przedstawienie tego pomysłu zbiurokratyzowanej armii będzie jak stąpanie po polu minowym — można zginąć na tysiąc różnych sposobów. Do popchnięcia sprawy konieczny był ktoś o sile konia i znakomitej znajomości systemu politycznego armii — „Nieśmiały” Meyer był właśnie takim człowiekiem. Generał Meyer służył jako zastępca Szefa Sztabu Armii Amerykańskiej i niesły się wieści, że wkrótce ma otrzymać awans na samego Szefa. Beckwith i Kingston przedstawili swoje pomysły działań antyterrorystycznych Meyerowi i od razu zorientowali się, że dobrze trafili. Meyer miał podobne przemyślenia, dzięki czemu cała trójka entuzjastycznie dzieliła się spostrzeżeniami na ten temat. Potrzeba była ewidentna, ale stworzenie jednostki od zera wydawało się niezwykle trudne. Najpierw musieli określić, jakiego rodzaju misjami ma się zajmować ta potencjalna jednostka, ponieważ to zadania decydują o jej wielkości. Dzięki temu mogli zbudować Tabelę Organizacyjno-Sprzętową (TO&E), która określała kształt, stopnie wojskowe, broń i wyposażenie. Kompletna Tabela pozwoliła im na ustalenie zarówno początkowych założeń budżetowych, jak i corocznych kosztów utrzymania nowych sił.

Gdy szkielet jednostki był już gotowy, Meyer, ze swojej pozycji w Pentagonie, zaczął drażnić, szukać źródeł finansowania i ludzi do ekipy. Może to zaskakujące, ale w armii nikt nie jest bezrobotny, ani nie obija się to tu, to tam. Każdy oddział ma określoną liczbę ludzi i każdy żołnierz przypisany jest do konkretnej jednostki, nawet jeśli tam nie pracuje. Czasem jednak niektóre jednostki istnieją tylko na papierze, a służący w nich żołnierze znajdują się gdzie indziej. Meyer znalazł ich wystarczająco wielu, by móc obsadzić nową organizację oraz odkrył źródła niewykorzystywanych funduszy, aby tchnąć w nią życie.

Następne miesiące upłynęły pod znakiem gdybania o papierowej jednostce. Niezbędna okazała się zdolność przewidywania z góry każdej przeciwności. Na każde pytanie musieli mieć pewną i dobrze przemyślaną odpowiedź. Konieczni byli sprzymierzeńcy. Zbadano nastroje wśród potężnych i wpływowych generałów, którzy z łatwością mogli zablokować tworzenie nowej formacji. Nic nie zostało na tym etapie przedstawione jako realna propozycja; na to było jeszcze za wcześnie. Póki co, chcieli tylko rozpoznać, kto jest wrogiem, kto przyjacielem.

Kiedy owi wpływowi generałowie zorientowali się, że nowy byt nie będzie wkraczać na teren ich działań ani wysysać pieniędzy z ich budżetów, potakująco, a wręcz akceptująco pokiwali głowami. Czując tę akceptację, Kingston, Meyer i Beckwith byli gotowi zaprezentować swój plan.

Oficjalna propozycja stworzenia narodowych sił antyterrorystycznych została przedstawiona na Konferencji Piechoty w Fort Benning, latem 1977 roku. Ponieważ detale były dopracowane, a kwestie polityczne rozegrane już wcześniej, propozycja została dobrze przyjęta, a szefowi sztabu zalecono niezwłoczne stworzenie takiej formacji. Szefem sztabu był wówczas właśnie generał Meyer.

Pierwszy Operacyjny Oddział Sił Specjalnych Delta został oficjalnie powołany do życia 21 listopada 1977 roku rozkazem dowództwa armii. Gdy tylko Beckwith został mianowany dowódcą nowej jednostki, od razu zabrał się do pracy. Osobiście wybrał kilku sztabowców, znalazł stary opuszczony budynek przy drodze wyjazdowej z Fort Bragg w Karolinie Północnej i zaczął walkę o narodziny swojego dziecka. Nie był to łatwy poród.

Rozdział pierwszy POCZĄTKI

Ce sto trzydziestka na pas kołuje już, Rangerze w podróż w jedną stronę rusz. Misja jest tajna, o przeznaczeniu sza Do domu wrócić nie zawsze się da!

Tekst Rangerów skandowany podczas biegów.

Samolot transportowy C-130 wibrował i przechylał się z boku na bok jak nieposłuszny byk na rodeo. „Nim wy-dostaniemy się z tego maleństwa przeżyjemy piekielną jazdę” pomyślałem, gdy wielki żelazny ptak wznosił się na wysokość, z której można skakać. Potem samolot wyrównał lot, a wstrząsy i podskoki, choć nadal mocne, stały się nieco bardziej przewidywalne.

Nadszedł czas. Niemal nie mogąc się ruszać, zakuty w spadochron, plecak, uprząż i karabin jednym szarpnięciem zerwałem się na nogi, zaczepiłem linę statyczną do biegnącej nad głową stalówki i odwróciłem się w stronę pozostałych czterdziestu Rangerów wciąż siedzących na czerwonych plastikowych ławkach przytwierdzonych wzdłuż burt i osi środkowej kadłuba.

Patrzyłem na załadunkowego Sił Powietrzno-Desantowych, który mówił do swojego mikrofonu i czekałem, aż zapali się czerwona lampka oznaczająca zezwolenie na skok. Potem z nagłym świstem, po którym nastąpił ogłuszający ryk, załadunkowy i jego asystent rozsunęli drzwi i ustawili je w pozycji „otwarte — gotowe”. Wiatr wył w samolocie i smagał mnie po nogach, gdy patrzyłem na mojego adiutanta, sierżanta AUiego Jonesa. Kiwnął głową, że jest gotowy i się zaczęło.

Spojrzałem na grupę mężczyzn siedzących przede mną w niemym wyczekiwaniu, mocno tupnąłem

w podłó-

gę kadłuba lewą nogą, wyrzuciłem ramiona w powietrze dłońmi w stronę żołnierzy i wykrzychałem pełną piersią: „Przygotować się!”.

Żołnierze odpięli pasy, skupili uwagę na moim pomocniku i na mnie, wyprostowali się na siedzeniach, gotowi na następny rozkaz.

- Załoga po zewnętrznej, powstań! - krzyknąłem, wskazując na ludzi siedzących wzdłuż burt samolotu. Walczyli

o utrzymanie się na nogach, podczas gdy samolot rzucał

1 podskakiwał. Kiedy już utworzyli przede mną zwarty szereg, wydałem następną komendę.

- Załoga po wewnętrznej, powstań! - wyciągniętymi rękami wskazałem ludzi wciąż siedzących na ławkach wzdłuż środka kadłuba. Z pomocą stojących już towarzyszy podnieśli się i obie grupy utworzyły ciągłą linię.

Samolot podskakiwał i klekotał jak stara ciężarówka pędząca po żwirowce nierównej jak tarcza do prania, a żołnierze robili wszystko, by utrzymać równowagę. „Mam nadzieję, że nikt nie puści pawia. Jak już jeden zacznie, to innych nic nie powstrzyma, a podłoga zrobi się niebezpiecznie śliska”. Była to jednak grupa wytrawnych skoczków i nikogo nie zemdliło, chociaż warunki stale się pogarszały, od kiedy samolot wszedł w fazę zrzutu.

- Wpiąć się! - zawołałem, wyciągając w górę ręce i zahaczając o siebie zakrzywione palce wskazujące.

Tylko kilku pierwszych żołnierzy w szeregu było w stanie usłyszeć moje rozkazy i zrozumieć, co mówię, bo do środka samolotu wdzierał się ryk silników. Wszyscy jednak mogli dostrzec ręczną sygnalizację rozkazów, a kod znali na pamięć. Jednocześnie odłączyli zaczepy liny statycznej od swoich spadochronów zapasowych, zatrzasnęli je na stalowej linie biegnącej nad ich głowami wzdłuż kadłuba i przełożyli kabel bezpieczeństwa przez karabinki.

Przesunąłem palce tam i z powrotem nad wyimaginowaną liną.

- Sprawdzić liny statyczne!

Każdy żołnierz sprawdził linę statyczną własną i kolegi stojącego przed nim. To najbardziej istotna kontrola — niesprawna lina statyczna może człowieka zabić.

Przesadzonymi ruchami poklepałem się po klatce piersiowej obiema dłońmi.

- Sprawdzić wyposażenie!

Każdy Ranger sprawdził hełm, spadochron rezerwowy, plecak oraz broń, upewniając się, że wszystko było bezpiecznie i właściwie umocowane.

Podniosłem stulone dłonie do uszu i krzyknąłem:

- Potwierdzić sprawdzenie ekwipunku! Odpowiedź przechodziła przez szereg od ostatniego

żołnierza z tyłu samolotu. Każdy Ranger klepał stojącego przed nim i krzychał mu prosto do ucha: „OK.!”. Słyszałem stłumioną odpowiedź na początku słabo, jednak głosy łączyły się w silniejszy dźwięk w miarę, gdy przez szereg przechodziła fala odpowiedzi, aż żołnierz stojący z przodu wyrzucił w powietrze dłoni z palcami ułożonymi w kółko w znaku „OK.”, tupnął w aluminiową podłogę i zawołał: „Wszyscy OK.!”.

Odwróciłem się, żeby otworzyć drzwi zrzutowe. Sprawdziłem czy mój plecak jest bezpiecznie zamocowany na nodze wystawionej do wiatru. Następnie mocno chwyciłem prawą ręką framugę drzwi, a lewą przesunąłem wzdłuż framugi, upewniając się, że żaden ostry zadziór nie zerwie liny statycznej. Potem kopnąłem boczne zamki klapy zrzutowej i tupnąłem w nią by upewnić się, że jest stabilna.

Zadowolony, że wszystko jest w porządku z drzwiami, przesunąłem stopy do przodu, zahaczyłem palcami nóg o zewnętrzną krawędź klapy i kurczowo ściskając framugę, wygiąłem plecy i wypchnąłem ciało na zewnątrz w pierwszym teście bezpieczeństwa.

Wiatr wiejący z prędkością 200 km/h szarpał moje ubranie i sprzęt, próbował wyrwać mnie z samolotu, jednak desperacko się utrzymałem. Nadal miałem zadanie do wykonania, a byliśmy jeszcze daleko od strefy zrzutu.

Rozejrzałem się na zewnątrz, by sprawdzić pozycję pozostałych maszyn. Spojrzałem w górę, upewniając się, że nikt nie leci nad nami, i w stronę ogona samolotu, czy na pewno nikogo tam nie ma. Byliśmy ostatni w formacji i dobrze było widzieć pozostałe maszyny na swoich pozycjach. Lekko pochyliłem głowę, by krawędź hełmu osłaniała mi oczy przed wiatrem i skupiłem się na ziemi pod nami, szukając punktów orientacyjnych, które wskazywały na zbliżanie się do Fort Stewart w Georgii i Strefy Zrzutu Taylor Creek.

W oddali dostrzegłem wielką Strefę Zrzutu, wyglądającą na prostokąt białego piasku i karłowatych zarośli w bezkresnym morzu zieleni otaczającego ją lasu. Patrzyłem, jak się powoli przybliża, a gdy była tuż przed nosem samolotu, gwałtownym szarpnięciem wróciłem do wnętrza kadłuba, wskazałem na otwarte drzwi i do pierwszego żołnierza w szeregu wykrzychałem zdanie, które daje kopa każdemu spadochroniarzowi: „Stanąć w drzwiach!”.

Ludzka energia buzowała we wnętrzu samolotu, gdy żołnierz podał mi linę statyczną do wyczekującej dłoni, postawił stopy na klapie zrzutowej i chwycił zewnętrzną krawędź rozdygotanego obramowania drzwi. Oczekując na ostatnią komendę miał kolana przygięte jak dźwignie, ramiona napięte, a oczy wbite w smagane wiatrem i wyjące drzwi. Osiemnastoletni szeregowiec Ricky Magee był najmłodszym skoczkiem na pokładzie, ale okazywał niewzruszoną odwagę starego wygi.

Przytrzymałem go za uprząż spadochronu i ogarnąłem spojrzeniem jego klatkę piersiową, podczas gdy samolot zbliżał się do strefy zrzutu. Rzuciłem okiem do wnętrza samolotu akurat wtedy, gdy

czerwona lampka zgasła, a zapaliła się zielona.

To było niczym naciśnięcie przycisku. Moja prawa ręka była jak naelektryzowana. Kiwnąłem się w przód i wymierzyłem piekące uderzenie w tylną część ud, wykrzykując komendę: „Skok!”.

Wyskoczył przez drzwi jakby został wystrzelony z automatycznego działa, a za nim przez drzwi ruszyła ludzka taśma nabojoya pełna świeżej amunicji.

Uderzenie, „Skok!”, uderzenie, „Skok!”, uderzenie, „Skok!”

Gwałtownie malejący szereg żołnierzy zniknął z pola widzenia, gdy dziko pędzący samolot wypływał ze swych drzwi w powietrze ten ludzki ładunek. „Jak Jonasz z wnętrza wieloryba”.

Gdy ostatni żołnierz rzucił się w dół, wyjrzałem z samolotu by sprawdzić, czy żaden ze skoczków nie zaczepił się o samolot i nie jest ciągnięty na pewną śmierć.

Zadowolony, że wszystko jest w porządku popatrzyłem na mojego adiutanta po drugiej stronie drzwi, który robił dokładnie to samo. Krzyknął do mnie: „Czysto do ogona!”.

Dałem mu znać uniesionymi kciukami i odpowiedziałem: „Czysto!”, a następnie wskazałem go palcem i krzyknąłem: „Skok!”.

Odwrócił się w stronę drzwi, zawahał przez ułamek sekundy, by przyjąć dobrą pozycję, a potem wystrzelił poza zasięg mojego wzroku. Szybko upewniłem się, że miał czasę spadochronu nad głową, zerknąłem na wciąż palącą się na zielono lampkę zrzutową i wyskoczyłem przez drzwi prosto w strumień powietrza.

Zwarta pozycja ciała. Stopy i kolana ściśnięte razem, dłonie ściskają końce zapasowego spadochronu, głowa opuszczona, podbródek przyciśnięty do klatki piersiowej. Liczyłem. „Sto dwadzieścia jeden! Sto dwadzieścia dwa!” Gwałtowne pociągnięcie za plecy, gdy spadochron uwolnił się z pokrowca. „Sto dwadzieścia trzy!”. Opór uwolnionego, ale wciąż nierozłożonego spadochronu działał jak powietrzny hamulec, natychmiast zwalniając mój ruch ku dołowi i odwracając mnie plecami w kierunku ziemi tak, że nad czubkami własnych butów widziałem odlatujący samolot.

„Sto dwadzieścia cztery!”. W pełni otwarty spadochron. Stopy znów skierowane w stronę ziemi. Sprawdziłem czasę. Wszystko w porządku. Brak rozdarć na zielonej tkaninie, żadnych poplątanych linek. „A po obezwładniającym huku wewnątrz samolotu świat zdaje się nagle być niezwykle cichy”.

Złapałem uchwyty linek sterujących i pociągnąłem je w dół do poziomu mojego hełmu, rozglądając się jednocześnie za pozostałymi skoczkami. „Och, ileż czystego powietrza”. Sprawdziłem kierunek dymu ze strefy zrzutu i pozwoliłem spadochronowi zadryfować w powietrzu, by ocenić kierunek i prędkość wiatru na wysokości, na której się znajdowałem. Pozwoliłem czaszy szybować na wietrze, byłem jeszcze dość daleko od miejsca zbiórki, a chciałem, by spadochron zaniósł mnie najbliżej, jak tylko się da.

„Muszę przesunąć karabin tak, by nie był pod moją pachą i nie wybił mi barku, gdy uderzę w ziemię. Nogi lekko ugięte, stopy i kolana razem, łokcie przed twarzą, dłonie na równi ze szczytem hełmu... i spokojnie". Ziemia zbliżała się z zadziwiającą prędkością, a plecak uderzył w nią z głuchym odgłosem. „Spokojnie, spokojnie, spokojnie...”.

Z prędkością 7 m/s gwałtownie zderzyłem się z ziemią. Stopy, łydki, boki ud, tyłek, ramiona wchodzące w kontakt z ziemią w kontrolowanym przewrocie rozpraszającym energię zderzenia po całym moim ciele. W oddali usłyszałem głucho uderzenie i brzęknięcie mojego ekwipunku, gdy już zarówno ja, jak i mój ładunek, zakończyliśmy krótki lot i nagłe lądowanie. A potem było po wszystkim.

Wszystko OK. A każde lądowanie ze spadochronem jest dobre, jeśli można wstać i odejść. Chwilę odpocząłem, wyplątałem się z uprząży i podbiegłem do czaszy, by ją schoować zanim podmuch wiatru znów ją poderwie. Szybko upchnąłem spadochron w pokrowcu, poprawiłem mundur i ruszyłem rączym kłusem, by dołączyć do oddziału.

Tego dnia czekała nas przyjemna niespodzianka. Zgodnie z programem treningu zwykle odbywaliśmy trzydzie-stokilometrowy marsz ze strefy zrzutu do koszar. Tym razem wracaliśmy jednak z długiego i wyczerpującego miesięcznego pobytu w panamskiej dżungli. Mieliśmy przed sobą tak dużo pracy przy czyszczeniu i zdawaniu broni oraz ekwipunku, że pułkownik wydał rozkaz odwiezienia nas do koszar ciężarówką.

Cztery godziny później wszystko było już rozliczone i na swoim miejscu. Oddział stanął na baczność, sierżant wydał rozkaz: „Rozejść się!” i dla 158 żołnierzy Kompanii Charlie Pierwszego Batalionu Rangerów gromkim „Hurra!” rozpoczął się dobrze zasłużony, trzydniowy weekend. Przyglądałem się, jak mój pluton powoli dzieli się na małe, zaprzyjaźnione grupki ludzi. Właśnie miałem odejść, gdy sierżant major Glenn Morrell, przywołał mnie do siebie.

- Sierżancie Haney, macie się zgłosić do batalionowej sali konferencyjnej. Ktoś chce z wami pomówić.

- Tak jest, panie sierżancie majorze - powiedziałem. — Kto to taki?

- To mój stary znajomy i myślę, że to, co ma wam do powiedzenia, okaże się dla was interesujące - odpowiedział z asymetrycznym uśmiechem, który często gościł na jego surowej twarzy. — Czekaj już na was.

- Tak jest, panie sierżancie majorze - powiedziałem. — Już tam idę — zaszutowałem i ostrym zwrotem skierowałem się w stronę pomieszczeń dowództwa batalionu.

Bardzo ceniłem sierżanta majora Morrella. Jako mężczyzna praktyczny, choć głęboko troskliwy, stanowił rzadką kombinację działania i intelektu.

Morrell został naszym dowódcą rok wcześniej, gdy poprzedni sierżant major, Henry Caro, zginął wykonując skok spadochronowy. Obowiązek dowodzenia nami uchodził za wielce kłopotliwy i

nikt inny nie chciał się go podjąć. Gdy Morrel dowiedział się, że stanowiska tego nie może objąć oficer nie będący Rangerem, dobrowolnie zgłosił się w wieku 42 lat na przeszkolenie rangerskie, aby objąć dowództwo. Był twardy jak skała i bardzo go szanowałem. Gdyby chciał, żebym pogadał z Belzebubem we własnej osobie, uważałbym, że to dla mojego dobra.

Spotkanie w sali konferencyjnej okazało się być rozmową kwalifikacyjną do nowej, tajnej jednostki, która była właśnie tworzona w Fort Bragg - tej samej, o której do-tarły do nas plotki. Mężczyzna, z którym rozmawiałem, był wysoki i barczysty, o ciemnych i gładko uczesanych włosach, przenikliwych brązowych oczach i dźwięcznym jak blacha na dachu głosie. Ubrany był po cywilnemu, nie przedstawił się i cholernie mało zdradził mi na temat nowej formacji. Później poznałem go jako sierżanta ma-jora Williama „Wiochę” Grimesa, człowieka wybranego osobiście przez pułkownika Charliego Beckwitha na sier-żanta majora jednostki.

Na stole przed nim leżała otwarta moja teczka per-sonalna. Mężczyzna zerkał do niej w trakcie rozmowy

o mojej karierze, oddziałach, w których służyłem i do-tychczasowych przydziałach.

Powiedział, że to szansa na zostanie członkiem-założycielem jednostki, która będzie jedyną tego rodzaju w całych amerykańskich siłach zbroj-nych - pierwszym oddziałem w Stanach przeznaczonym do walki z międzynarodowym terroryzmem.

Wymagania były następujące: minimalny wiek - 22 lata. Minimalny czas służby - 4 lata i 2 miesiące. Minimal-ny stopień - plutonowy. Zdanie testu polegającego na przepłynięciu 100 metrów w butach i mundurze polo-wym oraz testu sprawności fizycznej dla Rangerów i Sił Specjalnych. Minimalny wynik 110 w wojskowym teście psychologicznym, niekaralność przed sądem wojskowym

1 brak jakichkolwiek problemów dyscyplinarnych. Jedyną rzeczą, której dowiedziałem się od Grimesa było

to, że jeśli zostanę przyjęty, mogę liczyć na ciężką pracę i liczne niebezpieczeństwa.

Ostatnio wiele rozmyślałem o tym, co chciałbym robić po wygaśnięciu przydziału w Rangerach.

Nie wiedziałem, czy udać się znów na zamorską misję lub dołączyć do Sił Specjalnych. Miałem pewność tylko co do jednej rze-czy: nie chciałem zostać szkoleniowcem w jakimś oddzia-le. A ponieważ właśnie dostałem awans na plutonowe-go i nigdy nie miałem przydziału nietaktycznego, było to wielce prawdopodobne. Miałem kilka opcji, żadna jednak nie dorównywała takiej propozycji. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, podpisałem się we wskazanym miejscu.

Grimes powiedział mi, że rozkazów z Fort Bragg mogę ocze-kiwać w ciągu miesiąca. Dał mi numer telefonu, pod który mogłem dzwonić, gdybym miał jakieś pytania lub zmienić zdanie, co do przynależności do jednostki. I tyle. Kilka tygo-dni później otrzymałem rozkaz zgłoszenia się około południa, 13 września 1978, w Moon Hall w Fort Bragg.

Tworzenie od podstaw nowej formacji i obmyślanie metod jej działania jest spełnieniem marzeń każdego podoficera, jednak wciąż byłem pełen obaw. Przede mną nieznane, a na czoło wysuwała się wątpliwość, co zrobię, jeśli nie przejdę selekcji. Przekazałem mój pluton Tomowi Duke'owi, nowemu plutonowemu. Duke był solidnym, doświadczonego dowódcą, który służył z nami od roku. Przez ten czas poznałem go i nabrałem szacunku, więc wiedziałem, że sprawy trafiają we właściwe ręce. Gdy wyszło na jaw, że jadę do Fort Bragg, moi żołnierze życzyli mi powodzenia i powiedzieli: „Jeżeli ktokolwiek dostanie się do tej nowej jednostki, to właśnie pan, plutonowy Haney”. Gdybym się nie dostał, to byłby dla mnie prawdziwy cios.

Na moją korzyść przemawiał fakt, że służyłem w armii już osiem lat. Byłem zaprawionym i doświadczonym żołnierzem piechoty. Przeszedłem z powodzeniem dwa najtrudniejsze szkolenia wojskowe: szkołę Rangerów i spa-dochronowy kurs instruktorski. Byłem dowódcą plutonu przez ponad 4 lata, z czego ostatnie dwa w Rangerach.

Życie w Rangerach nie głaskało nikogo po głowie. Tak naprawdę było morderczo surowe. Jeśli zadanie mogło być wykonane na dwa sposoby, wybierano zawsze sposób trudniejszy. Nigdy nie szliśmy na skróty, nigdy się nie oszczędzaliśmy. Co najmniej trzy tygodnie każdego miesiąca spędzaliśmy w terenie, a trzy razy do roku byliśmy wysyłani na rozszerzone szkolenie w Arktyce, na pustyni lub w dżungli. Przechodziliśmy też co roku dwa nieoficjalne szkolenia i uczestniczyliśmy w większych manewrach armii oraz w programach NATO.

Życie Rangerów było tak wymagające, że większość ludzi nie wytrzymała do końca pełnego dwuletniego przydziału w jednostce, a liczne urazy i zranienia również przerzedzały nasze szeregi. Jednak było to dobre przygotowanie do wypełniania innych, trudniejszych zadań. Byłem zdecydowany na maksymalny wysiłek przy stawianiu czoła nowemu wyzwaniu, a gdyby okazał się on niewystarczający, przynajmniej miałbym satysfakcję, że próbowałem. Mała to pociecha, ale zawsze coś.

Właściwie nie miałem pojęcia, czego oczekiwać rankiem 13 września 1978, gdy pakowałem swoje rzeczy do pic-kupa. Wycelowane na pożegnanie rodzinę i wyruszyłem w pięciogodzinną podróż autostradą 1-95 z Wojskowego Lotniska Polowego Hunter w Savannah w Georgii do Fort Bragg w Północnej Karolinie. Powtarzałem sobie tylko, że przyszłość zawsze jest doskonała. I miałem na to nadzieję.

Niektóre posterunki wojskowe są naprawdę piękne. The Presidio of Monterey oraz główne obszary Fort McClellan i Fort Benning mają w sobie to coś, głównie ze względu na stare budynki w stylu hiszpańskiej architektury kolonialnej. Fort Stewart ma wspaniałe dęby i cyprysy, z których zwieszają się draperie z opląty, zwanej też brodą starca czy hiszpańskim mchem.

Jednak Fort Bragg nie ma choćby jednej estetycznej zalety. Jest chyba najbardziej ponurym i nieatrakcyjnym miejscem w całych Stanach Zjednoczonych.

Baza rozciąga się na wzgórzach Sand Hills w Północnej Karolinie. Została założona na niemal bezwartościowych ziemiach jako poligon artyleryjski podczas I wojny światowej. Teren jest porośnięty rzadkimi sosnami i karłowatymi dębami. Układ koszar wydaje się być przypadkowy. Całe to miejsce ma w sobie coś tymczasowego i przejściowego.

Jest to jednak „Home of Airborne” i jako taki, stanowi siedzibę i ośrodek szkoleniowy Sił Specjalnych: 82. Dywizji Powietrzno-Desantowej, 5. i 7. Oddziału Sił Specjalnych oraz 18. Korpusu Airborne. Były tam jeszcze mniejsze, specjalistyczne jednostki, rozproszone po różnych zakątkach fortu.

Jednym z nich był Pierwszy Operacyjny Oddział Sił Specjalnych armii Stanów Zjednoczonych - Delta.

Zjechałem na parking koło Moon Hall w bazie wojskowej Fort Bragg krótko przed południem. Skierowałem się do holu i zobaczyłem tam znak kierujący mnie do „1st SFOD-D”. Poszedłem w kierunku wskazywanym przez strzałkę, skręciłem w lewo i zobaczyłem mężczyznę w mundurze bez oznakowań siedzącego za biurkiem w małym pomieszczeniu.

- Na selekcję, plutonowy? - zapytał.
- Tak jest.
- Znajdźcie swoje nazwisko i podpiszcie się tutaj - powiedział, wskazując na listę leżącą na biurku i podał mi pióro.

Gdy odnalazłem się już na liście i złożyłem podpis, zerknąłem na niego ukradkiem. Miał około czterdziestki, był elokwentny i przystojny. Niezupełnie tego się spodziewałem. Zwykle pierwszą osobą spotykaną przy okazji zapisywania się do nowego oddziału jest jakiś nerwowy urzędnik. Człowiek, który z niebывалым czarem potrafi zirytować każdego.

- Nie zostajecie tutaj, udacie się do Aberdeen Camp. Byliście tam kiedykolwiek? - zapytał, patrząc mi prosto w oczy.

Gdy zaprzeczyłem, podał mi niewielką mapę i wyjaśnił jak znaleźć miejsce przeznaczenia.

Znajdowało się na zachodnim skraju bazy, w odległości około 50 kilometrów.

- Macie własny pojazd czy potrzebujecie transportu?
- Melduję, że mam samochód.

Wyjął jedną kartkę z pliku rozkazów, który mu wręczyłem.

- OK., Rangerze. Kiedy przyjedziecie do Aberdeen, zaparkujcie na zewnątrz i zameldujcie się żołnierzowi przy bramie. On wami pokieruje - podał mi resztę rozkazów i dodał z lekkim uśmiechem tak w głosie, jak i na twarzy. - Najlepszego i do zobaczenia.
- Dziękuję - odpowiedziałem. - Do zobaczenia.

Nie spieszyłem się jadąc do Aberdeen. Okazał się być dokładnie tym, czego oczekiwałem - obozem całkowicie odizolowanym. Jednym z tych małych i położonych na uboczu miejsc, gdzie jednostka

może przebywać podczas planowania rozlokowania wojska czy konkretnej misji — bezpieczny zakątek oferujący ucieczkę od rozpraszających aspektów codziennego życia. Będą tam proste baraki, stołówka, dyżurka, biura sztabu, budynek gospodarczy, warsztat, mały tabor, lądowisko dla paru helikopterów i może strzelnica do zerowania i testowania broni.

Pomachano mi, bym wjechał do środka, więc zatrzymałem się na małym parkingu już za bramą. Gdy wysiadałem z samochodu, podszedł do mnie facet, który przedtem stał przy bramie.

Miał na sobie mundur bez jakichkolwiek oznaczeń i insygniów. Wyciągnął do mnie rękę.

— Witam plutonowy Haney, cieszę się z waszego przybycia. Zabierzcie swoje rzeczy do baraku A i zajmijcie jedno z łóżek. Potem odszukajcie sierżanta majora Shu-mate'a. Wyda wam wasz ekwipunek. Żarcie jest o 17:30. Rozkazy na jutro znajdziecie na tablicy informacyjnej na zewnątrz stołówki. Do zobaczenia. Najlepszego.

- OK., dziękuję - odpowiedziałem i zarzuciwszy na ramię plecak oraz torbę z ekwipunkiem, ruszyłem w stronę baraków.

Były to standardowe tropikalne chaty. Niskie budynki, 7 metrów szerokości, 22 metry długości. Betonowe podłogi i blaszane dachy o szerokich okapach. Górne części ścian zamocowane były na zawiasach i otwierały się pod kątem 45 stopni, służąc jako okna. Wzdłuż obu ścian ustawione były w rzędach prycze, a sznur nagich żarówek biegł środkiem sufitu wzdłuż odsłoniętych krokwi.

Dom niczego sobie.

Doszedłem do połowy budynku, znalazłem łóżko po lewej stronie i rzuciłem na nie swoje bagaże. Z jednej strony chciałem uniknąć nadmiernego ruchu blisko drzwi, z drugiej zaś, na ile to możliwe - całego kurzu i duchoty, które gromadzić się będą w przeciwległym końcu.

W chacie było ośmiu czy dziesięciu innych żołnierzy. Ich naramienniki wskazywały, że pochodzą z oddziałów stacjonujących zagranicą. Skinąłem głową temu, który patrzył na mnie, gdy wychodziłem szukać sierżanta majora.

Wyszedłem na zewnątrz i ustaliłem swoje położenie. W pobliżu parkingu był budynek przypominający warsztat. Tam powinienem chyba zacząć. W połowie drogi do niego spotkałem jakiegoś gościa, który szedł szybko po tym samym chodniku.

- Gdzie mogę znaleźć sierżanta majora Shumate'a? - zapytałem.

— Tam, stoi przy tej dwuipółtonówce - wskazał na żołnierza w rozchełstanej koszuli i czapce zsuniętej na tył głowy, stojącego przy dwuipółtonowej ciężarówce wojskowej.

- OK., skoro tak twierdzisz - ruszyłem dalej, by spotkać się z domniemanym „sierżantem majorem”.

Sierżanci majorowie są chodzącym i oddychającym uosobieniem Wszystkiego Jak Należy w armii Stanów Zjednoczonych. Ten gość wyglądał jak ostatni menel. Koszulę miał rozpiętą i nie miał podkoszulka. Jego nieśmiercielnik był połączony. Kapelusz zsunął na tył głowy. Miał olbrzymie,

kręcone wąsy, wywoskowane i przypominające kierownicę od roweru.

Wietrzyłem w tym jakiś podstęp. Jedyna rzecz, której byłem pewien, co do tej wyprawy, okazała się być zupełnie inna niż oczekiwałem. Jeśli to miałyby być jakaś gra, to czemu w nią nie zagrać i nie zobaczyć, co się stanie.

Stanąłem trzy kroki przed nim, przyjąłem postawę na baczność i wyrzuciłem z siebie:

- Panie sierżancie majorze, melduję się po odbiór ekwipunku!

Łypnął na mnie przez chwilę, a uśmiech wypełził mu na twarz zza potężnych wąsów i objął jego oczy.

- Cholera, wyluzuj Rangerze, dobra? To nie komisja awansowa. Męczysz mnie, jak się tak przęysz - jego głos był grzmiący i głęboki.

Siła przyzwyczajenia. W Rangerach, gdy żołnierz zwracał się do wyższego ranga, stał w pozycji na baczność. Rozluźniłem się nieco, stając na spocznij.

- No, już lepiej - powiedział. Jego uśmiech jeszcze się poszerzył. Nie wyglądało na to, że się ze mnie nabija, ale szczerze dziwi się, że ktoś zwraca się do niego w tak formalny sposób.

- Idź do tej budy z zaopatrzeniem, złap worek gratów i pod-pisz się na liście na drzwiach. Nie martw się czystością, gdy będziesz zwracać rzeczy. Moje standardy nie są za wysokie.

Jezu Wszechmogący. To było bardzo dziwne miejsce. Wepchnąłem się do magazynu, pokwitowałem odbiór ekwipunku i zapytałem dyżurnego, gdy sprawdzałem zawartość worka z wywieszoną listą:

- Ten gość to naprawdę nasz sierżant major?

- Shumate? No, naprawdę. Jest sierżantem majorem odpowiedzialnym za selekcję.

- Cóż, zdecydowanie nie przypomina innych sierżantów majorów.

- O, on nie przypomina żadnej istoty ludzkiej, którą spotkałeś w życiu.

Sierżant major Walter J. Shumate był żyjącą legendą Sił Specjalnych. Stary wojak, który wstąpił do wojska podczas wojny w Korei, który widział i robił już wszystko. Mając 44 lata był najstarszym żołnierzem, który przeszedł selekcję do oddziału Delta. Był bezcenny przy tworzeniu jednostki.

Shumate dodał człowieczeństwa, którego mogło w organizacji równie dobrze zabraknąć w tych kilku krytycznych latach początkowych. Bez jego talentu i niezwykłego wpływu jednostka mogła łatwo nabrać aparaczkowskiego charakteru. Osoby które uważały się za absolutnie wyjątkowe, Shumate był w stanie przekonać, że nadal są zwykłymi ludźmi. Walt miał poważne podejście do rzemiosła wojennego, jednak nie miał w sobie nic z automatu.

Gdy wróciłem, barak A zaczął się wypełniać. Jak dotąd wszyscy byli spoza Fort Bragg. Kilku facetów znałem z różnych kursów, w których wspólnie uczestniczyliśmy, a z dwoma służyłem w innych oddziałach. Bez względu na rozmiary armii, dostatecznie długo byłem w wojsku by znać kogoś wszędzie, gdzie się udałem. Kilku gości głośno objaśniało swoje opinie na temat działań

antyterrorystycznych, gdy szedłem pomiędzy łózkami w stronę swojej pryczy.

Próbują zrobić na innych wrażenie i popisują się przed gawiedzią. Mało wiedzy, za to dużo gadaniny.

Pierwszy Batalion Rangerów współpracował przez nie-mal rok z tymczasowymi wojskowymi siłami antyterrorystycznymi, Blue Light, próbując opracować techniki zwalczania terroryzmu. Obie jednostki dość ciężko pracowały nad tematem, ale po kilku wspólnych manewrach i dogłębnych analizach podsumowujących działania jasne było, że nie czynią zbytnich postępów. Prawdę powiedziawszy ćwiczenia nie udały się do tego stopnia, że dowódca batalionu został tego dowództwa pozbawiony. Jak dotąd nie znalazł się ekspert w dziedzinie walki z terroryzmem. Facet siedzący na sąsiedniej pryczy rozpakowywał swój chlebak. Podniósł wzrok, gdy odkładałem mój ekwipunek. Nasze oczy się spotkały i wyciągnęliśmy ręce.

— Keekee Saenz, 3/7 Siły Specjalne, Panama - powiedział z lekkim hiszpańskim akcentem. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Erie Haney, Pierwszu Rangerów. Mucho gusto en co-nocerle, Keekee — odpowiedziałem.

— El gusto es mio - odrzekł z uśmiechem.

Keekee był facetem średniej budowy, żyłastym i umięśnionym jak biegacz. Miał gęste, ale krótkie włosy i nosił wąsik, cieniutki jak u szefa portorykańskiego gangu. Wyglądał na moje lata. Stwarzał wrażenie twardego, kompetentnego żołnierza.

— Keekee, dużo słyszałeś o tej jednostce u siebie w Panamie? - zapytałem porządkując ekwipunek.

— Pewnie nie więcej niż ty - odparł. - Moja kompania została oddelegowana przez CINC SouthCom (Głównodowodzącego Sił Południowych) do działań w programie antyterrorystycznym na terenie Ameryki Łacińskiej. Ale nie udało nam się zdziałać więcej niż wam i Blue Light. A wszyscy w kwestii tej jednostki trzymają karty przy orderach. Jeden z naszych dostał się tu wiosną, ale od tego czasu nie miałem o nim wieści.

— Od nas jeden gość też był tu na próbę - powiedziałem. -Ale wrócił po tygodniu i nie puścił pary z gęby Mało wiem póki co. Pewnie dowiemy się wszystkiego w swoim czasie.

— Ojala - powiedział, odwracając się do swoich gratów.

— Si, Ojala - tak, miejmy nadzieję.

Skończyłem się rozpakowywać. Przebrałem się w szorty oraz buty do biegania i wyszedłem na przebieżkę. Popołudnie było zbyt piękne, by marnować je na siedzenie przed barakiem i plotkowanie jak stado staruszek. Lata na południowym wschodzie są dość ciężkie, jednak jesień jest zwykle długa i wspaniale pogodna. Dzisiejszy dzień był świetnym przykładem — słoneczny i suchy.

Gdy wyszedłem za bramę, dyżurny skinął mi głową i powiedział:

— Najlepszego.

„Najlepszego - to musi być jakaś mantra w tej jednostce” pomyślałem, oddalając się truchcikiem od obozu. Atmosfera tego miejsca była tak rozluźniona, że czułem się nieswojo. Wszystko wyglądało na to, czym być nie mogło.

Gdy biegłem, wyciskając z siebie siódme poty, próbowałem sobie wyobrazić, jaka będzie ta selekcja. Nie miałem jednak żadnego punktu odniesienia, żeby móc cokolwiek przewidywać.

Nowa sytuacja nie przypominała niczego, co znałem z armii. Jak dotąd zobaczyłem tylko zbieraninę facetów gromadzących się w obozie na uboczu i zarządzanych przez jakichś wojskowych meneli. Muszę trzymać gębę na kłódkę, za to nieźle się rozglądać i nadstawiać uszu, reagując na to, co się stanie. To system, który jak dotąd stosowałem z powodzeniem we wszystkich nowych sytuacjach.

Zatopiony w myślach przebiegłem kilka mil po porośniętych sosnami pagórkach, słuchając rytmu wybijanego przez moje stopy i świstu powietrza w piersi. Zadawolony i ociekający potem zawróciłem i podążyłem w stronę obozu, gdzie pomachałem do dyżurnego przy bramie. Skinął mi głową i uśmiechnął się. Skierowałem się w stronę pryszniców, umyłem i poszedłem na kolację. Stołówka była pełna ludzi i hałasu. Usiadłem za stołem z kilkoma żołnierzami z oddziałów stacjonujących w Niemczech. Mieliśmy kilku wspólnych znajomych. Powiedzieli mi, że kilkudziesięciu ludzi przyjechało z Europy, by wziąć udział w selekcji. Wyglądało na to, że będzie dość tłoczno.

Wałówka była całkiem niezła jak na obóz polowy. Skończyłem, zdałem tacę i sztucce, i wyszedłem, aby poczytać tablicę ogłoszeń. Było tam napisane: 14 września 1978 Zbiórka: 6:00 Strój: Buty, mundur polotowy, czapka z daszkiem (nie beret) Identyfikatory i nieśmiertelniki No cóż, to było dosyć jasne, żadnych zbędnych informacji. Niektórych żołnierzy mogła jednak wkurzyć ta część, w której zakazywano beretów.

Usłyszałem kogoś ze 101. Dywizji Powietrzno-Desantowej, jak pyta instruktora czy wolno nam opuszczać teren obozu. Odpowiedź brzmiała, że ograniczeń nie ma, byle tylko wypełnić instrukcje na jutro, ani mniej, ani więcej.

Wielu gości nie da rady. Pójdą do klubu oficerskiego dzisiaj wieczorem, a rano pojawią się z kacem lub jeszcze pijani. Będzie ciekawie.

Chwilę jeszcze pobyczyłem się na zewnątrz i pogadałem z paroma znajomymi. Potem wróciłem do baraku, skończyłem układać i porządkować rzeczy, trochę poczytałem.

O 20:30 owinałem się w pałatkę i z przyjemnością wyciągnąłem na pryczy. Całkiem nieźle. Jako Ranger byłem bardziej przyzwyczajony do spania na ziemi, niż na łóżku. A tu miałem prawdziwe luksusy. Przewróciłem się na bok, podłożyłem pod głowę róg pałatki i zasnąłem.

Wytrawni żołnierze umieją zasypiać w locie. Podobnie jak z wody i żywności, ze snu korzysta się, gdy tylko jest dostępny. Jakoś nie kupowałem tego wypoczynkowego planu dnia. Gdyby to było w szkole Rangerów, ktoś by wpadł do baraku zaraz po północy, krzycząc, uniemożliwiając nam wypoczynek i grając na naszej psychice. O ile nie będzie nocnej pobudki, obudzę się o 5:15.

Obudziłem się o 5:12. Nigdy nie musiałem korzystać z pomocy budzika. Mówię sobie, o której mam wstać i już. Leżałem jeszcze parę minut, nasłuchując odgłosów baraku pogrążonego we śnie. Doskonale się czułem, bo tego ranka wyspałem się nieco dłużej. W batalionie wstawałem zawsze o 4:30, a o 5 piłem poranną kawę z dowódcami, zanim poderwali swoje oddziały o 5:30.

Wyśliznąłem się z pryczy, założyłem szorty i klapki, zabrałem przybory do golenia i poszedłem do położonej nieopodal toalety, żeby doprowadzić się do porządku. Powietrze było chłodne i rześkie. Księżyc nie było, ale gwiazdy wciąż jasno świeciły. Bardzo lubię tę porę dnia. To taki czas „po-między”. Świat jest cichy i spokojny, nocne stworzenia wróciły do swoich kryjówek, a dzień jeszcze się nie pokazał.

Gdy wyszedłem z toalety, inni żołnierze byli już na nogach i kręcili się tu i tam, a przez bramę docierało do nas światło samochodowych reflektorów. Połowa żołnierzy w baraku jeszcze leżała na pryczach, gdy ubierałem się i sznurowałem buty Jungle. Założyłem swoje najstarsze buty wojskowe, parę, która tyle razy została już natłuszczona olejkami do butów, że były mięciutkie jak moka-syny. Żołnierz nie potrzebuje wiele, jeśli chodzi o mundur, ale dobre buty są absolutnie niezbędne. Upewniłem się, że w kieszeni na piersi mam długopis i notes, i wyszedłem na zewnątrz.

Parking gwałtownie się zapełniał, kilku facetów wędrowało spokojnie w stronę środka kompleksu. Żarzące się papierosy oświetlały twarze, a ciche głosy niesły się w powietrzu.

— Cholera jasna, Haney! Co ty tu robisz, do kurwy nędzy? - jakiś głos doleciał mnie z ciemności.

Na świecie był tylko jeden człowiek o takim głosie. Odwróciłem się i powiedziałem:

- Cześć, Parks. Jak tu trafiłeś?

Virgil Parks był autentycznym dwudziestoczerokarowym i niereformowalnym zrzędem. Virg wstąpił do wojska w 1968 roku, żeby pojechać do Wietnamu, i od tego czasu był Rangerem.

Byliśmy dowódcami plutonów w tej samej kompanii, dopóki pod koniec zeszłego roku nie przeniósł się do Fort Bragg, gdzie miał być instruktorem w Szkole Rangerów.

Mogłem się jedynie domyślać, że znalazł się tutaj, bo przejadło mu się zaproszenie Departamentu Rangerów. Gdziekolwiek się nie znalazł, tak się to zawsze kończyło. Cechowała go ekscentryczność granicząca z obłądem - a to wymaga pewnego wysiłku w świecie Rangerów. Szedł pełną parą, choć bez konkretnego celu. Niezdolny był wręcz do regulowania wysiłku wkładanego w bieżące zadanie.

A nawet w konserwatywnym środowisku wojskowym znany był jako bardziej na prawo od Attyli, wodza Hunów.

Zamknął oczy, zadarł swój podziwu godny nos w sobie tylko właściwy sposób i zaciągnął się papierosem trzymanym między kciukiem a palcem wskazującym. Jak zwykle przyglądałem mu się, pełen fascynacji. Nikt tak nie umiał pieścić papierosa, jak sierżant sztabowy Virgil Parks.

- Tak se pomyślałem, że przyjadę i zobaczę, co te bura-ki kombinują. Poza tym Departament Rangerów to kupa mięczaków. Zamierzają wydawać po batoniku żołnierzom z Florida Phase podczas zimowych zajęć, bo te dupki pozamarzały na śmierć w zeszłym roku.

Ta tragedia nie przytrafiła się mięczakom. Podczas Florida Phase w Szkole Rangerów, kursanci otrzymywali tylko jedną żelazną porcję żywności dziennie. Zużywali kalorie na znacznie wyższym poziomie, niż je przyswajali i byli osłabieni po poprzednich etapach kursu. Jeśli jeszcze temperatura wody w bagnach była cały czas zbyt niska, byli poważnie zagrożeni hipotermią.

To wydarzenie miało miejsce zeszłej zimy, na patrolu podczas szczególnie zimnej nocy.

Dwudziestu trzech żołnierzy doznało hipotermii przy przechodzeniu w nocy przez Yellow River.

Czterech z nich zmarło na bagnach. Korpus oficerski Rangerów przekroczył cienką granicę pomiędzy twardzielstwem a głupotą, przez co zginęli żołnierze. Dziwię się, że nikogo nie postawiono za to przed sądem wojskowym.

— No, słyszałem coś o tym — nie było sensu tłumaczyć czegokolwiek Parksowi, był logikoodporny.

Gdy gadaliśmy, kilka dwupółtonówek zatrzymało się koło nas w rzędzie. Dwie minuty przed szóstą facet z klip-sową podkładką w dłoni wyszedł z chaty dowództwa. Miał na sobie dzinsy i koszulkę, a na głowie czapkę baseballową. Stał na skraju tłumy i patrzył na nas beznamiętnie, póki nie ucichliśmy.

— Czwórkami zbiórka - wydał rozkaz. W jednej chwili zajęliśmy pozycje. 163 żołnierzy stanęło na baczność.

— Spocznij! Słuchać! Odezwijcie się, gdy wyczytam wasze nazwisko i wsiadajcie do ciężarówki, którą podam. Jeśli wasze nazwisko nie zostanie wyczytane zostańcie na miejscu, a ja podejść. Ciężarówka numer 1... - zaczął wyczytywać nazwiska w kolejności alfabetycznej. Każda ciężarówka miała wielki numer narysowany kredą na tylnej klapie. Gdy wyczytano moje nazwisko, zawołałem: „Obecny!” i wspiąłem się na pakę. Niedługo potem ciężarówki ruszyły i wyjechaliśmy za bramę, właśnie w chwili, gdy pierwsze promienie słońca wychyły się za horyzontu.

„Wstąp do armii, zobaczysz kawałek świata” pisali na plakatach reklamowych. Co najmniej pół świata obejrzałem z paki ciężarówki.

Kwadrans później zatrzymaliśmy się na granicy czegoś, co wyglądało jak strefa zrzutu. - Strefa

Zrzutu Holandia -powiedział któryś żołnierz z Fort Bragg, gdy wysiadaliśmy.

Sierżant major Shumate stał w pobliżu w portkach khaki, hawajskiej koszuli i kapeluszu panama.

— No, dziewczynki, ustawiać się! — zawołał. — W szyku, szóstkami!

Gdy się grupowaliśmy, ktoś podszedł z aparatem i statywem, i przygotowywał się do zrobienia zdjęcia.

— O co chodzi, do cholery, Walt? - jakiś anonimowy głos zaskrzeczał gdzieś z tłumu.

— To będzie zdjęcie grupy „przed”, moje szczawiki kochałne, a za parę dni zrobimy nową fotkę - odparł Shumate.

Byłem zdumiony, że ktoś zwraca się do dowódcy po imieniu, ale Shumate nie wydawał się urażony. Kiedy jednak mała grupka żołnierzy zaczęła się śmiać i wygłupiać, jakby to był jakiś durny kawał, Shumate nagle stał się surowy. Zarto-bliwość uleciała nagle z jego głosu i wybuchnął gwałtownie:

— Dobra, zobaczymy kto się będzie śmiał, gdy skończę z wami, fiuty zasrane, a na następnej fotce będzie połowa tego pierwszego szeregu. Ci poważni zostaną tutaj, a wy, dowcipnisie, będziecie w domu łżeć kolegom dla-czego wam się nie udało. Skoro więc was, pyskacze - i jeszcze paru innych — nie będzie na zdjęciu „po”, to teraz urządzę sobie z was, pokurwieńcy, jebaną polewkę, ha-ha!

Zwrócił się teraz do zdyscyplinowanej grupy, każąc nam stanąć na baczność. Fotograf zrobił zdjęcie i się zwinął. Shumate kontynuował, jakby nic się nie stało.

— To jest test sprawności fizycznej Rangerów i Sił Specjalnych. Oceniający etapy 1-4 stoją za mną, od lewej do prawej. Gdy wyczytam nazwisko, idźcie do przydzielonego oceniającego. Najlepszego. Etap numer jeden! - i zaczął wywoływać nazwiska. Ustawiłem się przed moim oceniającym.

W tych czasach w armii były cztery rodzaje testów sprawnościowych. Był sprawdzian dla sztabowców i oddziałów pomocniczych, bardziej wymagający dla sił bojowych, kolejny dla spadochroniarzy i jeszcze jeden dla Sił Specjalnych i Rangerów.

Pierwsze trzy testy miały opracowaną skalę oceniania, która uwzględniała wiek testowanego. Im byłeś starszy, tym mniej musiałeś zrobić na zaliczenie testu. W przypadku testu Rangerów i Sił Specjalnych nie było już takiego ułatwienia wiekowego - wszyscy byli oceniani na poziomie siedemnastolatków. Test składał się z pompek, brzuszków, biegania między płotkami, czołgania na plecach i ponad trzykilometrowego biegu. Należało to wszystko wykonać w stroju składającym się z bojówek i ciężkich butów bojowych, ponieważ buty do biegania nie weszły jeszcze na wyposażenie armii, no i przy cieplej pogodzie można było zdjąć koszulkę.

Moją pierwszą dyscypliną było bieganie między płotkami. Było to sprawdzenie zręczności i szybkości. Zaczynało się na linii startowej, biegło sprintem do szeregu bramek prostopadłych do

kierunku biegu, przebiegało przez nie, przeskakiwało rów, biegło dalej do drugiego zestawu bramek, powtórzało jeszcze raz cały tor i kończyło w miejscu startu. Zwykle kończyłem ten test w mniej niż 13 sekund. 15 sekund dawało 100 punktów. Do zaliczenia testu wystarczyło sekund 19. Przebiegłem tor w swoim zwykłym czasie. Oceniający podał mi kartę wyników i skierował do punktu, gdzie zaliczało się pompki. Stałem w szeregu i ledwo zdążyłem złapać oddech, a już wywołano mnie do zajęcia pozycji.

Przyjąłem pozycję i poprosiłem mojego oceniającego o głośne liczenie pompek, kiedy padła komenda: „Zaczynać!”. Gdy oceniający doliczył do 53, przerwałem i odpočząłem chwilę, wsparty na kolanach i pięściach. Już wcześniej odkryłem, że najbardziej ułatwia przejście tego testu sapanie jak parowóz i wykonywanie pompek tak szybko, jak to możliwe. Musisz tylko zadbać o to, by wszystkie były wykonywane prawidłowo, albo oceniający ich nie zaliczy.

Czas się skończył. Dostałem kartę z powrotem i odesłano mnie na czołganie na plecach - dyscyplinę, która należy do najdurniejszych rzeczy, jakie można sobie wyobrazić w instytucji, która za głupią nie jest raczej uważana. Podczas gdy inne dyscypliny testu sprawnościowego mierzyły takie aspekty jak zwinność czy siła górnej części ciała, czołganie na plecach sprawdza... Nikt nie ma najlepszego pojęcia, co właściwie sprawdza.

Na komendę: „Zaczynać!” odrywasz tyłek od ziemi w pozycji kraba, plecami do ziemi, torsem w górę. W tej pozycji zaczynasz „biec” przed siebie, nogami do przodu, i przebiegasz 20 metrów, później wracasz do punktu startowego w tej samej pozycji, jednak rękami do przodu. Nie widzisz zatem, gdzie właściwie zmierzasz.

Wykonałem to ćwiczenie z maksymalną punktacją, otrze-pałem dłonie z piasku i poszedłem do stanowiska, gdzie liczone brzuski. Oczywiście wydało mi się, że między dyscyplinami nie należy robić przerw. Gdy kończyłem jedną, natychmiast przechodziłem do następnej. Wszystko było zorganizowane jak sprawnie działająca firma. Nie było też krzyczenia ani też innego wojskowego pozerstwa - ale i nie było sposobu na przemknięcie się na koniec kolejki i złapanie oddechu pomiędzy dyscyplinami.

Dano mi znak, bym zaczął brzuski. Położyłem się na plecach, spłotłem palce na karku, zgiąłem kolana, a oceniający trzymał mi stopy. Czułem wygodny, chłodny piasek po plecami czekając na komendę: „Zaczynać!”. Tłukłem brzuski najszybciej jak mogłem, a kątem oka widziałem inne ciała unoszące się i opadające na ziemię w niezgranym rytmie. „Wyglądamy jak tłoki jednego silnika” pomyślałem kończąc ćwiczenie i opadając na plecy, by złapać oddech zanim wstanę i odbiorę kartę z punktacją.

Po minucie lub dwóch wszystkie ćwiczenia zostały zakończono i zawołano nas w stronę ciężarówek. Staliśmy w luźnym szyku.

- Upewnijcie się, że wasze kurtki mundurowe są w ciężarówkach, którymi przyjechaliście -

ogłosił Shumate. - Następnie zgłóście się do oceniającego z ostatniego ćwiczenia.

Kazał przejść oceniającym stojącym dotąd na gruntowej drodze na naszą prawą stronę.

- OK., wykonać - rzucił.

Złożyłem koszulkę i położyłem ją pod ławką w ciężarówce, a następnie podążyłem w stronę mojego oceniającego na start trzykilometrowego biegu. Oceniający wziął nasze karty i dał każdemu z nas czerwoną szmacianą kamizelkę zakładaną przez głowę. Rozdając nam kamizelki, jednocześnie przydzielał nam numery. Ja dostałem szóstkę. Pozostałe grupy oznaczono innymi kolorami.

Następnie Shumate zawołał nas na linię startową.

- Dobra, lalczki, wszyscy robiliśmy to już raz czy dwa w życiu. Na komendę „Start!” ruszacie z miejsca. Biegniecie tą drogą przez 3 kilometry do linii mety. Gdy przekroczycie metę, poszukajcie swojego oceniającego, będzie trzymał tabliczkę w kolorze waszych kamizelek. Do biegu, gotowi... Start!

Wystartowaliśmy. Na początku bieglśmy zwartą grupą, jak to zwykle na początku wyścigu. Niektórzy wyrwali do przodu, inni trzymali się z tyłu, pozwalając tłumowi nieco się rozproszyć. Ja wybrałem wersję pośrednią. Jestem dobrym, choć nie wspaniałym biegaczem. Po kilkuset metrach byłem w stanie wejść w swój rytm i utrzymywać prędkość, która mi odpowiadała. To był fajny dzień na bieganie. Wystarczająco ciepły, żeby nie marznąć, ale powietrze przyjemnie chłodziło mi twarz. Piasek pod stopami był zbity, a słońce świeciło w plecy. Zgrałem ruch nóg z oddechem i zdecydowałem, że pobiegnę o tych kilka sekund wolniej niż zwykle. Przeważnie kończyłem bieg w trzynastu i pół minuty, co dawało 90 punktów. Dwanaście minut z kawałkiem równało się stu punktom, jednak było poza moim zasięgiem. Przyzwyczyłem się do tempa, lekko skróciłem krok i pobiegłem dalej.

Biegło mi się znacznie lepiej niż po torze, gdzie zwykle odbywają się takie testy sprawnościowe. Znacznie szybciej, niż się podziwiałem, zobaczyłem metę. Zające już przez nią przebiegały. Wydłużyłem nieco krok i skoncentrowałem się na wydychaniu powietrza z płuc, aby głębiej oddychać. Biegłem obok kogoś, a nasze kroki całkiem się zrównały. Gdy posuwałem się naprzód, był cały czas za mną. Obejrzałem się na niego -to był Keekee Saenz. Wkrótce bieglśmy z maksymalną prędkością, jeden niezdolny do wyprzedzenia drugiego.

Zobaczyłem mojego oceniającego i usłyszałem timeke-epera, który głośno liczył:

- 12 minut, 50 sekund, 51, 52, 53, 54... - krzyczał, a gdy przekroczyłem linię mety, nawiązał ze mną kontakt wzrokowy i zawołał do mojego oceniającego: „Szóstka czerwona!”.

- Przyjąłem, szóstka czerwona - odpowiedział, zapisując czas.

Zanim zacząłem iść, zwolniłem tempo i przetruchtałem jeszcze ze sto metrów. Oparłszy dłonie na biodrach, spokojnie szedłem z powrotem w stronę mety, a mój oddech się uspokajał. Kiedy byłem

prawie u celu, ktoś z kadry powiedział, żebym poszedł wzdłuż drogi do miejsca, gdzie teraz zaparkowano ciężarówki, wziął koszulę i czekał na instrukcje. Tak też zrobiłem.

Ciężarówki musiały przyjechać inną trasą, ponieważ rzeczywiście stały w szeregu jakieś trzysta metrów dalej, na tej samej drodze.

Zbliżywszy się do pojazdów, zobaczyłem sierżanta majora Shumate'a, który z kimś rozmawiał. Popatrzył na mnie, gdy wyjmowałem swoją koszulę z ciężarówki.

- Dobrze się bawisz, Rangerze? - zapytał, gdy zapinałem mundur.
- Pewnie, panie sierżancie majorze. Co teraz? Przyjrzał mi się spod zmarszczonych brwi.
- Chyba jest ci gorąco. Może skoczysz nad jezioro i się popluskasz? Ktoś na brzegu poda ci instrukcje. I... - celowo przerwał, więc zatrzymałem się, żeby na niego spojrzeć. - Najlepszego.
- Cholera - pomyślałem - czy dla niego wszystko musi być jaj carskie?

Poszedłem na brzeg jeziora, gdzie gromadziły się już niewielkie grupki. Niski gość o włosach koloru piasku gestem nakazał mi do nich dołączyć.

-To jest test pływania, żołnierze. Od jednej boi do drugiej jest 100 metrów. Macie płynąć w pełnym mundurze i butach. W tym zadaniu nie liczy się czas. Możecie płynąć dowolnym stylem, jednak nie możecie przerwać i odpocząć, dopóki nie dotrzecie do boi. Dojdźcie do punktu startowego brodząc i zaczniacie płynąć. Nie dotykajcie dna, dopóki nie dotrzecie do mety. Tam dostaniecie instrukcję, by stanąć i dojść do brzegu. Nie ma pytań? No to najlepszego.

Grupą liczącą około 12 osób ruszyliśmy brodząc w wodzie, która miała kolor kawy z mlekiem i była ciepła jak w wannie. Sięgała mi do piersi, gdy dotarliśmy do pierwszej boi. Zanurzyłem się po szyję, by pozbyć się powietrza z odzieży, a następnie zacząłem płynąć. Najpierw płynąłem na lewym boku, potem na prawym. Po przebyciu jakichś dwóch trzecich przewróciłem się na grzbiet i resztę dystansu przepłynąłem stylem grzbietowym. Jeśli chodzi o pływanie w ubraniu jest tylko jeden sekret - odprężyć się i nie spieszyć. Wciąż unosisz się na wodzie, musisz tylko pokonać większy opór.

Pływanie nie było wcale ciężkie. W teście pływackim u Rangerów miało się zawiązać oczy i wpadało do wody w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu, z M-16, chleba-kciem, ładownicami i dwiema manierkami. Po wskoczeniu w wodę płynęło się do brzegu basenu i nań wychodziło.

Celem ćwiczenia było zasymulowanie nagłego wypadnięcia do rzeki w czasie marszu w nocy.

Zaliczenie testu oznaczało mniejsze prawdopodobieństwo spanikowania, gdy nagle i nieoczekiwanie człowiek znajduje się w głębokiej wodzie i nic nie widzi. Byłem pewny, że teraz ten test służy sprawdzeniu, jak pewnie i dobrze czujemy się w wodzie.

Wyszedłem z jeziora i przeszedłem w górę brzegu do kępy wielkich sosen. Zdjąłem mundur, wyjąłem z niego wodę i ponownie się ubrałem. Nie musiałem opróżniać butów, ponieważ noszone przeze mnie Junge same pozbywały się wody. Tak samo problemem nie było wysuszenie

włosów. W końcu miałem je obcięte w sposób standardowy dla Rangera - na 6 mm u góry i zgolone boki.

Podszedłem do instruktora, który przyglądał się ludziom będącym wciąż w wodzie. W jeziorze żołnierze byli na całej długości toru - niektórzy wchodzili do wody inni z niej wychodzili. Łodzie ratunkowe znajdowały się po obu stronach pływaków i przemieszczały się tam i z powrotem, a ratownicy pilnowali słabszych zawodników. Zobaczyłem jakiegoś faceta po drugiej stronie jeziora, który wynurzył się z wody sięgającej mu po pas, potrząsnął głową i wrócił na brzeg. Pewnie znał swoje możliwości.

Mniej więcej w połowie długości jeziora jedna z łodek podpłynęła do miotającego się faceta. Czekali w pobliżu dopóki sprawa nie zaczęła wyglądać poważnie, w końcu wyciągnęli do niego bosak. Gość złapał go desperacko i został przyciągnięty do burty łodzi, w którą wpił się jak kleszcz w psie ucho. Jeszcze jeden odpadł.

Mała grupka, do której i ja należałem, przepłynęła już jezioro, a kolejni żołnierze nieprzerwanym szeregiem wychodzili na brzeg. Instruktor wskazał na ciężarówkę i powiedział, że kiedy będzie pełna, odjedzie w stronę obozu. Mieliśmy wykonać kolejne instrukcje, które znajdziemy na tablicy informacyjnej. Przyjechaliśmy do obozu i sprawdziliśmy tablicę. Lunch: suchy prowiant Kolacja: 17:00 Zbiórka: 18:30

Umundurowanie: mundur, czapka z daszkiem, plecak ważący 18 kilogramów, 2 manierki wody. Kilka wag wisiało na drążku do podciągania przed stołówką. Obok stały skrzynki suchego prowiantu. Wyciągnąłem dwie porcje — jedną na lunch, jedną — na wszelki wypadek, i poszedłem do baraku przebrać się w suchy mundur. Była dopiero 10:30, miałem więc mnóstwo czasu.

Zmieniłem ubranie i dla zabicia czasu położyłem po obozie. Przed dyżurką stała długa kolejka ludzi wypisywanych z oddziału. Byli to żołnierze, którzy oblali test sprawnościowy lub pływanie. Zastanawiałem się, po jaką cholerę tu przyjechali skoro nie potrafili nawet zaliczyć zwykłego testu sprawnościowego. Niektórzy z nich przyjechali z oddziałów w Europie — dość kosztowna zabawa, biorąc pod uwagę, że zostali wykopani po kilku godzinach.

Usłyszałem, jak kilku gości z Sił Specjalnych zrzędziło, że to nie fair, by nie mieli jeszcze jednej szansy podejścia do testu. W kolejce „do domu” rozpoznałem sierżanta, którego znałem z 25. Dywizji na Hawajach. Chodziliśmy razem na kurs doszkalający dla podoficerów piechoty w zeszłym roku. Skinęliśmy sobie głowami, wymieniając pozdrowienia, ale nie wyglądał, jakby chciał ze mną gadać.

Mój plecak ważył 16 kilogramów, gdy powiesiłem go na wadze tuż przed kolacją. Zabrałem go do chaty, dołożyłem rzeczy, na oko ważące ze dwa kilogramy i przywiązałem pod plecakiem dwie manierki. Chciałem mieć je w zasięgu bez zdejmowania plecaka. No i wołałem, żeby mój plecak

ważył ciut więcej na wypadek, gdyby wagi trochę niedoważyły.

Zwykle byłbym również ubrany w LBE (Load Bearing Equipment). Składa się ono z pasa do pistoletu wraz z uprzężą na ramiona. Do pasa doczepione są ładownice, zestawy pierwszej pomocy, latarka sygnałowa, nóż lub bagnet, manierki i inne pierdułki. LBE to bojowa ładownica, sposób na transportowanie amunicji i innych rzeczy, których potrzebujesz do walki i przeżycia w boju. Załadowany waży około 18 kilogramów. Na niego zakłada się plecak. Jednak w instrukcjach na tablicy ogłoszeń nie było mowy o LBE, a ja zamierzałem ściśle trzymać się poleceń.

O 18:30 wsiedliśmy do ciężarówek i przejechaliśmy przez Fort Bragg. Niektórzy miejscowi goście mówili, że jesteśmy na Chicken Road, szerokim, piaszczystym szlaku czołgowym, wiodącym prosto jak strzeł między rzadko rozszanymi sosnami i karłowatymi dębami na monotonnych Sand Hills. Nigdy nie widziałem brzydszego miejsca. Objaliśmy się i kiwaliśmy, brnąc przez spowite mgłą piaszczyste, zniszczone przez czołgi zbocze.

Po jakichś 30 minutach zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu i wysiedliśmy. Sierżant major Shumate stał w pobliżu, przyglądając się nam z wyzywającym uśmiechem.

— Dobra, ludzie, chodźcie bliżej, nie musicie w szyku, po prostu bądźcie do cholery w kupie - powiedział, gdy złapaliśmy plecaki i stanęliśmy wokół niego półkolem.

— I co, nasza wesoła kompania troszkę schudła od rana, nie? - zapytał Shumate. - Co, nie komentujecie? No to do roboty. To zadanie to dwudziestoosmiokilometrowy marsz z plecakiem. Tak go nazywamy, bo stąd do mety jest 28 kilometrów, a wy niesiecie plecaki. Idźcie tak szybko, jak potraficie. Trzymajcie się drogi. Nie łapcie stopa. Nie bierzcie jeden drugiego na barana. Instruktorzy będą mieć stanowiska wzdłuż trasy, oznaczone zielonymi światłami. Gdy znajdziecie się w pobliżu, podajcie im swój kolor i numer. Meta jest w miejscu, gdzie ta droga łączy się z chodnikiem przy King Road. Będzie tam stał instruktor, który zapisze wasz czas. Woda dostępna jest na całej długości trasy. Możecie zrezygnować w każdej chwili; żeby to zrobić, podajcie swój kolor i numer dowolnemu instruktorowi i dodajcie: „Dobrowolnie rezygnuję”. Nie będzie zadawał pytań. Jeśli chcecie wycofać się od razu, po prostu zostańcie tutaj, gdy inni wyruszą.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał.

- Ponieważ nie ma żadnych pytań - spojrzął na zegarek - czas zaczniemy odmierzać za 2 minuty. Kierunek marszu: północ.

Wskazał kierunek, z którego przyjechaliśmy.

- Nie będę strzelał na start, czy coś. Załóżcie plecaki i ruszajcie, gdy zawołam: „Naprzód”. No i... najlepszego. To ostatnie słowo wymamrotałem pod nosem razem z nim. 28 kilometrów.

Zastanawiałem się, skąd im się wziął taki dystans. Był nieco dziwny. Standard Batalionu Rangerów to 32 kilometry w sześć godzin, w dodatku z bronią, pełnym wyposażeniem bojowym i stalowym hełmem na głowie. Teraz sprętnie miałyśmy, a marsz odbywał się w chłodny i suchy wieczór.

Pomyślałem, że spróbuję przejść trasę w 4,5 godziny. To oznaczałoby prędkość nieco ponad 6 km/h czyli kilometr w 10 minut. Nie, to za szybko. Bez biegania się nie obejdzie, a biegać nie zamierzam. Pięć godzin będzie wystarczająco dobrym czasem. Byłem pewny, że nikt w armii nie ma wyższych standardów tempa marszu niż Rangerzy.

Shumate zawołał: „Naprzód!” i wyruszyliśmy. Koło tużina facetów puściło się biegiem, większość z nich parami. Kolejna spora grupa, może ze trzydziestu żołnierzy, oderwała się, maszerując jak wściekli. „Co komu pasuje” pomyślałem. Skoncentrowałem się na własnym marszu i zarzuceniu plecaka na plecy. Po kilku minutach tłum się rozproszył i miałem możliwość wejścia w swój rytm. 28 kilometrów to spora odległość i nie da się jej przebyć sprintem. Na taką odległość musieliśmy płynąć, zdając egzamin dyplomowy na kursie pływackim Zwiadowców Sił Specjalnych w Grecji w roku 1972. Potem coś sobie przypomniałem. „Wieśniak” Grimes, który zwerbował mnie na selekcję, był starszym instruktorem, gdy brałem udział w tamtym kursie.

Po jakichś 3 kilometrach rozgrzałem się i dobrze mi się szło. Lubiłem chodzić. Oddychałem zgodnie z ruchem rąk i nóg. Koszula i suwak rozpięte, by powietrze miało dostęp do mojego ciała. Wszystko to było przyjemne. W długim i ciężkim marszu moje myśli odlatywały, a ciało działało jakby na autopilocie. Dzięki temu w silnie uspołecznionej wojskowej egzystencji ma się jednak chwile prywatności i czas dla siebie. To właśnie wtedy też wpadały mi do głowy najlepsze pomysły i plany.

Po 6. kilometrze dogoniłem i minąłem niektórych biegaczy. Planowałem maszerować przez dwie godziny, zanim odetchnę pierwszy raz, a potem odpoczywać parę minut, co godzinę. Było już zupełnie ciemno, jednak otaczające mnie światło było całkiem niezłe, a na białym piasku drogi łatwo było unikać dobrze widocznych dziur. W sumie niezła trasa.

Gdy miałem za sobą około 11 kilometrów, zobaczyłem grupkę świateł przed sobą przy skraju drogi. Wokół świateł kręciły się jakieś niewyraźne postaci. Zbliżywszy się, ujrzałem kilka ciężarówek stojących kołem wokół kępy drzew i oświetlających jakąś akcję rozgrywającą się w tym miejscu. Zbliżyłem się, a jakiś instruktor pokiwał na mnie. Po-dałem mu swój kolor oraz numer i zostałem poinstruowany, by położyć swój plecak na jednej z wag zwisających z drąga umocowanego między drzewami. Mogłem też na-pełnić manierki, korzystając ze zbiorników z wodą stojących na pace jednej z ciężarówek. Zrzuciłem plecak, zła-pałem swoje pełne manierki i opróżniłem jedną z nich całkowicie, idąc w stronę zbiorników. Bez plecaka czułem się lekki jak piórko. Wiedziałem, że to się zmieni za kilka godzin. Gdy piłem wodę i napełniałem manierki, spoglądałem co się dzieje wewnątrz kręgu świateł.

Wracając do wag stałem się świadkiem interesującej rozmowy między jednym z maszerujących a facetem wyglądającym na dowódcę tego posterunku. Instruktor mówił:

- Plutonowy, wasz plecak jest za lekki. Nie spełnia wymaganej wagi 18 kilogramów.

Zanim zdążył dokończyć, piechur przerwał mu:

- No, ale niewiele brakuje. Ile rzeczywiście waży?
- Nie mogę tego stwierdzić - odpowiedział beznamiętnie instruktor. — Jeśli popatrzycie na wagę, zauważycie, że nie wykazuje ona wagi niższej niż 18 kilogramów. Dlatego o ile mi wiadomo wasz plecak nic nie waży.

Popatrzyłem na wagę, na której leżał mój plecak. Facet miał rację. Wskaźnik wagi został zamalowany białą farbą w części wskazującej poniżej 18 kilogramów.

Instruktor kontynuował:

- A ponieważ nie niesiecie nic, jedyny sposób na wypełnienie wymagań to wzięcie tego - sięgnął za siebie i podał piechurowi wielki, bezkształtny kawał betonu, który wyglądał, jakby był częścią wykopanego podkładu kolejowego. - Osobiście go zważyłem - ciągnął - i gwarantuję, że waży dokładnie 18 kilogramów. Aby kontynuować marsz musicie pobrać ten obciążnik, przywiązać go do plecaka i zwrócić, gdy ukończycie marsz. Jakies pytania?

Piechur stał przyciskając kawał betonu do piersi. Na jego twarz wypłynął na poły wymuszony uśmiešek, na poły zaś wyraz niedowierzania. Rozpoznałem w nim jednego z pyskaczy, którzy mieli dużo do powiedzenia przez cały dzień. Teraz stał cicho.

Popatrzył na instruktora stojącego przed nim i zapytał błagalnym głosem:

- Marvin, poważnie?

A więc się znali. To się robiło coraz bardziej smakowite.

- Absolutnie - brzmiała odpowiedź.

Facet zastanowił się przez kilka sekund, a następnie powiedział:

- Nie, nie mogę - upuścił beton i stał z rękami zwisającymi wzdłuż ciała.
- Dobrowolnie rezygnujesz? Pauza.
- Tak, chyba tak.
- Weź swój plecak i wsiadaj na pakę tej ciężarówki - szef instruktorów wskazał na pojazd stojący z dala od reszty.

Facet stał jeszcze przez kilka sekund, wyglądając, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało. Nasze oczy się spotkały, wzruszył ramionami z rezygnacją, a następnie wziął plecak i odszedł. Ta mała wymiana zdań zdecydowanie przyciągnęła moją uwagę - podobnie jak zaciekawiała wszystkich pozostałych świadków.

Złapałem mój plecak i zapytałem instruktora, który go ważył:

- W porządku? - zakładając jednocześnie szelki na ramiona.
- Pewnie, możesz lecieć - powiedział, zapisując coś nożem. Potem podniósł wzrok i powiedział do mnie, gdy poprawiałem plecak: - Najlepszego.

Wyszedłem z kręgu światła i po kilku krokach znów byłem na drodze. Zadowolony, że oddalam się

stamtąd. Niezła scena. Szef instruktorów nie podnosił głosu, nikogo nie straszył, nie poniżał ani nie obrażał, ale jasne było, że nie da mu się wcisnąć kitu, nie będzie tego tolerował. Podobał mi się ten styl. To wszystko zaczynało być coraz bardziej serio.

Reszta marszu była... no, jak to nocny marsz z plecakiem. Po 19. kilometrze byłem zmęczony, bolały mnie nogi, doskwierały mi ramiona i byłem zlany potem.

Dotarłem do mety kilka minut przed upływem pięciu godzin. Instruktor zapisał mnie w notesie, powiedział, że do obozu są 3 kilometry, w stołówce czeka ciepła zupa, a na tablicy informacyjnej są nowe rozkazy. I życzył... najlepszego.

Spokojnie poszedłem z powrotem do obozu. Zrzuciłem plecak koło chaty i poszedłem do stołówki na menażkę zupy. Było tam ponad dziesięciu zmęczonych ludzi o obolałych stopach, jednak wszyscy wyglądali na usatysfakcjonowanych. Takie zadowolenie przychodzi, gdy się podoła trudnemu zadaniu i jest świadomość, że się je dobrze wykonało. Ukończenie marszu to żadne zwycięstwo, ale należy do tych wielu drobnostek w życiu, którymi człowiek siebie mierzy.

Zupa była cholernie dobra. Jedną z tych rzeczy, które w wojsku zawsze się udają, jest zupa.

Podgrzewana w sześćdziesięciolitrowych kotłach - zawsze możesz liczyć na to, że będzie gotąca i parująca, a gdy jesteś zmęczony, bolą cię nogi i spływasz potem, właśnie zaczyna stygnąć. To zwyczajna rzecz, ale powoduje, że czujesz się lepiej.

Pożegnałem się z gośćmi w stołówce i poszedłem pod prysznic. Było nieco po pierwszej, gdy sprawdziłem instrukcje na tablicy informacyjnej. Oto, co było tam napisane:

10:00 Sala wykładowa

Wróciłem do chaty, zawinąłem się w pałatkę i zasnąłem snem sprawiedliwych.

10:00. Obolałe stopy, zeszywniałe nogi, plecy i mięśnie barków. Siedzę w sali wykładowej. Na ławce zamknięta teczka i kilka dobrze zatemperowanych ołówków, przede mną uśmiechnięty gość podający instrukcje.

- To tylko taki kwestionariusz o was - uśmiechnął się. - Nie jest na czas. Odpowiedzcie na każde pytanie i za każdym razem postarajcie się dać jak najlepszą odpowiedź. Jeśli coś jest niejasne lub mylące, postarajcie się jak najlepiej domyślić. Jeśli coś was zupełnie zatka, będę z tyłu sali. To jest praca indywidualna, współpraca nie jest dozwolona. OK., otwórzcie teczki i zaczynajcie.

Przewróciłem stronę. Test psychologiczny. Pierwszy z wielu. Przez całą selekcję przerabialiśmy te testy wciąż i wciąż. Każdy był sformułowany odrobinę inaczej, jednak merytorycznie były to dokładnie te same pytania. Po prostu wymieszane i przeformułowane. Zawsze pisaliśmy te testy, gdy byliśmy zmęczeni, ale nie wyczerpani.

Odpowiadając ciągle na te same pytania w zupełnie przypadkowych momentach, człowiek miał mniejsze szanse na skuteczne udawanie lub fałsz. To samo dotyczyło testowania zmęczonych

żołnierzy. Osoba, która będzie próbowała skłamać, ma dzięki temu mniej energii na taki wysiłek. Łatwiej jest powiedzieć prawdę, gdy nie pamięta się, co się napisało ostatnim razem.

To był pierwszy test tego rodzaju w moim życiu. Większość pytań wydawała się zmierzać do dość oczywistego celu: „Czy słyszysz głosy? Czy jesteś narzędziem Boga? Czy ktoś cię śledzi? Czy często jesteś nierozumiany? Czy miewasz myśli zbyt okropne, by o nich mówić?”.

Jedynym pytaniem, które naprawdę mnie nurtowało, a które spotkałem w wielu różnych odmianach, sprowadzało się do tego: „Czy twój stolec jest czarny i smołowa-ty?”. To pytanie było w każdym teście, który rozwiązywaaliśmy podczas selekcji. Dopiero wiele lat później, w czasie dorocznej ewaluacji psychologicznej oddziału, spytałem psychiatrę o to pytanie - i dlaczego pojawia się tak często. Odpowiedź była prosta i całkiem sensowna.

- Och - powiedział. - Czarny i smołowały kał oznacza obecność krwi w układzie trawiennym, co może być spowodowane wrzodami żołądka lub problemami z alkoholem.

Bardzo rozsądne.

Godzinę później skończyłem wypełnianie kwestionariusza, zamknąłem teczkę i zaniósłem ją do instruktora z tyłu sali. „Wesołek” ostrzegł mnie, bym nie rozmawiał

0 z teściem i powiedział, że nowe instrukcje znajdują się na tablicy informacyjnej.

Wyszedłem na zewnątrz i zmrużyłem oczy w blasku słońca. Obóz był cichy. Kolejka żołnierzy ustawiła się koło dyżurki do wypisu. Niektórzy wyglądali na nieco spłoszonych, a inni pokrywali zakłopotanie zuchwałością lub udawaną obojętnością.

Sprawdziłem tablicę informacyjną i dowiedziałem się, że nic nie zostało zaplanowane aż do zbiórki na trening jutro rano. Cała reszta dnia i wieczór były wolne.

Poszedłem do baraku B, by rozejrzeć się za towarzyszem. Joe McAdams był moim starym znajomym z Rangerów, który w zeszłym roku przeniósł się do Sił Specjalnych. Nie spotkałem go tutaj, jednak słyszałem, że również jest na selekcji. Tego ranka przy posiłku Parks powiedział mi, że Joe został ranny w czasie zeszłonocnego marszu i siedzi w swojej chacie czekając, aż jego jednostka przyśle po niego jakiś transport.

„Pewnie skręcił nogę” pomyślałem wchodząc do chaty

1 rozglądając się za Macem.

- Cześć, Haney. Tu jestem - zawołał i słabo pomachał mi z pryczy w połowie długości budynku.

- Cześć, Mac. Co się stało? - zapytałem, gdy podszedłem wystarczająco blisko, by zobaczyć jego zdarte do żywego mięsa i krwawe podeszwy uniesionych w górę stóp.

- Skóra stóp została w butach.

Od palców do pięty jego stopy były od spodu całkowicie pozbawione skóry. Wyglądało to jakby jakiś dawny indiański wojownik o pokręconym poczuciu humoru oskalpował go od dołu zamiast od góry. To żywe, nagie mięso wystawione na działanie powietrza musiało cholernie boleć.

- No, trochę napieprza - powiedział, czytając mi w myślach. - Wiesz co się stało? Te wszystkie stare ran-gerskie nagniotki wciąż były na moich stopach, ale wcale nie były już jakoś szczególnie wrośnięte. Nie zaliczyłem takiego marszu z plecakiem odkąd rok temu skończyłem Ćwiczenia Fazowe (Ćwiczenia Kwalifikacyjne Sił Specjalnych). Medyk powiedział, że podczas marszu ostatniej nocy pod starymi nagniotkami pojawiły się pęcherze i w końcu wszystko odpadło. No powiedz, czy to nie megagówno?
- Pewnie Mac, gówno - powiedziałem, krzywiąc się na widok jego stóp. - Wygląda na to, że chwilę posiedzisz na tyłku.
- Też tak myślę - odpowiedział, zaciągając się właśnie przypalonym papierosem. - Pewnie nadrobię teraz braki w lekturze.
- Pewnie tak. Odsyłają cię? Ktoś po ciebie przyjedzie?
- Medyk z mojej jednostki ma po mnie przyjechać sanitarką, a oddziałowy chirurg obejrzy mnie w szpitalu wojskowym Womack. Pewnie spędzę dzień na oczyszczaniu ran i jakiejś kuracji przeciwko infekcji, a potem pójdę na chorobowe dopóki skóra mi nie odrośnie - powiedział, poruszając stopami.
- Potrzebujesz czegoś? - zapytałem, szykując się do wyjścia.
- Eee, nie, wszystko mam. Medyk będzie tu niedługo z mnóstwem papierosów, więc będę się oszczędzał, póki nie przyjedzie.
- OK., bracie, trzym się. I pozdrów naszą starą bandę.
- Jasne, chłopie. Ty też się trzymaj i odwiedź mnie, gdy skończysz z tym tutaj.
- Pewnie, Mac. Dbaj o siebie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszedłem. W pamięci miałem obraz tych obscenicznie nagich stóp. Znow zacząłem się zastanawiać, gdzie jest różnica między byciem twardzielem a byciem durniem. Wydaje mi się jednak, że to indywidualna sprawa. Mac znalazł odpowiedź ostatniej nocy, gdzieś na tej trzydziestokilometrowej trasie.

Joe McAdams niebawem przeszedł do legendy wśród żołnierzy jako Człowiek Któremu W Marszu Na Selekcji Do Delta Force Odpadły Stopy. Wszyscy znali legendę, jednak niewielu znało człowieka, któremu się to przydarzyło.

Następnego ranka zebraliśmy się na trening o 6:00. Ma-newrowałem tak, by znaleźć się na prawym krańcu szyku, ponieważ nienawidzę biegać w jego środku. Zawsze lepiej być przewodnikiem stada. Ma się lepsze widoki.

Gdy zbieraliśmy się do szyku i zanim jeszcze przyszedł instruktor, w grupie usłyszałem więcej śmiechu niż zwykle. Obejrzałem się, by sprawdzić, co się dzieje i zobaczyłem faceta stojącego w szeregu. Miał głowę całkowicie zakrytą maską goryla.

Jego pagony mówiły, że jest kapitanem. Naszywka na rękawie, że jest z Sił Specjalnych. Goryla

maska, że jest przygłupem. Gdy świergolenie umilkło, Marvin, który nie lubi dowcipnisiów, wyszedł z dyżurki, aby przeprowadzić zbiórkę.

- Grupa! Uwaaaga! - zawołał. - Spooocznij! Tylko lekki trening dla rozruszania, zanim zaczniemy dzień, żołnierze. A ponieważ nieco zachryłem tego rana, będę potrzebował kogoś do wydawania komend. Popatrzmy. O, ty, człowieku-gorylu. Chodź tu i mów za mnie.

Człowiek-goryl wykonał ruch jakby chciał zdjąć maskę.

- Nie - powiedział ostro Marvin. - Zostaw maskę. Zdejmiesz ją, gdy ci pozwolę. To moja zbiórka, a ty masz wykonywać rozkazy.

Rozciągnęliśmy szereg na trening i Marvin przepuścił nas przez istne piekło gimnastyki ogólnosprawnościowej. Człowiek-goryl jednocześnie ćwiczył i wykrzykiwał komendy, a Marvin wrzeszczał na niego.

Pajacyki, wysokie podskoki, wypady, pompki, obroty i wyskoki. Ćwiczyliśmy we wściekłym tempie póki Zamaskowany Półgłówek nie padł na kolana, dusząc się wewnątrz maski.

- W szyku zbiórka! - powiedział Marvin. - Maski nie zdejmuj, pasuje ci. Grupaaa! Uwaaaga! Zwartym szykiem naprzód marsz! Żarcie czeka w stołówce! Sprawdzić instrukcje na tablicy informacyjnej! Rozejść się!

Gdy żołnierze rozchodzili się z nerwowym śmiechem, przyjrzałem się jak Człowiek-goryl ściąga maskę z ociekającej potem głowy i pobladłej twarzy. Odszedł, wyglądając, jakby nie wiedział, co się stało. Nie mogłem zrozumieć czego oczekiwał. Braw na stojąco?

Na tablicy ogłoszeń było napisane, że kolejna zbiórka jest o 8:00. Mnóstwo czasu na umycie się i zjedzenie śniadania.

Zebrałiśmy się o 8:00 i pomaszerowaliśmy do magazynu broni, skąd każdy pobrał pojemnik na amunicję do karabinu maszynowego. Gdy wróciliśmy na plac apelowy, instruktor prowadzący zbiórkę kazał nam otworzyć pojemniki, które wszyscy trzymaliśmy i sprawdzić ich zawartość.

Otworzyłem puszkę i wyjąłem przedmioty w niej zawarte, a następnie sprawdziłem czy są zgodne z listą odczytywaną na głos przez instruktora.

Awaryjne radio sygnałowe URC-68

Lotniczy panel sygnalizacyjny VS 17

Lusterko sygnałowe

Czerwona świeca dymna

Fioletowa świeca dymna

Gwizdek

Wodoodporne pudełko z zapalkami

Opaska uciskowa

Chusta trójkątna

Dwa bandaże elastyczne

Kiedy sprawdziliśmy wszystkie elementy i ponownie je spakowaliśmy, pojawił się nowy człowiek, który przejął dowodzenie. Przedstawił się jako major Odessa, dowódca instruktorów selekcji. Był średniego wzrostu, miał jasnoblonde włosy i króciutko przystryżone wąsy. Jego skóra miała lekko rdzawy odcień. Facet wyglądał niepozornie, jak zwykły człowiek z tłumu. Była w nim jednak wewnętrzna siła, którą wyczuwało się na odległość, i którą widać było w jego oczach.

- Skoro już eliminacje się zakończyły, a niektórzy mniej zdeterminowani jadą do domu, możemy zabrać się za robotę - ogłosił.

- Przez kilka następnych tygodni będziecie przechodzić selekcję, w wyniku której zostaniecie przyjęci do Pierwszego Operacyjnego Oddziału Sił Specjalnych Delta. Pomimo nazwy, nie jest to oddział Sił Specjalnych. Nie należy do nich ani nie podlega Dowództwu Sił Specjalnych. To nowa jednostka, której podstawowym zadaniem jest wykonywanie akcji antyterrorystycznych oraz innych zadań specjalnych pod rozkazami NCA (Prezydenta i Sekretarza Obrony).

- To nie jest kurs treningowy. To selekcja. Tylko ci, którzy ją przejdą, będą szkoleni dalej i zostaną przyjęci do jednostki. Teraz podstawowe zasady. Są proste i jest ich niewiele. Wszystko, co zobaczycie, usłyszycie i będziecie robić podczas selekcji jest tajne. Zachowajcie to dla siebie.

Wszystko, co robicie, ma być wykonane indywidualnym wysiłkiem. Oznacza to, że nie będziecie pomagać żadnemu innemu uczestnikowi selekcji i nie będziecie także przyjmowali pomocy.

Jesteście wytrawnymi żołnierzami, doświadczonymi podoficerami i oficerami. Wiemy, że każdy z was umie działać jako członek lub przywódca zespołu. Nie to jest jednak dla nas najważniejsze.

Chcemy wiedzieć, jak działacie jako jednostki. Ocenimy to przez pryzmat nawigacji terenowej lub też, jak nazywają to cywile, biegu na orientację. Codziennie otrzymacie instrukcje niezbędne do rozpoczęcia, a w miarę postępu działań będziecie dostawać rozkazy dotyczące kolejnych zadań.

Mniej więcej takie, jakie otrzymujecie tutaj. Będziecie przenosili określone ładunki między dwoma konkretnymi punktami kontaktowymi, które nazywamy roboczo rendez-vous czyli RV. Po dotarciu do takiego punktu otrzymacie nowe instrukcje od instruktora znajdującego się w tym punkcie. Dzień kończy się dla was w momencie, gdy instruktor powie wam, byście zdjęli plecak i usiedli.

Byliśmy przykuci brzmieniem i znaczeniem jego słów. Nikt nie drgnął podczas jego przemowy.

- Będziecie działać w nieznanym standardzie czasowym, jednak na początku każdego dnia będzie podawany limit czasowy. Jeśli nie będziecie w punkcie RV o tej porze, macie udać się na najbliższą drogę i pozostać w miejscu, gdzie będziecie łatwo dostrzegalni. Kadra zacznie was szukać po upływie limitu czasowego. Jeżeli się zgubicie do tego stopnia, że nie znajdziecie żadnej drogi do upływiecia limitu, bądź też będziecie ranni w sposób uniemożliwiający dalszy

marsz, użyjcie swoich zestawów sygnalizacji alarmowej. Jeśli rana grozi utratą życia lub kończyny, użyjcie radia. Jeśli zostaniecie was noc, a nie zostaniecie odnalezieni, rozpalcie i podtrzymujcie małe ognisko na największej polanie lub otwartym polu tak długo jak to możliwe. Odnajdziemy was. Poruszając się od jednego do drugiego punktu RV trzy-majcie się z dala od dróg i szlaków. Przez drogę czy szlak ro-zumiemy trasę, po której może przejechać dżip. Jeśli okaże się, że wasza trasa biegnie wzdłuż jakiejś drogi lub szlaku, trzymajcie się od niej w odległości co najmniej 15 metrów. Jeśli będziecie ranni lub zachorujecie, zgłóście najbliż-szemu instruktorowi: „Potrzebuję opieki medycznej”. Jeśli z jakiegokolwiek powodu nie będziecie chcieli kontynu-ować selekcji, zgłóście dowolnemu instruktorowi: „Chcę dobrowolnie zrezygnować”. Nikt nie będzie tego kwestio-nować; zostaniecie natychmiast wycofani z ćwiczeń i wró-cicie do macierzystego oddziału. Żadne raporty na temat przebiegu selekcji nie zostaną włączone do akt ani wysła-ne do waszych oddziałów. Ani wy, ani my nie będziemy rozmawiać o tym, co tu się dzieje. Czy wszystko jest jasne?

To zaskakujące, ale nie było żadnych pytań.

- Zaczniemy więc - mówił dalej major. - Pamiętajcie, że ścigacie się z czasem, a nie ze sobą nawzajem. Otrzyma-cie instrukcje niezbędne do wypełnienia każdego z zadań. Niczego do nich nie dodawajcie, niczego nie pomijajcie, nie czytajcie też między wierszami. Instruktorzy nie będą wam towarzyszyć, nie możecie również wspierać się na-wzajem ani przyjmować pomocy z zewnątrz. To wysiłek indywidualny. Celowe sprzeniewierzenie się rozkazom będzie oznaczało natychmiastowe wydalenie z selekcji. Niesprostanie wymogom selekcji również będzie ozna-czało wydalenie. Przez cały czas dawajcie z siebie wszystko i być może okaże się to wystarczające.

Zakończył prezentację, a potem spojrział na nas raz jesz-cze. Przekazał dowodzenie innemu instruktorowi i spo-kojnie odszedł.

Kazano nam ponownie zebrać się z 18-kilogramowy-mi plecakami, zawierającymi zestaw awaryjny, kompas i jedną porcję suchego prowiantu. Na zbiórce rozdano numery i kolory jako indywidualne kody identyfikacyjne oraz mapy Fort Bragg.

Zostaliśmy przydzieleni do ciężarówek zgodnie z ozna-czeniami barwnymi i liczbowymi. Zwykle w armii stoso-wało się najprostszą metodę - czerwoni do jednego pojaz-du, niebiescy do drugiego, zieloni do jeszcze innego. Cza-sem też, jeśli kolory miały być wymieszane, następował podział według kolejnych liczb. Tym razem wszystko było pomieszane. Nie wiem, dlaczego, ale to mi się podobało.

Nasz konwój ciężarówek wyruszył z obozu i pojazdy rozjechały się we wszystkie strony. Niektóre pojechały w lewo, inne w prawo; jedna ciężarówka pojechała w stro-nę autostrady i się tam zatrzymała. Nasza jechała nadal, skręcając tu i tam, aż w końcu my także zwolniliśmy na jakimś piaszczystym dukcie i w końcu zatrzymaliśmy się, wzbijając w powietrze tuman duszącego pyłu. Kierowca otworzył tylną klapę, zaś instruktor kazał nam wysiąść i trzymać się po drugiej stronie

ciężarówki, dopóki nie zostaliśmy wywołani, po czterech za jednym razem, każdy w innym kolorze.

Byłem w pierwszej wywołanej grupie. Gdy się zbliżyliśmy, instruktor wskazał punkty w różnych kolorach i powiedział nam, że instrukcje co do dalszych działań znajdziemy zapisane na kartce papieru w tych zaznaczonych miejscach. Podeszedłem do miejsca, które mi wskazał dużego hebanowca rosnącego w odległości około 20 metrów i znalazłem tam zafoliowaną kartkę przypiętą do pnia tuż nad korzeniami. Kartka była oznaczona moim kolorem i zawierała namiary na miejsce, gdzie się znajdowałem. Było na niej również napisane: „Twój kolejny punkt RV znajduje się...” i tu następowały ośmiocyfrowe ko-ordynaty tego punktu. Poniżej podany był limit czasowy na ten dzień.

Usiadłem na plecaku i skopiowałem oba zestawy ko-ordynat, zaznaczyłem obie lokacje na mapie i zapisałem limit w zielonym notesie wojskowym, który z przyzwyczajenia nosiłem w kieszeni kurtki. Wziąłem kompas, ustaliłem położenie wobec mapy i zastanawiałem się właśnie nad możliwymi marszrutami, gdy instruktor mnie przywołał.

- Rozłóżcie mapę i pokażcie mi, gdzie się znajdujecie oraz dokąd zmierzacie - przemówił bezbarwnym głosem.

Podniosłem z ziemi patyk i używając go jak wskaźnika powiedziałem:

-Jestem tu i idę w to miejsce - końcem gałązki wskazując na oba miejsca po kolei.

- OK. - odpowiedział i śmiertelnie poważnie popatrzył mi w twarz. - Najlepszego.

Nic nie odpowiedziałem, kiwnąłem tylko głową, zarzuciłem plecak na ramiona, wyznaczyłem azymut i ruszyłem w nieznane.

Wybrałem tempo, które z uwzględnieniem terenu i wysiłku na moim szlaku, przybliżało mnie do celu z prędkością mniej więcej 8 km/h. Była to prędkość całkowicie wystarczająca, ale jednocześnie taka, którą byłem w stanie utrzymywać pomimo niesionego obciążenia przez bardzo długi czas. Musiałem przemieszczać się szybko, ale nie wypalać się, ponieważ nie wiedziałem, kiedy dotrę do celu.

Pierwszy etap liczył około sześciu kilometrów. Po drodze zauważyłem jednego lub dwóch gości pędzących różnymi trasami. Starannie unikaliśmy się nawzajem i poruszaliśmy się po odległych ścieżkach.

Dzień był ciepły, ale nie gorący, a powietrze suche. Wiał nawet lekki wietrzyk, gdy przechodziłem przez szczyty szerokich, niskich pagórków. Plecak mocno siedział mi na grzbiecie i wkrótce spływałem potem.

Nie było tu pół minowych. Nikt nie strzelał we mnie z dział czy karabinów maszynowych. Nie musiałem martwić się o nikogo poza sobą samym. Byłem zdrowy, silny i dobrze sobie radziłem w nowej przygodzie. W sumie cholernie dobry dzień.

Zbliżałem się do punktu RV. Zaznaczyłem go na mapie w pobliżu niewielkiego zakrętu piaszczystego duktu, który majaczył w połowie zbocza niewysokiego pagórka. Zobaczyłem punkt z odległości jakichś 25 metrów. Gdy się zbliżyłem, siedzący tam instruktor dostrzegł mnie i zawołał:

- Kolor i numer?

Podąłem mu kod i instruktor odpowiedział:

- Przyjąłem, zielona szóstka. Wasze instrukcje są tam -i wskazał na jeden z arkuszy leżących w pobliżu. - Woda jest na pace ciężarówki. Podejdźcie do mnie, gdy będziecie gotowi - powiedział i zapisał coś w notesie.

Pokiwałem twierdząco głową i podszedłem do arkusza z instrukcjami. Napisane na nim było: „Zielony: twój następny punkt RV znajduje się...” i tu następowała ośmiocy-frowa koordynata nowej lokalizacji.

Naniósłem punkt na mapę i zameldowałem się przed instruktorem.

— Pokażcie, gdzie jesteście i dokąd idziecie - polecił. Wykonałem rozkaz, usłyszałem zwyczajowe „Najlepsze-go” i ostro ruszyłem na nowy szlak.

Reszta dnia upłynęła mi w podobny sposób. Odległości pomiędzy kolejnymi punktami RV wynosiły od 4 do 7 kilometrów. Teren był monotony, nie licząc sporego potoku. Musiałem przejść go w bród. Czasem przecinałem trasy innych uczestników selekcji, ale poza tym byłem sam. To był dobry trening, żwawy, ale nie nadmiernie wyczerpujący.

Moją jedyną obawą była niepewność czy idę wystarczająco szybko. Wiedziałem jednak, że było to dobre tempo. Posuwałem się naprzód żwawo, a moja nawigacja była dokładna. Mogłem iść szybciej gdybym musiał, ale to groziłoby kontuzją czy przemęczeniem, a moja orientacja w terenie byłaby gorsza.

Dotarłem do mojego szóstego punktu RV późnym po-południem i podałem swój kolor i numer zaraz po dostrzeżeniu instruktora.

— Przyjąłem, zielona szóstka. Przejdźcie przez drogę do tych sosen, zdejmijcie plecak i usiądźcie - wskazał na kępę drzew 30 metrów dalej.

Nie ruszyłem z miejsca, wahając się przez sekundę i za-pytałem:

— Skończyłem? Odpowiedział tylko:

— Idźcie do tych sosen, zdejmijcie plecak i usiądźcie — powiedział niewzruszonym, spokojnym głosem, jakbym wcale nie zmusił go do powtórzenia tych słów. Żadnej irytacji, żadnego lekceważenia, żadnego nacisku, po prostu instrukcja.

— Tak jest — powiedziałem, odchodząc. Po prostu rób co ci każą i nie zadawaj pytań, chyba że instrukcje są niejasne.

Przeszedłem przez drogę i zrzuciłem plecak. Dobrze było poczuć jak ten drań spada z moich

pleców. Możesz przyzwycząć się do noszenia plecaka, ale nigdy nie będzie ci z nim wygodnie. Wyciągnąłem manierki z pokrowców, opróżniłem ostatnią do dna i napełniłem obie, korzystając ze zbiorników z wodą. Potem usiadłem i oparłem się o plecak, wsparłem nogi o pień drzewa i rozmyślałem o minionym dniu, popijając z manierek.

— To musi być meta na dzisiaj i pewnie sobie dobrze poradziłem - pomyślałem. — Jestem tu jedyny, więc pewnie dotarłem pierwszy. A może spóźniłem się i transport już odjechał. Nie, to niemożliwe, by dotrzeć tu szybciej niż ja to zrobiłem, chyba że biegłoby się całą drogę. Ale może inni nie wyruszyli z mojego punktu początkowego, może zaczęli w innych miejscach i mają inne etapy, może... Może co, cholera! I tak nie wiem, więc zamierzam się nie będę ani tym bardziej tracić energii na próby wykombinowania, o co chodzi. Po prostu będę się starał, a jeśli to nie wystarczy, najwyżej odeślą mnie do domu.

Ale po kilku minutach jeszcze jeden żołnierz pojawił się przy punkcie RV i podszedł do miejsca odpoczynku pod sosnami. Zrzucił plecak i się rozsiadł. Przedstawiliśmy się sobie.

Nazywał się Ron Cardowski i był wysokim, chudym starszym sierżantem, który stacjonował z 10. Grupą Sił Specjalnych w Bad Tolz w Niemczech. Bad Tolz jest jednym z moich ulubionych miejsc i stacjonuje tam wielu moich przyjaciół, pogadaliśmy więc o wspólnych znajomych, ulubionych stokach narciarskich i bawarskich pensjonatach, a w tym czasie coraz więcej kandydatów zaczęło przybywać w miejsce, gdzie się znajdowaliśmy.

Po około półgodzinie było już piętnastu ludzi rozwalonych w cieniu sosen. Nieco później dwupółtonówka zatrzymała się w pobliżu i instruktor z punktu RV kazał nam ładować się na pakę. Jeden żołnierz musiał zapytać, czy ciężarówka jedzie z powrotem do obozu i trochę go zgasiła odpowiedź instruktora: „Wsiadaj do ciężarówki”. Posłusznie wspiał się na pakę, mamrocząc coś do siebie.

Zatopiłem się w myślach, gdy ciężarówka podskakiwała na piaszczystym dukcie i dumałem nad tamtym facetem, nad moim pytaniem „Skończyłem?” i innymi rzeczami, które zauważyłem. Czynniki niepewności były subtelne, jednak wciąż obecne.

Armia opiera się i działa na publikowanych harmonogramach. W czasie pokoju dokumentem regulującym życie jest Oddziałowy Harmonogram Ćwiczeń. Jest on publikowany co tydzień i opisuje czynności zaplanowane na każdy dzień w najdrobniejszych szczegółach. Składają się nań: czasy zbiorów, rozkład zajęć, wymagania co do umundurowania, zajęcia i nazwiska instruktorów, miejsca wykonywania poszczególnych czynności, godziny i rodzaje posiłków, informacje specjalne i czasy zakończenia dyżurów. Inne informacje, takie jak grafik dyżurów dopełniają te szczegółowe instrukcje.

W przypadku operacji polowych i bojowych, Rozkazy Operacyjne zapewniają wszelkie instrukcje do przeprowadzenia przewidzianych działań. Zgodnie z tym, co podejrzewa większość ludzi,

żołnierskie życie jest bardzo upo-
rządkowane. A doświadczonemu żołnierzowi regulacje dają
pewność i poczucie bezpieczeństwa, kierując jednocześnie jego obowiązkami i życiem. Zmiany
wpływające na rozkład ćwiczeń — wprowadzają zamieszanie w oddziale.

Możecie sobie więc wyobrazić jaki wpływ miały te zmi-
nimalizowane instrukcje na wszystkich
uczestników se-
lekcji. Dotykało nas to w różnym stopniu. Zawsze szczy-
ciłem się moją zdolnością
dostosowania się i pokonywa-
nia przeszkód. Jednak z powodu niewiadomych tej selek-
cji
wyczuwałem pewne zaniepokojenie, które czaiło się gdzieś na dnie mojego umysłu.

Co się teraz stanie? Byłem wystarczająco szybki? Ile to po-
trwa? Czy na selekcji są wtyczki
instruktorów, obserwujące, słuchające i zdające raporty z tego, co się dzieje? Rozmyśla-
łem o tych
rzeczach, nie tylko podczas jazdy ciężarówką i do-
szedłem do konkluzji, że mam to gdzieś.

Czynnik niepewno-
ści mnie cieszył i naprawdę mi się podobał. Zawsze to lubiłem.

Jeden z nas doszedł chyba jednak do innych wniosków, zanim nasza ciężarówka dojechała z
powrotem do obozu. Był to dobrze zbudowany, wyglądający na twardziela sier-
żant. Gdy
wyleźliśmy z ciężarówki, podszedł do instruk-
tora stojącego w pobliżu i zameldował, że chce
dobrowol-
nie zrezygnować z kursu. Tych z nas, którzy byli przy tym obecni, naprawdę zaskoczyła
jego decyzja, bo gość nie wyglądał na mięczaka. Instruktor po prostu skierował go do dyżurki dla
wypisujących się z kursu i powiedział resz-
cie, że kolejne instrukcje są na tablicy informacyjnej.
Później rozeszła się pogłoska, że powiedział sierżantowi majorowi Shumate'owi, że rezygnuje z
kursu, bo nie jest w stanie znieść niepewności, co będzie się działo dalej, nie tylko w sensie
kolejnego zadania, ale również kolejnych zajęć czy dni. Powiedział, że zdał sobie sprawę, że swojej
we-
wnętrznej potrzeby uporządkowania i organizacji, a ta selek-
cja nie była dla niego. Nigdy
więcej go nie zobaczyłem.

Poszedłem do chaty zostawić sprzęt, wziąłem porządny prysznic i cieszyłem się doskonałą kolacją.
Posiłki serwo-
wano tu wyjątkowo dobre. Później tego wieczora w stołówce wyświetlono film.
„Maratończyk”.

Kolejne sześć dni upłynęło nam podobnie jak ten pierw-
szy. Punkt po punkcie przebyłem chyba
całą zachodnią poło-
wę Fort Bragg. Codziennie mieliśmy inne kolory i numery, i codziennie
zaczynaliśmy i kończyliśmy z inną grupą ludzi.

W niektóre dni było mniej punktów RV, ale odległości mię-
dzy nimi były większe, a trasy
trudniejsze. W niektóre dni lic-
ba punktów RV była naprawdę spora, a któregoś razu prawie
przekroczyłem limit czasowy. Jednego dnia w punkcie końco-
wym czekało na transport do obozu
dwudziestu z nas, czasem zaś tylko czterech.

Instruktorzy pojawiali się na jeden dzień, a potem znikali. Bez względu na to, kim byli, to ci z
punktów RV zawsze za-
chowywali się tak samo - spokojni, niespieszni, beznamiet-
ni,
niewzruszenie prezentujący postawę: „Tylko fakty, pani

szanowna". Nigdy nie widziało się ich wkurzonych, nigdy nic nie mąciło ich spokoju. Nie uśmiechali się, nie marszczyli, nie gestykulowali. Zawsze jednak się przyglądali.

Wszystko działo się tak, jak miało się dziać. Jeśli informacja na tablicy głosiła odjazd ciężarówek o 6:00, to ruszały o 6:00. Jeśli ktoś spóźnił się na transport, nikt go później nie widział ani o nim nie słyszał. Powolne znikanie ludzi było niesamowite, a zauważalne tylko dlatego, że zmniejszał się tłum w stołówce w porze kolacji. Nikt nie widział, jak wyjeżdżają. Po prostu... znikali.

Ten mechanizm stojący za poszczególnymi zniknięciami nazywaliśmy: „The Midnight Hook”. Zdążył już pożreć trzech moich towarzyszy. Czytałem wtedy „Archipelag Gułag”, więc być może byłem przeczulony na punkcie znikających ludzi.

Dzień siódmy był bardzo krótki. O 13:00 wróciliśmy do obozu i skierowaliśmy się prosto do sali wykładowej na kolejną rundkę testów psychologicznych. Dziwnie się czułem, siedząc w ławce zmęczony jak pies i ociekając potem, starannie wypełniając arkusz testu, którego wyników i tak nie poznam. Mogłem jedynie zastanawiać się - zdałem, oblałem czy wylądowałem gdzieś pomiędzy?

Tego wieczora po kolacji była zbiórka. Major Odessa, „Żelazny Major”, jak zwykle o nim myśleć, dowodził.

— Żołnierze, ostatni tydzień był sesją treningową. Niektórzy z was od jakiegoś czasu nie byli w oddziałach taktycznych i musieliście poćwiczyć swoją zdolność orientacji w terenie. Żołnierze, którzy w tym czasie opuścili kurs, tak naprawdę wcale nie chcieli tu być i potrzebowali trochę czasu, by to sobie uświadomić. Jak dotąd ludzie, którzy wrócili do swoich macierzystych jednostek, byli zbyt kontuzjowani by kontynuować szkolenie lub dobrowolnie zeń zrezygnowali. Od jutra to się zmieni.

Stojąc całkowicie bez ruchu zrobił pauzę, jakby zbierając myśli. Wstrzymałem oddech. Zamarłem. Gdy znów zaczął mówić, wypuściłem powietrze.

— Jutro zaczynacie Fazę Stresu. Zostaniecie przetransportowani do oddalonych miejsc w górach. Będziecie biwakować pod gołym niebem. Przygotujcie się na dziesięciodniowy pobyt w terenie i odpowiednio spakujcie plecak. Wszystkie posiłki będą w postaci suchego prowiantu. Woda pitna będzie zapewniona, nie pijcie ze strumieni czy innych źródeł. Po zbiórce zgłosicie się do magazynu i pobierzecie broń i mapy. Nie rozstawajcie się z nimi. Broń będziecie nosić w ręku, nie ma ona dołączonych pasków, a wy nie możecie ani takich szelek montować ani w inny sposób przywiązywać broni do ciała. Wymieńcie lub pobierzcie z magazynu dziś wieczorem wszelkie wyposażenie, które waszym zdaniem będzie wam potrzebne. Spakujcie wszystkie zbędne przedmioty i oddajcie je do magazynu. Prywatne pojazdy zostają w obozie. Od jutra wasz czas przemieszczania się między punktami RV będzie mierzony i będziecie oceniani w odniesieniu do ustalonych standardów czasowych. Nie zwracajcie sobie głowy zastanawianiem się, jakie one są.

Po prostu dajcie z siebie wszystko.

Ci z was, którzy nie sprostają standardom wyznaczonym dla tych ćwiczeń, zostaną z tego powodu usunięci z selekcji. Osoba taka zostanie odesłana do swojego macierzystego oddziału wraz z listem do dowódcy, w którym znajdzie się informacja, że odsyłany jest doskonałym żołnierzem i zasłużył się dla swojego oddziału, jednak nie został niestety tym razem wybrany do służby w nowej jednostce. W istocie jesteście doskonałymi żołnierzami - w innym wypadku nie byłoby was tutaj. Dotychczas było dość łatwo, ale od jutra wzrośnie stopień trudności. Bądźcie uważni, wykonujcie rozkazy i dajcie z siebie wszystko. Niczego więcej nie wymagamy.

Ponieważ nie ma pytań, możecie rozejść się, by spakować się na jutro. Dodatkowe instrukcje znajdują się na tablicy ogłoszeń. Najlepszego - mówiąc to, major odwrócił się na pięcie i wyszedł z pomieszczenia.

„Masz na myśli, że przez ten cały miniony tydzień łaziliśmy tyle dla zabawy? Pogięło cię?”. Ale wiedziałem, że siedem dni ćwiczeń dało korzyść. Moja orientacja w terenie wyostrzyła się, kondycja się jeszcze poprawiła i przyzwyczaiłem się do samodzielności, nie musząc przejmować się opieką nad 44-osobowym plutonem.

Nie była to jednak zupełna wolność. Instruktorzy ciągle się nam przyglądali i robili notatki — i to nie tylko w momencie, gdy docieraliśmy do punktów RV. Nie kryli się z tym, ale i nie obnosili. Jeśli poświęciło się im trochę uwagi, można było zauważyć, że obserwowali wszystko, co się działo i czasem coś notowali zanim wrócili do tego, co wcześniej robili.

Niektórzy ludzie byli tym naprawdę poruszeni i martwili się, co też mogło być zapisywane. Pomyślałem, że o ile raporty obserwacyjne były prawdziwe, to część tego całego notowania obliczona była na wywołanie konsternacji. Później okazało się to prawdą.

Sprawdziłem, co było na tablicy informacyjnej i poszedłem do magazynu. Sierżant major Shumate stał w pobliżu, kurząc papierosa i gapiąc się na zachód słońca.

Pozdrowiłem go, przechodząc:

- Dobry wieczór, panie sierżancie majorze.

Trzymał papierosa w wyciągniętej ręce i zezował na niego jednym okiem, jakby próbując wykryć jakiś defekt.

- Cześć, Rangerze — powiedział, podnosząc wzrok. — Ciągłe tutaj, he? Pewnie dlatego, że ci wyżerka pasuje... bo gorzały ani laseczek to nie uświadczysz.

Papieros chyba przeszedł inspekcję, bo uniósł go i głęboko się zaciągnął, wpatrując się we mnie spod brwi, podczas gdy uśmiech rozbawienia, znany mi już wcześniej, uniósł koniec jego wąsów.

- Pewnie tak, panie sierżancie majorze, a poza tym potrzebowałem małego wypoczynku.

Parsknął w odpowiedzi, wypuszczając powietrze przez nos, a następnie odchylił głowę do tyłu i z gracją posłał w powietrze powoli płynące kółko z dymu.

— Wielu z tych gości nie wiedziałoby, co masz na myśli tak mówiąc. Ale ja pamiętam jak to jest mieć pod sobą pluton, a kiedyś było łatwiej niż teraz. No, ciesz się póki możesz, nic nie jest wieczne. Może zobaczymy się, gdy wrócisz - powiedział na odchodne.

— Mam nadzieję, panie sierżancie majorze.

— No — odpowiedział i znów poświęcił swoją uwagę pa-pirosowi i zachodzącemu słońcu. Obejrzałem się na niego, otwierając drzwi do magazynu. Z miejsca gdzie stałem, wyglądał jak człowiek badający wszechświat z tajemnego punktu obserwacyjnego. Może właśnie tak było.

Gdzieś w lesie w górach Uwharrie

Góry Uwharrie są wybrzuszeniem terenu jakieś 80 kilometrów na północny-zachód od Fort West. Szybki rzut oka na mapę powiedział mi, że teren nie będzie łatwy. Właściwie, wyglądało to podobnie do Regionu Dolin i Grzbietów w Appalachach w północnej Georgii, gdzie dorastałem. Załadowaliśmy się dość wcześnie, by dojechać do naszej nowej lokacji. Myślałem, że najpierw zorganizujemy obóz, ale po kilku godzinach jazdy konwój zaczął się rozpraszać i niebawem nasza ciężarówka jechała sama. Skręciliśmy w wąską brukowaną drogę i zatrzymaliśmy się. Instruktor wywoływał nas z ciężarówki czwórkami. Nie mogłem się doczekać, by wyruszyć w drogę i cieszyłem się, że jestem w pierwszej grupie.

Instruktorem z tego punktu RV był niejaki Carlos. Wyśłał mnie w stronę przodu swojego pojazdu, czyli starej furgonetki piekarskiej, abym przeczytał instrukcje umieszczone na masce samochodu. Bronią, w którą mnie wyposażono, była „smarownica”, M-3, stary pistolet maszynowy kalibru .45, który należał do standardowego wyposażenia armii od II wojny światowej. Był niezawodny, jednak bardzo ciężki ze względu na rozmiar oraz upiornie trudny do niesienia, zwłaszcza bez paska. Próbowałem położyć go na masce samochodu, ale to cholerstwo wciąż zjeżdżało. Nie chciałem kłaść go na ziemi, bo trawa była mokra od rosy. Rozejrzawszy się za odpowiednim miejscem na odłożenie broni, zatknąłem ją w końcu za orurowanie z przodu maski.

Zaniósłem mapę Carlosowi, pokazałem mu, gdzie jesteśmy i dokąd mam iść, zarzuciłem na ramiona plecak i ruszyłem zadek z punktu RV.

To było to - pierwszy etap pierwszego dnia - a ja wyruszyłem. Czuję się taki silny, że moje stopy prawie nie dotykały gruntu. Gdy tylko przeszedłem przez drogę, musiałem stawić czoła płotowi z drutu kolczastego znajdującemu się po drugiej stronie. Złapałem prawą ręką szczyt płotu i przeskoczyłem go jednym ruchem ciała, a będąc już w powietrzu zobaczyłem moją lewą rękę.

Wolną.

O cholera. Zostawiłem broń w punkcie RV. Uderzyłem o ziemię po drugiej stronie, a cała ekscytacja uszła ze mnie jak powietrze z dziurawej piłki. Carlos patrzył jak wracam do ciężarówki,

gdzie pokornie wyciągnąłem moją broń z zaorowania i ruszyłem ponownie, tym razem w znacznie spokojniejszym tempie.

Jego beznamienne „Najlepszego” walnęło mnie jak obuchem, bo zdałem sobie sprawę, że nie powiedział tego za pierwszym razem. A to oznaczało, iż cały czas wiedział, że zawalam sprawę i nie dał tego po sobie poznać.

No, to była niezła lekcja. Moja duma została zdeptana, a ja straciłem kilka minut. No i prawdopodobnie moje nazwisko na liście Carlosa zyskało dopisek „atak zdebilowania”. Przyjąłem sobie za cel niedopuszczenie do czegoś takiego ponownie.

Teren tutaj był znacznie trudniejszy do pokonania niż w Fort Bragg, ale uznałem, że muszę poruszać się w podobnym tempie jak dotąd. Musiałem sprytniej wybrać marszrutę, ponieważ nie dałbym rady pokonać gór. Gdybym spróbował je zaatakować, obezwładniłyby mnie. Chciałem tylko, by pozostały obojętne. W zamian obiecałem uczynić moją bytność tam tak niezauważalną, jak to tylko możliwe.

Trasa pierwszego dnia wydawała się być pozytywnie zwariowana. Idąc od jednego punktu do drugiego zataczałem krąg zgodny z ruchem wskazówek zegara. Szedłem w połowie wysokości wzgórz. Chciałem wspiąć się na granie i iść wzdłuż grzbietów. Jednak w każdym etapie tak daleko odwodziło mnie to od mojej marszruty, że nie było warte wysiłku. Strata cennej energii. Większość czasu spędziłem na stokach zakreślając szerokie koła, mając lewą nogę niżej.

Zobaczyłem tylko jedną osobę pomiędzy punktami RV. Jakoś tak po południu natknąłem się na kapitana Jima Busha, który szedł kulejąc.

Jim także trafił na selekcję z Rangerów. Dowodził naszą kompanią na początku tego roku, a potem służył jako asystent oficera operacyjnego batalionu. Była to praca, o którą nie dbał jakoś szczególnie. Jim był jednym z tych twardych oficerów, którzy woleli być w akcji z żołnierzami. Choć stanowiska w sztabie są ważne, to jednak drażnią one ludzi takich, jak kapitan Bush. Był też twardy i wytrzymały jak skórzany but, więc skoro kulał, oznaczało to poważny uraz. Z drugiej strony - kulejący Jim poruszał się szybciej niż większość ludzi potrafi chodzić.

Gdy nasze trasy się przecięły, złamałem zasadę niena-wiązywania kontaktu.

- Gdy schodziłem ze stoku, noga mi utknęła między dwoma kamieniami. No i ją wykręciłam. Nie słyszałem ani nie czułem trzasku, więc mam nadzieję, że to tylko skręcenie. Dowiem się wieczorem, gdy ściągnę but - powiedział przez zaciśnięte zęby i zbielejące wargi.

- Dobra, kapitanie, do zobaczenia - i rozeszliśmy się w różne strony.

Fuks. Czysty fuks miał odegrać sporą rolę w tej próbie. Fuks, który chroni przed upadkiem i złamaniem nogi, fuks, który nie pozwala sobie wydłubać oka patykiem, dać się ugryźć wężowi lub zrobić czegoś tak głupiego, że nie da się z tego wykaraskać. Niestety fuks zawsze idzie w parze z pechem - a na niego nie chciałem się natknąć.

Aby pomóc szczęściu, wziąłem ze sobą talizman.

Nie było to nic szczególnego - po prostu bojówki, które miałem na sobie. Stały się amuletem w trakcie używania. Codziennie jak dotąd nosiłem tę samą parę i miałem zamiar robić to dalej, dopóki ich dobry urok będzie działał, nieważne, że z każdym dniem były coraz bardziej obleśne. Na selekcję przywiozłem trzy pary bojówek. Jedne zapasowe, jedne do noszenia wieczorami po zakończeniu działań na dany dzień i te, które założyłem wczoraj. Nie były tak obręczane, jak możecie myśleć. Uprałem je raz czy dwa i rozwiesiłem na noc. Rankami były nie bardziej wilgotne niż poprzedniego wieczoru, gdy je zdejmowałem, całe mokre od potu. Gromadziły w sobie szczęście, a fuks przyciąga fuksa.

Późnym popołudniem w końcu powiedziano mi, że mam zdjąć plecak i usiąść. Znowu byłem sam, ale po kilku minutach inny kandydat, Ron, dołączył do mnie na mecie. To był ciężki dzień, a ja byłem skonany. Nasz ładunek zwiększono o 2,5 kilograma i moje stopy oraz kolana były obolałe od pozostawania w tej samej pozycji przez cały dzień.

Czułem jak mi gorąco i byłem zlany lepkim potem. Ale zaraz po tym, jak pojawił się Ron, nadeszło jedno z tych przypadkowych błogosławieństw natury: lunął rześisty deszcz. Przykryliśmy plecaki pałatkami i wyszliśmy na małą polankę, pozwalając deszczowi obmyć nasze ciała. Uczucie było cudowne, a deszczu nie za wiele. Padało przez około kwadrans, potem znowu wyszło słońce.

Powietrze było czyste i splukane przez ulewę tak samo jak ja. Co za przyjemność. Jeśli nigdy nie doznaliście takiej rozkosznej i prostej rzeczy, to współczuję.

Po półgodzinie dołączyło do nas sześciu innych ludzi. Słyszałem też, że część żołnierzy została odesłana do innej lokacji, oddalonej o 50 metrów i położonej po drugiej stronie drogi. Dwie ciężarówki zatrzymały się w punkcie RV, a instruktor kazał nam wsiadać do pierwszej z nich. Złapaliśmy plecaki i wspięliśmy się na pakę.

Gdy ciężarówka ruszyła, popatrzyłem na drugą grupę, ale oni wciąż tam siedzieli. Zacząłem się zastanawiać, kto gdzie jedzie, ale szybko odgoniłem tę myśl. Ludzie z drugiej grupy nic mnie nie obchodzili, a ja sam dowiem się gdzie jedziemy, jak będę na miejscu.

Jechaliśmy przez jakieś pół godziny i zatrzymaliśmy się na leśnej przecince. Kilku ludzi wywołano na zewnątrz, a reszta jechała dalej. Na drugim postoju to mnie i kilku innym żołnierzom kazano wysiąść. Czekał tam na nas Marvin. Był instruktorem tkwiącym na moim drugim tego dnia punkcie RV. Gdy tylko się wyładowaliśmy, podał rozkazy.

- Tutaj dzisiaj biwakujecie. Wasze torby leżą z tyłu mojego samochodu, podobnie jak woda i suchy prowiant. Pozostańcie w grupie i nie oddalajcie się od ciężarówki dalej niż na 25 metrów. Ognisko jest dozwolone, jednak musicie je zgasić przed godziną 22. Ma być małe i pod kontrolą. Lekarz będzie tu później, gdyby ktoś potrzebował. Otrzymacie kolory i numery rano o 5:45. Pojazdy odjadą o 6:00. Wagi znajdują się z przodu ciężarówki. Waga plecaka na jutro to 22,5

kilograma. Bądźcie o czasie i w dobrej masie - skończywszy skupił swoją uwagę na notesie.

Złapałem swoją torbę i poszukałem dobrego miejsca między drzewami, żeby zrobić sobie szałas z pałatki. Prawie skończyłem, gdy kolejna ciężarówka zatrzymała się i wypuściła sześciu ludzi, którzy otrzymali te same instrukcje od Marvinina. Nie zwracałem uwagi na nowo przybyłych, dopóki w ucho nie wpadł mi głos Virga Parksa.

- Chłopie, wygląda na to, że sobie zaklepałeś świetne miejsce, chyba do ciebie dołączę! - wrzasnął stojąc tuż koło mnie. Parks zawsze stawał tak blisko jak się dało, jakby chciał wyszeptać jakąś intymną tajemnicę, a potem darł się jak opętany. Rzucił bezładnie plecak i torbę na ziemię, i zaczął przeszukiwać kieszenie. Wiedziałem, co teraz będzie.

- Chłopie, masz papierosa? - zapytał, ryjąc po kieszeniach w poszukiwaniu tego, czego tam nie było.

- Nie, Parks, rzuciłem. Nie stać mnie ani na papierosy, ani na wspieranie takich sępów jak ty - odpowiedziałem, wyjąwszy z plecaka czyste bojówki. Nie żartowałem. Nie znałem takiego drugiego żebraka jak Parks.

- Nooo... - zaczął Parks, gapiąc się na mój szałas z pałatki i wtykając szczęśliwie odnalezionego papierosa w usta. - To ja dowiążę swoją pałatkę do twojej i zrobimy jeden większy szałas. Masz więcej linki?

- Pewnie, Parks. Łap. - podałem mu kilka metrów sznurka. Potem odszedłem na chwilę, by się przemyć wodą z manierki, ogolić, zmienić ciuchy i powiesić mój fartowny mundur do wyschnięcia i przewietrzenia.

Następnego ranka o 6:00 ciężarówki nadszedły tak, jak nam to obiecano. Cieszyłem się, że ruszymy już z pierwszego punktu RV. Miałem sztywne nogi, a mój mundur nadal był wilgotny i zimny, jednak dyskomfort szybko minął.

Co za dzień. Poruszałem się po poszarpanej granicy moich możliwości. Każda trasa do punktów RV była walką. Ukształtowanie terenu był przeciwko mnie. Nie miałem szans wykorzystać wąwozu czy grzbietu, by sobie cokolwiek ułatwić. Każdy stok był skalisty, nierówny i pokryty wiatrołomami. Teren w niższych partiach był jeszcze gorszy - pokryty płataniną czepiających się pnączy i zarośli. Ktokolwiek układał dzisiejszą marszrutę, był inspirowany przez szatana. Nie dało się utrzymać dobrego tempa i martwiłem się, że idę zbyt wolno.

Przecinałem właśnie rozległą, dość płaską część zbocza, gdy natknąłem się na opuszczoną farmę. Była zarośnięta krzakami i rozłogami jeżyn, jednak na samym środku czegoś, co kiedyś było podwórkiem, znalazłem krzew pomidorów czereśniowych. To roślina wieloletnia, a ten krzaczek owocował od nie wiadomo ilu lat.

Zatrzymałem się na chwilę, by napęlić kieszenie bojówek i znów ruszyłem, wrzucając do ust te małe, słodkie i soczyste kuleczki - jedna za drugą. Cóż za niespodziewany i podnoszący na duchu

przysmak. Nawet teraz, po wielu latach, wyraźnie widzę to miejsce i czuję smak tych pysznych malutkich pomidorków.

Dzień robił się jeszcze cięższy. Zbocza były tak strome, że musiałem podciągać się od drzewa do drzewa, by dotrzeć na szczyt. Schodzenie było jeszcze bardziej ryzykowne. Jeden fałszywy krok, jedno poślizgnięcie, przykryty opadłymi liśćmi pień, jeden śliski korzeń i będzie po wszystkim. Czas mijał, a ja martwiłem się coraz bardziej. Do upłynięcia limitu czasowego było mniej niż 30 minut. Miałem jeszcze dobry kilometr do punktu RV. Uruchomiłem wszystkie rezerwy energetyczne i przyspieszyłem kroku. Przybyłem na miejsce ledwo żywy, mając w zapasie zaledwie 5 minut, i wykrzyczałem kolor i numer, gdy tylko zobaczyłem instruktora. Sprawdził czas na zegarku, zanotował moje dane, kazał powiesić plecak na wadze i wskazał na jedną z zafoliowanych kartek w pobliżu.

- Podejdźcie, gdy będziecie gotowi - powiedział. Zawiesiłem plecak na wadze i poszedłem nanieść na mapę lokalizację mojego następnego punktu RV. Mam przesrane. Nie mam szans na to, by dotrzeć do kolejnego punktu RV. Ile mi zostało, ze dwie minuty do limitu? Czemu nie szedłem szybciej? Czemu nie wybrałem lepszej marszruty? Prze-mieszczałem się tak szybko, jak mogłem. Wybrałem najlepszą trasę, jaką umiałem wymyślić. Po prostu niewystarczająco dobrą. Poszedłem zameldować się instruktorowi.

Spojrzał na mnie, gdy próbowałem rozłożyć mapę i wykonywać rutynowe czynności.

- Zdejmijcie plecak z wagi i usiądźcie przy tej dużej skale - powiedział, gestem wskazując drugą stronę polany.

Spojrzałem mu krótko w oczy, szukając choć najdrobniejszej podpowiedzi jak mi poszło, ale oczywiście nic z nich nie wyczytałem.

- OK. - powiedziałem. Zdjąłem plecak z haka i poszedłem w miejsce, które mi wskazał. - Kurde - pomyślałem, siadając i wyciągając w górę nogi - jeśli spieprzyłem dzisiejszy dzień, Supermen we własnej osobie też by się nie wykazał.

Siedziałem, sączyłem wodę i analizowałem swoją dzisiejszą marszrutę. Nie, jakoś nie mogłem doszukać się lepszego rozwiązania. A chociaż teren był dzisiaj trudniejszy, wciąż powinienem był osiągnąć czas, który uważałem za niezły. Jeśli jednak niezły nie był, to miałem problem.

W ciągu następnej półgodziny inni faceci pospiesznie docierali do punktu RV, w podartych mundurach, złani potem, z twarzami purpurowymi z wysiłku. Każdego z nich potraktowano tak jak mnie i każdy z nich popatrzył na mnie pytająco, zobaczywszy jak siedzę, najwyraźniej ukończywszy dzisiejszy marsz, podczas, gdy oni na nosili na mapy swoje kolejne punkty RV. Kiedy nadszedł czwarty żołnierz, długo patrzył na naszą trójkę siedzącą razem na oddalonym krańcu polany. Instruktor kazał mi powiesić na wadze plecak i podejść do arkusza z

koordynatami. Stał tam, przygarbiony, zadyszany z rękami zwisającymi wzdłuż boków. Po krótkiej pauzie nabrał powietrza i powiedział:

- Dobrowolnie rezygnuję. Instruktor odpowiedział:
- Weźcie plecak i idźcie usiąść tam, w dole zbocza -wskazał na miejsce niewidoczne z punktu RV.

Biedaczysko odkuśtykał nie oglądając się i zniknął z pola widzenia. Siedzieliśmy w naszej grupce nic nie mówiąc i tylko porozumieliśmy się spojrzeniami spod wzniesionych brwi.

Jaką lekcję właśnie odbyliśmy? Prosta. Nie rezygnuj. Nie rezygnuj choćby nie wiem co. Idź, póki ktoś nie każe ci usiąść. Idź, dopóki dasz radę się ruszać, bez względu na to, jak słabo ci idzie. Tylko nie rezygnuj.

Obóz tego wieczora był w innym miejscu, z innymi ludźmi. Jednak tym razem lekarz, gdy się u nas zatrzymał, miał sporo klientów.

Kolejny dzień: więcej tego samego, a raczej, jak mawiają w Panamie: lo mismo pero peor. To samo, tylko gorzej.

Długie, wyczerpujące etapy marszu w terenie, którego konfiguracja zawsze utrudniała chodzenie. Nigdy nie udawało mi się wyznaczyć marszruty choćby zbliżonej do prostej linii łączącej dwa punkty RV. Aby jakoś wykorzystać cechy terenu, musiałem niekiedy wspinać się na odbierające dech strome wzniesienia, by ich grzbiety poprowadziły mnie choć trochę w stronę następnego RV. Po prostu nie było marginesu na błędy. A im bardziej byłem zmęczony, tym trudniej było mi wszystko ogarnąć.

Po południu zrobiło się nerwowo. Zszedłem właśnie z kolejnego wzniesienia i próbowałem pójść w stronę RV, gdy nagle natrafiłem na cywili pędzących przez las na terenowych motocyklach.

Dookoła były ich całe tuziny, a silniki ryczały jak wściekłe szerszenie. Czułem się jak powolny okręt otoczony przez naprzykrzających się kamikaze. Wyglądało na to, że jadą w tę samą stronę, co ja - przez szeroką, ale nieco dalej zwężającą się kotlinę w masywie Gold Mine Branch.

Gdy tylko znalazłem się w pobliżu RV, motocykl niemal otarł się o mnie - a pasażer z plecakiem obejmował kurczowo kierowcę. Taaa — uczestnik selekcji.

Motocykl zatrzymał się tuż przy stanowisku instruktora, a gdy żołnierz zsiadł, usłyszałem:

- Uznałem, że było za daleko.
- Połóżcie plecak z tyłu ciężarówki i rozgoście się. Samochód zabierze was niebawem - odparł instruktor.

Facet odwrócił się do motocyklisty, który go przywiózł i powiedział doń machając ręką:

- Dzięki za podwózkę, do zobaczenia - wrzucił następnie swój plecak na pakę ciężarówki i usiadł na zderzaku, a motocyklista odjechał z RV, wzniesając tuman kurzu i opadłych liści.

Brawo, to było mistrzostwo świata w zawałaniu sprawy. Naniósłem na mapę następny punkt RV i gdy mijając gościa idąc w stronę instruktora, popatrzyłem mu w oczy. Facet rozłożył ręce, wzruszył ramionami i przywołał na twarz uśmiech mówiący: „A, pieprzyć to, próbowałem”.

Odpowiedziałem uśmiechem i pokręciłem głową przechodząc obok. Przyglądałem się uważnie instruktorowi, gdy odbywaliśmy zwykły rytuał odprawy na RV. Jeśli nawet Easy Rider zaskoczył go lub zaburzył jego wewnętrzny spokój, nie dałem rady tego rozpoznać.

No to jeszcze jeden człowiek przeszedł do legendy Delta Force. Nawet teraz, gdy się zbieramy i gadamy o selekcji i rzeczach, które zobaczyliśmy przez lata, nieodmiennie ktoś pyta:

- A pamiętacie gościa, który do RV przyjechał na motocyklu?

Człowieku, kimkolwiek jesteś, chcę żebyś wiedział, że miejsce w historii masz pewne. Jakoś tak mi się zdaje, że będziesz zadowolony.

Reszta dnia upłynęła pod znakiem pokonywania niezliczonych podejść, zejść i trawersów.

Odczuwania ciężaru w klatce piersiowej, palenia w płucach, dygotu nóg i bólu pleców. Liczenia punktów orientacyjnych, tempa, używania kompasu. Moje ciało spływało potem, moja twarz i dłonie były pokaleczone i podrapane gałęziami i cierniami. W końcu dotarłem na miejsce. Gdy już wreszcie usiadłem, czułem się jak kompletnie wyciśnięta tubka pasty do zębów. Wielkim wysiłkiem było choćby zarzucenie plecaka na pakę ciężarówki, nie mówiąc już o wsiadaniu.

Tym razem wyjeżdżaliśmy z RV w inny sposób. Zwykle cała grupa wsiadała razem do ciężarówki, a dzisiaj byliśmy przydzielani według koloru i numeru do kilku różnych pojazdów.

W umyśle natychmiast pojawiło się pytanie - czy ta ciężarówka zabiera mnie na biwak, czy do Fort Bragg? Odpowiedź objawiła się sama, kiedy zostaliśmy wysadzeni w nowym miejscu biwakowania. No dobra, pomyślałem. Jeszcze jeden dzień przede mną.

Obozowisko było wyjątkowo ciche tego wieczora. Zasada nierozmawiania ze sobą w czasie marszu przeniosła się i na biwak.

Świt i znów czas zacząć niezwykle trudny dzień. Mordecze schodzenie po stoku, unikanie niekontrolowanego zjazdu - trzeba się pochylić do przodu, przenosząc w dół zbocza i nad stopy swój środek ciężkości, mniej więcej jak przy jeździe na nartach.

Jeśli jednak człowiek poślizgnie się w tej pozycji, plecak pchnie go twarzą w ziemię lub w drzewo - a nie mając żadnej amortyzacji można się z tego nie pozbierać. Parę razy już się wywaliłem, ale w każdym przypadku udawało mi się obrócić i upaść na bok, dzięki czemu plecak nie przygniatał mnie, gdy uderzałem o ziemię. Jak na razie miałem szczęście.

Przez cały ranek aż do południa nie widziałem innych kandydatów pomiędzy punktami RV. Miałem wrażenie, jakby góry należały tylko do mnie. Do późnego popołudnia szedłem długim, wąskim grzbietem, który, dla odmiany, prowadził mnie w stronę następnego RV. Wcześniej zmuszony

byłem zboczyć prawie pół kilometra z trasy, by wejść na ten grzbiet jakimś stromym pieprzo-nym szlakiem biegnącym po urwistych zboczach. Ale się opłaciło. Czasowo byłem bardzo do przodu. Nagle usłyszałem ludzki głos. Nie rozmowę, tylko głos kogoś wyjącego w śmiertelnym cierpieniu. Słysząc go było przede mną, gdzieś z boku grzbietu. Podbiegłem do miejsca, z którego mogłem zobaczyć stok i zauważyłem faceta jakieś sto metrów niżej. Był w połowie najbardziej stromego zbocza całej góry i podciągał się od drzewa do drzewa, od skały do skały po czymś, co można nazwać je-dynie urwiskiem - tracił co chwilę chwyt i obsuwał się na dół. Wrzeszczał i wyrzekał jakby go ktoś piłował za-rdzewiałym pilnikiem. Patrzyłem na niego kilka sekund, potem pokręciłem głową ze zdumieniem i poszedłem dalej. Odgłosy jego walki cichły za moimi plecami. Kon-tynuowałem marsz. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Słońce schodziło nisko nad horyzont, kiedy ten dzień w końcu i na szczęście dobiegł kresu. Nowe miejsce bi-wakowania, inna grupa żołnierzy, kilka znajomych twa-rzy. Nie zwracałem sobie głowy liczeniem, ilu nas jest, ale obóz zdecydowanie się kurczył. Spałem jak kamień tej nocy i jeśli nawet śniłem o czymś, to nie wiem, co to było.

Nie wiem, o której wyruszyłem następnego poranka, ale miałem poznać do głębi rzeźbę i topografię góry Gold Mine Mountain. Dzień miał się stać znany pod nazwą „Dzień Gwiazdy”, ponieważ po naniesieniu tras na mapę, dawało się dostrzec sześcioramienną gwiazdę.

Przez cały dzień przelażiłem z jednej strony tej choler-nej góry na drugą. Na mapie góra wyglądała jak wielka, zdechła, skręcona ośmiornica. Główny masyw był klu-chowaty i nieregularny, a wokół wiły się grzbiety sęka-te jak wykręcone artretyzmem dłonie starego człowieka.

Docierałem wyczerpany i zdyszany do jednego punktu RV tylko po to, by odesłano mnie do innego, po tej stronie góry, z której przyszedłem. Góra była zbyt duża, żeby obejść ją wkoło, a rzeźba terenu taka, że nigdy nie mogłem wyznaczyć bezpośredniego podejścia, ani tym bardziej utrzymać z tru-dem osiągniętego tempa marszu. Nigdzie nie szedłem, tylko przemieszczałem się w tę i z powrotem po tej samej górze. To była mistrzowska tortura. Ale wtedy nadeszło olśnienie.

Co za różnica, gdybym nawet chodził po tej górze tam i z powrotem do końca świata?

Góra to góra, czas to czas, a marszruta to marszruta. Je-dyne, co się liczyło to prędkość i przebyta odległość. Fi-zyczne położenie mojego ostatecznego miejsca przezna-żenia było przypadkowe dla celu mojego pobytu tutaj. Frustrację i torturę umysłową sam sobie stworzyłem — i całkowicie samodzielnie mogę je zignorować.

Porzuciłem wszystkie myśli, które nie dotyczyły jak naj-szybszego dotarcia do następnego RV.

Zadziwiające, jak bardzo wzrosła moja siła - duchowa, jak i fizyczna.

Od tego momentu był to po prostu trudny dzień w gó-rach. I, jak to się zwykle ma z dniami, ten również dobiegł końca. Zakończyłem go w RV Easy Rider, tym samym, w którym motocyklista

zakończył swój udział w selekcji w tak spektakularny sposób.

W końcu dotarło tu ze dwudziestu ludzi i siedzieliśmy wszyscy razem, zamiast zwykłego podziału na dwie lub trzy wyraźnie rozdzielone grupki. Ciężarówka przyjechała i odjechała, a ja zostałem z sześcioma czy siedmioma innymi żołnierzami. Czy to coś znaczyło?

Nie upłynęło wiele czasu - pojawiła się ciężarówka z naszymi torbami i kazano nam rozbić obóz właśnie tutaj. Chwilę później pojawiła się druga ciężarówka i wysiadło z niej jeszcze trzech lub czterech mężczyzn.

Dopiero później się dowiedziałem, że był to dzień Wielkich Cięć. Ci z nas, którzy zebrali wystarczająco dużo punktów karnych za spóźnienia zostali wykreśleni tego wieczora. To oddzielenie ziarna od plew spowodowało, że nasza liczebność zmalała do 30 ludzi. Trzydziestu z początkowych 163, którzy zaczęli selekcję w Aberdeen Camp.

Wspominałem już o nieogłoszonym lub nieznanym czasie trwania selekcji. Po jej ukończeniu, a potem samemu pracując jako instruktor w kolejnych selekcjach, wciąż nie jestem pewny, jaki jest ten standard. Jedyni, którzy znają go na pewno to dowódca selekcji i oficer bezpośrednio ją prowadzący.

Nikt inny nie jest upoważniony do posiadania tej informacji. Włącznie z dowódcą Delta Force we własnej osobie. To jeden z najlepiej strzeżonych i najbardziej tajemnych sekretów zachodniego świata. Dzięki temu żaden kandydat nie będzie miał przewagi nad innym, nawet ten, który ponownie podchodzi do selekcji.

Każdy człowiek, który w końcu przeszedł selekcję do Delty, musiał zmierzyć swoje wyniki wewnętrzną miarą. Musiał dać z siebie wszystko, ponieważ nie mógł wiedzieć, co to znaczy „wystarczająco”. Dzięki temu wszyscy pozostają uczciwi.

Wieczorny biwak minął wypoczynkowo. Kilku z nas usiadło razem, gadając o różnych oddziałach, armii, polityce i wydarzeniach w kraju. Tego wieczora siedział z nami Keekee Saenz i razem z nim wzniosłem wspólny szalas. Zdecydowanie go polubiłem i byłem zadowolony, mogąc z nim spędzić wieczór na spokojnej rozmowie. Nie miałem pojęcia, że miną całe lata zanim się znów spotkamy - w zupełnie odmiennych okolicznościach.

Tego wieczora uświadomiłem sobie coś, co dało się zauważyć poprzez to, że nie było tego widać. Zaczynaliśmy kurs z całkiem sporą liczbą facetów wyglądających jak gwiazdy amerykańskiego futbolu. Jednak większość wielkoludów zniknęła po 28-kilometrowym marszu. A dwóch czy trzech, którzy doszli do Fazy Stresu, zaginęło w akcji.

Patrzyłem na moich współbozowiczów i myślałem

o ludziach, których spotkałem przez ostatnich kilka dni

1 uderzyło mnie, że większość z nas była bardzo przeciętna. Wszelkie figury, rozmiary i budowy — ale żadnych wielkich facetów. Mieliśmy kilku większych gości, którzy dostali się do

jednostki, ale znacznie więcej było tych, którzy byli drobniejsi niż przeciętnie.

Selekcja oceniała wszystkie nasze możliwości, tak fizyczne, jak i psychiczne. Góry wygrywają z człowiekiem, gdy ten chce je pokonać siłą. Trzeba zwyciężać myśleniem. Ale sam spryt nie doprowadzi cię z RV do RV na czas, a na pewno nie dzień w dzień. Aby to osiągnąć, potrzebna jest kondycja fizyczna, ale kondycja i wytrwałość nie zależą tylko od rozmiaru człowieka. Jedynie silne ciało w połączeniu z silnym umysłem pozwalają wyciągnąć zwycięski los na tej loterii. Jedno bez drugiego nie przynosiło sukcesu, bo i nie mogło.

Jakież wspaniały zapowiadał się dzień. Najłatwiejszy teren jak dotąd. Stoki nadal były strome i wysokie, ale teren za to równy i regularny. Drzewa były wysokie, grube, z małą ilością gałęzi na dole. Podłoże równe z nielicznymi kamieniami. Wymarzone miejsce do nadgonienia czasu.

Korzystałem z tego, bo warunki mogły się zmienić w każdej chwili. I tak też się stało.

Prulem prościutko w stronę RV, kiedy nagle natknąłem się na trzyipółmetrowy płot z metalowej siatki, ciągnący się jak okiem sięgnąć. Pytanie brzmiało: nad, pod czy dookoła?

Coś mi mówiło, że próba obejścia płotu może skończyć się nie najlepiej. Dół płotu był wkopany w ziemię (pewnie jako zabezpieczenie przed dzikami), co uniemożliwiało mi przejście pod spodem. Czyli zostawało przelezenie górą. Dobrze się wspinałem, ale miałem na sobie dodatkowe 30 kilogramów, więc nie było to łatwe.

Oto jak sobie to rozplanowałem: wsadzę broń za koszulę, wespnę się na siatkę i zrzucę plecak na drugą stronę. Potem z łatwością przeleżę na drugą stronę.

A tak mi wyszło: wspięcie się na górę nie było trudne, ale będąc już na górze odkryłem, że musiałbym usiąść okrakiem na płocie żeby zdjąć plecak i go zrzucić. Jednak szczyt płotu był wiotki i chwiejny, więc gdy próbowałem zsunąć z ramion szelki plecaka, gibałem się w przód i w tył dopóki plecak nie przeważał mnie i nie pociągnął na drugą stronę płotu.

Wisiałem głową w dół, zahaczony o szczyt ogrodzenia lewą nogą. Karabin wysunął się zza koszuli i wałnął mnie w usta. Rozkwaszona warga i obłuzowane dwa zęby. Ten cholerny plecak wisiał pod moją głową i unieruchamiał ramiona. Nie mogłem go strząsnąć, bo noga by się w końcu odczepiła i zleciałbym na łeb.

Powoli, jak nigdy w życiu, delikatnie sięgnąłem prawą ręką do patki szybkiego rozpinania lewej szelki. Zaraz, jest do góry nogami, więc muszę pociągnąć ją na odwrót. Gdy tylko jedno ramię było wolne, plecak runął na ziemię wydając głośny dźwięk. A ja musiałem zrobić ekstremalny „brzuszek” do szczytu płotu, uwolnić nogę i zejść.

Mając znowu grunt pod nogami, rozejrzałem się. Miałem nadzieję, że nikt nie widział tego incydentu. Wściekle kopnąłem zdradziecki plecak. Zasrańcu jeden! Tylko czekałeś, żeby mnie wkopać, co? No to od teraz będę szczególnie się pilnował, możesz na to liczyć. Z metalicznym

posmakiem krwi w ustach zarzuciłem bydlaka na ramiona i ruszyłem dalej.

Dotarłem na szczyt góry i pośpieszyłem do RV. Tym razem instruktorem był Carlos, który odesłał mnie do następnego RV. Ale tam kazano mi wrócić do Carlosa. „No co jest?” pomyślałem, „Mutacja Dnia Gwiazdy?”.

Carlos wskazał mi zestaw instrukcji, a potem zmienił zdanie.

- Nie, idźcie tam i usiądźcie - polecił.

Wow, miałem już wolne na ten dzień, a była dopiero 10:30. Poszedłem w miejsce, które wskazał mi Carlos, wciąż na widoku RV. Zrzuciłem z ramion cholerny plecak, wydłubałem z niego mój suchy prowiant, oparłem stopy o drzewo i wygodnie się rozsiadłem, by móc spokojnie cieszyć się spóźnionym śniadaniem. Leżałem rozkoszując się urokami życia, gdy Virgil Parks wpadł nagle na punkt RV jak kolejka górską, która wyskoczyła z torów. Zobaczył, jak sobie siedzę i zatrzymał się jak wryty.

- A co ty się tak objasz do cholery? - zapytał z niedowierzaniem na twarzy.

Widocznie myślał, że zrezygnowałem, ale nie chciał uwierzyć własnym oczom. Postanowiłem ponabijać się z niego odrobinę. Zwiesiłem głowę i jęklwym, użalającym się głosem wybełkotałem:

- Już po wszystkim, Parks... Już nie mogę... Nie dam rady iść dalej... To koniec.

Wściekłość i obrzydzenie wypłynęły na jego twarz. Podniósł broń i rzucił się na mnie. -Ty, ty... Carlos odwołał go i to był pierwszy przypadek, gdy zobaczyłem rysę na kamiennej twarzy instruktora.

- Hej, żołnierzu - zawołał i szczekliwie wymienił kolor i numer Parks'a. - Chodźcie tu i zatroszczcie się o siebie. Ten żołnierz już ma wolne, ale wy nie.

Parks opuścił broń i popatrzył na mnie z zaskoczeniem. Odwrócił się, zameldował u instruktora i dostał nowe instrukcje.

- Jasna cholera! - powiedział przechodząc koło mnie gdy oddalał się z punktu RV. - Już masz wolne? Pewnie ledwo żyjesz!

- Najlepszego, Parks - uśmiechnąłem się szeroko, podnosząc w toaście puszkę brzoskwiń w syropie. - Najlepszego.

- Ale ubaw. A te brzoskwinie są takie dobre - pomyślałem, opuszczając kolejną na język.

Zanim pojawił się następny żołnierz minęło jakieś pół godziny, ale po tym czasie niemal jednocześnie dotarło do RV czterech czy pięciu ludzi. Niedługo potem ciężarówka z sześcioma innymi na pace zabrała nas nad jezioro Ble-witt. Czekał tam z naszymi torbami major Odessa. Tuż za nami przyjechała jeszcze jedna ciężarówka i wysadziła swoich pasażerów. Było nas około dwudziestu.

Major przywołał nas do siebie.

- Krótki dzień dzisiaj, żołnierze - powiedział, przyglądając się tłumkowi. — Skorzystajcie z okazji i wykapcie się porządnie. Niektórzy z was wyglądają dość obleśnie. Gdy skończycie, podam rozkazy.

Wyrzekałem z torby przybory do golenia, złapałem kostkę mydła, zrzuciłem mundur i buty, i wskoczyłem do wody. O ludzie, jakie to było wspaniałe. Wyszedłem z wody, namydliłem się i znów dałem nurka. Zrobiłem to jeszcze parę razy, a potem położyłem się w wodzie, napałując nieważkością.

Co za przyjemność. Śmiałyśmy się, żartowaliśmy i maksymalnie wykorzystaliśmy tę chwilę przerwy zanim wy-leżliśmy z wody i przebraliśmy w czyste mundury. Czuję się ja młody bóg. Gdy wszyscy się pozbierali, major Odessa znów do nas przemówił.

- Żołnierze, jutro jest wielki dzień. Czterdziestomilów-ka. Ci z was, którzy podołają temu wyzwaniu, zostają. Czeka ich wypoczynek i rozmowa z Komisją Ewaluacyjną. Ci zaś, którym się nie uda, powrócą do swoich macierzystych jednostek. To nie czas na zwalnianie tempa, nie czas na spoczywanie na laurach. Niektórzy z was nie radzą sobie za dobrze i ledwo ciągną. Sugeruję, żeby jutro wszyscy dali z siebie wszystko.

- Zabiegi higieniczne dobiegły końca — kontynuował. — Pojedźcie teraz do miasteczka Troy, gdzie dostaniecie posiłek nieco różniący się od suchego prowiantu. Resztę instrukcji na ten dzień otrzymacie od Marvinina — odwrócił się i odszedł.

Gdy szedłem ze starym znajomym Frankiem Troutem ścieżką w stronę ciężarówek, minęliśmy stojącego na samym skraju lasu majora Odessę. Gdy się zbliżyliśmy, pochylił się do przodu, wskazał na nas palcem i powiedział scenicznym szeptem:

- To właśnie o was mówiłem!

Zaskoczeni, popatrzyliśmy na niego, ale nie zatrzymaliśmy się. „Jasny gwint! Naprawdę? Nie, to jakaś ścierna... Bawi się z nami tylko w zgadywanki. Tak, tak, na pewno to tylko zgryw. Dobrze sobie radzę. Ale jak Frank?”. Frank wyglądał na dość zszokowanego.

No, jutro się okaże. Może jeszcze nie wszystko stracone?

Cisnąłem torbę i plecak na tył furgonetki zabierającej bagaże i wspiąłem się na pakę ciężarówki jadącej do miasta. W Troy rozeszliśmy się do kilku barów. Zjadłem porządny lunch w małej jadłodajni, ale szczerze mówiąc, wolałem raczej pojechać prosto do obozu i zamiast tego łyknąć suchy prowiant. Nie lubię wychodzić z polowych przyzwyczajęń póki trwa akcja. Ale nic się nie stało.

Tego wieczora otrzymaliśmy osiem różnych map i rozkazy wyjazdu o godzinie 2 w nocy. Walnąłem się spać, gdy tylko poskładałem mapy i przygotowałem sprzęt na kolejny dzień. Z nikim w obozie tego wieczoru nie rozmawiałem.

Obóz opuściło osiemnastu z nas. Przyjechalśmy na punkt startowy na początku Szlaku Uwharrie o godzinie 3 nad ranem i po kilku prostych instrukcjach zaczęli nas wypuszczać w trzyminutowych odstępach.

Major Odessa udzielił krótkiej odprawy: podążanie drogami i ścieżkami jest dozwolone, dopóki nie zostanie nam udzielona inna instrukcja. Mamy iść Szlakiem Uwharrie aż do jego końca, a następnie zgłosić się po kolejne rozkazy do instruktora siedzącego w punkcie RV położonym właśnie tam. Szlak rozdwajał się w tym miejscu, a my mieliśmy podążać dalej jego odnogą nazywaną Nowym Szlakiem.

— Instruktorzy będą w punktach, gdzie szlak przecina drogi. Najlepszego. I oto pierwszy żołnierz ruszył w drogę. Siedziałem dobre trzydzieści minut, opierając się o plecak, bębniąc piętami o ziemię i przyglądając się, jak inni kandydaci rozpoczynają marsz. Była nas jeszcze garstka, siedzących w ciemności, a ja nie mogłem się już doczekać, kiedy wyruszę. „Pospieszcie się, wywołajcie mój kolor i numer”. Powinienem był się odprężyć i zdrzemnąć. Zostałem wywołany jako ostatni.

Do świtu zostało jeszcze parę godzin, a noc była bezksiężycowa, jednak czułem pod stopami równy, ubity szlak. Nie było trudno się go trzymać i nie musiałem używać latarki. Utrudniały mi tylko widzenie w ciemnościach. Chłodne powietrze przyjemnie owiewało mi twarz, a że byłem na szlaku, wrzuciłem kompas do kieszeni na piersi, żeby nie dyndał i nie objął się mi o klatkę piersiową - co zwykle robił, zwisając na sznurku u szyi.

„Idź szybko póki jest chłodno, zanim słońce wyjdzie i zacznie wysysać wodę z twojego ciała. Do tego czasu jedyna woda, jaką będziesz tracił, uciekać będzie z oddechem. Później jednak woda będzie decydować o wszystkim. Podkręć tempo. Dobrze wykorzystaj ten czas. Wyszedłeś ostatni, a to oznacza, że musisz nadrobić, bo inni mają nad tobą przewagę. Napieraj”.

I tak zrobiłem. Szedłem tak szybko, jak mogłem czarnym szlakiem przez las i niebawem zobaczyłem latarkę huśtającą się gdzieś przede mną. Dogoniłem i wyprzedziłem właściciela latarki, a następnie zacząłem mijać kolejnych. „Tak, o to chodzi. To jest sposób na odrobienie straconego czasu”.

Półtorej godziny później miałem już za sobą co najmniej połowę grupy, ale potem nikogo już nie widziałem. Godzinę później ciemności zaczęły rzednąć. Do świtu pozostało jeszcze trochę czasu, ale niebawem było na tyle jasno, by widoczność się poprawiła. Między drzewami przede mną widziałem szarą poświatę. „Hmm. Powinienem mieć ją z prawej strony, przecież idę na północ”. Sięgnąłem po kompas. „Eee tam, pewnie to tylko chwilowy zakręt na wschód i zaraz znów droga wyprostuje się na północ”.

Ale szlak wciąż prowadził na wschód i szybko się zorientowałem, że owszem, skręca, ale na południe. „Coś tu nie gra” — pomyślałem, gdy w końcu wyszedłem na polanę i stało się jasno na

tyle, że miałem możliwość sprawdzenia swojej pozycji. Zrzuciłem plecak i wyciągnąłem mapę oraz kompas.

„Popatrzmy, powinienem być gdzieś tutaj na mapie, dwadzieścia kilometrów od startu szlaku”. Ale teren wokół mnie nie wyglądał, tak jak powinien.

W tej odległości od punktu wyjścia powinienem znajdować się na długim, wąskim grzbiecie biegnącym niemal dokładnie na północ. Zamiast tego, szlak zakręcał na południowy-wschód i biegł przez wąską dolinę otwierającą się na wschód. Okolica nie była na tyle specyficzna, by orientować się na azymut, więc zamiast tego przeanalizowałem teren.

„Szeroka płytką dolina na wschód, duże okrągłe wzgórza na południowym-zachodzie. Nie, nie pasuje. Na litość boską, ale jeśli poszedłbym Starym Szlakiem Uwharrie zamiast Nowym, byłbym... Właśnie tu, gdzie teraz stoję! Ja pierdzielę! Boże miłosierny! Jak ja mogłem tak zgłupieć?”.

Ze wszystkich debilnych błędów nowicjuszy właśnie ten... Dotąd się nie myliłem, a dzisiaj musiałem wypuścić na wolność swoje kosmiczne skretynienie! O ludzie złoci.

„No to popatrzmy, jak by tu rozwiązać ten węzeł górski. Jestem 12 kilometrów od rozgałęzienia szlaku, co oznacza, że powinienem być 12 kilometrów w głąb Nowego Szlaku, co daje razem 24 kilometry, jeśli wrócę po swoich śladach. A jeżeli ruszę na przełaj, by przeciąć Nowy Szlak tam, gdzie powinienem być teraz, gdybym nie spieprzył sprawy — około 20 kilometrów. Ale mogę też pójść naprzód i przeciąć szlak w miejscu, gdzie przecina on asfaltówkę. To oznacza przełaj przez 27 kilometrów. No, ale nie dojdę tam, stojąc sobie na polanie. Najwyżej zamiast Czterdziestomilówki będę miał Pięćdziesiąt-cio pięć milówkę”. Założyłem plecak i ruszyłem. Dotąd podczas marszu odpoczywałem co godzinę przez krótką chwilę. Czasem było to dziesięć minut, czasem pięć, a czasem trzy. Długość przerwy zawsze zależała od tego, jak dobrze mi szło. Nawet krótka, kilkuminutowa przerwa podnosi na duchu i regeneruje siły fizyczne, dzięki czemu stajesz się silniejszy. Teraz jednak odpoczynki musiały zostać drastycznie ograniczone. Przez dwie godziny prulem najszybciej jak mogłem, a następnie zrobiłem dwuminutowy odpoczynek. Na szczęście nie musiałem zatrzymywać się, by się napić, ponieważ manierki miałem w zasięgu ręki. Najważniejsze było picie dużych ilości wody - co najmniej litr na godzinę - bo jeśli się odwodnię, to padnę.

Zatrzymałem się przy małym źródełku szemrzącym u stóp wzgórza i napełniłem manierki. Potem wrzuciłem do każdej z nich po pastylce odkażającej. Moje ruchy spowodują mieszanie się zawartości manierek i woda będzie całkowicie oczyszczona za około 30 minut.

Maszerowałem dalej i dalej, spiesząc się, jak nigdy dotąd. Tak dobrałem marszrutę, by wyjść na szlak kilka set metrów przed jego skrzyżowaniem z asfaltówką. I tak miałem dość kłopotów i nie chciałem ryzykować złapania przez instruktora zbyt blisko szosy. Niedługo po godzinie 12 dotarłem

na szlak i kilka minut później doszedłem do drogi asfaltowej. Major Odessa czekał tam i wyglądał na niezbyt zdziwionego moim nagłym pojawieniem się.

- Oglądacie widoczki, co? — zażartował. - Naprawdę żałuję, że źle skręciliście na szlaku. Przez to wasz i tak ciężki dzień jeszcze się wydłuża.

- Tak jest, jestem pewny, że pana majora to boli nawet bardziej niż mnie - odpowiedziałem, przechodząc przez szosę i wstępując na szlak.

— Ależ skąd - odpowiedział. - Ze mną wszystko w porządku i nic mnie nie boli. Ale wy, z drugiej strony... No wiecie, możecie zrezygnować w każdej chwili. Nie chcecie sobie teraz odpuścić? Tylko ja i wy tu jesteśmy. Świetny moment na rezygnację. Wiecie, że to niemal niemożliwe, żeby ich dogonić. Czemu nie machnąć ręką i nie oszczędzić sobie płonnych wysiłków?

Ostatnie zdanie wypowiedział w stronę moich pleców, bo przeszedłem już koło niego i wchodziłem do lasu po drugiej stronie drogi.

— Nie, dzięki, panie majorze - powiedziałem oglądając się przez ramię. Patrzył na mnie promiennym wzrokiem, jakbym właśnie wygrał główną nagrodę na wystawie psów. „Czemu akurat on? Założę się, że całymi godzinami tu czekał specjalnie na mnie, tylko po to, by zobaczyć moje upokorzenie”.

Jak na upokorzenie to i tak lekko przeszło. Nigdy się dotąd nie zgubiłem, najwyżej nieco mnie zamroczyło. Ale teraz to wszystko było już za mną i znów byłem na szlaku. Do przodu pchała mnie siła zrodzona z desperacji.

Kilka godzin później dogoniłem kogoś. To był Człowiek Goryl. Kuśtykał jakby miał karpia.

- Co ci się stało? - zapytałem, gdy podszedłem bliżej niego. Popatrzył na mnie.

- Jak zrobiło się jasno, ściągnąłem buty i założyłem adidasy, żeby w nich iść pomiędzy punktami RV. Ale chyba zrobiły mi się urazy marszowe — powiedział przez zaciśnięte zęby.

- To czemu nie założysz z powrotem butów? - rzuciłem przez ramię mijając go.

- Dobry pomysł - powiedział z nutką zdziwienia w głosie, zatrzymał się i spojrzał na swoje stopy. Wyglądał na naprawdę zdumionego tą radą.

Dziękujemy opatrności za takich facetów. Kiedy czujesz się jak głupek, oni ci udawadniają, że w tej dziedzinie musisz się jeszcze wiele nauczyć.

Przez kolejną godzinę dogoniłem i wyprzedziłem kilku innych żołnierzy. Przeszedłem już prawie 40 kilometrów, ale przede mną było jeszcze jakieś 24. Coraz trudniej było mi wykonywać w głowie niezbędne obliczenia związane z prędkością. Dłonie świerbiły mnie od szelek plecaka wpijających się w ramiona, uciskających nerwy i tętnice, uniemożliwiając krążenie krwi w rękach.

Byłem pochylony do przodu pod ciężarem. Czuję się, jakbym ciągnął za sobą pociąg, a nogi bolały mnie od stóp do kolan. Nie mam na myśli tego, że były zwyczajnie obolałe, ale to, że

czułem, jakby ktoś przywiązał mi je do pęgieryza i walił w nie kijem. Próbowałem obliczyć, ile energii wchłonęły do tej pory moje stopy, ale musiałem się poddać. Wiedziałem tylko, że ogólny tonaż tych tysięcy kroków był olbrzymi. A miało być jeszcze gorzej.

Na końcu szlaku znajdował się punkt RV. Zważono tam mój plecak i poszedłem dalej żwirową drogą prowadzącą przez otwarty teren rolniczy. Po chwili zacząłem spotykać żołnierzy idących w kierunku przeciwnym niż ja. Żaden z nas nie marnował energii choćby na skiniecie głową w ramach pozdrowienia. Obrzucaliśmy się tylko spojrzeńiami pełnymi bólu i wzajemnego zrozumienia.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, do zmierzchu zostało jeszcze może z półtorej godziny, a przede mną była długa droga. Dotarłem do RV znajdującego się na końcu długiego łuku drogi. Widziałem go dziesięć minut przed dotarciem na miejsce, ale dobrnięcie tam było prawdziwą torturą.

Instrukctorem w tym punkcie był Carlos. Zaznaczyłem na mapie następny punkt RV i zameldowałem się.

— Zmieńcie baterie w latarce i pokażcie mi, że działa — polecił.

Zrobiłem, co kazał, a następnie przypiąłem latarkę do szelki plecaka.

— Możecie kontynuować, korzystając z dróg i szlaków, ale nie musicie się do nich ograniczać — powiedział, gdy pokazałem mu lokalizację następnego punktu RV. Pokiwałem głową, że rozumiem, poprawiłem szelki plecaka i znów byłem w drodze.

Wciąż studiowałem mapę, idąc z powrotem tą samą ścieżką. Jej żwirowa nawierzchnia była szczególnie dołkuczliwa dla stóp. Szedłem koleinami, z których żwir był rozniesiony na boki, jednak gołe kamienie sprawiały mi jeszcze więcej bólu.

Wyglądało na to, że najkorzystniej będzie iść dalej tą drogą przez mniej więcej kilometr, potem skręcić na zachód, iść na przełaj i przekroczyć stromy grzbiet górski, by dostać się na drogę równoległą do tej w następnej dołinie. Tamta droga w końcu przecinała szosę, przy której znajdował się kolejny punkt RV.

Ciemności dopadły mnie, zanim przekroczyłem grzbiet. Zbocze pokryte było gęstwą kosodrzewiny i innych zarośli, jednak pewnym wychnieniem dla moich nóg było zejście z kamienistej ścieżki i wspinanie się. Gdy już byłem na górze, zacząłem szukać najlepszego zejścia. W oddali, u podnóża stoku widziałem małe światelko, migoczące pomiędzy drzewami. „To musi być światło ostrzegawcze na szczycie wieży kościoła”. Moja mapa pokazywała, że pomiędzy drogą a podnóżem zbocza usytuowany jest wiejski kościółek. To światło było dla mnie jak latarnia morska dla zbłąkanego żełgarza. Kierowałem się na nie i ignorowałem wszystko inne.

Gdy dochodziłem już do kościelnego dziedzińca, usłyszałem głos wołający: „O Jezu! Nareszcie ktoś tu jest! Pomocy! Pomocy! Przyjdź po mnie!”.

To mógł być tylko jeden człowiek.

Byłem tak skupiony na światełku przed kościołem, że go nie zauważyłem. Parks był 50 metrów po prawej. Był wplątany w dwuakrowe pole kukurydzy. Rozgniatał rośliny i młócił rękoma, jak człowiek uwięziony w ruchomych piaskach, tonący w nich na dobre.

-Tutaj, Parks. Nie spiesz się i idź prosto w moją stronę. Przestań się szarpać i powoli idź do mnie. Im bardziej się szamoczesz, tym bardziej będziesz zaplątany.

Cierpiałem tak po prostu stojąc i czekając, aż skończy brodzić w tym polu kukurydzy.

- OK, chłopcze, OK - miauczał. - Tylko mnie nie zostawiaj. Poczekaj aż się wydostanę.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie cierpiałem patrząc na tarapaty Parksa. Po prostu nogi bolały mnie bardziej, gdy stałem, niż gdy szedłem. Kiedy był już na skraju poletka, ruszyłem w dalszą drogę w dół zbocza, w stronę kościółka.

Byłem tak wyczerpany, a moje ciało przeszywał tak rwący ból, że każda najmniejsza decyzja była wielkim przedsięwzięciem. Parks dogonił mnie na kościelnym dziedzińcu. Wiedziałem, że muszę skrócić w lewo na drogę przed kościołem, jednak odróżnienie strony lewej od prawej wydało się niewyobrażalnie trudne.

— Którędy idziemy? — jęknął Parks. - To chyba nie jest dobra droga — powiedział do moich pleców, gdy odwróciłem się i odszedłem. Słyszałem jednak, jak żwir chrzęści pod jego butami, gdy idzie za mną. Mozolnie wlokłem się drogą w zapadających ciemnościach. Byłem wykończony. Nie miałem pojęcia, która godzina. Wiedziałem jedynie, że jest nieco po zmierzchu. Moje nogi były jedną masą bólu, ciężką jak beton. Ręce miałem kompletnie zdrętwiałe. Karabin utrzymywałem tylko dlatego, że udało mi się zatknąć magazynek z przodu za pas i dociskałem broń do ciała bezwładnymi jak kłody rękami. Kark potwornie bolał od walki z ciężarem plecaka. Głowa wypchnięta była przez cały dzień do przodu, jak łeb żółwia wystawiony ze skorupy. Oczy pulsowały bólem skrajnego wyczerpania. Byłem gotowy się wycofać.

„Tak jest. Następny punkt RV jest ostatni... Bez względu na wszystko nie idę dalej. Nie mogę iść dalej. Ale cholera, następny RV musi być ostatni, nie? No pewnie, że musi. Ile dzisiaj przeszedłem? Nie wiem. Nie pamiętam. Nie mogę myśleć. Mogę tylko przestawiać stopy do przodu - jedna za drugą. Lewa, prawa, lewa. Jeden krok i jeszcze jeden. I jeszcze kolejny. Jeśli dam radę stawiać kolejne kroki, to będę szedł. Tak, dam radę iść. Za daleko zaszedłem, żeby sobie odpuścić”.

— Parks, zamknij się! Zamknij jadaczkę do kurwy nędzy! Parks szedł po moich śladach, cały czas bełkocząc:

— To nie ta droga. Idziesz w złą stronę. Tędy nigdy nie dojdziemy. A na następnym RV już jest meta? Ile jeszcze musimy iść? Już nie mogę. Wycofam się. Nie zostawiaj mnie tutaj! Nie zostawiaj mnie!

Musiałem od niego uciec. Jego niespójne gładzenie wy-ciskało ze mnie nędzne resztki energii, które mi jeszcze pozostały gdzieś w otchłani bebeczków. Zebrałem resztki sił i przyspieszyłem kroku akurat na skrzyżowaniu. Skręciłem w prawo, w stronę RV i zostawiłem Parksa stojącego na rozstajach, mamroczącego do siebie, skomlaącego, że idę w złą stronę.

Potykając się szedłem wzdłuż szosy po ciemku i nagle wpadłem na RV. Prawie przewróciłem z rozpędu siedzi-sko instruktora i stałem tam, kiwając się jak drzewo na wietrze, gdy Marvin podawał mi instrukcje. Wyraźnie go słyszałem, ale wyglądało na to, że potrzebuję kilku sekund na zrozumienie każdego słowa, które wypowiada. To było jak słuchanie pod wodą.

Naniosłem na mapę następne koordynaty i zameldowa-łem obecną pozycję i położenie następnego RV.

- Od tego momentu niedozwolone jest korzystanie z dróg — powiedział Marvin oświedony nikłym blaskiem latarki.

„O nie, to oznacza, że muszę przekroczyć rzekę, a nie mam siły na pływanie". Wszedłem z RV na drewnia-nych nogach, z ogromnym wysiłkiem wypracowując plan w głowie. „Muszę znaleźć ostry zakręt, zrobić z pałatki tratwę dla plecaka i pozwolić prądowi zepchnąć się na drugi brzeg. Tylko muszę się trzymać. Potem się przebio-rę i zostawię mokry mundur, bo nie uniosę dodatkowe-go obciążenia namokłych szmat. Ciężko będzie, ale dam radę, jestem pewny".

Gdy tylko odszedłem na kilka kroków od RV, ktoś wy-łonił się z ciemności i zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na piersi. To był major Odessa.

- Haney, jesteście w okropnym stanie. Czemu się nie poddacie, zanim zrobicie sobie krzywdę?

— Panie majorze, nie zamierzam się wycofać, ale nie mam siły się z panem o to spierać. Proszę mnie po prostu puścić - sła-iałem się, próbując go ominąć.

Trzymał rękę na mojej piersi.

— Czekajcie chwilę. Wasza latarka działa? Macie świeże baterie? Pokażcie.

„Cholera, cholera! W co on mnie wkreca? Nie mam na to siły". Nerwowo grzebałem zeszywniałymi palcami, próbując znaleźć przełącznik latarki i sporym wysiłkiem wysłałem w ciemność przed sobą wąski strumień światła.

- OK., w porządku - powiedział, a ja przeniosłem ciężar ciała w przód, zamierzając ruszyć dalej. - Ale nigdzie już nie idźcie, Haney. Skończyliście. Pomyślnie ukończy-liście Fazę Stresu i Czterdziestomilówkę.

Przez sekundę myślałem, że to kolejny kawał, i stałem tam, kołysząc się w przód i w tył, gdy próbowałem zrozu-mieć, co on właściwie przed chwilą powiedział. Ale słowa: „Pomyślnie ukończyliście" jakoś dotarły do mojej świado-mości i zobaczyłem uśmiech wykwitający na dotychczas kamiennej twarzy majora. Nareszcie się skończyło.

Ktoś podszedł i ściągnął plecak z moich barków, a inne ręce sprowadziły mnie z drogi, ścieżką w las. Odprowadzono mnie w bok do ogniska i ułożono z plecami opartymi o wzniesienie, po którym biegła ścieżka. „Wesołek”, nasz medyk, delikatnie zdjął mi buty, obejrzał stopy i oparł je o plecak. Ktoś inny podał menażkę czegoś, co warzyło się na ognisku - grzańca. Boże, jakie to było pyszne. Nigdy nic nie smakowało mi tak doskonale. Instruktorzy przyszedli uścisnąć moją dłoń i pogratulować. Major Odessa podszedł i ukląkł koło mnie.

—Trochę się o was martwiłem dziś rano, Haney. Myślałem, żeście spadli za krawędź Ziemi — powiedział z uśmiechem.

— Nie, panie majorze, ale prawie wyszedłem poza mapę - powiedziałem i pociągnąłem kolejny łyk wina. To było trochę dziwne. Wszyscy się uśmiechali, wszyscy troszczyli, wszyscy byli pomocni - podczas gdy poprzednio wszystko było takie bezosobowe. Cieszyłem się. Cieszyłem się, że skończyłem marsz. Cieszyłem się, że sobie tu siedzę i piję. Cieszyłem się wszystkim. Instruktorzy gdzieś się zmyli i zostałem sam, odpoczywając na trawie, wygodnie popijając gorące wino. Moje nogi były sztywne jak kłody. Tak samo ręce. Ale jutro będą w porządku, a teraz dobrze jest tak leżeć spokojnie i nie musieć się ruszać.

Popatrzyłem na zegarek. 21:50. Skończyłem jakiś kwadrans temu, zaokrągliliśmy to do 21:30.

Zacząłem o 3:30 nad ranem, więc szedłem 18 godzin, a moje stopy na pewno były tego świadome. Ale były bardzo pomocne i dobrze mi służyły. Niczego więcej nie mogłem oczekiwać.

Poruszyłem palcami u stóp i całymi stopami tam i z powrotem. „Dzięki, stopy”.

Na drodze usłyszałem podniesione głosy. To Parks kłócił się z Marvinem, ale nie mogłem zrozumieć, co mówią.

Kilka minut później dobiegł mnie podniecony głos Park-sa — major pewnie powiedział mu, że to już koniec.

A więc Parks skręcił w końcu we właściwym kierunku. Kilka minut później przyniesiono go i ułożono po drugiej stronie ogniska. Wyglądał jak siedem nieszczęść, ale nie-malże upił się satysfakcją z ukończenia marszu.

Otrzymał pomarszową opiekę, jak ta, z której ja korzystałem, i wkrótce zostaliśmy sami, by upajać się zwyczajem w dzielonym wspólnie odosobnieniu. Choć raz jego niespokojna dusza wydawała się zaznawać spokoju, gdy tak wylegiwaliśmy się w ciszy, gapiąc się w trzaskający ogień i pozwalając swobodnie płynąć myślom o minionym dniu.

W ciągu godziny jeszcze trzech zbiegów powiększyło liczebność naszego wesołego ogniskowego bractwa. Jak tylko się odrobinę odprężyliśmy, odprowadzono nas z powrotem na drogę, wsadzono na pakę ciężarówki i pozapiano w śpiworach. Wróciliśmy do Aberdeen Camp.

Nie słyszałem ani trochę hałasu silnika i nie pamiętam niczego aż do momentu, gdy wyciągnięto nas z ciężarówki już w obozie. Dwóch żołnierzy dobudzić się nie dało, więc zostali zaniesieni do

koszar, na prycze, jak worki z ziarnem.

Kuśtykając na obolałych nogach dotarłem do chaty i natychmiast położyłem się spać. Słońce wstało wiele godzin przede mną.

Przed śniadaniem zostaliśmy spędzeni na zewnątrz, przed ciężarówką, gdzie sierżant major Shumate zrobił nam zdjęcie „po”, jak obiecał.

Na zdjęciu widnieje 18 osób. 18 z początkowych 163. Ale selekcja jeszcze się nie skończyła.

Czekała nas Rada Dowódców.

Nasza mała grupka piechurów spędziła resztę poranka kulejąc po obozie, czyszcząc i zdając broń.

Po południu usiedliśmy w sali wykładowej i wypełniliśmy kwestionariusz raportu wzajemnego.

Ponieważ nie znaliśmy swoich imion, identyfikowaliśmy się według numeru krzesła przez nas zajmowanego. Pytania były subiektywne, typu: Kto twoim zdaniem wykazał się najsilniejszym charakterem? Kto wydawał się najbardziej kompetentny? Kto był najsłabszy? Kogo chciałbyś mieć przy sobie w boju? Komu najbardziej ufasz? Komu najmniej ufasz? Gdybyś miał usunąć z tej grupy jedną osobę, kto by to był i dlaczego? Wypełniliśmy raport i resztę popołudnia mieliśmy wolną.

Byłem wyprany z energii, a każda część ciała bolała. Ale gdy rozmyślałem o tym, co właśnie przeszedłem, czułem cichą satysfakcję i zadowolenie. Nie tylko przetrwałem tę gehennę - przeżycie jest w pewnym sensie bierne - ale wygrałem walkę. Ale walkę z czym? Musiałem się chwilę zastanowić, a potem zdałem sobie nagle sprawę: ze sobą.

Podjąłem nieprawdopodobnie trudne wyzwanie. Wielu ludzi próbowało mu sprostać i poległo.

Niewielu pozostało na kursie. I nie sądzę, by którykolwiek spośród nas uważał, że nie zasługuje na sukces, który udało mu się osiągnąć. Ja zdecydowanie byłem pewny, że zapracowałem na bycie tutaj. Było bardzo ciężko, ale zdecydowanie oparłem się na swoich własnych możliwościach.

Cieszyłem się tylko, że ta część jest już za mną. Ale przed nami wciąż była Rada Dowódców. To, no i rozmowa z psychologiem.

Wieczorem, po kolacji na tablicy ogłoszeń odkryliśmy harmonogram naszych sesji z psychologiem.

Po raz kolejny przypomniano nam, że w dalszym ciągu jest to wysiłek indywidualny i nie wolno rozmawiać z innymi kandydatami o przebiegu spotkania.

Nazajutrz miałem się zgłosić jako pierwszy. Psychologa znalazłem ukrytego w wygodnym fotelu wciśniętym w zacieniony narożnik pomieszczenia. Nie podniósł wzroku znad papierów, które czytał, ale leniwym gestem białej dłoni wskazał mi, bym usiadł na stalowym krześle stojącym w pustym poza tym pokoju.

Oczekiwałem mniej surowego siedziska i poczułem, jak zupełnie nieoczekiwanie rośnie we mnie irytacja. „Jedyne, czego tu brakuje to jasna lampa świecąca mi w oczy”.

Usiadłem i czekałem. Psycholog od czasu do czasu przewracał tam i z powrotem kartki leżące na

jego kolanach i wciąż ignorował moją obecność. Jeśli jego zamiarem było wkurzenie mnie, to odnosił sukces.

Gdy przyjrzałem się mężczyźnie zaszytemu w ciemnym kącie, dostrzegłem, że jest kurdupłowaty i zniewieściały, a włosy nosi długie jak naukowiec. Zza okularów jego oczy wydawały się słabe, jakby nigdy nie widziały słońca. Roztaczał wokół siebie aureę wywyższenia i pyszałkowatości, a gdy w końcu odezwał się do mnie, mówił półgębkiem, jakbym nie był wart pełni jego uwagi. Bez wstępu i choćby wzajemnego przedstawienia się, przeszedł od razu do popisów.

- Haney - zaczął syczącym głosem. - Nakreślę hipotetyczną sytuację i chcę byście powiedzieli, jak poradzilibyście sobie z nią.

Z jego tonu można było wyczytać, że uważa mówienie do mnie za wstrętny obowiązek.

- Wasz dowódca wybrał was do zdjęcia terrorysty, który zlokalizowany jest w San Francisco. Ze względu na tajność i delikatność zadania ani lokalne władze, ani FBI nie mogą wiedzieć o tej misji. Musicie wyeliminować terrorystę, a następnie niezauważeni wydostać się z miasta i wrócić do Fort Bragg. Nie możecie zostawić dowodów, które doprowadziłyby do jednostki. Powiedzcie, jak wypełnilibyście to zadanie - nieruchomy cień w kącie zamilkł.

„Proste ćwiczenie taktyczne. Niezupełnie tego oczekiwałem po tej rozmowie, no ale cóż, zobaczmy, jakby to zrobić”. Przez kilka minut zastanawiałem się nad tym zadaniem, a następnie według wytycznych z rozkazu operacyjnego opisałem pobieżnie sposób wykonania zadania. Świrołap nie poruszał się, podczas gdy ja mówiłem. Spoglądał jedynie na papiery leżące na jego kolanach. Gdy skończyłem, nic nie powiedział przez co najmniej minutę, nadal studiując dokumenty, które tak go fascynowały. W końcu jednak podniósł na mnie wzrok i wyszczał w moim kierunku z mroku.

— Ty niedouczony buraku. Nigdy nie słyszałeś o Posse Comitatus Act? Nie wiesz, że użycie wojska do zadań wewnątrz kraju jest sprzeczne z prawem federalnym?

Jad sączył mu się z kącików ust.

— A misja wcale nie dotyczyła zabicia terrorysty, a zamordowania kochanka żony twojego dowódcy. Powód, dla którego to ciebie wybrano był taki, że dowódca wiedział, iż jesteś takim bezmyślnym prostakiem i to pozbawionym mózgu, że zrobisz wszystko, co ci każą bez zadawania pytań — zrobił pauzę zanim zaczął mówić dalej.

— Ty wiejski palancie. Dobrze, że mamy wojsko. Dzięki niemu takie śmiecie jak ty, mają się gdzie podziać. Inaczej na pewno wylądowałbyś w jakimś gangu.

Gdybym był wtedy w pełni sobą, mógłbym roześmiać się i kazać mu spróbować jeszcze raz. Ale w stanie niemal krańcowego wyczerpania, bez pełnej mocy moich zdolności, jego słowa uderzyły mnie jak fizyczny cios. Nie, nieprawda. Gdyby to była napaść fizyczna, wiedziałbym jak się bronić. A tak - po prostu mnie zatkało. „Jak ten wieprz śmie tak do mnie mówić”. Czuję się poniżony i

kompletnie nie wiedziałem, co zrobić lub powiedzieć.

Gdy tak patrzyłem w gniewie na prześladowcę, szybko się zorientowałem, że to była prowokacja. Ale byłem równie wściekły, jak i zawstydzony. Co innego, gdy ktoś zrobi z Ciebie głupka, a zupełnie inną rzeczą jest czepiać się czyjegoś pochodzenia i zżerała mnie wściekłość. Jedynie, co ratowało tego faceta przed ostrym łańskiem, to jego oficerskie szlify.

Jasne było dla mnie, że ta rozmowa miała tylko jeden cel: przeprowadzenie pełnego ataku psychologicznego i uderzenie w czułe miejsce. Celem tego człowieka było wstrząśnięcie moją pewnością siebie i sprawdzenie, co zrobię po takiej napaści.

„To jak przesłuchanie jeńca wojennego” pomyślałem -i wiedziałem, że cokolwiek powiem, będzie źle. Zakląłem pod nosem i już się więcej nie odzywałem.

Co kilka minut gość rzucał prześmiewczy komentarz w moją stronę, ale ja powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia i nie zamierzałem ponownie dać się wpuścić w maliny. Przez kolejne 10 minut siedziałem na krześle i gapiłem się na mojego przesłuchującego, a wściekły huk mojego galopującego tętna dzwonił mi w uszach.

W końcu i on musiał uznać, że do niczego to nie prowadzi i to już wszystko, co może ode mnie uzyskać. Pokiwał tłustymi białymi paluchami jednej ręki w moją stronę i, przenosząc wzrok znów na dokumenty, zaszczebotał:

— Skończyliśmy już. Może sobie pójdziecie?

„Z przyjemnością”.

Czułem się pobity, zgwałcony i bezradny. Zanim wszyscy z nas skończyli swoje sesje z tym człowiekiem, zauważyłem, że nie tylko ja tak zareagowałem. Właściwie udało mu się tak kompletnie zniszczyć zaufanie niezbędne na jego stanowisku, że żaden z nas nie zamierzał już się do niego odezwać. Został uznany za nieefektywnego jako psycholog jednostki i wkrótce odszedł z wojska, aby wypróbować „inne możliwości”. Późniejsi psychologowie byli przerażeni tym, że potraktowano nas w tak głupi sposób.

Wszystkie sesje zakończyły się późno tego wieczora, a ponieważ kolejna grupa kandydatów miała przyjechać nazajutrz na rozpoczęcie selekcji, zostaliśmy odesłani do głównej części Fort Bragg, by tam czekać na wystąpienie przed Radą Dowódców. Tymczasem mieliśmy pozostawać w Moon Hall, gdzie byliśmy początkowo zakwaterowani.

Moon Hall to kompleks hoteli wojskowych i, jak by nie patrzeć, niezły luksus. W jednym z budynków jest świetny klub podoficerski, w innym stołówka z tak dobrą wyzerką, że opadały skarpety. Co piątek kantyna otwarta była przez całe popołudnie — od lunchu do kolacji — z poświęceniem oferując gorące posiłki. Śniadania stanowiły wcielenie piękna, a lunche w soboty i niedziele były nie z tej ziemi. Brakowało tylko fontann tryskających Krwawą Mary.

Szef stołówki (lub też „kierownik obiektu żywieniowego” jak nazywano go w oficjalnej

nowomowie wojskowej) był kucharzem nagrodzonym w ogólnokrajowym konkursie. Gdy odszedł na emeryturę, zatrudniono go w hotelu w Nowym Jorku, gdzie zarabiał astronomiczne pieniądze. A biorąc pod uwagę zdanie każdego, kto jadał w tej stołówce, kucharz zasługiwał na każdy cent swojej pensji.

Próżnowaliśmy w Fort Bragg jeszcze przez kilka dni. Rada Dowódców miała się zebrać wkrótce, jednak do tego czasu mieliśmy wypoczywać i odzyskiwać siły. Codziennie o 10 rano mieliśmy nieformalne spotkania w lobby, ale poza tym nikt nas nie kontrolował.

Cieszyłem się z tej przymusowej bezczynności. Okazało się, że podczas Czterdziestomilówki dorobiłem się złamania marszowego w lewej stopie. Sądziłem, że czułem, kiedy to się stało, jednak nogi miałem tak zdrętwiałe, że nie zarejestrowałem bólu. Po kilkudniowym wypoczynku czułem się dobrze.

„Wesołek”, nasz medyk, spotkał się z nami w lobby i poinformował, że rada zbierze się nazajutrz. Mieliśmy się zameldować w mundurach polowych w Aberdeen Camp następnego poranka o godzinie 8.

A więc ostatnia przeszkoda była tuż przed nami. Jutro poznam swoje przeznaczenie — zostanę przyjęty lub odrzucony. Nie chciałem nawet myśleć o tym, że mógłbym zostać odesłany. Ale jeśli ma to nastąpić, niech się stanie w swoim czasie. A jutro w końcu poznam dowódcę oddziału, pułkownika Charliego (nie Charlesa) Beckwitha. Prawie nic nie wiedziałem o tym człowieku - przed przyjazdem na kurs w ogóle o nim nie słyszałem. Jednak większość żołnierzy z Sił Specjalnych znała go, a kilku służyło pod nim lub w jego pobliżu w Wietnamie i innych miejscach. Ludzie różnie gadali na temat Beckwitha. Niektórzy twierdzili, że to dowódca z piekła rodem, inni, że megaloman, przez którego ginęli żołnierze. Jak dla mnie żadna różnica.

Dowódcy przychodzą i odchodzą. Jeśli oddział składa się z porządnych żołnierzy, przetrwa. Jeśli ma dobrego dowódcę, będzie działać świetnie, a jeśli złego - dobry oddział sam się utrzyma. A po tym, co widziałem podczas selekcji, wiem, że ta garstka ludzi, którzy dotrwali do teraz, stworzy oddział nie z tej ziemi.

Jeśli Beckwith był szurnięty, podejrzewałem, że to pozytywne szaleństwo. Rzeczywiście był - a ja nie myliłem się. Ale miałem się o tym przekonać w innym czasie.

Przed komisją miałem stanąć o godzinie 15. Zostaliśmy surowo ostrzeżeni przed rozmawianiem między sobą o przebiegu tego, co odbywało się i było mówione podczas komisji.

Poranek i wczesne popołudnie wlokły się niemiłosiernie. Jestem cierpliwy, ale tego dnia ledwo się trzymałem. Na chwilę siadałem w poczekalni, potem wychodziłem i gadałem z innymi „czekaczami”. Żołnierze byli wywoływani i znikali w środku. Pierwsi trzej, z którymi rozmawiano, wyszli z sali z pobladłymi twarzami, a potem nie chcieli na nas patrzeć, gdy odmeldowywali się w dyżurce przed odjazdem do macierzystych jednostek.

„Odrzucony. Niezatwierdzony do przydziału”. Zimne, twarde, druzgocące słowa. Jaja skurczyły mi się do rozmiaru orzeszków laskowych, gdy patrzyłem na tych żołnierzy — jeden po drugim odchodzili w samotności. Tak jak martwym i rannym po bitwie współczułem im, jednocześnie ciesząc się, że to nie ja jestem na ich miejscu.

Byłem też zadowolony, że obóz opuścili natychmiast, co pozwoliło nam uniknąć niezręcznych pożegnań. Byli jak trędowaci, a ja nie chciałem się zarazić. Nie jestem dumny z tego, że tak się czułem, ale szczerze przyznaję się do takich myśli.

W końcu dwóch ludzi pod rząd wyszło z sali tak uradowanych, że wyglądali, jakby mieli eksplodować. Widać było, że mają ochotę podskakiwać i tańczyć z czystej radości. „Wesołek” odprowadzał każdego z nich, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć tym, którzy wciąż czekali w zawieszeniu.

A potem przyszła kolej na mnie.

„OK., Erie, to już. Trzymaj się, miej się na baczności i bądź gotów na wszystko”. „Wesołek” kazał mi wejść do sali, stanąć przed krzesłem i zameldować się dowódcy. Szybko sprawdziłem mundur, przyjąłem postawę na baczność, oczom nadałem nieobecny wyraz, wziąłem głęboki wdech i wmaszerowałem do jaskini lwów. „Pozwól mi przetrwać”.

Zatrzymałem się przed krzesłem, mając zaledwie tyle miejsca przed sobą, że obróciwszy się, mogłem usiąść bez szukania krzesła czy sięgania w tył do oparcia. Przybrałem minę paradną, wyprężyłem rękę w salucie i ryknąłem swoim najlepszym tonem plutonowego:

- Sir! Sierżant Haney melduje się dowódcy!

Po raz pierwszy zobaczyłem pułkownika Beckwitha. Patrzyłem na punkt w przestrzeni nad jego głową, ale wciąż wyraźnie go widziałem - wielkiego faceta rozwalonego na składanym krześle naprzeciw mnie.

Miał zaciętą, niemal waleczną minę. To był wyraz twarzy, który przyjmował przy większości okazji. Miał szopę popielatych włosów, szerokie czoło, przeszywające, głęboko osadzone oczy, pod którymi rysowały się wyraźne cienie. Wyraziste, choć nie wystające kości policzkowe. Nos orli, ale nieduży. Mocno ciosana zuchwa. Lekko wysunięta dolna warga nadawała jego twarzy pogardliwy wyraz. Rozłożysta klatka piersiowa i szerokie ramiona wieńczyły okazały brzuch. Ogólnie biorąc wyglądał dokładnie tak, jak powinien - na wodza otoczonego adiutantami.

Przytrzymał mnie w pozycji na baczność, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów, zanim w końcu oddał salut i powiedział mi, bym usiadł. I rozpoczął się atak.

- Haney, rozumiem, że nie lubicie oficerów - to były pierwsze słowa, które wyrzucił z głębi piersi.

Zanim to się zaczęło, powiedziałem sobie, że będę brutalnie szczery i nie będę do żadnego z pytań podchodził w białych rękawiczkach. Mieli dostać plutonowego Erica Haneya, na litość boską, we

własnej, naturalnej osobie.

Zamierzałem pokazać im się takim, jakim jestem, bez względu na konsekwencje.

- Tak jest, sir - spojrzałem mu prosto w oczy, gdy to mówiłem. - Gardzę większością oficerów, jakich miałem okazję poznać.

Wściekł się. Jego twarz zaczerwieniła się i nabrzmiała, a na szyi wystąpiły żyły. Ale za wszelką cenę nie chciałem dać się przegadać.

- Cholera jasna, Haney, to wichrzycielstwo! - wrzasnął na mnie. - Co jest z wami nie tak? Jak możecie wygłaszać takie stwierdzenia?

- Sir, większość oficerów, których poznałem, spędza czas przede wszystkim na planowaniu swojej kariery i szukaniu sposobów wbicia konkurencji noża w plecy. Jedyńny pozytyw, jeśli o nich idzie, to fakt, że zostawiają samych sobie podoficerów i żołnierzy, którzy na własną rękę muszą radzić sobie ze sprawami oddziału. Tak się zwykle dzieje do momentu, kiedy oficerowie chcą urządzić jakąś pokazówkę i udowodnić jacy są świetni.

Kątem oka dostrzegłem, że „Wieśniak” Grimes próbuje powstrzymać uśmiech. „O, może jednak mam choć jednego sprzymierzeńca w tej sali”.

Beckwith miotał się i pieklił, aż w końcu jego gniew przygasł. Popatrzył na mnie jakbym był szczególnym okazem fauny. Potem rozparł się na krześle, wypiął pierś i zażył aroganckim tonem:

- No plutonowy, mądralo, jak wam się podobała Faza Stresu?

- Sir, czekałem, aż ten stres się w końcu zacznie.

- Co takiego? - zerwał się z krzesła, rozpryskując wokół drobinki śliny. - Czekałeś aż zacznie się stres? Co to ma znaczyć, na Boga? Popieprzyło cię? - jego twarz tak wezbrała gniewem, że obawiałem się, iż dostanie udaru. Stał, łapiąc powietrze i gapiąc się na mnie.

- Sir, jadłem cztery posiłki dziennie i spałem osiem godzin każdej nocy. Nikt do mnie nie strzelał. Nie stanąłem na minie. Pogoda była ładna. Nic sobie nie odmroziłem. Nie doznałem udaru cieplnego. Byłem odpowiedzialny za siebie i za nikogo innego. Tak, to było trudne. W pewien sposób najtrudniejsze, za co się dotąd zabrałem. Ale, sir, w życiu są trudniejsze wyzwania niż selekcja.

Sapał, przepełniony irytacją, dopóki nie wymyślił innego sposobu na dołożenie mi. Oto, jak się to rozegrało.

Na zmianę wrzeszczeliśmy na siebie. Krzyczał, że Ran-gerzy to banda pensjonariuszek, a ja mu na to, że ma w głowie kilo mułu. On mi wytknął, że jestem żołnierzem z parady, czemu zaprzeczyłem, mówiąc, że najwyraźniej nie zaglądał do moich akt, bo napisano tam, że nigdy nie służyłem ani dnia poza oddziałami bojowymi.

Beckwith wściekał się aż do dosłownej utraty tchu, a potem zaatakował mnie ktoś inny, w

odmiennym stylu. Dostawało mi się ze wszystkich stron. Czułem się jak niedźwiedź, grzbie-tem oparty o skałę i osaczony przez stado myśliwskich psów. Ataki stały się tak intensywne, że musiałem zacząć walczyć.

pewnej chwili Beckwith powiedział, że ma dość mo-jego pieprzenia i zawoła sierżanta Russela, żeby mi skopał dupę - tu wskazał na potężnego faceta wyglądającego na niezłego twardziela siedzącego przy końcu stołu.

Popatrzyłem na Russela, odwróciłem się, by spojrzeć prosto w twarz pułkownika i powiedziałem mu, że tego rozkazu lepiej niech nie wydaje, jeśli nie chce, żebym spu-ścił manto jego człowiekowi. Russel złapał moje spojrze-nie i lekko się uśmiechnął, a ja stanąłem gotowy do skoku w razie konieczności. Gdyby Beckwith poszczuł mnie Russelem, planowałem kopnąć gościa w twarz i wyelimi-nować z walki zanim w ogóle wstanie z krzesła. To była jedyna szansa.

Przerwaliśmy dla złapania oddechu. To było jak gong na ringu i zarówno pułkownik, jak i ja, opadliśmy na krzesła, dysząc jak bokserzy między rundami. Przyjąłem kilka nie-złych ciosów, ale czułem, że i moje rany zabolowały przeciw-nika. W końcu sierżant Grimes przerwał grobową ciszę.

- Haney - powiedział ze swoim ciężkim akcentem - raporty wzajemne innych uczestników wykazały, że mają o was marne zdanie. Mówią, że jesteście kiepskim żołnierzem - jego głos był spokojny i wyrównany, a on sam celowo mnie obserwo-wał z przymrużonym okiem, jakby sprawdzał lufę karabinu.

Przez kilka sekund myślałem o tym, co mi powiedział. A potem odrzekłem:

- Sierżancie, to gówno prawda i wiecie o tym. Próbu-jecie tylko mnie rozdrażnić. Jestem do cholery najlep-szym żołnierzem, jakiego większość tych ludzi miała oka-zję spotkać w ich żołnierskim życiu.

Grimes stłumił kolejny uśmiech.

Ktoś po drugiej stronie sali - ktoś, kto po prostu mu-siał być oficerem - pokiwał na mnie palcem i oświadczył, że odpowiadam wymijająco i półsłówkami. Stwierdził, że odmówiłem odpowiedzi na wszystkie pytania w serii te-óstów psychologicznych.

Zapytałem go, o czym mówi, a on podniósł kartkę pa-pieru i przeczytał na głos:

- „Kocham moją matkę, ale...” - dlaczego nie dokoń-czyliście zdania? - wrzasnął na mnie, potrząsając w powie-trzu zwiniętym arkuszem papieru.

- Nie ma co uzupełniać - powiedziałem. - Kocham moją matkę i nie ma tu żadnych ale. Proszę nie wykorzy-stywać moich uczyć do matki przeciwko mnie.

- Pułkowniku, mam dość - powiedział, odwracając się, by spojrzeć na Beckwitha. - Ten człowiek nie potra-fi udzielić prostej odpowiedzi na najprostsze pytanie. Jest bezczelny i lekceważący odkąd przeszedł przez te drzwi. Dla mnie, jak na jeden raz, to aż za dużo.

Pułkownik potaknął ruchem głowy. Znów spojrzął na mnie i powiedział:

- Wyjdźcie i zaczekajcie aż was zawołam - odprawił mnie wystawionym w stronę drzwi kciukiem.

Wstałem, zsalutowałem i ruszyłem w stronę drzwi. Na mój salut odpowiedział niemal niezauważalnym machnięciem ręki. Pomaszerowałem do drzwi i niewyobrażalnym wysiłkiem woli powstrzymałem się od trzaśnięcia nimi. Sztywnym krokiem przeszedłem w oddalony kąt holu i zacząłem chodzić wokół niewidzialnego kwadratu o boku czterech moich kroków. Byłem nakręcony jak kilogram śrubek.

Jeden z moich kumpli z selekcji nie mógł tego dłużej znieść i podszedł, żeby ze mną pogadać. Zatrzymałem go uniesioną dłonią, zanim zdążył otworzyć usta i nabrać tchu.

— Jimmy, o nic mnie nie pytaj. Wiesz, że nic nie mogę powiedzieć, a ty wpakujesz nas w kłopoty, jeśli nie odejdziesz. No, idź sobie - mówiąc to odwróciłem się tyłem i zacząłem chodzić w przeciwnym kierunku.

Faceci na drugim końcu holu gapili się na mnie jakbym miał wąglika.

Kilka minut później „Wesołek” wyszedł z sali konferencyjnej i pokiwał na mnie, żebym wszedł za nim do innego pomieszczenia. Był to gabinet lekarski.

— Przeczytaj litery na tablicy na ścianie - powiedział. - Wszystkie linijki, od góry do dołu.

— W okularach czy bez? - W.

Przeczytałem i zapytałem:

— O co do cholery chodzi?

— Pułkownik chce wiedzieć, czy dobrze widzisz. Bardzo mało ludzi noszących okulary przetrwało Fazę Stresu. Teraz chodź ze mną. On chce, żebyś przyszedł. Po prostu usiądź, meldować się nie musisz.

Wróciłem na swoje krzesło i wpatrzyłem się w pułkownika Beckwitha. Popatrzył na „Wesołka” i zapytał: -No i?

Wesołek kiwnął potakująco głową.

— Pułkowniku, jego wzrok w okularach jest w porządku. Pułkownik popatrzył na mnie. Jego spojrzenie nadal

było groźne, ale zniknęło zaciętrzewienie.

— No, Haney - powiedział z leciutką nutką humoru w głosie. — Macie niezły charakter, jak się nabuzujecie, co?

- Tak, sir, obawiam się, że mam.

- A razem z nim idzie pod rękę cięty język, he? -Tak, sir, tym też dysponuję.

- I skłonny jesteś strzelać z biodra, gdy ktoś ci dowala?

- Tak, sir, to także prawda.

Wydał dolną wargę i przerwał, jakby zastanawiając się przez kilka sekund, po czym znów zaczął

mówić:

- No, cholera, synu, ja jestem taki sam i to nie zawsze jest złe. Najważniejsze to wiedzieć, kiedy to będzie przydatne, a kiedy nie. Ale podoba mi się twój styl i chcę, żebyś z nami został. Wstał wypowiadając ostatnie zdanie i wyciągnął do mnie swoje potężne łapsko.

Popatrzyłem na jego rękę, potem na twarz i się uśmiechnąłem. Złapałem jego wciąż wyciągniętą rękę, mocno nią potrząsnąłem i poczułem siłę jego uścisku. Inni faceci w sali stłoczyli się i mi gratulowali.

- Witamy na pokładzie — mówili. — Świetnie, że z nami zostajecie.

Grimes uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Próbowałem was rozdrażnić, co?

- Tak jest, panie sierżancie majorze. To właśnie pan robił, prawda?

- Robiłem, robiłem. Ale choć na chwilę was nabrałem, co?

- Prawie się panu udało, panie sierżancie majorze, był pan cholernie blisko.

To było wszystko. Udało mi się. Byłem członkiem najnowszej, najbardziej elitarniej jednostki w narodowym inwentarzu.

Kiedy Rada zakończyła swoje sprawy, w Pierwszym Operacyjnym Oddziale Sił Specjalnych było nas dwunastu. Ze 163 ludzi, którzy przystąpili do selekcji, 18 przetrzymało Fazę Stresu, a 12 - posiedzenie Rady Dowódców. Czterem od razu podziękowano, natomiast dwaj dowieździeli się, że mogą podejść do selekcji jeszcze raz w innym terminie. Obaj to zrobili i obaj się w końcu dostali. Współczynnik powodzenia na selekcji wynosił coś około 7 procent. Później okazało się, że był najwyższy w historii Delt.

Powróciłem do Hunter Fidel, by się wyinstalować z dotychczasowej jednostki i przenieść rodzinę do Fort Bragg. Jim Busch i ja byliśmy pierwszymi Rangerami, którzy dostali się do nowej, tajemniczej jednostki. A fakt, że nie mogliśmy o nim nic powiedzieć, jeszcze dodawał nam splendoru.

Spakowałem się, pożegnałem i ruszyłem na spotkanie nowego etapu mojego życia. Nie miałem pojęcia, na co się decydowałem. Gdy patrzę wstecz na młodego człowieka, którym wówczas byłem, mogę tylko dziwić się fartowi sprzyjającemu mi w tym nowym przydziale.

Życie było ciężkie przez większość czasu i niemal ciągle niebezpieczne — a co chwilę nawet — groziło śmiercią.

Rozdział drugi ZBIERANIE SIŁ

Efekt selekcji, która odbyła się wkrótce po mojej, było 11 kolejnych kandydatów. Tak więc ja i 22 pozostałych członków najnowszej i najbardziej tajemniczej jednostki zameldowaliśmy się w

Delta Force w listopadzie i grudniu 1978 roku.

Wraz z naszym przybyciem podwojona została liczebność oddziału. Teraz było wystarczająco dużo ludzi, aby przeprowadzać selekcję i trenować nowoprzyjętych. Masa krytyczna została osiągnięta, choć na styk. Wciąż brakowało nam ludzi, aby jednostka mogła osiągnąć siłę operacyjną - to miało potrwać jeszcze rok.

Gdy zameldowałem się zgodnie z przydziałem, okazało się, że mamy stacjonować w więzieniu wojskowym Fort Bragg, naszej kwaterze głównej przez kolejnych 8 lat. Jednostka potrzebowała dużego i bezpiecznego obiektu, a więzienie doskonale pasowało do naszych wymagań w owym czasie.

Armia właśnie zmieniała metodę obchodzenia się z więźniami. Żołnierze skazani przez sądy wojskowe na karę pozbawienia wolności nie byli już trzymani w rodzimych jednostkach, a wysyłani do Fort Leaverworth. A to oznaczało, że w Fort Bragg pozostał wielki, piękny, nowiutki, w pełni bezpieczny, a co najważniejsze nieużywany budynek. Pułkownikowi Beckwithowi udało się go przejąć.

To, co musieliśmy zrobić, by przekształcić go na własny użytek, ograniczyło się do odcięcia pryczy od podłogi w sypialniach i zbudowania kilku ścian, by powstały sale konferencyjne i wykładowe. Postawiliśmy płot, aby ograniczyć widok obiektu z zewnątrz. Przed wejściem posadziliśmy róże. Miły akcent.

Cywilni strażnicy pilnujący dostępu do frontowej bramy i ogrodzonego terenu byli jak jeden mąż emerytowanymi sierżantami majorami sił specjalnych — twardymi, oddanymi i poważnymi ludźmi.

Szef straży, Hugh Gordon, był jednym z moich ulubieńców. Gordon był niegdyś jednym z pierwszych członków Sił Specjalnych jeszcze w latach pięćdziesiątych. Podczas II wojny światowej został wraz z 82. Dywizją Powietrzno-Desantową zrzucony ze spadochronem na Normandię — dokładnie w dniu swoich dziewiętnastych urodzin. Dowodził wszystkimi ludźmi zapewniającymi nam zewnętrzną ochronę i, możecie mi wierzyć, nikomu nie udało się jej naruszyć - nawet nam.

Pewnego wieczoru po treningu doktor „Wesołek” postanowił skrócić sobie drogę i przeskoczyć przez płot na tyłach naszych zabudowań, zamiast iść dookoła, przez główną bramę. Gdy już siedział okrakiem na szczycie, nagle poczuł lufę pistoletu na pośladku, a Huckaby przemówił do niego: „Posadź swoją dupę na ziemi po tej stronie płotu”.

„Wesołek”, schodząc z powrotem na ziemię, cały czas powtarzał: „Nie strzelaj, Huck, to ja, Wesołek”. Pan Huckaby odprowadził go naokoło do bramy głównej i wpuścił do środka. Na odchodne Huckaby rzucił tylko, że cały czas wiedział, z kim ma do czynienia — inaczej zestrzeliłby go z samego szczytu płotu. Od czasu tej małej przygody żaden z nas nie próbował

przeskoczyć przez płot. Huck zmarł na posterunku 10 lat później. Znaleźno go martwego, siedzącego na ziemi z plecami wspartymi o siatkę i strzelbą leżącą w poprzek na kolanach. Podczas patrolu wzdłuż ogrodzenia dostał zawału. Niech Bóg błogosławi wszystkim starym weteranom.

Nasza grupa nowych członków jednostki otrzymała oznaczenie „OTC-3” (Kurs Treningowy Operatorów 3). Byliśmy trzecią grupą ludzi w jednostce. Pierwszą byli żołnierze osobiście wybrani przez Beckwitha, drugą - ci, którzy pochodzili z dwóch pierwszych selekcji, a dwie pozostałe grupy składały się z ludzi z dwóch najnowszych selekcji.

Ustaliliśmy nazwę „operator” na oznaczenie operacyjnego członka jednostki (w opozycji do członka personelu) ze względu na sytuację tak prawną, jak i polityczną. Nie mogliśmy użyć słowa „wywiadowca”, bo ma ono pewne szpiegowskie konotacje z CIA. Zaś termin „agent” pociąga za sobą skutki prawne.

Agent posiada uprawnienia do podejmowania pewnych działań, a uprawnienia te nadaje mu instytucja rządowa w oparciu o konstytucję stanową lub krajową.

Jednak w wojsku tylko oficerowie mogą wykonywać legalne misje dla prezydenta, potwierdzone przez Kongres. Sierżanci, jako podoficerowie, działają z upoważnienia Sekretarza Armii.

Sierżanci nie mogą zatem być agentami rządowymi. A ponieważ niemal każdy operacyjny członek Delta Force jest sierżantem, musieliśmy wybrać inną nazwę.

Stąd właśnie operator. Jeśli to dobieranie nazwy wydaje się zagmatwane, to dlatego, że takim jest. Jeśli jednak szukasz określenia dla jakiegoś rządowego bytu, zrozumiesz to lepiej.

Delta Force została organizacyjnie oparta na strukturze brytyjskiego 22. Regimentu Zawodowego SAS.

Najmniejszą częścią była czteroosobowa drużyna. Cztery lub pięć takich drużyn tworzyło wraz z małym elementem dowódczym pluton. Dwa plutony - snajperski i szturmowy - dawały razem szwadron. Każdy szwadron miał swoje dowództwo. Po zakończeniu szkolenia OTC-3 utworzyliśmy 2 szwadrony: Szwadron A i Szwadron B. Znane były one pod nazwą Szwadronów Koncerskich.

Oddział Selekcyjno-Treningowy, jak rzeczono Szwadrony Koncerskie, składał się z operatorów. Mieliśmy też Szwadron Sygnałowy, który zapewniał oddziałowi komunikację, i normalny kontyngent administracji, wywiadu, planowania operacyjnego i wsparcia.

Na szczycie piramidy znajdowali się dowódca, jego zastępca, oficer zarządzający, sierżanci majorowie oraz członkowie sztabu dowództwa, tacy jak chirurg i psycholog.

Najlepsi w różnych dziedzinach ludzie w armiiapełniali nieoperacyjne stanowiska w Delta Force. Operatorzy zawsze wiedzieli, że są wspierani przez absolutnych mistrzów w swoim fachu,

nieważne w jakiej specjalności - układaczy spadochronowych, urzędników administracyjnych, księgowych, personel zaopatrzeniowy, specjalistów od komunikacji czy w końcu rusznikarzy. Wymień jakiś zawód - a Deltowcy na pewno byli w nim najlepsi.

Oryginalny plan Deltę przewidywał trzy szwadrony operacyjne, jednak ten cel zrealizowano dopiero po 10 latach. Nawet w pierwszym roku mieliśmy problemy z hamowaniem tarć, a dalszy rozrost okazał się być powolny i bolesny. Trzeci szwadron Deltę powstał w końcu w 1990 roku, w związku z operacją Pustynna Burza.

Nasz program szkoleniowy miał rozpocząć się w pierwszym tygodniu stycznia 1979 roku, zaraz po feriach świątecznych. Do tego czasu zajmowaliśmy się pracami i projektami konstrukcyjnymi w siedzibie, by przygotować ją do użycia. Wykańczaliśmy nowo zbudowane budki strzelnicze i wznieśliśmy strzelnicę. Podczas gdy my przygotowywaliśmy obiekty, instruktorzy przygotowywali się do przeprowadzenia nas przez program szkoleniowy, który ukształtowałby z nas operatorów antyterrorystycznych.

Pułkownik Beckwith osobiście wybrał zespół czterech ludzi, którzy mieli być instruktorami prowadzącymi. Wcześniej tego lata zostali oni przeszkoleni w taktyce i technice antyterrorystycznej przez przyjezdny zespół ekspertów szkoleniowych z brytyjskiego SAS. Dodatkowo mieliśmy otrzymać pomoc od odwiedzających nas instruktorów i wykładowców z agencji rządowych takich, jak Akademia FBI, CIA, Departament Stanu, Federalna Administracja Lotnictwa (FAA), Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych, Agencja Obrony Nuklearnej, Departament Energetyki czy Biuro Szeryfa Federalnego. Mieliśmy też przyjemność słuchania wykładowców i ekspertów w dziedzinie terroryzmu ze świata akademickiego. Od samego początku Beckwith pragnął stworzyć Kurs Szkoleniowy Operatorów jako najbardziej szczegółowy i pogłębiony program w swoim rodzaju, dzięki któremu dałoby się wyszkolić najlepiej wykwalifikowanych i uzdolnionych antyterrorystów na świecie. A wraz z upływem czasu i doświadczenia kurs robił się coraz lepszy. Było to zupełnie nowe podejście do zadania, nigdy dotąd nie zastosowane przez żadną organizację. Tak naprawdę, wszystko w naszym życiu miało być od tego momentu inne.

Po przydziale do Delta Force przestaliśmy istnieć dla zwykłej armii. Delta Force była (i jest) tajną organizacją. Oficjalnie nie istniała w wojskowych rejestrach oddziałów, podobnie jak jej członkowie. Zwyczajnie zniknęliśmy z systemu. Nasze teczkę zostały wyciągnięte i od tego czasu podlegaliśmy zarządzaniu przez tajny system znany jako Rejestr Bezpieczeństwa Departamentu Armii (DASR).

Mieliśmy przykrywkową organizację w Fort Bragg, której używaliśmy jako naszej „oficjalnej” jednostki. Miała ona formalny adres, dowódcę i pierwszego sierżanta, kogoś do odbierania telefonów i zapewnienia podstawowego zabezpieczenia. Taka „oficjalna” jednostka zapewniała

przykrywkę dla właściwej i przydawała się we wszystkich przyziemnych życiowych sprawach - gdy trzeba wpisać macierzystą jednostkę do wniosku kredytowego lub powiedzieć sąsiadom, gdzie się pracuje. Nazwa jednostki i numery telefonów zmieniają się co kilka lat, by nie stały się zbyt wyświechtane.

Zniknęliśmy z wojska także w inny sposób. Chodziliśmy w cywilnych ciuchach i prawie nigdy nie nosiliśmy mundurów. Luźne zasady dotyczące wyglądu zewnętrznego pozwoliły nam na zapuszczenie dłuższych włosów i bród, co ułatwiało maskowanie się przy tajnych operacjach. Poza tym, jeśli musielibyśmy wyglądać bardziej wojskowo, szybkie strzyżenie było łatwiejsze, niż odwrotny proces.

Jak mawiał Mao: „Partyzantka pływa w morzu ludu”. A jako Delta Force działaliśmy jak partyzanci. Lub terroryści. Bo prawda jest taka, że aby stać się ekspertami w dziedzinie antyterroryzmu, musieliśmy najpierw być znakomitymi terrorystami.

Całkowicie odizolowaliśmy się od osób z zewnątrz. Nie rozmawialiśmy z nikim spoza jednostki o tym, co robimy - nawet z naszymi rodzinami. Wewnątrz funkcjonowaliśmy na zasadzie wiedzy absolutnie niezbędnej. Jeśli jakiś kolega z drużyny zniknął na pewien czas, po jego powrocie nie pytaliśmy, gdzie był ani co robił. Jeśli wykonywał misję nowego typu, o której musieliśmy wiedzieć, byliśmy o tym informowani podczas spotkania ze wszystkimi operatorami.

Właśnie dlatego w krótkim czasie bezpieczeństwo operacyjne stało się obowiązującą religią, a my w naturalny sposób ograniczyliśmy interesy z ludźmi z zewnątrz. Stało się to tak silnym nawykiem, że do dzisiaj, gdy ktoś pyta mnie, czym się zajmuję, w pierwszym odruchu szukam wymijającej odpowiedzi.

Podczas tego okresu kształtowania się jednostki, Kurs Treningowy Operatorów Delta trwał 6 miesięcy. W ostatnich latach dodano jeszcze doń Przyspieszony Kurs Skońców Spadochronowych, ale główne obszary szkolenia oraz długość samego kursu pozostały niezmiennione.

Nasz kurs trwał od stycznia do czerwca 1979 roku. Przez ten czas opanowywaliśmy umiejętności, których potrzebowaliśmy do wypełniania misji. Tworzyliśmy też nową taktykę i techniki, z których miała korzystać organizacja.

Strzelanie to zarówno nauka jak i sztuka. Naukowa strona strzelania głównie dotyczy zewnętrznej balistyki: jakiego rodzaju pocisk jest w locie, jaka jest prędkość początkowa, jak dobrze pocisk zachowuje energię, jaki jest tor lotu i jego przewyższenie do linii celowania, jaki jest wpływ czynników atmosferycznych, jak pocisk uderza w cel i jak oddaje mu energię.

Kilka innych naukowych zagadnień dotyczy mecha-niki sprzętu - konsystencja ładunku prochowego, waga i kształt pocisku, celność broni oraz odrzut.

Sztuka strzelania jest czysto ludzka. Widać to szczególnie wtedy, gdy trzymamy broń w

pulsujących, trzęsących się, drżących i dygoczących rękach. Gdy przeliczamy wszystkie zmienne i próbujemy zmusić pocisk, by wyleciał z lufy z taką precyzją, że uderzy dokładnie w punkt, tam, gdzie chcemy. Nawet jeśli jesteś w tym bardzo dobry, nigdy jednak nie czujesz się w pełni usatysfakcjonowany. A początki mogą być naprawdę upokarzającym doświadczeniem.

Jednak mistrzostwo strzeleckie to dopiero podstawa w przypadku operatora Delta Force. Bez tego byłby jakąś inną istotą. Bo gdy przyjdzie co do czego, operator musi być umiejętnym zabójcą. Jest jak wilk, który staje się pasterzem. Będzie zajmował się swoim stadem, ale - nie miejcie co do tego wątpliwości - nadal będzie nieubłagającym drapieżnikiem.

Strzelanie dzieli się na dwie kategorie - długo- i krótko-lufowe - taki sam podział dotyczy operatorów. Członkowie drużyn szturmowych to krótkolufowcy, zaś snajperskich i obserwacyjnych - długolufowcy.

Każdy w OTC jest szkolony w użyciu broni długolufowej. Żołnierze wybrani do plutonów snajperskich otrzymują dodatkowe (i wyczerpujące) szkolenie następujące zaraz po przydziale. Zamiast trenować z wymyślnym karabinem snajperskim, używaliśmy standardowego dla armii M-14, poprzednika M-16. M-14 w linii prostej pochodzi od Garanda M-1, wślawnego w II wojnie światowej.

M-14 jest cięższy od M-16, strzela znacznie większą amunicją, ma większy zasięg i siłę rażenia. Dobrze ustawiony jest znakomitą bronią przy strzelaniu do celu. Zmodyfikowany zaś i z zamontowaną lunetą używany był w armii jako karabin snajperski przez wiele lat. Snajperzy Delty wciąż wykorzystują go w pewnych zadaniach, jednak na potrzeby szkoleń używaliśmy jego wersji podstawowej. Nie ma sensu uczyć się jeździć porsche zanim nie opanujesz jazdy fordem. Spędziliśmy pierwsze trzy tygodnie kursu na strzelnicy. To był dobry, bezstresowy sposób poznania się nawzajem. Dało nam to szansę na zmianę początkowych opinii o żołnierzach z kursu - zwłaszcza paru, które sobie stworzyłem.

W selekcji brało udział dwóch gości, których nie cierpiałem od pierwszego wejrzenia - jak się okazało, z wzajemnością. Chociaż nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa podczas selekcji, moja niechęć do nich narastała zanim jeszcze zaczęliśmy OTC.

Jednym z tych ludzi był krępy Kalifornijczyk z 5. Grupy Sił Specjalnych z Fort Bragg. Drugim - ciemnowłose, muskularny facet z Brygady Piechoty na Alasce. Nie wiem dlaczego ich tak nie lubiłem w czasie selekcji, jednak zanim udaliśmy się na OTC, gotów byłem ich nienawidzić. Kalifornijczyk, Jerry Knox, był człowiekiem-li-sem. Miał złośliwe poczucie humoru i najwyrazistszy charakter, na jaki się w życiu natknąłem. Mięśniak, J. T. Roberts, był niebywale odważny - jednym z najdzielniejszych ludzi, jakich spotkałem.

J.T. nienawidził skoków spadochronowych - mówił, że jest nimi przerażony. Pewnego dnia byłem wyrzucającym i gdy przygotowywaliśmy się do lotu, J.T. w kółko nawiążywał, jak to on nienawidzi

skoków i jak bardzo jest przerażony. Sprawdzając jego sprzęt przed wejściem na pokład spytałem z irytacją:

- Jeśli tego tak cholernie nienawidzisz, J.T, dlaczego piętnaście lat spędziłeś w siłach powietrznych? W końcu to jest dobrowolne, nie?

Popatrzył na mnie z zaskoczeniem i powiedział:

- Cholera, Erie, ja po prostu lubię przebywać z ludźmi, którzy lubią to robić.

Podczas OTC rozwinął się w nas szczery szacunek do siebie nawzajem i pojawiły się przyjaźnie, które mogły długo przetrwać. W sumie rozciągnęło się to na każdego naszego człowieka, bo stworzyliśmy zwarty oddział. To była najlepsza grupa ludzi, z jaką byłem związany w całym życiu.

Od czasu do czasu pojawiały się różnice zdań. To naturalne w każdym zespole - a zwłaszcza takim, który złożony jest z prawdziwych twardzieli. Jednak zawsze umieliśmy te różnice przepracować, nawet jeśli to bywało nieco burzliwe.

W Delcie była jedna żelazna zasada: nigdy nie podnosić w gniewie ręki na brata operatora. Było to niewybaczalne i oznaczałoby natychmiastowe wydalenie. Coś takiego miało miejsce tylko raz w trakcie mojej ośmioletniej służby w organizacji i nie wierzę, żeby od tego czasu kiedykolwiek się powtórzyło.

Te pierwsze tygodnie spędzone na strzelnicy były cenne z kilku powodów. Poznaliśmy charaktery naszych towarzyszy i położyliśmy solidne fundamenty pod później rozwijane kluczowe umiejętności. Zidentyfikowano potencjalnych snajperów - ze względu zarówno na wrodzony talent, jak i na charakter. W tych wczesnych latach nie mogliśmy pozwolić sobie na luksus długotrwałego szkolenia snajperów.

Zegar już tykał - i to szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Podstawowym narzędziem każdego członka drużyn szturmowych były pistolety i pistolety maszynowe. Początkowo oba rodzaje broni strzelały pociskami tego samego kalibru

Naszym pistoletem maszynowym był stary M-3 z okresu II wojny światowej - zwany też „smarownicą”. Korzystaliśmy z unowocześnionego modelu, ponieważ Beckwith zdobył od CIA cały magazyn tego sprzętu - Charlie nie przepuścił żadnej okazji. Jeden z ludzi narzekał kiedyś, że mamy ich tyle, ale Beckwith mu odpowiedział:

- Cholera, jeśli nie proszą, obrządzania nie potrzebują, to co się czepiasz?

W praktyce „smarownica” była łatwa w użyciu. Nawet jeśli miała słabą celność i ograniczony zasięg, kaliber .45 dawał jej siłę, która robiła niezłe wrażenie. Po roku zaadaptowaliśmy niemieckie MP-5 firmy Heckler und Koch. Miały zastąpić „smarownice”, jednak kilka z nich zatrzymaliśmy - do wykorzystania jako broń wytłumioną. W tej roli były niezastąpione. Prędkość wylotowa pocisku jest poddźwiękowa - pociski nie huczą przecinając powietrze, ale wciąż są

dostatecznie ciężkie, by zachować energię i siłę rażenia.

Nasz pistolet był precyzyjniejszą wersją Colta m-19HA1, rezerwowej broni naszej armii. Ten pistolet kalibru .45 jest duży i ma silny odrzut, sam z siebie jest celny, ale trudno opanować posługiwanie się nim. Każdy operator ma dwa i są one bronią używaną częściej niż jakakolwiek inna w bezpośrednim starciu.

Pistolety łatwo ukryć i przetransportować. Mając .45 dysponowaliśmy wystarczającą mocą, a dzięki szkoleniu potrafiliśmy strzelać z nich daleko i celnie.

Naszą podstawową metodą strzelania był „ogień in-styktowny”, który uważany jest za podstawową umiejętność do prowadzenia śmiertelnej walki bezpośredniej. Oto dlaczego.

Większość rodzajów strzelania opiera się na metodach wykorzystywanych w strzelaniu do celu, czyli na wpatrywaniu się w cel podczas strzelania. Ta zasada odnosi się też do strzelania z pistoletu, jeśli zależy ci na mierzeniu do celu. Jednak walka na broń palną z bliska jest odległa o lata świetlne od strzelania do celu. A nawet jeszcze odleglejsza.

Strzelanie bojowe jest bardziej pokrewne strzelaniu do rzutków lub ptaków - i można to zrobić tylko nie spuszczać oka z celu oraz koncentrując się na nim maksymalnie. Aby trafić cel, zamiast delikatnego naciskania spustu aż broń wystrzeli, trzeba uderzyć spust w odpowiednim momencie. A zanim strzelisz do celu, musisz go zidentyfikować. Musisz określić, kto jest terrorystą. Aby to się udało, musisz przyglądać się ludziom, a nie celom. Jeśli przeszedłeś szkolenie uczące patrzenia na cele, a nagle, pozbawiony podstawowego instynktu samozachowawczego, zaczniesz się przyglądać przeciwnikowi, na pewno go nie trafisz. To przyczyna, dla której tylni gliniarze oddają niecelne strzały w czasie zbrojnych konfrontacji. Patrzą na ludzi, choć nauczani byli patrzenia na cele.

Jest takie stare wojskowe przysłowie, że powinneś „szkolić się tak, jak walczysz”. W większości jednak armia to ignoruje. Dlatego też regularne oddziały dostają po dupie w początkowych starciach, chyba że najpierw otrzymały długotrwałe przeszkolenie przed pierwszą walką. Jednak z jakiejś niezrozumiałej przyczyny generałowie i inni starsi oficerowie nie zauważają, że szkolenie w czasie pokoju ma mały związek z realną walką.

Jednak w Delcie, jedynym oddziale wciąż przebywającym w walce, nie mieliśmy tego luksusu, by marnować czas szkoleniowy. Kiedy dzwoni gong, musimy wyjść z narożnika, nie tylko kiwając się w unikach, ale i zadając mocne, zabójcze ciosy. Musisz przyjrzeć się wrogowi i uderzyć go - dokładnie tam, gdzie chcesz. Zabij go i wyeliminuj z walki, zanim zdąży cię poważnie zranić. Jeśli walczysz na śmierć i życie w pomieszczeniu lub kabinie samolotu, nie masz innego wyboru. Początkowo wystrzeliliśmy jeden pocisk naraz. Kiedy byliśmy w stanie strzelić w miejsce, którego szukaliśmy (zlokalizuj i zniszcz) - zwiększaliśmy odległość. Gdy odległość była zbyt duża, znów powoli zbliżaliśmy się do celu i ćwiczyliśmy dwustrzały - dwa bardzo szybkie strzały w

to samo miejsce. Celem takiego podwójnego strzału było zadanie rany, która na pewno będzie śmiertelna.

Robiliśmy to wciąż i wciąż. Szybko skończyła się zabawa, a zaczęła praca. Mniej więcej w tym samym czasie stała się też bolesna. Kaliber .45 to potężny pistolet i ma duży odrzut, a mocny chwyt, który stosowaliśmy, oznaczał, że cała siła odrzutu jest absorbowana przez dłonie i ręce. Niebawem, podobnie jak u innych, od uderzeń broni w dłoń pojawił się u mnie bolesny pęcherz u nasady kciuka. Ręka nieco goiła się w nocy, ale nie na tyle, by nie boleć następnego dnia. Po jakimś czasie pęcherz zamienił się w odcisk, który pozostał na mojej dłoni przez osiem kolejnych lat. Najłatwiejszym sposobem zidentyfikowania członka Drużyny Szturmowej Delta Force było sprawdzenie, czy ma odcisk na dłoni. Wszyscy je mieli.

Postrzelaliśmy sobie. Osiem godzin dziennie, tysiące pocisków posłanych w dal. Strzelaliśmy dopóki nasze cele nie były całkowicie zniszczone, a potem ustawialiśmy nowe. Kiedy wyrobiliśmy sobie odpowiednią technikę z nieruchomej pozycji, instruktorzy kazali nam strzelać z obrotu w prawo i w lewo. Kiedy opanowaliśmy i to, nauczyliśmy się, jak stawać tyłem do celu, cofać się i na rozkaz strzelać.

Potem dowiedzieliśmy się, jak strzelać w marszu. Najpierw szliśmy prosto na cel, a następnie równoległe do niego. Później odchodząc od niego, obracając się i strzelając na komendę.

Pracowaliśmy w czteroosobowych grupach prowadzonych przez jednego z czterech instruktorów: Bilia, Mike'a, Boba lub Allena. Instruktorzy co-dziennie się zmieniali. Nasze umiejętności wzrastały równoległe ze wzajemnym zaufaniem i stawaliśmy coraz bliżej siebie podczas strzelania.

Niebawem zaczęliśmy strzelanie do wielu celów naraz, najpierw dwóch czy trzech, później zaś do całych grup. Potem wstawiliśmy „dobrego faceta” pomiędzy „złych”. Cele były coraz bliżej siebie i źli faceci byli czasem zasłonięci przez dobrych.

Potem ćwiczyliśmy strzelanie w biegu, zawsze zbliżając się do celów, agresywnie. Zmienialiśmy broń z pistoletu automatycznego na zwykły i z powrotem. Nasz instruktor nieraz ładował nam broń, celowo powodując jakieś niewłaściwe działanie, bądź też ładując tylko częściowo zapelniony magazynek, tak byśmy musieli zmienić broń, przeladować pistolet lub go w trakcie naprawić.

Nasza reakcja na takie nietypowe zdarzenie musiała być rutynowa.

Później robiliśmy to samo w grupach dwu-, potem trzy- i czteroosobowych. Ustawialiśmy grupę celów jako drużynę, zbliżając się do niej i utrzymując ogień, jednocześnie zwracając też jednak pilną uwagę na ludzi tuż obok siebie, często strzelających zza ciebie, a w każdym razie w pobliżu. Najważniejsze było obliczenie kąta strzału tak, by zdjąć „złych” gości, nie dopuszczając jednak, by pociśki przeszedłszy przez ich ciała, raniły „dobrych” facetów.

Zastrzelić „dobrego” faceta równało się natychmiastowemu złożeniu „chińskiej samokrzyki”.

Wszystkie czynności były zawieszane, a ty musiałeś objaśniać instruktorowi i kolegom z drużyny, dlaczego zastrzeleś zakładnika. Nikt nie brał tego lekko i nie było to ani trochę zabawne. Podobnie jak zastrzelenie towarzysza, to był jeden z najgorszych możliwych błędów. Byliśmy szkoleni do uwalniania zakładników, a jeśli do-puszczaliśmy do ich śmierci, nie sprawdzaliśmy się. Jeśli się nie postaramy, może nas zastąpić pluton piechoty. Po prostu wejdzie i wszystkich pozabija.

Pracowaliśmy nad tym ponad miesiąc. Cały miesiąc na strzelnicy. Pod koniec dnia odkładaliśmy broń i sprzęt na ciężarówkę, przebieraliśmy się w stroje do biegania i biegliśmy do siedziby, mając do pokonania nieco ponad osiem kilometrów. To był dobry sposób na zrzućcie z siebie zmęczenia. Po powrocie czyściliśmy broń, gadaliśmy o minionym dniu, myśleliśmy i szliśmy do domu, by wrócić następnego ranka. Na początku każdy widzi gwałtowny wzrost swoich umiejętności strzeleckich. Potem jednak dochodzi do fazy plateau. Wzrost umiejętności jest wtedy wolny, przychodzi małymi krokami. Później każde osiągnięcie wypracowywane było przez doskonalenie niuansów techniki strzeleckiej.

W końcu wprowadzono nas do Shooting House, gdzie mieliśmy spędzać 8 godzin dziennie przez kolejny miesiąc.

Shooting House znajdował się na tyłach więzienia. Właściwie był tuż przy tylnej bramie naszego obiektu. Pomagałem w budowaniu go, stawiałem ściany z płyt karto-nowo-gipsowych tuż przed moim OTC, a ludzie, którzy wcześniej od nas dostali się do oddziału, już od paru tygodni ćwiczyli tam strzelanie przez kilka godzin dziennie.

Ten oryginalny Shooting House był prostym przedsię-wzięciem, składał się z czterech pomieszczeń, dwóch po każdej stronie, i biegnącego przez środek korytarza. Całość była obniżana lub podwyższana wedle potrzeb. Trzy z tych pomieszczeń mogły służyć jako mieszkanie, biuro czy magazyn. Czwarte — było pokojem lotniczym, zawierającym część kadłuba samolotu wraz z drzwiami, fotelami pasażerów i schowkami na bagaż podręczny.

To miejsce skonstruowano tak, by wytrzymało siłę uderzenia wszelkich pocisków lub materiałów wybuchowych użytych wewnątrz. Framugi drzwi wykonane były z masywnego drewna i nieco luźne osadzone - tak, abyśmy mogli wysadzać je przy użyciu materiałów wybuchowych, a później wymienić na nowe.

Był tam też scentralizowany system wentylacyjny do wyciągania dymu, ale niestety zasysał on powietrze tuż nad podłogą i wypuszczał pod sufitem, przez co w nosach mieliśmy mnóstwo pyłu i oparów. Zmieniliśmy wentylację, gdy zdaliśmy sobie sprawę z problemu, ale przez pierwszy rok kilku gości miało podwyższony poziom ołowiu w organizmie, przez co musieli ograniczyć czas spędzany w Shooting House.

Shooting House był niesamowitym i przerażającym miejscem. W dniu, gdy pierwszy raz zabrał nas

tam instruktor, otworzyły się nam oczy. Każdy pokój był inaczej umeblowany. Jeden wyglądał jak biuro, drugi jak salon, trzeci miał charakter industrialny — no i oczywiście był tam pokój lotniczy. Wszystko wyglądało tak prawdziwie, że aż dziwnie. Meble były nowe, dywany czyste, a całe pomieszczenie zaludniały liczne manekiny w naturalnych pozach i strojach. Niektórzy byli terrorystami, inni zakładnikami - znajdowały się tu nawet dzieci. Jeżeli dotąd nie zdawałem sobie sprawy z powagi tego, w co się pakuję, to w tym momencie wszystko pojąłem.

To właśnie było miejsce, gdzie cały zakres naszej pracy ulegał integracji. W Shooting House do strzelania dodaliśmy taktykę. Formuła zajęć stała się nieskończenie bardziej skomplikowana i niebezpieczna. Instruktorzy demonstrowali. Używając ostrej amunicji.

Na zajęcia OTC wszyscy (a było nas dwudziestu trzech) zostaliśmy zabrani do dużego pokoju w Shooting House. Niektórzy z nas usiedli na kanapie, inni wokół stolika do gry w karty, więcej siedziało w kątach pomieszczenia, a reszta pozostała na środku. Pomiedzy nami rozmieszczeni byli źli faceci - pochodzące z FBI sylwetki w kształcie człowieka trzymającego broń. Bill, nasz główny instruktor strzelecki, położył walkie-talkie na stole na środku pokoju i powiedział nam, byśmy uważnie słuchali. Wszedł następnie i zamknął za sobą drzwi.

Kilka sekund później walkie-talkie zatrzeszczało i usłyszeliśmy:

- Mam kontrolę - uwaga! Pięć... Cztery... Trzy... Dwa... Jeden... Wykonać! Wykonać! Wykonać!

To, co nastąpiło później, było tak szybkie, że nie dawało się objąć w całości. Pokój wypełnił hałas i brutalna akcja.

Na pierwsze „Wykonać!” drzwi do pokoju otwały się z hukiem i zobaczyłem, jak wbiega przez nie Allen. Natychmiast, gdy wszedł, coś wyfrunęło z jego rąk w stronę środka sufitu i eksplodowało. Próbowałem obserwować ekipę, gdy wpadała do środka, ale moje oczy - podobnie jak wzrok wszystkich obecnych - przykuła ta petarda. Gdy eksplodowała nad naszymi głowami, nie słyszałem pistoletów ani broni maszynowej. Kompletnie osłupiałem.

Po trzech sekundach wszystko się skończyło. Nasi instruktorzy byli rozstawieni po całym pokoju. Allen stał w jednym rogu, Mike w drugim - naprzeciwko, Bill tuż obok drzwi po lewej, zaś Bob po prawej. Dym wisiał w powietrzu, a ja czułem w ustach i gardle piekące wyziewy petardy.

Bill spojrział na Allena i powiedział: — Przeszukać.

Z odbezpieczoną bronią Allen przeszedł przez tę część pokoju, którą szturmował, sprawdzając oznaki życia u martwych terrorystów. Bill osłaniał go podczas sprawdzania każdego celu, a następnie wrócił na swoje miejsce w narożniku.

Kiedy Allen znów był na swojej pozycji, pokiwał twierdząco głową do Billa, który przeniósł swoją uwagę na Mike'a, wydając tę samą komendę. Bob osłaniał Mike'a podczas sprawdzania „trupów” i dwukrotnie przesunął się do przodu lub w bok, skąd mógł z łatwością wyeliminować cel podczas sprawdzania go przez Mike'a. Mike nigdy nie stał przed niesprawdzonym celem w

sposób, który uniemożliwiłby Bobowi zastrzelenie terrorysty w razie potrzeby.

Rozejrzałem się po pokoju i zobaczyłem, że każdy z „terrorystów” miał po dwa ślady pocisków w kluczowych miejscach: w głowie, na środku klatki piersiowej lub w szyi. „Jak oni to do cholery zrobili, skoro było nas tyłu pomiędzy celami?”. Wydawało się niemożliwe, że te wszystkie kule nas ominęły. Ktoś powinien dostać, ale wszyscy byli zdrowi i bynajmniej nie dziurawi. To było nierealne.

Bill zapytał:

— Czy wszyscy widzieli, co miało miejsce podczas szturmu?

— Cholera, Bill, nie ma szans - zaskrzeczał ktoś. - Wszystko, co zobaczyliśmy to ta cholerna petarda i nagle byliście już w środku.

— No i tak to ma działać - odpowiedział Bill. - Teraz zrobimy to jeszcze raz, spacerowym krokiem i objaśniając wszystko po drodze.

— W normalnych warunkach drzwi wyważylibyśmy za pomocą środków wybuchowych, ale w tym wypadku za bardzo by was to rozproszyło.

Podczas gdy Bill mówił, Allen przeszedł przez pokój w ramach pokazu.

— Pierwszy człowiek w pokoju, numer pierwszy, rzucił petardę - powiedział Bill - i podjął błyskawiczną decyzję o obrocie w lewo. Zrobił to, ponieważ lewa strona pomieszczenia była „cięższą stroną”, co oznacza, że po tej stronie pokoju było więcej osób. Mogło też to oznaczać, że ta strona pomieszczenia jest dłuższa - więcej na ten temat dowiecie się później. Numer pierwszy zawsze przechodzi na cięższą stronę, co zwykle oznacza tę bardziej niebezpieczną.

Allen szedł lewą stroną pokoju imitując strzelanie do celów, które wcześniej zdjął ostrą amunicją w biegu.

— Trzymając się blisko ściany, przesuwa się do jej końca, zdejmując po drodze cele znajdujące się w tym obszarze. Zakręca w narożniku i idzie dalej wzdłuż ściany, wciąż eliminując cele.

Zatrzymuje się w następnym rogu i odwraca w stronę pokoju.

Wszyscy popatrzyliśmy na Allena.

— Czy na tym pierwszym etapie ktokolwiek szedł za Allenem, zanim ten zatrzymał się w kącie? — zapytał Bill niewinnie, chociaż znał odpowiedź.

Potrząsnęliśmy głowami.

— Dlaczego nie? - zapytał.

Kilku ludzi powiedziało, że rozproszyła ich petarda. Guy Harmon podał inną przyczynę.

— Próbowałem mu się przyglądać — powiedział — ale zamiast tego, zobaczyłem Mike'a nadchodzącego za Allenem. Mike skrzyknął i odwrócił moją uwagę.

— Czy widziałeś jak strzelał? - zapytał Bill.

— Nie - odrzekł Guy. - Wiem, że strzelał, ale kulilem się i kryłem. Skupiłem się na przeżyciu.

Bill pokiwał głową.

— Dobrze. Mike nadszedł tuż za Allenem, ale skręcił w prawo, podczas gdy Allen poszedł w lewo. Mike błyskawicznie zdjął cele przy ścianie przeciwległej do drzwi, przeszedł wzdłuż ściany do pierwszego rogu, odwrócił się i poszedł do obserwacji z narożnika zarówno środka pokoju, jak i miejsca wzdłuż ścian.

Mike szedł krok po kroku, ilustrując to, co opowiadał Bill.

- Czy widzicie, co się tu stało? Niemożliwe jest patrzenie naraz w obu kierunkach i sprawdzanie, co się dzieje, ponieważ wtedy uwaga jest zbyt podzielona, a to może być zabójcze. Szturmowiec jednak poświęca swoją uwagę temu, co znajduje się przed nim i swojemu sektorowi. Kto widział, jak ja i Bob wchodzimy do pokoju? - zapytał.

Właściwie to nikt. Kiedy ustała strzelanina, zauważyłem, że byli w pokoju po obu stronach drzwi. Czułem ich obecność, ale tak naprawdę nie zauważyłem ich dopóki nie ustały ich działania.

Bill kontynuował wyjaśnienia:

- Zamiast tłoczyć się za plecami pierwszych dwóch ludzi, odczekaliśmy ułamek sekundy przed wejściem do pokoju. W ten sposób uwagi terrorystów nie przykuwają drzwi, a jedynie dwaj ludzie, znajdujący się już w pomieszczeniu i którzy wciąż się przemieszczają. Dzięki temu, że poruszający się pierwszy i drugi odciągnęli uwagę od drzwi, weszliśmy niezauważeni. Przeszedłem na ciężką stronę i zacząłem zdejmować kolejne cele w tym obszarze, wspierając pierwszego.

Działałem od środka pomieszczenia do lewej strony. Bob ruszył w drugą stronę i działał od środka w prawo - gdy to mówił, ustawili się w opisywanych pozycjach. Doskonale.

- Popatrzcie na nas teraz. Przyjrzyjcie się naszemu położeniu i krytym przez nas obszarom. W pokoju nie ma centymetra kwadratowego, który nie byłby pod ogniem i obserwacją. Jeśli któryś mebel ogranicza pole widzenia jednego człowieka, co najmniej dwaj inni są w stanie zarówno widzieć jego otoczenie, jak i strzelać. Całkowicie zdominowaliśmy pokój. Był nasz. Tak samo jak wszyscy w środku.

- Gdybyście rzeczywiście byli zakładnikami - kontynuował Bill - jako dowódca drużyny zacząłbym do was mówić zaraz po ustaniu ognia. Chcemy, aby zakładnicy byli spokojni i stosowali się do naszych poleceń. Zapytamy więc, czy w pomieszczeniu jest jeszcze ktoś, kto stanowi zagrożenie. Chcemy dowiedzieć się, czy jacyś terroryści nie kryją się pomiędzy zakładnikami i czy nie ma tu jakichś materiałów wybuchowych. Nie wolno jednak pytać: „Czy są tu jakieś bomby?”, bo nie jest naszym celem wywołanie paniki.

Jasne. Jakby petarda i pistolety maszynowe jej nie wywoływały.

- Uznawszy, że wszystko tutaj jest pod kontrolą, przekażę raport sytuacyjny dowódcy plutonu. Poinformuję, że pokój jest czysty, poproszę o ewentualną pomoc medyczną i zamelduję gotowość ewakuacji zakładników. Do czasu przeniesienia zakładników w bezpieczne miejsce, gdzie

zostaną wstępnie przesłuchani i zidentyfikowani, należy do nich cały czas mówić.

- Gdy zakładnicy zostaną zabrani, streszczamy sobie nawzajem co stało się w pokoju. Po kolei każdy członek drużyny demonstruje i objaśnia swoje czynności w pomieszczeniu. Opowiada, jak się przemieszczał, kogo wyeliminował, ile pocisków wystrzelił i gdzie, rozlicza się z każdego wystrzału. Dopóki nie będę dokładnie wiedział, co drużyna robiła w pomieszczeniu, nie zamelduję dowódcy plutonu, że jestem gotowy przekazać pomieszczenie pod jego kontrolę. Jedynym wyjątkiem jest ewakuacja awaryjna, spowodowana, powiedzmy, pożarem lub odkryciem środków wybuchowych.

Jimmy Masters podniósł rękę, chcąc zadać pytanie. Jimmy, Indianin z plemienia Creek z Oklahomy, był jedynym z najbardziej przenikliwych ludzi w grupie. Kiedy miał pytanie lub komentarz, zawsze były wartościowe.

Bill potwierdził skinieniem głowy, że zauważył Jima i powiedział:

- Jim, chciałbym prosić ciebie i wszystkich pozostałych, abyście na razie nie zadawali pytań. Zrobimy sobie przerwę, a po niej będziemy kontynuować w sali wykładowej. Pułkownik Beckwith chce z wami pomówić. Później odpowiemy na wszystkie wasze pytania i pojedziemy dalej z tym koksem. Shooting House będzie waszym domem przez kolejny miesiąc. Dobra, to tyle. Za piętnaście minut widzimy się w sali. Rozeszliśmy się.

Chociaż widziałem to z bliska, cały ten szturm na pokój był nieprawdopodobny. Jego nagłość była zdumiewająca. W jednej chwili było spokojnie, a za moment rozpętało się piekło - i równie nagle znów zapanował spokój. Działa tu jakiś czynnik psychologiczny, który mnie zaintrygował.

Grupa szturmowa ostro ruszyła do akcji, gdy rozpoczął się atak, ale zaraz po jego zakończeniu żołnierze znów byli spokojni i opanowani. Zupełnie płynnie przeszli z jednego stanu w drugi. Nie potrzebowali czasu na zatrzymanie się i uspokojenie po tym wybuchu gwałtowności. Wiedzieli, kiedy zachować spokój, a kiedy działać. Nie stracili samo-kontroli nawet na sekundę. Nie wyglądali na podekscytowanych, co byłoby normalne u większości mężczyzn.

Teraz dopiero rozumiałem, do czego doprowadziły nas te ćwiczenia strzeleckie. Gdyby teraz przerwano nasze szkolenie, byłibyśmy cholernie dobrymi strzelcami bojowymi — o niebo lepszymi niż każdy inny żołnierz spoza jednostki. Ale ta kolejna faza szkolenia miała wnieść nas na zupełnie inny poziom.

A w głębi mojego jestestwa tkwiło ziarno przerażenia. „Mógłbym to zrobić? Byłbym zdolny strzelać tak blisko niewinnych ludzi i podjąć ryzyko zabicia niewinnego zakładnika lub kogoś ze swoich?”.

Ucziwa odpowiedź brzmiała — jeszcze nie. Moje umiejętności były bliskie ideału, ale moja pewność siebie zdecydowanie nie.

— Panowie, dowódca.

Zerwaliśmy się na równe nogi i stanęliśmy na baczność, gdy pułkownik Beckwith sunął środkiem sali między ławkami jak głodny niedźwiedź, który zobaczył barć. To był pierwszy raz, kiedy Beckwith zwracał się do nas jako do grupy.

- Siadajcie, ludzie, siadajcie — burknął i poparł swe słowa gestem ręki. Stał przed nami z pięściami w kieszeniach, przez pełną minutę świdrując nas spojrzeniem.

Wyglądał i brzmiał jak stary aktor westernowy Chill Wills - jednak w jakiś nieprzyjemny sposób. Jego ponury głos wydobywał się z głębi piersi. Miał na sobie brudne zamszowe buty pustynne, a jego spodnie w kolorze khaki wisały mu pod brzuchem. Niebieską koszulę miał rozpiętą pod szyją. Na wierzch założył granatową marynarkę. Wyglądał jakby ostrzelano go ciuchami i niektóre z nich trafiły na właściwe miejsca. Patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że nie dałby rady dbać o siebie mniej. I to był ten sam człowiek, który później zatrudnił stylistę, który nas uczył, jak się ubierać. W końcu znów się odezwał.

— No - wycedził - mieliście, chłopcy, przedsmak tego, o co nam wszystkim chodzi, co? My tu nie handlujemy butami ani nie produkujemy kaszki manny. Mówimy tu o cholernie poważnym biznesie. Macie zabijać i to pie-rońsko dobrze, bo my się w branie jeńców nie bawimy. Nie będziemy wysyłać tych zasrańców do pierdła, żeby ich popieprzeni kumple brali kolejnych zakładników, by tamtych wypuścić. O nie, mają zdechnąć, a my zrobimy z nich męczenników. To najlepszy sposób.

— Ale żeby mi nie strzelać do zakładników w akcji! - za-grzmiał. — Nie będę potem oczami świecić przed prezydentem, dlaczego skasowaliśmy paru niewinnych koleżków, skoro mieliśmy ich ratować.

Beckwith przerzucał się na knajacki język, gdy bardziej mu pasował do gadania o poważnych sprawach, albo gdy był wściekły. W miarę jak go poznawałem, odkrywałem, że tę afektację wykorzystywał dla udratyzowania wypowiedzi. Beckwith był wybitnym specjalistą od terroryzmu, ale oprócz tego — zawsze showmanem.

- No i musicie być dobrzy, musicie być sprytni - kontynuował, przechadzając się przed pierwszymi ławkami. — A ja zadbam o waszego farta.

Zatrzymał się na środku sali i pochylił w naszą stronę, a na twarz wypełził mu uśmiech.

- I powiem wam, do czego chcemy dojść - ciągnął dalej. - Jak tylko, chłopaki, skończycie OTC, będziemy mieli wystarczająco dużo ludzi do oficjalnego sformowania jednostki. Potem zrobimy półroczne szkolenie, a potem powiem prezydentowi, że możemy ruszać. A wtedy dupy w troki, bo już ja wam dam zajęcie. Mówię wam, będzie dobrze — dokonamy wielkich rzeczy, to będzie jak zbieranie diamentów prosto z gleby. Tak, tak, szanpanowie, diamentów wielkich jak krowie placki.

No to słuchajcie tego, czego Bill i jego zespół was uczą. Ta faza szkolenia będzie ciut niebezpieczna, a ja jeszcze nie mogę się pozwolić na stracenie któregoś z was. Dobra, Bill, bierz ich. Po tych słowach wymiotło go z sali tak błyskawicznie, że ledwie zdążyliśmy wstać, gdy wychodził. „No, to było zabawne. Diamenty wielkie jak krowie placki, co? Zobaczymy, zobaczymy. Dla jednego diament, dla drugiego łajno. I co? Nie może sobie jeszcze pozwolić na stratę ludzi? Hm. Ciekawe, kiedy będzie mógł?”.

Ale w jednej kwestii miał rację - następna faza szkolenia mogła być bardzo, bardzo niebezpieczna. Tym niemniej ufałem naszym instruktorom. Doprowadzili nas do tego punktu w mistrzowski sposób i byłem pewny, że pomogą nam pokonać nadchodzące przeszkody.

Resztę poranka spędziliśmy w sali wykładowej, podczas gdy Allen rozrysowywał kolejne etapy bitwy „pokojuwej” na tablicy. Narysował kolejność ruchów i czynności każdego członka drużyny dokładnie tak, jak opisywał je Bill jeszcze w Shooting House.

Na tablicy łatwo można było zobaczyć, w jaki sposób pokój podzielony był na cztery zachodzące na siebie obszary krycia ogniem. W pokoju nie wydawało się to aż takie oczywiste.

Prędkość, zaskoczenie i brutalność akcji. To były klucze do sukcesu i przeżycia - a oprócz nich zdolność strzelania, kiedy strzelać trzeba - i jedynie wtedy. Nie chodziło bynajmniej o to, by zrobić „złym” krzywdę. Mieliśmy szczerzy zamiar pourywać im łby i nasikać w szyje.

Posiadanie agresywnego i żądnego wrażeń ducha było tak podstawowym wymaganiami do tego zajęcia, że z góry uznano, iż każdy z naszych miał to, co było niezbędne. Wykazała to selekcja. Teraz dodawaliśmy po prostu kolejne umiejętności.

Zaczęliśmy trening w Shooting House podobny do ćwiczeń na strzelnicy. Najpierw wchodziliśmy przez drzwi nie-uzbrojeni, potem z bronią, a w końcu - strzelając ślepałkami. Kolejnym etapem było strzelanie ostrą amunicją do jednego celu - a w końcu do kilku celów. Zwiększaliśmy swoją szybkość aż mogliśmy poruszać się maksymalnym tempem.

To było ekscytujące. Stać tam, przed drzwiami do pokoju w pełnej gotowości, z mięśniami napiętymi jak ściśnięta sprężyna, z odbezpieczoną bronią. Bill, Mike, Allen lub Bob trzymali klamkę, odliczając głosem i palcami: „Trzy... Dwa... Jeden... Wykonać! Wykonać! Wykonać!”. Wpadasz z impetem do środka i natychmiast skręcasz w lewo lub w prawo. Czasem cel jest tuż przed tobą - tuż za progiem. Musisz strzelać w biegu. Strzelaj i przemieszczaj się jak najszybciej. Nie przestawaj strzelać, dopóki nie wyeliminujesz wszystkich celów. Oceniasz potem pomieszczenie pod kątem innych zagrożeń. Serce wciąż ci wali od tego wybuchu szybkości i energii, ale twój umysł musi pozostać spokojny i zdystansowany. To jakby obserwacja siebie i całej sytuacji spoza ciała - z jakiegoś punktu na suficie, skąd można zobaczyć wszystko, jak przez kamerę z rybim okiem.

Wkrótce wszystko zaczyna się układać i robi się płynne. Zaczynasz jak robot oczyszczać pokój.

Jeśli cel jest w twoim sektorze, strzelasz, nawet nie patrząc na trafienia, bo wiesz, gdzie uderzają pociski, zanim jeszcze wystrzelisz. Twój pistolet podąża za oczami, podczas gdy umysł je wyprzedza. Czujesz jak broń porusza się w twoich dłoniach, wyczuwasz i liczysz strzały, ale żadnego z nich nie słyszysz.

Mniej więcej wtedy do równania dodaliśmy zakładników. Nasi instruktorzy dorzucili kartonowe postaci ludzi - część z nich trzymała broń, część nie. Na początku powodowało to trochę wahania i zakłopotania, ale wkrótce przestaliśmy je odczuwać. Gdy tylko instruktor otwierał drzwi, a my wpadaliśmy do środka, strzelaliśmy w kierunku broni trzymanej przez cele lub do celów zidentyfikowanych jako „złe”, choćby nawet nie miały broni.

Potem zaczęliśmy pracować w parach. Dwaj ludzie naraz, pierwszy przejmujący ciężką stronę, drugi idący w przeciwnym kierunku. To dodało innego wymiaru całemu ćwiczeniu. Słyszało się i czuło wystrzały partnera, wiedziało, że tory pocisków się zmieniają i przecinają, a przede wszystkim wiedziało, że „swoją” jest w tym samym pomieszczeniu. Szczególnej wagi nabierały wówczas tory pocisków — nie chciałeś przecież zranić partnera — a on ciebie, ale czasami twoje kule mijały go o kilka centymetrów. A i ty byłeś wystawiony na podobne zagrożenie z jego strony. Następnie dodaliśmy do ćwiczeń element rannego towarzysza: jak przejąć jego część pomieszczenia, jeśli ten został postrzelony, wzięty do niewoli lub też jego broń nie działała. Przenosiliśmy się z pokoju do pokoju, zmienialiśmy partnerów, a każdy scenariusz był inny niż poprzednie. Kiedy doskonale opanowaliśmy oczyszczanie pokoi w dwuosobowych zespołach, zaczęliśmy naukę w pokoju lotniczym.

Aby oczyścić wnętrze samolotu, dwaj ludzie posuwali się przejściem między siedzeniami, wyglądając jak mordercze bliźnięta syjamskie. Prowadzący pochylony, a jego partner tuż nad jego ramieniem, jeden strzelał w prawo, a drugi w lewo. Najczęściej strzelało się w głowę, bo przeważnie tylko tyle celu było widać ponad siedzeniami i głowami „pasażerów”. Oddać te strzały przesuwał się maksymalnie szybko — i nie tknąć zakładnika — wydawało się niewykonalne. Wszystkie nasze strzały mijały o włos „dobrych”, ale nie było usprawiedliwienia dla draśnięcia zakładnika. Za taki błąd płacono się przerażającą publiczną samokrytyką.

Kiedy nauczyliśmy się działać, i to naprawdę dobrze, w dwuosobowych drużynach, zostaliśmy przeformowani w czterosobowe zespoły. Wymienialiśmy się pomieszczeniami w Shooting House i członkami zespołów. Każdy z instruktorów dowodził jednym z pokoi, a my przenosiliśmy się z punktu do punktu. Każde z pomieszczeń przedstawiało nowy problem i inną sytuację do opanowania.

Podczas oczyszczania pokoju lotniczego wkraczaliśmy do kabiny w czterosobowych zespołach i natychmiast rozdzielaliśmy się na dwie pary - jedna przemieszczała się w stronę dziobu, a druga w przeciwną stronę. Pracowaliśmy nad ewakuacjami awaryjnymi i nad tym, jak wyprowadzić

otępiąłych i przerażonych pasażerów, ograniczając wysiłek i zamieszanie do absolutnego minimum. Czułem się pewny - nie tylko swoich własnych umiejętności, ale także umiejętności moich towarzyszy. Nie było w grupie ani jednego człowieka, który spowodowałby, że zawahałbym się przed wejściem z nim do akcji i rozpoczęciem strzelaniny.

Mniej więcej na tym etapie Bill coś ogłosił.

- Bardzo dobrze sobie radzicie, chłopaki, i zaszliście bardzo daleko w bardzo krótkim czasie. Prawdę powiedziawszy jesteście znacznie bardziej zaawansowani, niż my byliśmy po takim samym okresie szkolenia.

Ciężko było sobie wyobrazić, że ci czterej też kiedyś byli nowicjuszami w czarnej taktyce*.

- Teraz zrobimy sobie przerwę od treningu w Shooting House. Zamierzam przekazać was Dave'owi Donaldso-nowi. On i jego zespół będą dowodzić waszym szkoleniem z pokonywania barier. Część jest mechaniczna, ale większość wiąże się z materiałami wybuchowymi. Będziecie pracowali z Davem przez parę tygodni, a później wrócicie do Shooting House, by to, czego się nauczycie, zastosować w praktyce. Poświęćcie Dave'owi i jego zespołowi tyle uwagi, co nam i zobaczymy się później. Tylko pa-miętajcie - wróćcie ze wszystkimi palcami. I mówiąc to, Bill po raz pierwszy się uśmiechnął.

Zarówno fizycznie, jak i psychicznie Dave Donald-son ukształtowany był absolutnie proporcjonalnie. Nie był nawet średniego wzrostu, miał nie więcej niż 170 cm wzrostu, a mimo to sprawiał wrażenie potężnego mężczyzny. Był starym saperem z Sił Specjalnych, ekspertem od wysadzania obiektów, no i wiedział o praktycznym wykorzystaniu środków wybuchowych więcej, niż jakikolwiek żyjący człowiek.

Odkryłem ten fakt nie dzięki temu, co Dave mówił, ale raczej dlatego, że pokazywał, co trzeba zrobić i jak. Nie tracąc przy tym żadnego palca.

Tak jak nie ma starych i tłustych pilotów, tak nie istnieją starsi, bojaźliwi saperzy. Musisz traktować materiały wybuchowe w taki sposób jak złapanego węża i nigdy, przenigdy się nie rozpraszać.

W przypadku wysadzania obiektów musisz sprawdzić wszystko bardzo dokładnie nie raz, a trzy razy. I nigdy nie idziesz na skróty. Jeśli to zrobisz, kończysz jako różowa papka rozpylona na najbliższej niezdemolowanej powierzchni.

Mieliśmy już pewne doświadczenie ze standardowymi wojskowymi materiałami wybuchowymi.

Dla żołnierza piechoty, Rangera czy żołnierza Sił Specjalnych są one-tylko jeszcze jednym narzędziem służącym do zrobienia w czymś dziury lub skutecznego zburzenia czegoś innego. A jeśli dasz radę, dopadasz przeciwnika bez robienia dziur - co oznacza dostanie się tam, gdzie trzeba, przy minimalnym zużyciu materiałów i jak najmniejszych zniszczeniach.

Dave i jego zespół byli nieźle obeznani z czysto techniczną stroną zagadnienia, jednak aby przygotować nasz kurs, zwrócili się do prawdziwych ekspertów: włamywaczy i mistrzów ucieczek, odsiadujących wieloletnie wyroki w najlepiej strzeżonych więzieniach.

Więźniowie bardzo się rozkręcili, gdy zorientowali się, iż pomagają tajnej organizacji wojskowej, zdradzając swoje techniki i unikalne zdolności. Wszyscy wyszliśmy z tego szkolenia nie tylko doskonale doinformowani, ale i naprawdę pod wrażeniem. To zabawne — ci goście używali swoich umiejętności i poszli za to siedzieć, a my będziemy ich używać w imieniu rządu i jeszcze nam za to zapłacą.

Zaczęliśmy od lekcji, jak dyskretnie włamywać się do budynków. Nauczyliśmy się wspinać po ścianach budowli, by dostać się na wyższe piętra i jak bez szkody dla zdrowia zjeżdżać z dachów. Za pomocą wiertła modelarskiego i wyprostowanego wieszaka do ubrań otwieraliśmy okna od zewnątrz. Poznaliśmy różne rodzaje zamków i ich wewnętrzną budowę. Robiliśmy duplikaty kluczy, blokowaliśmy zamki lub otwieraliśmy je wytrychami. Kiedy skończyliśmy z zamkami, dowiedzieliśmy się, jak pokonać łańcuch zabezpieczający drzwi od wewnątrz za pomocą gumki-recepturki, spinacza do papieru i pineski. Przy odsuwaniu rygli znów przydały się nam wiertła i wieszaki.

Otwieraliśmy kłódki kawałkami puszek po napojach uformowanymi w kształt paznokcia. (Jak zauważyliście, nie mówię wam, jak to robiliśmy — tę wiedzę musicie czerpać skądinąd). Każdy dzień kończył się egzaminem praktycznym - pokonaniem szeregu różnych zamków w wyznaczonym czasie. Włącznie z uwolnieniem się z kajdanek.

Wykorzystywaliśmy każde narzędzie, które mogło pomóc nam włamać się w dowolne miejsce. Oswoiliśmy się z palnikami acetylenowymi, piłkami do metalu, lewar-kami, dźwigniami, podnośnikami oraz sławnymi „szczę-kami życia” czyli nożycami hydraulicznymi.

Kolejne były pojazdy. Otwieraliśmy zamknięte na klucz drzwi samochodów i pokonywaliśmy blokady kierownicy. Odpalaliśmy auta za pomocą spięcia na krótko pod czujnym okiem i opieką ekspertów Dave'a. Przybory do tego służące stały się nieodłączną częścią naszego wyposażenia. To może nie jest zaskakujące, ale porządny złodziej samochodów, mając do dyspozycji zestaw trzech narzędzi, jest w stanie wsiąść do samochodu i uruchomić go w tym samym tempie, co wyposażony w kluczyki właściciel. Tak samo operator Delty.

Spędzaliśmy całe dni na poligonie, przypominając sobie podstawy o materiałach wybuchowych i wykonując proste zadania z nimi. Dynamit służył nam do robienia kraterów, a trotyl do ścinania drzew. Budowaliśmy i detonowaliśmy rzeczy takie jak miny do niszczenia filarów mostowych oraz modelowaliśmy w specjalny sposób C-4, aby przecinać tory. Za pomocą min wykonanych z C-4 i butelek wina otwieraliśmy sejfy. Wysadziliśmy najpierw furgonetkę, a potem dom przy użyciu worka mąki, kłęбка wełny stalowej i 100 gram trotylu.

Po wizycie w sklepie dla majsterkowiczów byliśmy w stanie skonstruować łatwe w użyciu i transporcie środki wybuchowe. Jeden powstał na przykład z 90 kilogramów nawozu azotowego, 11 litrów oleju silnikowego i 2,5 kilogramów dynamitu. Wystarczyło zakopać taki ładunek pod ziemią i go zdetonować, by powstała wyrwa o średnicy 9 metrów i głębokości 4.

Później pracowaliśmy z wyspecjalizowanymi ładunkami wybuchowymi. Pozwalały na precyzyjne, wręcz chirurgiczne cięcie drzwi i ścian dowolnych budynków i innych struktur stworzonych przez człowieka. Używając takich ładunków byliśmy w stanie wedrzeć się do środka każdego celu w sposób bezpieczny tak dla zakładników, jak i dla nas samych.

Teraz wiedzieliśmy już, z czym to się je. Żadna bariera nie mogła nas powstrzymać. A po okresie treningu z Davem wróciliśmy do Shooting House, by w praktyce zastosować nasze nowo zdobyte umiejętności. I mieliśmy nawet tyle samo palców, co na początku tego szkolenia.

Przez kolejne trzy dni Bill i jego drużyna przeprowadzili nas przez serię zadań taktycznych w Shooting House. Każde z ćwiczeń wymagało zastosowania materiałów wybuchowych do otwarcia drzwi szturmowanego właśnie pomieszczenia.

Kiedy zaatakowaliśmy naraz troje drzwi, eksplozja była oszałamiająca. Jeden odpalony ładunek w zaciśnięciu holu Shooting House to już było coś, a co dopiero trzy. To było jak stanie u stóp startującej rakiety. Hałas, fala uderzeniowa i płomień z trzech detonacji były przerażające — a my staliśmy w samym środku tego piekła. Każdy z dowodzących grupami stał o centymetry od wybuchającego ładunku, a jedynym zabezpieczeniem stosowanym w tamtych czasach były piankowe stopery do uszu. Niedługo potem pojawiły się gogle ochronne, a następnie ochronne kamizelki. Na szczęście przeżyliśmy naukę.

Trzeciego dnia tego tygodnia załapaliśmy się na nielichą atrakcję — mieliśmy przeprowadzić polowe manewry z grupą snajperów.

Fasada dwupiętrowego budynku została postawiona na poligonie tak, by snajperzy mogli strzelać do celów, które nagle pojawiają się i znikają w drzwiach i oknach. W tej sesji treningowej długolufowcy kierowali naszymi ruchami przez radio, mówiąc nam, kiedy droga jest czysta i możemy ruszyć, a kiedy się zatrzymać z powodu obecności celów. W ostatnim podejściu do budynku, podczas gdy my mocowaliśmy ładunki na drzwiach, oni nas osłaniali.

Razem pracowaliśmy nad skoordynowanymi szturmami. Polegają one na dotarciu drużyn do celu bez zauważenia przez przeciwnika, założeniu ładunków w kluczowych punktach i przyjęciu pozycji do ataku. Gdy wszystkie drużyny sygnalizują gotowość, dowódca przejmuje kontrolę i rozpoczyna atak komendą przez radio: „Pięc... Cztery... Trzy... Dwa... Jeden... Wykonać! Wykonać! Wykonać!”.

Na „dwa” snajperzy wypalali do jakichkolwiek widocznych terrorystów — tuż nad głowami żołnierzy skulonych pod oknami. Na „jeden” odpalano ładunki. Na „wykonać!” szturmujący

wpadali do pomieszczenia i zaczęli piekło.

Następnie zajęliśmy się bardzo istotną odmianą szturm - szturmem koordynowanym.

Podchodziliśmy jak przedtem, umieszczaliśmy wszystko na miejscach, następnie wszystkie drużyny sygnalizowały gotowość. A potem - nic.

Dowódca zatrzymywał nas na pozycjach. Albo zaczynał odliczać i ni stąd, ni zowąd przerywał.

Albo odwoływał nas zupełnie na poprzednie pozycje. Było to ćwiczenie mające nauczyć nas, że jesteśmy zdyscyplinowaną siłą, skoro można nas włączyć, to da się i wyłączyć. Muszę wam jednak zdradzić, że cholernie ciężko było odstąpić od celu, gdy się człowiek już nastawił i gotów był ruszać -nawet na ćwiczeniach. To jak odwołanie psa od kota, właśnie zapędzonego przezeń w kąt - może i odejdzie, ale na pewno mu się to nie spodoba.

Wszystkich tych szturmów dokonywaliśmy po zmroku, uznając noc za naszego najważniejszego sprzymierzeńca. Noc wszystko nam ułatwiała. Nosząc noktowizory widzieliśmy po ciemku i strzelaliśmy równie celnie, co za dnia.

Tej nocy skończyliśmy późno i wróciliśmy na Ranczo (tak nazywaliśmy siedzibę oddziału).

Siedzieliśmy właśnie czyszcząc broń, kiedy Bill coś ogłosił.

- Chłopaki, świetnie wam poszło. Snajperzy przed odjazdem powiedzieli mi, jak dobrze im się z wami dziś pracowało, a ja dopilnuję, żeby do jutra dowiedział się o tym Beckwith. Do wypełnienia w ramach tej fazy zostało nam jeszcze jedno zadanie w Shooting House. Odbędzie się ono jutro. Pamiętajcie wasze wprowadzenie do Shooting House pierwszego dnia? No to teraz wasza kolej.

Zapadła grobowa cisza.

- Każdy z was po kolei odegra rolę zakładnika i będzie siedział na gorącym krześle, podczas gdy jego koledzy przeprowadzą szturm z ostrą amunicją. Będziecie także zmieniać swoją pozycję w grupie szturmowej. Każdy atak rozpocznie się od użycia materiałów wybuchowych.

Spotkamy się na omówienie misji w sali wykładowej o 10. Wyśpijcie się dobrze, do zobaczenia rano.

Odprawił nas nonszalanckim machnięciem ręki.

„To będzie egzamin końcowy” myślałem, kończąc czyszczenie pistoletu. „Jeśli zdasz, będzie to zwykły dzień szkolenia. Jeśli coś spieprzysz, postrzelisz i zabijesz kumpla. Oblejesz”. Wysoka kara za niezdany test.

Rozejrzałem się po zbrojowni i popatrzyłem na przyjaciół i towarzyszy. „Czy ufam swoim umiejętnościom i możliwościom na tyle, by wysłać pociski o milimetry od głów kumpli? Jedno potknięcie, jedno drgnięcie i katastrofa. Moja mała bawi się z dziećmi ludzi siedzącymi obok mnie. Tak, jasne, Bill, wyśpij się. Najlepiej jak umiesz. Ja tam oka nie zmruję tej nocy”. Tak rozmyślałem, odkładając sprzęt i idąc na parking.

Zacząłem otwierać drzwiczki mojego pickupa, ale za-trzymałem się na chwilę, patrząc na chłodne, nocne niebo i obserwując mgiełkę oddechu unoszącą się z moich ust. Noc była bezksiężycowa, a powietrze przej-rzyste. Gwiazdy wyraziście rysowały się na niebie, mru-gając w nieskończoności kosmosu. Wyjechałem za bramę i pomachałem na pożegnanie staremu weterano-owi na nocnej warcie.

Nadeszła moja kolej. Siedziałem w skórzanym fotelu w jednym z pomieszczeń Shooting House. Pokój umeblo-wany był jak salon, z kanapami i krzesłami, stolikiem ka-wowym, lustrem, obrazkami na ścianach i biblioteczką. Na półkach stały nawet książki.

Oświetlenie było mdłe. Manekiny i papierowe cele roz-mieszczono w całym pokoju. Niektóre trzymały broń, inne miały puste ręce. Oni byli terrorystami, a ja byłem ich zakładnikiem. Uzbrojony manekin kuczał za mną, trzymając mi dłoń na ramieniu. Jego broń wycelowana była w stronę drzwi. Inny terrorysta stał po drugiej stro-nie, celując w moją głowę.

W ciągu następnych 10 minut drzwi zostaną pokona-ne, a moi czterej towarzysze przypuszczą atak na pokój używając technik, których się nauczyliśmy. W ciągu 3 se-kund od eksplozji muszą zabić terrorystów, przejąć kon-trolę nad pomieszczeniem i mnie uratować. Kule będą śmigać po całym pokoju, a ktoś będzie strzelał ostrą amu-nicją o centymetry od mojej głowy. Jeżeli pominą jakiegoś terrorystę albo zranią mnie, grupa obleje tę fazę szkolenia.

Szczerze i z całego serca życzyłem im, by zdali ten egzamin.

Moja drużyna i ja z powodzeniem przeszliśmy pierwszy test tego ranka. Marty Johnson był zakładnikiem i tylko mrugał oczami, gdy podwójne trafienia z mojej czter-dziesiątki piątki pozbawiały głów manekinowych terrorys-tów będących tak blisko niego. Zmieniliśmy potem pozycje wewnątrz drużyny i nasza grupa przeprowadziła jesz-cze trzy ataki na inne pokoje, gdzie nasi kumple zajmowali gorące krzesła.

Teraz ja, siedząc w tym miejscu, zrozumiałem, że trud-niej jest być strzelcem niż zakładnikiem. Bycie w druży-nie szturmowej oznaczało posiadanie dużego zaufania do swoich umiejętności. Bycie zakładnikiem wiązało się z za-ufaniem wobec towarzyszy. Łatwiej było przyjąć do wiadomości, że się zostało postrzelonym, niż to, że postrze-li-ło się przyjaciela.

W miarę jak minuty powoli się sączyły, rozmyślałem

0 ścieżce, która przywiodła mnie aż do tego miejsca i mo-mentu. Spędziliśmy olbrzymią ilość godzin na strzelnicy

1 w Shooting House. Wystrzeliłem masę pocisków, aby dotrzeć do tego pokoju i do tego fotela.

Usłyszałem eksplozję w głębi korytarza, po której na-stąpił jednolity jazgot pistoletów i broni maszynowej w innym pomieszczeniu. I skończył się - zaraz, po kilku sekundach.

„Mam nadzieję, że dobrze poszło”. Rzuciłem okiem na zegarek. Szturm zaczął się lada moment. „Naprawdę mam nadzieję, że ci ludzie zdadzą egzamin. Naprawdę mam taką nadzieję”. Drzwi eksplodowały z błyskiem światła i trzaskiem, a fala uderzeniowa dosięgnęła mnie jak cios w szczękę.

Zobaczyłem drużynę wdzierającą się do pomieszczenia i rozbłyski ognia z wylotów luf ich broni. Poczulem podmuch przelatujących tuż obok mojej twarzy pocisków. Mój mózg nie był jednak w stanie zarejestrować jakiegoś konkretnego obrazu. Wszystko rozegrało się tak szybko, tak nagle, że choć tego oczekiwałem, było tak obezwładniające, iż mój system nerwowy nie był w stanie reagować do czasu, aż było po wszystkim. Zaciekłość ataku mnie oszołomiła. To było jak uderzenie pioruna - kontakt z czystą siłą żywiołu.

J.T. dowodził drużyną. Podczas gdy on wydawał zespołowi komendy, kierując przeszukaniem, ja ocknąłem się na tyle, by odwrócić się w fotelu i sprawdzić, co dzieje się z terrorystą za moim ramieniem. Głowa manekina leżała na podłodze metr dalej i ziała dwiema dziurami tuż pod prawym policzkiem i tuż przed uchem.

Terrorysta po mojej drugiej stronie miał dwie dziury u zbiegu obojczyków. Pozostałe manekiny i rysunkowe cele zostały trafione co najmniej dwukrotnie, a niektóre nawet dostały trzy lub cztery razy, jeśli trzech lub czterech nasi ludzie strzelili do już trafionego celu.

Kiedy drużyna skończyła przeszukiwać pokój, J.T. wyszczerzył się do mnie spod krzaczastego wąsa.

- Żyjesz jeszcze, Bubba? — zapytał, lustrując mnie od stóp do głów.

Allen właśnie wszedł do pokoju i popatrzył na mnie i na znajdujące się w pokoju cele.

- Jasne, J.T., w porządku — odpowiedziałem, używając tej samej nonszalanckiej frazy, którą odpowiadałem później na to samo pytanie w bardziej niebezpiecznych sytuacjach.

Allen zakończył sprawdzanie pokoju.

- Dobra, chłopaki, nieźle poszło. Jeszcze trzy razy i macie dyplom Shooting House. Ale nie żebym na was naciskał czy coś' - uśmiechnął się i odhaczył coś w papierach. - Posklejajcie cele, dajcie nową głowę tej kukle i przygotujcie się do kolejnego szturmu. J.T., siadź sobie wygodnie na fotelu i rozgość się. Teraz ty oddajesz broń.

- Oddaj broń, J.T. - powiedziałem. Humor mi się poprawił odkąd wstałem z fotela. - Położę to na stole w holu. I nic się nie martw, mój drogi, będziemy delikatni. W końcu to twój pierwszy raz.

- Jasne, dzięki - mruknął tylko, gdy wychodziliśmy z pokoju. Było nietypowo milczący, kiedy osadzaliśmy na zawiasach nowe drzwi i zamykaliśmy je na zamek. Wszystko poszło bez komplikacji. Każdy z nas wielokrotnie był porwanym, jak i szturmującym pokój. Nikt nie został ranny, nie pominięto też żadnych celów. Zaś zaufanie, które ten ostatni egzamin na śmierć i życie nam dał - zaufanie do siebie, ale i do kolegów - zostało z nami na całe życie. Niewzruszenie

wierzyłem w siebie i w moich towarzyszy. Od tego momentu, bez względu na sytuację, nieważne jak niebezpieczną, przetrwamy.

Wierzyłem w to całym swym jestestwem. Nadal wierzę.

- W naszych działaniach przeważają obserwacja i rapor-towanie, nie zaś samo strzelanie. Dlatego być może lepiej nazwać nas obserwatorami, reporterami zamiast snajpe-rami - wyjaśnił szef oddziału snajperskiego Larry Freed-man.

- Właściwie - kontynuował - podczas postępowania z osobami postronnymi używamy terminu „snajper-obs-er-wator” zamiast „snajper”, ponieważ większość tego, co robi-my, opiera się na obserwacji terenu i zbieraniu niezbędnych informacji. I właśnie tego posmakujecie w tym tygodniu.

Starszy sierżant Larry Freedman (znany także pod sa-mozwańszym radiowym hasłem wywoławczym „Super Żyd”) kochał życie jak niewielu ludzi, których miałem okazję spotkać. Był bardzo zainteresowany ludźmi i za-wsze rozradowany niespodziankami życia. Niebawem stał się jednym z moich najlepszych przyjaciół. Lata później, po odejściu na wojskową emeryturę, pracował dla CIA i jako pierwszy Amerykanin zginął podczas amerykań-skiej „interwencji” w Somalii.

- Niektórzy z was zostaną przydzieleni do plutonów snajperskich po zakończeniu OTC - powiedział Freed-man. - Wszyscy jednak musicie rozumieć, co to znaczy być snajperem. Przy rozmaitych okazjach w terenie bę-dziecie musieli dyżurować w TOC (Taktyczne Centrum Operacyjne), toteż kluczowe jest poznanie naszych metod raportowania i procedur. Oprócz tego, jak zauważyliście w zeszłym tygodniu na poligonie, snajperzy często ubez-pieczają wasze działania i naprowadzają drużyny szturmo-we na cel. Niekiedy też to snajperzy inicjują atak.

- Ale bardziej niż ta cała gadanina - powiedział, dźgając palcem w naszą stronę - interesuje nas, żebyście nie włązili nam pod nogi i nie psuli strzałów. A was pewnie - żebyśmy was nie zastrzelili - ostatnie słowa wypowiedział z szerokim uśmiechem, który pobruździł jego twarz siecią zmarszczek.

Larry Freedman miał szopę przedwcześnie posiwia-łych, szorstkich włosów, z których był niebywale dumny. Ze środka twarzy wykwitał mu radośnie potężny wąs. Zmarszczki mimiczne, głęboko utrwalone, wybiegały z kąców jego oczu. Często śmiał się z jakiegoś błazeń-stwa, którego był świadkiem czy kawału, który opowie-dział - tak mocno, że łzy ciekły mu po policzkach.

Larry ciężko pracował, żeby wyrzeźbić swoje ciało na podobieństwo Mistera Ameryki, które pomogło mu za-pracować na jego kryptonim, ale był też supermenem na wiele innych sposobów. Dbął o swoich snajperów jak o krew z krwi, kość z kości, a kiedy ktokolwiek z oddziału potrzebował pomocnej dłoni lub mądrej porady, to prze-ważnie Larry wiedział, co powiedzieć czy

zrobić.

Znany też był z rozlicznych utarczek z pułkownikiem Beckwithem, które wybuchały, gdy Charlie próbował zmieniać coś, co według Larry'ego było najlepsze i właściwe dla snajperów. W oddziale krążyły legendy o ich pojedynkach na wrzaski. Lata później, gdy ja i on byliśmy zaszyci w jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku świata, Lany powiedział mi, że Beckwith sześć razy do niego strzelał.

— Ale wciąż tu jestem — triumfował. — Trzech dowódców przetrzymałem.

Ich bójki były tak naprawdę kłótniami kochanków - Beckwith bardzo cenił Larry'ego, a ten w pełni odwzajemniał uczucia pułkownika.

Ten dzień był wprowadzeniem nas w świat, który Larry kochał nad życie — świat długich luf.

— Najpierw spędzimy parę dni na zapoznaniu się z podstawami raportowania - powiedział. - Następnie ruszymy na poligon i przerobimy trochę ćwiczeń praktycznych. Spodobają się wam na pewno. Macie moje słowo. Teraz chciałbym przedstawić wam instruktora, Bronisława Urbańskiego. Będzie waszym przewodnikiem przez resztę tygodnia.

Bronisław Urbański był nadzwyczajną postacią — i on także stał się jednym z moich najlepszych przyjaciół. Broniek uciekł z Polski w latach 60. i dotarł do Ameryki jako nastolatek. Będąc już tutaj odkrył, że najszybciej otrzyma obywatelstwo służąc w wojsku, więc zaciągnął się do armii. Język angielski i kulturę amerykańską poznał wyłącznie będąc w wojsku, zwłaszcza w starych kompaniach Rangerów - z tej też przyczyny nie trzymał się ściśle akceptowalnych społecznie norm.

Twarz Bronisława świadczyła o domieszce krwi tatarskiej, dołożonej do puli genetycznej Słowian przez armie chanów. Miał wystające kości jarzmowe, wyraziste brwi i oczy zamieniające się w szparki, gdy był wściekły lub bardzo rozbawiony. Wyglądał jak bokser wagi średniej, którym zresztą był, z mocną szczęką i podbródkiem, szerokimi barami, długimi rękami i głową osadzoną jakby z pominięciem szyi wprost na karku. Biegłe mówił po polsku, rosyjsku, niemiecku i angielsku. Jak większość polskich emigrantów, Bronisław był prawdziwym patriotą i nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak się cieszył, gdy Polacy w końcu zrzucili radzieckie jarzmo — wiele lat później.

Poza tym wszystkim Bronisław był jednym z najlepszych snajperów, a teraz wziął nas pod swoje skrzydła i wyjaśniał nam rzeczy, które powinniśmy wiedzieć. Zaczęliśmy od tego, jak przyglądać się budynkom i raportować, co widzimy.

Pozornie wydaje się to dość prostą procedurą. Jednak gdy drużyny snajperskie rozmieszczone są wokół punktu kryzysowego, trzeba przestrzegać pewnych zasad, aby sytuacja nie stała się nową wieżą Babel. Bronisław nauczył nas jak w miejsce chaosu zaprowadzić porządek.

Budynki otrzymują kody kolorystyczne oznaczające konkretną stronę. Front budynku ma

przypisany kolor biały, tył - czarny. Lewa strona budynku jest czerwona, zaś prawa — zielona. Piętra i poziomy otrzymują kolejne litery z międzyna-rodowego alfabetu fonetycznego w porządku rosnącym. Parter to Alpha, pierwsze piętro - Bravo, drugie - Charlie i tak dalej. (Tak, niektóre budynki mają więcej pięter niż jest liter w alfabecie, ale i na to mieliśmy sposoby). Wszelkie drzwi i okna były numerowane od lewej do prawej.

Na przykład, gdy obserwowałem front budynku i zoba-czyłem, że coś dzieje się w szóstym oknie na siódmym pię-trze, zanotowałbym i zaraportował położenie w następu-jący sposób: „Biały, Golf, Sześć”.

Na szkoleniu snajperskim wszelkie informacje były za-pisywane i nanoszone na plan obiektu. Wszystkie inne drużyny snajperskie od razu wiedziały, co się dzieje i gdzie, a gdy tylko powiedziałem „biały” zespoły wiedzia-ły, że coś dzieje się poza ich polem widzenia.

Stosowaliśmy te same sposoby identyfikacji w stosun-ku do samolotów, pociągów, autobusów i łodzi. Właści-wie była to adaptacja metody oznaczania burt statków i samolotów za pomocą świateł nawigacyjnych - czer-wone oznaczało lewą stronę lub bakburtę, zaś zielone -prawą stronę albo sterburtę.

Bronek zaznaczył, że przez cierpliwą i staranną obser-wację snajperzy są w stanie zbudować całkiem solidną bazę danych o miejscu kryzysu terrorystycznego. Szczegółowe informacje, które obszary zostały zajęte przez terrorystów, również ważne jak te, które obszary są czyste. Położenie zakładników. Czynności podejmowane przez terrorystów podczas okresów wzmożonego napięcia. Ich przywództwo, rozkład wypoczynku, miliony innych rze-czy pomagających w budowaniu indywidualnych profi-li terrorystów.

Snajperzy Delta Force byli wybierani wyłącznie po przejściu dodatkowych psychologicznych testów i ewalu-acji. W snajperze szuka się wielu różnych cech, a dwie z nich są absolutnie kluczowe.

Pierwsza cecha nazywana bywa „syndromem Texas Tower”, co odnosi się do masakry 14 osób, której spraw-cą był Charles Whitman, strzelający do ludzi z dzwonnicy na uniwersytecie w Teksasie w 1966 roku. Ta cecha ob-jawia się tym, że snajper zaczyna strzelać i nie potrafi prze-stać. Czuje się z tym tak dobrze, dzięki wszechogarniające-mu poczuciu władzy, że nie potrafi odstąpić od tej czynno-ści nawet, gdy nie pozostaną już żadne cele. Będzie strzelał do każdego, kto się napatoczy. To jest naprawdę kompul-sywne i sam czasem słyszałem śpiew syren w moich uszach.

Druga cecha przybiera zupełnie inną, bardziej zrozu-miałą formę. Tę nazywamy „syndromem masakry mona-chijskiej”. Zastanówcie się sami. Snajper spędza mnóstwo czasu na przyglądaniu się. Obserwowaniu. Poznawaniu celów. Przez swój silny celownik optyczny snajper widzi miny na twarzach terrorystów tak wyraźnie, jakby był z nimi w tym samym pokoju. Widzi jak się

uśmiechają, kichają, jedzą kanapkę, robią się senni, zauważa te wszystkie drobnostki, które czynią nas indywidualną jednostką.

Terrorysty jednak nie wiedzą, że snajper ich widzi. Nie mają pojęcia, gdzie się znajduje, a nawet, że są obserwowani. Dlatego też terrorysty nie stanowią bezpośredniego zagrożenia dla snajpera. Są daleko. Nie mogą go skrzywdzić. Nie mogą go zabić. Po godzinach spędzonych na obserwacji snajper wie, że ogląda istoty ludzkie i zaczyna odczuwać bliskość z nimi. Nie może zabić ludzi, których poznał, ludzi, którzy nie stanowią dlań zagrożenia.

To właśnie miało miejsce podczas masakry na igrzyskach olimpijskich w Monachium w 1972 roku. Kiedy wydano rozkaz zastrzelenia terrorystów z grupy Czarna Wrzesień, którzy porwali 11 izraelskich sportowców, policyjni snajperzy nie byli w stanie pociągnąć za spust. Obserwowali porywaczy przez tak długi czas i rozwinęli w sobie tyle empatii, że nie mogli zmusić się do zabicia ludzi, których tak dobrze już znali. Pomimo kontroli snajperów nad sytuacją, terrorysty zdołali zabić wszystkich izraelskich olimpijczyków.

Ludzie, którzy potrafią zapanować nad tymi dwiema tendencjami, potrafią uniknąć tych syndromów, należą do bardzo wąskiej grupy o odpowiednim profilu psychologicznym. Idealnym kandydatem na snajpera jest ten, który w imię długofalowego bezpieczeństwa umie zabijać, kiedy to konieczne, ale jednocześnie jest wystarczająco silny, by oprzeć się impulsowi zabijania już po zakończeniu akcji. Człowiek, którego psychika jest na tyle silna, by dzięki zakorzenionym przekonaniom religijnym i filozoficznym nie cierpiał nadmiernie, odbierając komuś życie w ściśle określonych okolicznościach. Snajperzy Delta Force to porządni, myślący, inteligentni i niewzruszeni ludzie. Ich styl bycia przypomina naukowców - wysportowanych, potężnych i śmiertelnie niebezpiecznych naukowców.

Po rozmowie grupa ćwiczeniowa została rozdzielona na pół i Bronisław zabrał moją podgrupę do innej sali, gdzie zaczęliśmy ćwiczenia praktyczne. Na dużym stole na środku pomieszczenia znajdował się model ośmiopiętrowego budynku, oddany tak idealnie, że mógłby stanowić scenografię do filmu. Miał okna, drzwi, rozłożyste markizy nad głównym wejściem, schody pożarowe, ogród na dachu, a na zewnątrz restaurację.

Wewnątrz hotelu, jak go nazywaliśmy, można było zapalać i gasić światła w różnych pomieszczeniach. Znajdowały się tam nawet wycięte z tektury postacie ludzkie, niektóre z nich trzymały broń. Za pomocą sznurków przyczepionych z tyłu można było powodować, że postacie pojawiały się i znikwały. Na zewnątrz budynku było kilka chodników i drzew, a na przyległych ulicach zaparkowane samochody i ciężarówki.

Bronisław podał nam instrukcje dotyczące tej sesji treningowej. Połowa z nas została rozmieszczona w pokoju wokół hotelu w pozycjach obserwacyjnych, z których widać było cały teren wokół budynku. Na każdym ze stanowisk przygotowano notes, długopis, lornetkę, aparat

fotograficzny z teleobiektywem, kompas i radio.

Larry Freedman zabrał resztę grupy do innego pomieszczenia, gdzie stworzyli Taktyczne Centrum Operacyjne (TOC). Niektórzy mieli zająć się obsługą radia, inni transkrybować otrzymane dane, a jeszcze inni - nanosić zaraportowane działania na szkic sytuacyjny sporządzony na podstawie danych, które przez radio przekazywali obserwatorzy. Kiedy zaczęły napływać klisze, inni kurśanci wywoływali je w prowizorycznej ciemni ulokowanej w innym pomieszczeniu. Zdjęcia umieszczano później obok szkiców budynku, by pomóc w gromadzeniu użytecznych informacji o rozwoju sytuacji.

Następnie każda z grup zajęła pozycje i przystąpiła do pracy. Z naszych stanowisk obserwacyjnych musieliśmy oznaczyć strony budynku i wykonać indywidualne szkice tych ścian, które nam przypadały. Natychmiast rozpoczęliśmy robienie zdjęć budynku, jednak Bronisław powiedział nam, że ani klisze, ani rysunki jeszcze przez kilka godzin nie trafią do TOC. Zamiast tego TOC musi przygotować wstępne szkice na podstawie ustnych raportów radiowych.

Bronek podszedł do mojego stanowiska, a ja zapytałem, dlaczego nie wysła natychmiastowo szkiców i klisz do TOC. Wydawało mi się, że są potrzebne jak najszybciej od wkroczenia na zagrożony teren. Był przygotowany na to pytanie. Wyjaśnił, że są dwa powody. Jeden - chciał, by ludzie siedzący w TOC nauczyli się sporządzać szkice w oparciu jedynie o raporty ustne - to był dobry sposób dostrojenia obu grup oraz trenowania dyscypliny radiowej.

Po drugie zaś podczas pierwszego dotarcia na miejsce ludzie są bardzo zajęci, dlatego przeważnie nie ma kogo wysłać, by biegał tam i z powrotem pomiędzy różnymi stanowiskami obserwacyjnymi. A czasami, w zależności od celu, nie da się po prostu przemieszczać między punktami obserwacyjnymi, by nie zostać zauważonym. W takim wypadku poruszanie się będzie się odbywać wyłącznie po zapadnięciu zmroku.

Zostaliśmy na swoich pozycjach do 18:00 wieczorem, zanim zakończyliśmy ćwiczenia na ten dzień i obie grupy znów się połączyły. To było niesamowite, co osiągnęli ludzie przydzieleni do TOC. Pierwsze odbitki z dostarczonych klisz dopiero opuszczały ciemnię, ale szkice budynku wykonane przez nich - wyłącznie na podstawie ustnych raportów — były zadziwiająco trafne.

Larry podsumował dzień:

— Ludzie, cały sens tego, co robicie zarówno tu, jak i w TOC tkwi w budowaniu jak najbogatszej bazy informacji, które można wykorzystać do podjęcia najlepszych możliwych decyzji, co do tego, kiedy, gdzie i jak przeprowadzić szturm. Nie ma czegoś takiego, jak nadmiar rozpoznania. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ułatwić zadanie szturmującym. Jeżeli możemy rozwiązać sytuację wyłącznie za pomocą ostrzału snajperskiego, tym lepiej. Ale bez względu na wszystko, musimy pomóc krótkolufowcom, zaznaczając wszystkie niezwykłości, zanim będą musieli ruszyć do ataku.

- No to pierwsze koty za płoty. Teraz wybierzemy się na poligon na resztę tego tygodnia i zrobimy to samo co dziś, używając prawdziwej fasady. Grupa, która dziś pełniła rolę TOC, jutro będzie działać w terenie, a TOC stworzycie wy, żabacie. Ponieważ nie ma pytań - uśmiechnął się - widzimy się jutro rano.

„To był naprawdę dobry dzień szkolenia” - pomyślałem, jadąc samochodem do domu. „Właściwie dzisiaj nauczyłem się więcej, niż kiedykolwiek wcześniej przez jeden dzień”.

Z Larrym i jego zespołem spędziłem wspaniały tydzień. Na działania długolufowców patrzyłem teraz zupełnie inaczej. Zrozumiałem, że strzelanie było zaledwie częścią tego, czym się zajmowali. Istotną, ale nie jedyną. A poza tym poznałem nowych przyjaciół - niektórych na całe życie.

Wszystko nabrało teraz tempa. Coraz bardziej czułem się częścią jednostki. Nie byliśmy jeszcze w pełni wypie-rzonymi orłami Delty, ale wierzyłem głęboko, że rzuceni do akcji działalibyśmy jak należy.

- Najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek będziecie musieli zrobić, będzie odzyskanie samolotu z rąk por-ywaczy - wyjaśnił Beckwith. - Pracowaliśmy nad tym i my, i Brytyjczycy, i Niemcy, Francuzi oraz Izraelczycy. Jak dotąd nikt nie dał rady złapać tego problemu za gar-dło. Ale skoro problem jest, to trzeba go rozwiązać i mu-simy zrobić to niebawem.

Charlie był dziś ubrany wyjątkowo reprezentacyjnie -podobnie jak i my. Powiedziano nam, byśmy ubrali się w porządną odzież oraz wydano zakaz żucia tytoniu w sali wykładowej podczas wizyty tego konkretnego gościa. Puł-kownik najwyraźniej chciał, aby wyrobił on sobie o nas jak najlepszą opinię, a to oznaczało, że wszyscy musimy się do tego przyłożyć. Nie chcieliśmy wyjść na bandę zabijaków.

- Spędzicie parę dni w auli z kilkoma gośćmi, a następnie pojedziecie na weekend do Atlanty w odwiedziny do Federalnej Administracji Lotnictwa (FAA), która umówi-ła nas z Delta Airlines. Delta zgodziła się na przeprowadzenie badań i ćwiczeń na pokładzie samolotów będących aktualnie w planowym remoncie. To będzie nasza pierw-sza szansa pracy z przewoźnikiem cywilnym, dlatego też jadą wszyscy. Musimy wykorzystać okazję maksymalnie. Pragnę też przypomnieć, że wszystkich naszych gości do-tyczy zasada niejawności. Cokolwiek wam powiedzą, jest tylko do waszej wiadomości - nie chcemy zdradzać ich tożsamości, a wszystkie pochodzące od nich informacje mają pozostać wewnątrz jednostki. Bądźcie bystrzy, słu-chajcie uważnie i serdecznie powitajcie naszego pierwsze-go gościa, pana XXX z FAA.

Beckwith kierował aplauzem, gdy gość szedł między ławkami ku przodowi sali. Beckwith był mistrzem takich akcji. Wiedział, że nasza przyszłość zależy od dobrej woli i pomocy innych agencji rządowych, a wystarczająco do-brze znał się na ludzkiej naturze, by wiedzieć jak postępo-wać w

celu zdobycia tego poparcia. Zaprosił najbardziej wpływowych ludzi z rządowej wierchuszki, aby odwiedzili nas lub wygłosili wykłady.

Zabraliśmy ich na poligon i do Shooting House na prezentacje na żywo - niektórzy z nich nawet siadali na gończącym krześle. Pozwoliliśmy im postrzelać i odpalić ładunki wybuchowe, pokazaliśmy najróżniejsze „sekrety” i powiedzieliśmy, że są absolutnie jedynymi osobami postronnymi, które kiedykolwiek to wszystko widziały. Zaprosiliśmy ich na posiłek do stołówki, zaprzysięgliśmy ich - jako „członków stowarzyszonych” naszej jednostki - do zachowania absolutnej tajemnicy i wysłaliśmy w szczęśliwą drogę do domu przepełnionych ekscytującymi wspomnieniami o wszystkim, co robili i widzieli.

Każdy lubi być dopuszczonym do tajemnicy, dlatego po każdej wizycie mieliśmy nowego sojusznika. Później nasz gość szepnął coś temu lub owemu, co robił i widział w Fort Bragg i zanim się obejrzelśmy, coraz więcej ludzi zaczęło uważać się za na tyle ważnych, by postarać się o nasze zaproszenie.

Tego rodzaju zabiegi przyniosły ogromne zyski jednostce, a mówiąc szczerze, od osób nas odwiedzających zawsze dowiadaliśmy się czegoś wartościowego. Nasz obecny gość był kolejnym tego typu przypadkiem - wysoko postawionym przedstawicielem FAA. Przywiezione przez niego informacje na temat przypadków porwania samolotów i sposobów kształcenia załogi w kwestii reakcji na takie zagrożenie były nieocenione.

W zestawieniu z faktami, z którymi zapoznaliśmy się następnego dnia od grupy szkoleniowej FBI, odkryliśmy, że zakres działań FBI i FAA, jeśli chodzi o porwane samoloty, dzieli bardzo wyraźna granica.

Mówiąc najprościej, dopóki drzwi samolotu były zamknięte, należał on do FAA. Gdy jednak drzwi się otwierały, egzekwowanie prawa federalnego w kwestii porwań samolotów spoczywało już na FBI. Co to naprawdę oznaczało? Gdy samolot lądował, przechodził pod władzę FBI.

W tamtych czasach żadna z agencji wymiaru sprawiedliwości nie była przygotowana do siłowego odebrania kontroli nad samolotem bandzie uzbrojonych i zdeterminowanych terrorystów. FBI nie miało możliwości szkoleniowych, siły roboczej ani organizacji do tego zadania. W tej samej sytuacji były wielkomijskie oddziały policji SWAT.

Wszyscy byli świadomi, jak rażąco to był problem, jednak nikt nic z tym nie robił. Porwania samolotów były dynamicznie rozwijającą się branżą w latach 70., a każda organizacja próbująca je badać, szybko orientowała się, że problem miał monstrualne rozmiary. Każdy miał nadzieję, że inni się tym zajmą - i w końcu wyszło na to, że to my mieliśmy być tym kimś.

Podczas tygodnia wykładów przeanalizowaliśmy każdy przykład odzyskania przez zachodnie siły samolotu porwanego przez terrorystów. Nie zabrało nam to wiele czasu. Były tylko dwa takie przypadki.

Francuskie siły antyterrorystyczne GIGN (Groupe d'Intervention de la Gendarmerie Nationale) rozwiązały sprawę korzystając ze snajperów. Niestety ranny porywacz zabił dowódcę oddziału, gdy ten wszedł ze swoimi ludźmi na pokład.

W drugim przypadku niemiecka policja federalna GSG-9 (Grenzschutzgruppe 9), wspierana przez dwóch członków brytyjskiego SAS-u, dokonała szturm w celu odbicia porwanego Boeinga 737 Lufthansy, którym porwacze polecili do Mogadyszu w Somalii, w październiku 1977 roku. Pomimo niezaprzeczalnego powodzenia, atak mógł z łatwością przerodzić się w katastrofę. Po wejściu na pokład samolotu Niemcy wdali się w długą wymianę ognia. Podczas starcia przywódca terrorystów, zanim został zabity, zdążył wrzucić dwa granaty z kokpitu do kabiny pasażerów. Na szczęście siedzenia wchłonęły większość siły uderzeniowej i odłamków.

W udostępnionym nam przez Niemców oficjalnym podsumowaniu akcji sami przyznawali się, że nie byli przygotowani do szturm, który przeprowadzili, zaś plan odebrania samolotu zamachowcom podjęty był ad hoc. Byli zadowoleni, że odbili zakładników, jednak wiedzieli, że następnym razem mogą nie mieć tyle szczęścia. Musiała istnieć lepsza metoda realizacji ataku na samolot. Nasi ludzie już pracowali nad tym zagadnieniem. Przystudiowawszy wszystkie porwania samolotów przez terrorystów, jakie miały miejsce w ostatnim dziesięcioleciu, ustaliliśmy, że mało było przypadków, w których snajperzy mogli samodzielnie rozwiązać sytuację. Jedną przeszkodą utrudniającą działanie snajperów okazała się być mniejsza niż przypuszczaliśmy.

Przywódca porwaczy zwykle lokował się w kokpicie samolotu. W końcu to było centrum kontroli. Wystarczająco często pozostali terroryści również ciążyli ku swemu hersztowi. Jeśli snajperzy byliby w stanie zastrzelić terrorystów znajdujących się w kokpicie, zwiększyłoby to znacząco szanse na powodzenie misji. Był jednak pewien problem.

Większość jednostek snajperskich wierzyła, że ekstremalnie grube szyby kokpitu mogą na tyle się odkształcać, że spowodują niecelność strzału lub co gorsza rykoszet zrani członka załogi. Snajperzy z FBI i Sił Specjalnych również byli tego zdania, jednak nikt nie przeprowadził badań empirycznych, dopóki my nie wkroczyliśmy na scenę.

Zebraliśmy całą ciężarówkę szyb z różnych typów samolotów, osadziliśmy je w metalowych ramach i zaczęliśmy strzelać. Nasi snajperzy ustalili, że nie był to aż taki problem. Odkształcenie było tak nieznaczne, że w małej przestrzeni kokpitu nie miało istotnego wpływu na celność strzału. Snajperzy mogli strzelać i zabijać terrorystów, podczas gdy członkowie załogi uwięzieni w kokpicie pozostawali nietknięci. Okazało się nawet, że szkło, roztrzaskane przez strzały i zasypująceabinę, ma konsystencję piasku i nie stanowi zagrożenia dla załogi.

Szturmowcy byli pewni, że możemy poradzić sobie z samolotem tak, jak z budynkiem: wejść równocześnie, z brutalną szybkością, przez każdy możliwy punkt dostępu. Jeśli zdołamy to zrobić, będziemy mieć przewagę nad terrorystami, przez co będziemy mogli ich pokonać i zabić, zanim

będą w stanie efektywnie zareagować.

Ale jak się dostać do samolotu nie będąc widzianym? Jak mamy wszyscy wkroczyć do akcji naraz? Jak podzielić samolot na strefy odpowiedzialności i sektory ogniowe? A mówiąc o ogniu - jak podatny na pożar był samolot? Planowaliśmy znaleźć odpowiedzi na wszystkie te pytania podczas naszego pobytu w Atlancie.

Kiedy już więc wycisnęliśmy z naszych gości wszelkie informacje, jakie posiadali, spędziliśmy resztę tygodnia podzieleni na zespoły, które miały spróbować wymyślić jakieś wstępne taktyki. Chodziliśmy do Shooting House i wypróbowywaliśmy różne metody szturmowe. Nie zajęło nam wiele czasu zrozumienie, że przy jednoczesnym sforsowaniu wszystkich wejść, będziemy w sytuacji, gdzie drużyny będą strzelać nawzajem do siebie albo będą do siebie odwrócone tyłem. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że o ile nasz mały, dwunastorządowy kadłub samolotu doskonale nadawał się do treningu zespołów czteroosobowych, to jednak był zdecydowanie za krótki przy ćwiczeniach wielodrużynowych. Potrzebowaliśmy pełnowymiarowego kadłuba, żeby wypracować rozwiązanie problemów. Dopóki jednak nie mieliśmy doń dostępu, pozostawało nam rysowanie schematów taktycznych kredą na tablicy.

W końcu jednak poczyniony został spory postęp, ponieważ każdemu członkowi plemienia zależało na upolowaniu mastodonta. To dobry przykład, w jaki sposób powstawały plany operacyjne w Delta Force.

Beckwith dawno już wyłożył nam zasady. Operatorzy mają sami opracowywać taktykę i metody operacyjne. Wybrał nas dlatego, że byliśmy wszyscy doświadczonymi żołnierzami i nikt nie musiał nam mówić, jak mamy sobie radzić z zadaniami. Ludzie w drużynie ustalali podstawy misji, a Beckwith i podlegli mu dowódcy zapewniali nam środki i koordynację. Nikt jednak nie dyktował nam taktyki, ani nie mówił, jak mamy ryzykować własnym życiem.

W sytuacji, jak ta opisana wyżej, mówię wam, niektóre nasze dyskusje nad taktyką były naprawdę gorące. Jeśli podczas takiej narady rzuciło się jakiś pomysł, trzeba było być przygotowanym na jego obronę z każdej strony. Ale był to jedyny sposób opracowania tych pomysłów. W tamtych czasach wszystko, co robiliśmy, było wyprawą w nieznane. Nie istniała wypróbowana metodologia. A za błędne pomysły płaciłoby się życiem, i to nie tylko życiem zakładników, których mieliśmy uratować, ale naszym własnym.

Przed zamknięciem interesu w czwartek mieliśmy kilka wstępnych planów, nad którymi chcieliśmy dalej pracować. W piątek rano załadowaliśmy bagaże i ruszyliśmy do Atlanty. Później, tego samego dnia załadowaliśmy się do furgonetek i podjechaliśmy z hotelu do hangaru remontowego Delta Airlines, znajdującego się na uboczu obiektu, który obecnie nazywany jest Lotniskiem Międzynarodowym Hartsfield w Atlancie.

Naszym opiekunem wtedy i w trakcie naszych wielu następnych wizyt był szef ochrony Delta

Airlines, Joe Stone. Jednak ton całej znajomości nadawał wiceprezes firmy, który powitał nas, gdy dotarliśmy do hangaru, i powiedział, że możemy liczyć na każde wsparcie, którego tylko będziemy potrzebowali. Przyczyny były proste, jak nam wyjaśnił. Po pierwsze, była to słuszna sprawa. A po drugie - istnieje spora szansa, że to właśnie samolot Delty, jego pasażerowie i załoga, będą potrzebowali pewnego dnia ratunku z naszej strony.

Łatwo było powiedzieć - ale Delta nie traci pieniędzy nadaremnie. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że zainwestowali w nas dziesiątki tysięcy dolarów. Zawsze dostawaliśmy dwóch najbardziej doświadczonych techników jako doradców, a każdy samolot w hangarze był do naszej dyspozycji, ale jeśli chcieliśmy ćwiczyć na jakimś konkretnym modelu, udostępniali nam go, nawet za cenę ściągnięcia go z innego miasta. Przez te wszystkie lata pracowaliśmy też z innymi głównymi liniami lotniczymi, ale żadna z nich nie wykazywała nawet cienia tej troski i entuzjazmu, za które tak ceniliśmy Delta Airlines.

Może to miało coś wspólnego z dzieloną przez nas nazwą, nie wiem.

Zaczelśmy od zgłębiania czynności naziemnych. Nauczyliśmy się jeździć wózkami bagażowymi, ładować i rozładowywać bagaże ze wszystkich typów samolotów, jeździć samochodami tankującymi i napełniać zbiorniki paliwem, uruchamiać i używać naziemnych stacji energetycznych (GPU), silników odrzutowych zamontowanych na przyczepach, wdmuchujących powietrze i uruchamiających silniki samolotu. Naszym ulubionym zajęciem naziemnym było operowanie olbrzymią szambiarką - niezwykle ważnym pojazdem oczyszczającym toalety. (Uwierzcie, jeśli kiedykolwiek będziecie na pokładzie porwanego samolotu przetrzymywanego ponad dobę, to bardziej ucieszy was nadszambiarz niż zespół ratunkowy). Ucząc się wykonywania czynności naziemnych staliśmy się bardziej obeznani z samolotami linii lotniczych, ale także dało nam to możliwość rozpląnięcia się w środowisku lotniska.

Spędziliśmy kilka godzin w warsztacie, gdzie naprawiano i konserwowano koła, opony i hamulce. Odkryliśmy tam coś, co rozniosło w pył część naszych teorii. Okazało się, że strzelanie w opony nie będzie zbyt pomocne przy szturmie. Nie tylko bowiem samolot mógł kołać na przedziurawionych oponach, ale nawet startować - tak były potężne. Ale samolot miał inne czułe miejsce, które pozwalało go unieruchomić. Starannie odnotowaliśmy ten fakt w naszym kajeciku. Potem dopiero wkroczyliśmy do samolotów - wszystkich rodzajów. Najpierw te z wąskimi kadłubami: 707, DC-8, 727, 737 i DC-9. Rozdłubaliśmy nawet kilka turbonapędów Convair, które były w serwisie. Potem zajęliśmy się samolotami o szerokich kadłubach, które latały w barwach Delty: olbrzymi Boeing 747 oraz Lockheed L-1011. Zaznajomiliśmy się z ich wewnętrznymi układami, położeniem wyposażenia awaryjnego i obszarów szczególnego zagrożenia, np. przewodów paliwowych czy rozpraszających tlen.

Drzwi samolotu stały się naszą obsesją. Uczyliśmy się, jak obsługiwać drzwi w każdym samolocie,

nie tylko od wewnątrz, ale, co ważniejsze, z zewnątrz. Niezmiernie ważna była możliwość błyskawicznego otworzenia dowolnych drzwi i wyjść awaryjnych. Musieliśmy wiedzieć, jak się dostać w każde miejsce w mgnieniu oka - i szybko nauczyliśmy się jak to zrobić.

Kolejnym problemem było, co zrobić, gdy już wejdziemy do samolotu. W praktyce okazało się to trudnością mniejszą niż się spodziewaliśmy. Z naszego punktu widzenia przedziały pasażerskie, aneks kuchenny czy kokpit nie różniły się zbytnio od pomieszczeń w budynku, z tym wyjątkiem, że samolot był zawsze zapchany ludźmi.

Taktycznie jednak rzecz biorąc, oczyszczalibyśmy samolot tak samo, jak zrobilibyśmy to z budynkiem. I choć samolot wypełniony byłby zakładnikami, to siedzieliby oni w większości na swoich fotelach. Podczas eksperymentów odkryliśmy, że fotele samolotowe są bardzo wytrzymałe i stanowią doskonałe zabezpieczenie przed pociskami i odłamkami. Zamknięte drzwi kokpitu i toalet również nie stanowiły problemu. Znaleźliśmy sposób przedostania się przez nie — jakby nie miały żadnych blokad.

Potrzebowaliśmy też danych o wszystkich samolotach pasażerskich świata. Interesowało nas, jaki jest prześwit poniżej kadłuba, jak wysoko nad ziemią są drzwi, na którą stronę się otwierają oraz jak wyłączyć zjeżdżalnie awaryjne. Musieliśmy też wiedzieć, gdzie są gaśnice. Na szczęście te informacje łatwo było uzyskać od producentów samolotów i linii lotniczych.

To był dopiero początek, ale dobry początek. W ciągu kolejnego półrocza stworzyliśmy największą na świecie bazę danych tego rodzaju, zawierającą informacje na temat każdego istniejącego samolotu pasażerskiego. Skopiowaliśmy dane, zilustrowaliśmy trójwymiarowymi szkicami i opracowaliśmy mały przewodnik, który ochrzciliśmy „Encyklopedia Aeronautica”. Każda z drużyn Deltę miała swoją kopię.

Gdy pojawiały się nowe samoloty lub stare ulegały modyfikacjom, do podręcznika dodawaliśmy uaktualnienia.

Linie lotnicze i producenci samolotów byli wielce pomocni w tym przedsięwzięciu i przygotowywali nowe modele do badań i treningu. Raz tylko zostaliśmy zrobieni w bambuko, ale dało się to łatwo naprawić.

Sesję w Atlancie zakończyliśmy w dobrych humorach. Jedynym problemem oddziału były liczby - nie mieliśmy wystarczająco dużo operatorów, aby obsadzić wszystkie pozycje wymagane do przejścia 757 lub L-1011. Gdyby przyrost w Delcie się utrzymał, już za rok mielibyśmy wystarczająco dużo ludzi do tego zadania. Mieliśmy tylko nadzieję, że do tego czasu nie będziemy musieli mierzyć się z porwaniem samolotu z szerokim kadłubem.

Kiedy dotarliśmy na Ranczo, Walt Shumate stał w korytarzu gadając z jednym z urzędników. Popatrzył na mnie, gdy przechodziłem i uśmiechnął się tym swoim przebiegłym uśmieszkiem, dzięki któremu zawsze wyglądał, jakby ukrywał przed wszystkimi jakąś smakowitą i brzydką

tajemnicę.

- Hej, Haney - powiedział, podkreślając węża. - Nie popsuleś chyba w Atlancie żadnych samolotów, co? Pułkownik nie będzie płacił za to, co zjebałeś. Już ja wiem, jak wy Rangerzy obchodzicie się z maszynami. (Wojskowa legenda mówi, że Rangerzy są tak niszczycielscy, że rozwalają łożyska kulkowe i łamią podkowy).

- Nie, panie sierżancie majorze — powiedziałem. - Uczyliśmy się, jak się je zagania, a nie krępuje czy kolczykuje.

- No i dobrze, se myślę - ale wyglądał, jakby humor mu zdechł na chwilę, zanim podjął wątek. — Kurczą, zawsze se chciałem zestrzelić jakiś samolot. To musi być w pytę fajowe dla żołnierza wojsk lądowych. Pomyśl tylko o tych wszystkich samolotach i helikopterach zestrzelonych przez Wietkong czy Armię Północnowietnamską. Założę się, że te chłoptysie podostawały medale wielkie jak patelnia za strącenie amerykańskich maszyn. Pewnie nadal piją swoje darmowe piwko w klubie podoficerskim w Hanoi, gdzie jeden z nich opowiada innym o dawnych czasach Szlaku Ho Szi Mina, kiedy to skasował imperia-listycznego pirata powietrznego swoim wiernym AK-47. Kurwa - powiedział, kopiąc jakąś rysę na podłodze - to jest nie w porządku, że komuchy mogą mieć taką frajdę. Cholera, przecież oni nawet nie lubią się bawić. Popatrzył na mnie płomiennym wzrokiem i powiedział:

— Niech to będzie dla ciebie lekcja, Haney. To że się ma rację, nie zawsze oznacza ubaw - refleksyjnie pokręcił głową.

— Mmm, no tak, panie sierżancie majorze - odpowiedziałem. - Zapamiętam to sobie. Ale teraz muszę zdać broń.

- No, idź, idź, potem się zobaczymy - ale gdy odwróciłem się, by odejść, złapał mnie za ramię i wpatrzył się w moje oczy, jakby czegoś szukał, zanim zwolnił uścisk i odszedł.

„Dziwny gość” pomyślałem, gdy szedł wzdłuż holu w stronę pomieszczeń OTC. Ale miał rację - zawsze chciałem osobiście zestrzelić samolot. Chyba po prostu Walt i ja staliśmy po niewłaściwej stronie - w każdym razie, jeśli chodzi o zestrzeliwanie samolotów.

„Nie można mieć wszystkiego” pomyślałem odkładając swój sprzęt. „Jeśli nie możemy ich strącać z nieba, to musimy zadowolić się ich ratowaniem”.

Tradecraft jest ogólnym terminem, obejmującym wszelkie umiejętności szpiegowskie, które wykorzystuje agent wykonując swój zawód. Skrzynki kontaktowe, spotkania, odbiór osób, sygnały pełnej i pustej skrzynki kontaktowej, sygnały bezpieczeństwa i zagrożenia, inwigilacja i jej przeciwdziałanie - wszystkie te rzeczy oraz to, jak planujesz je wykorzystać stanowią część tradecraft.

Nasz dzisiejszy instruktor wyglądał jak nauczyciel chemii z liceum. Ale nim nie był. Był za to

doświadczonym agentem CIA.

- Tak jak fieldcraft zawiera umiejętności niezbędne dla zwiadowcy, z których korzysta, by przeżyć i wykonać misję za linią wroga, tak tradecraft zawiera umiejętności, których do wykonywania swojego fachu potrzebuje agent. Jednak tradecraft jest tylko środkiem do celu. A celem, do którego zmierzamy, jest przekazanie informacji, a dokładniej dostarczenie informacji lub jej zdobycie za pomocą środków nietechnicznych. Zwykle informacja ta jest w postaci konkretnej wiadomości, jednak czasem występuje w postaci osobowej. Spróbujcie wyobrazić sobie to jako podawanie liścików do innego ucznia za plecami nauczyciela - zdjął okulary i uśmiechnął się do nas porozumiewawczo.

„Pewnie zna to z praktyki” pomyślałem. „Ale założę się, że jego słuchaczom uszło to na sucho, tylko jeśli on postanowił przymknąć na to oko”.

Okulary w rogowej oprawie, miękkie mokasyny, skórzane łąty na łokciach tweedowej marynarki, kwadratowo zakończony krawat i przydługawe włosy. Ten facet nie wyglądał jak as wywiadu z CIA, pomimo iż nim właśnie był. A według Beckwitha był również najlepszym instruktorem na Farmie, jak nazywają wtajemniczeni centrum szkoleniowe CIA w Camp Perry w Wirginii.

Nie zdziwiło mnie, gdy wyciągnął fajkę z kieszeni płaszczka i pykał z niej, gdy rozmawialiśmy w holu podczas przerwy. Ale, cholera, gość znał się na swojej robocie. A w dodatku oprócz posiadania wiedzy potrafił nauczać - a to rzadki talent.

Pułkownik ciężko pracował nad dobiciem targu z CIA i mieliśmy z nimi ciepłe i bliskie układy, dopóki kolejny dowódca nie doprowadził do kryzysu małżeńskiego. Jednak w chwili, o której piszę, byliśmy jeszcze w fazie miesiąca miodowego. Dwaj nasi ludzie ukończyli kurs szkoleniowy dla nowych agentów CIA, a nasz OTC otrzymał instrukcje od najlepszego trenera agencji.

Agenci operacyjni CIA, których poznałem, byli oddani, inteligentni, porządni, skupieni na misji i pełni poświęcenia. Szkoda, że nie mogłem powiedzieć tego o będących wyżej w hierarchii członkach tej organizacji.

Szkolenie OTC miało się już ku końcowi, a ostatnie dwie jego części miały płynnie się ze sobą łączyć. Wiele założeń i technik tradecraft nakładało się z tymi, które dotyczą ochrony. Właściwie niektórzy operatorzy Deltę opracowywali szczegóły ochrony byłego prezydenta, Geralda Forda. Nasi snajperzy strzelali i wymieniali doświadczenia ze snajperami z Secret Service od wczesnej zimy. Kiedy więc były prezydent Gerald Ford zaplanował wyjazd na narty, Secret Service poprosił nas o podesłanie kilku operatorów z umiejętnościami narciarskimi do pomocy. Zwyczajnie nie mieli wystarczająco dużo agentów, którzy potrafili jeździć na nartach. Z nartami obeznana jest większość Rangarów i ludzi z Sił Specjalnych, więc wielu z nas znakomicie się czuła na stoku. Charlie wysłał dwóch operatorów, Secret Service zapewnił im błyskawiczny kurs ochronny

osobistej i zostali przydzieleni do przybocznego oddziału Geralda Forda.

Zdali nam relację po powrocie. Ich misja polegała na „zamiataniu” stoków przed Fordem, przepuszczaniu go, by zjechał, patrzeniu jak jedzie i nadzorowaniu z góry z pistoletami maszynowymi w pogotowiu. Jeśli do pokonania był zakręt lub kawałek stoku niewidoczny z góry, zjeżdżali obok swojego podopiecznego, by sprawdzić teren. Po zjechaniu na dół, błyskawicznie podchodzili pod następne wzniesienie i cała operacja się powtarzała.

Bombowa robota! Wszystko, co musieli robić, to sprawdzanie terenu i nadzorowanie - żadnej ciężkiej pracy w stylu organizowania konwojów, ustawiania pojazdów, sprawdzania toalet i martwienia się o ludzi czekających na windę. Niebawem wszyscy mieliśmy odkryć, jak wymągająca, monotonna i prozaiczna jest tak naprawdę praca w obstawie. Ale teraz próbowaliśmy wyćwiczyć się w podstawach tradecraft.

Tradecraft brzmi intrygująco i urzekająco, ale muszę przyznać, że szpiegostwo w praktyce jest ciężką pracą -i zwykle nudną. Lepsze to jednak od bycia przykutym do biurka w jakimś cholernym biurze czy gapieniem się w zad osła na farmie, gdzie równie dobrze mogłem wylądować.

Szpiegostwo przynosi chwile ekscytacji, jednak nie nauczyliśmy się tradecraft, by zostać szpiegami. Zbieranie tajnych informacji nie było dziedziną, którą mieliśmy się zajmować - chociaż, jak pokazał czas, myliliśmy się w tej kwestii. Zdobywaliśmy te umiejętności, by osiągnąć mistrzostwo we wślizgiwaniu się na obce terytorium i organizowaniu operacji w nieprzyjaznym lub wręcz wrogim kraju. Najpierw nauczyliśmy się, jak opisywać miejsca i okolice oraz pisać raport ze sprawy.

Załóżmy, że chcemy przeprowadzić operację w nieznanym mieście. Będziemy musieli zaplanować metody komunikacji pośredniej lub bezpośredniej, włącznie z dostarczaniem listów do skrzynki kontaktowej, osobistych spotkań oraz odbioru osób. Musimy znaleźć liczne miejsca na te wszystkie czynności, każda z nich powinna mieć w rezerwie zastępczą lokalizację, gdyby pierwsza została ujawniona. W to wlicza się też ustalenie tras, które pozwalają na sprawdzenie, czy nie jesteśmy śledzeni oraz pozbycie się ewentualnego ogona.

Musimy mieć miejsca do użytku dziennego i nocnego. Musimy być też przygotowani na to, że jakieś miejsce stanie się bezużyteczne, chociażby z powodu robót budowlanych czy nieprzewidzianych zdarzeń. Musimy też być pewni, że nikt inny nie zechce wykorzystać danego miejsca.

Zwłaszcza ostatnia sprawa ma szczególne znaczenie. Wszyscy tajni agenci (i kryminaliści), bez względu na narodowość czy rząd, korzystają z tych samych miejsc oraz tych samych metod tradecraft. To jak gra w baseball. Nieważne, dla kogo grasz - Ameryki, Rosji, Francji czy Izraela — technika jest zawsze ta sama.

Przedziwne jest odkrycie podczas szukania lokacji, że ktoś inny wykorzystał już to miejsce - jakby

inny pies podłał już hydrant, na który się miało oko.

Szczególnie dotyczy to skrzynek kontaktowych, ponieważ są tylko dwa rodzaje sygnałów „pusta” i „pełna”: znaki robione kredą lub pineski (wraz ze zmniejszeniem ilości drewnianych słupów telefonicznych sposób z pine-skami wymiera).

Jeśli jesteś w Waszyngtonie lub Nowym Jorku, rozglądaj się uważnie chodząc po ulicach. Jeśli zobaczysz na murze kredowy bazgrał na wysokości kieszeni marynarki lub kredę rozkruszoną na chodniku w pobliżu rogu ulicy, prawdopodobnie widzisz sygnał pozostawiony przez agenta. Nawet biorąc pod uwagę, że Związek Radziecki upadł, a zimna wojna się zakończyła, nieodmiennie czuję zdziwienie, ile tego się jeszcze rozgrywa. Jeśli wyczulisz się na takie drobnostki, to je dojrzysz. Instruktor opowiadał, że niektóre miejsca w różnych stolicach świata były tak pokryte kredowymi znakami, że agenci z różnych krajów zaczęli używać kredy w różnych kolorach. Poważnym naruszeniem etykiety było użycie kołuru innego agenta. Złodziejski honor. Dobre miejsce na skrzynkę powinno wyglądać jak najzwyczajniej. Tak, by nikt inny nie zwrócił na nie uwagi. Oczywiście musi być stosowne do tego, co się chce tam robić i kto te czynności ma wykonywać. Przeważnie potrzeba jedynie ruchliwego miejsca - kolejny przykład tego, że partyzantka pływa w morzu ludzi.

W tamtych czasach najpopularniejszym miejscem na skrzynkę kontaktową były publiczne automaty telefoniczne. Są dostępne praktycznie wszędzie, zwłaszcza w miejscach, w których agent może zostawić co trzeba, bez obawy bycia śledzonym. Materiał był przekazywany w magnetycznym pudełeczku na klucze, takim, jakie się kupuje w sklepie z częściami samochodowymi. W celu pozostawienia przesyłki, trzeba po prostu przyczepić pudełko do spodu półki pod aparatem, podczas rozmawiania przez telefon lub szukania numeru w książce telefonicznej. Pudełko przyczepia się w określonym miejscu półki (lewy przód, prawy tył itp.) tak, aby szukający go agent nie musiał macać po omacku, a jedynie sięgnąć i wyjąć. Agent pozostawiający przesyłkę zostawia znak „pełny” na odchodnym.

Po co te wszystkie ceregiele? To proste. Aby odciąć od siebie ludzi i grupy. Dzięki temu nikt nie zna osobiście swoich kontaktów, a w wypadku zdemaskowania i przesłuchania, pomaga zminimalizować wiedzę, którą przesłuchiwany mógłby ewentualnie zdradzić. Z drugiej strony powoduje to, że praca staje się trudniejsza i czasochłonna, a czas jest cennym i ulotnym dobrem w pracy wywiadowczej.

Nawet na najlepiej obmyślonych planach można się przejechać. Kilka lat później dowodziłem sekcją wywiadowczą OTC. Mój zespół i ja spędziliśmy kilka tygodni w Atlancie, szukając dziupli i dla wprawy pisząc raporty ze sprawy tylko po to, by większość lokacji została spalona, ponieważ kręcono tam film. To była cenna lekcja, bo takie szambo zawsze może przytrafić się podczas operacji.

W trakcie innej sesji treningowej jeden z naszych ludzi miał za zadanie śledzić „agenta” do dziupli. Nasz człowiek namierza faceta, który jest według niego ofiarą, wydaje mu się, że widzi znaki „bezpiecznie” i „za mną”, i śledzi faceta po całym El Paso w Teksasie. Po dwóch godzinach jeżdżenia autobusem i łażenia po centrach handlowych, nasz człowiek zaczyna być wnerwiony, podchodzi blisko do faceta, za którym podążał i syczy mu do ucha: „Człowieku, może już dość tego gówna?” Przypadkowy „agent” patrzy przez ramię na olbrzymiego i wkurzonego nieznanego, który na pewno jest świrem albo zbrojnym, wymachuje bowiem rękami i biegnie z krzykiem po ulicy.

Całe szczęście, że za nieborakiem podążali jego koleżdy z drużyny, mający niezły ubaw. Zgarnęli ogłupiałego kumpla z ulicy i błyskawicznie ściągnęli do jednej z dziupli, gdzie reszta z nas - otrzymująca wciąż przez radio komunikaty „Zły kierunek, Ferrigan” - zgromadziła się, by dopełnić ponizenia.

Bawiło nas to szalenie wtedy i bawi do dzisiaj. Jednak pomyłka tego rodzaju może mieć tragiczne konsekwencje.

Całe lata temu w Szwecji izraelskiemu Mosadowi również przytrafiła się podobna błędna identyfikacja, przez co zamordowany został człowiek, którego uważali za jednego z palestyńskich terrorystów uwikłanych w masakrę na igrzyskach olimpijskich w Monachium. Tego rodzaju sprawy są jak pakowanie spadochronu - zawsze musisz być pewny.

Inwigilacja i jej przeciwdziałanie były sednem naszego kursu. Najpotrzebniejszymi umiejętnościami. W ich ramach dowiedzieliśmy się, jak znaleźć i śledzić obiekt, tak pieszo, jak i przy wykorzystaniu pojazdów. Jak rozpoznać, kiedy można się do niego zbliżyć, a kiedy należy zachować większy odstęp. Jak być niewidzialnym. Abyśmy wyostrzyli swoje zdolności, instruktor wysłał nas na misje praktyczne w miastach Północnej Karoliny i Wirginii.

Jeśli nawet to tylko trening, to i tak zżera nerwy. Poza wszystkim bowiem nasza aktywność mogła wzbudzić za-interesowanie policji. A w naszym przypadku policja była poinformowana i się za nami rozglądała. Wtedy wydawało się to nam nieuczciwie, ale nasz instruktor miał dobry powód, by uczynić program tak realistycznym, jak to tylko możliwe.

Podczas przygotowań do treningu ochrony osobistej odbyliśmy kurs jazdy. Ale nie był on czymś, co w jakimkolwiek paroksyzmie wyobraźni dałoby się wpisać w to pojęcie. Zdecydowanie nie była to jazda pasywna. Właściwie był to kurs jazdy agresywnej - jak używać pojazdu lub konwoju pojazdów jako broni.

Dwóch z naszych instruktorów OTC współpracowało z Biurem Departamentu Ochrony Dyplomatycznej i przeszło ich program instruktorski. Stamtąd pojechali do Sears Point w Kalifornii i uczestniczyli w kursach szkoły rajdowej Boba Bonduranta. A teraz wrócili, przywożąc nam to, czego się nauczyli.

Kurs Jazdy Dynamicznej był jedną z tych rzadkich rzeczy, które są tak przyjemne, że nie sposób uznać ich za pracę. Podobnie jak w przypadku skakania ze spadochronem, im trudniejsze jest zadanie, tym więcej ma się z niego radości. Tak sobie myślę, że to spełnienie marzeń każdego mężczyzny - uczysz się jeździć samochodem niczym kaskader i jeszcze ci za to płacą.

Kilka lat później, podczas naszej małej wrednej partyzantki w Panamie kierowca wożący mojego pułkownika w Hunwee zadał mi pytanie, gdy razem piliśmy kawę na zakończenie jakiegoś wariackiego dnia.

- Panie sierżancie majorze, czy wie pan, co najbardziej lubię na wojnie?
- Nie, Bowman, nie wiem - odpowiedziałem. - Co takiego najbardziej lubicie na wojnie?
- Można jeździć jak się chce i nikt nie może człowiekowi za to nic zrobić — uśmiechnął się zadowolony, przybierając jednocześnie ten charakterystyczny dla żołnierza zaprawionego w boju wyraz twarzy starego młodzieńca. Dokładnie wiedziałem, co ma na myśli. Dokładnie tak czułem się pierwszego dnia Kursu Jazdy Dynamicznej.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy, było wynajęcie tuzina aut. Nasi instruktorzy twardo trzymali się zasady, że do tego nie używa się swojego pojazdu. Jeden z naszych chłopaków przyjechał na zajęcia własnym samochodem, ale gdy zapytał, czy oddział pokryje koszty napraw po ewentualnych uszkodzeniach, pułkownik stwierdził, że musiałoby go zdrowo pogiąć, aby zapłacił za zniszczenia, bo „to kompletna głuuuuupota”.

Sposób z wynajętymi samochodami sprawdzał się przez jakiś rok, dopóki każda wypożyczalnia samochodów w promieniu 50 mil nie zorientowała się, co jest grane. Ale do czasu, gdy zostaliśmy skreśleni przez wszystkie wypożyczalnie, musieliśmy zmontować własny tabor.

Wcześniej tego ranka wzięliśmy samochody i sprzęt, i pojechaliśmy na lotnisko w Camp Mackall. Mackall jest przyczółkiem Fort Bragg, położonym w pobliżu celów pielgrzymek golfistów — Pinehurst i Southern Pines. Podczas II wojny światowej odbywały się tu szkolenia oddziałów szybowcowych, ale od lat pięćdziesiątych Mackall stało się siedzibą pierwszej fazy szkolenia Sił Specjalnych.

Było to idealne miejsce na to, co mieliśmy zamiar robić. Mogliśmy wykorzystać wielkie, trójkątne lądowisko i przyległe doń drogi kołowania jako pola poślizgowe i tory wyścigowe. A że lotnisko było tak daleko, mogliśmy trenować do śmierci — bezpiecznie i w spokoju.

Donald Michael Feeney był naszym głównym instruktorem. Donny dorastał na Brooklynie jako chłopak z gangu. Pochodził z mieszanej rodziny włosko-irlandzkiej. Pod naciskiem sędziego sądu dla nieletnich znalazł schronienie w armii. Minęliśmy się w Batalionie Ran-gerów - wypisywał się dokładnie w dniu, w którym ja się tam zjawiłem - jednak wiedzieliśmy o sobie to i owo przez wspólnych znajomych. Kiedy przyjechałem na sekcję, Donny był jednym z instruktorów, zaś gdy rozpoczęło się OTC, szkolił nas.

Według niektórych Donny zachowywał się jak terier, który szuka nogi, żeby ją chyłkiem obsikać. Był twardy jak brukowy kamień, miał migotliwe, brązowe oczy i żywą inteligencję. Uważam, że był jednym z najodważniejszych ludzi, jakich znałem. Nie było lepszego przyjaciela niż Don Feeney. I bardziej zawziętego wroga.

Pomimo, iż pochodziliśmy z tak skrajnie odmiennych środowisk, a w niektórych kwestiach byliśmy tak odmienni, jak tylko dwie istoty ludzkie mogą się różnić, Donny-'ego i mnie łączyło prawdziwe braterstwo. Największym komplementem, jaki usłyszałem w życiu były słowa Donny'ego, które wypowiedział do kogoś parę lat temu: „Po-wierzyłbym Ericowi Haneyowi życie moich dzieci”. Do-kładnie taki sam jest mój stosunek do niego.

Na polach poślizgowych Donny był w swoim żywio-le: szybkie auta i brak zasad. Asystentem Dona był Bill Oswalt, instruktor, który wydawał mi sprzęt po moim przybyciu do Aberdeen Camp. W żyłach Billa, wywodzącego się z Tulsy w Oklahomie, płynie domieszka krwi Irokezów. Był partyzantem w „Oki-nawa Mafia”, działając tam w czasie służby w 1. Grupie Sił Specjalnych w tej samej kompanii co Walt Shumate i paru innych obecnych członków Delty. Żaden z nas o tym wtedy nie wiedział, ale gdy sformowaliśmy Szwadron B, Bill i ja zo-staliśmy towarzyszami na lata i przyjaciółmi na wieki.

Bill był napakowanym przystojniakiem o oczach tak ciemnych, że nie dało się zauważyć źrenic. Miał wariackie poczucie humoru i dziś także ma się dobrze. On, Donny i ja nadal jesteśmy sobie bardzo bliscy, a niektórzy twier-dzą, że tworzymy trzyosobową spółkę, co jednak nie zo-stało udowodnione przed żadnym sądem.

Kolejnych pięć dni upłynęło pod znakiem ruchu i prę-dkości. Don i Bill przeprowadzili nas przez podstawy przy-gotowania pojazdu do jazdy wyczynowej, a następnie przez dynamiczne prowadzenie auta. Uczyliśmy się wy-czuwać, gdzie auto jest najbardziej obciążone - z przodu, z tyłu, po bokach - i jak to wpływa na hamowanie i kon-trolę nad pojazdem. Zdobywaliśmy wiedzę o tym, jak nie wypaść z ostrego zakrętu, najlepiej wykorzystywać wąskie uliczki i jednopasmówki oraz jak zatrzymać samochód w kontrolowany sposób, skracając drogę hamowania o 70 procent. Potem przyszedł czas na kontrolowane po-ślizgi i zmianę kierunku jazdy - zwroty w lewo i w prawo o 90 stopni, zwrot o 180 stopni w przód i w tył.

Po zebraniu wszystkich tych technik w jedną spójną ca-łość, ganiałliśmy się po torze wyznaczonym na płycie lot-niska rzędem drogowych pachołków. Dopisało nam nie-złe szczęście, bo tego popołudnia lało i mogliśmy wypró-bować swoje nowe umiejętności na mokrej nawierzchni. Następnego zaś dnia przywieźliśmy kilka pojemników na śmieci i nauczyliśmy się wykorzystywania samochodu jako broni. Poznaliśmy takie małe, sprytne sztuczki, jak za-fundować innemu pojazdowi niezłą karuzelę, jak ude-rzyć w inny samochód i spowodować jego natychmiasto-we zatrzymanie, bez szkód dla siebie oraz jak się przedrzeć przez blokadę drogową.

Większość z tego była bardzo zabawna, ale jak zwykle przebiegała w atmosferze silnej rywalizacji. Nikt nie chciał być tym, który niechybnie zostanie wyslizgany tak z toru, jak i z akcji. Jediną rzeczą, która mi dokopała, było przejechanie się z Billem, by filmować kamerą wideo pościg po torze za Donnym. Zanim weszliśmy w drugie okrążenie, wyłem, by Bill się zatrzymał.

- Co jest? - wrzasnął przekrzykując ryk silnika.

- Niedobrze mi! - odwrzasnąłem. - Wypuść mnie zanim się zrzygam!

Bill zjechał na bok toru i zatrzymał się. Wypełzłem ze środka, czując skurcze żołądka i stałem na drżących nogach aż znalazłem na powrót równowagę. Bill uważał to za świetną zabawę, dopóki to ja nie zacząłem prowadzić, podczas gdy on próbował utrzymać stabilną rękę, patrząc przez wizjer kamery na ślizgający się, zawracający, hamujący, podskakujący i przyspieszający świat. Kiedy przyhamowałem, by mógł odzyskać kolor, nie wydawało mu się to już tak znakomitym kawałem. Ostatnie półtora dnia spędziliśmy ćwicząc jazdę w szyku — jak działać w wielopojazdowym konwoju i używać pojazdów jako broni w celu ochrony „limuzyny”. To było clue całej tej nauki — pojazd prowadzący, limuzyna, pojazd zamykający konwój — i jak manewrować tymi trzema pojazdami, by stanowiły jedność.

Skończyliśmy w piątek, w porze lunchu i byliśmy gotowi do odjazdu. Zanim jednak odjechaliśmy, Donny dał tym, którzy byli wyznaczeni do zwrócenia samochodów do wypożyczalni wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić autom nowe opony.

— Rozjedźcie się po różnych sklepach z oponami w Fayetteville — powiedział - i koniecznie przywieźcie mi paragony. Muszę rozliczyć się z tej forsy! - rozdawał dwudzie-stodolarówki z pliku większego niż jego pięść.

Miałem trochę kłopotów z facetem wymieniającym opony w moim pojeździe. Gdy tylko zorientował się, że samochód był wynajęty, wzburzył się, że kupuję opony.

— Nie płaciłbym za gumy na pana miejscu. Cholera, wypożyczalnia nie powinna wypuszczać bez nich samochodu. Gумы w takim stanie... to niebezpieczne, mogłeś pan se krzywdę zrobić — pokręcił głową z dezaprobatą i popatrzył na łysy opony, z których tu i ówdzie wystawały druty.

— Cholera, sam do nich zadzwonię - prychnął, idąc w stronę telefonu. - Muszą mnie posłuchać. Jestem zawodowcem w końcu.

— Nie, dzięki, wszystko jest OK., niech się pan nie martwi — chwyciłem jego dłoń, gdy łapał słuchawkę telefonu. — Powiem im, żeby do pana dzwonili, jak będą mieli jakieś problemy. Niechże się pan nie martwi.

— No dobra, skoro pan tego chcesz - łypnął na plik banknotów, które włożyłem mu w rękę, jakbym chciał nim go uciszyć. — Ale to się nie godzi i sam by se pan tego nie naprawiał - niechętnie podał mi paragon.

„Zaniepokojony obywatel” pomyślałem, jadąc z powrotem na lotnisko by zwrócić auto. Okazało

się, że nie tylko on tak zareagował, ale i inni „zawodowcy”.

Od tego czasu, pod koniec każdej sesji za kółkiem, sami wymienialiśmy opony w naszym warsztacie.

Istnieją dwie podstawowe metody prowadzenia ochrony osobistej - ta, którą stosuje Secret Service, i ta, którą stosują wszyscy inni.

Różnica polega na rodzaju przewożonych dóbr. Secret Service pozbywa się wszelkich przeszkód. Zachowuje się bardziej jak gestapo, niż jakakolwiek agencja rządu Stanów Zjednoczonych. Podczas ochraniania prezydenta, wiceprezydenta, ich rodzin lub kandydatów na prezydentów, Secret Service wzywa — i otrzymuje — wszelkie wsparcie sił policyjnych i każdej agencji rządowej obejmującej jurysdykcją teren, przez który podróżuje cała kawalkada.

Faceci i babki z Secret Service mają mnóstwo pracy (której im nie zazdroścę) chroniąc największy odgromnik nieprzyjaznych intencji jaki nosi ziemia. Jednak bez znaczącego wsparcia innych przyjaznych sił, Secret Service nigdy nie osiągnęłoby takiego poziomu ochrony, jaki zapewnia swoim zwierzchnikom.

Secret Service to najlepiej ubrani i najświetniej ostrzyżeni ludzie, jakich kiedykolwiek widzieliście. To stary dowcip, ale tkwi w nim ziarno prawdy. Jeśli nie wiesz, który z grupy ludzi jest amerykańskim prezydentem, możesz śmiało stawiać na najbardziej nieatrakcyjnego faceta w środku grupy przystojniaczków. Członkowie ochrony osobistej prezydenta i wiceprezydenta są piękni. Nie da się ich inaczej opisać.

To właśnie ci pięknie udzielali nam pierwszych lekcji tego, co później stało się ważną częścią naszych działań. Dwaj starsi agenci Secret Service, Tommy and Francis, przybyli do nas na kilka dni z Waszyngtonu i poprowadzili wykłady z ochrony. Zdecydowanie najważniejszą rzeczą, jakiej się od nich nauczyliśmy, był związek, jaki musieliśmy utrzymywać z osobą ochranianą, nazywaną pryncypałem.

Pierwsza rzecz, jaką dyrektor Secret Service mówi prezydentowi jest to, że mnóstwo ludzi głosowało przeciwko niemu, wielu ludzi go nienawidzi, sporo zaś chciało-by go zabić, gdyby tylko mogli. Tommy powiedział, że to bardzo ważne, aby prezydent był świadom zagrożeń, mimo radości i satysfakcji, które zapewniają mu wiwatujące tłumy i pomimo życzliwości wszystkich tych, którzy nań głosowali.

Później poznaliśmy historię udanych i nieudanych zamachów na prezydentów i kandydatów w latach 70.

Nixon był celem kilku znaczących zagrożeń, zaś Gerald Ford przyciągał niebezpiecznych świrów mocniej niż magnes opiłki żelaza. George Wallace został postrzelony i sparaliżowany — a podczas tego samego ataku jeden z agentów Secret Service został zabity strzałem w gardło. Potem poznaliśmy teorię (choć należałoby to nazwać praktyką) zapewniania ochrony Secret

Service. W najprostszy sposób można ją opisać jako dużą ilość koncentrycznych kół ochrony, w środku których znajduje się pryncypał. Zewnętrzne okręgi wykonują misje wykrywania i pozbywania się potencjalnych problemów, podczas gdy kółko położone w samym środku „osłania i ewakuuje” pryncypała w razie ataku.

Jeśli pamiętacie nagranie z postrzelenia prezydenta Ronalda Reagana, widzieliście też podręcznikowe wykonanie tego, co zwykle robi się w takiej sytuacji. Na dźwięk wystrzału agenci wokół prezydenta przyłgnęli do niego, osłonili własnymi ciałami, wpełchnęli do limuzyny i ewakuowali z tego miejsca. Działali według wytrenowanego instynktu: osłonić go i oddalić od zagrożenia.

Na ulicy agent znajdujący się najbliżej napastnika na dźwięk wystrzału krzyknąłby: „Broń!” i złapał tak pistolet, jak i rękę, która go dzierżyła. Celem takiego działania było uniemożliwienie napastnikowi utrzymania kontroli nad bronią. Pozostali agenci, policjanci i obywatele będący w pobliżu rzuciliby się na niego, przygważdżając strzelca do ziemi.

Ochrona polega głównie na tym, by pryncypał stał się trudniejszy do upolowania niż inni, co mogłoby zachęcić potencjalnego zamachowca do szukania innej ofiary. Problem, z którym musi się zmierzyć Secret Service polega na tym, że istnieje tylko jeden prezydent USA. A jeśli ktoś chce zabić akurat jego, to raczej nie zadowolony się nikim innym.

Tylko raz pracowałem z Secret Service, jako lider drużyny przeciwuderzeniowej. Chroniłem wiceprezydenta Busha, gdy przyjechał do Fortu Bragg. Było to dość uciążliwe, bo prezydent trafił w jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Stanach.

Jednak w roku 1994, w moim już powojkowym życiu, zabrałem prezydenta Bertranda Aristide'a z powrotem na Haiti jako szefa jego ochrony. I mogę wam powiedzieć, że to ogromna odpowiedzialność wiedzieć, że człowiek, którym masz się opiekować, jest skazany na śmierć. Na szczęście dla mnie i prezydenta Aristide'a bycie skazanym na śmierć było raczej popularne na Haiti w tamtych czasach.

Urządziliśmy Tommy'emu i Francisowi gorące pożegnanie, pełni szczerzej wdzięczności i przywiązania, które czuliśmy wobec tych wspaniałych ludzi i ich pracy. Następnego dnia powitaliśmy parę szkoleniowców z agencji, z którą potem mieliśmy dużo i długo do czynienia - z Departamentu Stanu. Stąd właśnie dowiedziałem się, jak reszta świata musi sobie radzić z ochroną pryncypała - mając ograniczone środki, słabe lub wręcz bezużyteczne wsparcie lokalne i wrywkowy wywiad.

W tamtych czasach Departament Stanu nazywał się Państwowym Departamentem Bezpieczeństwa. Teraz funkcjonuje pod znacznie bardziej wzniosłą nazwą Departamentu Stanu Bezpieczeństwa Dyplomatycznego. Zarówno wtedy jak i teraz jest on wykorzystywany do strzeżenia ambasad w dalekich krajach, zapewniania bezpieczeństwa ambasadom

amerykańskim na całym świecie i udzielania ochrony niektórym dyplomatom odwiedzającym Stany.

W 1979 roku Departament Stanu przeżywał trudne chwile. Miał bardzo mało agentów, a ci, którzy tam pracowali, bardziej chcieli być dyplomataami niż ochroniarzami.

Aż do tamtej chwili życie w ambasadzie za granicą było dość spokojne, ale zmieniło się to dość dramatycznie. Zamordowano amerykańskiego ambasadora w Grecji, zaatakowano kilka ambasad amerykańskich w różnych krajach, śmiercią grożono też ambasadorom w takich uroczych miejscach jak Bejrut, Salwador czy paru innych, które nie podzielały amerykańskiej wizji świata. Z wielu powodów Departament Stanu miał problem ze stawieniem czoła nadchodzącym zagrożeniom. Wtedy do akcji wkroczył Charlie Beckwith i zaproponował im umowę, której nie mogli odrzucić. Ochroniarze ambasadoryjni nie mieli dostępu do bogatych źródeł, jakimi dysponowało Secret Service. W naprawdę paskudnych miejscach skazani byli na siebie samych i garstkę lokalnie rekrutowanych (i często po minimalnym jedynie szkoleniu) ochroniarzy. W wypadku ataku ochrona musiałaby nie tylko „osłaniać i ewakuować”, ale także wywalczyć sobie drogę wyjścia.

Charlie powiedział Departamentowi Stanu, że zapewni im trochę ludzi do obsadzenia najbardziej zagrożonych ambasad. Ludzi, którzy nie tylko będą walczyć, ale również szkolić lokalnych ochroniarzy i dowodzić nimi - było to coś, w czym my byliśmy dobrzy, a czego Departament Stanu nie lubił. Wszystko, co musieli zrobić, to zapewnić podstawowe przeszkolenie w temacie ich metod postępowania. Aby zaś oszczędzić zakłopotania sytuacją, że Departament Stanu zatrudnia najemników, nasi ludzie mieli działać pod jego rozkazami podczas przydziału do tych zadań. Taka umowa była bardzo korzystna dla Departamentu Stanu, więc zgodzili się na to, zanim pułkownik Beckwith zdążył zmienić zdanie. Dawała ona nam stałą pozycję w najpaskudniejszych zakątkach świata, miejscach, gdzie w niedalekiej przyszłości prawdopodobnie byśmy działali. Dostarczyła też kontaktów i otworzyła kanały w agencji, które miały bardzo silny wpływ na nasze potencjalne operacje - oraz pozwoliły na budowanie zaufania Departamentu do nas. Umożliwiło nam to również nawiązanie osobistych kontaktów we wrogich państwach - wśród lokalnych władz, ale i w innych grupach czy wśród zwykłych ludzi.

Nasi dwaj nowi goście, Alton i Raymond, odmalowali dość ponury obraz świata, gdy opowiadali, z czym będziemy musieli się w przyszłości zmierzyć. A my nie mogliśmy być bardziej zadowoleni. A potem zanurkowaliśmy od razu w temat: jak chronić ambasadora Stanów Zjednoczonych w miejscu, gdzie tak wiele osób chce go zabić.

Cała zabawa polega na unikaniu sytuacji, które mogą się stać problematyczne. Jeśli dobrze wykonujesz swoją pracę, twój szef będzie się z tobą wciąż wyklócał o twoją przesadną ostrożność. Ale to w porządku. To znacznie lepsze niż siedzenie przed komisją w Kongresie i tłumaczenie się,

jak mogłeś dopuścić do tego, że reprezentant narodu amerykańskiego w obcym kraju został zabity, pomimo iż powierzył ci swoje życie. Do dzisiaj żaden członek Delty nie musiał odpowiadać na to pytanie.

Nadszedł czas wypróbowania tego, czego się dotąd nauczylismy.

Przez kilka dni Alton i Raymond na zmianę przyjmowali rolę pryncypała i dowódcy oddziału ochrony, podczas gdy my ćwiczyliśmy nasze umiejętności w Fayetteville i Raleigh. Potem to my zaczęliśmy po kolei odgrywać rolę dowódcy, podczas gdy jeden z instruktorów na bieżąco komentował nasze poczynania i wymyślał nowe problemy. Coś tak banalnego jak guma w drodze na spotkanie w innym mieście może całkiem zmarnować dzień.

Gdy nauczyliśmy się radzić sobie z drobnymi, codziennymi problemami, nauczyciele rzucili nas na głęboką wodę.

Pryncypał jest na kolacji w domu prywatnym, dom zostaje trafiony raketami i wybucha pożar, a z ulicy prowadzony jest ostrzał z broni krótkiej.

Rozwścieczony miejscowy próbuje zabić pryncypała w czasie konferencji prasowej w hotelowym lobby.

Miejscowa policja próbuje zatrzymać konwój, trzymając go na muszce.

Żona pryncypała chce wysłać ochroniarzy po swoich przyjaciół zaproszonych na oficjalny podwieczorek wydawany w ambasadzie, sądząc, że będzie to miły gest.

Pryncypał dostaje zawału w czasie kolacji dyplomatycznej.

Każda z sytuacji wydarzyła się naprawdę, bez uprzedzenia. To były dla nas prawdziwe lekcje.

Zawsze oczekuj, że wydarzy się coś złego i bądź gotów do działania.

Byłem szefem ochrony, gdy pryncypał miał zawał na przyjęciu. Naprawdę można się zdenerwować, gdy się obserwuje pomieszczenie i widzi, jak pada twarzą w ziemię, a cały pokój wybucha zgiełkiem.

Jedną z najtrudniejszych aspektów tej pracy jest to, że trudno jest zajmować się fizycznymi potrzebami własnymi i swoich podwładnych. Znalezienie chwili na spokojną wizytę w kibelku może być wyzwaniem. A tak prosta sprawa jak nakarmienie wszystkich wymaga niezłych umiejętności logistycznych.

Jeśli pryncypał spędza 30 minut na jedzeniu oznacza to, że w tym czasie zje spokojnie tylko kilku ludzi, a dla pozostałych posiłki będą musiały zostać zorganizowane o innych porach. Rzadko się zdarza, by podopieczny zdał sobie sprawę, a zwłaszcza dbał o to, by ludzie, którzy chronią jego życie, mieli czas coś zjeść.

Praca jest wymagająca umysłowo, nie ze względu na wyzwania intelektualne, ale ponieważ

konieczna jest nieustanna uwaga i czujność na szczegóły. Nigdy nie jesteś w stanie się odprężyć, co przekłada się na zmęczenie fizyczne, przez co musisz znaleźć sobie sposób na utrzymanie swego ciała w dobrej formie. To także musi być wpisane w rozkład dnia pryncypała. Pierwsza bowiem zasada jest taka: „Budzić ich rano, kłaść ich spać wieczorem, być z nimi cały czas, gdy są na nogach - a w niektóre noce nawet, kiedy śpią”.

Gdy nasi instruktorzy uznali, że zadowolają ich nasze umiejętności, zabrali nas do Waszyngtonu. Znacznie swobodniej czułem się, robiąc to, co robiłem, w Waszyngtonie, niż w Fayetteville. Konwój trzech samochodów wydaje się oczywistością w Waszyngtonie, ale tam, w Północnej Karolinie przypominał raczej cyrkową trupę na głównej ulicy.

W Waszyngtonie obecność pełnowymiarowego oddziału ochroniarskiego była tak oczywista, że ludzie nie zwracali na nas uwagi, a my mogliśmy się w pełni poświęcić naszej pracy. Poza tym Waszyngton nie był tylko jakąś tam stolicą. Był tą stolicą. Jeśli więc mogliśmy wykonywać swoje zadania tu, pod czujnym okiem najlepszych agencji ochrony na świecie, nie powinniśmy mieć kłopotów z działaniami gdziekolwiek na Ziemi.

Wszystko szło tak gładko, że ćwiczenia były niemalże nudne. Aby każdy z nas mógł zaliczyć różne stanowiska w oddziale, podzieliliśmy się na dwie grupy i zmienialiśmy się pracując na dziennych i nocnych zmianach. To pozwoliło nam na przygotowanie przypadku, który najlepiej pamiętam z ćwiczeń w Waszyngtonie.

Oddział, z którym pracowałem tego dnia miał nocną zmianę, i tego wieczoru zabieraliśmy „prezydenta” na przedstawienie w Kennedy Center. Oznaczało to, że mieliśmy trochę czasu by poćwiczyć, zanim przejęliśmy obowiązki od drugiego oddziału o godzinie 16. Dlatego też pięciu czy sześciu z nas wykorzystało tę chwilę odprężenia na pobieganie wzdłuż kanału równoległego do rzeki Potomak. Po pięciu czy sześciu kilometrach zawróciliśmy w stronę hotelu, by umyć się i przygotować do pracy. Kilku z nas popędziło przodem, podczas gdy reszta spokojnym tempem biegła po ścieżce chłonąc przyjemność życia i bycia na dworze w tak piękny późnowiosenny dzień. Ponieważ byliśmy przemoczeni i obleśni po biegu, weszliśmy do hotelu bocznym wejściem, które otwierało się na windy używane przez pokojówki i inną obsługę. Do pobliskiej kuchni hotelowej prowadziła para wahadłowych drzwi znajdujących się na lewo od wind. Po drugiej stronie było wejście do głównej jadalni.

O każdej porze w każdym hotelu w tej okolicy coś się dzieje. Ten, w którym się zatrzymaliśmy, gościł uczestniczki tygodniowej konferencji organizowanej przez Narodową Organizację Kobiet. Około pół tuzina delegatek czekało przy windzie, gdy weszliśmy bocznymi drzwiami. Ponieważ jesteśmy dżentelmenami, nie chcieliśmy narażać żadnej z pań na konieczność wąchania odoru męskiego potu lub oglądania nas w tym stanie, staliśmy zatem spokojnie za nimi, chcąc zaczekać na następną windę. Wtedy, prześlizgując się cicho i niespodziewanie przez drzwi kuchni, nadszedł

nasz kumpel, Marshall Jones.

Łypnął na nas i położył palec na ustach, nakazując milczenie i podkradł się do Andresa Benevidesa, naszego kolegi stojącego najbliżej delegatek. Andres był tylko kilka kroków od kobiet i stał tyłem do Marshalla, trzymając dłonie na biodrach i ociekając potem, który kapał na podłogę. Marshall zbliżył się, schylił i ujął palcami wskaźującymi i kciukami rąbki jego sportowych szortów. Jednym płynnym ruchem ściągnął nic niepodejrzewającemu Andresowi szorty aż do kostek i umknął przez kuchenne drzwi. Odbyło się to tak szybko, że wszystkich nas zamurowało - ale nikogo bardziej niż biedną ofiarę błyskawicznego ataku Marshalla.

Andres spojrzał w dół na swoje szorty, żałośnie zmięte u jego stóp jak wylinka węża. Oczy wyszły mu na wierzch, a twarz poczerwieniała, gdy łapał powietrze, wściekle rozglądając się na boki.

Odrzucił głowę do tyłu i wrzasnął: „Jezu Chryste!”.

Andres zaczął przemieszczać się desperackimi skokami w stronę wahadłowych drzwi do kuchni, wciąż mając ręce oparte na biodrach, a spodenki omotane wokół stóp. Pewnie by mu się to udało, gdyby nie był w stanie szoku i przerażenia.

Kobiety czekające na windę, zaskoczone jękiem desperacji tuż za nimi, odwróciły się jak na komendę - wystarczająco szybko, by ujrzeć pięknie zbudowanego i zlanego potem mężczyznę, ubranego jedynie w suspensorium kryjące jego cojones i z przerażoną twarzą, szaleńczo skaczącego na boki, by uniknąć zderzenia z wahadłowymi drzwiami. Jego prędkość i sposób poruszania się przywiodły mi na myśl kraba zmykającego po plaży do swojej kryjówki.

Staliśmy tam wszyscy w uderzającej ciszy. Ośmioro ludzi przypadkowo tam zebranych zamarło w bezruchu i bało się spojrzeć na innych lub przyznać się, że coś wiździeliśmy. Szesnaścioro spuszczonej oczu śledziło zgrabne łuki zataczone przez wahadłowe drzwi, które stopniowo zwalniały, by w końcu się zatrzymać. Byliśmy zbyt zszokowani, by coś powiedzieć lub zrobić.

Nagle seniorka grupy kobiet, kosztownie odziana, dys-tyngowana i wspaniale wyglądająca dama uniosła brwi, spojrzała z ukosa na swoje towarzyszki, później na nas i sucho oznajmiła:

- Hm, muszę tu bywać częściej.

Spojrzeliliśmy na siebie, dławiąc się i łkając ze śmiechu.

Jak się możecie domyślać, Andres wcale nie uważał, że to było tak cholernie śmieszne. J.T. dzielił z nim pokój i powiedział nam, że gdy wszedł na górę, Andres truchtał w kółko, miotając przekleństwa najpierw po hiszpańsku, a potem po angielsku. Godność osobista Andresa została naruszona i na prawdę się wnerwił. Choć nie miał jednoznacznych dowodów, by zidentyfikować sprawcę, coś jednak podejrzewał.

Tego samego dnia później, kiedy nabijaliśmy się z jego waszyngtońskiego debiutu, Andres uśmiechnął się z pozorowaną słodyczą, ale wyraźnie wskazał głową Marshalla, intonując starą wojskową mantrę zemsty: „Payback is a Medevac”.

Spędziliśmy jeszcze kilka pracowitych dni i nocy w Waszyngtonie pod czujnym okiem szefostwa Ochrony Departamentu Stanu, a później bez rozgłosu zakończyliśmy ćwiczenia z tymi bardzo uzdolnionymi ludźmi.

Po końcowej odprawie z naszymi trenerami, Donny i Bill kazali nam poczekać w hotelu, dopóki nie wrócą. Mieli przywieźć nam jakieś instrukcje po tym, jak odbędą wszystkie korowody podziękowań i pożegnań w Departamencie Stanu.

„Coś się szykuje” pomyślałem, manewrując w ruchu ulicznym. To całe „czekajcie na dalsze instrukcje” miało w sobie coś z selekcji. Właściwie to już wcześniej ukuliśmy powiedzonko „Selekcja nigdy się nie kończy”.

Tak czy owak OTC miał się niebawem skończyć, a my mieliśmy stworzyć regularne drużyny. Co wcale nie oznaczało, że nie spotkają nas żadne niespodzianki.

Gerhard Altmann urodził się w Niemczech. Kiedy był zaledwie piętnastoletnim chłopakiem, zafasował niepasujący nań mundur i granatnik przeciwpancerny Pancerfaust, i został wysłany na zasypane gruzami ulice upadającego Berlina, by walczyć z wszechpotężną Armią Czerwoną, która rozszarpała gardło hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy.

Pojmany przez zwycięskich Rosjan po dwunastu dniach niewypowiedzianej brutalnej walki, Gerhard trafił do obozu dla jeńców wojennych na kilka tygodni, dopóki nie zorganizował kilku innych chłopców w grupę zdolną do ucieczki. Po wrócił do zniszczonego Berlina tylko po to, by odkryć, że cała jego rodzina nie żyje, a okolice jego domu obrócono w pył.

Gerhard przetrwał tę koszmarną powojenną zimę tylko dzięki swemu sprytowi i niezwyklej odporności, jaką dawała mu młodość. Kolejnej wiosny znalazł pracę na farmie na wschód od miasta. W tym samym roku informator doniósł na niego, ujawniając, że gromadził pistolety maszynowe i inne wojskowe pozostałości, i znów został internowany przez Rosjan. Związał im po raz drugi, jednak tym razem dotarł do Monachium, gdzie znalazł pracę w wojsku amerykańskim jako robotnik w warsztacie wojskowym. Dawał radę pracować na nocne zmiany i kontynuować zakłócony wojną tok nauki za dnia.

Dwa lata później, dzięki wsparciu paru nowych amerykańskich przyjaciół, Gerhard rozpoczął życie w Stanach Zjednoczonych. Sam zgłosił się do amerykańskiego wojska i niebawem został wysłany w piekło wojny, która rozpętała się na Półwyspie Koreańskim.

Po wojnie Altmann skończył uniwersytet na wydziale inżynierii i powrócił do wojska jako świeżo awansowany porucznik. Moment był idealny, by stać się jednym z najwcześniejszych członków świeżo sformowanych przez armię Sił Specjalnych. Poznał Charliego Beckwitha podczas służby w Wietnamie i chyba wywarł niezłe wrażenie na przyszłym dowódcy Pierwszego Operacyjnego Oddziału Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych Delta, ponieważ Beckwith wybrał go na

jednego z pierwszych oficerów sztabowych nowo narodzonej jednostki.

W piątkowe popołudnie na Ranczu Altmann przekazywał zgromadzonym członkom Delty aktualne informacje wywiadowcze z całego świata. Znajdował coś zabawnego w najbardziej ponurych wydarzeniach, a jego wykłady z tymi złowieszczymi wiadomościami znane były pod nazwą „Four o'clock Funnies”. Jednak pewnego dnia, na zakończenie spotkania zrobił się bardzo poważny i powiedział nam:

- Panowie, mam nadzieję, że nie spotkamy się w boju. Uczestniczyłem w trzech wojnach i wszystkie trzy przegrałem. Obawiam się, że jestem najgorszym z Jonaszy pod tym względem i dlatego być może powinienem wybrać inny sposób na życie.

Teraz zgromadziliśmy się, czekając w dużym pokoju w waszyngtońskim hotelu, a major Altman zapoznawał nas z finałową fazą Kursu Treningowego Operatorów, trafnie nazwaną Testem Kulminacyjnym.

- Moi młodzi przyjaciele - powiedział Altmann, przyjmując wystudiowaną pozę II Duce z uniesionym podbródkiem i pięścią poruszającą się w powietrzu. - Dotarliście daleko, w samej rzeczy bardzo, bardzo daleko i teraz musicie zademonstrować, że umiecie zastosować swoje umiejętności, które zdobyliście dzięki wytrwałości, pilności i ciężkiej pracy. Zadanie przed wami leżące do łatwych nie należy. Ale dla czegoż by miało być łatwe? Prawdą jest, że nasza misja jest trudna. Gdybyż tak nie było, nie stalibyśmy tu teraz, gdyż inni ludzie dzieliliby to brzemie, które tak godnie dźwigacie.

Przestał udawać Mussoliniego i mówił dalej swoim normalnym głosem.

- Dość tego szajsu. To wasz egzamin końcowy. Sądzę, że sprawdzi on wasze możliwości do samego dna. Uważam go za ćwiczenie przedsiębiorczości, a zanim skończycie, też będziecie mogli tak o nim powiedzieć.

Wskazał na tył pokoju.

- Na stole leżą teczki dla każdego z was, z naniesionymi kryptonimami. Wewnątrz znajdziecie numer telefonu awaryjnego przyklejony do wewnętrznej strony okładki. Użyjcie go tylko w awaryjnej sytuacji, gdy wypadniecie z gry. Możecie robić wszystko, aby wykonać zadanie. Nie wolno wam jednak łamać prawa federalnego, stanowego ani lokalnego. Możecie za to nagiąć nieco prawa dotyczące waszej swobody działania - uśmiechnął się, jakby stał kropkę po ostatniej uwadze.

- A, ten, jeszcze coś - klepnął się w czoło dłonią. - Prawie zapomniałem. FBI zacznie was szukać za około trzy godziny — rzucił okiem na zegarek. - Albo wcześniej. Myślę, że byłoby wielce nieprzyjemne spotkać się i zostać przesłuchanym przez tych dociekliwych i perswazyjnych dżentelmenów. A ponieważ nie ma pytań, a wiem, że każdy z was ma pilny i złożony plan podróży, pozwolę sobie życzyć wam „najlepszego”.

Odprowadził nas ruchem dłoni jak mistrz ceremonii wskazyjący, by rozpoczęło się przedstawienie. „Trzy godziny” pomyślałem, szukając swojej teczki, licząc pieniądze w jej wnętrzu i kwitując odbiór pakietu na liście. „No to trzeba dodać gazu. Byle nie pędzić jak szalony, żeby nie popełniać błędów. Najpierw wrócę do mojego pokoju i zaplanuję, jak przetrwać następne 24 godziny”.

Wyszedłem z miejsca spotkania i powoli ruszyłem w stronę wind.

„Chłopaki już teraz zachowują się zgodnie z charakterem” pomyślałem, czekając na windę. Ci bardziej pobudliwi ruszyli jak przepiórki w proso, jednak większość ludzi poruszała się, jakby zaczynał się dla nich kolejny zwykły, nudny dzień.

Moim hasłem przewodnim na przygotowywanie się do stojącego przede mną zadania było „spiesz się powoli”. Celowo zwalniałem swoje ruchy i myśli - przynajmniej do czasu, aż wyrzut adrenaliny minie. Tak właśnie uczyłem się samodyscypliny, zamiast wyskakiwać jak Filip z konopi. Po powrocie do pokoju schowałem pieniądze i usiadłem, by przeczytać instrukcje, które kierowały mnie na spotkanie osobiste.

PLAN SPOTKANIA OSOBISTEGO

1. Cel: odbyć osobiste spotkanie z miejscowym Agentem.
2. Data / Czas: 9 czerwca 1979, godz. 22:00.
3. Położenie ogólne: Embassy Row Hotel, 2105 Massachusetts Ave. NW, Washington, D.C. (patrz załączona mapa)
4. Położenie szczegółowe: hol na parterze ambasady przyległy do restauracji Le Consulat.
5. Procedura kontaktu:
 - a) wejść do holu, namierzyć Agentą i dołączyć do niego przy stoliku lub barze.
 - b) agent poda krótkie ustne instrukcje o ponownym kontakcie i przekazuje pisemne instrukcje dotyczące misji, wkładając je do gazety lub czasopisma na odchodnym.
 - c) członek Drużyny odbierze gazetę lub czasopismo i oddali się w stosownym odstępie czasu.
6. Sygnały rozpoznawcze (w dobrej wierze):
 - a) wizualne: zarówno Członek Drużyny, jak i Agent mają uwidocznić dwa flamastry - jeden (1) czerwony i jeden (1) czarny.
 - b) ustne:

Członek Drużyny: „Długo czekałeś? Utknęliśmy w korku”.

Kontakt: „Nie, niezbyt długo. Czasem korki są tu paskudne”.
7. Sygnał zagrożenia: Członek Drużyny lub Agent w razie zagrożenia rozpoznaniem lub demaskacją podrapia się palcem w nos.
8. Przykrywka: hol ambasady polecono nam jako atrakcję do odwiedzenia podczas wizyty w

Waszyngtonie.

9. Względy bezpieczeństwa: z hotelu Embassy Row często korzystają zagraniczni dygnitarze. Prawdziwi agenci są często w hotelu spotykani. Wskazana zwykła cywilna odzież.

10. Kontakt alternatywny: jeśli ustalone spotkanie nie dojdzie do skutku w ciągu 10 minut od określonego wyżej czasu lub też jeśli spotkanie musi być przedwcześnie zakończone, należy podjąć próbę dwie (2) godziny później w tym samym miejscu.

11. Instrukcje dot. zabezpieczenia ciągłości: jeśli ani zaplanowane, ani alternatywne spotkanie nie dojdzie do skutku, podjąć próbę nawiązania kontaktu telefonicznego pod numerem 202-324-2805. Zidentyfikować się jako „Pan Jones” i zapytać, gdzie można się spotkać z „Panem Aldenem”.

12. Wymagane środki:

Agent: gazeta lub czasopismo oraz czarny i czerwony flamaster.

Członek Drużyny: czarny i czerwony flamaster.

Ostatnia strona instrukcji zawierała mapę okolicy pokazującą położenie hotelu oraz szkic rozkładu pomieszczeń w hotelu obrazujący położenie restauracji, holu i głównego wejścia do hotelu.

Po przeczytaniu instrukcji spotkania zadzwoniłem do recepcji i przedłużyłem swój pobyt w hotelu o dwa dni. Następnie sięgnąłem po książkę telefoniczną i znalazłem numery telefonów do kilku wypożyczalni furgonetek. Zapisałem je na skrawku papieru wyjętym z portfela zamiast na bloczku z nocnej szarki - po co miałem zostawiać po sobie odciski numerów telefonów.

Następnie otworzyłem książkę telefoniczną na rubryce „Hotele” i przepisałem numery telefonów tych położonych w szóstej dzielnicy, a następnie zadzwoniłem do każdego z nich pytając o dostępność pokoi i ich cenę. Kiedy skończyłem, wyrwałem kartkę z notesu i podarłem ją na małe kawałeczki, które wrzuciłem do kosza na śmieci. Chciałem po prostu zostawić dostatecznie dużo śladów, aby spowolnić ewentualnych tropicieli. Wiedziałem, że FBI zacznie od hotelu i chciałem, żeby skupili się na nim choć przez jedną noc. Do tego czasu zwiększyłem dystans pomiędzy miejscem, gdzie mnie szukali, a tym, w którym naprawdę będę. Potrzebowałem odległości, a nie czasu.

Sprawdziłem pokój, by upewnić się, czy nie zostało w nim nic, czego bym nie chciał zostawić.

Podróżowałem bez obciążenia, z małą walizką i pokrowcem na garnitur, więc bagaż nie był obciążeniem. Odszedłem na odległość kilku przecznic od hotelu, złapałem taksówkę i kazałem się odwieźć na dworzec kolejowy. Gdy zatrzymał się przy dworcu, zapłaciłem taksówkarzowi, dodałem napiwek i wyskoczyłem z auta.

Wszedłem do budynku dworca, pospacerowałem wewnątrz i wyszedłem bocznym wyjściem, przy którym złapałem taksówkę i pojechałem na dworzec autobusowy Greyhound. Niby Gerhard powiedział, że mamy trzygodzinny zapas, zanim FBI zacznie nas szukać, ale jakoś w to nie

wierzyłem i czułem, że najlepiej zacząć od razu.

Na dworcu autobusowym przebrałem się i ukryłem bagaże w skrytce. Nie zostawiałem ich na długo, ale przez chwilę nie były mi potrzebne. Z automatu telefonicznego na zewnątrz zadzwoniłem do wszystkich zanotowanych jeszcze w hotelu wypożyczalni furgonetek i wybrałem tę, która wydawała się najmniejsza i niepowiązana z wielkimi sieciami.

- Dokładnie tak, proszę pana — powiedziałem do kierowcy. — Po prostu porządna furgonetka, żebym mógł nią przewieźć rzeczy do nowego mieszkania. Nie, nie mam nic ciężkiego, głównie ubrania i rzeczy osobiste. Nie mam dużo mebli. Największy jest telewizor i zestaw kijów golfowych. Co takiego? O, właśnie takiej potrzebuję i cena mi odpowiada. Będę o drugiej. Dziękuję panu. Do zobaczenia.

Zadbawszy o transport zdecydowałem, że skonsumuję jakiś lanczyk i rozpiszę sobie plany. Zastanawiałem się nad resztą dnia, jedząc kanapkę w małej jadłodajni w pobliżu dworca. „Nie muszę robić żadnych planów na jutro, bo najprawdopodobniej będę musiał dostosować się do instrukcji otrzymanych dziś wieczorem na spotkaniu”. Na razie miałem zamiar wycisnąć ile się da z czasu, który miałem do spotkania o dziesiątej wieczorem. Skończyłem kanapkę i udałem się po odbiór furgonetki.

Samochód był niemal doskonały. Siedmioletni, bez tylnych czy bocznych okien, miał kremowy lakier tu i ówdzie poznaczony zadrapaniami i wgnieceniami. No, świetnie się nada. Wpłaciłem kaucję, zamiast skorzystać z karty kredytowej, i pojechałem poszukać Kmartu.

Nie zajęło mi to wiele czasu. Kupiłem tylko kilka rzeczy, które uznałem za potrzebne: śpiwór i poduszkę na krzesło ogrodowe, zestaw długopisów, kilka notesów, po pułku białej i kolorowej kredy, mały adresownik oprawny w skórę, niebieski kombinezon, kilka czapeczek baseballowych, parę małych, tanich okularów, styropianową przenośną lodówkę, ręcznik i kilka myjek, rolkę taśmy izolacyjnej, zestaw map stanów: Columbia, Maryland i Wirginii, oraz mały pistolecik na wodę. Później zatrzymałem się jeszcze przy spożywce, gdzie kupiłem owoce, jedzenie w puszkach, solone krakersy, kilka butelek wody i butelkę amoniaku do zastosowań domowych. Potem podjechałem na tyły sklepu i znalazłem tam ostatnią potrzebną mi rzecz — kilka kartonowych pudeł do przechowywania moich skarbów i osiem-nastolitrowe wiadro z pokrywką, które zamierzałem wykorzystać jako urynał.

Odjechałem dwie przecznice dalej na inny parking, gdzie spakowałem i poukładałem swoje rzeczy w furgonetce, a pistolet napełniłem amoniakiem. Aby nie przeciekał, zaklepiłem mu wylot plastrem z opatrunkiem wyjętym z portfela.

Byłem gotowy. Byłem w stanie mieszkać w furgonetce przez dłuższy czas, jeśli to będzie konieczne, a gdybym musiał się ukrywać, mogłem spokojnie gdzieś się zadekować bez konieczności wychodzenia na zewnątrz. Sztuczkę z pistoletem na wodę napełnionym amoniakiem

zdradził mi pewien starszy człowiek, z którym dawno temu pracowałem jeżdżąc ciężarówką dostawczą. Pistolet powstrzyma złego psa i równie dobrze zadziała na ludzi, nie powodując przy tym trwałych uszkodzeń. A, co było równie istotne, nie jest to broń palna, która w tej sytuacji byłaby nieprzydatna i mogłaby mnie wpakować w kłopoty, gdyby dostrzegł ją jakiś gliniarz. A niewinny pistolet na wodę nie wzbudza niczyich wątpliwości.

Kiedy uznałem, że już wszystko załatwione, pojechałem rozejrzeć się po okolicy hotelu, w którym miało nastąpić spotkanie. Chciałem wyczuć rozkład ulic i organizację ruchu oraz znaleźć jakies łatwo rozpoznawalne punkty orientacyjne ze wszystkich czterech stron budynku. Wybrałem kilka możliwych miejsc parkowania i sprawdziłem drogi ewakuacji z nich. Chciałem mieć kilka różnych wariantów wydostania się z okolicy tak szybko, jak to możliwe lub też błyskawicznego znalezienia jakiejś kryjówki.

Po przejechaniu furgonetką wszystkich tras, wróciłem pod hotel i zaparkowałem w każdym z wybranych miejsc i pospacerowałem po okolicy, by upewnić się, że znam teren i rozpoznam miejsca nawet zbliżając się z różnych kierunków. Znalazłem też i zanotowałem w głowie kilka miejsc, w których mógłbym zniknąć, by ująć pościgowi. Byłem pewny, że gdyby przyszło do biegu, mógłbym prześcignąć każdego agenta FBI. Przydać by mi się to mogło tylko do zostawienia fałszywego tropu, by później wrócić jednak do furgonetki.

Kiedy poznałem już okolicę jak własne sąsiedztwo, wróciłem do furgonetki i pojechałem do portu nad Potomakiem w pobliżu Lotniska Narodowego. Rozmawiałem w facetem prowadzącym dok paliwowy i powiedziałem mu, że mam się tam spotkać z moim szefem, który miał slipować tu swoją łódź z Virginia Beach. Pasjonują mnie łodzie, więc stworzyłem sobie przykrywkę, która pozwoliła mi przebywać w tej okolicy bez wzbudzania niczyjego zainteresowania.

Mogłem korzystać z holu, pryszniców, łazic w pobliżu doków i w ogóle wtapiać się w tło. Porty są dobrym miejscem krótkotrwałego ukrycia, wielu ludzi przychodzi tu i wybywa o każdej porze, są też wręcz nienaturalnie pozbawione aktów przestępczych, a przez to gliniarze i detektywi rzadko, jeśli w ogóle, tu zagląдают.

Prawdę mówiąc, kiedy miałem przez lata sposobność wślizgnięcia się i wymknięcia z różnych interesujących miejsc na świecie, wolałem zrobić to, przemieszczając się łodzią. To jak noszenie czapki niewidki. Możesz niepostrzeżenie pojawić się i zniknąć bez kłopotów. O ile dworce kolejowe i autobusowe oraz lotniska są pod ostrzałem obserwacyjnym, o tyle woda zwykle pozostaje niekontrolowana.

Zjadłem kolację w portowej restauracji, obejrzałem wieczorne wiadomości w holu i wziąłem prysznic. Wróciwszy do furgonetki przebrałem się w granatowy garnitur i parę wygodnych butów, w których mogłem biegać, gdyby okazało się to konieczne. Potem w myślach dokończyłem szybkiego przeglądu sytuacji - gdzie idę i co powinno się tam zdarzyć. Do adresownika włożyłem

jeden czerwony i jeden czarny mazak. Kiedy wszystko było gotowe, usiadłem na kilka minut by upewnić się, że panuję nad sobą i jestem gotów do akcji.

Mój kontakt był ostatnią osobą, jaką wyobrażałbym sobie w tej roli - co tylko dało mi okazję przekonania się

o swojej gotowości na oczekiwane i nieoczekiwane.

Był to ekskluzywnie odziany mężczyzna po sześćdzięsiątce, o misternie ułożonej fryzurze z siwych włosów -

był urzędujący w pesteczkę. Miał wyeksponowane oba pisaki. Jeden, czerwony, zatknął za lewe ucho, a drugi, czarny, za prawe. Przemawiał do barmana, który za wszelką cenę próbował trzymać się odeń z daleka. Opadłem na stołek koło tego faceta, zamówiłem drinka i położyłem pomiędzy nami swój notes z wysuniętymi nieco mazakami.

Po kilku sekundach zdał sobie sprawę z mojej obecności i odwrócił się w moją stronę. Popatrzył na mnie zamglonym wzrokiem i próbował coś powiedzieć. Potem zauważył notatnik i mazaki, i głośno przełknął. Gapił się na mazaki jeszcze przez minutę, podczas gdy trybiki zgrzytały w jego zamroczonym umyśle, a potem podniósł wzrok i konspiracyjny uśmiech rozlał się po jego twarzy.

- Hej, to mój kumpel! Co słychać, chłopie? - wybełkotał w moją stronę, niebezpiecznie chwiejąc się na swoim stołku.

- W porządku - odpowiedziałem. - Długo czekałeś? Utknęliśmy w korku.

- Eee, nie za długo czekałem. Wcale niedługo. Czasem korki... korki - beknął - korki są tu paskudne, co nie? - puścił do mnie oko i szeroko się uśmiechnął z zadowolenia, że udało mu się przebrnąć przez to zdanie bez potknięć.

- Ty kibicujesz Jankesom, nie? - wrzasnął nagle. - Wi-działeś, co te głąby kapuściane narobiły wczoraj w Chicago? - pomachał mi przed twarzą złożoną gazetą. - Tu jest, no sam se zobacz. Wszystko tu piszą, weź se sam poczytaj, bo ja to już myśleć o tym nie mogę. To, to.... to okropne! - oparł głowę na splecionych ramionach i, przysięgam na Boga, zaczął płakać.

Położyłem adresownik na gazecie, którą mi dał, a potem skrepowany poklepałem tego świra po plecach, podczas gdy on przetaczał głowę tam i z powrotem po złożonych ramionach, chlipiąc i jęcząc, jakby świat miał się zaraz skończyć. Gdy rozejrzałem się z zakłopotaniem, spostrzegłem, że każda para oczu w sali jest w nas wpatrzona. Wszyscy ludzie przy barze i pobliskich stolikach utworzyli wokół nas półkole o średnicy co najmniej trzech metrów, nie chcąc się zbliżyć.

Zupełnie jakbyśmy byli nośicielami rzeżączki przenoszonej drogą kropelkową lub innej równie obrzydliwej choroby. Czułem się jak w złym śnie, jednym z tych, gdzie nagle zdajesz sobie sprawę, że stoisz nagi w zatłoczonym pokoju. To było surrealistyczne, ale byłem w pułapce i musiałem wyswobodzić się najlepiej jak umiałem z tej cholernie niewygodnej sytuacji. A to miał być taki cichy i nierzucający się w oczy kontakt.

— Nie no, wszystko w porządku. Mieli tylko zły dzień, jeszcze wszystkim dokopią, na pewno tak będzie. Starzy dobrzy Jankesi nigdy nie wypadają z formy — powiedziałem, łapiąc go za ramię i głaszcząc po plecach, jakbym uspokajał dziecko płaczące nad zepsutą zabawką. - To tylko zły dzień, to się zdarza wszystkim drużynom.

— Naprawdę tak myślisz? - zapytał, unosząc głowę, spojrzał na mnie z nadzieją i wytarł łzy toczące się z pod-puchniętych oczu.

— No pewnie, że dadzą radę. Masz — podałem mu pa-pierową serwetkę i pomogłem mu zetrzeć smarki z górnej wargi. „Cholera” pomyślałem. „Ten skurwiel przypomina mi któregoś z moich kumpli”.

— No to w takim razie, co ty na to, żebyśmy strzelili po jednym — ryknął, gdy szczęście jednym błyskiem zmiotło z jego twarzy uprzednią żalność i udrękę.

— Czemu nie — powiedziałem, pokazując barmanowi, by nalał nam jeszcze. Popatrzył na mojego partnera i podniósł brew. Kiedy cicho szepnąłem: „Wszystko w porządku”, wzruszył ramionami i odwrócił się, by nalać drinki.

- Słuchaj no, muszę iść do toalety. Dasz sobie radę zanim wrócę? - zapytałem, wsuwając gazetę i adresownik pod pachę.

- Dam se, dam, nie spiesz się. Ale pamiętaj — wrzasnął za mną przez cały hol - jeśli potrząśniesz nim więcej niż dwa razy, to będzie już brzydka zabawa!

Zaczął się śmiać ze swojego gimnazjalnego dowcipu, ale rechot przeszedł w zakrzuszenie i kaszel, który spowodował, że znów opuścił głowę na ręce splecione na barze. Dy-szał, charczał i łapał powietrze, jakby właśnie dostał zawału.

Idąc w stronę łazienek każdym atomem swojego ciała starałem się opanować, by nie uciec w popłochu z tego przeklętego miejsca. „Jezu słodki” pomyślałem, skracając za róg, „to było na serio?”. Jeśli nie, to bez wątpliwości był to najlepszy popis aktorstwa, jaki miałem okazję w życiu oglądać. A widziałem już parę niezłych sztuczek będąc dowódcą plutonu. Minąłem łazienkę i wszedłem w korytarz prowadzący do najbliższego wyjścia. Nadszedł czas mylenia śladów.

Wydostałem się stamtąd tak gwałtownie z kilku powodów. Po pierwsze, za bardzo zwracaliśmy uwagę (co, jak mi się zdawało, było celowe). Po drugie zaś od razu chciałem sprawdzić, czy mam ogon. Wychodząc tak nagle mogłem, jak mi się zdawało, sprawić, by drużyna śledząca mnie ujawniła się. Gdy byłem już na zewnątrz, szybko oddaliłem się od hotelu i przeszedłem przez boczną uliczkę. Kiedy samochody stały na światłach, przemknąłem przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i poszedłem w drugą stronę ulicy. Dzięki temu każdy pojazd śledzący mnie utknąłby na drodze, a oddział pieszy przeszedłby koło mnie albo musiałby okrążyć kwartał, by móc znów za mną podążać. Gdybym zauważył kogoś zawracającego w momencie, gdy

przechodziłem przez jezdnię, miałem zamiar puścić się biegiem.

Nic takiego nie miało miejsca, więc kontynuowałem to zygzakowanie przez chwilę. Okrążyłem kwartał, przy którym zaparkowałem vana, przeszedłem kilka metrów za niego, a następnie błyskawicznie odwróciłem się i runąłem w jego stronę. Nie widziałem nikogo na ulicy, gdy wskakiwałem do samochodu, ruszałem i odjeżdżałem.

Nie było też innych pojazdów, gdy odjeżdżałem, co jednak nie miało większego znaczenia. Jeśli byłem pod obserwacją, dobry zespół wziąłby mnie w kleszcze korzystając z równoległych ulic i dopadł na rogu. Kilka razy skręciłem, a na światłach dwa razy zaczekałem na żółte, by przemknąć przez skrzyżowanie w ostatniej chwili. Sprawdziłem we wstecznym lusterku, czy nikt za mną nie jedzie. Wyglądało na to, że za mną jest czysto, ruszyłem więc z powrotem na drugą stronę rzeki Potomak, tak prosto i szybko, jak to było możliwe.

Skierowałem się w stronę Fort Meyer i podjechałem na tyły hotelu znajdującego się naprzeciwko głównej bramy fortu. Przebrałem się z garnituru w dzinsy, bluzę, adidas i czapkę z daszkiem.

Znow przyjąłem wygląd zwykłego faceta z klasy pracującej. Gdy już zmieniłem kostium, włączyłem światła furgonetki, zablokowałem pedał hamulca lewarkiem i wyszedłem, by sprawdzić pojazd. Najłatwiejszą metodą ułatwienia sobie śledzenia jakiegoś pojazdu jest zrobienie małej dziurki w obudowie światła stopu. Na środku czerwonej lampki pojawia się wtedy niewielki biały punkcik, czyniący pojazd odróżnialnym od innych. Proste, ale efektywne.

Miałem szczęście - żadnych dziur. Sprawdziłem pozostałe reflektory i migacze. Nie chciałem, żeby zatrzymali mnie gliniarze za przepaloną żarówkę. Następnie sięgnąłem po latarkę i zbałem karoserię i podłogę vana, zwłaszcza po bokach. Wyjeżdżając z portu wjechałem w kilka kałuż i hojnie ochlapałem furgonetkę błotem po bokach i od spodu. Gdyby ktoś majstrował przy niej, naruszyłby cienką warstwę brudu. Na to też nic nie wskazywało.

Wiedziałem, że istniała niewielka szansa, iż zostałem namierzony. FBI miało dość ograniczoną liczbę agentów, których mogli rzucić do ćwiczeń tego rodzaju.

A że po Waszyngtonie płatało się nas ponad dwudziestu, mieliby na głowie dość potężną operację. Jednak zdrowa dawka manii prześladowczej nie zawsze jest zła. Nie chciałem żeby mnie dopadli, bo oblałbym końcowy egzamin.

Byłem zadowolony zarówno dlatego, że nikt nie majstrował przy moim aucie, jak i dlatego, że nie byłem śledzony do tego miejsca. Dopóki mogłem się swobodnie poruszać, nie sądziłem, żeby ktoś mógł mi wsiąść na ogon. Konkretnie miejsca, w które musiałem się udać, takie jak na przykład to ostatnie spotkanie, były wąskim gardłem i stanowiły strefę zagrożenia. To właśnie tam potencjalny ogon mógł się do mnie przyczepić. Albo co gorsza, mogli mnie zwinąć. Kiedy przygotowuje się zasadzkę, takie miejsce jest znane jako „kill zone”. Byłem zdeterminowany pokonać niebezpieczne strefy z czujnością kulejącej antylopy przechodzącej obok legowiska

lwów.

Wszedłem z powrotem do furgonetki i wyciągnąłem spomiędzy stron gazety, którą otrzymałem od mojego pi-żanego kontaktu, brązową kopertę. Przeczytałem zawar-tość. Na karteczce przypiętej na wierzchu kilku innych stron napisane było:

MISJA:

POBRAĆ PRZESYŁKĘ ZE SKRZYNKI
KONTAKTOWEJ.

(Patrz: załączony raport sprawy)

Włożyłem tę stronę z powrotem do koperty i przejrza-łem pozostałe papiery. RAPORT SPRAWY:
PRZESYŁKA W SKRZYNCIE KONTAKTOWEJ

1. Położenie: Richmond, Wirginia.
2. Opis terenu: okolica miejska, dużo ludzi wszelkie-go typu.
3. Położenie skrzynki kontaktowej: środkowa budka telefoniczna (nr telefonu 648-9587) z przodu lub
piąta z lewej z tyłu w lobby HOTELU JEFFER-SON, 112 WEST MAIN STREET (Patrz szkic 2)
4. Szczegółowe położenie skrzynki: pod metalową półką wewnątrz budki. (Patrz szkic 1).
5. Wielkość i typ pojemnika: magnetyczne pudełko do kluczy, przyczepione pod spodem półki.
6. Czas dostarczenia: wyłącznie między 8:00 a 22:00
7. Przykrywka: rozmowa telefoniczna.
8. Procedura: podczas przejmowania przesyłki najpierw sprawdzić MIEJSCE ZNAKU PEŁNEJ SKRZYNKI (patrz szkic 2), zaparkować pojazd, wejść do lobby HOTELU JEFFERSON głównym wejściem. Pobrać przesyłkę, wyjść i umieścić znak PUSTEJ SKRZYNKI. (Patrz szkic 2.)
Dyskretnie się oddalić.
9. Okresowe ograniczenia: brak.
10. Względy bezpieczeństwa: unikać chodzenia po lobby. Unikać korzystania ze skrzynki między 22:00 a 8:00.
11. Wymagane środki: pozostawiający przesyłkę: pu-delko magnetyczne i biała kreda.
Odbierający przesyłkę: biała kreda.
12. Data operacji: 14 maja 1979.
13. Operacja: ORZEŁ.
14. Sygnał pełnej skrzynki: mały kawałek białej kredy rozgnieciony na chodniku przed głównym (południowym) wejściem do HOTELU JEF-FERSON na MAIN STREET. (Patrz szkic 2.)

15. Sygnał opróżnienia skrzynki: mały kawałek białej kredy rozgnieciony na chodniku przed boczny (zachodnim) wejściem do HOTELU JEFFERSON. (Patrz szkic 2.)

Następna strona instrukcji zawierała mapę śródmieścia Richmond i dwa szkice: jeden wskazujący, gdzie na półce telefonicznej ma się znajdować pudełko magnetyczne, drugi zaś przedstawiający sam hotel i przyległe ulice.

Następnego ranka przejechałem obok Hotelu Jefferson

0 9:30. Zdecydowanie przed głównym wejściem znajdował się znak pełnej skrzynki, w postaci kredowego krążka wielkości półdolarówki. Znalazłem dobre miejsce do parkowania kilka przecznic dalej, poprawiłem krawat, włożyłem marynarkę

1 zacząłem wędrować przez rzekę ludzi mrowiących się wokół w swych codziennych spraw w ten przepiękny poranek.

Hotel wyglądał, jakby zbudowano go gdzieś na przełomie wieków: wysokie sufity i okna, zdeptane dywany i wszędzie marmur. „Sfatygowana elegancja” - pomyślałem. Był to jeden z tych wielkich starych południowych hoteli, które kiedyś coś znaczyły, a teraz popadają w ruinę wraz z upływem lat. Jefferson pewnie już niedługo całkowicie zniknie z tutejszego krajobrazu.

Przywitałem się z kilkoma starszymi parami w lobby idąc na chwilę do toalety. Przedłużyłem swoją wizytę w tym miejscu o dobrą chwilę, by sprawdzić, czy nikt nie straci cierpliwości i nie wejdzie za mną. Następnie wyszedłem z pomieszczenia i niezauważony przez nikogo przeszedłem przez lobby, kierując się w stronę telefonów na przeciwległej ścianie.

Wrzuciłem ćwierćdolarówkę do automatu i wybrałem numer zegarynki. Opierając się wygodnie o półkę ze stali nierdzewnej, wolną ręką sięgnąłem pod jej spód i wymacałem magnetyczne pudełeczko umieszczone dokładnie zgodnie z rysunkiem, które wsunąłem do kieszeni marynarki. Podziękowałem nagrzanemu głosowi, który nadal odliczał minuty, odwiesiłem słuchawkę i skierowałem się do wyjścia z hotelu.

Przechodząc znów przez lobby, wyjąłem kawałek kredy wielkości ostatniego paliczka mojego małego palca z kieszeni marynarki i przełożyłem go do kieszeni spodni. Idąc, trzymałem go jednak w ręce. Na zewnątrz zatrzymałem się na chodniku jakbym się zastanawiał, w którym kierunku się udać.

W tej krótkiej chwili zawahania wyrzuciłem kawałek kredy przez dziurę w kieszeni, którą zrobiłem wcześniej tego ranka. Poczułem, jak kreda spada, objając się

0 moją nogę. Zerknąłem w dół, by zobaczyć biały odłamek koło mojego buta. Następnie, udając, że podjąłem decyzję, gdzie iść, nastąpiłem na kredę i rozgniotłem ją, ruszając wzdłuż ulicy. Zostawienie znaku zajęło mi dwie lub trzy sekundy. Przebiegłem przez ulicę, skręciłem za kolejny róg, okrężną drogą wróciłem do furgonetki, wykonałem kilka posunięć zapobiegających śledzeniu

mnie

1 opuściłem okolicę. Jak dotąd szło mi nieźle.

Kilka mil dalej zjechałem na mały restauracyjny parking, gdzie rozłożyłem i przeczytałem trzy arkusze pelu-ru, które znajdowały się w pudełku magnetycznym (albo magicznym, jak często o nim myślałem). Pierwsza strona zawierała wytyczne zbadania miejsca pod kątem (1) podjęcia kontaktu samochodem i (2) skrzynki kontaktowej oraz napisania raportów o obydwu. Reszta materiału zaś stanowiła instrukcje spotkania osobistego o 15:00 tego popołudnia przy pomniku Iwo Jima na cmentarzu Korpusu Marines w Arlington. Na tym spotkaniu miałem oddać moje raporty i uzyskać dodatkowe informacje od mojego kontaktu. Miałem przekazać materiały w zwinionej gazecie lub czasopiśmie. Wszystko to było bardzo zwyczajne, ale musiałem działać szybko, jeśli miałem zebrać dwie lokalizacje, napisać raporty i dotrzeć do Arlington na 15:00. Ruszyłem więc z kopyta.

Moim kontaktem okazał się major Altmann we własnej osobie. Siedział na ławeczce jak weteran stracony dla świata, pogrążony w kontemplacji cmentarza wspominając ten niewielki oddział Marines, który zatknął amerykańską flagę na wierzchołku Mount Suribachi. Bez słowa usiadłem obok niego i po chwili kontemplacyjnej ciszy zaczęliśmy rozmawiać jak dwie obce osoby, dopełniając formalności wymieniania haseł rozpoznawczych. Słowne wykonanie tajemnego uścisku dłoni.

- Przejdźmy się - powiedział Altmann. Wstaliśmy, a gdy ruszyliśmy z miejsca, on wsunął mi rękę pod ramię, jak to jest w modzie wśród przyjaciół w Europie Wschodniej czy na Bliskim Wschodzie. Miły gest. Nie tylko dlatego, że podobał mi się ten zwyczaj, ale głównie z innej przyczyny - pomnik Iwo Jima był znanym miejscem spotkań gejów. Przykrywka przede wszystkim.

- Muszę powiedzieć, że mój przyjaciel w barze poprzedniej nocy był bardzo zdenerwowany pańskim gwałtownym zniknięciem. Życzył sobie, bym panu powtórzył, że ma nadzieję, iż nic, co powiedział czy zrobił nie wywołało w panu konsternacji czy innych niemiłych uczuć - powiedział Altmann. - Jednak ta technika opuszczenia budynku była bardzo efektywna.

Wyszedłeś tak nagle i niespodziewanie, że grupa obserwacyjna FBI nie była w stanie dotrzymać ci kroku i całkowicie ich zgubiłeś na ulicy.

Zachichotał na samo wspomnienie.

„Czyli moje przecucie było prawidłowe - byłem tego wieczora obserwowany podczas spotkania”.

Chciałem zapytać, czy mój kontakt był rzeczywiście pijany, czy też jedynie udawał, ale zachowałem milczenie. Woląłem nie wiedzieć na pewno. Niektóre rzeczy w życiu lepiej pozostawić niezbadanymi.

- Przyznam - kontynuował - że z wielką przyjemnością odnotowuję fakt, iż żaden z twoich towarzyszy również nie został przychwycony in flagranti przez drużynę FBI. Właściwie

podejrzewam, że to tylko wymówki dowódcy drużyny, który próbuje się wytłumaczyć ze swoich porażek. Po tym jak słuchałem jego aroganckich i, muszę dodać, bezczelnych uwag, jakie to będzie banalne, poradzić sobie z grupką żółto-dziobów w dziedzinie wywiadu, te pokrętnie tłumaczenia to miód na moje serce. Jestem też pewny, że wasz instruktor będzie zachwycony dotychczasowymi wynikami.

Podnosząc rękę ku niebu w emfazie potknął się lekko i upuścił czasopismo, które dotąd trzymał w ręku.

- Ja podniosę - powiedziałem. Schylając się, by podnieść magazyn z ziemi u naszych stóp, podmieniłem go na ten, który sam trzymałem.

- Dziękuję, mój drogi. Twój młody kręgosłup lepiej się nadaje do schylania niż ten, z którym ja muszę sobie radzić na tym etapie mojego życia - skinął głową w podziękowaniu, gdy brał do ręki czasopismo, które mu podałem. Po kilku krokach odwrócił się w moją stronę.

- Nie denerwuj się - powiedział, patrząc mi w twarz błyszczącymi oczami, które widziały tak wiele po mrocznej stronie życia. - Tempo tej operacji wzrośnie. Ty i twoi towarzysze będziecie gromadzić się w grupy, co zwiększa szanse dekonspiracji. Choć te ćwiczenia rozpoczęły się od uczucia wzajemnej sympatii, obawiam się, że w związku z brakiem sukcesu FBI może teraz zacząć dążyć do konfrontacji. Dlatego też, jeśli znajdziesz się w sytuacji, kiedy zostanie przeciwko tobie użyta siła fizyczna, wierzę, że będzie usprawiedliwione, jeśli odpowiesz w ten sam sposób.

Uśmiechał się na samą myśl o takiej ewentualności. Uściśniliśmy sobie ręce i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Instrukcje, jakie znalazłem w czasopiśmie nakazywały mi podjęcie kontaktu samochodem z rezydencji Waszyngtona na Mount Vernon. Miałem znaleźć go na parkingu dla gości w momencie zamykania muzeum. Kontaktem miał być ktoś znajomy.

Przejechałem obok parkingu, gdy strumień samochodów i autobusów akurat zwalniał. Nie zobaczyłem nikogo znajomego. Gdy jednak właśnie kończyłem okrążenie wokół parkingu, w oczy wpadła mi wysoka postać z burzą rudych włosów, wychodząca zza niewielkiej przybudówki i idąca w stronę parkingu. Osłaniał go żywopłot z krzewów w doniczkach.

To był John Lancy. Synchronizacja okazała się idealna. Właśnie dotarł do krawężnika, kiedy ja podjechałem w to miejsce. Zatrzymałem vana na chwilę, a John wskoczył do środka. Natychmiast skierowaliśmy się w stronę bramy wyjazdowej. Wyglądało to naturalnie i przebiegło zupełnie płynnie, przez co było trudne do zaobserwowania.

Niezbyt interesowało mnie, czy ktoś zauważył nasz przejazd ani czy mamy ogon, ale miało to jednak jakieś znaczenie. Dlatego w drodze powrotnej do miasta wierzgnęliśmy parę razy na okoliczność ewentualnego ogona.

Jedną z najlepszych metod jest wjechanie w ślepy zaułek w dzielnicy mieszkaniowej i sprawdzenie,

czy ktoś jedzie za tobą. Jeśli masz ogon, to tym samym jest on spalony. Oznacza to tyle, że wiesz, jak wyglądają - włącznie z wyglądem samochodu, którego używają - muszą więc zostać wycofani z obserwacji, co odrobinę utrudnia żywot na-mierzającym cię agentom, a przez to mogą zacząć popełniać błędy. Ale za nami było czysto.

John i ja spotkaliśmy się pierwszy raz podczas selekcji i przypadliśmy sobie do gustu. Był to wysoki, muskularny Teksasczyk, chodzący wielkimi krokami. Miał pociągłą, lisią twarz, a pod złośliwym poczuciem humoru kryła się gra-nitowa twardość charakteru. Był słynnym zwiadowcą Sił Specjalnych w Wietnamie, i powszechna była opinia, że jeśli walczyć ramię w ramię, to tylko z nim. Bez względu na to, jak kiepsko sprawy stały, on pozostawał niewzruszony.

Przybył na selekcję z batalionu Sił Specjalnych stacjo-nującego w Panamie, jednak paskudnie zwichnął nogę podczas 28-kilometrówki i musiał się poddać. Zamiast jednak wrócić do Panamy, pozostał w Aberdeen Camp, a gdy wyleczył kontuzję, ponownie przystąpił do selekcji, która rozpoczęła się w momencie, gdy moja tura właśnie ją kończyła. Podczas niej kostka nadal sprawiała mu kłopoty i, jak sam mi powiedział, w Czterdziestomilówce najlepszą rzeczą było to, że nogi tak mu zdrętwiały, że nie czuł bólu w nadwyrężonym stawie.

John był jednym z tych, którzy opuścili nas za wcześnie. Został zastrzelony zaledwie kilka lat później, na dwa tygodnie przed przeniesieniem do bezpieczniejszych zadań.

Jadąc tak, porównaliśmy z Johnem notatki. On także zaliczył kilka skrzynek kontaktowych, opisał kilka miejsc i napisał parę raportów. Właśnie odebrał ze skrzynki w Mount Vernon wskazówki, według których mieliśmy odebrać kogoś w Georgetown tego samego wieczora. Naj-pierw jednak pojechaliśmy po sprzęt Johna do noclegowni. Dopiero potem skierowaliśmy się w stronę Georgetown.

Dopadliśmy Pete'a Vandervoorta właśnie w chwili, gdy dotarł na przystanek autobusowy i miał położyć swoje torby na ławce. Tak się spieszył z wsiadaniem do vana, że John musiał mu przypomnieć, że byłoby niezłym pomysłem zabranie w dalszą podróż także bagaży. Pete przyznał mu rację i wyskoczył z powrotem, złapał torby i wrzucił je na tył furgonetki.

Jeśli istniał kiedykolwiek człowiek o powierzchowno-ści i duszy Wikinga, to był nim Pete. Metr dziewięćdzie-siąt, szerokie bary, długie muskularne ręce i nogi, rozłoży-sta klatka piersiowa, wąska talia. Jasnoblond włosy, dłu-gie, zwisające wąsy, wyraziste brwi nad lodowobłękitny-mi oczami i twarz, która wyglądała jak wykuta ze stali. W spoczynku jego twarz była groźna jak dziób sokoła. Gdy działał, układała się w uśmiech - kurczowy, ze ści-śniętymi wargami i szczęką.

Pete chodził zwykle ze ściągniętymi łopatkami, co po-wodowało, że jego ręce zwisały idealnie równoległe do tu-łowia. Miał przedziwny sposób stąpania - z palców, nigdy z pięty. W połączeniu z układem ramion powodowało to, że przez cały czas wyglądał, jakby szykował się do skoku lub przyjęcia ciosu. Pete był mocarnym mężczyzną, ale jednocześnie dużym dzieckiem. Pewnie właśnie

tacy byli Wikingowie. Wielcy, awanturnicy, rozrywkowi, zabójczy - ale wciąż dzieciaki. Pete przyniósł nam wieści, które dotyczyły nas wszystkich. Mieliśmy sformować komórkę, której przydzielono do wykonania kilka zadań zbiorowych. Podał nam najważniejsze informacje, opisał też pobieżnie swoje ostatnie działania, gdy jechaliśmy poza miasto, do motelu namierzonego wcześniej przez Johna na naszą bazę. Potrzebowaliśmy jakiegoś „normalnego” miejsca, by się zadekować. Trzej facetki mieszkający razem w vanie prędzej czy później wzbudziłiby zainteresowanie, a na to nie mogliśmy sobie pozwolić. Zajęliśmy w motelu dwa przyległe pokoje i rozsiedliśmy się, by przestudiować papiery, które Pete wziął: ze skrzynki kontaktowej tuż przed tym, jak go odebraliśmy.

Zostaliśmy obciążeni kilkoma zadaniami - skomplikowanymi zadaniami - które niosły niebezpieczeństwo i ryzyko dekonspiracji.

Mieliśmy pozyskać listę personelu sprzątającego w Obserwatorium Astronomicznym Marynarki, rejestr liczby i typów broni w Arsenale Gwardii Narodowej i kopię listy operacji Bazy Air Force Andrews na kolejny miesiąc.

Mieliśmy dwa dni na wypełnienie zadań i przygotowanie szczegółowego raportu poakcyjnego. Materiały, raporty i po dwa zdjęcia paszportowe każdego z nas miały zostać przekazane kontaktowi na osobistym spotkaniu. Szczegóły tego spotkania poznamy z materiałów pozyskanych ze skrzynki kontaktowej. Informacje na temat skrzynki zawarte były na ostatniej stronie instrukcji.

Wszystko fajnie, ale najpierw potrzebowaliśmy jedzenia i planu. Pete złożył arkusze peluru i wetknął je sobie z przodu spodni. O ile nie zostałyby poddany rewizji osobistej, były niewykrywalne i zupełnie bezpieczne. Później wyruszyliśmy na poszukiwania koreańskiej restauracji. Z niewyjaśnionych przyczyn wszyscy mieliśmy jena na kimchi tego wieczoru. Przy kolacji gadaliśmy o męskich sprawach. Sport, wędkowanie, polowanie, kobiety, polityka - o wszystkim, byle nie o tym, co naprawdę robimy. W tym momencie nawyk zwracania uwagi na to, co się mówi, był tak silnie zakorzeniony, że rozmawialiśmy o „biznesie” otwartym tekstem tylko na Ranczu. Po powrocie do motelu ustaliśmy przebieg akcji.

Będziemy musieli podzielić się i ruszyć do boju. Czasu było mało, zadania zdradliwe, a przykrywka akcji będzie istotna przez duże I. Postanowiliśmy losować przydział misji. Johnowi trafiło się obserwatorium, Pete'owi arsenał Gwardii Narodowej, a mnie baza Air Force.

Wszyscy potrzebowaliśmy pojazdów. Stwierdziłem, że mój van niebawem wyzionie ducha, jeśli jeszcze nie jest wykończony, to wkrótce będzie. John znalazł w książce telefonicznej kilka firm wypożyczających gruchoty oraz zakład fotograficzny, gdzie mogliśmy zrobić potrzebne nam zdjęcia paszportowe, podczas gdy my z Petem zajęliśmy się planowaniem.

Następnego ranka odwozłem chłopaków na dwa różne parkingi, aby odebrali własne środki

transportu i pojechałem zwrócić furgonetkę. Zaslugiwała na porządny odpoczynek. To był dobry samochód i oddał mi nieocenione przysługi.

Pete zabrał mnie z ulicy dwie przecznice dalej i zawiózł w miejsce, gdzie wypożyczyłem Forda Mavericka. To było najlepsze auto na składzie, co o samej firmie mówi aż za wiele. Tak czy owak był to V8 z mnóstwem mocy, jednak auto samo w sobie dość niepozorne.

Przed rozjechaniem się do zadań indywidualnych spotkaliśmy się na parkingu przy sklepie spożywczym i razem pojechaliliśmy jednym wozem do fotografa, żeby zrobić zdjęcia.

Pogadywaliśmy sobie, podczas gdy asystent fotografa przycinał zdjęcia i wkładał je do papierowych ko-pertek. Nagle usłyszeliśmy, jak Pete zaczyna opowiadać fotografowi jakieś straszliwe pierdoły, jak to niby mamy wszyscy trzej lecieć do Amsterdamu, by odwiedzić pewną szczególną fontannę, gdzie piękne i biuściaste kobiety gromadzą się co dzień, by baraszkować topless pod strumieniami wody. Mało tego, zachęcają turystów, by robić im zdjęcia. W tajemniczy i niewyjaśniony sposób trafiają tam tylko najatrakcyjniejsze kobiety — nigdy stare, nigdy brzydkie, nigdy płaskie.

Oczy Pete'a, gdy opowiadał swoją bajeczkę, świeciły dziwkim, obleśnym blaskiem. Pochylił się w stronę faceta i trzyzymał klapę jego marynarki palcem wskazującym i kciukiem. Rozprawiał o tym z radosną satysfakcją małolata szepczącego na ucho najlepszemu koledze pierwszy zboczony kawał. Biedny właściciel zakładu był zupełnie przytłoczony przez blond olbrzyma i jego niebywałą historię.

Pete w końcu skończył opowiadać te farmazony, puścił faceta i wygładził mu klapę. Puścił do niego oko, a następnie wyprostował się całkowicie, prezentując całą swoją potężną budowę. Fotograf mrugnął i czar prysł. Po-patrzył na naszą trójkę, stojącą nad nim ramię w ramię i powiedział przerażonym głosem:

— Cóż, gdziekolwiek panowie jada, myślę, że dadzą pa-nowie sobie radę.

Gdy wzięliśmy zdjęcia i szliśmy w stronę drzwi, Pete rzucił przez ramię:

- Przyślę panu pocztówkę.

Zachowanie Pete'a - i jego bajeczka - były tak dziwaczne, że nie wiedziałem, czy śmiać się, czy kłąć. Ale John wręcz nie mógł się doczekać, by wyjść na zewnątrz i na-skoczył na niego zaraz, gdy znaleźliśmy się na parkingu.

— Pete, po co ty opowiadałeś te głupoty? Jaki był cel tej cholernejszej historyjki o magicznej fontannie z cyckami w Amsterdamie? Co ty chciałeś osiągnąć? — twarz Johna robiła się coraz bardziej czerwona z konsternacji, ale pa-nował nad sobą i głos miał spokojny.

- O, John - Pete uśmiechnął się łaskawie. — Facetowi jakoś nie leżało, że wszyscy stoimy tam, w jego zakładzie, w dodatku nic nie mówiąc, więc chciałem go rozluźnić jakimiś pogaduszkami. Sami widzieliście, jak się szybko wyluzował.

Pete kiwnął głową jakby potwierdzając swoją błyskotliwość i zachwycające umiejętności społeczne.

— Ale nic się nie martw, John. Nie ma w Amsterdamie takiej fontanny. Wszystko zmyśliłem — wsunął się na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwiczki.

John popatrzył na mnie nad dachem samochodu i z nie-dowierzaniem pokręcił głową. Ja też na niego spojrzałem i wzruszyłem ramionami. Z wnętrza samochodu Pete wołał:

- Chodźcie już chłopaki, jedziemy.

No tak. Duży dzieciak.

Wypełnienie przydzielonych nam zadań zajęło każdą godzinę z dwóch kolejnych dni. Metody, które stosowaliśmy, były proste, nie wymagały skomplikowanych przykrywek i łatwo mógłby je wykorzystać ktoś o niecnym zamiarach, toteż nie będę opisywał, jak sobie poradziliśmy. Jednak rezultat robił wrażenie.

John zdołał zdobyć wykaz ludzi zajmujących się utrzymaniem porządku w Obserwatorium Marynarki. Wszedł również w posiadanie ich historii zatrudnienia, adresów i domowych numerów telefonów.

Mnie udało się zdobyć listę operacji Bazy Air Force Andrews - a szczęśliwym zbiegiem okoliczności jako bonus - listę zadań Air Force One do końca roku.

Pete naprawdę się wykazał. Nie tylko załatwił spis stańców magazynowych arsenału, ale także odkrył, że naboje do M-16 są przechowywane w sejfie, że zaginęły cztery bagnety oraz że żaden z karabinów maszynowych M-60 nie jest sprawny. Pete zrobił na dowódcy oddziału tak niebywałe wrażenie, że otrzymał w rewanżu fotografię z autografem, na której widać było ich obu ściskających sobie ręce oraz zaproszenie do arsenału na ćwiczenia w weekend. Szkoda, że nie mogłem jak mucha na ścianie podsłuchać bajeczki, którą Pete wcisnął temu dowódcy.

Tego popołudnia rozsiedliśmy się w moim pokoju hotelowym, żeby omówić wszystko, co osiągnęliśmy i uporządkować dane, by móc je wrzucić do raportu. Później John wyszedł, by opróżnić skrzynkę kontaktową, a my z Petem siedzieliśmy nad brudnopisem raportu. Instrukcje przyniesione przez Johna opisywały sposób przekazania materiałów oraz zalecały opracowanie dwóch lokacji skrzynek kontaktowych i lokacji spotkania osobistego następnego ranka.

Zdecydowaliśmy, że ja popracuję nad raportem, a moi partnerzy pójdą poszukać lokacji.

Pete zapytał, co mają kupić po drodze, a ja odpowiedziałem:

- No, kupcie sześciopak piwka, wypijemy sobie, jak już skończymy pisać ten raport.

Wciąż jeszcze pracowałem nad papierami, gdy wrócili.

John wszedł i zamknął za sobą drzwi, a potem oparł się o nie, jakby chciał bronić do nich dostępu.

Nic nie mówił, tylko patrzył na mnie. Podniosłem wzrok znad roboty i zapytałem:

- No, co tam, John? Gdzie zgubiłeś Pete'a?

- Zaraz przyjdzie. Ma pełne ręce. Ale chcę cię, Ericu, o coś spytać, zanim on wróci - wszystkie mięśnie jego twarzy były napięte.

Odłożyłem długopis. - Jasne, John. Co jest?

- Gdybyś chciał kupić piwo, gdzie byś poszedł? Usłyszeliśmy stłumione stuknięcie w drzwi. John mocniej oparł się o drzwi i warknął:

- Czekaj chwilę! - popatrzył na mnie z dziwnym naciskiem w oczach. O coś mu chodziło, ale nie wiedziałem, o co.

- No nie wiem. Gdzie się zwykle chodzi po piwo? Do monopolu. Do spożywczaka. Na stację benzynową. No w tego typu miejsca.

Kolejne uderzenie w drzwi, które John zignorował.

- No właśnie - powiedział. - Poszedłbyś tam, gdzie po piwo chodzą normalni ludzie. Ale nie... nasz kumpel - odwrócił się, by otworzyć szeroko drzwi, za którymi Pete stał, balansując kawałem tektury, na którym spoczywało w chwiejnej równowadze sześć wielkich plastikowych kubków z piwem.

- Właż - zaprosił go, gdy Pete wchodził przez drzwi, z wysuniętym z wysiłku i koncentracji językiem i oczami skupionymi na tacy, którą trzymał w wyciągniętej ręce. Próbował nie wylać piwa na własną koszulę.

- Właż, Pete, i powiedz Ericowi, gdzie kupujesz piwo.

- W kręgielni - spokojnie odpowiedział Pete, stawiając tacę na stoliku pod lampą. - Najsmaczniejsze piwo jest właśnie w kręgielni. Powinieneś to wiedzieć, John — przemówił tonem cierpliwego nauczyciela zwracającego się do ulubionego ucznia, który ma jakiś kłopot ze zrozumieniem. John wyrzucił w powietrze ręce w geście irytacji.

— No właśnie — powiedział do mnie. — Nie 7-Eleven. Nie spożywczak. Nie monopolowy. Nic innego się nie nada, tylko piwo z kija w kręgielni.

— Masz, John, pij, zanim się ogrzeje - Pete zachowywał się, jakby nie słyszał riposty i podał Johnowi kubek zanim wyciągnął następny w moją stronę.

— Zdrówko — powiedział z promienistym uśmiechem, gdy trąciliśmy się krawędziami naszych plastikowych kubków. - Za dobrych przyjaciół i udaną misję.

Prostota i szczerze ciepło tego toastu ugasiły gniew Johna i zaczęły rozpalać jego przyjaźniejsze uczucia wobec towarzysza. Widziałem, jak złe emocje uciekają z niego, gdy siorbnął łyk piwa i uśmiechnął się w odpowiedzi na uśmiech Pete'a. Potem podniósł swój kubek i powiedział:

— Żeby nam się, chłopaki.

Przejrzeliśmy raporty, dopijając resztę piwa. Kiedy już byliśmy z nich zupełnie zadowoleni, spakowałem je w ciasny pakiecik i poszedłem zostawić w skrzynce kontaktowej potwierdzenie wykonania zadań. Potem położyliśmy się, by złapać trochę snu.

Pete poszedł na spotkanie osobiste o 4:00 następnego ranka, by przekazać raporty, podczas gdy John i ja zajęliśmy się kontrwywiadem i pilnowaliśmy, żeby nikt się do Pete'a nie przykleił. Spotkanie przebiegło jak należy, ale Pete, wróciwszy do motelu, wyglądał na dość poruszonego.

— Chłopaki, musimy ruszyć dupy. Mają nas zabrać z dworca kolejowego w Hamlet, w Północnej Karolinie, dzisiaj o czwartej po południu. A w dodatku nie możemy jechać wynajętym samochodem. Będziemy musieli przebrać się jakąś formą transportu publicznego.

— Jedźmy więc pociągiem - powiedziałem, jednocześnie zdawszy sobie sprawę, jaki to głupi pomysł. - Nie no, pociągiem się nie da. To zbyt oczywiste - próbowałem wymyślić inny sposób.

- Polecimy - ogłosił John.

- Ale lotniska łatwo będzie sprawdzić pod kątem osób wybierających się do Północnej Karoliny - powiedział Pete. - I nas zdejmą.

- Nie polecimy lotem komercyjnym — odparował John. — Wynajmiemy samolot. Jest tam okrugowe lotnisko zaraz za granicą miasta. Latałem na nie kilka razy, gdy robiłem licencję pilota cywilnego po powrocie z Wietnamu za pierwszym razem. Potem podjedziemy na stację autobusu lotniskowym. Lot stąd zajmie jakieś 3 godziny. Znajdziemy tu jakąś małą firmę i powiemy im, że chcemy wynająć samolot i jednego z pilotów, który przyleciałby później tu z powrotem. Oni będą zadowoleni, a my dotrzemy do Hamlet cichaczem. No, a że jest nas trzech, to po podzieleniu kosztów tak będzie najtaniej, nawet wliczając w to koszt odstawienia samolotu z powrotem.

- Genialne, John - powiedziałem. - Jaki samolot by nam pasował?

- Myślę, że Cessna 182 idealnie by się nadała. Może przewiezie 4 osoby i nasze bagaże. Powinna też dać radę przelecieć cały dystans za jednym zamachem i jest dość szybka, jak na samolot jednosilnikowy — wziął do ręki książkę telefoniczną. - Zabiorę się za dzwonienie i znajdę nam samolot, jak tylko zaczną się godziny pracy. Jeśli wyłecimy przed 10, to na 16 spokojnie zdążymy do Hamlet.

Popatrzyłem na mojego towarzysza z uwielbieniem.

- Idealnie, John. Świetny pomysł. A gdy ty będziesz to załatwiał, my z Petem pooddajemy samochody i wymeldujemy nas z motelu.

- Dla mnie bomba - powiedział Pete. - Ale najpierw zjedzmy coś. Umieram z głodu. No i to był kolejny doskonały pomysł. Uwielbiam latać, kiedy mogę podziwiać widoki, jednak w tamtych czasach nie bardzo lubiłem lądowania. Bardziej przyzwyczajony byłem do skakania ze spadochronem, by dostać się z powrotem na ziemię.

W batalionie Rangerów przeżyłem osiemnaście miesięcy bez lądowania samolotem, którym wlatywałem w powietrze. Osiągnąłem taki stan, że nie ufałem żadnemu ponownemu spotkaniu

z Matką Ziemią, o ile sam go całkowicie nie kontrolowałem. John był dobrym pilotem, nasza podróż przebiegała bez przygód, a lądowanie poszło jak po maśle. Pożegnaliśmy się z pilotem i spacerkiem powędrowaliśmy w stronę głównego hangaru i administratora bazy, żeby zorientować się w kwestii organizacji transportu do miasta.

Bezpłatny samochód lotniskowy był do naszej dyspozycji, ale ponieważ do umówionej pory została dobra godzina, postanowiliśmy zjeść jakiś obiad przed wyjazdem na stację. Pete zaczął gadać z jakimś młodym facetem, który był chyba lotniskową złotą rączką, a ten chętnie zgodził się odwiedzić nas na dworzec.

Przyjechaliśmy na stację z zapasem 10 minut. Kilka sekund po godzinie 16 właściwie oznakowany biały van zwolnił i zatrzymał się przed wejściem. Kierowca zsunął okulary na czubek nosa, spojrzął na nas znad szkieł, wsunął okulary z powrotem na miejsce i poprawił zewnętrzne lustro.

To był sygnał „bezpiecznie”. Wrzuciliśmy bagaże na tył samochodu i wsiedliśmy. Instrukcje mówiły, że kierowca nie będzie z nami rozmawiał, a nam nie wolno się do niego odzywać i nie było to trudne do wykonania. Nigdy nie spotkałem tak cichej osoby. Choć prowadził samochód, zachowywał się, jakby go nie było.

Jechaliśmy autostradą nr 74 i przejechaliśmy przez małe miasteczko Laurinburg. Kilka mil za nim skręciliśmy w zwirową drogę, która po kilkuset metrach doprowadziła nas do wielkiego budynku, który wyglądał na opuszczony warsztat lub garaż firmy przewozowej. Popatrzyłem na kierowcę, kiedy się zatrzymaliśmy. Odwzajemnił spojrzenie, a następnie wskazał na boczne drzwi budynku. Odwróciłem się do kolegów, by powiedzieć im, żeby poczekali w furgonetce aż sprawdzę budynek, ale kierowca popędził nas, byśmy wysiadali. „Chrzanić to” pomyślałem i kazałem chłopakom nie ruszać się z vana, póki nie wrócę.

Podszedłem do drzwi i spróbowałem je otworzyć. Były jednak zamknięte na głucho. Zanim jednak zastukałem, ktoś otworzył od środka. To był Jerry Knox.

- Chodź, Eric. Bierz swoich chłopaków i wchodźcie. Kierowca ma napięty rozkład zajęć.

Pomachałem do Pete'a i Johna, i gestem kazałem im wysiąść. Jerry trzymał drzwi, a my złapaliśmy nasze rzeczy i weszliśmy do środka. Przeprowadził nas potem przez krótki korytarz, koło kilku małych pomieszczeń biurowych, przez następne drzwi i w końcu weszliśmy do otwartej przestrzeni hangaru lotniczego. Był ogromny. Wzdłuż jednej ze ścian budynku stały rzędem ciężarówki. Nasz sprzęt indywidualny i wyposażenie jednostki było posortowane i leżało w pobliżu. W odległym narożniku mieściło się centrum operacyjne. Ludzie ze Szwadronu Sygnałowego rozłożyli radia, a druty biegnęły przez okno do zewnętrznych anten.

Jerry odesłał nas do Rona Cardowskiego na szybki briefing. Ron oznajmił, że w ramach Testu Kulminacyjnego reagujemy na porwanie samolotu. Nasza klasa OTC miała sformować oddział

szturmowy z kilkoma snajperami. Ron miał być sierżantem, Jim Day - dowódcą. Jim Bish miał dowodzić snajperami oraz prowadzić TOC. Samolot, Boeing 727, był już na ziemi w Laurinburgu, na lotnisku Maxton, które na potrzeby tych ćwiczeń miało być uznane za położone w kraju przyjaznym, jednak niezwykle skorumpowanym. Jim Dale wraz z kilkoma snajperami był już na lotnisku, współpracując z lokalnymi władzami i próbując poradzić sobie z mnóstwem sprzecznych i mylnych informacji.

Ron kazał nam sprawdzić przydziały do drużyn na tablicy ogłoszeń, a następnie przenieść sprzęt do odpowiednich stref poszczególnych zespołów, które zaznaczono kredą na podłodze. Podeszedłem do tablicy, by sprawdzić organizację i znalazłem swój przydział: Oddział szturmowy: Drużyna C
Lider zespołu: Haney Asystent lidera: Masters Benevides Vandervoort

Drużyna C. To oznaczało, że przy szturmie będziemy wchodzić po skrzydłach samolotu przez wyjścia awaryjne i przemieszczać się w stronę ogona. Oznaczało to również, że będziemy częściowo drużyną awaryjną na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, a nie wystarczyłoby czasu na zorganizowanie celowego szturmu. Jeśli jednak tak by się stało, byłaby to jedynie próba osiągnięcia czegośkolwiek w dramatycznej sytuacji i uratowania kogokolwiek z katastrofy. Szturmy awaryjne dokonywane są jedynie w przypadku, gdy terroryści zaczynają zabijać zakładników.

To było pierwsze z ćwiczeń porwania samolotu w pełnej skali. Przez wiele lat służby w Delcie działałem przy odbijaniu kilku tuzinów samolotów - i podobnej ilości ćwiczeń i treningów. Bez względu na to, czy była to realna sytuacja, czy ćwiczenia, reagowaliśmy z tym samym poświęceniem i pośpiechem. Ćwiczenia były zresztą zwykle trudniejsze niż prawdziwe porwania. Zresztą tak się sprawa miała ze wszystkimi naszymi szkoleniami.

Mniej więcej połowa uczestników OTC była już na miejscu, więc Pete i ja znaleźliśmy nasz sprzęt i przenieśliśmy go na miejsce wyznaczone dla naszej drużyny. Ponieważ nie było jeszcze Andresa ani Jimmy'ego, wzięliśmy także ich wyposażenie. Potem poszliśmy poczytać wywieszki na tablicy informacyjnej. Nie było tego wiele - kilka ogólnych informacji o locie, przypuszczalna liczba pasażerów oraz przybliżone informacje o tym, ilu terrorystów może być na pokładzie. Wróciliśmy do swojej strefy i zeszliśmy z drogi ludziom z TOC.

Przed zmierzchem dotarli niemal wszyscy. Dopadliśmy Jimmy'ego i Andresa, gdy tylko się zjawili, i wprowadziliśmy ich w sytuację - co nie zabrało nam dużo czasu, bo sami wiedzieliśmy niewiele. Wzięliśmy sobie skrzynkę suchego prowiantu i wyszliśmy na rampę rozładowniczą z tyłu budynku, żeby sobie podgrzać jakiś posiłek i porównać notatki z kilku ostatnich dni. Nie minęło wiele czasu, gdy dostałem wezwanie zgłoszenia się do TOC na spotkanie liderów drużyn.

Prowadził je Ron.

— Mamy kłopoty z władzami lokalnymi, dlatego wciąż jeszcze nie przemieściliśmy się na

lotnisko, udało się nam jednak rozmieścić dwie drużyny obserwacyjne w pobliżu samolotu i wysłamy dwie awaryjne drużyny szturmowe na wszelki wypadek, gdyby coś się zaczęło dziać. Erie i J.T., wasze drużyny pójdą na pierwszy ogień jako zespoły awaryjne. W miarę rozwoju akcji, miejsca te zajmą też inne zespoły, żebyśmy mogli jakoś ruszyć z miejsca. Jak tylko się rozejdziemy, macie wziąć wszystko, co będzie wam potrzebne do przeprowadzenia szturm oraz do przeżycia czterech dób. Załadujcie rzeczy do niebieskich i szarych wanów i przygotujcie się do wyruszenia na lotnisko. Nie martwcie się, kto będzie prowadził, kierowców zapewniam ja. Bądźcie gotowi do odjazdu za 10 minut.

Ron przeniósł teraz uwagę na resztę grupy.

— Jeśli chodzi o pozostałych, skonsultujcie się z biurem informacyjnym. Ułożę rozkład, dzięki któremu każdy będzie pracował na zmiany w TOC. Postaramy się, żeby każdy mógł znaleźć się w akcji pod jakimkolwiek pretekstem, choćby tylko przyjrzenia się lotnisku, na którym znajduje się nasz samolot.

— Jeszcze jedna ważna rzecz — Ron zniżył głos i konspiracyjnym tonem kontynuował. - Jimmy Day nie wie, w co ręce wsadzić i potrzebuje każdej pomocy. Ćwiczenie samo w sobie jest cholernie trudne, ale jak wiecie Jim nie jest ulubieńcem Beckwitha. Jeśli się naprawdę nie postaramy i nie odwalimy kawałka dobrej roboty, stary może wykorzystać to jako wymówkę, żeby wysiadać stąd Jima. Nie obchodzi mnie oficerowie, z resztą jak każdego z podoficerów. Ale Jim Day jest jednym z najlepszych młodych oficerów, z którymi służyłem i chciałbym móc robić to dalej. Myślę, że zgodzicie się ze mną, gdy powiem, że Jim to przedstawiciel rzadkiego gatunku. Wart jest naszej ochrony i możemy się postarać, żeby dobrze wypadł. Szepnijcie słówko swoim i wesprzyjcie Jima jak tylko się da, ale nie mówcie nic oficerom. Są dobrymi ludźmi, ale nie są teraz pod lufami. No, to tyle. Wracajcie do drużyn. J.T., Erie, dajcie znać, jak będziecie ruszać. „Ach, to dlatego Jim Day został dowódcą ćwiczeń” pomyślałem. „Nawet pomimo, że nie ma odpowiedniej rangi. Stary Charlie bierze go pod lupę i nieźle mu się przyjrzy. No, to niekoniecznie musi oznaczać coś złego”.

Zgadzałem się jednak z Ronem. Jim był dobrym człowiekiem i chciałem nadal z nim pracować. W rzeczywistości nie było żadnej szansy, żeby któryś z nas nie dał na ćwiczeniach z siebie wszystkiego.

J.T. i ja przysiedliśmy jeszcze na chwilę przed załadowaniem się do wanów jadących na lotnisko. Musieliśmy zgrać kilka rzeczy na wypadek, gdybyśmy musieli od razu przeprowadzić szturm awaryjny. Ustaliliśmy, że drużyna J.T. wejdzie od prawego skrzydła i oczyści tył, zaś my wejdziemy od lewego i ruszymy w stronę dziobu. Podjechalibyśmy do boków samolotu wanami i od razu umieścilibyśmy drabiny we właściwych miejscach, a obie drużyny musiałyby wspinać się i otworzyć drzwi równocześnie. Szybkość musi tu zastąpić ostrożność. Gdy tylko samolot będzie

oczyszczony z terrorystów, uruchomimy zjeżdżalnie awaryjne i wypuścimy pasażerów przez każde z wyjść. W wypadku pożaru lub eksplozji na pokładzie otworzymy te drzwi, do których będzie dostęp i przez nie wyprowadzimy ludzi.

Jeśli chodzi o moja drużynę, to plan wyglądał następująco: niscy ludzie na pierwszy ogień - Jimmy, a za nim Andres - oczyszczą przejście między siedzeniami do samego kokpitu. Ja wchodzę jako trzeci, za mną Pete. Ponieważ ja i Pete jesteśmy wyżsi niż Jimmy i Andres, będziemy mogli strzelać nad ich głowami, a oni będą oczyszczać przejście. Kiedy dotrą już do przegrody, za którą znajduje się kabina pilotów, Pete i ja wyskoczymy naprzód i zajmujemy się przednimi toaletami i kokpitem.

Całość może i brzmi skomplikowanie, ale wiedzieliśmy, że jesteśmy w stanie wdrzeć się do samolotu i oczyścić swój sektor z prędkością pasty do zębów wyciskanej z tubki. Chaos kontrolowany wkraczał do samolotu przez parę środkowych drzwi i ruszał symultanicznie w obie strony. Załadowaliśmy się do wanów. Sprawdziłem łączność z TOC, pokazałem Ronowi umówiony sygnał i ruszyliśmy.

Kiedy przyjechaliśmy na lotnisko, skontaktowaliśmy się z Jimem Dayem i znaleźliśmy miejsce niewidoczne z samolotu, jednak takie, które dawało nam bezpośredni dostęp do drogi kołowania, na której stał samolot. Nigdy nie wykonywaliśmy szturm awaryjnego, jednak przygotowania do takiej akcji były zawsze elementem choreografii Delta Force przy reakcji na porwanie samolotu. Kilka godzin później reszta przemieściła się na lotnisko i pozostali po kolei dyżurowali jako drużyny szturm awaryjnego.

Przez kolejne 72 godziny przeszliśmy przez niezłą wyżymaczkę. Podczas reakcji na porwanie samolotu jedną z rzeczy działających na naszą korzyść jest to, że porywacze walczą ze zmęczeniem. Nam zaś chodzi o wyczerpanie ich umysłowo, fizycznie i emocjonalnie.

Zadaniem negocjatora jest upewnienie przeciwnika, że wszystko ma swoją cenę. Chcą wody — muszą dać coś w zamian. A co dostaniemy w zamian za wypompowanie toalet? Przy każdym kontakcie negocjator stara się wybić terrorystów z ich planu i osłabić ich kontrolę nad sytuacją. Jeśli nie da się ich nakłonić do poddania się, chcemy przynajmniej, by byli w jak najgorszym stanie, kiedy rozpocznie się szturm. Żeby byli zmęczeni, skonani i niepewni. Ale tym razem, to my byliśmy przyparci do muru.

Zbliżały się terminy spełnienia żądań. Napięcie rosło. Ruszaliśmy i zajmowaliśmy pozycje szturmowe tylko po to, by wycofać się i opuścić stanowiska. Za to gdy próbowaliśmy trochę wypocząć, pojawiał się jakiś nagły wypadek i znów musieliśmy ruszać. Działo się tak co kilka godzin.

Jim i Ron mieli pełne ręce roboty, radząc sobie z „władzami lokalnymi” i reprezentantami „amerykańskiej ambasady”.

Ambasador żądał, by go informowano o rozwoju sytuacji, jednak instrukcje z National Command Authority (NCA) w Waszyngtonie nakazywały go wykluczyć. Szef placówki CIA (COS) pokazał się i oświadczył, że wszystkie plany akcji muszą być przez niego zatwierdzone. Został odprawiony i odszedł, mając pod nosem groźby. Miejscowy minister bezpieczeństwa wewnętrznego żądał wycofania snajperów-obszerników. Ambasada amerykańska odmówiła interwencji, ponieważ ambasador obraził się za wykluczenie go z łańcucha informacyjnego. Podejrzewaliśmy, że żądania ministra bezpieczeństwa były zainspirowane przez COS-a. Problem za problemem wyrastał jak spod ziemi.

Żądania były wyczerpujące dla wszystkich, ale zwłaszcza dla Rona i Jima. Podczas drugiego dnia wykonywania zadania dopadliśmy jednocześnie ich obu i zabraliśmy do kryjówki, gdzie przymusiliśmy ich, by poleżeli i wyczęli. Przez ten czas ich obowiązki przejęli liderzy drużyn, którzy też rozładowali nieco narastające konflikty interesów. Zbudowaliśmy psychiczny parasol nad oddziałem, trzymaliśmy się własnego planu operacyjnego i ignorowaliśmy nieodpowiednie rozkazy.

Dwukrotnie podczas drugiej nocy byliśmy gotowi do przeprowadzenia szturm. Za pierwszym razem znajdowaliśmy się w odległości 25 metrów od samolotu, kiedy zostaliśmy odwołani. Za drugim razem staliśmy już dosłownie z rękami na klamkach drzwi samolotu, gotowi do odliczania, kiedy znów zostaliśmy wezwani do odwrotu. To naprawdę zużyło sporo naszej energii, zarówno bojowej, jak i emocjonalnej. Znacznie trudniej jest niepostrzeżenie się wycofać niż wykonać samo podejście. A za każdym razem, gdy nas odwoływano, musieliśmy zostawiać dwie drużyny na obserwacji, w razie gdybyśmy jednak zostali dostrzeżeni i trzeba by przeprowadzić atak awaryjny.

Jednak każda z napotkanych trudności, każdy problem pojawiający się podczas tych ćwiczeń okazał się w nadchodzących latach faktem. A gdy tylko natykaliśmy się na nową irytującą trudność, włączaliśmy ją do późniejszych programów treningowych. Każde kolejne zajęcia OTC robiły się coraz bardziej diabelskie, ponieważ włączano do nich wszystkie wcześniejsze doświadczenia. W końcu, tuż przed zmierzchem trzeciego dnia zaatakowaliśmy.

W tym momencie, dla wszystkich zaangażowanych — zakładników, porywaczy i nas - sytuacja wydawała się realna. Wszyscy braliśmy to na poważnie, a gdy już wszedłem do samolotu przez wejście awaryjne, strzelałem, żeby zabić — dobrze, że ślepakami.

Przy wchodzeniu na pokład najbardziej uderzającą dla mnie rzeczą (nigdy się do tego nie przyzwyczaiłem, ale później byłem przynajmniej przygotowany) był wszechogarniający smród. Sto osób stłoczonych w małej przestrzeni przez trzy dni wytwarza nieznośny smród. Uderza cię jak cios w twarz — musisz to fizycznie przezwyciężyć, gdy otwierasz drzwi. Snajperzy mówili nam, że gdy zbliżali się do samolotu, by pomóc nam z wypuszczanymi pałaszami, na ścianę

niewyobrażalnego odoru natknęli się już w odległości 50 metrów od samolotu.

Jeszcze jedna rzecz była zawsze taka sama. Bez względu na to, czy były to ćwiczenia, czy prawdziwa operacja, jeśli przeprawa trwała dłużej niż 24 godziny, zakładnicy i porwawcy reagowali tak samo. Ich poczucie rzeczywistości było ograniczone do samolotu. Pokład był ich planetą (a właściwie wszechświatem) i wszystko poza nim było obce. Psychologia tłumu, która przez ten krótki czas zamknięcia narosła i tak głęboko zapuściła korzenie, była zdumiewająca. Na zewnątrz wszystko, co musieliśmy zrobić z zakładnikami ograniczało się do ustawiania ich w planowy sposób. Po tym, jak liderzy drużyn wewnątrz samolotu spotkali się i omówili wstępnie raport z działań podczas szturmów, daliśmy znać Jimowi Dayowi, że miejscowi mogą wkraczać na scenę. Zakończyliśmy te formalności i wyszliśmy z samolotu.

Wróciliśmy do hangaru, który był naszym schronieniem, i zdaliśmy sprzęt. W końcu z głowy. Byłem z tego cholernie zadowolony, bo tak mnie to wymęczyło, że czułem się niemal pijany. Niektórzy zasypiali na stojąco, a wszyscy mieli szklane oczy i byli wyczerpani. Ron zwołał nas do siebie.

- Została nam do zrobienia jedna rzecz - powiedział. - Załadujcie sprzęt na ciężarówki, ale zachowajcie swoje pistolety, także maszynowe. W drodze powrotnej zahaczmy o strzelnicę i zrobimy test ze strzelania. Musimy tam być na 8:30, więc się ruszajmy. Jak już spakujecie sprzęt, wsiadajcie do furgonetek. Liderzy zespołów, pokażecie mi kciuki do góry, jak będziecie gotowi do odjazdu.

Zauważyłem, że dwaj instruktorzy, Bill i Carlos, uważnie przyglądali się nam, gdy Ron podawał nam te informacje. Ale nikt nie kłął i nie gderał, gdy odwracaliśmy się, by załadować sprzęt na ciężarówki, a że nie było żadnego wybuchu, dwaj obserwatorzy załadowali się do swojego pojazdu i odjechali.

„Nic nie pozostaje bez obserwacji i żadna czynność nie jest zbyt błaha, by pozostała nieodnotowana” pomyślałem, przyglądając się, jak Bill i Carlos odchodzą. Byliśmy zmęczeni, głodni, senni i sądziliśmy, że już po wszystkim, kiedy oni poinformowali nas o następnym teście. A jeśli chodzi o strzelanie, to szturm na samolot był najlepszym sprawdzianem naszych umiejętności w tej dziedzinie. Gdy w końcu uderzyliśmy na samolot, byliśmy zmęczeni, głodni, senni i sfrustrowani — a wszystko to miało wpływ na naszą celność. Najważniejsze było poznanie możliwości każdego z ludzi w tak trudnych warunkach. Jeszcze raz zadziwiła mnie dokładność naszych trenerów.

Przespałem całą drogę do Fort Bragg, ale była to tylko krótka drzemka, która jeszcze bardziej mnie zamroczyła. Kiedy wyleźliśmy z furgonetek na strzelnicę, powitał nas sierżant major Shumate. — No, dziewczynki - zamruczał. - Nie ma tu nic nowego, robiliście to już nieraz. Stanowiska strzeleckie są oznakowane zgodnie z waszymi obecnymi przydziałami do poszczególnych drużyn.

Zacznijcie od tego, a później wypełniajcie dostrzeżone luki już indywidualnie. Ruszajcie się jak należy, nie chcę żebyście przepierdzielili tu cały ranek. I spróbujcie się nie zastrzelić — zrobił pauzę. — O ile to nie będzie absolutnie konieczne — uśmiechając się szeroko, machnął ręką byśmy się rozeszli.

Wydawało mi się, że poruszam się powoli, zupełnie jakbym miał kaca, idąc w stronę pierwszego punktu. Zwykle gładko przechodziłem przez testy strzeleckie, jednak tym razem musiałem skupiać całą siłę woli na każdym zadaniu przy poszczególnych stanowiskach.

Strzelanie samo w sobie nie było trudne. Instynkt zdawał się przejmować kontrolę. Musiałem jednak zastanawiać się, co robić i powiedzieć sobie, jaką podjąłem decyzję. Zmęczenie jest potężnym narkotykiem. Jednak strzały trafiały tam, gdzie powinny i tak szybko, jak było trzeba. Nawet się nie zorientowałem, że już skończyłem. Dopiero Donny wziął moją kartę wyników i kazał mi usiąść.

„Koniec. Nareszcie koniec. Proszę, proszę, co za osiągnięcie”. Oczyszcili broń i schowałem do torby. „To już czerwiec, a ja zacząłem tę całą jazdę we wrześniu. To nie tak znowu długo, ale wiele rzeczy się przez ten okres wydarzyło, a to i owo się zmieniło”.

Odkryłem w sobie kilka rzeczy, które nigdy dotąd nie miały okazji się objawić. Nie czułem, że się zmieniłem. Raczej się rozwinąłem. Jakby więcej leżało w moim zasięgu. I byłem szczęśliwy.

Przeszedłem daleką drogę od wzgórz

Georgii i Floyd County przez ostatnie 10 lat. A jak dotąd wartość wycieczki znacznie przewyższała jej koszty.

Kiedy wszyscy skończyli, pozbieraliśmy łuski, ogarnęliśmy strzelnicę i zebraliśmy się ponownie w stołówce na Ranczu, na jednym z pysznych, obfitych śniadań wojskowych. Byliśmy pieruńsko głodni i poważnie nadwyrężyliśmy zapasy w kuchni.

Następnie zebraliśmy się w budynku OTC czekając na dalsze instrukcje. Przemówił do nas Gerhard Altmann.

— Panowie, to jasne, że biorąc pod uwagę wasz obecny stan byłoby bez sensu urządzenie jakichkolwiek podsumowań Testu Kulminacyjnego właśnie teraz. Niewielu z was jeszcze trzyma się na nogach, a nawet ci, którzy jeszcze nie stracili przytomności, raczej nie wniesliby zbyt wiele w ten proces. Dlatego też zgromadźmy się w tym samym miejscu i o tej samej porze jutro rano. Teraz idźcie, aby ułożyć się do dobrze zasłużonego, jakkolwiek spóźnionego snu. Wiadzimy się jutro rano. Do tego czasu żegnajcie.

„Zdrowy rozsądek rządzi” pomyślałem, zbierając swoje rzeczy i poszedłem na parking. W batalionie Rangerów robiliśmy wszystko regulaminowo, a po ćwiczeniach następowała zawsze odprawa. W takiej jednak sytuacji bardzo niewiele z niej korzystaliśmy, ponieważ byliśmy przeważnie tak zdechli, że mało kto zachowywał jako taki kontakt z rzeczywistością, a co za tym

idzie, nie poświęcałiśmy spotkaniu tyle uwagi, ile powinniśmy. Jutro będziemy świeżutcy jak rzodkiewka na wiosnę, czujni i zdolni do ogarnięcia wszystkiego, czego wymagał szczegółowy raport z Testu Kulminacyjnego.

Bardzo podobała mi się przynależność do inteligentnej organizacji.

Odprawa trwała 7 godzin. Działania każdej osoby były omawiane bardzo szczegółowo, a wszystko, co zdarzyło się od momentu opuszczenia Fort Bragg do chwili powrotu, zostało wymienione i przedyskutowane. Przeanalizowaliśmy błędy i odnotowaliśmy najbardziej udane pomysły i metody.

Jednak tym razem nie byliśmy poddani partyjnej samokrytyce. Nikogo nie mieli wysłać do poprawczaka. Celem tego spotkania było dowiedzenie się wszystkiego, co możliwe o tym, co właśnie się odbyło - dobrego, złego i brzydkiego. Dzięki tej wiedzy mogliśmy nie dopuścić do niektórych przyszłych problemów.

Nie ma lepszej metody samodoskonalenia organizacji i rozwoju jej profesjonalizmu. Musi to być jednak proces głęboko zakorzeniony w zaufaniu i wzajemnym szacunku. W chwili, gdy proces ten staje się bronią, zamiast narzędziem analizy diagnostycznej, umiera.

Nareszcie jednak dobiegł końca. OTC-3 nie miało już nic do roboty. Jim Day pchnął umyślnego do pułkownika Beckwitha, by dać mu znać, że zakończyliśmy odprawę. Posłaniec wrócił z rozkazem zgromadzenia się za kwadrans w stołówce.

Cały oddział już się tam znalazł, kiedy z hukiem wpadł Beckwith.

- Siedźcie, siedźcie - machnął ręką niecierpliwie, idąc zamasyżuje w kierunku środka pomieszczenia. Oparł się

o pustą lodówkę na sałatki.

- No to chyba mamy tu paru nowych operatorów, „Wieśniak” - zwrócił się do starszego sierżanta Grimesa. - Trza by coś dla nich wykoncypować. Niech złączą się na siebie. Mało wszystkiego nie przeżarli. Trza się wziąć za spłacanie długów - ujął nas wszystkich uśmiechem dookoła głowy. - Zapiszcie sobie w pamiętniczkach ten dzień, panowie - zagrzmiał. A potem nagle zniżył głos do chrapliwego, teatralnego szeptu. - To dzień, w którym zaczynamy w końcu posuwać się naprzód. Oto dzień, w którym Pierwszy Operacyjny Oddział Sił Specjalnych Delta staje się rzeczywistością. Osiągnęliśmy masę krytyczną. Od dzisiejszego popołudnia mamy liczebność i konfigurację, która pozwala nam wypełniać zadania stawiane przez nasz wspaniały kraj. Zanim opuszczę was dzisiaj, zadzwonię do generała „Nieśmiałego” Mayera, Szefa Sztabu Armii i powiem mu, że Delta Force jest sformowana. Delta Force istnieje. Potem będę go błagał o jeszcze trzy miesiące szkolenia, zanim poinformuje Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, że możemy ruszać do akcji. Ale powiem mu też, że jeśli jutro będziemy potrzebni, to możemy ruszać

do boju. Odwrócił się do adiutanta.

- Teraz, Smith, podaj przydziały do szwadronów. A jak skończysz, wypijemy po piwku - gdy Beckwith zakończył to krótkie jak na siebie przemówienie, obsługa stołówki wturła do środka kegi umieszczone w pojemnikach z lodem.

To była bardzo ekscytująca chwila. Słuchając wywołanych nazwisk i przydziałów do szwadronów, plutonów i drużyn, czułem się jak dzieciak w Boże Narodzenie. Miałem nadzieję na trafienie do zespołu snajperskiego, jednak nie byłem ani trochę rozczarowany, kiedy wywołano mnie jako członka Drużyny C, Plutonu Pierwszego (szturmowego - Pluton Drugi jest plutonem snajperskim), Szwadronu B.

Dave Donaldson został wyznaczony na lidera drużyny C i przywołał gestem mnie i dwóch pozostałych jej członków. Billy Oswalt został asystentem dowódcy, a czwartym był Chris Cable. Widziałem Chrisa przy różnych okazjach — pomagał Dave'owi na strzelnicy podczas ćwiczeń z wysadzania - ale jak dotąd nie miałem okazji z nim pogadać. To się miało zmienić. Z biegiem lat poznaliśmy się tak blisko, jak tylko dwaj mężczyźni mogą się poznać.

- Chłopcy, najpierw to, co najważniejsze - Don przełamał w ustach kęs tytoniu, który zawsze trzymał upchnięty pod policzkiem. - Chodźmy po to piwo, póki jeszcze jest, a potem możemy pogadać.

Chris napełnił cztery duże szklanki i nam je podał. Staliśmy blisko siebie i przyglądaliśmy się ożywionemu tłumowi składającemu się z naszych przyjaciół i towarzyszy. Pokój wypełniony był śmiechem i radosnymi głosami. Rozglądając się dookoła zdałem sobie sprawę, że to przyjęcie urodzinowe.

Świętowaliśmy narodziny jednostki. Poczęliśmy się na papierze ponad rok temu i od tego czasu trwała długa i powikłana ciąża. Tak jak dzielące się komórki, rozrastaliśmy się najpierw powoli, a później coraz szybciej. Wraz z nieubłagany wzrostem, w końcu osiągnęliśmy wydolność i pojawiliśmy się jako nowy fenomen: w pełni rozwinięty i rozumny zabójca, wyposażony w szpony i kły, inteligentny, umiający uciekać i walczyć.

Do późna nie kładliśmy się spać tego wieczoru, rozmawiając długo po tym, jak skończyło się piwo. Chyba podświadomie wiedzieliśmy, że był to wielki dzień. Dzień, który się nie powtórzy i nie chcieliśmy, żeby się skończył.

Teraz, gdy pisze te słowa po niemal ćwierćwieczu, patrzę wstecz na ten moment i jestem dumny, że mogę powiedzieć, iż byłem tam od początku i znałem wszystkich zgromadzonych tam bohaterów, z których wielu zakończyło już swoją ziemską wędrówkę.

Był to rzadki przywilej, być w tym miejscu, z tymi ludźmi, tego dnia. Prawdziwy zaszczyt - być jednym z członków-założycieli jednostki dzielnych wojowników.

Zaszczyt i przywilej, za który jestem niebywale i dożgonnie wdzięczny.

Przez resztę lata pracowaliśmy jak nawiedzeni. Beckwith obiecał nam trzy miesiące szkolenia przed ogłoszeniem, że jesteśmy gotowi do wkroczenia do akcji, jednak generałowie z Waszyngtonu już nam sapali nad kar-kiem. Dlatego też każdy dzień traktowaliśmy, jakby był ostatnim dniem przygotowań.

Strzelaliśmy osiem godzin dziennie. Szwadron B co rano chodził na strzelnicę, podczas gdy Szwadron A spędzał czas w Shooting House. Po południu zamienialiśmy się. Snajperzy przebywali na strzelnicy cały dzień, niekiedy do późnej nocy.

Shooting House dostawał takie wciry, że musieliśmy odbudowywać wewnętrzne ściany co trzy tygodnie, ponieważ kompletnie rozwalaliśmy działówki strzelaniną.

Nie wiem, ile amunicji zużyliśmy tego lata. Ale dla porów-nania - kolejnego lata, gdy ponad połowa oddziału rozsiana była po świecie wykonując jakieś misje, pułkownik Beckwith zwołał do auli tych z nas, którzy nigdzie nie wyjechali i spu-ścił nam łomot za zbyt mało strzelania.

Powiedział, że lecimy w kulki, że sprawdził raporty zużycia amunicji i wystrzelili-śmy milion nabojów przez czerwiec i lipiec. A to dla Charlie-go było wyrazistym dowodem lenistwa.

Co dwa tygodnie odbywały się większe ćwiczenia dla każdego ze szwadronów. Zawsze nocą, zawsze przynaj-mniej szturm koordynowany i szturm inicjowany przez snajperów. Celem było przetestowanie różnych proble-mów (lub odmian tego samego problemu).

Dwukrotnie tego lata cały oddział poleciał na tajne ćwiczenia, na każdym odtwarzając inną misję. Pierwsza była operacja odzyskania skradzionego urządzenia po-mocnego przy produkcji bomb atomowych. Urządzenie te miała w posiadaniu grupa terrorystów, która wzięła też do niewoli amerykańskich naukowców. Ostatni ty-dzień przed tymi ćwiczeniami spędziliśmy w laborato-riach nuklearnych Departamentu Energii w Idaho Falls, ucząc się o reaktorach, materiałach radioaktywnych i broni atomowej.

Podczas tych ćwiczeń mieliśmy po raz pierwszy okazję pracować z Zespołami Szybkiego Reagowania Nuklear-nego NEST. Istnieją dwa takie zespoły - NEST Wschód i NEST Zachód, które rozmieszczone są po obu stronach rzeki Missisipi. Są to zespoły naukowców, których zada-niem jest namierzanie i lokalizowanie zaginionych mate-riałów radioaktywnych oraz bomb atomowych, a które mogły być przeschmuglowane do Stanów. Są niebywale dobrzy w tym, co robią. Mogę was zapewnić, że przemy-cenie do kraju bomby atomowej i ukrycie jej dla celów terrorystycznych, nie dość że mało prawdopodobne, to dzięki tym ludziom jest absolutnie niemożliwe. NEST dorwie przemytników i to błyskawicznie.

Przy tej okazji dowiedzieliśmy się czegoś nowego. Od-kryliśmy, że nasze zwykłe zasady postępowania nieko-niecznie stosują się do materiałów radioaktywnych.

Operacyjna filozofia Deltę opierała się na chronie-niu zakładników — za wszelką cenę. Ale

narodowe bezpieczeństwo w przypadku, gdy mieliśmy do czynienia z materiałami radioaktywnymi, było sprawą najważniejszą i zakładnicy musieli zejść na drugi plan. Misja polegała na odzyskaniu materiałów, nawet nie licząc się z ludzkim życiem. Ale nawet bezpieczeństwo narodowe nie mogło zmienić naszego podejścia i sposobu przeprowadzania operacji. Byliśmy pewni, że nawet w przypadku incydentu z bronią jądrową byłibyśmy w stanie uratować zakładników. Nie po to pracowaliśmy tak ciężko, by teraz strzelać jak popadnie. Każda banda uzbrojonych matołów mogła to zrobić.

Ćwiczenia jądrowe były tak bardzo wartościowe, że zaczęliśmy budować profesjonalne związki zarówno z FBI, jak i z Departamentem Sprawiedliwości. Potrzebowaliśmy precyzyjnych i zdecydowanych odpowiedzi na pytania prawne, na które natrafialiśmy. Niezbędne było wypracowanie mechanizmów określających uzasadnione wykorzystanie oddziału Delta w przypadkach zagrożenia terroryzmem na terenie kraju, zwłaszcza, że Posse Comitatus Act zabrania federalnym oddziałom wojskowym działania na terenie Stanów Zjednoczonych. Prezydent mógł tymczasowo zawiesić to prawo, gdyby było to absolutnie niezbędne dla bezpieczeństwa publicznego. A do prokuratora generalnego należy określenie, czy takie kryterium, jest spełnione.

Było to pierwsze z wielu ćwiczeń przeprowadzonych przez kolejne lata, którym towarzyszył taki tłum prawników z Departamentu Sprawiedliwości, że dałoby się z nich utworzyć jeszcze jeden oddział szturmowy. Końcowym rezultatem wspólnych badań było powstanie własnego oddziału antyterrorystycznego FBI, działającego pod nazwą HRT (Hostage Rescue Team - Zespół Ratowania Zakładników - przyp. tłum.). Ponieważ FBI zapewniło nam tyle bardzo potrzebnego wsparcia podczas tworzenia naszego oddziału, odwzajemniliśmy się, organizując wstępne szkolenie dla HRT. Od tego momentu utrzymywaliśmy z nimi bliskie stosunki, prowadząc nawet wspólne ćwiczenia oraz wymieniając się doświadczeniami i porównując nasze techniki działania. Następne ćwiczenia tego lata były zakrojone na szeroką skalę. Przeprowadzono je w rządowych budynkach na puystyni na południowym-zachodzie i trwały ponad tydzień. FBI stworzyło scenariusz i zapewniło terrorystów - i na prawdę ci ludzie byli groźnymi przeciwnikami. Nieźle nam dali w kość. A ze względu na bezpieczeństwo kraju mam nadzieję, że żaden z nich nie przeszedł na ciemną stronę mocy.

Ćwiczenia osiągnęły apogeum, gdy Delta wykonała równoczesny szturm na samolot, autobus i kompleks budynków — wszystko za dnia - a punkty ataków rozrzucone były w promieniu sześćdziesięciu kilometrów. Ta akcja zmusiła nas do zweryfikowania granic naszych możliwości. Jednym z ciekawszych rezultatów było także wysadzenie w powietrze jednego z naszych ulubionych agentów FBI. Odgrywał rolę przywódcy terrorystów, gdy zaatakowaliśmy autobus. Na jego kolanach wylądował granat oślepiająco-ogłuszający - wylądował i eksplodował. Agent, choć

nagi i osmalony, wyszedł z wypadku bez większych obrażeń i pracował potem z nami przez wiele lat.

Wczesną jesienią stanęliśmy twarzą w twarz ze zmodyfikowaną wersją tego treningu ataku symultanicznego, który miał być naszym ćwiczeniem walidacyjnym. Test został zarządzony przez NCA w celu sprawdzenia, czy byliśmy gotowi do przeprowadzania operacji w razie wezwania przez prezydenta i Kolegium Szefów Połączonych Sztabów.

Niemal dokładnie wtedy, gdy ukończyliśmy trening i właśnie pakowaliśmy się przed powrotem do Fort Bragg, grupka studentów gdzieś na drugim końcu świata w Teheranie zajęła ambasadę USA w Iranie i wzięła na zakładników wszystkie kobiety i wszystkich mężczyzn, którzy tam pracowali. Ambasada i ludzie wewnątrz, zarówno Amerykanie, jak i Irańczycy, stali się najważniejsi dla Delty w kolejnych miesiącach.

Rozdział trzeci DO BOJU

Kiedy ogłoszono alarm bojowy w związku z misją w Teheranie, mój szwadron był akurat na ćwiczeniach zimowych w górach na zachodzie USA. Szwadron A został już wcześniej przeniesiony do siedziby CIA i rozpoczął planowanie misji. Niezwłocznie powróciliśmy do Fort Bragg, a następnie podążyliśmy za naszymi towarzyszami w miejsce odosobnienia.

Najbardziej nerwową częścią każdej misji jest początkowy alarm. Wtedy właśnie działasz na poły po omacku, korzystając głównie z pogłosek. Tak było też i tym razem. Większość informacji, które do nas docierały, była tak niedorzeczna, że nie zasługiwały nawet na określenie „wywiad”. CIA nie miało w tym miejscu żadnych użytecznych zasobów i niestety nie zależało mu na dostarczeniu nam informacji, których potrzebowaliśmy. Dali nam też jasno do zrozumienia, że nie mieli zamiaru wystawiać się na ryzyko, które niesło za sobą zdobycie tego, czego potrzebowaliśmy. (To zresztą okazało się być problemem stałym, którego nie zdołaliśmy rozwiązać).

To właśnie wtedy Dick Meadows zgłosił się na ochotnika do prowadzenia małego zespołu działającego w ukryciu w Teheranie. Dick był legendą w Siłach Specjalnych i wśród Rangerów. To on dowodził atakiem Son Tay w roku 1970, podczas którego uwolniono amerykańskich jeńców wojennych w Wietnamie Północnym. Będąc teraz emerytowanym majorem, został zatrudniony przez pułkownika Beckwitha jako konsultant cywilny. Gdy tylko Dick trafił do Iranu, zaczęły do nas napływać szerokim strumieniem przydatne i konkretne informacje, dzięki czemu byliśmy w stanie zacząć jakiegokolwiek opracowywanie planów.

Zanim Beckwith nie tupnął porządnie nogą, mieliśmy do czynienia z typowym przypadkiem misji planowanej

przez ludzi, którzy nie będą brali w niej udziału, nie mówiąc już o ryzykowaniu własnym życiem. Choć komandosi SAS opracowywali sami swoje plany działań od lat, trzeba było Charliego Beckwitha, by sprzedać tę ideę armii amerykańskiej. To było jak przeprowadzanie siłą lewatywy. Nie spowodowało eksplozji ciepłych uczuć w stosunku do pułkownika ze strony komandosów z Pentagonu. Nie ruszali się z wygodnych foteli, ale mimo to uważali, że to oni powinni prowadzić tę akcję. Jednak to leżało już w gestii Delt: ci, którzy rzeczywiście przeprowadzają misję, są jednocześnie tymi, którzy planują, jak to zrobić. To zabezpieczało nas też przed syndromem Rambo - że wszystko jest możliwe dla tych, którzy nie brudzą sobie rąk.

Jak dotąd, z dala od Fort Bragg, ukryci w zaciszu kryjóWKI CIA zdołaliśmy nieco wgryźć się w temat i zaczęliśmy pracować nad sposobem rozłupania tego twardego orzecha. W efekcie budynku ambasady były teraz kompleksem więziennym. Były jak orzech, którego skorupę trzeba rozłupać, wdrzeć się do środka, zabezpieczyć, za-trzymać, bronić, ewakuować zakładników i w końcu samemu się stamtąd wynieść.

Niebawem mieliśmy podstawowy plan, którego działania byliśmy pewni. Plan był zmieniany i wypróbowywany, zmieniany i wypróbowywany i znów zmieniany w miarę napływu nowych informacji. Zmiany wydawały się nigdy nie kończyć, ale nikt nigdy nie narzekał, bo taka już jest natura tej bestii. Plan boju jest jak zwierzę przechodzące ciągle metamorfozy i od pierwszego strzału wciąż jest korygowany - bo w tym momencie zwykle okazuje się być nieprzydatny.

Dlatego za każdym razem, gdy dowiadywaliśmy się czegoś nowego i ważnego o sytuacji w Iranie i w samej ambasadzie, włączaliśmy to do powstającego planu. W końcu wszystko zaczynało do siebie pasować. Na tę chwilę wiedzieliśmy, co zrobić po wejściu się do ambasady. Kluczowym problemem było jednak jak się do niej w ogóle dostać.

Przez cały ten czas Siły Powietrzno-Desantowe mis-trzowsko rozgrywały sprawę z powolnym gromadzeniem samolotów z całego świata, przypadkowym i nieplano-wym, aby nie zaalarmować Sowieców, że coś kombinujemy. Delta Force podjęło tę samą grę. Gdy przelatował nad nami sowiecki satelita, przerywaliśmy ćwiczenia i ukrywaliśmy się.

W Fort Bragg oddziały pomocnicze Delt miały pełne ręce roboty, wypełniając nie tylko swoje zwykłe obowiązki, ale również korzystając z poligonu, strzelając, odpalając ładunki wybuchowe i generalnie pozorując, że Oddziały Koncerskie nie ruszały się z domu i są na drugim końcu świata.

Największym nierozwiązanym problemem był sposób dostania się do Teheranu. Siły Powietrzne oferowały nam swoje konie pociągowe, czyli C-130. Potrzebowaliśmy jednak śmigłowców z wysokim podwoziem o sporej ładowności, aby zbliżyć się do miasta, a następnie wywieźć stamtąd zakładników. Od tego zaczęły się wszystkie problemy.

Na poziomie Szefów Połączonych Sztabów podjęto decyzję, że osią całej akcji będzie marynarka. Z pozoru była to sensowna decyzja. W końcu śmigłowce będą startować z lotniskowców, a my chcieliśmy, by wszystko wyglądało jak najzwyczajniej.

Ale śmigłowce ciągle sprawiały problemy. Potrzebowały sporo konserwacji w czasie, gdy części zapasowe i rzeźzona konserwacja nie były priorytetowe - niedługo po wojnie wietnamskiej i podczas rządów Cartera, gdy budżet armii był mocno ograniczony. Mówiąc wprost, ptaszyny trochę zaśmierdły. Załogi nie były gotowe, a co najważniejsze, wydaje mi się, że piloci przekonali sami siebie, że ta misja i tak się nie powiedzie.

Kwestia śmigłowców nie zniknęła. Tu właśnie zaściankowość myślenia o serwisowaniu sprzętu podniosła swój wredny łeb. Choć stało się jasne, że ani załogi powietrzne marynarki, ani ich helikoptery nie są zdolne do wykonania misji, wydano rozporządzenie: żadnych zmian.

Admirałowie nie chcieli oddać swojego kawałka tortu bez względu na wszystko.

Moja drużyna była ostatnia na liście przewozów do Teheranu. Byliśmy przekonani, że śmigłowce zawiodą podczas fazy podjęcia. Plan przewidywał, że dostaniemy się drogą powietrzną na stadion w pobliżu ambasady. O ile stadion wydawał się sensowną lokacją (i bezpieczną dla zakładników) to dla śmigłowców był koszmarem - nawet dla najlepszych.

Po paru fatalnych doświadczeniach z tymi ptaszynami byliśmy niemal pewni, iż co najmniej jeden z nich rozbił się na płycie stadionu. A że taki wypadek pozostawiłby nas w Teheranie zdanych na własne siły, moja drużyna przygotowała plan na taką ewentualność.

W razie czego mieliśmy się ewakuować ze stolicy w kradzieżowych samochodach, przemieścić na północ w stronę gór El-burs, a następnie skierować się w stronę granicy radzieckiej. Nie był to sposób idealny, ale lepszy, jak sądziliśmy, od jazdy w stronę Turcji, gdzie już czekali by siepacze Chomeiniego.

By pomóc sobie w takim wypadku, zabraliśmy ze sobą zestawy do kradzieży samochodów, pakiety „ucieczka i unik” składające się z map, paneli sygnalizacji satelitarnej, 10 000 w dalach i dolarach, kilka kartek z lokalnym słownictwem oraz list pisany w języku farsi na papeterii saudyjskiej rodziny królewskiej. List zawierał prośbę do czytającego, jako dobrego muzułmanina, by zapewnił nam pomoc. Mieliśmy też angielską fonetyczną transkrypcję tego listu. Jednak głównym problemem, jaki mieliśmy z tym listem był fakt, że ten, kto będzie na tyle głupi, by mu uwierzyć, prawdopodobnie nie będzie umiał czytać!

W drugiej połowie stycznia 1980 roku plan był gotowy. Przy odrobinie szczęścia mogło nam się udać. Potrzebowaliśmy jednak długich zimowych nocy, które by nas kryły i zimnego powietrza dla lepszej nośności śmigłowców i samolotów. Niestety, wysiłki dyplomatyczne zmierzwały donikąd, a noce stawały się coraz krótsze i cieplejsze. Jeśli mieliśmy ruszać, to tylko teraz. Pomysł operacji wyglądał tak.

Delta miała przedostać się do bazy wojsk amerykańskich. Stamtąd mieliśmy polecieć do odległej bazy zbiorczej (REMAB) na zbudowane przez Sowieców lotnisko w Egipcie, gdzie spotkalibyśmy inne siły.

Do sił tych należały: kompania Rangerów, która miała zająć irańskie lotnisko w Mansariah na użytek fazy opuszczenia miejsca akcji. Oddział Rangerów, który miał przybyć z nami do bazy Desert One z misją ochrony śmigłowców podczas ich udziału w akcji. Zespół Sił Specjalnych z Det-A, stacjonujący w Berlinie Zachodnim miał ukryć odbitych zakładników amerykańskich w ambasadzie kanadyjskiej. A także kilku generałów irańskich, którzy mieli zapewnić jakieś wsparcie (do dziś nie mam pojęcia jakie), gdy już znajdziemy się na terenie ich kraju.

Mieliśmy także wziąć ze sobą chełpliwego, pyskatego i przemądrzałego byłego członka SAYAK, tajnej policji politycznej. W założeniu miał to być człowiek, który zna Teheran od podszewki, gdy jednak przyszło do wyjazdu ze Stanów, u gościa nagle rozwinął się syndrom bezjajowości, jak to uprzejmie określił pułkownik Beckwith, i nasz pomocnik odmówił wejścia na pokład samolotu. Myślę, że był zdecydowanie przeciwny występowaniu z bronią przeciwko komukolwiek oprócz nieuzbrojonych cywilów.

Z Egiptu przenieśliśmy się na lotnisko na wyspie w pobliżu Omanu, przyczailibyśmy się na kilka godzin, a następnie wsiedlibyśmy na pokład C-130 Combat Talon by lecieć do Iranu. Śmigłowce, z kilkoma łącznościowcami z naszego Szwadronu Sygnałowego, miały wznieść się z pokładu lotniskowca Nimitz w Zatoce Perskiej i polecieć na pustynne lądowisko o kryptonimie Desert One by zatankować paliwo z tankowca powietrznego C-130.

Na Desert One planowaliśmy wsiąść do śmigłowców i przemieścić się do ukrytego kanionu, w którym nasze ptaszyny przyczaiłyby się i zostały zamaskowane. Pod wieczór Dick Meadows i jego drużyna spotkaliby nas i dostarczyli kryte ciężarówki, które zawiozłyby nas na boczna uliczkę przylegającą do ambasady. Następnie mieliśmy przekraść się przez mur ambasady i wykonać odbicie zakładników, podczas gdy uzbrojone herkulesy (AC-130) miały krążyć w pobliżu, celując do przewidywanych hord uzbrojonych bojowników, zaś myśliwce marynarki miały strzec nas przed irańskimi siłami powietrznymi.

Zadaniem mojego zespołu był szturm i oczyszczenie rezydencji ambasadora oraz odbicie znajdujących się tam kobiet. Wciąż jeszcze mam klucz do kuchennych drzwi, przez które planowaliśmy dostać się do środka. Kucharz przywiózł ze sobą ten klucz, gdy uciekł z kraju.

Pozostałe zespoły miały szturmować inne części ambasady i uwalniać przetrzymywanych tam zakładników. Dwa zespoły wyposażone w karabiny maszynowe miały pozbywać się niechcianych gości sprzed głównego wejścia - byli obciążeni jak konie pociągowe ponad 50-kilogramowymi ładunkami pocisków, które musieli nieść.

Później miała się zacząć faza podjęcia zakładników. „Szybki Edek”, nasz człowiek od wysadzania,

miał wybić otwór w murze ambasady - dokładnie przy ulicy prowadzącej do stadionu. Mieliśmy zabrać zakładników przez korytarz osłaniany przez zespół karabinów maszynowych.

Załadowalibyśmy ich wraz z towarzyszącymi im dla bezpieczeństwa zespołami do helikopterów i moglibyśmy ich wywieźć na przejęte przez Rangerów irańskie lotnisko. Reszta z nas ewakuowałaby się w miarę, jak pojawiałyby się helikoptery. Tam wszyscy wsiedlibyśmy do C-141 by wylecieć z tego kraju pod czujną ochroną i w obstawie myśliwców marynarki. Ambitny plan, ale zdecydowanie nie niemożliwy do wykonania.

Jak to dobrze, że człowiek nie jest w stanie przewidzieć swojej przyszłości - inaczej nie ruszylibyśmy się z naszych łóżek tego ranka. Podczas gdy układaliśmy plan w odosobnieniu obozu CIA, jedynym człowiekiem z zewnątrz, jakiego zobaczyliśmy, był kucharz. Był starym wyjadaczem z CIA i widział już różnych ludzi przychodzących i odchodzących stąd przez te wszystkie lata. Pewnego wieczora po kolacji stał sobie z kilkoma z nas, paląc papierosa i żartując, podczas gdy czekał na załadowanie swojej ciężarówki. Nagle przycichł i rozejrzał się, jakby widział to miejsce po raz pierwszy raz w życiu.

- Chłopaki, wydaje mi się, że ostatnio używaliśmy tych kwater podczas kryzysu w Zatoce Świń.

Pierwszego lutego Delta była gotowa to działania. Nie byliśmy zadowoleni ze śmigłowców, ale nigdy byśmy nie byli. Musieliśmy po prostu zawierzyć tę część akcji fartowi i mieć nadzieję na najlepsze.

Luty zmieniał się w marzec, a my wciąż czekaliśmy i do-pracowywaliśmy plan. Kilka razy zimą już, już mieliśmy nadzieję na rozpoczęcie akcji i wysuwaliśmy nosy z lisich nor, wypatrując odjazdu, jednak spotkało nas kolejne rozczarowanie związane z jego opóźnieniem.

Marzec przyszedł i minął. W kwietniu byliśmy z powrotem w Fort Bragg - zaniepokojeni bardziej, niż kiedykolwiek. Ocieplało się, a noce były coraz krótsze.

Kiedy rozkaz wykonania w końcu nadszedł, po prostu załadowaliśmy nasz sprzęt do samolotów i cichcem się wymknęliśmy. Jak dotąd nikt nie przyglądał się zbyt nio naszym ruchom. Pierwszym przystankiem była baza zbiorcza w Wadi Kena w Egipcie. Stanowiliśmy szpicę głównego oddziału. Ufortyfikowane hangary lotnicze zbudowane przez Sowieców były zaścielone wewnątrz ludzkimi ekskrementami. Egipcjanie używali ich jak wielkich zbiorowych latryn komunalnych. Zespół przygotowawczy spędził kilka dni przed naszym przybyciem na szorowaniu i dezynfekcji, by nadawały się do użytku. Gdy się tam pojawiliśmy, ten kawałek pustynnego nieużytku wrzał ludzką aktywnością. Połączyliśmy się z pozostałymi siłami i czekaliśmy na ostateczny rozkaz ruszenia do akcji.

Tuż przed naszym załadunkiem do C-141 i dalszym etapem naszej podróży, pułkownik Beckwith poprosił nas

0 przerwę na modlitwę. Chwilę później, gdy jeszcze słu-chać było w powietrzu ostatnie „amen”, wsiedliśmy do sa-molotu i ruszyliśmy w stronę następnego przystanku w tej podróży - lotniska na omańskiej wyspie Masirah.

Przybywając tam rankiem zastaliśmy - cud nad cudami - przygotowane dla nas namioty. Większości ludzi może się to wydawać drobnostką, ale każdy, kto kiedykolwiek był w boju, będzie wiedział, jaki to był wspianały dar. Jak każda inna zbieranina koczowników, umieliśmy o siebie zadbać. Idea, że kto inny przygotowałby dla nas schronie-nie i parę puszek zimnych napojów, była niemal nie do pomyślenia. Moi towarzysze i ja wciąż dziękujemy Siłom Powietrznym za ten przemily gest.

Gdybym miał wskazać rzecz, która najbardziej utkwiała mi w pamięci w związku z tą misją, to to, że członkowie Deltę traktowali to wszystko czysto profesjonalnie. Nie było w tym wszystkim żadnych hollywoodzkich gestów, tekstów i póź, żadnego przybijania piątki, żadnych wygłu-pów, żadnego puszenia się i przechwałek. Tylko cicha de-terminacja, by wykonać zadanie.

W takim właśnie nastroju późnym popołudniem 24 kwietnia 1980 roku podnieśliśmy się ze sje-stry, spraw-dziliśmy wyposażenie, próbnie przestreliliśmy broń

1 wdrapaliśmy się na pokład C-130, które miały nas za-brać do Iranu.

Mój szwadron znajdował się na pokładzie samolotu le-cącego na przedzie eskadry. Na czas tej akcji byliśmy -wraz z towarzyszącym nam oddziałem Rangerów, dwoma irańskimi generałami oraz kilkoma mówiącymi w farsi kierowcami - oznaczeni kryptonimem „Zespół Biały”. Mieliśmy wylądować w Desert One 10 minut przed in-nymi i zapewnić bezpieczeństwo reszcie. Powiedziano mi potem, że głównym pilotem Zespołu Białego był stary podpułkownik, który wylatał w życiu więcej godzin na C-130, niż jakikolwiek człowiek na świecie. To najpew-niej było prawdą. Nie wątpię też, że siedział na specjalnie skonstruowanym siedzeniu - takim, na którym wygodnie układały się jego wielkie, złote jaja.

Tańcząc, wijąc się w unikach i przypadając do ziemi w niskopu-łapowym locie Combat Talon zgrabnie wy-korzystywał luki w zasięgu irańskich radarów. Udawało mu się to, bo leciał tak nisko, że zacytuje dr. Strangelove: „Kurczaki piekły się w kurnikach”.

Nawet jak na standardy operacji specjalnych był to nie-zapomniany lot. Przez większość trasy leżałem pod dzi-pem szwadronu Rangerów na brzegu rampy. Kiedy jed-nak zabrzmiało ostrzeżenie podawane trzy minuty przed lądowaniem, a pilot wrzasnął: „Złapcie się czegoś i mocno trzymajcie!”, zmieniłem pozycję i owinąłem się wokół biegnącego ukośnie ogranicznika zawiasów rampy.

Walnęliśmy w ziemię mocno - naprawdę mocno - bez zauważalnej zmiany w prędkości czy brzmieniu silnika. Samolot nie podskoczył, śmigła po prostu zmieniły prę-dkość i wyhamowaliśmy tak szybko, jakbyśmy wylądowali na jeziorze melasy. Później dowiedziałem się, że pilot za-stosował bojowe lądowanie awaryjne i nawet gdyby nie dał rady wylądować na pustynnym

piasku, samolot miałby na tyle prędkości i energii, by poderwać się z powrotem w powietrze. Co za pilot!

Rampa zaczęła opadać, gdy tylko wszystkie trzy koła dotknęły ziemi. Na długo nim samolot się zatrzymał, Rangerzy odczepili swoje jeepy i motocykle, i byli gotowi do wyjazdu na pustynię.

Moja drużyna miała wysiąść pierwsza, za nami Rangerzy i reszta Zespołu Białego.

Gdy jednak otworzył się tył maszyny, a my wyrzeliśmy na zewnątrz, dookoła zobaczyliśmy światła reflektorów - tuż za nami. Wskoczyliśmy z samolotu jak atakujące pumy. Trzy pojazdy były już na styk z nami. Na przedzie jechał autobus, za nim cysterna z paliwem, a na końcu mały pickup. Moja drużyna od razu ruszyła w stronę autobusu. Wystrzeliliśmy w stronę maski pojazdu i wpakowaliśmy w przedni zderzak 40-milimetrowy pocisk z granatnika, a następnie zasypaliśmy gradem pocisków scho-dek, po którym wsiadają zwykle pasażerowie. Ostrzał był tak celny, że kierowca musiał się niezwłocznie zatrzymać.

Bill wyważył drzwi ramieniem, a dowódca naszego szwadronu, major Logan Fitch, przejął kontrolę i ruszył między siedzeniami jako dowodzący zespołem. Logan był z tych, którzy nie stoją z tyłu wydając rozkazy, ale zawsze prowadził swoich ludzi - i tym razem zapłacił za to. Gdy posuwał się wzdłuż przejścia między siedzeniami, jakiś młodzieńczyk rzucił się na niego i walnął Logana pięścią w nos. Odważny dzieciak. Szybko znów był pod kontrolą, a Logan pierwszy śmiał się z tego wydarzenia.

W międzyczasie inne rzeczy działy się na tym małym poletku Boga. Rangerzy ścigali cysternę, która próbowała wymanewrować stamtąd i zwiać. Dobrze znałem tych ludzi - stanowili jedną trzecią mojego dawnego plutonu. Młody Ricky Magee dowodził teraz zespołem, a Allie Jones - szwadronem. Wyraźnie usłyszałem też, jak ktoś woła do Rangera dzierżącego granatnik przeciwpancerny M-72: „Strzelaj w tę ciężarówkę!”.

Bummm! Rakieta eksplodowała, a chwilę później rozległo się kolejne, jeszcze głośniejsze Bummm!, gdy pocisk nie trafił w pojazd, wpadł pod zderzak, odbił się od ziemi i eksplodował pod brzuchem cysterny, zapalając przewożone w niej paliwo. Kierowca i pasażer wyprysnęli z szoferki i wskoczyli do pickupa, który za nimi jechał. W chmurze pyłu półciężarówka wyjechała z lotniska tak prędko, że Ranger na motorze nie był w stanie jej dogonić i został odwołany, zanim zapędził się zbyt daleko.

Gdy to wszystko się rozgrywało, wysadziliśmy pasażerów z autobusu i przeszukaliśmy ich. Byli to głównie starsi ludzie, mężczyźni i kobiety, ale pomiędzy nimi znajdowało się kilkoroz dzieci i paru młodych mężczyzn, jakby dorzuconych dla lepszej równowagi. Mieliśmy więc tu około czterdziestu przewożonych osób. I mieli się czego bać, bo cała akcja wyglądała, jakby nagle wybuchła III wojna światowa. Niewiele armii na świecie oszczędziłoby tych ludzi w takiej sytuacji, ale my czuliśmy, że, na litość boską, mogli to być równie dobrze nasi krewni i znajomi. Zanim

ich przeszukaliśmy i usadziliśmy po jednej stronie drogi, inne samoloty wylaniały się z ciemności, a na lotnisku było coraz więcej ludzi.

Postanowiliśmy porwać pasażerów autobusu. Zapakowaliśmy ich do jednego z samolotów jako balast lotu poza kraj i mieliśmy zamiar odesłać ich z powrotem po pomyślnym zakończeniu misji. Major Fitch rozkazał mojemu zespołowi, by ich pilnować, bo to my początkowo przejęliśmy nad nimi kontrolę.

Zakończyłem przeszukiwanie pasażerów przy świecie płonącej cysterny. Posadziliśmy ich na krawężniku wyznaczającym krawędź zwirowej drogi. Następnie Bill Oswald i ja odeszliśmy nieco od nich, by porównać spostrzeżenia i trochę odetchnąć.

Staliśmy, zauroczeni pustynną nocą i patrzyliśmy z fascynacją na płonąca cysternę w tym odległym zakątku starożytnego świata. Kolumna płomieni wznosiła się w górę na jakieś 100 metrów i wyglądała jak żywcem wyjęta z Biblii. Byłem pewny, że blask widać było z odległości setek mil na tej irańskiej pustyni.

- Bill, myślisz, że nasza misja jest zdekonspirowana? - zapytałem.

Bill pokiwał twierdząco głową.

- Erie, te cholerne płomienie pewnie zauważył nawet Ray Charles - a potem, patrząc na jeńców powiedział jeszcze: - Tylko pomyśl, Erie. Przez rok pracowaliśmy jak woły, żeby stać się członkami amerykańskiego oddziału antyterrorystycznego. Jesteśmy na pierwszej misji i co?

Porywamy jakiś pierdolony autobus.

Każda grupa istot ludzkich ma kilku członków niepasujących do reszty - i nasi jeńcy nie byli wyjątkiem. Jednym z nich był może pięcioletni chłopczyk. Siedział koło swojej babci i chociaż widać było, że się boi, to jednak miał zaangażowany wyraz na buzi, mówiący wyraźnie, że będzie dzielnie bronił swojej babuni, gdyby coś jej groziło. Innym „innym” był ten odważniak, teraz skuty kajdankami, który walnął Logana w nos. A ostatnim, ale zdecydowanie nie najmniej ważnym, był ten, którego nazwaliśmy wiejskim głupkiem.

W naszym, jakże ograniczonym, farsy (znaliśmy około 20 zdań) powiedzieliśmy ludziom, żeby siedzieli spokojnie i się zamknęli. Ale zawsze znajdzie się ktoś, do kogo nie docierają proste słowa. W tym wypadku był to dwudziestoparoletni biedak, o lekkim, ale wyraziście zauważalnym upośledzeniu umysłowym. Przechylał się w stronę sąsiadów i rozmawiał z nimi głośnym szeptem, zaś jego sąsiad odchylił się, szukając ucieczki i gestem nakazywał mu zamknąć się wreszcie, a na pewno przez zaciśnięte zęby mamrocząc, że przez niego wszyscy zginą. Dwukrotnie musiałem ich uciszać. Za drugim razem dla wzmocnienia argumentów podetknąłem im pod nos mojego CAR-15. Wytrzymał minutę lub dwie i znów zaczynał. Tym razem, gdy podchodziłem do niego kolejny raz, jego sąsiedzi odturlali się na boki, by się chronić. Patrzył na mnie z przerażeniem na twarzy, gdy wetknąłem mu pod szczękę lufę broni i zmusiłem do wstania. Przeprowadziłem go w ten

sposób wzdłuż siedzących ludzi, a on był przekonany, że jest prowadzony na egzekucję. Zresztą, jego towarzysze pewnie myśleli tak samo.

Gdy oddaliliśmy się od grupy więźniów, zaczął łkać i jęczeć takim głosem, jaki umieją z siebie wydobyć tylko mieszkańcy Bliskiego Wschodu. Jęczał, płakał, błagał z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, gdy prowadziłem go dalej, na odległość około 20 metrów od innych więźniów. Tam popchnąłem, by usiadł na ziemi i odszedłem. Słyszałem jak smarka i chlipie, mieląc w ustach słowa, które równie dobrze mogły być modlitwą dziękczynną za wybawienie od pewnej śmierci, jak i przekleństwami pod moim adresem.

W blasku płomieni twarze pasażerów wyglądały na nagle odprężone. Jednak czy z powodu tego, że ich współpasażer nie został zabity, czy też, że został odseparowany i już nie narobi im kłopotów - tego nie byłem pewny.

No to nieźle wdepnęliśmy. Miłe ognisko, by odstraszyć chłód nocy, fajni kumple dotrzymujący towarzystwa - ale żadnych śmigłowców. Cysterna powietrzna C-130 właśnie nadlatywała, a samoloty, które nas przywiozły, musiały odlatywać. Jednak dowódca sił powietrznych pułkownik Kyle chciał je zatrzymać, dopóki nie pojawią się śmigłowce. Tak na wszelki wypadek.

Godziny upływały jedna za drugą. Traciliśmy bezcenną ciemność, a śmigłowców jak nie było, tak nie było. Kilka razy zdawało się nam, że je słyszymy, ale próżne to były nadzieje. Nagle, wysoko na niebie - nawet powiedziałbym za wysoko - pojawił się jeden z nich. Leciał z włączonymi światłami prosto w stronę naszego ogniska. Tuż za nim leciała reszta, jednak szybko się okazało, że mamy o jeden śmigłowiec za mało. Jeden miał problemy z silnikiem, które ujawniły się zaraz po przekroczeniu brzegu Zatoki Perskiej i zawrócił na lotniskowiec. Reszta skierowała się prosto przed siebie - dokładnie w samum, który niósł słup pyłu sięgający setki metrów w niebo. To było zgubą naszych helikopterów.

Dowódca pilotów marynarki był wstrząśnięty po przylocie. Słyszałem, jak mówił, że nigdy nie miał do czynienia czymś takim. Wyglądał, jakby tylko rozglądał się za drogą ucieczki. Został wzięty na rozmowę z pułkownikami Kylem i Beckwithem.

Podczas gdy odbywała się ta rada plemienna, kolejny pilot zgłosił, że jego śmigłowiec mruga światłkami ostrzegającymi o awarii napędu i nie nadaje się do lądowania. Plan przewidywał sześć helikopterów wylatujących z Desert One. Zakładaliśmy, że co najmniej jeden z nich nie odpali silnika startując z kryjówek, notorycznie miał z tym problem. Odpadły nam dwa pojazdy, a w perspektywie mieliśmy utratę następnego.

Wszystko zaczynało się pozwolić rozpadać, ale Teheran był już tak blisko. Nawiązano kontakt radiowy z generałem Jamesem Yaughtem, dowodzącym całą operacją, by wypowiedział się na temat zaistniałej sytuacji. Był na tyle rozsądny by pozostawić decyzję dowódcom polowym. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach pułkownik Beckwith nie słyszał bynajmniej z

cierpliwości, ale do tej chwili nieźle się trzymał. Wysłuchawszy jednak pilotów zachłystujących się dyskusją nad kontynuacją akcji, miał dość.

- A żesz cholera jasna! Spadamy stąd! Na dzisiaj misja odwołana. Wrócimy na Masirę i Nimitza póki jest ciemno. Przegrupujemy się i wrócimy następnej nocy. Dajcie znać przez radio Dickowi Meadowowi, co jest grane i ła-dujcie się do samolotów-cystern. OK., wykonać!

Z cysterny, do której wsiedliśmy, tankowały akurat trzy helikoptery. C-130 jako cysterna przewozi paliwo w zbiornikach z grubej gumy ułożonych na podłodze kadłuba. Właśnie na nie się wdrapaliśmy. Wyobraźcie sobie siedzenie na podściółce z dziesięciu ton paliwa lotniczego. No, ale przynajmniej na wierzchu zbiorniki były suche. We wnętrzach śmigłowców zawsze gdzieś ciekło paliwo czy hydroł, przez co nawet ciężko było się po nich poru-szać. W tym samolocie nie było ani odrobinę ślisko.

Rozmieszczeni byliśmy zespołami. Nasz, czteroosobo-wy (Bill, Chris, Mike i ja) rozlokował się tuż przy ścia-nie kadłuba, nad lewym przednim kołem. Trochę się od-prężyliśmy. Wewnątrz samolotu było gorąco, więc zrzuciśmy czarne kurtki polowe i podłożyliśmy sobie pod plecy, by nie opierać się o metalowe elementy wystające kadłuba. Wetknęliśmy też nasze karabiny CAR-15 między zbiorniki a poszycie, żeby się nie obijały, gdy samo-łot będzie startował.

Potrzebowaliśmy obu rąk. Start był o wiele ostrzejszy niż lądowanie.

W końcu śmigłowce zakończyły tankowanie, a samolot za-mknięto i przygotowano do odlotu.

Przez cały czas C-130 znajdowały się na ziemi, a ich silniki pracowały pełną mocą, choć śmigła się nie obracały. Dlatego też dla nas w środku nie było różnicy między samolotem w locie a stojącym na ziemi.

Kilku z moich towarzyszy zasnęło, gdy już samolot ru-szył z miejsca. Ale potem coś poszło cholernie źle. Zerknę-liśmy w przód, gdy zwolniono hamulce, i ujrzeliśmy przed i nad nami chmurę błękitnych iskier. Moją pierwszą myślą było, że musiało powstać zwarcie w elektronice znajdują-cej się w ścianie oddzielającej kokpit od ładowni - a my tu sobie siedzimy na paliwie lotniczym. Gorączkowo pomy-ślałem: „Gdzie jest gaśnica?” i zacząłem się za nią rozglądać.

Kolejne wydarzenia rozegrały się w ułamku sekundy. Wszechświat zaczął poruszać się w zwolnionym tempie, jak zawsze wtedy, gdy jestem o krok od śmierci.

Kiedy iskry wciąż jeszcze rozświetlały mrok, drzwi do kokpitu wyleciały z zawiasów z hukiem eksplozji i obło-kiem płomieni. Willy Corman siedział na schodkach do kokpitu, tuż przy drzwiach, gdy te po prostu eksplodowa-ły. Płomienie wzniosły się w górę, a on wyleciał ze swoje-go miejsca niczym z procy. Chris z mojej drużyny zerwał się na nogi i tylko wrzasnął: „Dupa w troki!”. W tym mo-mencie kokpit wybuchł kulą ognia, a sufit w przedniej części ładowni objęły ryczące płomienie.

Przeleciało mi przez głowę, że nie ma sensu się ruszać. Siedziałem na dziesięciu tonach paliwa

lotniczego, byłem bardzo daleko od tylnych drzwi i na pewno nie dałbym rady się wydostać. Zaraz potem pomyślałem: „A w cho-lerę! Muszę spróbować!”. Wziąłem głęboki wdech, który mógł być moim ostatnim i ruszyłem z miejsca.

To może się wydawać ironiczne, ale wypełniając rozbu-dowane testy psychologiczne podczas selekcji trafiłem na pytanie: „Czego najbardziej się boisz?” i nie wahałem się odpowiedzieć: „Ognia. Boję się go bardziej niż czegokol-wiek na świecie”.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że większość mojego szwadronu znajdowała się już przy tylnym wyjściu, jakieś dwanaście metrów ode mnie. Drzwi nie były jesz-cze otwarte, ale nawet gdyby były, nie dostałbym się do nich przez płomienie oddzielające mnie od drogi ucieczki. Chwilę potem, jak zerwałem się na nogi, płomienie objęły cały kadłub aż po szczyt - włącznie ze ścianami. Odwróciłem się i zerwałem osłonę z okna w połowie kadłuba po lewej stronie. Na zewnątrz tylko ogień! Sze-dłem dalej wzdłuż lewej strony samolotu na spotkanie wodospadu płomieni. To był wyścig o moje życie, a pło-mienie szły za mną krok w krok. Doszedłem do tyłu sa-molotu i tuż przed płomieniami zdołałem dotrzeć do le-wych drzwi desantowych. Złapałem za klamkę i naci-snąłem ją. Kiedy drzwi się uchyliły, szeroki i płaski pło-mień wdarł się do środka. Don Feeney ryknął na mnie „Zamknij te zasrane drzwi!”. Zatrzasnąłem je natychmiast i zablokowałem płomieniom drogę do wnętrza.

Kiedy tak pędziłem wzdłuż lewej strony samolotu, nasz szwadronowy starszy sierżant Dell Rainey, zdołał przewy-ciężyć początkowe zamieszanie za pomocą krótkiej kome-ndy: „Zbiórka! Ustawić się przy drzwiach jak do skoku!”. Wszyscy postąpili zgodnie z rozkazem - Rainey nas ocalił.

Tłok przy drzwiach natychmiast zniknął, a kolejka usta-wiła się z pośpiechem podsycanym przez ogień. To było jak skakanie ze spadochronem. Opanowanie i przytom-ność Della ocaliły wielu z nas. Na pewno uratowały mnie.

Kiedy odwróciłem się po zatrześnięciu lewych drzwi, w kolejce po drugiej stronie kadłuba stało już zaledwie trzech czy czterech ludzi, a i oni zniknęli, gdy rzuciłem się w poprzek samolotu by wyskoczyć za nimi przez otwar-te drzwi. Zanim do nich dotarłem, otworzyły się całko-wicie, do poziomu podłogi. Ogień zaczynał wżerać się w gumowe zbiorniki i widziałem na zewnątrz rozszala-ły huragan ognia, przez który musiałem jeszcze się prze-drzeć. Ale wydostałem się.

Wylądowałem na kimś, kto się przewrócił (był to „Szczęściarz” Willie) i razem zwaliśmy z tego płonącego piekła. Ledwo trzymając się na nogach wypuściłem wreszcie powietrze z płuc i nabrałem świeży haust - gorący jak diabli. Ale musiałem biec dalej. Ude-rzały we mnie kawałki gwałtownie rozpadającego się sa-molotu. Odbiegłem na jakieś 50 metrów, odwróciłem się w stronę samolotu i padłem na piasek, przyglądając się katastrofie. Minęło pewnie ze 30 sekund od pierwszego wybuchu. Całe życie.

Dojrzałem jakieś ciało leżące na pomoście desantowym wściekle płonącego samolotu. W

momencie, gdy go zobaczyłem, samolot jakby dostał czkawki. Wyglądało to jakby płomień wzięły głęboki wdech i wypluły tego człowieka na pustynny piach. Dwóch innych ludzi podbiegło i odciągnęło go stamtąd.

Tym żołnierzem był sierżant sił powietrznych Joe Byers. Wskoczył z płonącego kokpitu tak koszmarnie poparzony, że niemal nie był w stanie wołać o pomoc. Jeff Houser i Paul Lowry usłyszeli jego słabe wołanie. Zakryli twarze kurtkami i pobiegli z powrotem w płomień, aby go wyciągnąć. Doścignęli go do drzwi, ale ciążył im tak bardzo, że aby uratować siebie, musieli go zostawić. Pożarowi jednak widocznie nie smakował, więc płomień go wypluły. Co za szczęście. Jeden z naszych ludzi, Frank MacAlyster, spał głęboko, gdy nastąpiła eksplozja. Obudził się wśród buchających w samolocie płomieni i ludzi wyskakujących z pomostu desantowego. Frank najwyraźniej sądził, że wystartowaliśmy i coś się stało podczas lotu. Jego pierwszą myślą było „Gdzie są spadochrony?“, a później „Gdzie te głupki się wybierają?“. Nie mógł jednak pozostać w samolocie, który stał się wielkim piecem, więc wyskoczył z pomostu desantowego, przyjmując przepisową pozycję do skoku spadochronowego, a po półsekundowym wolnym spadaniu gruchnął o ziemię. Kilka dni później zapytałem go, czy sądził, że ma skończyć z samolotu bez spadochronu, na co on odpowiedział: „Tylko jeden problem naraz, sierżancie, jeden naraz“. Z samolotu niewiele już pozostało. Amunicja wewnątrz smażyła się, a dwie rakiety przeciwlotnicze, które mieliśmy z sobą, odpaliły w niebo. Myślałem, że jesteśmy atakowani, a samolot został uderzony pociskami z granatnika. Starając się wyglądać martwo, leżałem prawą stroną twarzy w pyłu. Lewym okiem ląpałem dookoła, a prawą rękę wraz z pistoletem kalibru .45 przykrywałem resztą ciała. Uznałem, że poczekam w ten sposób na siły szturmowe, które będą przeszukiwać poboje. Niechby pierwsze oddziały przeszły koło mnie - miałem nadzieję, że nie będą strzelać do niedobitków. Zamierzałem zabić ostatniego żołnierza i zabrać mu karabin. Przy odrobinie szczęścia mógł mi się trafić karabin maszynowy.

Gdy tak układałem sobie w głowie plany, kątem oka dostrzegłem mojego przyjaciela, J.T. Robardsa, biegnącego ku mnie. Rzucił się na ziemię i objął mnie ramieniem.

-Jesteś cały? - zapytał. — Myślałem, że już po tobie.

— No, J.T., ze mną w porządku. Udaję zwłoki — powiedziałem mu o moim zamiarze.

— Błędna odpowiedź, Bubba - odparł. - Nie jesteśmy atakowani. To ten cholerny śmigłowiec się w nas wbił. Popatrz - wskazał na wrak. Wtedy właśnie zauważyłem resztki helikoptera na wierzchu samolotu, dokładnie w chwili, gdy cała stojąca w płomieniach masa zaczynała się zapadać.

Wstaliśmy i zaczęliśmy się oddalać. Pozostali ocaleni z kolizji szli z powrotem w kierunku samolotów, wołając:

— Wsiadajcie na pokład, samoloty zaraz odlatują. Nie żartowali. Naprawdę odlatywały.

— Mamy zniszczyć śmigłowce? — załogi opuściły je i nie było nigdzie widać nikogo z ich obsługi.

— Nie, wezwą potem bombowce, żeby się nimi zajęły, a teraz wsiadajcie!

W tym momencie było nas już sześciu i razem ścigaliśmy kołujący C-130. Lecz kiedy się zbliżyliśmy, zamykał właśnie rampę i rozpędzał do startu, oślepiając nas pyłem. J.T. wrzasnął, wskazując na samolot:

— To jest ostatni! Musimy go dogonić!

A potem zobaczyłem coś przez tumany pyłu. Ktoś świecił latarką z rampy, przeszukując pustynię tam i z powrotem.

Biegliśmy w stronę światła tak szybko, jak potrafiliśmy. Samolot rozpędzał się coraz bardziej przed oderwaniem od ziemi. Gdy zbliżyliśmy się do ogona, zobaczyliśmy Rodneya Headmana wiszącego z rampy. Za nogi trzymał go Logan Fitch. Przeczesał pustynię latarką czołówką, szukając zabłąkanych ludzi. Byłem ostatnim żołnierzem wciągniętym na pokład w chwili, gdy rampa się zamykała, a samolot znalazł się na pozycji startowej.

Kurwa. Znowu byłem w ładowni kolejnej cysterny! Ale wszystko było lepsze od tego, co zostało za nami. Podczas kołowania przejechaliśmy w poprzek nasypu biegnącego wzdłuż drogi, podskoczyliśmy półtora metra w powietrze, opadliśmy z powrotem, jednak wciąż zwiększając prędkość. W końcu wystartowaliśmy.

Ale gdzie byli nasi ludzie? Bill i ja trzymaliśmy się razem.

- Kiedy ostatnio widziałeś Mike'a i Chrisa? Udało im się wydostać?
- No, tak myślę. Obaj byli przede mną, ale nie widziałem ich na zewnątrz.
- Ktoś ich w ogóle widział?

Wszyscy szukali zaginionych towarzyszy. Płomienie strawiły samolot w mniej niż minutę i nie dało się stwierdzić, gdzie kto trafił. Spisaliśmy listę brakujących ludzi w naszym samolocie i daliśmy go dowódcy samolotu, prosząc o przekazanie jej innym samolotem i zebranie od nich podobnych informacji. Powiedział, że na pewno to zrobi, jednak wszystko musi się trochę uspokoić.

Don Geeney i Keith Parsons zajmowali się rannym członkiem załogi samolotu. Jego ręce były niemal spalone, a twarz i cała głowa zdrowo osmalone i w dość kiepskim stanie. Aby go schłodzić, chłopaki polewały wodą z manierek jego lotniczy mundur, który był tak gorący, że woda od razu z niego odparowywała. Ale przeżył. Najgorzej dostało się jego płucom. Dzięki chirurgii plastycznej już po roku jego dłonie odzyskały w miarę normalny wygląd.

Jezu słodki! Co za noc! Wszystko rozlatywało się jak zabawka za dwa dolce. Robiło się już jasno, a my nadal byliśmy z dala od przyjaznego terytorium. Co jeszcze się wydarzy? No, ale na potencjalne kłopoty nic nie mogłem poradzić. Byłem znów tylko pasażerem, więc jak każdy inny dobry żołnierz zwinąłem się na zbiorniku i zasnąłem.

Obudziły mnie krzyki.

— Do cholery, co się znowu dzieje? — zapytałem.

— Inżynier pokładowy mówi, że mamy mało paliwa i nie dolecimy. Uchylimy rampę i wywalimy pompy, rury, wszystko, co obciąża samolot. Może przynajmniej dotrzemy w pobliże Zatoki Perskiej i zwozujemy w miarę blisko naszego okrętu!

No świetnie. Naprawdę tylko tego nam brakowało. Jakoś nie mogłem sobie przypomnieć nikogo, kto by przeżył wodowanie w C-130. Ostatni akt tego przedstawienia miał zachwycić publiczność. Wyrzuciliśmy z samolotu wszystko, co nie było absolutnie niezbędne i trzymaliśmy kciuki, żeby to wystarczyło. I tak było. Dotarliśmy do Masiry. Później słyszałem, że kiedy silniki w końcu wyłączono, w bakach nie było ani kropli paliwa. Kiedy byliśmy już na ziemi, oceniliśmy straty. Wszyscy ze szwadronu przeżyli — cud boski, biorąc pod uwagę co się wydarzyło. Większość z nas była osmalona — szczególnie Jeff i Paul — ale nikt nie miał poważniejszych oparzeń.

A co z załogami samolotów?

Trzej Marines zginęli w śmigłowcu. Pilot i drugi pilot uszli bez szwanku. Pięć osób zginęło na pokładzie C-130. Tylko dwaj żołnierze umknęli przodem, obaj byli groźnie poparzeni.

Co się do cholery stało?

Gdy ostatni śmigłowiec zakończył tankowanie, wzniósł się, by odlecieć. Jednak pilot pogubił się w chmurze pyłu i zniósło go za bardzo w prawo, przez co łopaty wirnika uderzyły w szczyt C-130. Śmigłowiec uderzył w kadłub samolotu u nasady lewego skrzydła. W wyniku uderzenia wielki pomocniczy zbiornik paliwa w ładowni śmigłowca eksplodował, zalewając samolot płonącym paliwem. Obracające się śmigła samolotu rozniosły pożar.

Beckwith wydał rozkaz wejścia na pokład C-141, który miał nas odstawić do Egiptu. Stąd mieliśmy ruszyć do Stanów i zastanowić się tam nad innym rozwiązaniem. Był to smutny, cichy i refleksyjny lot.

Po przylocie do Stanów przepakowaliśmy się do kilku C-130, które podrzuciły nas do CIA. Cały szwadron B siadł na tyłach samolotu podczas startu. Inżynier pokładowy zaczął na nas wrzeszczeć i machać rękami, żeby połowa z nas przesiadła się do przodu, ale wysłaliśmy go do wszystkich diabłów. Nikt nie miał zamiaru wstać z siedzenia w pobliżu ratujących życie tylnych drzwi.

Z powrotem w obozie zaszyliśmy się w swoich kryjówkach, podczas gdy na zewnątrz wrzała awantura o nieudaną misję. To były początki tego rozszalałego pędu prasowego, który jest teraz naszą narodową codziennością. Gdy widziałem i słuchałem telewizyjnych komentatorów, którzy bez końca wałkowali to wydarzenie, powiedziałem do J.T.:

— Chłopie, to wszystko przez nas.

Pewnego niedzielnego poranka przyjechał do nas prezydent Carter. Aż do tej chwili był dla nas jakimś nierealnym odległym bytem, ale od jego wizyty bardzo go polubiliśmy, nabraliśmy

szacunku i obdarzyliśmy ciepłymi uczuciami. Powiedział, że przejmuje całą odpowiedzialność za to, co się stało i o ile wie, nie będzie żadnego poławiania na czarownice.

Wizyta prezydenta miała też swoją stronę anegdotyczną. W jego podróży towarzyszył mu Zbigniew Brzeziński, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent szedł między nami, rozmawiając z każdym z osobna, a Brzeziński podążał za nim krok w krok. Wtedy właśnie zauważyliśmy, że Brzeziński, choć ubrany w garnitur, ma na nogach jasnozielone wysokie kalosze - takie, jakie założylby farmer do obrządzania zwierząt czy wyrzucania gnoju.

Mój kolega, Bronisław Urbański, stał po mojej prawej, a gdy Carter zatrzymał się usłyszałem, jak Brzeziński i Urbański rozmawiają po polsku. Po tym, jak politycy odjechali, spytałem Bronka, o czym rozmawiał ze swoim rodakiem. Odparł, uradowany:

— Zapytałem Brzezińskiego, dlaczego ma na sobie te idiotycznie wyglądające buty, a on mi odpowiedział: „Prezydent zadzwonił do mnie kilka minut przed wyjazdem z Waszyngtonu i powiedział: Chcę, żebyś pojechał ze mną, jedziemy na Farmę. No to pomyślałem...”. (Siedziba CIA była potocznie nazywana Farmą).

Kiedy w końcu wróciliśmy do Fort Bragg, powiedziano nam, żebyśmy znikli gdzieś na dwa tygodnie, a następnie zgłosili się po rozkazy. Do tego czasu mieliśmy się przyczaić, unikać prasy i wypocząć. I to właśnie zrobiłem. Relaks na małej łódce - z wędką i dziewiętnastoma tłustymi okoniopstrągami już pierwszego dnia.

NA DESERT ONE ZGINĘLI 25 kwietnia 1980

MARINES

Sierżant Dewey L. Johnson, Dublin, Georgia Plutonowy John D. Harvey, Roanoke, Wirginia
Starszy kapral George N. Holmes, Pine Bluff, Arkansas

SIŁY POWIETRZNE Sierżant Joel C. Mayo, Roseville, Michigan Major Richard L. Bakke, Long Beach, Kalifornia Major Harold L. Lewis, Fort Walton Beach, Floryda Kapitan Charles T. McMillan, Coryton, Tennessee Kapitan Lyn D. Mcintosh, Valdosta, Georgia

Podsumowanie

Okropną rzeczą jest uczestniczyć w porażce. Nieważne, czy zależała ona od czegoś, co zrobiłeś, czy nie — misja nie została wypełniona i to jest wstrętne, gorzkie i paskudne doświadczenie, z którym musisz żyć. Kto jest winny? Na pewno pech i przeznaczenie maczały w tym wszystkim palce.

Ważne jest jednak, by zdawać sobie sprawę, że każdy jest kowalem swego losu. Możemy zdobyć się na hart ducha i iść naprzód, gdy wszystko się wali, albo znaleźć wiele powodów, by nie ruszać z

miejsca.

Wystarczająco dużo załóg śmigłowców zdecydowało się zrezygnować i właśnie to zgubiło naszą misję. Wypadek śmigłowca był tylko wisienką na tym koszmarnym torcie.

Emerytowany pułkownik James H. Kyle z Sił Powietrzno-Desantowych US, dowodzący misją z ramienia Air Force napisał w swojej znakomitej książce „The guts to try” (Orion Books, 1990):

Moja starannie przemyślana opinia brzmi: byliśmy o włos od sukcesu. Pomimo wszystkich przeszkód, frustracji i innych ludzkich uczuć oraz pecha, pomimo tych wszystkich czynników dotarliśmy na krawędź. Byliśmy tam, mieliśmy nasz zmyślny oddział Delta Force na rzut kamieniem od celu. Znałem Charliego i jego ludzi — ich podejście, umiejętności, kompetencje i dowództwo — i nie wątpię, że jeśli tylko dościerzymy ich do Teheranu, załatwią sprawę. Rozliczne zeznania byłych zakładników dowodzą, że każda próba odbicia ich musiałaby się zakończyć sukcesem. Zastanówcie się nad tymi (jedynymi, czego zabrakło, to odwaga, by spróbować.

To dość surowa ocena, ale uważam, że prawdziwa. Co więc z tego wszystkiego wynikło?

No, oczywiście nie mogło się obejść bez komisji wysokiego szczebla, zorganizowanej dla podsumowania operacji, określenia przyczyn niepowodzenia i zasugerowania rozwiązań na przyszłość, pozwalających takich problemów uniknąć.

Ta konkretna komisja została nazwana Komisją Hollowaya, na cześć pierwszego przewodniczącego, emerytowanego admirała Jamesa L. Hollowaya. Komisja od razu wykazała, jakie jest jej główne zadanie - ochrona czynnych admirałów, tych samych, którzy upierali się, że śmigłowce mają pochodzić z marynarki, oraz że nie będzie żadnych zmian, nawet pomimo wiedzy, że śmigłowce z tego źródła nie nadają się do użytku.

Jednak z nieudanej misji wynikło też trochę pozytywów. Po pierwsze utworzono coś, o co pułkownik Beckwith zabiegał już od dłuższego czasu - stałe Dowództwo Połączonych Operacji Specjalnych (JSOC), które było zdolne koordynować i nadzorować operacje specjalne różnych formacji. JSOC wkrótce uzyskało status formalny, jednak jego jurysdykcja obejmowała jedynie operacje antyterrorystyczne.

Drugim pozytywnym - dla Delta Force najważniejszym - było utworzenie grupy lotniczej przeznaczonej do operacji specjalnych. Tę organizację początkowo nazwano Siłami Zadaniowymi 160, co w końcu ewoluowało do 160. Pułku Lotniczego Zadań Specjalnych - obecnie nazywanego „Night Stalkers”. Był to oddział wyjątkowo twardy, zdolny działać nocą i przy każdej pogodzie wszędzie na świecie. Byli pełnymi poświęcenia, bardzo biegłymi i odważnymi lotnikami. Są tym dla lotnictwa, czym Delta Force dla świata komandosów.

Trzecim wynikiem nieudanej wyprawy było to, że zaczęliśmy wszystko zapisywać. Do tego

momentu Beckwith uważał, że nic nie powinno być zapisywane. A to oznaczało, że wszelkie konspekty zajęć, dokumenty szkoleniowe oraz materiały związane z selekcją i wewnętrznym szkoleniem składały się tylko z zaszyfrowanych notatek na skrawkach papieru.

Ale Szwadron B - dokładnie połowa oddziału - znalazł się o krok od śmierci na irańskiej pustyni. A gdyby tak się stało, mnóstwo wspólnie wypracowanej wiedzy zginęłoby razem z nami. Dlatego zabraliśmy się do pracy nad skodyfikowaniem wszystkiego, co wiedzieliśmy i zrobiliśmy, oraz jak tego dokonaliśmy - na wypadek gdybyśmy wszyscy zginęli w przyszłości, a nasi następcy musieli odbudować wszystko z popiołów.

Ostatnią, choć nie najmniej ważną rzeczą, było zaprojektowanie przez nas i sporządzenie ognioodpornych ubiorów szturmowych. Szwadron B prawie się spalił, a badania historyczne wykazują, że około 30 procent strat w boju było wynikiem oparzeń. Dlatego też od tego momentu nosiliśmy podczas misji czarne mundury. Tak naprawdę mundury, które zaprojektowaliśmy, stały się idealnym ubiorem drużyn SWAT na całym świecie.

Ludzie z Deltę są sprężyści jak leszczyna i chociaż nikt nie lubi porażek, to jednak podnieśliśmy nasze morale, otrzępaliśmy się i przygotowaliśmy do kolejnej próby. Na niższym poziomie dowodzenia czynione były bojaźliwe wysiłki, aby ponownie wysłać nas na operację odbicia zakładników, jednak było jasne, że nikt w Waszyngtonie nie miał serca do tego pomysłu. To była sprawa, w której wszyscy udawali.

Wydaje mi się, że najmocniej odczuł ten cios pułkownik Beckwith. Nigdy już nie był taki, jak przedtem. Porażka misji kompletnie go przybiła. Nigdy nie zobaczyłem już w nim wewnętrznego ognia. Zgasł i nigdy już nie miał zapłonąć.

Charlie musiał znieść jeszcze jedno rozczarowanie zanim dotarł do kresu swych dni. Ciężko pracował i łob-bował za utworzeniem wspólnego dowództwa, które koordynowałoby i nadzorowało siły wszystkich formacji wykonujących operacje specjalne - i nie ukrywał, że chciałby dowodzić tą organizacją. Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie racjonalne kryteria, Charlie zdecydowanie był najłogiczniejszym kandydatem na to stanowisko. Jednak to nie miało nastąpić. Mentor i protektor Beckwitha, Edward „Nieśmiały” Mayer szedł na emeryturę, a Charlie narobił sobie zbyt wielu potężnych wrogów na jedno-, dwu-, trzy- i cztero-gwiazdkowym poziomie i nie mogło mu to ująć na sucho. Wrogowie wiedzieli, co zrobić z niezależnymi pułkownikami. Nareszcie mieli okazję pstryknąć swoimi sprężynowcami, owinać się w biurokratyczną pelerynę niewidkę i przeciąć mu ścięgna. I nie opuścili żadnej okazji, żeby zadać swoje tchórzliwe ciosy. Charlie był skończony - wypruto mu flaki i połamano, co się da. Dlatego też przeszedł cicho na emeryturę.

Dużo ludzi pytało mnie, jakim człowiekiem był Charlie Beckwith i zawsze było to pytanie co najmniej trudne. Beckwith był jednocześnie bardzo złożonym, jak i bardzo prostym człowiekiem.

Był człowiekiem wielkich czynów i żył, dowodził i miał autorytet wśród ludzi wielkich czynów. W czasach, gdy go znaleźliśmy, był wielkim, buńczuczny facetem o nieprzewidywalnym charakterze.

Będąc ze swoimi ludźmi Beckwith zachowywał się jak starszy podoficer, a nie oficer. Najbardziej ufał swoim fałgasom, sierżantom majorom. Nie oznacza to, że był jakoś przesadnie przyjazny wobec żołnierzy, ale podobny był do swoich „chłopaków”, co było oczywiste i prawdziwe.

Był jedynym oficerem polowym, jakiego znałem, który prowokował twarde pyskówki z podwładnymi i jednocześnie utrzymywał poczucie hierarchii nawet, jeśli ktoś mu się stawiał. Nie uznawał popychadeł. Nigdy nie było wątpliwości, kto tu dowodzi - umiał porządnie człowieka opieprzyć. Właściwie wciąż jeszcze czuję ślady razów na plecach.

Charlie nie bawił się w subtelności, a gdy trzeba było wykazać się przebiegłością, był w tym dobrym niczym wąż. Był też niezwykle uczuciowy, czego zresztą nie ukrywał. Łatwo przechodził od złości do radości i nie potrafił tego zamaskować.

Przyznawał, że nie należy mylić go z intelektualistami, jednak nie był prostym człowiekiem. Wręcz przeciwnie.

W wielkich bólach dobierał personel i współpracowników ze względu na ich głębię umysłową i zdolność myślenia. Lubił mieć koło siebie inteligentnych ludzi, podziwiał wielkich myślicieli i był zagorzałym czytelnikiem literatury klasycznej i historycznej.

Pułkownik był zagorzałym rzecznikiem zasady: „Jeśli jesteś dowódcą, to dowódź!”, i wcielał ją w życie. Miał przezwisko „Zasmucający Charlie”. Na tę ksywkę zasłużył sobie w Wietnamie, gdzie oddziały zginęły z powodu jego niecierpliwości i lekceważenia zagrożenia. Wielu ludzi w środowisku Sił Specjalnych taką miało właśnie wymówkę, by nie uczestniczyć w selekcji do Delta Force. Dziwne, ale po odejściu Charliego także nie mieliśmy okazji zobaczyć tych ludzi.

Nie wiem, ile prawdy było w tych plotkach, ale znając pułkownika Beckwitha pewnie coś było na rzeczy. Wiem, że był szczerze zraniony szeptami. Wiem też z osobistych doświadczeń, że Beckwith zawsze czuł wielką odpowiedzialność i zainteresowanie ludźmi pod nim służącymi. Nigdy nie przestał się uczyć, jak trenować te cechy u dowódcy i zawsze starał się poprawić swoje metody i umiejętności dowodzenia. Jednak Charlie był również żołnierzem, a wypełnienie misji jest głównym priorytetem dowódcy polowego.

Charlie Beckwith głęboko i szczerze kochał Amerykę i to wszystko, co kryje się pod tym pojęciem. Był człowiekiem, który zrobiłby wszystko, co należało, aby tylko ratować swój naród i obywateli. Miał wysoko rozwiniętą moralność i uważał ludzkie życie za najważniejszą rzecz na świecie. Był całkowicie bezinteresowny, nigdy się nie oszczędzał, ani nie unikał obowiązków czy niebezpieczeństw. Był tym typem dowódcy, który nie wysłałby cię tam, gdzie sam by nie poszedł, i zawsze zachowywał się tak, jakby ciągle zastanawiał się, co leży w interesie narodu,

armii, jednostki - bez względu na konsekwencje dla kariery.

Nie wierzę, że istniał inny oficer w amerykańskiej armii, który byłby tak prawy, wytrwały i miałby odwagę, by zdziałać tyle, ile zrobił Charlie Beckwith tworząc Pierwszy Operacyjny Oddział Sił Specjalnych armii Stanów Zjednoczonych — Delta.

A na koniec mógł być dumny z (obfitego) plonu jakie przyniosło jego życie.

Pułkownik Charles Alvin Beckwith był wielkim Amerykaninem, wielkim przywódcą i wielkim człowiekiem. Odszedł 13 czerwca 1994 roku. Pozostawił w żałobie i tęsknocie wielu towarzyszy.

Nie demaskowaliśmy się po powrocie do Fort Bragg. Za to tempo zdarzeń przyspieszyło. O ile wcześniej cała energia oddziału skupiona była na misji w Iranie, to teraz zaczynaliśmy mieć ludzi rozrzuconych po całym świecie. Niektórzy byli delegowani przez Departament Stanu do ochrony naszych ambasadorów w kłopotliwych zakątkach świata. Inni badali zagrożone obiekty amerykańskie w niebezpiecznych rejonach świata.

Zostałem przydzielony do prezydenckiej grupy zajmującej się bezpieczeństwem produkcji broni jądrowej. Ta misja rozszerzyła się także na broń chemiczną i pracowałem nad nią po kilka miesięcy w roku przez kolejne trzy lata.

Natomiast tych, którzy pozostali w domu, oddelegowano do Komisji Hollowaya. Część tej szarady stanowiło wykonywanie CAPEX-u, czyli ćwiczeń pokazowych. Uluźniona rozrywka wszystkich oficerów. Sztuczna i starannie wypracowana choreografia umożliwiają oddziałom zaprezentowanie swoich niepowtarzalnych talentów. Umiejętności same w sobie są prawdziwe, ale sposób, w jaki je przedstawiano mało przypomina rzeczywistość.

Nasza działka przewidywała strzelanie do celu, wysadzanie różnych rzeczy i szturmowanie budynków. Skakaliśmy też na spadochronach z motocyklami, a po wylądowaniu paradowaliśmy przed lożą VIP-ów strzelając z karabinów maszynowych.

Jestem pewny, że marynarka również wciskała na tych ćwiczeniach niezły kit. Większość tej imprezy wyglądała na niezłe żarty. Ale grube ryby tak bardzo pokochały te popisy, że stały się one doroczną imprezą z udziałem Rangerów, Pierwszego Skrzydła Operacji Specjalnych Sił Powietrzno-Desantowych (1. SOW)» tudzież nowo utworzonych Sił Zadaniowych 160. Impreza zawsze odbywała się w miejscu o nazwie North Field, na opuszczonym lotnisku z czasów II wojny światowej, znajdującym się w pobliżu Orangeburga w Południowej Karolinie.

Armia nadała wydarzeniu jakiś głupawy i niezapamiętywalny kryptonim, który my wkrótce przerobiliśmy na „Wielką Wystawę Psów i Kucyków w North Field”. Naturalnie ostrzeżono nas, że ani słówko o tej imprezie nie może dotrzeć do uszu kogokolwiek, kto nie ma gwiazdek na kołnierzyku. Właściwie uważaliśmy, że te rzeczy były dla oficjeli i ich zaproszonych gości rodzajem wzajemnej masturbacji. Korzystaliśmy z tego, jak z dodatkowego czasu treningowego.

We wszystkim można dostrzec jakieś pozytywy.

Wewnątrz jednostki podzielono nas na dwa Szwadrony Koncerskie. Aby utrzymywać jeden szwadron w gotowości do natychmiastowego wyjazdu w dowolne miejsce na świecie, gdziekolwiek miałby miejsce jakiś akt terrorystyczny, stworzyliśmy program znany jako Cięciwa (Bowstring).

Szwadrony zmieniały się na dyżurze w Cięciwie w trzy-dziestodniowych cyklach. Podczas służby szwadron pozostawał w Fort Bragg i trenował działania antyterrorystyczne. Miał też pierwszeństwo w dostępie do poligonu i Shooting House oraz mógł wypożyczać żołnierzy z drugiego szwadronu, jeśli brakowało mu ludzi o jakichś szczególnie ważnych umiejętnościach. Szwadron Sygnałowy dostarczył nam załogę łącznościowców, którzy stacjonowali z naszymi szwadronami i również otrzymali przeszkolenie bojowe, aby móc walczyć, gdyby okazało się to niezbędne. Podczas dyżuru każdy musiał cały czas nosić ze sobą pager i nie mógł oddalać się od Fort Bragg dalej niż na 30 kilometrów.

Zawsze rozpoczynaliśmy cykl Cięciwa od próbnego alarmu i pełnego załadunku sprzętu.

Mieliśmy dwugodzinny limit czasowy, by zebrać się, załadować wyposażenie, załadować pojazdy i zająć pozycję na parkingu w gotowości do przemieszczenia się do bazy Sił Powietrzno-Desantowych Pope, czyli lotniska przylegającego do Fort Bragg. Wszyscy obecni na służbie, jednak nie dyżurujący w Cięciwie, mieli zapewnić każdą możliwą pomoc i pozostać w gotowości w razie wyruszenia całej jednostki. Rzadko się zdarzało, że Cięciwa nie potrafiła zebrać się w 75 minut.

W holu obok pomieszczeń dowództwa mieliśmy nowy dalekopis, który był monitorowany dzień i noc. Nigdy nie czekaliśmy na zawiadomienie władz znad Potomaku, ale sami organizowaliśmy ekspedycję, jeśli tylko odkryliśmy potencjalne zagrożenie gdziekolwiek na świecie. Gdy coś naprawdę działo się na świecie, byliśmy gotowi, zanim w Waszyngtonie zdecydowano o naszym wyjeździe.

Nawet jeśli nie dostaliśmy rozkazu wyjazdu, przydawała nam się taka praktyka. Pozostawaliśmy w trybie gotowości wojennej przez 24 godziny na dobę, 365 dni w roku.

Szwadron niepełniący dyżuru w Cięciwie zajmował się tym, co nazywaliśmy „singlem”, na który wysyłani byli najwyżej dwaj ludzie naraz. Misje zlecane przez Departament Stanu i Departament Energii lub wyjazdy z misjami zagranicznymi. Czas poza dyżurem poświęcaliśmy na ćwiczenia plutonów lub szwadronów. Snajperzy startowali w zawodach strzeleckich tu i tam albo współpracowali ze snajperami z Secret Service czy FBI.

Mówiąc wprost - Cięciwa oznaczała pozostawanie blisko domu. Gdy nie pełniłeś dyżuru, podróżowałeś. Wyjątkiem były przedłużające się „single” lub okresy kursów językowych. Ale nawet do prowadzenia kursów językowych zatrudnialiśmy instruktora i na zajęcia kursanci

chodzili do należącego do nas budynku położonego w pobliżu Rancza. Dlatego jeśli balon szedł w górę, ludzie byli od razu pod ręką.

Był to dobry system, który zaspokajał wszystkie potrzeby. Jednak najważniejsze w życiu operatora było trafianie na misje - wtedy zarabialiśmy na sobie. A jedna z misji, która miała dla mnie szczególne znaczenie, zaprowadziła mnie do starego, wręcz historycznego, acz niebezpiecznego miasta - Bejrutu. Miejsca, które przykuwało uwagę Ameryki w latach 80. jak ćmiący ząb.

Dan Simpson, nasz sierżant, zaczepił mnie, gdy któregoś popołudnia wróciłem z Shooting House.

- Erie, jak już wyczyścisz broń, idź pogadać z Richardem u wywiadowców, streści ci wszystko - powiedział. - Jedziesz do Bejrutu zastąpić Feeneya w S.Y. (przydział bezpieczeństwa - termin używany przez Departament Stanu - przyp. autora).

Powiedział to nonszalancko, jakby komunikował, że będę jeździł ciężarówką w przyszłym tygodniu. A potem rzucił:

- Tylko się pospiesz. O czwartej gramy w piłkę.

- Tajessst, Dan. Przyjdę.

Gdy tylko było to możliwe, Szwadron B każdego popołudnia grał w siatkówkę. Nawet gdy jechaliśmy na jakieś zadupie, gdzie wrony zawracały, a psy dupami szczekały, braliśmy ze sobą piłkę, siatkę, paliki i taśmę techniczną do wyznaczania pola gry. Był to standardowy element wyposażenia Cięciwy.

Dan był maniakiem siatkówki i zaraził tym wszystkich w szwadronie. Graliśmy trochę ostrzej niż normalnie. Przypominają mi o tym dwa wykrzywione palce, którymi trzymam pióro pisząc te słowa. Złamałem je próbując za-blokować wyjątkowo wredne ścięcie piłki. Ale mecze były czymś, co wszyscy lubili - i świetnym zakończeniem dnia.

Wyczyściłem broń, zamknąłem ją w pokoju przygotowawczym mojej drużyny i poszedłem do biura Sekcji Wywiadowczej, które znajdowało się po drugiej stronie budynku, niż główne wejście. Idąc, przypomniałem sobie drobny incydent sprzed paru tygodni.

Zawsze jadłem śniadanie w stołówce, a wychodząc brałem ze sobą kubek kawy, który niosłem do kwatery plutonu. Pewnego poranka szedłem wzdłuż holu z kubkiem wypełnionym po brzegi, gdy zorientowałem się, że rozchlapałem kawę na podłogę. „Wieśniak” Grimes, starszy sierżant, właśnie awanturował się o stan podłogi w holu. A będąc doświadczonym tropicielem wiedziałem, że idąc dalej swoją drogą, zostawię ślady prowadzące do naszych kwater i Grimes drogo każe mi za to zapłacić.

Zrobiłem więc pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Zacząłem rozchlapywać odrobinę więcej kawy, ale skierowałem się w stronę kwater Szwadronu A, zostawiając za sobą mylny trop.

Zamieniłem parę słów z paroma znajomymi, pogadaliśmy o zbliżającym się konkursie

strzeleckim, sprawdziłem też ich plany przebudowy ścian w Shooting House. Gdy już wypiliśmy kawę, wyrzuciłem kubek do śmieci, pożegnałem się i wróciłem do naszych kwater na drugim końcu korytarza.

Tego popołudnia natknąłem się na jedną z drużyn Szwadronu A pucującą podłogę w holu. Jedną ze „sprzą-taczek” był mój kumpel, Jerry Knox. Zatrzymałem się, by z nim pogadać.

- A co wy tak dzisiaj zapieprzacie z tymi podłogami? Toż to nie piątek. Poza tym to mój pluton sprząta hol w tym tygodniu.

Jerry popatrzył na mnie znad mopa i zdecydowanie nie wyglądał na zadowolonego chłopaczka.

- Kurde, Erie, ktoś z naszego szwadronu nachlapał kawą w całym holu aż do naszych kwater. Kimkolwiek był ten fiut, nie przyznał się i „Psuj” (Ratch Hannah, starszy sierżant Szwadronu A) złapał drużynę, której kwatę-ra była najbliżzej śladów i kazał im wmyć podłogę. Zgad-nij, kogo trafił ten zaszczyt? - warknął. - Jeśli uda mi się dorwać tego, kto tak naświnił, zrobię mu z dupy jesień średniowiecza! - wywijał mopem jak włócznie.

- Cholera, Jerry, już rozumiem, czemu jesteś taki wście-klły - powiedziałem z sąsiedzką troską. - Ale nie będę cię zatrzymywał, bo pewnie z godzinę ci jeszcze zajmie umy-cie całej podłogi. Do zobaczenia.

— Nooo — mruknął, wrażając mopą do wiaderka i roz-chlapując wodę na podłogę. „Och, drobne przyjemności codziennego życia w na-szym wspólnym domu” pomyślałem, odchodząc. Wie-działem, że to płytkie, ale naprawdę byłem z siebie dumny. Prawdę mówiąc, tak mi się to spodobało, że jesz-cze przez pięć czy sześć kolejnych lat wykręcałem ten numer po parę razy do roku - zawsze z tym samym skut-kiem. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale też nikt się nie dowiedział. Hej, chłopaki ze szwadronu A, teraz już wiecie, kto to robił. Ale to było dawno temu, więc mam nadzieję, że nie chowacie urazy.

Odprawa była dość pobieżna. Miałem zastąpić Dona Fe-eneya jako członka Szwadronu B przydzielonego do oddzia-łu ochrony amerykańskiego ambasadora w Bejrucie, stoli-cy Libanu. Carl Eastman był wówczas członkiem Szwadro-nu A przydzielonym do tego oddziału. Miałem działać pod płaszczykiem agenta bezpieczeństwa Departamentu Stanu: tylko ambasador i ochrona ambasady wiedziała, że jestem z Delta Force. Departament Stanu miał zapewnić mi wszel-kie wsparcie oraz dostarczyć listy uwierzytelniające.

Gdy byłem w biurze wywiadowców, zrobili mi też parę zdjęć, a ja wypełniłem wszystkie papierzyska do uzyskania paszportu dyplomatycznego. Mogłem wziąć swoją broń do Bejrutu - pistolety miały być wysłane pocztą dyplo-matyczną, a ja miałem je nieść ze sobą zachowując się jak każdy agent spełniającego tymczasowo rolę kuriera dy-plomatycznego. Inna broń miała być dostępna w ambasa-dzie, jednak doradzono mi, bym wziął ze sobą sporo amu-nicji, bo na miejscu są straszne braki.

Richard przeprosił, że dostarczone przezeń informacje są tak skąpe i zapewnił, że po zameldowaniu się w Departamencie Stanu otrzymam znacznie dokładniejsze i szczerze dane. Miał jednak dla mnie kilka map oraz studium kraju próbujące chronologicznie wyjaśnić bezmyślny pęd ku przemocy i anarchii obserwowany w Libanie. Zabrałem je, by poczytać, gdy wrócę do swojej kwatery.

Kiedy wyszedłem z jaskini wywiadu, zatrzymałem się po sąsiedzku w administracji, aby uaktualnić swój Pakiet Przeżycia i przejrzeć testament. Była to standardowa procedura przed wyjazdem na misję zagraniczną. Następnie powędrowałem do medyków, by uaktualnić szczepionki i sprawdzić, czy będę potrzebował jakichś specjalnych medycznych środków ostrożności w podróży.

W tym momencie mojej kariery gorąco wierzyłem w wartość zawsze aktualnej książeczki szczepień. Gdy widziałem kolejkę przed drzwiami lekarza, stawałem w niej w nadziei, że mogę się zaszczepić. Od przybytku głowa nie boli. To samo w przypadku pigułek na malarię czy innych medykamentów, tak przyjmowanych profilaktycznie, jak i leczniczo. Nie ma nic gorszego niż utknąć w jakimś odległym, targanym zarazami miejscu, bo się zachowało. No, może oprócz bycia postrzelonym.

Powróciwszy do kwatery mojej drużyny rozsiadłem się, by poczytać owo studium kraju, do którego miałem się udać. Pamiętałem historie o Bejrucie opowiedane przez mojego dawnego sierżanta. Art Coleville służył w Marines we wczesnych latach pięćdziesiątych i często mówił o cudownej swobodzie, jaką cieszył się będąc w Bejrucie z Flotą Śródziemnomorską. Dla żołnierza piechoty Colville był dziwadłem: szorstki i rostry żołnierz doceniający kulturę, sztukę, dobrą kuchnię i wyrafinowane życie. Wmówił mi, że Bejrut był jednym z najpiękniejszych wielokulturowych miast świata - miejscem, które trzeba zobaczyć. Jednak było to naprawdę dawno temu, zanim Liban zaczął pożerać żywcem sam siebie.

Teraz Bejrut był jednym z najniebezpieczniejszych miast na świecie. Liczba zabitych sięgała tysiąca osób na miesiąc. Był też miejscem najbardziej ze wszystkich pożądanym przez Amerykanów. Ekscytowałem się. Art miał rację, Bejrut trzeba zobaczyć.

Samolot linii kotniczych Middle East z Rzymu obniżył lot i zwiększył prędkość, aby trudniej było w niego wycelować komukolwiek na dole, kto mógłby być dotknięty atakiem nudy i wyposażony w raketę odpalaną z ramienia.

Nie widziałem nigdy efektów doszczętnego zniszczenia porównywalnych ze slumsami i obozami uchodźców na południowym końcu miasta, które przesuwają się za oknem. To miasto było zrujnowane. Wyglądało jak Berlin po zdobyciu przez Sowiec na starych kronikach filmowych. Don Feeney i kilku miejscowych wyglądających na twardzieli czekało na mnie, gdy wysiadłem z samolotu.

- Hej, Bo Diddlej, witaj w raj! — powiedział z przebiegłym uśmiechem i mnie uściskał.

- No, cześć, Don. Fajnie, że mogłem przyjechać — od-powiedziałem oddając uścisk i przeniosłem uwagę na jego towarzyszy. Każdy z nich trzymał CAR-15, skróconą wersję M-16. Karabiny trzymali zawieszane na szyi z lufą do dołu, a prawymi dłońmi ściskali rękojeści. Widziałem, że broń jest zabezpieczona, ale jednocześnie ich kciuki spoczywały na cynglach. Wyglądali na ludzi, którzy wiedzą co robią. Na początku szybko mi się przyjrzeni, ale później przenieśli uwagę z powrotem na tłum przewalający się wokół nas. Donny mnie przedstawił.

- Ericu, chciałbym, abyś poznał kuzynów Mokdada, Alego i Mahera. Chłopcy, przywitajcie się z Erikiem Ha-neyem. To właśnie o nim wam opowiadałem. Myślcie o nim jako o moim bracie. Przełożyłem dyplomatkę do lewej ręki i po kolei po-dałem prawą Alemu i Maherowi. „As-salam alejkum” powiedziałem ściskając im ręce, a następnie dotknąłem złączonymi palcami miejsca na piersi tuż powyżej serca.

Lekko unieśli brwi na to arabskie powitanie, ale każdy z nich ciepło odpowiedział: „Wa alejkum as-salam”.

Donny roześmiał się i oznajmił swoim najlepszym nie-dzielnym akcentem rodem z Brooklynu:

- E, no, nie musisz odstawiać takich kawałków z temy chopamy, Eryś. Mówiom po angolskiemu nie gorzej niż my nawijamy.

Miał na myśli mój akcent, nie swój. Donny zawsze na-bijał się z mojej góralskiej mowy, której używałem tylko przy rodzinie i bliskich przyjaciółach. Ale Donny zawsze zachowywał się tak, jakbym miał jakiś zabawny akcent.

- Cieszę się, ponieważ poznali już niemal cały mój zasób słownictwa arabskiego — odparłem.

- To nie będzie stanowiło problemu, panie Ericu - po-wiedział Maher, gdy urzędnik biura imigracyjnego zbli-żał się, by podbić mi paszport. Pozbieraliśmy moje bagaże i przywołano nas do punktu odprawy celnej. - Wierzę, że nauka szybko panu pójdzie. Ma pan w sobie coś takiego... Wyszliśmy z terminalu i wkroczyłem w dzień, który był żywcem wyciągnięty z „Piekła” Dantego, tylko dwa razy gorszy. O ile wewnątrz terminalu panowało zamieszanie, to na ulicach królował chaos.

Samochody osobowe i furgonetki mrowiły się we wszystkich kierunkach jak pszczoły z rozbitego ula. Nikt nie zwracał uwagi na taki drobiazg jak pasy ruchu. Pojaz-dy po prostu jechały tam, gdzie im było wygodnie, także po chodnikach. Przejeżdżały nawet przez wysepki roz-dzielające pasy ruchu.

Przed terminalem leżała góra bagaży, pudełek i toboł-ków — na samym środku jezdni. Dookoła uwijała się chyba rodzina, składająca się z 20 osób, które krzyczały i machały rękami, próbując załadować swoje rzeczy i sie-bie samych do starego fiata - taksówki.

Na pobliskim skrzyżowaniu pięć aut stało nos w nos, a ich kierowcy i pasażerowie czerwoni byli na twarzach z wysiłku, gdy złorzeczyli sobie nawzajem, wymachując pięściami. Nikt jednak,

zwłaszcza kierowcy, nie robił nic, by rozładować ten bałagan. Żaden z nich nie chciał ustąpić. Dookoła zatoru było tyle miejsca, że przejechałby i pociąg, więc ruch uliczny opływał ich jak woda natrafiająca na głaz pośrodku strumienia. Najgorsza wizja piekła dla starszego sierżanta.

Donny, wołając: „Tu jest nasz samochód!”, złapał mnie za ramię, pokierował w lewo i zaprowadził do stojącego pojazdu, który wydawał się jedyną oazą spokoju w tym piekielnym rozgardiaszu. Czekał na nas wielki, czarny Chevrolet Caprice z wczesnych lat 70., który wyglądał jak zbieg z torów kolejowych. Jego karoseria przypominała mi akcje zbiórki funduszy na lokalną drużynę koszykówki, gdzie za dolara ludzie mogli walnąć samochód trzy razy za pomocą oburęcznego młota. Samochód odziany był w coś, co wyglądało na opony do samochodu ciężarowego, zaś wzdłuż boku i na klapie bagażnika miał dziury po kulach (po drugiej stronie też miał dziury, ale o tym dowiedziałem się później). Boczne szyby zostały zastąpione grubym na pięć centymetrów pleksi, w którym wycięto otwory strzelnicze. Jednak pomimo tego poobijanego wyglądu stary chevy czysty i wywoskowany, lśnił w promieniach śródziemnomorskiego słońca jak złoty kolczyk w świńskim ryju.

Kierowca zobaczył, że nadchodzimy. Podeszedł do tyłu samochodu i solidnie kopnął bagażnik, po czym cofnął się o krok i przyglądał, jak kłapa powoli się podnosi. Kuźyni Mokdada wrzucili do bagażnika moje pakunki, a kierowca musiał z całej siły dwukrotnie trzasnąć klapą, aby się zamknęła. Spojrzał na mnie z szerokim uśmiechem, który umożliwił mi podziwianie panoramy jego lśniących zębów. Gdy wyciągnąłem rękę i zacząłem recytować arabskie pozdrowienie, on przybił mi piątkę, strzelił palcami w powietrzu między naszymi twarzami i powiedział czy-stą, nienaganną angielszczyzną:

— No, co tam, człowieku?

Byłem tak zaskoczony tym powitaniem, że niemal się cofnąłem. Potem roześmiałem się, przybiłem piątkę i zapytałem:

-Jak się nazywasz? Skąd jesteś, bracie?

- Abro, ochroniarz - roześmiał się. - Jestem stąd, z Bejrutu. No, ale jestem też z L.A. I nie mam tu na myśli lewobrzeżnej Alabamy. Mieszkałem w Kalifornii przez osiem lat. Zasuwałem w firmie u wujaszka - powiedział, gdy wsiadaliśmy do samochodu i ruszaliśmy, włączając się agresywnie w nieprzerwany i chaotyczny strumień innych pojazdów.

Don gadał i pokazywał mi różne rzeczy, gdy tak jechaliśmy przez to zdewastowane miasto.

-To jest Chevy Circle, jeden z głównych punktów orientacyjnych w tej części miasta. Tu znajduje się jedyna działająca sygnalizacja świetlna w mieście, ale sam widzisz, że wszyscy ją olewają. Jest równie potrzebna, jak bykowi cycki.

Rzeczywiście, bezużyteczność świateł rzucała się w oczy. Przejazd przez to skrzyżowanie różnił się od poprzednich tylko tym, że nasi ochroniarze wywijali bronią w stronę innych użytkowników

drogi, w ten sposób wygrywając w negocjowaniu pierwszeństwa przejazdu. Don kontynuował swój monolog, a ja zająłem się obserwacją okolicy.

Miasto podzielone jest na Bejrut wschodni chrześcijański i zachodni - muzułmański. Granica pomiędzy obiema częściami nazywana jest Zieloną Linia - nie mam pojęcia, dlaczego, niczego zielonego nie ma w pobliżu. To tylko pas gruzów pomiędzy obiema strefami.

Granice można przekroczyć w trzech miejscach. Na północy przy samym wybrzeżu znajduje się Przejście Portowe. Nieco bardziej na południe jest Sodeco, a jeszcze dalej Galery Simone.

Przejście Portowe jest prawie zawsze otwarte, ale pozostałe dwa przeważnie są zablokowane.

Tereny wokół przejść kontrolują różne milicje, które używają spychaczy, by samochody trzymały się z dala, natomiast snajperzy strzelają do pieszych. Nie bierzcie jednak zbyt poważnie określenia „snajperzy”. Nie są snajperami według naszych standardów.

To po prostu zbrojni, którzy zabijają niewinnych, nieuzbrojonych ludzi. Najczęściej giną z ich rąk biedne kobiety, próbujące kupić żywność dla swoich rodzin.

- Co jakiś czas ogłaszane jest, że Sodeco czy Simone zostanie otwarte, a armia syryjska przybywa i oczyszcza przejścia. Trzymają się w pobliżu przez resztę dnia, ale już nazajutrz strzelanina rozpoczyna się na powrót. Zawsze giną niewinni ludzie - pokręcił głową, zniesmaczony głuportą tego wszystkiego. - Przejścia są dla nas ważne. Ambasada jest w zachodnim Bejrucie, zwanym też Ras Bejrut, a rezydencja ambasadora znajduje się na wschodzie, na wzgórzach Yardze.

Zobaczył moje powątpiewanie i odgonił je machnięciem dłoni.

- Tak, tak, wiem. To kompletnie bez sensu, ale tak już jest. Pałac prezydencki jest tuż obok rezydencji, nieco wyżej na wzgórzu, a ambasador uważa, że powinien tam być. Chce podkreślić, że Stany są bezstronne w tej lokalnej sprzeczce oraz że możemy pojechać, gdzie chcemy i to zrobimy, jeśli będziemy mieli ochotę.

- Tak jak mówiłem, Przejście Portowe jest niemal zawsze otwarte. Ale nawet, jeśli jest niepewne, zwykle i tak dajemy radę przedrzeć się siłą. Grupa milicji patrolująca okolice portu jest dość mała i słaba. Ale strzelają do nas za każdym razem, gdy przejeżdżamy - czyli co najmniej dwa razy dziennie.

-Tak - przerwał mu Abdo ze śmiechem - ale facet, który jest zwykle na służbie, ma kiepski wzrok i słabo strzela.

- Prawda - kontynuował Donny - ale dostaliśmy kilka razy. Dobrze, że używają tylko pistoletów. Kiedy był tu Billy Oswalt, pewnego dnia miał okazję przywitać się z ich karabinami maszynowymi i granatnikami.

- Ta, to był interesujący poranek - powiedział Abdo, kiwając głową w zamyśleniu.

Rozmawiałem z Billem o tym ataku. Konwój został trafiony w chwili, gdy był najwolniejszy i

najwrażliwszy - na serpentynie biegnącej w dół po zboczu wzgórza. Pancierz limuzyny zatrzymał pociski z karabinu maszynowego, a gość z granatnikiem na szczęście się potknął i strzelił za nisko (tak jak Ranger na Desert One). Granat uderzył w grunt pod limuzyną, wyskoczył z drugiej strony i eksplodował w gaju oliwnym. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności strzelcy celowali w limuzynę, a nie w pojazdy otwierające i zamykające konwój. Gdyby unieruchomili te dwa samochody i zablokowali limuzynę, mogliby otworzyć ją jak blaszaną beczkę. Da się wdrzeć do opancerzonej limuzyny, ale najpierw musisz ją zatrzymać.

Sprawcami ataku byli chrześcijańscy milicjanci, teoretycznie sprzyjający Stanom Zjednoczonym. Później rozszła się plotka, że byli wkurzeni na CIA z powodu zakwestionowania przydziału jakichś funduszy. Zdecydowali więc, że nie będą dusić w sobie tego gniewu, żeby nie wpaść w depresję. A jak wiadomo, napad jest doskonałym sposobem radzenia sobie z napięciem emocjonalnym.

Komentarz Billa do tego ataku brzmiał: „Allah był tego dnia wyjątkowo miłosierny i łagodny”. Donny podjął obowiązki kierownika wycieczki.

- Nigdy nie korzystamy z innych przejść oprócz Portowego, pozostałe są zbyt niebezpieczne. Jeśli wszystko jest pozamykane, chłopaki znają paru ludzi z milicji i oni na chwilę nam otwierają. Ale jak widać, pomimo zdroworozsądkowych zasad nasze możliwości poruszania się są bardzo ograniczone. A to odnosi się tylko do Zielonej Linii. Po obu stronach Linii - i w każdej części miasta - między sąsiadującymi grupami milicji wciąż wybuchają jakieś walki. Pomiedzy milicjami a Syryjczykami. Pomiedzy Syryjczykami i chrześcijanami. Nie wspominając o długo-dystansowej wymianie ognia artyleryjskiego i raketowego między chrześcijanami i muzułmanami lub Syryjczykami. Po prostu wszyscy się tłuką.

- A jakby tego było mało, oliwy do ognia dolewa ją Izraelczycy, bombardując okolice, gdy im się nudzi.

Dla jaj ustawiają grupę agentów mówiących po arabsku, która organizuje blokadę drogową, jak każda milicja, ale w tym wypadku szukają Palestyńczyków. Jeśli na nich trafią, zgarniają ich na bok i rozstrzeliwują. Właściwie do dwóch ostatnich takich akcji wypożyczyli samochody z agencji znajdującej się naprzeciwko naszego mieszkania. Kiedy Palestyńczycy skumali, o którą wypożyczalnię chodzi, sfajczyli ją doszczętnie.

Przetrawiałem wszystko, co opowiadał Donny. Jechaliśmy na północ straszliwie skomplikowaną trasą. Czasem jechaliśmy nowoczesną, wielopasmową autostradą, a czasem Abdo manewrował po jakichś najbardziej zawiłych miejskich zaułkach, jakie w życiu widziałem. Donny i Abdo kłócili się co jakiś czas, którą trasę wybrać, ale wszędzie, gdziekolwiek jechaliśmy jedna rzecz była wspólna — zniszczenie. Nie widziałem jeszcze budynku, który byłby nietknięty. Sklepy, które nadal funkcjonowały, miały wejścia otoczone wielowarstwowymi zaporami z worków piasku.

Inne miejsca były całkiem zabarykadowane.

- Najpierw pojedziemy do ambasady i otworzymy twoją walizeczkę - powiedział Donny. — Pozostali ochroniarze czekają tam, żeby cię poznać. Polubisz ich. Mają takie charakterki, że uznasz ich za swoich ziomków z Georgii. Wiesz,

0 co chodzi. Lubią się zdrzemnąć pod drzewkiem i postrzelać, jak się zbudzą - zaśmiał się z tego międzykulturowego kawału. — Potem pojedziemy do hotelu, gdzie cię ulokujemy. Jeśli zostanie nam trochę czasu do zmierzchu, pojedziemy do Yardze, żebyś zobaczył, gdzie będziesz dyżurować. Jest tam teraz Carl. Mamy mieszkanie na parterze rezydencji

1 jeden z nas jest tam zawsze nocą i w weekendy. Spodoba ci się ta część służby. Jest tam cicho i czysto. No i możesz korzystać z basenu. O, już jesteśmy pod ambasadą.

Ostatnią część podróży przebyliśmy, jadąc szerokim nadmorskim bulwarem. Gdy wjechaliśmy w główną bramę ambasady, stało się jasne, że ten budynek był kiedyś luksusowym hotelem. Szeroki portal wznosił się nad półkolistym zjazdem z głównej ulicy, JFK Boulevard. Zjazd prowadził w stronę szerokiej, bocznej drogi biegnącej w górę, obok ambasady francuskiej, do najważniejszej arterii w centrum, Hamra Street. Byłem wstrząśnięty brakiem ochrony przy bramie do ambasady. Każdy pojazd mógł się tam wpakować i podjechać pod sam budynek. Donny zauważył mój niepokój.

- Erie, wiem co myślisz: żadnych barier, żadnych punktów kontrolnych, tylko para odźwiernych.

Jakiś chuligan mógłby się tu wdrzeć nocą i narobić zamieszania. I masz rację. Ale mógłbyś wyklócać się z Departamentem Stanu aż by ci język kołkiem stanął, a oni i tak nie zmienią zdania - zadarł nos i zaczął parodiować arystokratyczny akcent. - Ambasada amerykańska powinna mieć charakter otwarty i przyjazny, co podkreśla otwartość i przyjazność amerykańskiego społeczeństwa - porzucił tę nadętą wymowę i prychnął z niesmakiem. - Ale ja nie siedzę cicho. Piszę to w raportach do RSO (regionalny oficer bezpieczeństwa) i do ambasadora, co tydzień, i będę to nadal robić po powrocie do Stanów. Mam też nadzieję, że ty będziesz robić to samo. To nie Paryż ani Londyn i brak właściwej ochrony w miejscu tak niebezpiecznym jest po prostu przestępstwem. Prędzej czy później ktoś zginie.

To niestety okazało się być nie tylko trafną oceną, ale i ponurą przepowiednią, która miała się ziścić.

Gdy już wyciągnęliśmy moje narzędzia z walizki, Donny oprowadził mnie po budynku, pokazując biura ochrony i trzy sposoby dojścia do apartamentów ambasadora. Później poszedłem do suterenu, aby poznać personel ochrony ambasadora. Przynajmniej muzułmański. Ponieważ muzułmanom ciężko było przejść na chrześcijańską stronę miasta i vice versa - personel podzielony był wedle religii. Chrześcijanie strzegli rezydencji w Yardze, zaś muzułmanie stanowili bezpośrednią ochronę ambasadora i trzymali straż w ambasadzie.

W tym wyrazistym podziale pracy był jeden zauważalny wyłom - jeden jedyny człowiek, ormiański chrześcijanin

0 imieniu Cesar, który był jednocześnie ochroniarzem

1 kierowcą. Ormianie są wszechobecni na Bliskim Wschodzie, a Cesar, podobnie jak wielu jego rodaków, był nie tylko odważnym człowiekiem, ale także nie zwracał kompletnie uwagi na tarcia między chrześcijanami a muzułmanami. Oprócz tego, podobnie jak wielu jego rodaków, miał płomiennorude włosy i niebieskie oczy.

Chroniłem już ambasadorów, prezydentów, księżniczki i księżęta, dyrektorów generalnych, znanych więźniów oraz ich rodziny i wiedziałem, że podstawą w tego rodzaju pracy jest trzymanie stosownego dystansu do ochraniańego i niewchodzenie z nim w żadne relacje emocjonalne. Jeśli zwiążesz się emocjonalnie z pryncypałem, zaczynasz iść na ustępstwa, które doprowadzą do tego, że osoba, która miała być chroniona, w końcu uciepni. Nigdy nie chciałem się kumpłować z ochranianymi osobami i nie oczekuję ich przyjaźni. Wymagam oficjalnego i profesjonalnego układu.

Ale zupełnie inaczej ma się sprawa z miejscowymi ochroniarzami z oddziału bezpieczeństwa.

Relacja, jaką się z nimi utrzymuje jest zbliżona do tej, jaką ma się ze swoją drużyną czy plutonem. Nie tylko zależy od nich wykonywanie powierzonych im zadań, ale także, a nawet częściej, zależy od nich twoje życie. Prawdopodobnie nie przeżyłbym tej misji w Bejrucie bez miejscowych ochrońiarzy i za to ich w końcu pokochałem.

Kiedy po raz pierwszy spotkałem moich nowych towarzyszcy, byczyli się w suterenie w Pokoju Gotowości. Muszę powiedzieć, że byli najbardziej przerażającą grupą typków, jakiej mógłby się spodziewać potencjalny wróg. Nie mówię, że wyglądali jak piraci czy mieli jakieś szczególne ubytki w urodzie - wręcz przeciwnie. Prawdę mówiąc Libańczycy są jednym z najpiękniejszych narodów świata, a ci ludzie nie byli wyjątkiem. Patrząc na nich, wyczuwało się taką kompetencję, determinację i pewność siebie, że rozścizali niemal aurę kontrolowanej, inteligentnej i zdyscyplinowanej władzy.

Było to szesnastu twardych profesjonalistów, którzy dzień i noc podejmowali niezwykle ryzykowne działania w tym najniebezpieczniejszym zakątku świata. Z tej roboty nie wychodziło się cało, o ile nie było się bardzo, bardzo dobrym.

Przedstawiłem się obecnym. Wcześniej już poznałem Abdo i kuzynów Mokdada, a teraz, okrążając pomieszczenie i witając się z każdym z osobna, wiedziałem już, że trafiłem w świetne towarzystwo.

Funkcje dwóch szefów zmiany pełnili Mahmoud Boutari i Mustafa Kridieh, którzy byli dwoma najbardziej różnymi Lewantyńczykami, jakich można sobie wyobrazić. Boutari, średniego wzrostu, był potężnie zbudowany. Miał głos niczym byk i używał go jako broni, gdy to było

konieczne, jednak na ogół był raczej typem profesjonalisty. Wyglądał na Europejczyka, jego francuski był idealny, a i z angielskim radził sobie bardzo dobrze. Zajmował się kwestiami administracyjnymi i znał każdego w tym mieście. Codziennie też zajmował się planowaniem szczegółów ochrony.

Mustafa wyglądał jak Beduin - smukły z wybitnym poczuciem humoru. Był w nim też jakiś autorytet, a jego słowo zawsze było słowem decydującym, bez względu na okoliczności i sytuację. Nieźle posługiwał się angielskim i przyjął sobie za punkt honoru pracować codziennie nad moim arabskim. Jak mi wyjaśnił, kiedyś mogę trafić w takie miejsce, w którym tylko sam będę mógł wydostać się z kłopotów.

A ponieważ połowa oddziału prawie nie rozumiała po angielsku, musiałem wiedzieć, jak wydawać komendy po arabsku w nagłym wypadku. Mustafa miał jednak niezawodny szósty zmysł i gdy pojawiały się kłopoty, on był tuż tuż.

Mohamed Al-Kurdi był kierowcą i, jakby nie patrzeć, był bardzo życzliwym człowiekiem. Jego zadaniem było odnajdowanie najbezpieczniejszych tras przez miasto - i był w tym mistrzem. Gdyby żył w latach trzydziestych, zyskałby sławę jako awanturnik z kinowej popołudniówki. Był jak Errol Flynn - tylko ciemniejszy, bardziej muskularny i ponury. Mieszkał w pokoiku w suterenie ambasady, gdzie długo w nocy pisał wiersze dla kobiet, które spotykał za dnia. Był płodny i wytrwały. Jednak w swoim piwnicznym sanktuarium nie musiał stawiać czoła rozwścieczonym mężom, ojcom i narzeczonym, które nie doceniły jego wierszy. Miał kryptonim radiowy „Eisenhower” i myślał o sobie, jako dowódcy.

Maher Mokdad stał się moją prawą ręką i niezwykle na nim polegałem. Mając 22 lata był najmłodszym człowiekiem w oddziale, jednak prezentował sobą niezwykle dojrzałość. Był bardzo inteligentny (sam się nauczył angielskiego), dobrze zbudowany i miał zadziwiająco bursztynowe oczy lwa. Pochodził z Baalbek w dolinie Bekaa, z miejsca słynącego na Bliskim Wschodzie z odważnych mieszkańców. A Maher był tego wybitnym przykładem. Nauczył mnie przydatnych drobiazgów, takich jak branie co rano z ambasady limonki i noszenie jej w kieszeni przez cały dzień. Za każdym razem, gdy zapach miasta stawał się zbyt mocny, mogłem ścisnąć ten mały zielony owoc i we-trzeć trochę jego olejków w nozdrza, a potem oddychać tym słodkim, czystym aromatem, który choć na chwilę odganiał ode mnie smród śmierci. Do dzisiaj moim ulubionym zapachem jest woń małej, świeżej limonki.

Bardzo zbliżyłem się też do Saleema Tamima. Korzystając z innego hollywoodzkiego porównania, gdybyście robili casting na przystojnego i ognistego szejka, wasz wybór musiałby paść na Saleema. Zawsze mogłem liczyć na jego mądre rady i trafne wskazówki — często przekazywane dzięki jego niepowtarzalnemu talentowi. Saleem doskonale potrafił komunikować skomplikowane myśli, wydawać polecenia i zadawać pytania wyłącznie za pomocą min i ruchów brwi - a to działało

pomimo bariery językowej. Może to wyda się nieprawdopodobne, ale dopiero po kilku tygodniach zwróciłem uwagę, że właściwie tylko tak się z nim komunikuję.

Kilku gości czasem wypróbowywało moje zdolności przywódcze i od czasu do czasu zaczynaliśmy się potężnie kłócić. Ale to było naturalne i nawet, gdy się ze sobą nie zgadzaliśmy albo ktoś' kwestionował moje metody w konkretnej sytuacji, zawsze dotyczyło to techniki, a nie słuszności decyzji in meritum. Wszyscy chcieliśmy tego samego - chronić ambasadora wszelkimi sposobami — i przeżyć to zadanie. Jeśli człowiek nie podchodzi z pasją do tego rodzaju pracy, to nie ma ani serca, ani rozumu tam, gdzie należałoby się ich spodziewać.

Po przedstawieniu mnie ochroniarzom Donny zabrał mnie do naszych kwater w Hotelu Charles, który położony był zaledwie kilka przecznic od ambasady i w pobliżu Zielonej Linii. Właściciel, człowiek o imieniu Char-lie, nie siedział na swoim miejscu, więc poszliśmy prosto do naszego pokoju, położonego tylko niewiele niżej niż penthouse. Ponieważ z naszego balkonu widać było niezły kawał północnej części miasta, Donny mógł kontynuować pokazywanie widoków. Kilkaset metrów dalej na wschód, dokładnie pośrodku Zielonej Linii był stary hotel Holiday Inn.

Jeśli pamiętacie jakieś migawki telewizyjne z wojny domowej w Libanie, być może przypominacie sobie sceny ciągłych walk o kontrolę nad Holiday Inn. Był to najwyższy budynek w okolicy, w dodatku jego strategiczna lokalizacja była wyjątkowo atrakcyjna, świetnie nadawał się, by zeń strzelać - coś jak fabryka traktorów w Stalingradzie podczas II wojny światowej. Budynek był zniszczony i podziurawiony kulami ze wszystkiego, od pistoletów po armaty. Ale wciąż stał i wciąż był punktem zapalnym. Donny zabronił mi stania przed małym okienkiem nad naszym zlewem kuchennym, ponieważ pociski z karabinu maszynowego wystrzelone z Holidaya od czasu do czasu waliły w ścianę naszego budynku, a rykoszety wpadały niezapowiedziane przez okno do kuchni. Z powodu ostrzału stracili w zeszłym miesiącu dwie lodówki. Powiedział mi też z pewną radością, że najlepiej jest zmywać kucając na podłodze, zwłaszcza w przypadku osoby tak wysokiej jak ja. Najwyraźniej wizja ta wydawała mu się szczególnie zabawna.

Z mieszkania widzieliśmy łagodne stoki wzgórz zbiegające ku nabrzeżu, pobliski Hotel George i stanowiska armii syryjskiej wzdłuż północnej części Zielonej Linii. Ostrzegano mnie, bym uważał na Syryjczyków - ich zwyczajem było strzelanie przed zadaniem pytań. Nie byli jakoś szczególnie źli, ale mieli nieprzyjemne zadanie, aby próbować utrzymać w mieście spokój - a ten opuścił Bejrut już dawno temu. Najbliższym miejscem, które można było uznać za pokojowe, był Cypr - a i to, jeśli miało się niskie wymagania.

Następnie pokazał mi lokacje w sąsiedztwie zajmowane przez różne grupy wojsk i milicji, oraz miejsca, gdzie zwykle rozmieszczali punkty kontrolne. Tuż pod nami, pomiędzy hotelem a nabrzeżem, rezydowała mała grupa, nazywana nasserowcami, ponieważ byli zwolennikami

egipskiego prezydenta Gama Abdela Nassera. Postawili mu nawet pomnik na rogu ulicy. Po prawej od hotelu George był „Gang Śmieciowy”, który kontrolował dostęp do portu i wysypiska, które formowało się na skrawku ziemi w pobliżu hotelu. Donny powiedział, że przypominają mu pracowników zakładu oczyszczania miasta z rodzinnego Nowego Jorku. Z kolei na zachodzie, bardziej w stronę nabrzeża, rządziła grupa o nazwie Morabi Tunn. Mała grupka, która niedobory kadrowe nadrabiała potworną złośliwością.

W pobliżu Zielonej Linii znajdowały się najpierw syryjskie, a później libańskie punkty kontrolne. Na samej Zielonej Linii znajdowali się uchodźcy, którzy uciekli przed walkami z innych części kraju i osiedlili się na tej ziemi nieczyjej. Jeśli zdecydowałeś się mieszkać na Zielonej Linii, miejscu krytycznym we wszystkich walkach w Bejrucie, to tam, skąd przybywałeś, musiało być naprawdę strasznie. Milicja Zielonej Linii nikogo nie niepokoiła, próbując pozbywać się dzikich lokatorów.

Po drugiej stronie linii królowała monolityczna milicja chrześcijańska, Falanga, najsilniejsza ze wszystkich grup. Wspierana, wyposażana i opłacana przez Izraelczyków. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu - być może po prostu arogancji władzy - byli jedynymi, którzy lubili utrudniać nam poruszanie się po mieście. Byli absolutnie wrogo nastawieni i próbowali uniemożliwić przemieszczanie się konwoju ambasadora.

Bliżej budynku znajdowały się inne milicje, które kontrolowały sąsiedztwo Hotelu Charles i teren rozciągający się aż do ambasady amerykańskiej. Znani byli jako LPS, Ludowa Partia Socjalistyczna. Choć byli raczej spokojni, nie dali się zdominować sąsiednim milicjom i nie pozwolili Syryjczykom na działania w tej okolicy, co było niezłym wyczynem. Kwatera główna tej grupy mieściła się w kawiarni na Corniche (nadmorski bulwar).

Donny powiedział mi, że Abdo mieszkał w pobliżu i że powinienem za jego pośrednictwem poznać szefów LPS-u. Ze sposobu, w jaki mówił (i z tego, czego nie powiedział) wywnioskowałem, że Donny może mieć na pieńku z LPS. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Donny zawsze wzbudzał silne uczucia w ludziach, których spotykał i nie zawsze były to uczucia przyjazne. Nie martwiło go to ani trochę, a gdy spotykał się z czyjąś negatywną reakcją, zwykle zamykał temat popularnym brooklyńskim powiedzonkiem: „Niech spadają, gdy na żartach się nie znają”.

Zadzwoniliśmy do ambasady i Abdo z Mokdadem przyjechali nas odebrać i zawieźć do rezydencji ambasadora. Z hotelu pojechaliśmy wprost na wybrzeże i już po chwili negocjowaliśmy warunki przejścia przez Zieloną Linie. Najpierw przeszliśmy przez punkt kontrolny Syryjczyków, gdzie nasze auto zostało rozpoznane, a nas połączono do przejazdu ruchami rąk. Następne było stanowisko armii libańskiej. Żołnierze nie wyszli zza swojego muru zrobionego z worków z piaskiem i przegonili nas przez przejazd ruchem ręki.

Potem dojechaliśmy do portu.

Po lewej znajdowała się zatoka, a u jej nabrzeży kontenerowce, które, dostawszy się w ogień walk, zatonęły, czyniąc przystań bezużyteczną. Po prawej stronie znajdowały się piramidy starych kontenerów transportowych — Maher mówił, że głównie stamtąd strzelano. Abdo wykonał bączka starym chevym w momencie, gdy droga, którą jechaliśmy, ostro odbijała w stronę przejazdu przez jakąś halę. Wjechaliśmy jednym wejściem, a wyjechaliśmy drugim. W środku widzieliśmy kontenery poustawiane w dwie wysokie ściany po oby stronach przejazdu. Jadąc między nimi miałem wrażenie, że przemierzamy wąski kanion. Wyjeżdżając drugą stroną zanurzyliśmy się w słoneczny blask, a minawszy ostatni posterunek libańskiej armii byliśmy w chrześcijańskim, wschodnim, Bejrucie.

— Przygotuj się — powiedział Donny. - Jeśli coś ma się zdarzyć, to właśnie teraz.

W tym miejscu droga była obwiedziona po obu stronach potrójnym rzędem napęcznionych piaskiem beczek po oleju. Ten szpaler po ostrym podwójnym zakręcie zawiódł nas pod pierwszą barykadę zrobioną przez Falangistów.

Była to robiąca wrażenie seria wzajemnie wspierających się pozycji. Znajdował się tam punkt kontrolny, gdzie pojazdy zatrzymywano i przeszukiwano. Za punktem po obu stronach drogi znajdowały się pozycje ochraniające workami z piaskiem - wzniesiono je na tyle daleko, by były poza zasięgiem ręcznego granatu. 50 metrów dalej, na dachu piętrowego budynku, znajdowało się stanowisko karabinu maszynowego kaliber .50.

Każdy punkt był obsadzony czterema ludźmi uzbrojonymi w M-16. Żołnierze byli kompletnie umundurowani i nosili stalowe hełmy zapięte pod brodą — byli w pełnej gotowości. Oddziały dyżurujące w punktach kontrolnych były dodatkowo wyposażone w kamizelki kuloodporne. Nie zatrzymywali nas, jednak celowo bardzo powoli otwierali szlaban. Skinąłem głową mężczyźnie przy stalowej bramie, a on oddał mi ukłon z szyderczym uśmiechem na wykrzywionych ustach. Milicyjne punkty kontrolne w zachodniej części miasta, z całym tym pokrzykiwaniem i poganianiem, były krańcowo odmienne od tutejszej ciszy. Czuliśmy jednak, że Falangiści nie spuszczają z nas oka. Ani z celownika karabinu maszynowego kaliber .50. Wcale nie podobał mi się ten pozorny spokój, ale podziwiałem dyscyplinę, strukturę, organizację i głębię siły wyraźnie tu dostrzegalne. Pewne, inteligentne przywództwo zdecydowanie królowało po tej stronie miasta. Odprężyliśmy się wszyscy, przejechawszy chrześcijański punkt kontrolny, a nastroje w aucie poprawiły się znacząco. Gdy pędziliśmy szerokim, pustym bulwarem, Abdo zaczął podśpiewywać, a Mokdah do niego dołączył.

Jedną z rzeczy, które ogromnie lubię w Arabach jest ich zamiłowanie do muzyki. Uwielbiają śpiewać i robią to, gdy najdzie ich ochota. W ciągu paru miesięcy nauczyłem się kilku piosenek, które mogłem śpiewać razem z nimi, choć prawie nie rozumiałem słów. Ale rozumiałem radość życia i bycia żywym, którą wyrażały te piosenki, a to było najważniejsze.

Niebawem zaczęliśmy wspinać się na zbocza wzgórz Shouf. Donny wskazał zakręt „całuj się w dupę”, gdzie nawierzchnia była zniszczona. Było to idealne miejsce na atak, sam bym takie wybrał. Na skrzyżowaniu znów skręciliśmy pod górę i przejechaliśmy przez zamasy zakręt wokół szczytu wzgórz. Przejechaliśmy w pobliżu pałacu prezydenckiego. Abdo zatrzymał samochód i przyjrzelśmy się scenerii pod i przed nami.

Patrząc w dół wzgórz widziało się tereny rezydencji ambasadora. Otoczenie było głównie rolnicze i bezdrzewne, nie licząc pojedynczych kęp krzewów czy drzewek oliwnych. Teren przed nami opadał ku dnu doliny pięćset czy sześćset metrów dalej. Od tego miejsca okolica znów nabierała miejskiego charakteru i serią ułożonych schodkowo tarasów wspinała się na kolejne wzgórze, ku znajdującej się tam poszarpanej Zielonej Linii, która przebiegała z północy na południe przez szczyt wzgórz widocznego w odległości około trzech kilometrów.

Za nami teren wznosił się na wschód, aby wspiąć się na górskie zbocza łańcucha oddzielającego Liban od doliny Bekaa. Po tym jak ogólnie zorientowałem się w sytuacji, z powrotem wsiedliśmy do samochodu i po dwóch minutach zatrzymaliśmy się przed bramą rezydencji.

Spotkałem Carla, gdy Donny i chłopaki poszli do kuchni, by poszukać swojej przyjaciółki Josephine, kucharki, i namówić ją, aby coś ugotowała.

— Dobrze cię widzieć, Carl — powiedziałem, gdy się przywitaliśmy. — Ale cholera jasna, bracie, chyba schudłeś odkąd tu jesteś, co?

— Nawet nie mów. Dopadła mnie bejrucka sraczka w zeszłym miesiącu i prawie się przekręciłem. Straciłem z dziesięć kilo, wszystkie wyszły dołem. I, chłopie, powiem ci, to żaden ubaw. Złapało mnie, bo napiłem się kranówki w naszym mieszkaniu — powiedział. — Zwykle pamiętam, żeby tego nie robić, ale tym razem obudziłem się w środku nocy i tak mnie suszyło, że nie zdawałem sobie sprawy, co robię. Poszedłem do kuchni i chlapnąłem sobie szklaneczkę - przesunął się na krzesło, jakby samo wspomnienie nadal go bolało. — Miasto dostało tak mocno, że kanalizacja i instalacja wodna są zniszczone, a ich zawartość czasem się miesza. Mówić krótko, machnąłem sobie szklanę gnojówki tego wieczora i następnego dnia mało mi flaków nie wydarło. Potworne skurcze, mistrzowska biegunka, dreszcze i gorączka, nocne poty, zmęczenie. Czuję się jak galareta. Były takie dni, kiedy nie wierzyłem, że przeżyję. Ale teraz już jest dobrze, tylko ciuchy mam za duże. Mam tylko jedną radę: nie pij wody!

Roześmialiśmy się, bo ostatnie słowa wypowiedzieliśmy chórem.

Carl wpisał mnie w grafik, gdy obchodziliśmy obiekt.

-Ten, kto nocuje w ambasadzie, jest dowódcą oddziału następnego dnia. Limuzyna i auta przedniej obstawy spędzają noc tutaj. Samochody tylnej obstawy zabierają chłopaków i wracają do ambasady. Następnego dnia wracają z oddziałem i tak w kółko. Obaj pracujemy jako dowódcy zmiany i dowódcy oddziału przez cały dzień, zamieniając się obowiązkami. Jak wiesz, dowódcy

oddziału pracuje ze starym, a dowódca zmiany zajmuje się ludźmi i samochodami.

— A goście z Departamentu Stanu? — zapytałem. — Czym oni się zajmują?

Carl zastanowił się kilka sekund zanim odpowiedział.

— Ericu, RSO i dwaj ARSO (jego asystenci) wszystkie kwestie związane z ochroną pozostawiają nam. Są porządnymi ludźmi, ale po prostu niezbyt ich to zajmuje. A poza tym po to tu jesteśmy. Mike i William, ARSO, na zmianę zostają na noc tu, w Yardze. Kiedy trzeba, przyłączają się do obstawy i nią dowodzą. Charles, który jest RSO, zajmuje się kwestiami administracyjnymi i się nie wychyla. Czasem udaje się go spotkać raz w tygodniu, a czasem nie. Zjawi się, jeśli będzie się działo coś dużego, a w okolicy pojawią się kamery telewizyjne, ale poza tym jest niewidzialnym człowiekiem.

Już chciałem to jakoś skomentować, ale zanim zdążyłem się odezwać, Carl podniósł rękę.

— Zanim się nadmiesz o podział obowiązków, zwróć uwagę na kilka rzeczy. Po pierwsze ich szkolenie czy doświadczenie nie przygotowały ich na sytuację, którą tu zastali — a my takie przeszkolenie otrzymaliśmy. Po drugie, są tu na rocznej służbie, a to ich wykańcza. My przyjeżdżamy tu na 75 dni, a jak mówi przysłowie, możesz stać z głową w wiadrze gówna tak długo, jak długo nie będziesz go musiał pić - uśmiechnął się do mnie szeroko. - Ale najważniejsze, my wiemy, jak walczyć, kiedy musimy, i jak unikać walki, gdy się da. Wiemy jak dowodzić miejscowymi i to lubimy. A oni lubią nas. To pasuje wszystkim i wszyscy są zadowoleni. Bądź więc gotów na ciągłą pracę przez następne dwa i pół miesiąca. Żadnych przerw, żadnego urlopu. Kiedy nic się nie dzieje, a stary siedzi w domu cały dzień, można sobie trochę poleniuchować. Ale jeden z nas jest zawsze w pełnym stanie gotowości i w każdej chwili może ruszać do działania - jednym słowem Cięciwa.

- Carl, zdaje się, że odpowiedziałeś na wszystkie moje pytania.

- Dobrze - odparł - ale jest jedna rzecz, której ci nie powiedziałem. Kiedy siedzisz tutaj, masz dla siebie cały basen. Stary nienawidzi wody i korzysta z basenu tylko przy okazji jakiegoś grilla czy przyjęcia nad basenem właśnie. No i dzięki temu basen przeważnie jest twój. Chodź, to ci wszystko pokażę.

- Wodzu, prowadź.

Jak mam opisać jedenaście następnych tygodni? Każdy dzień, każde wydarzenie, każdy incydent wydawał się być osobnym kolorowym szkiełkiem w kalejdoskopie życia rodem z Kafki.

Co rano pierwszy obowiązek dnia — zmiatanie łusek od pocisków wystrzelonych nocą poza krawędź balkonu i słuchanie, jak brzęczą spadając na chodnik.

Koty chude jak szkielety, polujące na wielkie gryzonie wśród stosów śmieci sięgających pięciu metrów na rogach ulic. Śmieci wysypujące się na ulice, zatruwające okolice swoimi miazmatycznymi wyziewami.

Mali chłopcy kopiący piłkę i wykorzystujący skorupę zbombardowanego domu jako prowizoryczne boisko.

Inni malcy łowiący granaty ręczne z nabrzeża przed am-basadą. Stłumiona eksplozja, gejzer wody, dziecięce krzyki. Wyławianie bezwładnego martwego ciała dziesięcioletka, który zanurkował w nieodpowiednim miejscu.

Granat toczący się zza rogu ulicy, wpadający pod nasz konwój. Krzyk przez radio, gwałtowne przyspieszenie, huk eksplozji na ulicy za nami — dzięki bogu nie udało się nas załatwić.

Bycie celem - codziennie. Czasem przypadkowo, czasem przez pomyłkę, czasem z premedytacją. Dojście do momentu, gdy robią na człowieku wrażenie tylko granatniki, moździerze i ostrzał artyleryjski. Olewanie drobiazgów.

Eksplozje opon samochodowych z hukiem i szarpnięciem. Serce natychmiast w gardle.

Omyłkowe wzięcie huku pękającej opony za atak rakietowy. Po wszystkim ulga i śmiech.

Syryjski żołnierz pokazujący dziewczynie, że naprawdę umie wystrzelić z działa. Pocisk lądujący na plaży w chrześcijańskim mieście Juniya. Dziesiątki osób zabitych i rannych — głównie kobiet i dzieci.

Następnego dnia odwet. W Ras Beirut. Rakiety uderzające w park rozrywki Summer Land.

Dziesiątki zabitych — głównie kobiet i dzieci. Oko za oko. Tragedia za tragedią.

Szczęśliwy ojciec strzelający z kałasznikowa w powietrze na wiwat z okazji ślubu syna. Od kul z jego broni ginie pan młody, gdy z nowo poślubioną żoną pokazuje się na balkonie. Ojciec zabija się z rozpacz.

Dzielny mężczyzna, wyzywający snajpera i próbujący ściągnąć z ulicy ranną kobietę. Trafiony w kręgosłup i sparaliżowany do końca życia. Nikt nie rusza mu na pomoc, a walka toczy się wokół niego, podczas gdy on próbuje ściągnąć swoje okaleczone ciało w bezpieczne miejsce.

Samochód wyładowany ludźmi wymachującymi bronią i próbującymi wyprzedzić nasz przyspieszający konwój po poboczu drogi. Powstrzymanie ognia w ostatniej chwili, na krzyk Mustafy: „Oni wiozą rannych do szpitala”.

Amerykańskiej produkcji izraelskie odrzutowce mknące nisko nad wodą. Grzmot eksplozji.

Dymiące dziury w miejscach, gdzie jeszcze przed chwilą żywi ludzie obsługiwali stanowiska przeciwlotnicze.

Więcej bomb. Więcej eksplozji. Dziewięciopiętrowy apartamentowiec zburzony jak domek z kart.

Odrzutowce stojące na ogonach, lecące prosto w niebo i zrzucające deszcz przeciwrakietowych flar. Inne kontynuują bombardowania. Obrona przeciwlotnicza strzelająca w niebo, wytwarzająca nieregularną mozaikę czarnych chmur. Rakiety przeciwlotnicze przecinające niebo, bezskutecznie goniące flary. Wreszcie cisza.

Kilka sekund później pierwszy niski, żałobny płacz. Ojciec o twarzy zastygłej w udręce, w

obląkańczym cierpieniu biegnący i niosący w ramionach ciało swojego martwego dziecka. Nie ma gdzie pójść. Nie ma nikogo, kto mógłby pomóc. W końcu załamuje się z nieutulonego żalu i łka rozdzierająco, torturowany widokiem zmiążdżonego ciała swojej ukochanej pięcioletniej córeczki.

Długie, nudne godziny spędzane na zewnątrz obcych ambasad, gdy w ich wnętrzach odbywały się spotkania. Zmiany stanowisk wartowniczych - raz w słońcu, raz w cieniu. Ciągła czujność.

Nadzieja na spokój, gotowość na najgorsze. Mile widziany łyk zimnej wody, pity w stylu beduińskim — do ust z dzióbka dzbanka.

Ulubiony posiłek: chleb, humus, oliwki, mięta, dał, brzoskwinie z doliny Bekaa. Wszystko jedzone z towarzyszami późno wieczorem z maski samochodu podczas warty na zewnątrz w czasie jakiegoś spotkania dyplomatycznego.

Koniec spokojnego dnia, postój w małym miasteczku, gdzie stary ma jakąś sprawę. Nagle ostrzał artyleryjski na rogu ulicy. Pociski eksplodujące wysoko na budynkach z odbijającym się w żebrach hukiem. Odłamki, kawałki cegieł, szkło tną powietrze. Krzyki, uciekający ludzie. 50 metrów do osłupiałych przyjaciół w samochodzie czekającym na wysokich obrotach. O kurwa, o kurwa, O KURWA! „Szybko, szybko!”. Powalony na płask przez eksplozję, czujesz, ale nie słyszysz. Płonący samochód za moimi plecami - „Przed chwilą tam stałem! Nie zostawiajcie mnie!”. Szczupak w głąb siedzenia na kolana przyjaciół. Samochód gwałtownie rusza i odjeżdża. 50 metrów dalej, za rogiem, ucieczka z piekła.

Sprawdzenie zniszczeń. Brudni, w poszarpanych i osmałonych ciuchach, podrapane kolana i łokcie, dzwonięcie w uszach. Wrażenie bycia pijanym. Nie ma złamań, nie ma krwi. Samochód nieuszkodzony. Ogromna ulga, wariacki śmiech. „Erie, szkoda że siebie nie widziałeś! Ale ja-jecznie wyglądałeś tak lecąc po ulicy wśród tych wybuchów. Ten jeden cię skosił, ale podniosłeś się błyskawicznie i dalej biegłeś, szybko jak zając”.

Czyja artyleria? A co za różnica. Znów dopisało szczęście. Prawie w ambasadzie. Głośny, radosny śpiew. Słodka, głęboka radość bycia żywym. „Dobranoc, dobranoc. Do zobaczenia rano. Maa' Salama”.

Nagła strzelanina w nocy. Pulsujące czerwone pyk-pyk -pyk luf plujących ogniem w ciemnościach. Trzask-trzask -trzask wściekłych pocisków. Samochody obstawy odpowiadające potokiem ognia na strzały. Konwój przyspieszający w tempie wciskającym ludzi w fotele. „Stary w porządku? Ktoś ranny? Wszystko OK. Nie zatrzymujcie się zanim nie dotrzemy do ambasady”.

Ambasador leży ze sraczką. Wolne! Piknik w górach. Końbierce gęstej trawy w chłodnym cieniu gajów oliwnych. Przyjaciele siedzący wokół obrusa. Jedzenie. Cichy śmiech. Specjalny przysmak - dzban wody ze świętego źródła Zam-zam w Mekce - stawiam wszystkim! „Shukran Habib”.

Popołudniowa drzemka pod starym drzewem. Zadowolone pochrapywanie. Krótka iluzja normalności. Zadowolenie z chwili. W oddali morze i miasto - ciche i mgliste.

„Wygląda tak spokojnie z tego miejsca”. Gdyby to mogła być prawda.

Czas odjeżdżać. Pożegnania. Uściski. Pocałunki. „Trzymaj się. Dbaj o siebie. Alhamdulillah. Bądź zdrow. Ty także. Jasne. Oczywiście. Do zobaczenia. Inshallah. Do widzenia! Do widzenia! Maa' Salami”.

Pandemonium na lotnisku. Brak kolejek. Tłumy pasażerów tłoczą się wokół lady odlotów, wrzeszcząc i machając biletami. Przejdźcie do części dla dyplomatów. Dzięki

Bogu za ten paszport. W samolocie. W górę. Ziemia się oddala. „Szkocka z wodą, bardzo dziękuję Nocleg w Atenach. Jazda taksówką do hotelu. Z-asKo czknie Coś dziwnego? Uświadomienie sobie: me ma dziur po kulach, nie ma zniszczeń wojennych.

Odpoczynek i odprężenie.

Niedługo będę w domu.

Dwa lata później

O godzinie 13:18 kwietnia 1983 roku jedenastu libańskich ochroniarzy dowodzonych przez operatora Ter-ry'ego Gildena z Delta Force oczekiwało przed amerykańską ambasadą w Bejrucie, by zabrać ambasadora na spotkanie, kiedy wyładowana materiałami wybuchowymi ciężarówka kierowana przez zamachowca-samobójcę wyjechała z bocznej ulicy i uderzyła w ambasadę. Ludzie czekający pod portykiem zginęli natychmiast w potwornej eksplozji, która kompletnie zniszczyła fasadę budynku.

Rick Downing, inny operator Delty, był u góry schodów, czekając na ambasadora, by eskortować go do konwoju. Zwiąło go krzesła, przez otwarte drzwi biura ochronny i dalej do holu. Tam okazało się, że leży z nogami dyn-dającymi w powietrzu. Biuro, w którym siedział, zniknęło wraz z frontową połową budynku.

Rick wspiął się po schodach z powrotem do ambasadora. Zabrał go na dół tylnymi schodami, wpakował do stojącego na tylnym parkingu samochodu awaryjnego

1 zabrał do pobliskiego schronienia utrzymywanego przez sekcję bezpieczeństwa.

W powstałym zamieszaniu chwilę zajęło ustalenie, co dokładnie się stało. Ale pierwszy rozkaz brzmiał: ewakuować rannych i uwolnić uwięzionych. Rick zorganizował i przeprowadził tę akcję. Zamach unicestwił 64 ludzkie istnienia.

Rannych i okaleczonych było o wiele więcej.

Po żadnej ze stron nie wzięto jeńców.

Oddział ochrony zabity podczas zamachu bombowego na ambasadę amerykańską w Bejrucie 18

kwietnia 1983 Cesar Bathiard, ochroniarz Starszy sierżant Terry Gilden, Szwadron A, Delta Ghassan Hammoud, ochroniarz Mohamed Hobeikah, ochroniarz Mustafa Kreidieh, ochroniarz Abbed Kronfol, ochroniarz Mohamed Mehio, ochroniarz Hassan Moula, ochroniarz Ali Mourad, ochroniarz Ali Najem, ochroniarz Taher Sleiman, ochroniarz Saleem Tamim, ochroniarz

Na wiele lat Bejrut stał się czymś w rodzaju drugiego domu dla operatorów Delta Force. Ścigaliśmy, niekiedy dopadaliśmy porwane samoloty, które wylatywały z (lub docierały do) tymczasowego miejsca spoczynku na płycie bejruckiego lotniska. Grasowaliśmy w slumsach i badaliśmy podbrzusze miasta, poszukując porwanych ofiar.

Ale wynik tych misji był zawsze taki sam. Kiedy już, już mieliśmy wszystko dograne, a pułapka miała zadziałać, „nie-zdecydowani” nad Potomakiem w ostatniej chwili się załamywali i wahali na tyle długo, aby spieprzyć każdą naszą operację.

Samolot odlatywał na inne lotnisko albo porywacze zmieniali kryjówkę, w której przetrzymywali ofiary, a polowanie trzeba było organizować na nowo. Zacząłem szczerze doceniać te ćwiczenia, kiedy byliśmy gotowi na pościgach szturmowych tylko po to, by nas odwołano, gdy tylko rozpoczęło się odliczanie. W realnym życiu częściej rozgrywało się to właśnie w ten sposób, niż jakkolwiek inaczej.

Bejrut był miastem zawiedzionych nadziei dla praktycznie każdego człowieka związanego z tym miejscem. Przy najmniej jedno z naszych doświadczeń w tym niestabilnym mieście było w 100 procentach absurdalne.

Pewnego ranka w Fort Bragg starszy sierżant naszego szwadronu złapał mnie w holu po lunchu.

- Haney, ty i Ansley macie się zgłosić do zastępcy dowódcy. Czeka w swoim biurze, ma coś dla was.

- Dobra, Dan. Masz pojęcie, o co chodzi?

- Zdaje się, że coś w temacie Bejrutu. Chciałeś jechać na wakacje, nie? — Simpson był teraz starszym sierżantem szwadronu B i nie będzie przesady w stwierdzeniu, że był naszą niewzruszoną opoką, dzięki której wszystko trzymało się kupy.

- Noo - mruknąłem. - Ale miałem raczej na myśli spokojną wycieczkę na ryby przy Outer Banks.

- No to do zobaczenia jak wrócisz. O ile wrócisz — uśmiechnął się.

- Dobra, Dan, do zobaczenia.

Zastępca dowódcy, Jesse Anderson, stał w wiatrołapie przed głównym wejściem, przyglądając się ogródkowi różanemu, który zasadziliśmy podczas tworzenia jednostki. Gdy podeszliśmy, wyciągnął z ust nieodłączne cygaro.

- Widzieliście kiedykolwiek kwiaty, które rosną tak, jak te? — zapytał, kołyszac cygarem

wzdłuż niezliczonych rzędów róż. — Musieli użyć jakiegoś nawozu.

- Tak było, sir.

Nie powiedziałem mu, że grządki wypełnione były pięćcioma ciężarówkami szlamu z oczyszczalni ścieków i lata miną, zanim będą wymagały nawiezienia. Niektóre rzeczy najlepiej pozostawić niewyjaśnionymi.

Jesse przeniósł uwagę z ogrodu na nas.

- Panowie, zgłoszcie się do JSOC (Połączonego Dowództwa Operacji Specjalnych) i zgłoszcie się do J-3 (oficera operacyjnego). Potrzebuje paru ludzi, którzy byli już w Bejrucie i wiedzą, co i jak. JSOC zapewni niezbędną koordynację i wsparcie, czego tylko będziecie potrzebowali, ale samo przeprowadzenie misji leży już w waszej gestii.

— Tak jest, szefie - powiedziałem i odwróciliśmy się, by odejść.

— I jeszcze jedno, panowie.

Zatrzymaliśmy się i zczekaliśmy aż jeszcze raz zaciągnie się cygarem, jednocześnie bacznie wpatrując się w nasze twarze.

— Co takiego, sir?

— Nie dajcie się załatwić - powiedział cichym głosem i odprawił nas skinieniem głowy.

— Nigdy się nie dajemy - powiedział Steve i skierowaliśmy się na parking.

— Co o tym myślisz? - zapytałem Mustafy (taką pieszczotliwą ksywkę nadałem Steve'owi) gdy wsiadaliśmy do mojego pickupa.

— A cholera wie — powiedział. — Ale się zaraz dowiemy. Pokazaliśmy nasze odznaki przy frontowej bramie

ośrodka JSOC, a później jeszcze raz, by uzyskać pozwolenie na wejście do budynku. Jakiś sierżant eskortował nas na górę do pokoju odpraw Centrum Operacyjnego. Siedliśmy niecierpliwie czekając i studiując mapę przypiętą do ściany, a po kilku minutach pojawił się J-3.

„Trójka” był pułkownikiem o chłopięcej aparycji, a wchodząc do sali zacierał ręce z uciechy.

Wstaliśmy i powitaliśmy go, a on przysiadł na rogu biurka, gestem wskazał nam, byśmy również zajęli miejsca i popatrzył na nas z konspiracyjnym uśmiechem.

- Chłopaki - powiedział teatralnym szeptem przechyłał się w naszą stronę. - Jak myślicie, jesteście gotowi na szybką wycieczkę do Bejrutu?

- Tak jest, sir. Jesteśmy. O jaką misję chodzi?

- Wiecie zapewne, że nawet gdy tu rozmawiamy, Izraelczycy przemykają do Libanu, by zniszczyć Palestyńczyków? — było to stwierdzenie, a nie pytanie. — Szybko robi się tam gorąco i potrzebujemy dostarczyć ambasadzie w Bejrucie system do komunikacji satelitarnej, ale lotnisko w stolicy nie nadaje się obecnie do użytku - mówił dalej bez zatrzymywania się. - Oto, jak to zrobimy.

O, jak uwielbiałem, gdy sztabowiec mówił „my”. - Dziś wieczorem weźmiecie system satelitarny oraz sprzęt osobisty i polecicie C-141 do bazy sił powietrznych Sigonella we Włoszech. Kolejnego wieczoru wsiądziecie na pokład C-130 lecącego do Libanu, gdzie wyskoczycie ze spadochronami do Morza Śródziemnego kilka kilometrów od nabrzeża przy ambasadzie. Wyskoczycie na 8 tysięcy metrów — w sprzęcie do nurkowania, z butlami tlenowymi. Będziecie płynęli pod powierzchnią aż skończy się wam tlen, następnie zaś na powierzchni aż do brzegu przed ambasadą. Potem wyjdziecie na brzeg i podejście do głównego wejścia do ambasady, jakbyście przyjechali na przyjęcie. Tak po prostu.

Miałem wrażenie, że oczekuje z naszej strony oklasków. W armii panuje wśród oficerów kuriozalne przekonanie, że jeśli misja jest twoim pomysłem, to odnosisz sukces taki, jakbyś sam ją wykonał. Steve i ja siedzieliśmy przez kilka sekund bez ruchu, rozważając sprawę. Potem spojrzeliśmy na siebie.

— Steve, ja mam mu powiedzieć czy ty to zrobisz?

- To może ja, Ericu.

Steve poprawił się na krześle. Oparł łokieć na kolanie i podparł dłonią podbródek, przechylając się w przód tak, by jego twarz znalazła się blisko twarzy pułkownika.

Bardzo uprzejmie Steve powiedział:

— Sir, nie zrobimy tego.

Pułkownik podskoczył jakby dotknął elektrycznego pałucha. Uśmiech znikł z jego twarzy wraz ze sztucznym wyrazem przyjaźni.

- Co wy do cholery mówicie? Jak to nie zrobicie? Macie obaj robić, co wam każą, sierzancie!

Pułkownik wstał, by móc z góry wydzierać się na Steve'a, siedzącego na przedłużeniu jego imponującego nosa.

Ja wstałem, by wyjść. Widziałem już wcześniej takich typków. Wysłałby radośnie całą kompanię na śmierć, gdyby tylko mógł za to dostać Srebrną Gwiazdę.

— Chodź, Steve — powiedziałem. - Wracamy do jedynostki. Tu do niczego nie dojdziemy.

Pułkownik błyskawicznie przywrócił swojej twarzy sztuczny wyraz przyjaźni, który wcześniej tak szybko się ulotnił.

— Czekaście, chłopcy, czekajcie. W czym problem? Możemy coś wspólnie wymyślić. Możemy razem podziałać.

— Pułkowniku, problemem jest cały ten pomysł — wyjaśniłem. — Po pierwsze, sami planujemy misję. Pan nam daje zadanie, ale to my decydujemy, jak je wykonać. Po drugie, wszystko, co zaproponował nam pan jako metody wykonania zadania fajnie brzmi w teorii, ale kompletnie nie sprawdzi się w rzeczywistości. Nocne zrzuty spadochronowe w nieznanym terenie zawsze powodują, że trafia się w niewłaściwe miejsce. A poza wszystkim, to Izraelczycy widzieli

już w Bejrucie zbyt wiele nocnych desantów z wody. Lokalne miłlicje są czujne i strzelają do wszystkiego, co się rusza nocą na nabrzeżu. A jeśli dorwą kogoś w wodzie, roz-pirzą go granatem. Mówię panu, granat naprawdę po-trafi zepsuć całą zabawę.

— No to jak wy byście to zrobili? - dopuścił zwątpienie do swojego głosu.

Steve natychmiast odpowiedział.

— Pojechalibyśmy do Waszyngtonu i wsadzilibyśmy sprzęt do przesyłki dyplomatycznej. Polecielibyśmy do Ammanu w Jordanii jako kurierzy dyplomatyczni. Z am-basady pojechalibyśmy samochodem do granicy z Libanem, gdzie spotkalibyśmy kierowcę z autem z ambasady w Bejrucie. Przekazalibyśmy mu sprzęt. Wrócilibyśmy do Fort Bragg analogiczną drogą. Taniej i szybciej niż pańska propozycja, no i, jeśli mogę dodać, o wiele bezpieczniejsza.

Pułkownik nie mógł sobie odpuścić odbicia rzuconej przez Steve'a piłeczki.

— Ach, więc bezpieczeństwo osobiste przedkładacie nad wszystko inne. O to idzie?

Nadeszła moja kolej, więc wkroczyłem przed Steve'a.

— Pułkowniku, pozwolę sobie zaproponować panu układ. Skoczy pan z nami z rampy C-130 i dopłynie do brzegu. Wtedy będzie pan prawdziwym bohaterem.

Wciąż jeszcze miotał groźby, gdy wychodziliśmy z poko-ju odpraw. Nie rozmawiałem ze Stevem, dopóki nie wsie-dliśmy do samochodu i nie wyjechaliśmy za bramę. Byłem strasznie wkurzony. Na pułkownika, absolwenta Szkoły Wojskowej, dorosłego człowieka, który powinien wiedzieć lepiej, a okazał się jedynie oślepiiony własnym blaskiem.

Pierwszy odezwał się Steve, kręcąc głową i uderzając dłonią w deskę rozdzielczą.

— Za dużo filmów. Ten facet obejrzał zbyt wiele filmów sen-sacyjnych i przeczytał za dużo powieści o superbohaterach.

— Wiem, Mustafa. Ale popatrz na to z jego punktu wi-dzenia. Ten biedak pracuje tu dopiero od roku i musi się wykazać. A jeśli to ma kosztować życie paru sierżan-cin, no to trudno. Założę się, że miał nawet z góry przy-gotowane przemówienie na nasz pogrzeb. No i wiesz, w końcu pogadaliśmy tam o czymś ważnym. O jego ka-rierze, o tym, czy zostanie generałem brygady, czy nie

- wydałem z siebie radosny okrzyk. - A w porównaniu do tego, czymże są takie łatwo zastępowalne barany jak my? No gdzie jest twoje wyczucie proporcji, człowieku?

— uśmialiśmy się, wracając na Ranczo, ale wiedzieliśmy, że się nam dostanie.

Jesse czekał na nas, gdy zatrzymaliśmy się przy jego biu-rze, by się zameldować. Zdjął nogi z biurka i uśmiechnął się do nas tak, że jego oczy zamieniły się w gadzie szparki przecinające jego twarz.

- No, właśnie miałem interesujący telefon od generała Shockmana. Nie zgadniecie, kogo dotyczył. Wygląda na to, że ktoś w JSOC chciałby was obu postawić pod ścianą i rozstrzelać. Oj,

chłopaki, jak wy świetnie umiecie przy-sparzać sobie wrogów!

- Tak jest, sir! Staramy się z całych sił, sir! - odpowiedziałem i mógłbym przysiąc, że Jessemu się to podobało.

Nie spuszczał z nas wzroku, gdy przechylał się w bok, by cisnąć jakimś kawałkiem tytoniu w szeroko pojętą stronę kosza na śmieci.

— Wiem, że się staracie, Erie, dobrze wiem. Dlatego to was tam wysłałem. A generał mówi, że macie wolną rękę i możecie sprawę załatwić po swojemu i żebyście się nie martwili, co ktoś sobie pomyśli. Zbierajcie się, wyruszacie dziś po południu. Zameldujcie się w administracji, oni załatwią sprawy transportu. A ze skarbca wypłacicie potrzebne fundusze. Szwadron Sygnałowy przygotował wam przesyłkę. Jeśli będziecie potrzebowali czego-kolwiek po drodze, dajcie nam znać, będziecie w końcu wieść sprzęt do łączności satelitarnej.

— Tak jest, sir. Mam nadzieję, że nie miał pan kłopotów z generałem.

— Nie. Cholera, chłopaki, poprawiliście mi humor. No to ruszajcie i do zobaczenia po powrocie — zapalił kolejne cygaro i chichotał sam do siebie, gdy szliśmy korytarzem.

Steve i ja rozegraliśmy sprawę po swojemu i wróciliśmy bez problemów. Ale wyprawa na ryby po powrocie była nieudana. Pewnie to nie był dobry czas na łowisku Outer Banks. Jednak potrzebowalem takiego spokojnego interludium. Już niedługo miałem się znaleźć z powrotem w Bejrucie z misją, która ze spokojem nie miała nic wspólnego.

— Strzelcy chyba nie mają ustalonych planów. Czasem pojawiają przez kilka dni pod rząd. Czasami nie widać ich w ogóle - dzień lub dwa. Jedyną pewną rzeczą jest to, że przychodzą popołudniami z tym samym zamiarem, a kryją się w tłumie dzieci i nastolatków.

Popatrzyłem na inne ściągnięte twarze, stłoczone w śmierdzącym stęchlizną bunkrze. Major Marines kontynuował odprawę.

— To właśnie ten ostatni fakt czyni całą sprawę tak trudną do rozwiązania. Gdyby to byli samotni strzelcy, załatwiłibyśmy to sami dzięki naszym snajperom. Jednak ci ludzie chyba odkryli ograniczenia naszych ROE (Zasad Uży-cia Siły) i korzystają z tego na całego. Wiedzą, że nie możemy pozwolić sobie na zabijanie cywili. Strzelając do nas, dzieciaków używają jako żywych tarcz. Nie możemy odpowiedzieć ogniem. Moi snajperzy przyznają, że są w stanie zdjąć każdego ze strzelców pomimo otaczającego go tłumu, jednak niemal na pewno pocisk ugodziłby jakiegoś cywila. A tym cywilem na pewno byłoby dziecko. Do tej chwili kilku naszych zostało rannych - na szczęście żaden nie zginął. Ale jeśli wszystko będzie dalej szło w tym kierunku, to tylko kwestia czasu aż stracimy paru Marines. A jestem pewien, że nie muszę tłumaczyć, jaki to będzie miało wpływ na nasze morale. Powiedziano nam, że możecie pomóc. Jeśli to prawda, będziemy bardzo wdzięczni.

Major skończył przemówienie i spokojnie czekał na odpowiedź.

Andres i ja dostaliśmy już wcześniej ostrzeżenie o problemie, przed jakim stoją Marines w Bejrucie. Na początku powiedziano nam, że mają kłopot z przypadkowymi strzelcami biorącymi za cel ich stanowiska na lotnisku. Brzmiało to dziwnie, ponieważ Marines zawsze wybierali najwytrawniejszych snajperów. W przeciwieństwie do armii, utrzymywali dobrze wyszkolone drużyny snajper-skie i wiedzieli, jak nimi dowodzić. Parę razy strzelaliśmy z ich snajperami i naprawdę należeli do śmietanki. Ale później poznaliśmy resztę tej historii i kawałki układanki zaczęły do siebie pasować.

Snajperzy Marines nie mogli strzelać, ponieważ ich ma-sywna, ważąca 11,2 grama, kula z twardym płaszczem była przeznaczona do zastosowań wojskowych. Miała być stabilna, precyzyjna i łatwo zagłębiać się w cel.

Był to jeden z pierwszych problemów, z jakimi musieliśmy się zmierzyć decydując, jak strzelać w akcji antyterrorystycznej w tłumie. Jak zabić z dużej odległości jedną osobę znajdującą się w grupie i przy tym nie zranić nikogo innego? Był to zasadniczy dylemat „szturmu na wol-nym powietrzu” — ataku na terrorystę otoczonego i za-słaniającego się zakładnikami. Z takiej metody skorzystał z powodzeniem co najmniej raz Carlos — „Szakal”, mistrz terroryzmu — aby przedostać się z budynku do autobusu, a w końcu do samolotu, którym zbiegł. Ale złamaliśmy ten kod wiele lat temu.

Odpowiedź przyszła w formie pocisku, który nadal za-pewniał celność i moc, ale trafiwszy w ludzkie ciało, po-zostawał w nim. Wykonaliśmy pewne eksperymenty w pierwszym roku działania i znaleźliśmy pociski karabi-nowe rozwiązujące ten problem.

Dzięki ręcznie ładowanym, niezbyt ciężkim pociskom o lekkiej konstrukcji, wylatującym z lufy z ogromną prę-dkością, mieliśmy w końcu idealne kule, które oddawa-ły swoją energię tak gwałtownie i szybko, że zostawały w ciele ofiary. Niestety, efektem ubocznym tego znalezi-ska było skrócenie dystansu, z jakiego dawało się strzelać.

Pomimo iż pocisk opuszczał broń z dużą prędkością, ta sama lekkość, która kazała mu gwałtownie oddawać energię przy uderzeniu w cel, powodowała też, że nagle zmniejszała się jego prędkość. Świetnie nadawał się do strzałów z odległości około pół kilometra. Skąd to wie-dzieliśmy? Po wykonaniu obliczeń i pewnych wstępnych badaniach, przeprowadziliśmy testy empiryczne, strzela-jąc do kilku żywych kóz. Nikomu nie podobało się strze-lanie od zwierząt, ale ponieważ taki sposób testów wybra-no, by uniknąć ranienia niewinnych istot ludzkich, wy-dawało się słusznym przykładanie do tego mniejszej wagi.

Kiedy mnie i Andresa przydzielili do tej misji, spędzili-smy najpierw kilka godzin w magazynie amunicji przygo-towując naboje, a następnie na strzelnicy, sprawdzając usta-wienia optyczne naszej broni i jej celność z tą amunicją. Później wsiedliśmy na pokład samolotu transportowego Sił Powietrznych i udaliśmy się w długą drogę do Bejrutu.

Wiedziałem, że Marines nie są zbyt szczęśliwi prosząc nas o pomoc w tej sprawie. Żadne służby nie lubią korzystać ze wsparcia innych. Ale wiedziałem też coś innego o nich, co nie jest powszechnie znane: byli wytrawnymi żołnierzami. Marines potrafią ruszyć głową. Wierzą w używanie przemo-cy, gdy jest ona niezbędna, ale też wierzą w stosowanie jej w inteligentny sposób. Jestem przekonany, że jest tak, ponieważ dowodzeni są przez bezinteresownych, doskonałych ofi-cerów. Zawsze dobrze mi się pracowało z Marines.

Poprosiłem o wypożyczenie plutonu na czas pobytu w Bejrucie - i pluton ten otrzymałem. Potrzebowałem dyżurującej 24 godziny na dobę drużyny. Pluton miał się trzymać w ukryciu, a jedna drużyna cały czas powinna czuwać, by móc w każdej chwili przystąpić do akcji. Resz-ta oddziału mogła zostać w kwaterach. Fajnie było mieć za sobą jakieś wsparcie, gotowe do zapewnienia pomocy w razie wpakowania się w gniazdo szerszeni. W Bejrucie nigdy nie było wiadomo, co może się zdarzyć.

Po rozmowie organizacyjnej z dowódcą plutonu i do-wódcami drużyn, Andres i ja wzięliśmy celowniki optycz-ne i spędziliśmy resztę popołudnia na rozglądaniu się po okolicy, którą strzelcy szczególnie sobie upodobali. Zi-dentyfikowaliśmy kilka potencjalnych ukrytych pozy-cji strzeleckich i rozrysowaliśmy szczegółowo plan całej okolicy. Pozostaliśmy w naszym punkcie obserwacyjnym i prowadziliśmy obserwację przez dwie godziny po zmierzchu. Chcieliśmy dobrze poznać okolicę za dnia, jak i po zmroku.

Następnie wróciliśmy do TCO (Tymczasowego Cen-trum Operacyjnego) Marines, by pobrać suchy prowiant i odbyć ostatnie spotkanie koordynacyjne z majorem. Kiedy w końcu wyruszyliśmy, nie chcieliśmy, by nasze zachowanie zwracało uwagę. By ktokolwiek obserwował nasze ruchy, bądź wysyłał jakąś pomoc, o ile o nią nie poprosimy. Cisza w eterze była najważniejsza. Gdybyśmy potrzebowali wsparcia, to je wezwiemy. Dopóki druży-na czuwała, gotowa ruszyć do akcji, reszta plutonu mogła spać. Właściwie, tak nawet bardziej nam pasowało.

Byliśmy przygotowani na pozostawanie na stanowisku przez cztery dni. Gdyby do tego czasu nie udało się rozwią-zać problemu, mieliśmy wycofać się, uzupełnić zapasy i wró-cić na pozycje. Wszelkie przemieszczenia mieliśmy wykony-wać pod osłoną nocy, najpierw nawiązując kontakt radiowy. Zaznaczyliśmy nasze potencjalne pozycje na mapie i popro-siliśmy majora, by upewnił się, że nikt nie wystrzeli nocą flar. Gdybyśmy musieli zmienić pozycje, robilibyśmy to w ciem-nościach i nie chcieliśmy zdradzać swojego położenia. Pro-sty plan, wymagający niewiele koordynacji, a my chcieliśmy mieć wolną rękę tak długo, aż misja zostanie wykonana.

Po raz ostatni sprawdziliśmy sprzęt, zameldowaliśmy dowódcy plutonu, do którego należał ten sektor, że rusza-my i wkradliśmy się w mrok między Marines a ludzi, któ-rzy do nich strzelali. Uwiliśmy sobie gniazdko w wielkiej stercie śmieci i gruzu. Miejsce to wyglądało, jakby było wysypiskiem odpadów ze zniszczonych budynków i Bóg jeden wie, ile tam tego było. Kiedy już

byliśmy zadowoleni z naszej pozycji, na zmianę wyczołgiwaliśmy się z niej, by rozejrzeć się za wrogiem przy użyciu noktowizorów. Nie był to idealny sposób na znalezienie czyjejś kryjówki, ale najlepszy, na jaki mogliśmy sobie pozwolić w tych okolicznościach.

Następnie zmierzaliśmy odległości i kąty położenia pobliskich obiektów. Jutro za dnia mieliśmy przyjrzeć się możliwym położeniom celów, a następnie, korzystając z tabeli trygonometrycznych z naszej książki snajperskiej, mieliśmy obliczyć odległości do potencjalnych celów. Pomimo iż mieliśmy ze sobą nowiutki laserowy odległościomierz, nie ufaliśmy mu jeszcze, dlatego chcieliśmy porównać jego odczyty z wynikami wyliczonymi „na piechotę”.

W końcu usadowiliśmy się na pozycjach i obaj odpłynęliśmy w „sen polowy” na czas pozostałych godzin ciemności. Starzy bojowi wyjadacze wiedzą, co mam na myśli.

Kiedy masz do wykonania misję polową, ktoś zawsze musi czuwać na straży. Ponieważ jednak było nas tylko dwóch, nie mogliśmy podzielić wartowniczego obowiązku. Zamiast tego nocami ufaliśmy naszej kryjówce. To, i fakt, że obaj potrafiliśmy spać, utrzymując czujność umysłową. Jednocześnie się śpi i czuwa. Umysł wypoczywa, a jeśli cokolwiek poruszy się w pobliżu, bądź też coś wyda niepokojący dźwięk, natychmiast przechodzi się do pełnego czuwania.

Sen polowy nie był jedynym przykładem zwycięstwa umysłu nad ciałem, jakie odnosili snajperzy Delt. Byliśmy również trenowani, by umieć zwolnić puls siłą woli. To pozwalało strzelać dosłownie pomiędzy uderzeniami serca. Umiejętność krytyczna, gdy człowiek zaczyna się orientować, że tak nieistotna rzecz, jak uderzenie serca potrafi wpłynąć na celność. I to do tego stopnia, że pocisk lądował metr od celu. Trening wyposażał też snajpera w umiejętność kierowania ciepła w różne miejsca ciała, co pozwalało na ogrzanie palca na spuście lub zmarzniętych stóp. Umieliśmy też leżeć bez ruchu całymi godzinami, pozwalając ciału wypoczywać, podczas gdy umysł cały czas był aktywny. Takie postępowanie pozwalało na długotrwałą uważną obserwację celu bez utraty zainteresowania i koncentracji przy jednoczesnym zachowaniu zdolności do natychmiastowej reakcji. Można to porównać do cierpliwości gada. Te bezcenne umiejętności należały do treningu biofeedback, który przeprowadzał z nami oddziałowy psycholog.

Dzień pierwszy był spokojny. Spędziliśmy go, zmieniając się przy celowniku optycznym co 30 minut, by zminimalizować zmęczenie oczu. Co jakiś czas wycelowywaliśmy laserowy odległościomierz w przypadkowe punkty i porównywaliśmy wyniki pomiarów z naszymi obliczeniami, a obie wartości okazywały się całkowicie zgodne.

Odległość od slumsów, które były naszym celem, wynosiła od 250 do 350 metrów. Teren pomiędzy nami i naszym celem wznosił się łagodnie i pokryty był jedynie rozrzuconymi stertami śmieci czy ruinami budynków. Nie było tam większych drzew, tylko ziemia pokryta wątłymi chwastami i suchymi krzakami, pomiędzy którymi pałętał się bez celu stary osioł. Na prawym

krańcu tego obszaru znajdowało się parę częściowo zniszczonych szklarni, przebrzmiałych wspomnień minionych dni prosperity.

Widzieliśmy niewielu ludzi. Zajmowali się codziennymi sprawami i jak zwykle przy tego rodzaju obserwacji zaczynaliśmy ich poznawać coraz bardziej. Kilku małych chłopców przyszło pobawić się w zaroślach pomiędzy nami a wioską. Przyglądałem się, jak biegają tam i z powrotem, krzyżąc i waląc w ziemię patykami. „Co oni robią?” — zastanawiałem się. Nagle jeden z nich podniósł do góry swoje trofeum, a pozostali przybiegli, by je podziwiać. Polowali na jaszczurki. Miałem nadzieję, że ich polowanie nie sprowadzi ich w pobliże naszej kryjówki. Byli zaledwie o krok od odkrycia nas. Mali chłopcy lubią myszkować, gdzie tylko się da. Gdyby dzieci na nas wpadły, odeszlibyśmy po prostu i spróbowali podjąć misję później. Jednak to by nam wszystko skomplikowało. Strzelalibyśmy jedynie wtedy, gdyby natknął się na nas ktoś uzbrojony. Użylibyśmy broni z tłumikiem - ale tylko gdybyśmy byli absolutnie pewni, że zostaliśmy zdemaskowani i nie mamy innego wyboru.

Nic się jednak nie stało. Dzień minął bez zakłóceń. Słońce stopniowo obniżyło się i zgasło w błękitnych wodach Morza Śródziemnego. W nocnym powietrzu łatwo niesły się głosy, więc słyszeliśmy rozmowy i życie rodzinne małego przyłodka Bejrutu, wysuniętego w naszą stronę. Snajper jest niemal podglądaczem i często spostrzega rzeczy, których widzieć by nie chciał.

Przyglądałem się, jak jakiś mężczyzna spuszcza lanie swojemu synowi i kusilo mnie, by przestrzelić łąpsko dzierzążę ten kij. Wiem aż za dużo na temat lania - żadne dziecko nie zasługuje na takie baty. Umiem rozpoznać dyscyplinę, a to nie była dyscyplina - była to podłość dla samej podłości. Miałem nadzieję, że ten śmieć jest jedynym ze strzelców, ale wiedziałem, że niestety tak nie jest. Ten człowiek był tchórzem. Nigdy nie podjąłby ryzyka strzelania do Marines, nawet spośród tłumu osłaniających go dzieci. Nie, strzelcy mieli różne cechy, ale jedną z nich na pewno nie było tchórzostwo. Mogli być zwiedzeni, być może głupi, zdecydowanie skazani na zagładę.

Drugi dzień był z grubsza powtórką pierwszego. Leniwy, spokojny, senny. Tej nocy zmieniając się na warcie oglądaliśmy w telewizorze znajdującym się w jednym z domów film z Johnem Wayne - „Poszukiwacze”, jeden z moich ulubionych.

Marines doskonale się dotąd sprawowali. Obawiałem się nieco, że przez gorliwość zrobią coś, co nas zdekonspi-ruje. Tak się jednak nie stało.

W żywych barwach malowało się wspomnienie sprzed paru lat, kiedy coś takiego wydarzyło się podczas nocnego skoku na teren bazy Marines Twenty-Nine Palms. Marines chcieli pomóc, ponieważ nie umieli sobie wyobrazić niko-ogo skaczącego na pustynię w środku nocy. Dlatego grupka ludzi wybrała się do strefy zrzutu, by na nas zaczekać, a gdy usłyszeli samoloty, wystrzelili flary prosto w niebo.

To był najgorszy skok w moim życiu. Noktowizor zniszczony, ja oślepiony flarami i w uścisku

porywów wiatru uderzyłem w ziemię jak worek ziemniaków. Wywichnąłem biodro. Potem race eksplodowały i znów byłem ślepy. Jeden z Rangerów miał się gorzej. Znalazłem go nieprzytomnego, oplatanego spadochronem i plecakiem, ze złamaną kością wystającą z łydki. „Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane” pomyślałem, gdy ja i mój partner leżeliśmy w naszej ciasnej, acz przytulnej kryjówce. Zapewne zastanawiacie się, w jaki sposób snajperzy radzą sobie z przyziemnościami fizjologicznymi przez tak długi czas. Odpowiedź jest prosta: płyny do butelki, ciała stałe do woreczka. A kiedy potrzebujesz momentu intymności, partner usuwa się i po przyjacielsku wspiera w kłopotliwej chwili. Kiedy przychodzi jego kolej, ty robisz dla niego dokładnie to samo. A kiedy opuszczasz lokację, zabierasz ze sobą wszystko, co przyniosłeś. Nadszedł dzień trzeci i godziny upływały spokojnie. Właśnie zerknąłem na zegarek - pokazywał 5:35 - a gdy z powrotem spojrzałem przed siebie, zobaczyłem, że w miejscu, oznaczonym przez nas jako „Pozycja 4” zaczęła się gromadzić ludźle. Znajdowali się na końcu wąskiej alei, z jednej strony obudowanej murem z betonowych bloczków.

- Akcja na czwórce, Andres - powiedziałem i przeturlałem się zza lunety. Obaj zajęliśmy pozycje przy naszych karabinach. Spojrzałem przez lunetę na Pozycję 4 i szybko ustawiłem odległość na 320 metrów. Następnie maksymalnie docisnąłem w dół trzon zamka, bezpiecznie blokując nabój w komorze. Pozwoliłem palcowi znaleźć swoje miejsce na spuście i zacząłem oddychać w rytmie, który najmniej zaburzał widzenie celu. Przygotowałem się do strzału, przysuwając i odsuwając moje prawe kolano do i od serca. Wiedziałem, że Andres robi to samo.

W przeciwieństwie do bezruchu trzech ostatnich dni, teraz wszystko rozgrywało się w niebywałym tempie. Widok rozciągający się przede mną miał w sobie coś złowieszczonego. Nagle jak spod ziemi pojawiło się czterech czy pięciu nastolatków. A chwilę później było już ich w tym miejscu dwudziestu czy dwudziestu pięciu, śmiejących się, gwizdających i wskazujących na oddalone stanowisko Marines. Wołali i machali do kogoś za nimi, kogoś ukrytego za betonową ścianą.

— Zaczyna się, Erie - mruknął Andres.

— Gotowy — szepnąłem, gdy pojawił się pierwszy strzelec. Namierzyłem go przez lunetę. Trzymał w rękach kłusznikowa i wylewnie pozdrawiał tłum.

— Daj znać, kiedy pojawi się twój - powiedziałem łagodnie - i gdy będziesz gotów do strzału. Mój człowiek zwrócony był teraz do mnie. Zaczął podnosić karabin. Wiedziałem, że Andres też już namierzył swojego, gdy ułamek sekundy później zaintonował:

- Snajperzy... Gotów... Strzał. Trach.

Dwa karabiny jednocześnie plunęły jadem. Nici siatki celowniczej przecinały się na górnej wardze młodego człowieka, gdy mój karabin wypalił, a ja drgnąłem, pchnięty siłą odrzutu. Człowiek zniknął. Kiedy już uspokoiłem celownik, jedynym śladem, że stał tam człowiek, był blade różowy obłoczek rozniesionej w pył tkanki i krwi, który momentalnie rozwiął się w

powietrzu. Złudzenie zniknęło niemal w tej samej chwili, gdy je spostrzegłem. Pozostało nic - w gorącym popołudniowym słońcu.

- Zdjęty — powiedziałem, wprowadzając do komory nowy pocisk.

- Zdjęty - odpowiedział Andres, robiąc to samo. Przyglądaliśmy się, jak tłum się rozpierzcha.

Ciała

dwóch mężczyzn uderzyły w ziemię, zanim jeszcze do grupy dotarł dźwięk wystrzału.

Niektórzy biegli. Niektórzy wyglądali jakby potrzebowali pomocy, ale najwyraźniej nie wiedzieli, co zrobić. Inni zamarli nad ciałami z przerażeniem na twarzy. Kilku bardziej doświadczonych natychmiast się ukryło i nawoływało pozostałych, by zrobili to samo.

Andres i ja starannie przyjrzelśmy się terenowi — ja po lewej, Andres po prawej. Musieliśmy się upewnić, że nikt nie zorientował się, skąd padły strzały. Kiedy znów spojrzałem na miejsce zdarzenia, zobaczyłem kilka twarzy wyglądających zza rogu muru i kilka kolejnych tuż za narożnikiem budynku. Zauważyłem też paru odważniaków, którzy ruszyli, by zabrać z widoku ciała swoich kolegów.

Załatwione.

Niewiele mieliśmy do powiedzenia przez resztę popołudnia. Wyczuwałem nastrój Andresa i byłem pewny, że z wzajemnością. Wypełniliśmy misję, jednak nie było powodów do dumy. Czuję się zbrukany i nieco winny - tak, jakbym coś ukradł i nikt by nie wiedział, że to ja. Kiedy jest gorąco, a ty wiesz, że ratujesz niewinne życia ludzkie swoim talentem strzeleckim, bycie snajperem ma w sobie coś podniecającego. Ale teraz było inaczej. Końieczność, jednak trudna do zniesienia. Został mi po niej w gardle niesmak, który nie chciał za nic mnie opuścić.

Zostaliśmy w naszym legowisku aż do zapadnięcia ciemności, potem wycofaliśmy się w bezpieczne schronienie amerykańskiego obozu.

Wiosną 1981 roku Delta zaczęła pracę nad misją, która zajęła nam dwa lata — choć nigdy nie miała miejsca.

Ta stracona misja do dzisiaj mnie prześladowuje. Właściwie z czasem nęka mnie coraz bardziej.

Długo rozważałem, czy ją tu opisać, czy lepiej nie. Kiedy już podjąłem decyzję, że to zrobię, musiałem jeszcze zdecydować, jak to zrobić. Doszedłem do wniosku, że jest tylko jeden sposób — twardo i szybko.

W roku 1981 dowiedzieliśmy się, my - czyli siły rządu amerykańskiego - o około 125 amerykańskich jeńcach wojennych wciąż przetrzymywanych w Laosie. Gdy więc północnowietnamskie władze twierdziły, że w Wietnamie nie ma żywych jeńców amerykańskich, teoretycznie była to prawda.

Niebawem zorganizowano działania wywiadowcze w celu ustalenia dokładnego miejsca pobytu

więźniów. Jednocześnie Delta Force zaczęła planować przeprowadzenie operacji ratunkowej. Pracowaliśmy bardzo szybko i udało się nam nawet wykonać próbę generalną proponowanego ataku, kiedy misja została odwołana. W końcu ją pogrążono.

Nie, „pogrążono” to zdecydowanie niewłaściwe słowo. Misja została metodycznie rozszarpana — kawałek po kawałku, a jedyne, co po niej zostało, to nieprzyjemne plotki o żywych jeńcach wojennych.

Nie twierdzę, że znam całą historię, która się za tym kryła. Znam tylko tę małą część, która dotyczyła Deltę i różne szczątkowe informacje, na które natknąłem się od tamtego czasu. Od początku do końca cała misja była tak rozczłonkowana, że tylko garstka ludzi wiedziała wszystko. Jednak z tego, co wiem z pierwszej ręki i czego dowiedziałem się od ludzi, którym ufam, uważam, że ci właśnie, którzy wiedzieli wszystko, podjęli desperacką, choć w końcu udaną próbę sprawienia, by żaden Amerykanin nie uciekł z niewoli w Wietnamie. Tak. Samo myślenie o tym jest niewyobrażalnie bolesne. Nim nadeszło lato 1981 roku, byliśmy gotowi do wyruszenia.

Przeprowadziliśmy właśnie próbę generalną z podwójną ilością utrudnień - jak nocne tankowanie (z latającej cysterny C-130) podczas długiego lotu tuż nad ziemią poprzez górskie przełęcze. Ponieważ minął dopiero rok od wyprawy irańskiej, tym razem użyliśmy śmigłowców Sił Powietrzno-Desantowych, obsadzonych przez ich ludzi, z których większość już miała okazję latać w misjach poszukiwawczo-ratunkowych w Wietnamie. Tym ludziom można było zaufać, nie poddałoby się na pewno.

Aby nasza próba była tak realistyczna, jak to tylko możliwe, do ratowania wzięliśmy sobie grupę szkoleniową pilotów Air Force, przechodzących akurat trening POW (Prisoner Of War - jeńiec wojenny - przyp. tłum.). Potrzebowaliśmy ludzi, którzy reagowaliby jak prawdziwi jeńcy - a każdy, kto przeszedł szkolenie SERE (Survival Evasion Resistance Escape - Przetrawianie Unik Opór Ucieczka - przyp. tłum.) powie ci, że w ciągu 12 godzin pobytu w obozie zaczynasz wierzyć, że jesteś jeńcem wojennym. SERE jest brutalnie prawdziwe, ponieważ takie właśnie być musi. Ma ono przygotować ludzi na pojmanie i przesłuchanie.

Dostaliśmy się do obozu POW i naprawdę piloci zachowywali się jak autentyczni jeńcy. Pięćdziesięciu ludzi w bunkrze, który zaatakowaliśmy, ukrywało się skulonych w najdalszym, najciemniejszym kącie swojego mrocznego więzienia. Tak bardzo bali się tych, którzy ich uwięzili, że musieliśmy ich dosłownie wywlec do oczekujących na nich śmigłowców. Gdy zorientowali się w końcu, że są ratowani, wpadli w taki entuzjizm, że musieliśmy ich powstrzymywać od zabicia ich prześladowców.

Szybko załadowaliśmy uratowanych „więźniów” do śmigłowców i wynieśliśmy się stamtąd. To był dobry test. Wszystko działało idealnie, a my byliśmy pewni, że prawdziwa misja ratunkowa również by się powiodła. Potrzebowaliśmy tylko hasła, by ruszać. Jednak zdarzyło się coś

niebywałego.

Emerytowany pułkownik Sił Powietrzno-Desantowych Bo Gritz pojawił się w ogólnokrajowej telewizji i oznajmił, że ma zamiar uratować grupę amerykańskich jeńców wojennych przetrzymywanych w południowej Azji. Gritz powiedział, iż jest w posiadaniu konkretnych informacji na temat miejsca pobytu więźniów oraz że właśnie tworzy zespół, który ma się zająć ich uwolnieniem. Podczas wywiadu bredził o członkach swojego przypuszczalnego oddziału ratunkowego. Także garść broni składającej się na ich arsenał. Nie był on zbyt imponujący. Posunął się nawet do opowiedzenia o tym, jak to jego oddział właśnie ukończył próby akcji w ich „tajnej bazie operacyjnej na Florydzie” oraz że zamierzają ruszyć do akcji w ciągu kilku dni. Zamurowało nas całkowicie.

Jedyną, co Gritz osiągnął w ten sposób, było zdekonspirowanie jego misji. Jego i naszej. Nie do wiary, że były oficer Sił Specjalnych mógł zrobić coś takiego. Co mogło wyjaśnić jego bezmyślne postępowanie? Został zmanipulowany czy po prostu gonił za sławą?

Kilku ludzi z naszego oddziału służyło kiedyś z Gritzem przy różnych zadaniach. Stwierdzili, że był w pełni zdolny do takiego czynu w celach autopromocyjnych.

Ale ja nie byłem w pełni przekonany. Nie mogłem i nie chciałem uwierzyć, że zawodowy amerykański żołnierz, choćby i taki, o którego samochwalstwie krążyły pewne pogłoski, mógł zrobić coś takiego, co wystawiłoby na szwank jego dawnych towarzyszy. Coś tu nie grało.

Zacząłem wierzyć, że Gritza wykorzystali ludzie, którzy dobrze wiedzieli o jego skłonnościach.

Następnego dnia po tej koszmarnej konferencji prasowej zgromadziliśmy się w odległej strefie rzutu w Fort Bragg, gdzie spędzaliśmy dzień na ćwiczeniu skoków spadochronowych. Nasz nowy dowódca zwołał operatorów w cień pobliskich sosn i porozmawialiśmy o zaistniałej sytuacji. Powiedział to, czego sami się już domyśliliśmy: moment ujawnienia tych informacji powoduje, iż musimy odłożyć w czasie naszą misję. Jedyną, co mogliśmy teraz robić według niego, to zejść na niższe obroty, przyciąć się, pozwolić tematowi przyschnąć i ruszyć do akcji w odpowiedniej chwili. Póki co, mieliśmy dużo roboty, więc zajęliśmy się innymi rzeczami.

Nieco ponad rok później znów odkurzyliśmy naszą misję POW. I znów, kiedy wszystko zaczynało iść doskonale, Gritz pojawił się w telewizji. Tym razem był w Bangko-ku w Tajlandii, gdzie zorganizował konferencję prasową na temat amerykańskich jeńców. Zakończył deklaracją, że nie-bawem podjmie próbę ich oswobodzenia.

Kiedy nadano tę drugą konferencję, znów zostaliśmy zmuszeni do porzucenia idei o próbie uratowania jeńców. W końcu nigdy jej nie podjęliśmy. Jestem głęboko przekonany, że ci Amerykanie, którzy przeżyli, zostali w końcu zamordowani, ich szczątki rozproszone, a ślady ich obecności ukryte.

Nawet teraz, po około dwudziestu latach, wciąż czuję się ogłuszony, gdy o tym myślę. Mogę tylko

wierzyć, że ja-kiś bardzo potężne żywioły i ludzie, zarówno z rządu, jak i spoza niego, ciężko pracowali, aby ukręcić łeb tej misji, kiedy tylko okazało się, że jest organizowana. A gdy informacja o porzuconych na pastwę losu amerykańskich jeńcach zaczęła wyciekać, ci sami ludzie i te same siły zaczęły pracować nad zatuszowaniem sprawy.

Dla większości z nas niezrozumiałe jest, jak to możliwe, że jakikolwiek Amerykanin mógł tak postąpić. Jednak w końcu musiałem uwierzyć w tę smutną prawdę.

Ale pojawia się pytanie - kto i dlaczego? Co chcieli osiągnąć? Jednak wydaje mi się, że sprawa nie dotyczy tego, co było do osiągnięcia, ale co było do stracenia.

Wiele lat później rozmawiałem z byłym wysoko postawionym członkiem korpusu dyplomatycznego Wietnamu Północnego i ta osoba zapytała mnie wprost:

— Dlaczego Amerykanie nigdy nie podjęli próby uwolnienia pozostałych amerykańskich jeńców po zakończeniu wojny?

Porównaliśmy, co wiemy, co słyszeliśmy, co wydawało się możliwe i jakie były nasze opinie. Doszliśmy do bardzo podobnych wniosków, różniących się jedynie kwotą zaangażowanych środków i liczbą porzuconych więźniów.

Oto, co według mnie miało miejsce.

W swej desperackiej chęci układowego zakończenia wojny w Wietnamie administracja Nixona przyjęła naj-lepszą, najbardziej korzystną umowę, jaką udało im się uzyskać i wrócili z Paryża w 1973 roku ogłaszając, że osiągnęli układ pokojowy „z honorem”.

Wietnamczycy wiedzieli, że my wiemy, że przetrzymują jeńców. Postanowili użyć tego jako karty przetargowej przy późniejszych negocjacjach dotyczących wypłaty odszkodowań. (Czemu nie? Zrobili to już dwadzieścia lat wcześniej z Francuzami). Znajomy dyplomata powiedział, że kwota tajnych środków na odbudowę kraju wyniosła 11 miliardów dolarów. Słyszałem o podobnej liczbie od innych osób.

Ale potem przyszło Watergate. A gdy administracja Nixona się załamała, nie było już graczy, którzy mogliby użyć tej karty.

Poza tym do tego czasu amerykańska opinia publiczna miała tak serdecznie dość wojny, że nikt nie chciał słuchać o czymkolwiek związanym z Wietnamem. Kraj chciał po prostu o tym zapomnieć. A politykierzy, którzy skazali amerykańskich jeńców na powolne umieranie, równie desperacko pragnęli wymazać z pamięci swój plugawy, hańbiący czyn.

Gdyby wyszło na jaw, po ośmiu latach od opuszczenia przez nas Wietnamu, że nadal są tam przetrzymywani nasi jeńcy, pozostawieni własnemu losowi ze względu na kwestie polityczne, mogłoby się to skończyć tragicznie dla paru karier i reputacji. A na najwyższych szczeblach władzy nic nie jest ważniejsze niż kariera i reputacja.

Dlatego wysiłki, by zlokalizować i uratować jeńców musiały być zduszone w zarodku bez względu

na koszt. Było to konieczne.

W mojej opinii, tak prywatnej, jak i zawodowej, CIA było główną agencją posiadającą zdolność udaremnienia każdej operacji ratunkowej. Poza innymi względami, jest to jedyny podmiot posiadający wystarczające kontakty, by to zrobić. Pierwszy nacisk, by ukręcić łeb sprawie za-pewne dotknął starszych dowódców wojskowych, którzy o sprawie wiedzieli. Odwołano więc wysiłki zmierzające do zebrania informacji - ale zupa się już wylała.

Kilku upartych i odważnych ludzi niestrudzenie naci-skało na kontynuację misji ratowania jeńców wojennych, jednak kazano im się zamknąć - albo staną przed sądem wojskowym. Major Mark Smith i starszy sierżant Melvin McIntyre, dwaj ludzie, którzy najbardziej przyczynili się do namierzenia jeńców, zrobili coś niewyobrażalnego dla osób związanych z armią: pozwali rząd Stanów Zjednoczonych.

We wrześniu 1985 roku Smith i McIntyre podję-li radykalne kroki udając się do sądu federalnego i pozy-wając rząd Stanów Zjednoczonych o ujawnienie dowo-dów wykazujących, że siły rządowe wiedziały o żywych jeńcach amerykańskich w południowo-wschodniej Azji i znały miejsce ich przetrzymywania.

Rząd odpowiedział, że materiał był ściśle tajny, a chodzą-cy na jego pasku sędzia w tym procesie odmówił zmuszania rządu do udostępnienia informacji. Smith i McIntyre zostali publicznie po-ćwiartowani, a ich kariery legły w gruzach. Ci dwaj odważni żołnierze zapłacili wysoką cenę za próbę zro-bienia tego, co należało, ale wiedzieli, że to niewielkie po-święcenie w porównaniu do ceny, jaką musieli zapłacić ci za-pomniani Amerykanie w owych nieszczęsnych obozach.

Wyciszenie misji ratowania jeńców oraz zatuszowanie informacji, że żywi POW zostali porzuceni w południo-wo-wschodniej Azji jest jedną z najboleśniej-szych spraw, jakie byłem w stanie odkryć, dzięki posiadanym prze-ze mnie informacjom. Niestety, doszedłem do smutne-go wniosku, że nic z tego nie wynikło. Co gorsza, ci, któ-rzy świadomie pozostawili tych ludzi samym sobie i celo-wo uniemożliwili ich powrót do kraju, nigdy nie odpo-wiedzą za swoje czyny.

Nie na tym świecie w każdym razie.

Porzucenie tych ludzi było jak wrzucenie kamienia w wody społeczności Operacji Specjalnych, a zmarszczki na wodzie rozeszły się daleko. Wszystko było jasne. Ani ja, ani moi towarzysze nie mogliśmy liczyć na to, że jeśli zo-staniemy w czasie misji pojmani i uwięzieni, rząd postara się wydobyć nas z opresji. Jeśli to celowe działanie, by się nas wyparto, by zostawiono nas byśmy zgnili, to co? My w Delta Force i tak nie istnieliśmy oficjalnie. Rządowi by-łoby jeszcze łatwiej zapomnieć o nas niż o tamtych jeńcach.

To doświadczenie nauczyło mnie też oceniać każdą misję według wewnętrznych standardów zła i dobra. Zda-łem sobie sprawę, że nie istnieje coś takiego, jak monoli-tyczny rząd, dążący do tego, by zawsze postępować wła-ściwie, a nawet jeśli, to i tak popełnia błędy. Rozumiałem aż za dobrze,

że rząd składa się z wielu ludzi - różnych, nawet przekupnych. Czasami tacy ludzie piastowali wysokie stanowiska i mieli w ręku niebywałą władzę, którą wykorzystywali do prywatnych celów.

Wciąż też rozumiałem, że jestem tak nisko w tym łańcuchu decyzyjnym, że nigdy nie będę w stanie dokonać obiektywnej oceny ich intencji. Mogłem jedynie spróbować wydedukować prawdziwą przyczynę przeprowadzonej przeze mnie operacji i ocenić jej efekt.

Kiedy straciliśmy tych jeńców, ja też straciłem część siebie. Wielokrotnie w nadchodzących latach żałowałem tych dawnych, łatwiejszych lat mojej beztrudnej nieświadomości. Dni, w których bez zastrzeżeń wierzyłem naszym przywódcom. Ale to nie oni się zmienili, tylko ja.

Życie biegło dalej. Alarmy, misje i plotki pojawiały się i znikaly. Pewnego poranka, w samym środku luźnego okresu między misjami, siedziałem właśnie w stołówce, ciesząc się śniadaniem w towarzystwie Larry'ego Freedmana, gdy pojawił się Walt Shumate i usiadł koło nas. Walt przeszedł na emeryturę zaledwie kilka miesięcy wcześniej, ale został w jednostce jako oficer ochrony. Bardzo sensownie. Walt jak nikt inny potrafił pozbawić bezpieczeństwa samego siebie, więc o bezpieczeństwie innych na pewno też miał spore pojęcie.

Kiedy Walt się do nas dosiadł, Larry opowiadał mi historię ze swoich wczesnych lat w wojsku, a dokładniej w 82. Dywizji Powietrzno-Desantowej. Shumate jadł i słuchał uważnie, a gdy Larry skończył, Walt zaczął swoją opowieść.

-Wicie, ja też byłem w Osiemdziesiątej Drugiej. Właśnie awansowałem na sierżanta, tuż po powrocie z Korei. Pamiętam tego starego sierżanta, Harolda Jenkinsa, na którego wołaliśmy „Lord Herold”, i mówię wam, to był niezły zawodnik.

Kiedy go poznałem, właśnie przymierzał się do przejścia na emeryturę po 30 latach służby - to było gdzieś koło 1953 roku - i nie bardzo go to cieszyło. Przez cały ostatni rok był jak wrzód na dupie, chlał i lał każdego, kto mu wlał pod rękę. A potem łapał potężnego doła, wieszał się po ludziach i bełkotał, jak mu źle.

Pewnego piątkowego wieczoru, na Matki Boskiej Pińskiej, „Lord Herold” zmusił wszystkich, byśmy z nim zostali w klubie podoficerskim, dopóki go nie zamknięto, a nas zeń nie wyrzucono. Nawet nieźle się sprawował tego wieczora, ale urżnięty był w drebiezgi, więc kilku sierżantów postanowiło odwieźć go do domu. Mieszkał w Bastogne, niedaleko ciebie, Haney.

Pani Jenkins była niesamowita. Nauczycielka, stanowcza, twarda kobieta, przy tym prawdziwa dama, wicie jaki to typ - i pewny jestem, że Harold nie raz ją dobijał swoim zachowaniem. No, tak czy owak zatrzymaliśmy się pod jego domem i wywlekliśmy go z tylnego siedzenia.

Podpierając z obu stron wprowadziliśmy go na schodki i oparliśmy

o framugę drzwi. Potem zadzwoniliśmy do drzwi i schowaliśmy się w krzakach koło ganku, by oglądać przedstawienie.

Zapala się światło na ganku, a pani Jenkins otwiera drzwi i widzi Harolda, który się o nie opiera. Światło razi go w oczy, więc jedną ręką osłania je od blasku, drugą wciąż trzyma się framugi, by nie upaść. Ja i mój kumpel łypimy nad balustradą, by nic nie uronić.

Pani Jenkins patrzy na niego z niesmakiem i mówi:

- Znów jesteś pijany, Haroldzie, prawda?
- Nooo... Chyba tak - odpowiada, podtrzymując framugę by nie upadła, a ona obrzuca go złym spojrzeniem.

W końcu pyta:

- Harold, ile dzisiaj wydałeś?

On wydobywa z trudem portfel, zagląda do środka i mówi:

- Z tego co widzę, to stówkę. Ona wrzeszczy:
- Sto dolarów? W jeden wieczór wydałeś sto dolarów? Czy ty wiesz, na jak długo sto dolarów wystarczyłoby mnie?

Harold zastanawia się przez chwilę, patrzy na nią i mówi:

- No nie wiem, nie pijesz, nie palisz i masz własną cipkę. Pewnie stowa wystarczyłaby ci na całe życie.

Prychnąłem śmiechem tak niespodziewanie, że cała jajecz-nica z moich ust trafiła na stół. Lany położył głowę na blacie

I śmiał się, aż mu zabrakło tchu. Cała sala ucichła na sekundę, ale gdy wszyscy zobaczyli Shumatea przy naszym stoliku, zorientowali się, co jest grane i wrócili do śniadania.

Popatrzyłem na Walta przez stół. Zawsze śmiał się ze swoich kawałów, ale w bardzo specyficzny sposób. Usta rozciągały mu się na całą szerokość twarzy, a oczy przymykały w wąskie szpar-ki, zaś zmarszczki orały jego skronie niemal po uszy. Ramiona zaczynały mu drżeć, a całe ciało podskakiwało, gdy wstrząsały nim fale śmiechu - ale nie wydawał dźwięku.

A potem uświadomiłem sobie, o co chodzi. To był śmiech zwiadowcy. Śmiech taki, jak wtedy, gdy jesteś na patrolu w Indian County i nie możesz sobie pozwolić na głośny rechot, więc dławisz dźwięk, ale reszta śmiechu pozostaje. Walt pew-nie nauczył się tego na wojnie w Korei i tak mu już zostało.

Walter J. Shumate był niesamowitym gościem, podob-nie jak jego ówczesny przyjaciel „Wieśniak” Grimes. Obaj przeszli na emeryturę w odstepie kilku miesięcy po 30 la-tach służby, ale na szczęście dla nas zostali obaj w jednost-ce - Walt w ochronie, zaś „Wieśniak” jako szef selekcji. „Wieśniak” ściągnął mnie do Delty i jako dowódca stał się dla mnie wspaniałym przyjacielem i doradcą. Pamię-tam dzień, w którym nieźle coś skrewiłem i całe popołu-dnie czekałem na wezwanie na rozmowę z nim. Kiedy już mnie zawołano, byłem tak zdenerwowany, że niemal po-biegłem do jego gabinetu. Gdy się zameldowałem, „Wie-śniak” popatrzył na mnie przez chwilę

i spokojnie powiedział: „Drugiego razu nie będzie, Haney”. Swoją lekcję wygłosił bez gniewu, ale wiadomość nie mogła być jaśniejsza. Wieśniak mógł zaręczyć za człowieka raz, ale później musiał już przyjąć pełną odpowiedzialność za przyływy własnej głupoty. Zapamiętałem to sobie i wdroyłem w życie zostawszy starszym sierżantem.

* Mieszanka pomarańczowa - toksyczny środek chemiczny do zwalczania roślin, stosowany przez wojska USA podczas wojny w Wietnamie. Mieszanka ta była przyczyną występujących na masową skalę chorób (m.in. rak, deformacje twarzy) u osób, które zetknęły się ze środkiem. Wietnamscy poszkodowani nigdy nie otrzymali rekompensaty ze strony USA, natomiast amerykańskim weteranom wojennym, narażonym na szkodliwe działanie mieszanki pomarańczowej, w 1984 r. przyznano 180 mln dolarów odszkodowań - przyp. tłum.

Kiedy w końcu przyszło umierać, Walt i „Wieśniak” odeszli w przeciągu tygodnia, obaj po długiej walce z rakiem, który zaatakował ich ciała zapewne w wyniku długotrwałej ekspozycji na „mieszankę pomarańczową”* na początku wojny w Wietnamie. Urządziliśmy im wspólny pogrzeb, na który zlecieli się ludzie z całego świata, by pożegnać tych dwóch niezwykłych facetów. Zgodnie ze zwyczajem naszego plemienia, w swoich testamentach zapisali po 1000 dolarów na stypę dla przyjaciół z wojska w barze klubu Spadochronowego Zielonych Beretów w Fort Bragg. Ale Walt - jak to on - poszedł o krok dalej. W testamentie zapisał oddziałowi swoje wasy. Znajdują się w specjalnej gablocie za szkłem, starannie wyeksponowane na honorowym miejscu w Sali Bohaterów na Ranczu, gdzie pełnią rolę zbliżoną do relikwii.

Byli to dwaj ojcowie chrzestni Delty - dobrzy, silni ludzie, którzy zrobili wszystko, by nas ukształtować i poprowadzić. Czcimy ich pamięć, a ja dumny jestem mogąc powiedzieć, że znałem ich obu.

Była już połowa lat osiemdziesiątych, a wiosny mijały tak prędko, zaś my byliśmy tak zajęci, że ciężko było się na bieżąco orientować, gdzie akurat znajdowali się nasi towarzysze. Niektórzy wyjeżdżali sami, inni w dwuosobowych zespołach, a czasem w czteroosobowych drużynach, oddelegowani w różne miejsca świata dla uprawiania naszego rzemiosła. Nowi ludzie dołączali do oddziału, starali się wykruszali.

Miałem okazję chodzić na kurs języka hiszpańskiego. Jakież to było dobrodziejstwo! Moja podwórkowa hiszpańszczyzna zawsze pakowała mnie w kłopoty. A możecie się domyślać, jakiego rodzaju sformułowań nauczyli mnie moi przyjaciele — Portorykańczycy i Chicano (potomkowie meksykańskich imigrantów).

Zamiast wysłać nas do Instytutu Językowego Sił Obronnych (DLI) w Monterey, w Kalifornii, jednostka zatrudniła lektora i tuzin z nas rozpoczęło kurs DLI na miejscu, w Fort Bragg. Nim minął drugi miesiąc, zacząłem śnić po hiszpańsku, a później zajęcia były już czystą przyjemnością. Po

ukończeniu półrocznego kursu, nieźle radziłem sobie z językiem, a Ameryka Łacińska stała się moim głównym obszarem działań, zaś Bliski Wschód zszedł na drugi plan.

Rychło w czas - bo Ameryka Centralna stała się głównym polem naszych działań. Na szczęście przytrafiła mi się cudownie nudna i udana misja w tych okolicach.

Powiodłem podwójną drużynę - dwie drużyny czteroosobowe - do Gwatemali na misję mającą powstrzymać miejscowych partyzantów przed wysadzeniem ambasady amerykańskiej w mieście Gwatemala. Dowiedzieliśmy się, że pewna grupa pragnęła uczcić swoją zbliżającą się rocznicę w dość spektakularny sposób - taki, który jednocześnie przyniosłby im wielki prestiż, ale i ułatwił rekrutowanie nowych sił. Naturalnie, guerilla wierzyła, że najwystawniejszym sposobem celebrowania swojego święta będzie wysłanie ambasady amerykańskiej w kosmos.

Upewniłem się, że zwiadowcy guerilli nas dostrzegli - i mieli okazję zapoznać się z przywitaniem, które dla nich szykujemy, a ich życie będzie naprawdę ekscytujące, jeśli postanawia wykonać swój pierwotny plan.

Kiedy już zidentyfikowaliśmy punkty obserwacyjne guerilli, ustawiliśmy znaki po hiszpańsku, informujące, że zamierzamy ciepło ich powitać, jeśli nas odwiedzą, a oprócz nieprzyjemności, które już mogą zaobserwować, mamy także to i owo w zanadru. Następnie wzniesiliśmy słupy ogłoszeniowe, na których umieściliśmy uprzejme napisy, że bardzo bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechcieli świętować gdzie indziej. Po kilku dniach na tyle zaprzyjaźniliśmy się ze zwiadowcami guerilli, że uprzejmie machaliśmy do siebie w geście pozdrowienia — my z dachu ambasady, a oni z otaczających ją punktów obserwacyjnych.

Następnego dnia obserwatorzy zniknęli. Zostaliśmy w ambasadzie kolejny tydzień po dacie ich rocznicy, a następnie na dachu ambasady ustawiliśmy ogromny napis „Dziękujemy za gościnność”. Pożegnaliśmy się z ambasadorem oraz Regionalnym Biurem Bezpieczeństwa i powróciliśmy do Fort Bragg.

Najgorszą częścią tej misji było stanie na dachu ambasady - co noc i całą noc. Nie tylko było tam zimno, ale w dodatku tuż obok, na nawietrznej, znajdował się najwspanialszy steakhouse na świecie. Każdego wieczoru w nasze nozdrza uderzał niesiony nocną bryzą aromat mięsa zwierząt pasionych na rozległych pastwiskach - gwatemalskiej wołowiny grillowanej nad węglem drzewnym na tarasie restauracji.

Tak blisko, a tak daleko. Prawdziwa męka.

Misja była udana. Może nie nadawała się na jeżące włos na głowie historyjki, ale zdecydowanie zaliczała się do tego typu udanych misji antyterrorystycznych, które można nazwać sukcesem prewencji.

Nikt nie został ranny, nie było strat w ludziach ani strat materialnych, a teraz, kilka dekad później zarówno guerilla, jak i Delta zdają sobie sprawę, że tak czy owak wysadzenie tej ambasady nie

miałoby żadnego sensu.

Grupy partyzanckie są charakterystyczne nie tylko dla Ameryki Łacińskiej. Można się na nie natknąć także gdzie indziej. Dlatego w tych innych zakątkach świata również mieliśmy mnóstwo roboty. Spokojnej, drobnej, ale jednak roboty.

Kilka lat przed moimi gwatemalskimi wakacjami Don Feeney miał jakąś robotę w jednym z takich miejsc. Wraz ze swoją drużyną został wysłany na bardzo tajną misję - miał trenować siły antyterrorystyczne sudańskiej armii. Podobnie jak teraz, Sudan był wówczas krajem, związkami z którym nie chcieliśmy się chwalić. Jednak ktoś w Departamencie Stanu czy CIA pomyślał, że jeśli dyskretnie wesprzemy ich w szkoleniu, Sudan może uchylić nieco drzwi i być może nawiązać jakieś nieformalne, przyjaźniejsze kontakty. Dlatego Donny i jego ludzie zostali wysłani, by stworzyć i wyszkolić sudańskie siły antyterrorystyczne - nieważne, że zdrowy rozsądek podpowiadał, że oddział taki zostanie użyty przez wojskowy rząd Sudanu jako narzędzie represji. Sudańczycy nic nie mieli. Nie było tam poligonów, sprzętu, amunicji. Feeney i jego ludzie zaczęli od zera, ale po kilku miesiącach stworzyli całkiem niezły mały oddział. Oczywiście trzeba pamiętać, że „niezły” to pojęcie względne.

Jeden z członków zespołu, Fred Brandy, odpowiedziałny był za budowanie poligonu i Shooting House, a przez sam charakter swojego zajęcia musiał poduczyć się arabskiego. Z misji wrócił z napisanym odręcznie słowniczkiem tego języka zawierającym mniej więcej tysiąc słów. Później kontynuował naukę tego języka w DLI i jest jednym z niewielu gringo, jakich znałem, umiejących doskonale posługiwać się arabskim.

Niemal natychmiast po ich powrocie z wakacji na pustyni, zostaliśmy postawieni w stan gotowości. Grupa amerykańskich misjonarzy została pochwycona przez separatystyczną partyzantkę w Sudanie, która przetrzymywała ich w wiosce na południu, w pobliżu granicy z Ugandą. Amerykańska ambasada potrzebowała pomocy, ale powiedzieli, że siły wysłane z kraju mają być niewielkie — nie chcieli, by wyglądało na to, że mamy jakiekolwiek wspólne sprawy z rządem Sudanu. Czyli tak jak w starym rangerskim powiedzeniu: „Jedna rozróżba, jeden Ranger” — wysłaliśmy jednego operatora. „Feeney, ty ich trenowałeś, ty ich poprowadź”.

Wysłali Dona, by pomógł odzyskać Amerykanów. Kiedy przyjechał do Sudanu, był mile zaskoczony, że oddział wciąż funkcjonował. Gdy tworzyliśmy podobny oddział w Egipcie, ktoś wpływowy przekonał prezydenta Mubaraka, że grupa ta nie była niczym innym, jak tylko zagrożeniem, a wyszkoleni przez nas antyterrorysty zostali rozrzućeni po całej egipskiej armii. Gorzkie owoce tej decyzji zebrano kilka lat później.

Główny problem Donny'ego znajdował się w amerykańskiej ambasadzie. Z takiej czy innej przyczyny szef placówki CIA i jego dwaj zauszniczy próbowali przekonać ambasadora, że ich klienci, pewna brygada sudańskiej armii, powinni zająć się misją ratowania misjonarzy. Donny

powiedział ambasadorowi, że jeśli podejmie się tego armia, w najlepszym razie operacja będzie się wlokła w nieskończoność, zaś w najgorszym - partyzanci zabiją porwanych i umkną przez zieloną granicę. Donny uważał, że gdyby w zamian użyto sił antyterrorystycznych, miałyby one spore szanse odbicia żywych zakładników. Ambasador podjął decyzję: — Feeney, ruszaj i ściągnij ich tutaj. Od tego momentu mały klanik CIA robił wszystko, co możliwe, by sparać tę robotę. Męcili w relacjach z dowództwem armii sudańskiej i próbowali utrudniać siłom antyterrorystycznym pozyskanie do użytku samolotu wojskowego - jedyne, który był w stanie dowieźć ich do miejsca kryzysu. Ale Don Feeney doskonale znał się na walce wręcz i był w stanie usunąć z drogi kłody, rzucając mu pod nogi przez szefa placówki.

Siłom ratunkowym udało się położyć łapę na jedynej C-stotrzydziestce sił powietrznych Sudanu. Na szczęście niecały kilometr od wioski, w której przetrzymywano porwanych, znajdowało się lądowisko. Donny znał tę okolicę, podobnie jak członkowie sił antyterrorystycznych. Po-nieważ chcieli uderzyć następnego ranka, członkowie sił szturmowych nie byli w stanie przeprowadzić pełnowymiarowej próby i Donny musiał ograniczyć się do rozry-sowania planów ataku kredą na asfalcie lądowiska.

Kiedy Donny uznał, że wszyscy znają swoje miejsca i zadania, mógł ruszać. Załadował na pokład C-130 swoich ludzi, trochę wody i jedzenia, podstawowe wyposażenie medyczne, które udało mu się skombinować, trzy dzipy z zamontowanymi karabinami maszynowymi kalibru .50 i ruszył w drogę. 2000 kilometrów do punktu stacjonowania wojsk

- jakiś 30 kilometrów od docelowej wioski. Mieli zamiar uderzyć o pierwszym brzasku, zwanym w terminologii woj-skowej BMNT (beginning of morning nautical twilight

— świt nawigacyjny — przyp. tłum.). Mówiąc cywilnym języ-kiem jest to ten etap przechodzenia nocy w dzień, w którym zaczyna się dostrzegać zarysy przedmiotów.

C-130 dotknął kołami ziemi w chwili, gdy brzask zaczął się rozlewać nad afrykańskim krajobrazem. Trzy dzipy, wyladowane do granic możliwości sudańskimi komando-sami wytoczyły się z luku i piaszczystą drogą pomknę-ły w stronę wioski, zatrzymując się jakiś 150 metrów od budynków. Karabiny maszynowe otworzyły ogień w kie-runku głównych zabudowań obozu, podczas gdy Donny poprowadził ludzi, by wymietli południową część wioski.

Kilku partyzantów, którzy akurat nie spali, wystrze-liło do nich parę razy, nim rzucili broń na ziemię i zniknęli w buszu. Resztę oddziału zbudził ostrzał z trzech kara-binów kaliber .50. Ci szybko postanowili pomóc swoim kumplom w poszukiwaniu bezpiecznej kryjówki.

Karabiny maszynowe kontynuowały ostrzał jeszcze przez kilka minut, by dać partyzantom do zrozumienia,

że komandosi przystąpili do akcji na poważnie. Potem przemieścili się do przodu i zajęli budynki, które party-zanci tak spiesznie opuścili. Donny i jego oddział odna-leźli żywych misjonarzy w

chatce na południu wioski.

Szturm przebiegł idealnie — łatwiej nawet niż to miało miejsce na ćwiczeniach poprzedniego dnia.

Wśród komandosów nie było rannych, a partyzanci tak prędko wiali, że zdążyli stracić tylko czterech ludzi. Donny i su-dański dowódca właśnie pakowali sprzęt i zakładników do samolotu w drogę powrotną, gdy pojawili się chłopcy z CIA, by sprawdzić jak się sprawy mają.

Donny od razu wiedział, co się święci. Ponieważ chłopcy z CIA nie musieli zawracać sobie głowy żołnierzami czy zakładnikami i mieli znacznie szybszy samolot, pośpiesznie zawrócili do Chartumu, by spic jak najwięcej śmietanki za udaną akcję.

Jedyną przyczyną, dla jakiej wiedziałem o tych wydarzeniach był fakt, że rozmawiałem z Donnym w trakcie trwania misji przez nasz nowy system komunikacji satelitarnej. Byliśmy w kontakcie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak i musielibyśmy go szybko znaleźć. W ten sposób przynajmniej znalibyśmy jego położenie i wie-dzieli, gdzie zacząć poszukiwania.

Ale mój stary kumpel, „Cwaniaczek”, jeszcze raz prze-trwał i wrócił do domu bez werbli i fanfar. Zabroniono mu opowiadać o pobycie w Sudanie i na tym się skończyło.

Z tej misji przywiózł jednak pamiątkę. Misjonarze po-darowali mu Biblię ze swoimi autografami i podziękowa-niami, a jak stwierdził Donny, to lepsze od jakiegokol-wiek oficjalnego uznania.

Jak już wcześniej mówiłem, Ameryka Środkowa to sie-dlisko wszechogarniającego zamieszania politycznego, a żadne inne miejsce w tej okolicy nie było nim bardziej dotknięte niż małe państewko — Salvador. Zakrawa to na ironię losu, bo ta nazwa oznacza Zbawiciela.

Salwador ma wielowiekową tradycję politycznej prze-mocy oraz wojen domowych. Gęstość zaludnienia ma większą niż Indie i rządzony jest zwykle przez kilka ro-dzin uważających, że jedynym sposobem pozostania na szczycie jest trzymanie żelazną ręką za kark „gorszej” części społeczeństwa. W latach 80. Delta Force tkwiła po uszy w tym małym, bojowym kraiku, próbując jakoś za-tuszować status quo.

To było trudne zadanie. Armia salwadorska była słabo wyposażona, kiepsko zorganizowana i fatalnie dowodzo-na. Kadra oficerska była tak przeżarta korupcją, jak to tylko możliwe. Uwierzyli, że jeśli będą zwlekać dostatecz-nie długo, prezydent Reagan wyśle w końcu wojsko, które odwali robotę za nich. I choć jakoś nie mogli się zabrać za główną grupę rewolucjonistów, FMLN (Farabundo Marti National Liberation), nie mieli oporów, gdy przyszło im mordować księży, zakonnice czy biednych wieśniaków. Tak jak mówiłem, zachowanie status quo to trudne zadanie. Niektórzy z nas szkolili ich siły specjalne, starając się wpoić, że bezkrytyczne zabijanie campesinos tylko przyczy-nia się do powstawania partyzantki. Do dzisiaj spotkałem tylko czterech salwadorskich oficerów, którzy to rozumieli.

Inni operatorzy brali udział w misjach przeciw przemytowi broni. Współpraca z władzami

Hondurasu była dość udana i nieźle nam wychodziło zatrzymanie strumienia broni napływającego z Nikaragui, zaś oni zajęli się przekonaniem Nikaraguańczyków, by starali się nie dostarczać swoim salwadorskim towarzyszom środków do organizacji powstania.

Gdy spojrzeć na mapę wybrzeża Oceanu Spokojnego w rejonie Ameryki Środkowej, widać Zatokę Fonseca, przepiękny pas wody, wcinający się w ląd między Salwadorem (zachód), Hondurasem (północ) i Nikaraguą (wschód). W północnej części zatoki znajduje się wulkaniczne wzniesienie, nazywane Wyspą Tygrysią. Nasze stanowisko obserwacyjne umiejscowione było na szczycie najwyższego wzniesienia wyspy, skąd mieliśmy całą zatokę na oku - przenikliwym i krytycznym. W nocy, dzięki pomocy strażników z Wyspy Tygryziej, przeczesywaliśmy wody zatoki szukając łodzi przemytników broni.

Operacją przeciwko przemytnikom dowodził mój dawny compadre Andres Benevides. Jeśli zastanawiacie się, czemu to Amerykanin tym się zajmował, a nie ktoś miejscowy, odpowiedź jest prosta. Salwadorczycy nie byli w stanie zufać swoim ludziom na tyle, by być pewnymi, że nie przechwycają oni łodzi przemytników, nie wystrzelają załogi i nie przehandlują zawartości. Kiedy całego tego bajzlu pilnował Amerykanin, miejscowi bardziej się starali.

Flota przechwytyjąca Andresa składała się z ośmiomotorowych motorówek Boston Whaler, z zamontowanym na każdej z nich karabinem maszynowym M-60 i czteroosobową załogą. Andres nieźle wyszkolił swoją małą flotę. Potrafili nawigować w ciemnościach patrząc przez noktowizory, celnie strzelali i umieli porozumiewać się przez radio bez paplania jak baby w maglu. A gdy już trafili na morze, szli jak burza.

Przez dwa tygodnie świetnie im szło. Korzystając ze wskazówek nawigacyjnych posterunku na Wyspie Tygryziej, co noc dokonywali przechwycenia jakiegoś transportu broni. Andres wymyślił prostą i efektywną taktykę, która działała jak szwajcarski zegarek. Kiedy radar namierzał cel, Andres rozstawiał swoją flotę w formację o kształcie litery V, która otwierała się w stronę zbliżającego się celu. Kiedy szmugler trafiał już w rozwarte szczęki formacji, trzy łodzie oświetlały go reflektorami punktowymi, a Andres informował przez megafon, że zabawa się skończyła. Otoczeni ze wszystkich stron kapitanowie łodzi zawsze się poddawali. Prawie zawsze.

Noc była czarna jak atrament, a morze w zatoce pokażywało co potrafi. Woda była wzburzona, wysokość fali sięgała 1,5 metra. Zaraz po północy otrzymali informację z Wyspy Tygryskiej, że cel się zbliża. Andres rozwinął formację i zastawił pułapkę. Nie minęło wiele czasu, gdy zobaczyli łódź przemykającą po falach, nieświadomą zastawionej na nią sieci.

Wszystko szło świetnie. Andres nadał przez radio rozkaz: „Teraz” i reflektory z trzech łodzi przecięły się na pokładzie szmuglera. Jednak ten zrobił coś niespodziewanego - obrócił łódź w nagłym uniku, zdławił silnik i próbował zwać spod świateł reflektorów. Andres zaraz wrzasnął,

by łódź się zatrzymała, a potem dał jej posmakować ołowiu z karabinów maszynowych.

Strumień pocisków uderzył w łódź na linii wody i wspiął się po burcie tuż przed kapitanem. Po wystrzale silnik zgasł, a kapitan rzucił się na tył łodzi. Andres i jego mała flota zajęli pozycje w celu przejęcia towaru, zanim pójdzie on pod wodę.

Łodzią, z którą mieli do czynienia, było morskie cay-uco, trzydziestostopowa krypa zrobiona z wielkiego pnia egzotycznego drzewa, starannie wydlubana i wystrugana. Tego rodzaju łodzie były w użyciu od wieków, a do niedawna ich jedyny napęd stanowiły żagle i wiosła. Teraz większość cayucos ma zewnętrzne silniki. Niektóre większe, jak ta, na którą natknęli się ludzie Andresa, czasem nawet mają wewnętrzny diesla.

Andres szybko się przesuwał wzdłuż pochwyconej krypy. Gdy tylko obie łodzie zrównały się burta w burtę, szmugler gwałtownie wstał, wściekły jak diabli.

- Dlaczego do mnie strzelaliście? - wrzasnął na Andresa. Andres był tak zaskoczony, że tylko zapytał:

- A dlaczego się nie zatrzymałeś, kiedy do tego wzywaliśmy? Szmugler, ogorzały starszy człowiek, odpowiedział:

- Myślałem, że jesteście piratami. Mam tu wartościowe rzeczy.

Andres pobieżnie sprawdził, jak szybko cayuco nabiera wody. Zdziwiony skonstatował, że pociski, które wystrzelił z odległości 30 metrów nie przebiły burt łódki. Zorientowawszy się, że łódź w istocie przewozi ładunek broni i amunicji, podjął próbę przeprowadzenia poważnej rozmowy z opanowanym i dość nonszalanckim kapitanem.

- Abuelo, dlaczego to robisz? Czemu ryzykujesz tak wiele, wioząc broń dla ludzi, których nawet nie znasz. Nie rozumiesz, że to, co robisz jest bardzo niebezpieczne?

Starszy mężczyzna przez kilka sekund patrzył na Andresa i spokojnie odpowiedział.

- Młody człowieku, czy nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje w moim kraju? Czasy są ciężkie. Przedtem też było źle, za czasów Somozów. Ale wtedy przynajmniej jak się siedziało cicho i głosowało jak trzeba, ludzie na wsi byli bezpieczni. A teraz w Nikaragui wszystko jest polityką. Nikomu już nie jest pisany luksus spokoju. Teraz trzeba być rebeliantem. Trzeba być rewolucjonistą. Trzeba uderzać w imperializm. Trzeba wykazywać swoją solidarność z rewolucją. Tego się od nas wymaga.

A gdy ważny i potężny człowiek z Managui przybywa do wioski i mówi: „Obywatele, jesteście rybakami i dobrze znacie te wody. Będziecie teraz mieli wspaniałą okazję, by wesprzeć swoich sprzymierzonych towarzyszy w Salwadorskiej walce z imperializmem. Wasza wioska będzie mogła wykonać pięć podróży przez zatokę, by zawieźć naszym przyjacielom to, czego im potrzeba w walce o wolność”. Ktoś musiał to zrobić i to bez zadawania pytań.

Dlatego zgłosiłem się na ochotnika do wykonania tych rejsów. Nie chciałem, by moi synowie, ani

synowie moich braci, czy też inni młodzi ludzie z naszej wioski płynęli w tę niebezpieczną podróż. Jeśli już ktoś ma zginąć lub zostać schwytanym i pójść do więzienia, to niech to będę ja. Jestem stary. Moja żona nie żyje i nie jestem już niczym żywcielem ani obrońcą. Moja śmierć nie liczyłaby się i szybko by o mnie zapomniano. I właśnie dlatego, mój chłopcze, robię to, co robię. Andres zapytał staruszkę ile podróży już wykonał i był zdziwiony słysząc, że to właśnie była jego piąta i ostatnia wyprawa. Tym razem po prostu trawersował zatokę, bo noc była bezksiężycowa. Przy poprzednich okazjach, płynąc w stronę wybrzeża Salwadoru, wypływał daleko na ocean i szerokim łukiem omijał wejście do zatoki. Właśnie dzięki temu nie natknął się wcześniej na Andresa i jego ludzi.

Andres był w kropce. To był pierwszy cywil, którego złapał i nie chciał oddawać go Salwadorczykom - byli przeżwaźnie brutalni wobec więźniów. Ale gdyby skonfiskował i dostarczył broń, musiałby się rozliczyć także i z łodzi wraz z jej kapitanem. Andres naradził się ze swoimi załogantami. Po przydługiej konwersacji odwrócił się do starego rybaka.

- Viejo, czy jeśli odstawimy cię do domu, więcej już tego nie zrobisz? Czy będziesz musiał ruszyć w jeszcze jedną podróż?

Stary człowiek odpowiedział powoli.

- Nie mogę powiedzieć na pewno tak lub nie. Człowiek z Managui powiedział, że te pięć podróży wypełni nasze zobowiązania. Nasz alcalde wydaje się myśleć, że to prawda. Ale to są sprawy z rządem - on zawsze bierze to, co chce. Nie wiem, czy będę musiał ruszyć na morze raz jeszcze.

- Ojczulku, zabierzemy twój ładunek i wyślemy cię z powrotem do domu. Podróżuj powoli, abyś dotarł do wioski

zwyklej porze. Nikomu nie mów o naszym spotkaniu. Gdyby cię pytali, powiedz, że wykonałeś dostawę zgodnie z rozkazami. Gdyby ci powiedziano, że Salwadorczycy nie otrzymali towaru, masz odpowiedzieć, że są bezwstydnymi złodziejaskami i na pewno ukryli towar, żeby go samemu sprzedać. Wracaj do swojej wioski, a gdy skończą się te złe czasy to przyjadę cię odwiedzić. Idź z Bogiem.

Staruszek kiwnął głową w podziękowaniu, odpalił silnik

1 i zniknął w ciemnościach. Andres kupił milczenie swojej załogi za tłustą łapówkę i na tym się skończyło. Taką miał przynajmniej nadzieję, ponieważ gdyby to kiedykolwiek wyciekło, stanąłby zapewne przed sądem wojskowym.

Ale sekret pozostał sekretem i zaledwie kilka lat po upadku reżimu Sandinistów Andres dotrzymał obietnicy danej staremu rybakowi. Podczas podróży do Ameryki Środkowej odbył wycieczkę do jego wioski pełnej jego krewnych i potomków. Niestety, staruszek zmarł kilka lat wcześniej.

Andres powiedział ludziom w wiosce kim był i jak poznał ich pobratymca. Opowieść ich

zadziwiła, ale nie ze względu na czyn niepowtarzalnego staruszka. Wspominali, że znany był ze swojej niezwykłej odwagi i całe życie ochraniał ludzi ze swojej wsi. Byli zdziwieni, że obcy, którego staruszek spotkał jako wroga na wodach zatoki, potrafił dostrzec w nim jego wielkość i przyjechał, aby go odwiedzić. Andres pozostał z tymi dobrymi i miłymi ludźmi przez dwa dni. Odwiedził grób starego rybaka i poczuł jeszcze większą satysfakcję ze swojej dawnej decyzji o odesłaniu tego dobrego człowieka do domu.

Nikaragua nadal nie radzi sobie za dobrze, ale teraz przynajmniej ma rząd, który pozwala ludziom zajmować się swoim życiem. Nie oczekuje demonstrowania lojalności wobec niezrozumiałych spraw. I naprawdę to samo w sobie jest już błogosławieństwem.

Honduras stał się swego rodzaju niechętnym sprzymierzeńcem Stanów Zjednoczonych w burzliwych latach 80. Najbardziej niebezpieczny kraj obu kontynentalnych Ameryk stawiał pierwsze, drżące i niepewne kroki na drodze do demokracji — będąc przy tym między Scyllą a Charybdą. Na południu wciąż trwał salwadorski chaos, który spowodował pojawienie się kilku fal uchodźców przekraczających granicę Hondurasu. Od Nikaragui oddzielała go długa, rzadko zamieszкана i mocno dziurawa granica, przez którą przedostawali się to wspierani przez Amerykanów Con-trasi, to znów w odwecie przeprowadzali ataki Sandiniści.

Honduras nie chciał niczego, oprócz zakończenia tych wszystkich kłopotów. Ale nie mogło to nastąpić, dopóki Wujek Sam był zdeterminowany, by zapewnić spokój oligarchicznym hodowcom owoców. A skoro Jankesi byli zafiksowani na Nikaragui i potrzebowali baz w Hondurasie... No, dlaczegóż by nie wziąć milionów dolarów od gringos i nie zrobić z nich dobrego użytku w tej choćby i niewygodnej sytuacji.

Honduras już wcześniej miał dość pokaźną i dobrze wyszkoloną armię, jednak gdy pojawiły się problemy z politycznymi porwaniami, zabójstwami i napadami trans-granicznymi, podjęto decyzję, że amerykańskie wsparcie w tworzeniu wyspecjalizowanego oddziału może pomóc przezwyciężyć ten problem. Prośba o pomoc dotarła do Waszyngtonu, a starszy sierżant Santos Matos z Delta Force został wysłany, by spełnić obietnicę.

Santos przyszedł do nas w 1981 roku po wieloletniej służbie w Siłach Specjalnych i starych kompaniach zwiadowczych Rangerów. Doskonała reputacja, jaką zdobył podczas wojny w Wietnamie i nie tylko, nie wystarczy, by opisać, jakim był porządnym człowiekiem.

Był Portorykańczykiem, ale z jakiegoś powodu wyglądał bardziej na Polinezyjczyka niż człowieka z Wielkich Antyli. Wysoki, silny mężczyzna, spokojny, pewny siebie, co sprawiało, że ludzie do niego lgnęli. Miał niezwykłą taktyczną intuicję, ale potrafił też skupić się na szczegółach przy planowaniu operacji. W przeciwieństwie do wielu innych tak zwanych planistów operacyjnych, Santos znakomicie wyczuwał, co zadziała w walce, a co będzie zupełną stratą energii.

Jego główna siła leżała jednak w zdolności dowodzenia ludźmi. Bez względu na to, czy dowodził grupą wyszkolonych Amerykanów, czy też tubylczych wojowników, zawsze wykonywał robotę i odstawiał ludzi z powrotem w całości.

To było zadanie dla Herkulesa, ale w ciągu 10 tygodni przeznaczonych na szkolenie, Santos stworzył dość solidny 40-osobowy oddział. Taki, który umiał strzelać, poruszać się i komunikować. Ich umiejętności planowania strategicznego były na razie kiepskie, ale miały się rozwinąć w praktyce. Santos nie miał jednak wątpliwości, że samopodtrzymanie oddziału nie jest możliwe — co wynikało z tamtejszej kultury wojskowej.

Honduraska armia nie miała korpusu podoficerskiego. Podobnie jak i inne armie Ameryki Łacińskiej. Mają rangę sierżanta, ale wiąże się ona z czym innym niż u nas.

Głównie przypada im rola kierowców lub ordynansów przełożonych - oficerów. Sierżant nie ma żadnej władzy, a i odpowiedzialność niewielką, jeśli w ogóle jakąkolwiek. Nie musi zresztą robić nic poza odpowiadaniem dowódcy: „Tak jest!”. Korpus oficerski odpowiedzialny jest za wszystkie funkcje, nieważne, jak błahe - a ponieważ przyziemne zadania, takie jak ćwiczenia, konserwacja sprzętu czy dbanie o oddziały jest poniżej godności oficera... Możecie sobie to wyobrazić.

Santos dawał swojemu małemu oddziałowi rok, zanim dopadnie go entropia, a chłopaki znów wrócą do dość dobrze wyposażonego, ale kompletnie nieefektywnego bałaganu. Smutne, bo gdyby mieli porządną dowódcę, byłiby znakomitymi żołnierzami. Ale Santos nie miał zamiaru czekać aż tyle czasu, by potwierdzić swoją teorię. Po kilku miesiącach od powrotu do domu został wysłany do Hondurasu, by poprowadzić oddział w pierwszej misji.

Dorośla córka prominentnego obywatela Salwadoru, prawdziwego sprzymierzeńca Stanów Zjednoczonych, została porwana. Źródła informacji wskazały miejsce przetrzymywania kobiety. Honduraska grupa partyzancka, w akcie solidarności ze swoimi towarzyszami w Salwadrze, przetrzymywała młodą kobietę w specjalnie skonstruowanym domu na przedmieściach największego miasta Hondurasu, San Pedro Sula. Chłopcy z Hondurasu chcieli samodzielnie ją uwolnić, ale potrzebowali Santosa Matosa, by dał im wsparcie w podejmowanej przez nich próbie. Waszyngton wyraził zgodę.

Santos wskoczył na pokład samolotu Sił Powietrzno-Desantowych i znów ruszył na południe, wioząc ze sobą rozkazy, pobrane wprost z nad Potomaku, ograniczające jego działania w Hondurasie. Mógł zabrać oddział antyterrorystyczny pod sam dom, w którym znajdowała się porwana, ale nie wolno mu było poprowadzić szturm. To musieli zrobić chłopcy z Hondurasu sami. Santos nie zgadzał się z decyzją, ale się jej podporządkował. Rozkaz to rozkaz, nawet głupi. Dotarłszy do Hondurasu szybko zabrał się do dzieła. Oddział antyterrorystyczny przeniósł się do San Pedro Sula i zaczął planowanie akcji. Snajperzy zostali rozmieszczeni na stanowiskach obserwacyjnych w pobliżu domu, podczas gdy szturmowcy rozpoczęli próby. Błyskawiczny atak

był bardzo wymagający taktycznie, ale Santos wiedział, że ociąganie się byłoby niebezpieczne. Snajperzy mogli zostać zdemaskowani, bezpieczeństwo operacyjne naruszone, a jego chłopcy mogliby zacząć w siebie wątpić. Musiał więc działać szybko. Oddział antyterrorystyczny nie dysponował noktowizorami, dlatego Santos zdecydował się na szturm o świcie.

Na szczęście okna domu były zabite deskami. Co prawda snajperzy nie widzieli, co się dzieje w środku, ale i z wnętrza nie było nic widać. To sprzyjało Santosowi w rozmieszczeniu oddziału w pozycjach szturmowych pod ścianami domu bez konieczności wystawiania się na możliwość zdemaskowania przy zbliżaniu się do wyznaczonych miejsc. Santos przeprowadził ostatnią próbę, wyznaczył rotację awaryjnych drużyn szturmowych i ułożył oddział do snu. Mieli ruszać do akcji w ciemnościach poprzedzających świt następnego ranka.

Ich atak nie był ani zaawansowany technologicznie, ani spektakularny, po prostu skuteczny. Santos wsadził ludzi na pakę dwóch ciężarówek i pojechali. Zatrzymali się dwie przecznice od celu, ustawili w formację i zostali poprowadzeni do punktu kryzysowego przez lidera snajperów. Gdy żołnierze zajmowali pozycje, wszystko wyglądało nieźle. Wydawali się pewni siebie i kompetentni. Drużyny założyły ładunki wybuchowe na drzwi, a o pierwszym brzasku Santos kazał teniente (porucznikowi) dać sygnał rozpoczęcia szturm.

Teniente spojrział na swoich ludzi ostatni raz i dał sygnał gestem. Łubudu.

Drzwi wyleciały z oślepiającym błyskiem i hukiem gromu ludzkiej produkcji. Drużyny szturmowe ruszyły do przodu jak woda z węża strażackiego. Santos i teniente podeszli do osmalonych drzwi i stanęli nasłuchując strzałów ze środka. Ale coś było nie tak. Wszystko powinno się rozegrać w ciągu paru sekund. Po pierwszym strzale strzelanina nie zakończyła się. Przerodziła się w długą wymianę ognia. W pewnym momencie przez drzwi, radośnie podskakując, wypadł granat. Santos i teniente zanurkowali do pobliskiego rowu melioracyjnego w chwili, gdy granat eksplodował i zasypał wszystko śmiertelnymi odłamkami. Mieli dość. Santos wyskoczył z rowu, wyciągnął swoją czterdziestkę i wpadł przez drzwi do wnętrza budynku. Zobaczył to, czego oczekiwał — jego ludzie stracili odwagę i przerwali szturm. Pochowali się w budynku i wymieniali ogień z porywaczami.

Nagle, niczym w kreskówce o Strusiu Pędziwiatrze, związana postać z zasłoniętymi oczami wyprysnęła z rogu pokoju i skokami przemieszczała się po podłodze — dokładnie w sam środek strzelaniny.

To była dziewczyna, którą mieli uratować, próbująca uciec o własnych siłach. Mogła zginąć. Santos przeturlał się na środek pomieszczenia, w stronę epicentrum nieustającego ognia i powalił kobietę na podłogę. Chroniąc ją swoim ciałem zastrzelił dwóch porywaczy — a to wystarczyło, by przywrócić dzielność jego oddziałowi. Wznowili przerwany szturm i zabili wszystkich porywaczy w mgnieniu oka.

Niebywałe, ale kobieta była niedraśnięta, a i oddział szturmowy nie poniósł żadnych strat. Policja, wywiad honduraski i CIA wkroczyli na scenę. Uwolniona dziewczyna została wyswobodzona z więzów i zabrana do szpitala. Oddział antyterrorystyczny zebrał się i wrócił bez fanfar do domu, do Tegucigalpy. Tego samego popołudnia Santos pożegnał się z nimi i wsiadł na pokład samolotu Sił Powietrzno-Desantowych do Fort Bragg. Kilka godzin później był już na miejscu, a po paru dniach otrzymał swój deser: kopa w zad.

Chłopcy z Hondurasu byli tak zachwyceni operacją i odwagą Santosa, że niezwłocznie wysłali do Waszyngtonu wiadomość, szczegółowo opisującą niezwykle zachowanie amerykańskiego sierżanta. Potem było jeszcze gorzej — gdy prezydent Salwadoru wysłał podziękowania i przekazał Departamentowi Stanu, że zamierza nagrodzić sierżanta Matosa najwyższym państwowym odznaczeniem za odwagę.

Twardziele znad Potomaku nie byli zachwyceni, że ich święty rozkaz został złamany. A ich niezadowolenie w miarę zbliżania się do Fort Bragg rosło.

W tym okresie Delta dowodzona była przez człowieka, który, mówiąc wprost, nie był najsilniejszym dowódcą, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Na dobry początek za nieprzestrzeżenie rozkazów zrobił Santosowi z dupy je-sień średniowiecza.

I tak właśnie za bohaterski czyn, który powinien być zostać nagrodzony Srebrną Gwiazdą lub awansem na kapitana czy majora, Santos poznał mroczną stronę swojego dowódcy i dostał paperek do akt, mówiący, że jest brzydkim chłopczykiem.

Ale Santosa nie obchodziło to, jak został potraktowany. Niezbyt przejmował się tym, co nastąpiło, bo wiedział, że postąpił właściwie. A wściekanie się na działania jakiegoś pułkownika-karierowicza było, jak wściekanie się na noc, że jest ciemna.

Santos był niezwykłym, wspaniałym człowiekiem. I jak to zwykle bywa, odszedł od nas zbyt szybko. Starszy sierżant Santos Alfred Matos zginął w wypadku spadochronowym w roku 1991. Jak inni z naszego plemienia, w swoim testamencie zapisał pieniądze na stypę w Klubie Spadochronowym Zielonych Beretów.

Ale nawet jak na naszą niezwykłą grupę, Santos był niezwykłym człowiekiem. Był tak uwielbiany przez swoich przyjaciół, że wzniesli kamienny pomnik, poświęcony jego pamięci, na chodniku przed głównym wejściem do Klubu.

Jeśli zdarzy ci się podróżować autostradą 1-95 w pobliżu Fort Bragg, zatrzymaj się przy Klubie Spadochronowym i oddaj hołd Santosowi. A jeśli poszczęści ci się usiąść obok siwego weterana operacji specjalnych, wspomnij imię Santosa. Zasłużysz na darmowe piwo i ciekawą rozmowę.

Era Reagana była w rozkwicie i Honduras, podobnie jak wcześniej Bejrut, stał się naszym drugim domem. Wygląda na to, że poświęciliśmy nadmierną ilość czasu i energii temu ubogiemu, ale

znaczącemu strategicznie krajoŃwi. A pomimo iŃ działaliśmy tam zwykle w małych zespołach, nie oznaczało to, Ńe zawsze tak było. Stolarz, planując swojĄ pracę, przygotowuje większe gwoździe do więk-szych desek, a do większych gwoździ potrzebny jest więk-szy młotek. Czasami pojawiały się sprawy, które wymagały uŃycia większej siły. Kilka razy w roku cała Cięciwa ru-szała do akcji wymagających większego wysiłku.

Alarmy Cięciwy były zazwyczaj efektem porwania sa-molotu i przeważnie oznaczały podróż we wschodni rejon Morza Śródziemnego. Zdarzało się to tak często, Ńe stało się czymś w rodzaju letniego sportu. Spędzaliśmy tyle czasu w tym rejonie, Ńe zaczęliśmy się zastanawiać nad umieszczeniem jednego szwadronu we Włoszech czy na Cyprze na okres od maja do września. Ścigaliśmy wiele sa-molotów na całym Bliskim Wschodzie, ale nie mogliśmy położyć na nich łapy — patrzcie, ale nie ruszajcie. Rusza-Ńie było zarezerwowane dla rzadkich i dziwnych porwań w niecodziennych miejscach, jak wschodnia Azja czy Ameryka Południowa.

Przy którymś pościgu akcja była juŃ zaawansowana, a my juŃ, juŃ mieliśmy pociągnąć za spust, kiedy nadeszły rozkazy mówiące, Ńe skoro to egipski samolot został po-rwany, to Egipcjanie sami go zdejmą. Akurat tak się zło-żyło, Ńe Egipcjanie mieli świeŃutki oddział antyterrorystyczny, wyszkolony i gotowy do walki dzięki amerykań-skim przyjaciołom z Pierwszego Operacyjnego Oddziału Sił Specjalnych.

Zostałem wysłany myśliwcem marynarki, by dołączyć do egipskich towarzyszy i ruszyć z nimi do akcji jako „do-radca”. Ale kiedy przybyłem do Egiptu i dołączyłem do oddziału, nie zobaczyłem tam ani jednej znajomej twarzy. O tym właŃnie mówiłem wcześniej. Egipski rząd stwier-dził, Ńe kompetentny oddział antyterrorystyczny jest groź-ny dla bezpieczeństwa wewnętrznego i rozpuścili na czte-ry wiatry wyszkolonych przez nas Ńołnierzy. Oddział za-pełnili ludźmi politycznie poprawnymi.

Dopadłem radio i skontaktowałem się z dowódcą we Włoszech, informując go o sytuacji. Powiedział, Ńe wysy-ła po mnie samolot. Miałem po cichu przedostać się na lotnisko i brać nogi za pas. Znalazłem jakiś transport do bazy sił powietrznych, wsiadłem do wysłanego po mnie samolotu i wróciłem do Włoch.

Egipcjanie samodzielnie przeprowadzili szturm. Aby dostać się do samolotu, wybrali metodę polegającĄ na zdetonowaniu pod brzuchem samolotu dwudziestu kilo-gramów C-4. Nikt nie miał pojęcia, czemu zdecydowali się na ten sposób. W końcu wszyscy wiedzą, Ńe samoloty i środki wybuchowe to najgorsza mieszanka. W wyniku eksplozji i poŃaru zginęło ponad 60 osób. Wysoka cena za polityczną poprawnoŃ. Po tym incydencie wypisaliśmy się ze szkolenia zagranicz-nych sił antyterrorystycznych. Nikomu to nie pomagało, było tylko marnowaniem czasu i Ńrodków. NaszĄ specjalno-ŃiĄ były porwania — i niebawem nadarzyła się okolicznoŃ dodania prawdziwej perełki do naszej kolekcji trofeów.

Pewnego leniwego popołudnia, kilka dni przed przekazaniem przez nas dyżuru w Cięciwie Szwadronowi A, dostaliśmy wezwanie do porwanego samolotu w Hondurasie. Samolot wylądował i stał na lądowisku w Tegucigalpie. Waszyngton chciał wtedy dać czadu, żeby zrobić wrażenie na całym regionie. Był tylko jeden problem — nie mieliśmy tego samolotu w naszych aktach. Był to De Havilland DH-7, czterosilnikowy turbośmigłowiec z miejscami dla około 50 pasażerów.

Dlatego też, gdy mój szwadron zapakował się do C-130 i ruszył do Hondurasu, ja pojechałem do Virginia Beach, aby przyjrzeć się Dash-7, jak nazywano te samoloty, i go pomierzyć. Mała firma czarterowa znajdująca się w Nowej Anglii latała kilkoma Dash-7 i byli szczęśliwi, mogąc mi udostępnić egzemplarz na jedną noc.

Samolot czekał na lotnisku w Virginia Beach. Spędziłem dwie godziny na badaniu. Mierzyłem, szkicowałem i robiłem notatki. Bułka z masłem. Żadnych drabin - wszystkie drzwi i zawiasy były nisko nad ziemią i otwierały się z zewnątrz. Siedzenia w środku rozmieszczone jak w autokarze, kadłub nie był podzielony na przedziały, przez całą długość kabiny dało się strzelać z pistoletu. Kiedy miałem już wszystkie potrzebne informacje, skierowałem się na południe, by dołączyć do moich przyjaciół w przepięknym Hondurasie.

Przybyłem do Tegucigalpy około 10 rano następnego dnia, lecąc z Panamy. Samolot odkołował na militarną część lotniska i gdy zgasił silniki, wysiadłem i ruszyłem na poszukiwanie rodaków.

Wkrótce znalazłem jednego z naszych chłopaków, Guya Harmona, siedzącego na odwróconym wiadrze, medytującego i palącego kiepskie cygaro.

Kryptonim Guya brzmiał „Oso”, co po hiszpańsku znaczy „niedźwiedź” i świetnie doń pasuje. Facet wygląda mi-siowato, mówi powoli, niskim, mrużącym głosem i ciężko stąpa. Ale ma też inne cechy niedźwiedzia. Kiedy potrzeba, potrafi przemieszczać się błyskawicznie. Jest niebywale silny i niewzruszenie zdeterminowany, nieustraszony i nieubłagany w boju.

Nic nie powiedział, kiedy się spostrzeżliśmy, tylko dalej leniwie palił cygaro i przyglądał się, jak podchodzę. Nie wołałem do niego, najwyraźniej nad czymś się zastanawiał i nie chciałem go dekoncentrować. Kiedy się przed nim zatrzymałem, wydmuchnął w moją stronę kółko z dymu i powiedział:

- A ty tu skąd, gringo?

— Wyruszyłem poza krawędź świata i udało mi się powrócić. Oto jestem - odpowiedziałem. Guy uśmiechnął się.

- No to chyba znalazłeś właściwe miejsce, Lucyferze — powiedział, rozglądając się. - Jeśli szukasz reszty chłopaków, idź drogą przez tamten pagórek. Znajdziesz Dana i dowódców drużyn za kupą warsztatów i ciężkiego sprzętu. Zrobili sobie szalas dowodzenia między vanami, nie sposób tego przegapić.

- Co się dzieje, Guy? O czym tak dumasz? Coś mi tu śmierzdi. Jakoś tak dziwnie wyglądasz.
 - Czy ja wiem, Erie. Ale coś tu rzeczywiście jest nie tak. Znasz się na tutejszych władzach?
- No.

- Powiem ci, że tu się roi od ludzi. I to nie są miejscowi. Chyba wszyscy agenci z całej Ameryki się tu zjechałi - CIA, NSA, DIA, można by długo wymieniać. Nie zakręcisz zdechłym kotem za ogon, żeby nie skosić ze trzech tajniaków. Dziwne to wszystko. Jakby wszyscy wiedzieli, że to się stanie. Przyjechali przed nami, już byli gotowi. Zapelnili wszystkie zakamarki tutejszych budynków. Nie pozwolili nam do żadnego wejść. Poustawiali z piętnaście potężnych przekaźników radiowych i okablowali cały teren. „Zły Bob” (dowódca naszego szwadronu) już dwa razy spał się z tutejszym szefem placówki. Facet chyba myśli, że jesteśmy jego podwładnymi. No i słuchaj. Porywacz to jakiś wieśniak po sześćdziesiątce, który wziął sobie paru gówniarzy na przydupasów. To nie sprawa polityczna, chce tylko kasy. I to nie jest jego pierwszy raz. Porwał już samolot, dostał okup i wyjechał na Kubę na pięć lat. A teraz wrócił - Guy przerwał i refleksyjnie zaciągnął się cygarem zanim znów zaczął opowiadać.

- Ale to nie wszystko. Na pokładzie samolotu jest też pięć czy sześć hien z telewizyjnych wiadomości, które wznecają piekło. Ich szef co najmniej dwa razy na godzinę dorywa się do radia, wrzeszcząc na Honduran, że jest ważną osobistością, więc mają zapłacić okup. Paru gości z ekipy telewizyjnej, którzy nie byli na pokładzie, lata po

okolicy i próbuje zgromadzić forszę na okup. Pewnie robią zbiórkę w hotelu Maya czy innej spelunie, gdzie się gnieżdżą. Biorąc pod uwagę, jak te dziennikarzyny się lubią, pewnie zebrali ze 35, może 40 centów. Mówię ci, Cotton Mouth* (mój kryptonim) to jest cyrk na kółkach. To akurat sam już wiedziałem.

- Guy, masz jakieś pojęcie, co tu się naprawdę dzieje?

- Jeszcze nie - odpowiedział, przesuwając cygaro w kącik ust. — Jak tylko coś wykombinuję, dam znać.

- Dobra, „Oso”, widzimy się w pierwszym rzędzie.

- Jasne - powiedział, przechylając głowę, by wypuścić kolejną długą smugę dymu w kształcie fontanny wieloryba.

Znalazłem chłopaków i rzuciłem torbę w cieniu małego zagajnika bananowego. Gdy już wziąłem sprzęt, Dan zgromadził dowódców drużyn, abym mógł ich zapoznać z DH-7. Po spotkaniu Dan powiedział mi, co już wiedzieli.

* Nazwa gatunkowa węża - mokasyna błotnego lub negatywna postać węża z komiksu - przyp.tłum.

- Dowódca jest w ambasadzie, walczy z szefem placówki. Ambasador robi za sędziego. Na chwilę obecną ustalenia są takie, że uderzamy jutro rano. Ale to nie za dobrze wygląda. Mają na

pokładzie materiały wybuchowe. Jakąś godzinę temu porywacz zadzwonił do Honduran po wapno. Stwierdził, że dynamit mu przecieka i potrzebował wapna, by go zasypać. Powiedzieliśmy mu, żeby nic nie robił i że przyślemy kogoś na pomoc. Andres poszedł z workiem trocin. Wpuścili go na pokład i rzeczywiście było tam osiem lasek ciekącego dynamitu związanych w dwie bomby. Stary wiedział o dynamicie dostatecznie dużo, by rozumieć, że ma problem, więc pozwolił Andresowi włożyć każdą z bomb do pudełka i zasypać dynamit trocinami. Potem stary pokazał Andresowi w jaki sposób zamocował bombę do drzwi - na wypadek, gdyby komuś chciało się atakować. Mamy już rozmieszczonych snajperów i cały czas dyżuruje awaryjna drużyna szturmowa. Teraz dyżuruje Feney, zmienisz go o 14. Jedno tylko jest zabawne, Erie. Nikt nie negocjuje z porywaczem. No owszem, gadają z nim co jakiś czas, ale jakoś tak bez entuzjazmu. Wygląda to, jakby wcale nie chcieli, aby się poddał. Chyba chcą go tylko załatwić.

- Bez sensu, Dan - powiedziałem. - Tłum ludzi lata tu dookoła, zajmując się Bóg wie czym. Fale radiowe są tak zagęszczone, że mogłyby usmażyć samolot w locie. Stary i szef placówki walczą w błocie w gabinecie ambasadora. Cholera, byłem na publicznej egzekucji w Arabii Saudyjskiej, na paru lokalnych jarmarkach, chodziłem też jak koń w kieracie, ale nigdy czegoś takiego nie widziałem. O co chodzi?

Dan był introwertykiem i rzadko mówił więcej, niż to konieczne. Wszystko jednak rozumiał i miał niezwykłą zdolność przejrzenia każdego podstępny i docierania do sedna sprawy. Był niczym ludzki wariograf dalekiego zasięgu.

— Erie, zdaje mi się, że to po prostu operacja CIA wzięła w łeb. Pewnie operacja zbierania funduszy dla Contras. Ale coś się wydarzyło i Honduranie nie zapłacili na czas, a nikt się nie spodziewał, że to wypłynie do prasy. Zanim się skapowali, co jest grane, zupa się wylała i ostatnia rzecz, na jaką Agencja może sobie pozwolić, to żeby gość się poddał i zaczął mówić. Aby więc chronić agencyjne tajne dupski porywacze muszą zginąć, a zabić ich mamy właśnie my. No i już wiesz, czemu tu się aż roi od tych zasrańców. Muszą przypilnować, żeby nie wpakować się w jeszcze gorsze szambo.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. To miało sens. Nie mógł istnieć inny powód przesadnej uwagi poświęconej tej sprawie przez Agencję. Kongres ostatnio wypiął się na sponsorowanie Contras, ale rozeszły się plotki, że Agencja robi jakieś ruchy, żeby zebrać własną forszę dla ich nikaraguańskich pieścioszków. No tak, to miało sens. Mało dzieliło handlowanie prochami od porywania samolotów. Miałem tylko nadzieję, że ten, kto to wymyślił, ma już pełne gacie.

- Dan, wszystko wygląda na niezłe szambo — powiedziałem. - Wdepnęli w gówno, a my mamy być chłopcami do czyszczenia? Jakie skurwysyny tak działają?

- Zgniłe na wylot, mi amigo - westchnął. - Zgniłe do głębi ich obumarłych dusz. Ale wiesz, to tylko teoria. Ja uważam, że właśnie o to chodzi, ale nigdy nie znajdzie się ani kawałek dowodu

na prawdziwość tej teorii.

Dołączyłem do reszty kolegów i wskoczyłem w mundur szturmowy. Resztę dnia przedzemałem w gęstym tropikalnym upale. Ludzie byli nienaturalnie cisi. Prawie nie dało się słyszeć żartów ani anegdot, większość wyglądała na zatopionych w myślach, jakby próbowali choć duchem przenieść się w inne miejsce. W każdym razie ja się starałem tak zrobić.

Aby przerwać tę smutną fugę, co jakiś czas szedłem do honduraskiego radia i słuchałem najnowszych wieści z samolotu. Zawsze to samo - szef grupy dziennikarzy pytał o postępy w zbieraniu funduszy na okup. Miał piskliwy, pretensjonalny głos i od razu udało mu się wkurzyć honduraskie władze. Brzydki Amerykanin — nie pomagał swojej sprawie.

Tuż przed zmierzchem dowódca szwadronu przywołał nas do siebie. Miał dla nas niespodziankę. — Chłopaki, nie uderzamy. Honduranie robią to sami. Do nas należy zapewnienie wsparcia snajperskiego. Erie, ty i Andres idziecie z Honduranami i trzymacie ich za rączkę. Szturm nastąpi o 5 rano.

Wszyscy spojrzeli na nas. Ja popatrzyłem na Andresa uniósłszy brwi. Andres gapił się na czubki butów. Wzruszył ramionami.

— Jakie mamy rozkazy, szefie? Jesteśmy dowódcami czy doradcami? - zapytałem. - Wiesz, że Honduranie nie mieli jeszcze doświadczeń z samolotem. Nawet nie sadzę, aby ćwiczyli na samolocie lotnictwa cywilnego. Jeśli pójdą sami, to się skończy krwawą jatką. No i nie zapominaj o tym ciekającym dynamicie na pokładzie.

— Będziecie dowodzili Honduranami. Ty, Erie, dowodzisz szturmem. Andres, ty jesteś drugim dowódcą. Liczę na was, nie dopuście do jatki. Wszyscy na was liczymy. Honduranie na was czekają. Jak już pozbieracie sprzęt i będziecie gotowi, będę miał do was słówko na osobności. Było coraz gorzej. Honduranie nie byli źli — ale nie byli też dobrzy. Nie mieli zbyt wiele doświadczenia i niewiele mogliśmy im przekazać w czasie, który nam pozostał. Andres i ja naradziliśmy się, zanim zameldowaliśmy się „Złemu Bobowi”. Obaj martwiliśmy się tym dynamitem. Andres powiedział, że gdy był na pokładzie, pasażerom udało się przekazać mu, że porywacz przyczepia bombę do głównych drzwi tylko wtedy, kiedy coś go zdenerwuje. Przez resztę czasu bomby leżały na przednich siedzeniach, pod kontrolą starego.

To była dobra wiadomość. Przynajmniej porywacze mieli tyle rozumu, by nie trzymać bomby uwiązanej do drzwi przez cały czas. Takie postępowanie oznacza ryzyko wysadzenia samego siebie. A jeśli uwiązywali bomby jedynie do dwojga głównych drzwi, może jednak mogliśmy dostać się do środka bez detonowania tego cholerstwa.

Poszliśmy do szefa. Lany Freedman także się pojawił, dzięki czemu mogliśmy dograć sprawy ze snajperami. Andres i ja mieliśmy plan, który przedyskutowaliśmy z kolegami.

— Lany, masz czysty strzał, kiedy porywacz gada przez radio?

— No, musi stanąć na środku i złapać mikrofon, a wtedy namierzamy go zbieżnym ogniem przez boczne szyby kokpitu. Pilot i drugi pilot siedzą całkiem poza linią strzału, więc będą bezpieczni. To będzie dobry strzał.

Właśnie to chciałem usłyszeć. Odwróciłem się do Boba.

— Możemy dostać się do samolotu przez wyjścia awaryjne po obu stronach kadłuba w połowie jego długości. Zawiasy są sprężynowe, otwierają się na zewnątrz. To nam daje dwa punkty uderzeniowe, jeden po każdej stronie, które nie mogą być zaryglowane ani zablokowane materiałami wybuchowymi. Jeśli uda się nam rozmieścić drużyny szturmowe przy tych wejściach tuż przed świtem, a następnie zostanie nawiązana łączność radiowa, snajperzy będą mogli zdjąć przynajmniej jednego z porywaczy.

Na dźwięk strzału błyskawicznie dostaniemy się do środka i najprawdopodobniej dorwiemy pozostałych dwóch, zanim do nich dotrze, co się dzieje.

- Andres poprowadzi jedną drużynę szturmową, a ja drugą. W ten sposób Honduranie nie będą musieli myśleć, co robią. Po prostu mają iść za nami i robić to, co my — a w tym są cholernie dobrzy.

— Ułatwimy ci robotę — powiedział Larry. — Ja mam odliczać, czy ty to zrobisz?

— Ja odliczę, Larry. Gdyby coś się spieprzyło, będę mógł zatrzymać odliczanie. Wcale nie jestem pewny, czy łatwo nam pójdzie z Honduranami, gdy już ich doprowadzimy pod samolot. Mogą być tak podkręceni, że tracą kontrolę nad sobą albo mogą nabrać wątpliwości. Nie myślę, żeby były z nimi kłopoty. To dobre chłopaki. Ale musimy być gotowi na wszystko.

Larry kiwnął twierdząco głową, a potem odezwał się Bob.

- Priorytetem tutaj, chłopcy, jest oczyszczenie samolotu i wydobywanie nietkniętych zakładników. Jeśli coś wam nie będzie leżało, gdy dotrzecie na miejsce, wycofajcie się i zaczekamy lub wypróbujemy inny sposób. Niektórzy tutaj myślą, że pora ataku jest ściśle ustalona, ale ja nie jestem jednym z nich. Zróbcie to, co uznacie za najlepsze. Nie chcę, żebyście niepotrzebnie ryzykowali.

Andres odezwał się z uśmiechem na twarzy:

— Szefie, jakie ryzyko? To tylko samolot z trzema terrorystami, uzbrojonymi w karabiny maszynowe i bomby. Szybko się skapujemy, czy wygraliśmy, czy nie.

- Co masz na myśli, Andres? - zapytał Bob.

- Po prostu. Jak nie wybuchnie, wygraliśmy. Bob roześmiał się i powiedział:

— No to radzę wam dwóm - niech wam ten pieprzony samolot nie wybuchnie! Chcę was obu jutro widzieć, opowiadających o tym, jak wam niesamowicie poszło, i próbujących mnie namówić na danie wam tygodnia urlopu, żebyście mogli wypocząć po ciężkich przejściach.

— Na to możesz liczyć, Bob — powiedziałem, gdy kończyliśmy spotkanie. Atmosfera znów

wydawała się beztrojska i normalna. Zrobimy rano co trzeba i wszyscy wrócą do domu. Cokolwiek się tu działo, zostanie wyprostowane, zanim ziemia obróci się wokół osi. Może to dziwne, ale wszystko było tylko rolą na scenie życia i wiedziałem, że to my wychodzimy do następnego aktu tak, jak to już zrobił porywacz.

Pobraliśmy dodatkowe baterie do radia, zrobiliśmy próbę mikrofonów i odbyliśmy ostatnią konferencję koordynacyjną z Larrym. Potem wskoczyliśmy do pickupa, by podjechać na miejsce, gdzie po drugiej stronie drogi kołowania rozłożyła się honduraska Cobra Forcé. Andres i ja pracowaliśmy już z tymi ludźmi, więc dołączywszy do grupy, poczuliśmy się jak w domu. Honduranie byli najlepszymi ze środkowoamerykańskich wojskowych. Tutejsza armia nigdy nie była używana przez rząd jako narzędzie represji, w przeciwieństwie do innych wojsk tego regionu. Dla campesinos służba wojskowa była awansem społecznym, dlatego powołani do wojska dawali z siebie wszystko. Chłopcy z oddziału Cobra jeszcze nie byli zbyt pewni swoich umiejętności, ale za to byli twardzi i bardzo się starali.

Plan nie był trudny do ogarnięcia. Po omówieniu go, rozrysowaliśmy schemat samolotu i zaczęliśmy próby. Na wystrzał snajperski mieliśmy rozpocząć szturm samolotu. Andres i jego drużyna mieli wejść lewymi drzwiami i oczyścić tył. Jednocześnie ja i moi chłopcy mieliśmy wejść drzwiami prawymi i oczyścić przód.

Kiedy byliśmy pewni, że każdy wie, co ma robić, wypróbowaliśmy broń. Napełniliśmy do połowy 250-litrową blaszaną beczkę piaskiem, przechyliliśmy pod kątem 45 stopni i kazaliśmy wszystkim wypalić do wnętrza.

Zrobiliśmy próbę radia i położyliśmy chłopaków spać. Mieliśmy ich obudzić o 4 rano, a zaraz potem ruszyć do akcji. Nie chciałem, aby mieli za dużo czasu na myślenie.

Tyle tylko, by pozbyć się z głowy resztek snu, sprawdzić sprzęt, łyknąć wody i zająć pozycje.

Andres i ja rozłożyliśmy nasze pałatki na ziemi przed hangarem i położyliśmy się, by odpocząć.

Zasnąłem słuchając powolnych, rytmicznych kroków honduraskiego strażnika, chodzącego w tę i z powrotem po pobliskim asfalcie.

Obudziłem się o godzinie 3. Wtedy świat jest najcichszy. Nocne zwierzęta zakończyły już swe wędrówki, a dzienne jeszcze nie wstały. Nic się nie porusza tak wcześnie rano, nie słychać nawet owadów. To jedna z moich ulubionych pór, a niespanie o tej porze wzbudza we mnie przyjemne uczucie, jakbym był dopuszczony do jakiejś wielkiej tajemnicy. Leżę sobie wygodnie, myśląc i patrząc w niebo.

Z dogodnego punktu obserwacyjnego mojego ciepłego, wygodnego miejsca na Matce Ziemi, mogłem spojrzeć w nieskończoność przestrzeni i czasu. „Za kilka godzin — pomyślałem — niektórzy z nas przeniosą się do wieczności. A ja mam być narzędziem tej podróży, a może nawet jednym z jej uczestników - prędzej czy później. Ale jeśli to już dzisiaj - najpierw napiję się kawy”.

Przeturlałem się i zanurkowałem w głąb plecaka w poszukiwaniu wielkiej manierki kawy MRE (Meal Ready to Eat — gotowy posiłek, przyp.tłum.)

Andres poruszył się i odwrócił w moją stronę, by na mnie spojrzeć czujnymi oczami. Nic nie powiedział. Sięgnął tylko do zewnętrznej kieszeni swojego plecaka i rzucił mi saszetkę MRE, zawierającą kawę, kakao, śmietankę w proszku i cukier oraz pastylki paliwa do kuchni. Leżał potem przyglądając się, jak napełniam menażkę wodą i stawiam ją na małej kuchence, nad błękitnym płomieniem spalanych w niej pastylek. Kiedy nadszedł czas na śniadanie, Andres wstał. Ogoliliśmy się i przygotowaaliśmy na nadchodzący dzień.

Zrobiłem gęsty, mocny napój z kawy i kakao, z mnóstwem śmietanki i cukru. To miał być nasz posiłek. Kiedy płyn miał już właściwą temperaturę, tuż poniżej wrzenia, Andres podstawił swój kubek do menażki i przelałem mu połowę kawy. Wciągnął słodki zapach znad kubka i podniósł go to ust. Tuż przed pierwszym łyżkiem wstrzymał się i powiedział:

- Wiesz co, Erie. Ja wcale nie chcę zabijać tego starego człowieka i jego chłopców. Zrobię to. Ale nie chcę.

Dokładnie wiedziałem, jak się czuje. Ta sama myśl mnie obudziła - i ta sama drażyła mój umysł, gdy spałem. Porywacze to terroryści. Nasze zadanie to zabijanie terrorystów. Ale w tym porwaniu nie było za wiele terroru. Gdy stary porwał samolot, troszczył się o wszystkich. Nikomu nic się nie stało. Z własnej woli wypuścił kobiety i dzieci, grubych i starych. Na początku miał samolot wypełniony 50 pasażerami. Teraz liczba zakładników zmniejszyła się do mniej niż trzydziestu. Nie żądał też przesadnie wielkiego okupu — zaledwie 500 tys. dolarów i możliwości odlecenia na Kubę. To akurat było zabawne, bo Kuba w tamtych czasach zawsze zawracała piratów powietrznych, a on musiał o tym wiedzieć. Wiele rzeczy tu było bez sensu. Nie byłem pewny, czy tak do końca kupuję teorię Dona o Agencji stojącej za tymi wydarzeniami, ale coś zdecydowanie śmierdziało na lotnisku Toncontin w zacyjnym mieście Tegucigalpa w Hondurasie.

Gdy tak sączyliśmy kawę pogrążeni w myślach, włączyłem radio, podłączyłem słuchawki i rutynowo skontaktowałem się ze snajperskim TCO. Nic do zameldowania. Całą noc w samolocie było cicho i nie zauważono wewnątrz żadnego ruchu. To miało sens: do tej pory porywacze i zakładnicy powinni być już wyczerpani. Spojrzałem na zegarek.

Skończyłem kawę i właśnie rolowałem swoją pałatkę, gdy w moim uchu odezwało się radio:

- Cotton Mouth. Widzisz samolot ze swojej pozycji?

— głos był podekscytowany.

- Nie, stąd nie - odpowiedziałem.

- Przejdź w miejsce, skąd go widać. Zakładnicy uciekają. Gromada wyskakuje z R-2

(wyjście awaryjne po prawej stronie maszyny). Drużyna Otta ich ubezpiecza. Czekaj chwilę, jest więcej informacji.

Andres również słyszał meldunek. Skoczył na równe nogi i zarzucił na szyję swojego MP-5. Ja złapałem swój i pobiegliśmy w stronę końca sąsiedniego hangaru, skąd widać było maszynę. W słabym blasku lotniskowego oświetlenia zobaczyliśmy stadko ludzi, zganianych z widoku przez dwie czarno odziane postacie. Radio znów zaszczekało.

— Otto melduje, że około dwunastu zakładników zdołało uciec zanim porywacze odzyskali kontrolę. „Stary Kogut” (porywacz) gada teraz przez radio z Hondurana-mi. Masz rozkaz być w pogotowiu. Szturm odwołany. Powtarzam, szturm tymczasowo odwołany. Potwierdź.

— Roger, TCO - odpowiedziałem. - Szturm odwołany do otrzymania innych rozkazów.

— Andres, idź obudź Cobry i ustaw ich w szyku szturmu awaryjnego. Nie wiadomo, co się zaraz stanie. Tymczasem ja się połączę z Ottem i zobaczę, co to wszystko znaczy. Monitoruj częstotliwość rozkazową, ale my będziemy się porozumiewać na kanale 4. Odezwę się, jak się czegoś dowiem.

— OK., hermano. Wezmę chłopaków i przyprowadzę za ten hangar. Będziemy bliżej samolotu, ale nie będzie nas widać, kiedy wstanie słońce. Dam ci znać, jak już zajmijemy pozycję.

Andres poszedł przygotować Cobry, a ja skierowałem się w przeciwną stronę, żeby zobaczyć, co mają do powiedzenia uciekinierzy. Znalazłem tłum w rowie, w którym, jak widziałem, zniknęli. Rick Downing udzielał jednemu z nich pierwszej pomocy, a reszta stłoczyła się u stóp Otta jak spłoszone kurczęta wokół mamy-kwoki. Otto meldował przez radio, więc podszedłem do Ricka, by sprawdzić, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy.

Facet dostał do garści latarkę chemiczną i trzymał ją przy twarzy, aby Rick widział co robi.

Biedaczysko miał złamany nos — tyle widać było na pewno — a poza nadwreżonym, ale niezłamanym nadgarstkiem i solidnymi otarciami, nic mu nie było. Żaden z pozostałych uciekinierów nie miał obrażeń, ale wszyscy byli diabelnie spragnieni i opróżniali manierki, które im daliśmy.

Naradziłem się z Ottem, gdy ten skończył swój meldunek dla TCO.

— Erie, ten gość z przetrąconym nochem to szef dzien-nikarzy, którzy byli w samolocie. Wiesz, ten który robił tyle zamieszania. Zdażyliśmy od niego wyciągnąć kilka informacji i chyba wszystko trzyma się kupy. Słuchaj. Tuż przed północą „Stary Kogut” postawił chłopców na straży nad pasażerami i położył się spać. Jak już uruchomił tartak, te dwa małeletnie fiutki urządziły sobie małą imprezkę z dużym wykorzystaniem napojów alkoholowych znajdujących się na pokładzie. Kiedy zasnęli, nasz dzien-nikarz, który opierał się o wyjście R-2, po prostu sięgnął do góry i pociągnął za uchwyt. Nie miał pojęcia, że są sprężynowe. Kiedy więc wyskoczyły i spadły na ziemię, on zleciał razem z nimi — twarzą na asfalt. Gdy tylko zniknął on i jego drzwi, wszyscy zaczęli się tłoczyć, by także się wydostać. Gdyby zachowali ciszę, założył się, że uciekliby w komplecie. No, ale „Stary Kogut” się obudził i położył kres wielkiej ucieczce.

Machnął ręką w stronę pasażerów, którzy podawali sobie manierki i zachowywali się dziarsko i buńczucznie. Nie ma to jak uniknięcie śmierci, by dodać smaku swemu życiu.

— Jeśli weźmiesz ich do hangaru, Larry przyśle ciężarówkę, która ich zabierze. Potem Puck i ja możemy wrócić na nasze pozycje, żeby zobaczyć, jak mają się rzeczy. Rozumiem, że szturm wstrzymano.

— Na razie na to wygląda, ale nie wiem, co będzie potem — odpowiedziałem.

— No, ten, mam nadzieję, że pozostanie wstrzymany, Bubba - powiedział ponuro Otto. Miał zmarszczone brwi nad pokrytą kamuflażem twarzą. - Nie ma potrzeby zabijać tego staruszka. „Otto też to czuje” pomyślałem, stawiając na nogi byłych zakładników i prowadząc ich do hangaru.

Kiedy staruszek zobaczył, że połowa zakładników dała nogę, uruchomił radio i powiedział honduraskim władzom, że chce się dogadać i żąda rozmowy z przedstawicielem linii lotniczych. Kiedy już uzyskał połączenie, przedstawił nowe żądania: paliwo do samolotu, jedzenie dla niego, jego towarzyszy i załogi - oraz 250 tys. dolarów w gotówce. Jeśli nie otrzyma tego do godziny 10, wypuści pasażerów i załogę, i podpali samolot. Zasugerował dyrektorowi, by jego firma skontaktowała się z ubezpieczycielem i sprawdziła, co ci rozsądni ludzie powiedzą o tym pomysle - czy lepiej podzucić 250 kafli, czy kupić nowy samolot.

Tak to sobie wykoncypował. Pieniądze szybko przywieziono - razem z mapami powietrznymi Kuby. Załoga samolotu tak ceniła staruszka, że zgłosili się na ochotnika, by lecieć z nim.

Otto, Andres i ja stłoczyliśmy się na pagórku w pobliżu drogi kołowania i patrzyliśmy jak samolot rozpędza się i startuje. Po paru minutach był tylko srebrną plamką w oddali, a potem zniknął.

Nigdy już nie usłyszałem o „Starym Kogucie” i jego dwóch młodych kompanach. Lubię myśleć, że dobrze zainwestował swoje pieniądze i spędził resztę życia w zaciszu i spokoju.

Dziennikarz biegał przez jakiś czas, próbując zainteresować wszystkich swoją historią, ale nawet jego własne środowisko go zignorowało.

Moi kumple i ja wróciliśmy do domu, zadowoleni z takiego rozstrzygnięcia sprawy. Czasem największą satysfakcją sprawia robota, której nie trzeba wykonywać.

Starszy sierżant Otto Clark zginął podczas Pustynnej Burzy, próbując uratować rannego towarzysza, Pata Hurleya. Pat również zginął.

Nie posiedzieliśmy w domu zbyt długo, gdy coś zaprzętnęło naszą uwagę. Spędziliśmy większą część roku na planowaniu inwazji na mały tropikalny kraik, któremu udało się dostać na „shitlistę” Stanów Zjednoczonych. Nazwy kraju nawet nie wspomnę. Nie miałyby to sensu, a poza tym uraziłoby uczucia jego mieszkańców.

Inwazja została zaplanowana jako dość rozbudowana operacja. Oprócz Delta Force mieli w niej

wziąć udział: 1. Batalion Rangerów oraz myśliwce i bombowce marynarki i sił powietrzno-desantowych. Zanim zakończyliśmy ostatnie próby ataku, koszt przygotowań tej ekstrawagancji przekroczył miliard dolarów.

Ale co spowodowało, można by zapytać, że najpotężniejsze państwo świata czuło się tak zagrożone, że nie widziało innego wyjścia, niż tylko ruszyć na wojnę? To proste. Państewko zdecydowało się opodatkować największą korporację znajdującą się w jego granicach. Ale nie chodziło o zwykłą korporację. Ta była wielka — i amerykańska. Jako największy i najzamożniejszy podmiot w tym małym kraju, firma była przyzwyczajona do życia we własny sposób. A w to zdecydowanie nie wchodziło płacenie podatków na rzecz swojego ubożuchnego gospodarza z Trzeciego Świata.

Kiedy wysiłki owej amerykańskiej korporacji zmierzające do tego, by uniknąć płacenia podatków okazały się nieskuteczne, firma poskarżyła się Wujowi Samowi, który nadstawił współczującego ucha. Szybko zdecydowano, że takie podatkowe podrzynanie gardła wspaniałej amerykańskiej firmie nie tylko jest niemoralne, ale mówiąc wprost — komunistyczne!

Sprawę w końcu rozwiązano innym sposobem. CIA zrobiło coś, co najlepiej umie, a umie to naprawdę dobrze. Młody człowiek z armii tego kraju, razem z grupką swoich przyjaciół, wszczął bunt i rozkręcił wojnę partyzancką na małą skalę. Niespodzianka — jednym z głównych dogmatów tej partyzantki było sprzeciwianie się opodatkowaniu zagranicznych korporacji.

Nie minęło wiele czasu, zanim osiągnięto porozumienie. Stary prezydent zgodził się wycofać, partyzanci wyszli z lasu i wszyscy beztrąsko oraz z lekkim sercem wrócili do codzienności - takiej, jaka była przedtem.

Obyło się bez inwazji. Przynajmniej na ten kraj. Ale na półkę położyliśmy kosztowny, doskonale skrojony - jak u wybitnego krawca - plan inwazji. Pozostawiliśmy go na zmarnowanie.

Wracałem właśnie do domu z Korei. Pracowałem tam jako doradca południowokoreańskiej armii, walczącej o stworzenie oddziału antyterrorystycznego. Ich celem było wyszkolenie i uruchomienie oddziału, zanim rozpoczną się Mistrzostwa Azji w Korei, które będą okazją do próby generalnej dla sił bezpieczeństwa przed Igrzyskami Olimpijskimi w Seulu.

To była długa, męcząca podróż. Koreańczycy to żywotni ludzie i ich podejście do każdego przedsięwzięcia odznaczało się niezwykłą intensywnością. Samo przebywanie w epicentrum tak natężonej aktywności wyczerpywało człowieka. Ale coś jeszcze dręczyło mnie podczas długiego lotu z Seulu. Na lotnisku, tuż przed wejściem na pokład, zobaczyłem telewizyjną migawkę - ciężarówka wyładowana materiałami wybuchowymi, prowadzona przez zamachowca-samobójcę eksplodowała w pobliżu koszar Marines w Bejrucie. Były setki zabitych i znacznie więcej rannych.

Atak taki jak ten nie mógł pozostać bezkarny - a my wiedzieliśmy, gdzie uderzyć. Już od wielu

miesiący namierzyliśmy komórki terrorystyczne w Bejrucie i przygotowaliśmy się do ich unieszkodliwienia. Co prawda nie zlikwiduje to terroryzmu w tym rejonie, ale na pewno na jakiś czas go przydusi. Oczekiwałem, że od razu wyślą mnie do Bejrutu.

Późnym wieczorem wylądowaliśmy w Fayetteville, a gdy wszedłem do terminalu, jedną z pierwszych napotkanych przez mnie osób była Judy, żona Dona Feeneya. Znaliśmy się od dawna i byliśmy bliskimi przyjaciółmi, ale wiedziałem, że nie ze mną ma się tu spotkać. Przywitaliśmy się, po czym powiedziała mi, że czeka na swojego kuzyna, który uczestniczy w Kursie Oficerskim Sił Specjalnych. Wzięła mnie na bok i powiedziała cicho:

- Erie, Donny'ego wezwali godzinę temu. Pełna gotowość bojowa. Jeśli chcesz od razu jechać do jednostki, wpadnę do ciebie do domu i powiem twoim, gdzie jesteś.

„Cholera, wróciłem na czas”. Wszystko szło szybciej, niż przewidywałem. Nie było czasu do stracenia.

- Dzięki, Judy, kochana jesteś. Powiedz, że wrócę, jak tylko dam radę.

- Nie ma sprawy, Erie. Zawsze to słyszymy - powiedziała, a potem mnie uścisnęła. - I ty, i Don macie na siebie uważać. Wszyscy macie na siebie uważać.

- Zawsze uważamy, Judy - powiedziałem przez ramię, kierując się w stronę parkingu. Nawet wtedy Judy Feeney była najwytrwalszą, najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. W kolejnych latach udowodniła swoje opanowanie w wielu niebezpiecznych misjach ratowania dzieci, które ona i Donny podejmowali na całym świecie. Właściwie dwie ostatnie takie misje wykonałem właśnie z nią.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy związanych z Cięciwą jest jazda do koszar bez przekraczania dozwolonej prędkości. Każdy atom w twoim ciele wrzeszczy: „Szybko, gaz do dechy, ruszaj się!”. Musisz jednak oprzeć się temu pośpiechowi. Nie możesz zwracać na siebie uwagi - a ostatnią rzeczą, której potrzebujesz, jest mandat za przekroczenie prędkości. Jednak północ w niedzielę oznaczała mały ruch i udało mi się w niezłym czasie przejechać Fayetteville i Fort Bragg aż do naszego obiektu przy Butner Street.

Kiedy dojechałem na miejsce, parking był zapchany jak w poniedziałkowy poranek. Wszedłem bocznym wejściem i ruszyłem przez długi korytarz do pomieszczeń plutonu. Jeden facet z mojego szwadronu, Daryl Evans, wychodził z magazynu sprzętu Cięciwy, ciągnąc wózek wylądowany skrzynkami amunicji. Złapałem uchwyt i pomogłem mu wlec wózek przez korytarz.

— Gotów na wyjazd do Bejrutu, Daryl? — zapytałem, gdy walczyliśmy z ciężarem.

— Nie jedziemy do Bejrutu, Erie. Będzie inwazja - powiedział z opuszczoną głową, mocując się z ciężkim wózkiem.

— No, w końcu ruszymy, co? Uderzymy w nich?

— Nie. Nie w nich — odpowiedział, nie podnosząc wzroku. - W Grenadę.

Grenadę? GRENADE?!

To było kompletnie bez sensu. Mniej więcej miesiąc wcześniej widziałem w telewizji prezydenta Reagana, mówiącego narodowi o lotnisku, które na Grenadzie pomagają budować Kubańczycy, ale wszyscy wiedzieli, że nie stanowiło ono żadnego zagrożenia. Wojska kubańskie nie miały sił mogących korzystać z tego lotniska, a Sowieci nigdy nie zaufaliby tak odległemu i niemożliwemu do obrony miejscu. To była misja propagandowa — dobra wola komunistów pomagających bratniemu narodowi z Trzeciego Świata.

Wsadziłem głowę do biura szwadronu i zameldowałem powrót. „Zły Bob” stał tam, patrząc na przypiętą do ściany mapę. Spojrzał na mnie, gdy wszedłem.

- Grenada? - zapytałem.

— No, Grenada — potwierdził. — Nie ma szans na dobrą mapę tych okolic, wszystko co macie to skserowana mapka z przewodnika turystycznego, gówno warta. Wyśleliśmy już prośbę o mapy do Defense Mapping Agency (Agencji Kartografii Obronnej - przyp. tłum.) i CIA. Wiesz, ile to warte. Nie dostaniemy żadnych map, ale możemy liczyć na zabawne wymówki - powiedział.

- Kiedy ruszamy? — zapytałem.

— Jutro, yy... dzisiaj — poprawił się, spojrzawszy na zegarek. - Kilka C-5A załadowaliśmy śmigłowcami Sił Zadaniowych 160 i lecimy na Barbados. Kiedy wylądujemy, śmigłowce się wyciągnie i zamontuje wirniki. Wtedy ruszymy. Dziś wieczorem lecimy na Barbados, a na Grenadę uderzymy przed kolejnym świtem. Szwadron B szturmuje więzienie Richmond Hill i uwolni więźniów politycznych tam przetrzymywanych. Spróbujemy też odwrócić uwagę od Rangerów, zrzucających ze spadochronami na lotnisko. Twój pluton ma wszelkie informacje. Wy jako dowódcy drużyn przejrzyjcie je i wspólnie przygotujcie plany.

— Jasne, Bob. Misja to misja. Ale czy ta nie wydaje ci się jakaś taka lewa? Kurde, to Grenada. Jeśli to ma być odpowiedź na bombę w Bejrucie, to jest jak strzelanie do psa, który cię nie ugryzł. Przypomina mi się, jak Nikaraguań-czycy w końcu wykopali Somozę, a administracja Cartera nałożyła sankcje na Gwatemalę. Nie trafimy tak we właściwy cel, Bob. Cholera, nawet do niego nie mierzymy.

Bob podniósł rękę, nakazując mi wstrzymać ogień.

— Erie, wiesz, że ani ja, ani ty nie podejmujemy decyzji. Po prostu co nam każą, robimy najlepiej jak się da i staramy się wrócić cało do domu.

- No jasne, Bob, naprawdę nie do ciebie mam pretensje. Wręcz przeciwnie. Jestem tylko chłopakiem ze wsi i próbuję iść przez życie najlepiej jak mogę. Ale ścieżka, po której kroczymy jest czasem nieprzewidywalna. Tak jak teraz.

- Pewnie masz rację, Erie - powiedział, klepiąc mnie po ramieniu. - I dlatego liczymy na was, wyjadaczy, żebyście nam pomogli to przetrwać.

A tak to sobie wykombinowaliśmy.

Szwadron B przygotowuje wstępne elementy szturm. My lecimy siedmioma śmigłowcami Blackhawk na południowy kraniec Granady i wykonujemy szturm z powietrza na górską fortecę - więzienie Richmond Hill.

Po zakończeniu tego etapu przeczesujemy wzgórza otaczające lotnisko Point Salines i atakujemy wszystkie pozycje wroga, które mogą się tam znajdować, by ułatwić zrzut desantu spadochronowego, który ma szturmować Fort Rupert.

Pozostająca w gotowości Brygada 82. Dywizji Sił Powietrzno-Desantowych zaczyna lądować, podczas gdy

Rangerzy prą w głąb lądu, w górę pobliskiej doliny, w stronę obiektów zajmowanych przez Kubańczyków.

W tym samym czasie Marines lądują swoimi amfibiami na przeciwległym końcu wyspy. Gdy są już bezpieczni na brzegu, ruszają na południe, by w końcu dołączyć do Rangerów.

Moja rozszerzona sześciuosobowa drużyna powiększyła się o jednego nowiutkiego członka.

Najnowsze szkolenie OTC zakończyło się podczas mojego pobytu w Korei. Miałem swój typ, a że właśnie była moja kolej, by wybrać jako pierwszy, mogłem wziąć upatrzonego wcześniej człowieka. Padło na Barta Premingera, masywnego, wysokiego przystojniaka z Kansas.

Wpadliśmy już wcześniej na siebie w batalionie Rangerów, gdzie awansował z szeregowego na sierżanta w drużynie wsparcia ogniowego. Po służbie w Rangerach Bart przeszedł do Sił Specjalnych i odsłużył tam trzy lata przed przystąpieniem do selekcji.

Pozostałymi członkami mojej drużyny na czas operacji „Urgent Fury” (Nagła Furia) byli starzy kumple: „Wesołek” i Andres oraz Albert Maker, Stan Johnson i Robert Wilson. Naszym zadaniem, przy szturmie na więzienie, było zjechać na linie na dziedziniec więzienia, wdarcie się do budynku i uwolnienie więźniów politycznych, których w środku znajdziemy. Następnie mieliśmy ruszyć na wzgórza nad lotniskiem Point Salines i wesprzeć Rangerów.

W sumie niezbyt trudne zadanie. Ale nie mieliśmy żadnych informacji czego i gdzie oczekiwać.

Nie wiedzieliśmy, czy w Richmond Hill są w ogóle jacyś więźniowie. Nie mieliśmy pojęcia, czy to miejsce jest strzeżone - a jeśli tak, to jaka jest liczba i rozmieszczenie strażników. Nie wiedzieliśmy, jak zorganizowani są Grenadyjczycy, jakimi siłami dysponują Kubańczycy oraz jakie jest ich wyposażenie.

Nie mieliśmy nawet namiastki porządnej mapy. Do naszych rąk trafił jedynie przewodnik Michelina po Wyspach Nawietrznych z jakimś szkicem Grenady. Dzięki temu znaleźliśmy zaledwie zarys wyspy. Dolatujemy kursem 186 od strony Barbadosu. Przemieszczamy się siedmioma śmigłowcami, moja drużyna w trójce. Trasa przelotu prowadzi wzdłuż wyspy, do punktu na wschód od stolicy kraju, St. Georges. Kiedy zbliżymy się do Richmond Hill, Fort Frederick

będzie 450 metrów na wschód od nas.

„Na odległość strzału z karabinu” pomyślałem studiując przewodnik Michelina. Maksymalny efektywny zasięg M-16 wynosi 465 metrów. A za tym przyszła myśl następną - nie będziemy zabierać ze sobą pistoletów maszynowych. Nie miałem pojęcia, na co się natkniemy, więc naszą bronią szturmową będą M-16 i CAR-15.

Do wczesnego popołudnia drużyny opracowały indywidualne plany, a dowódcy drużyn skoordynowali działania. Jednak myśl, że Fort Frederick znajduje się na następnym grzbiecie wciąż mnie nękała. To miejsce było tak blisko, że mogło narobić nam problemów, ale nikt nie miał w sobie tyle poświęcenia, by nań uderzyć. Siły Powietrzno-Desantowe obiecały zaatakować, gdyby były jakieś kłopoty, więc tak to zostawiliśmy.

Wylądowaliśmy na Barbadosie o północy. C-5A stały na drodze kołowania z otwartymi rampami i brzuchami wypełnionymi poskładanymi Blackhawkami, ale nigdzie nie było widać załóg śmigłowców. Nie wiedziałem, ile czasu zajmie wyciągnięcie Blackhawków z C-5A, rozłożenie wirników i zamocowanie ogonów, ale wiedziałem, że więcej, niż przy montowaniu Little Birdów czy Killer Eggów.

Powiedziano nam, że załogi Blackhawków nie potrzebują naszej pomocy. Poskładanie śmigłowców do konfiguracji bojowej było zadaniem załóg. Wszystko fajnie, ale śmigłowce nadal siedziały w ładowniach samolotów, a kończyła się noc.

Zanim w końcu przygotowano śmigłowce, do świtu pozostało nieco więcej niż 60 minut. Czas dolotu do celu obliczono na godzinę i dwadzieścia jeden minut. Jeśli nie nadrobimy na trasie, trafimy na miejsce kilka minut przed skośnięciem Rangerów. Weszliśmy na pokład w chwili, gdy tylko zgłoszono gotowość sprzętu i w końcu odlecieliśmy.

Nie ma na świecie uczucia równie ekscytującego, jak to, które towarzyszy wykonywaniu szturmów bojowych ze śmigłowca. Drzwi maszyny są odsunięte na bok i siedzi się ze stopami dyndającymi na zewnątrz — a przynajmniej tak robiło się w starych Hueyach. Blackhawki są tak szybkie, że musisz mieć nogi schowane w środku, dopóki śmigłowiec nie zwolni - inaczej wyrwie cię na zewnątrz.

Ryk silników, jęk wirników, ziemia przesuwająca się gdzieś w dole, pęd owiewającego cię i szarpiącego ubranie powietrza powoduje, że czujesz się jak kawalerzysta. Pędzisz w stronę celu, jak bezlitosna i nieubłagana włócznia ciśnięta ręką boga wojny. To poruszające, fenomenalnie ekscytujące uczucie - prawie warte ryzykowania życiem.

Przekroczyliśmy wybrzeże Grenady podczas burzy z piorunami, w chwili gdy pierwszy brzask rozjaśnił niebo na wschodzie. Teren był górzysty, o stromych stokach pokrytych dżunglą i rozdzielonych wąskimi dolinami.

Przygotować się.

Wystawiliśmy stopy za krawędź podłogi Blackhawka, gdy ten kierował się już na cel. Wychyliłem głowę przez drzwi próbując spojrzeć w przód, kiedy usłyszałem pierwszy wystrzał z karabinu.

Najpierw strzały były rzadkie, ale nagle przybrały na sile i intensywności. Później namierzyły nas karabiny maszynowe i powietrze zgęstniało od pocisków smugowych — wstrętnych, czerwonych pazurów próbujących zedrzeć nas z nieba.

Pierwszym, co w nas trafiło, był pocisk z działka auto-matycznego kalibr 23 mm. Walnęło w kokpit powodując fontannę odłamków pleksiglasu i eksplozję gaśnicy. Kabina natychmiast wypełniła się gęstym, białym obłokiem, który po chwili rozwiął się za nami. Nie ma to jak wprowadzić się w odpowiedni nastrój.

Niemal w tym samym momencie kolejny pocisk dopadł naszego nawigatora. Dostał w lewe ramię, kula przeszła przez kark i wyszła prawym barkiem. Biedny facet, zaledwie tydzień wcześniej jako jedyny wyszedł cało z koszarnej katastrofy w Panamie.

Później ostrzał stał się tak natężony, że nie mogliśmy sobie poradzić z tym, co się z nami działo.

Przez otwarte drzwi nie widziałem niczego poza szukającą nas nawałę czerwieni. Uderzającą w nas, żądłącą boleśnie, rozrywającą śmigłowiec na strzępy, które raniły ludzkie ciała.

Strzelaliśmy do zniechęconych stanowisk ogniowych na ziemi. Strzelec przy drzwiach walił w odpowiedzi ze swojego karabinu maszynowego. Nagle przestał strzelać i opadł na broń.

Pociągnąłem go do tyłu i przekrzykując hałas walki wrzasnąłem:

- Co jest?

— Dostałem! - odryknął.

Stan i ja sprawdziliśmy jego rwarz i klatkę piersiową szukając rany, ale nic nie znaleźliśmy. Jeśli dostał, to rana raczej nie była śmiertelna.

Części śmigłowca latały w powietrzu na wszystkie strony. Czulem żar pocisków przelatujących przez helikopter tuż koło mojej twarzy. Po drugiej stronie kabiny Dan Bryers został postrzelony, a chwilę później kula trafiła go w udo.

Bart został ranny w udo, które wyglądało jak posieka-ne maczetą. Zobaczyłem jak źrenice mu się rozszerzają w pierwszym szoku po spojrzeniu na rozerwaną nogę. Nie krwawiła zbyt mocno, ale mięsień był zdrowo poszarpany. Chwyciłem go za ramię, potrząsnąłem i wrzasnąłem:

- W porządku?

Jego oczy natychmiast wróciły do normy, krzyknął:

— Tak, w porządku!

Poczułem ostre szarpnięcie w okolicach lewego ramienia. Potem ostre pieczenie po lewej stronie twarzy i szyi. Łatarka stroboskopowa, którą miałem przytroczoną do szelki w uprząży, dostała i zamieniła się w fontannę plastiku. Sięgnąłem, by dotknąć lewego oka. Było na miejscu i działało. Strzelec znów opadł na broń.

- Co znowu? - krzyknąłem.

— Znow dostałem - wychlipał, a na jego twarz wypłynął wyraz uzalania się nad sobą.

Znow obejrzałem jego twarz i resztę głowy, sprawdziłem klatkę piersiową i brzuch - nie było ran.

- Nic ci nie jest! - wrzasnąłem znowu. Ale on potrząsnął głową i wrzasnął:

— Jest! Dostałem w plecy i to paskudnie.

Stan rozciął kombinezon strzelca na plecach i odkrył dwie równoległe rany szarpane, w odległości 5 centymetrów od siebie, długie na niemal 30 centymetrów, biegnące od prawej strony aż za kręgosłup. Ściągnąłem strzelca z jego siedzenia, na które teraz wspiął się Stan i zajął się karabinem. Potem dostaliśmy tak mocno, jakby wściekły olbrzym chwycił nas w locie i potrząsnął jak ścierką. Śmigłowiec zadrżał i rzuciło nim tak, że mało nie spadliśmy. Szybko odzyskał sterowność i kontynuował lot.

Pocisk dużego kalibru osmałił mi twarz. Zacerpnałem tak gwałtownie tchu, że złapał mnie skurcz mięśni międzybrownych - przez chwilę myślałem, że przestrelili mi płuco. Wtedy Andres klepnął się po udzie i odwrócił, by spojrzeć mi prosto w twarz. Siedzieliśmy stłoczeni noga w nogę, a teraz obaj przerwaliśmy ogień i spojrzeliśmy w dół. Andres powoli oderwał rękę od uda i zobaczyliśmy, że była pokryta warstwą jakiegoś białego gluta.

Wydaje mi się, że widziałem już wszystko, co może wyjść z wnętrza ludzkiego ciała, ale czegoś takiego jeszcze nie znałem. Andres również wyglądał na zaszokowanego. Popatrzyliśmy na jego uświnioną rękę, a potem spojrzeliśmy sobie w zaskoczone oczy.

— Co to jest do cholery? — wrzasnąłem.

Błysk zrozumienia przeleciał przez jego twarz i odkrzyknął z szerokim uśmiechem:

— Pasta do zębów! Postrzelili mnie w pastę do zębów! Andres był niebywale dumny ze swoich zębów jak perły

i zawsze miał ze sobą pastę, szczoteczkę i nić dentystyczną

- gdziekolwiek się nie wybierał - nawet w bój. Na tę misję spakował swoje dentystyczne utensylia do zewnętrznej kieszeni bojówek. Kula przeszła przez podłogę śmigłowca, tubkę pasty i udo Andresa. Martwiłem się, że pocisk mógł dosięgnąć jego tętnicy udowej, ale nie wykazywał oznak szoku. Kula przebiła niemal na wylot nogę, zatrzymując się tuż pod skórą, omijając jednak zarówno arterię, jak i kość.

Jednak strzelanina jeszcze się nie skończyła. Wciąż waliłi w nas z prawdziwym upodobaniem.

Znow wywiesiłem się z kabiny, by rozejrzeć się za pozostałymi śmigłowcami. Większość wrażeń luf skierowana była na jedynekę, co również nas wystawiało na ich strzały. Właśnie dlatego dostawaliśmy takie baty. Nagle coś kopnęło mnie w zadek i niemal wyrzuciło ze śmigłowca. Prawe biodro mi zdrętwiało. Po nodze pociekł jakiś płyn. „O kurwa, odstrzelili mi dupę” - pomyślałem i przesunąłem ręką za sobą w poszukiwaniu rany. Zamiast tego znalazłem manierkę roztrzaskaną

w drobiazgi. Spojrzałem na swoją dłoń, mokrą na szczęście nie od krwi, a od wody.

Rzuciłem okiem za siebie na drugą stronę śmigłowca i zobaczyłem, że sprawy mają się tam równie kiepsko co po mojej stronie. Nic poza morzem czerwonych pociągów smugowych i rannymi ludźmi. Obróciłem się po-nownie i wyjrzałem z maszyny, by sprawdzić, jak daleko jest jeszcze do celu. Już powinniśmy dolatywać.

Po szczególnie ostrej salwie w naszą stronę zobaczyłem jak śmigłowiec numer pięć łamie szyk i nurkuje w głąb doliny, robiąc unik przed strumieniem pocisków z działka kalibru 23 mm.

Zostawiali za sobą smugę gęstego dymu i szybko tracili wysokość. Ale wciąż lecieli, więc nie stracili kontroli nad helikopterem. Miałem nadzieję, że uda im się dotrzeć do jakiegoś bezpiecznego miejsca i posadzić maszynę.

Nagle cel wyłonił się przed nami.

Albert trzymał zwiniętą linę na kolanach i wstał, by ją zrzucić. Krzyknął do drużyny:

„Przygotować się!”. Gdy w końcu zawiśliśmy, Stan uciszył karabin maszynowy po drugiej stronie doliny. Wszyscy spojrzeliśmy na... porzucony i pusty kompleks budynków. To kurewskie miejsce było opuszczone! Główna brama więzienia była szeroko otwarta, podobnie jak wszystkie drzwi w zasięgu wzroku. Okna powybijane. Dziedziniec zarośnięty chwastami i krzakami. Ziemia zasłana była śmieciami i kawałkami mebli. Do śmigłowca do-latywał nawet zapach tego miejsca. Śmierdziało jak z pisuaru.

— Nie rzucaj! Nie rzucaj! Nie! Nie! Nie! - wrzasnąłem do Alberta, kręcąc głową w zaprzeczeniu, podczas gdy on ustawiał się w pozycji do spuszczenia liny zjazdowej. Bob krzyczał przez radio:

— Spadamy stąd! - gdy reszta dowódców doszła to tego samego wniosku, co i ja: „Pusto!”. Śmigłowce przechyliły nosy w dół, by nabrać rozpędu i znaleźć miejsce wolne od ostrzału. Po paru sekundach byliśmy nad oceanem i poza zasięgiem ich broni. Popatrzyłem na wodę - cóż za widok - wszędzie okręty marynarki. Świetnie! Na statkach byli lekarze, których potrzebowaliśmy — i to bardzo. Dan był w szoku z powodu rany w pod-brzuszu, gwałtownie pogarszał się też stan nawigatora.

Z naszego śmigłowca nikt nie zginął — jak dotąd — ale po pobieżnym przeliczeniu okazało się, że mamy ośmiu rannych. Ośmiu na piętnastu to kiepski wynik, ale szczerze mówiąc byłem zdziwiony, że w ogóle przeżyliśmy. A jeszcze bardziej - że helikoptery wciąż latają. Gdybyśmy lecieli Hueyami, na pewno by nas zestrzelili. „Te Blackhawki to niezłe twardziele” — pomyślałem, gdy zbliżaliśmy się do powierzchni oceanu. Nigdy dotąd nie widziałem tak ostrego i zwartego ognia obrony przeciwlot-nicznej. „Zupełnie jakby wiedzieli, że się zbliżamy”.

Całe zamieszanie trwało nie więcej niż 10 minut, ale wydawało się długie jak wieczność. Nawet teraz trzę-sę się w środku na samo wspomnienie. Jak można wyja-snić fakt, że trafiliśmy w

krzyżowy ogień dwudziestu karabinów maszynowych? To gorsze, niż ostrzał artyleryjski. Przynajmniej jeśli walą w ciebie wielkie działa, możesz się ukryć. Nawet jeśli cię dorwą na otwartej przestrzeni, możesz przypaść do ziemi — i uwierz mi, będziesz próbował ukryć się za najlżejszą kępą trawy.

Ale w powietrzu po prostu musisz stawić temu czoła. Starasz się stać tak mały, jak to możliwe. Nawet myśli ci się kurczą. Wciskasz głowę między ramiona. Stajesz się kłębkim napiętych mięśni. Przyciągasz kończyny jak najbliżej ciała i zaczynasz płytko oddychać. Kiedy widzisz strumienie pocisków smugowych zbliżających się do ciebie, oznacza to, że w każdym z nich leżą cztery kule. Siedliśmy na małym lądowisku na tylnym pokładzie niszczyciela — USS Moosbrugger, jak się później dowiedziałem. Uderzyliśmy w pokład i odbiliśmy się, zanim śmigłowiec stanął stabilnie. „Wyciągnąć rannych” — tylko o tym mogłem myśleć wyskakując z kabiny. Siedziałem z podwiniętą nogą odkąd wylecieliśmy z Barbadosu, nie mogąc się ruszyć, dlatego była zdrętwiała i bezwładna, ale nie wiedziałem o tym, i gdy wyskakiwałem ze śmigłowca, noga załamała się pod mną i runąłem na pokład. Odturlałem się na bok, by zbadać nogę w poszukiwaniu niezauważonej rany i ku swej radości nie znalazłem żadnego urazu.

Próbowałem właśnie wstać, by pomóc załodze w wyciąganiu rannych z helikoptera, kiedy marynarz zajmujący się lądowiskiem pomógł mi się podnieść i ze zszokowaną miną zapytał:

— Wszystko w porządku, kolego?

— Tak, w porządku — odpowiedziałem, przekrzykując ryk helikopterów. - Noga mi ścierpła, to wszystko.

— Masz głowę i twarz zalaną krwią! — wydarł się. Potarłem dłonią czaszkę i twarz, i spojrzałem - ręka

była zakrwawiona. Po chwili do mnie dotarło - to nie była moja krew. Pochodziła z rozbryzgu po tym, jak nasz nawigator, siedzący tuż przede mną, został trafiony.

— To nie moja — wrzasnąłem.

— Dobrze — odkrzyknął. - Teraz pomóż mi zmusić pilota żeby odleciał stąd tym szajsem, bo zepchniemy go za burtę.

- Cemu? - przekrzykiwałem ryk silnika.

- Bo jest pełen dziur, jak ser szwajcarski, widziałem je gdy lądowaliście. Cieknie z niego paliwo i płyn hydrauliczny. Zagraża to bezpieczeństwu okrętu.

- To twój problem - krzyknąłem i pokuśtykałem, by pomóc przy rannych. To był odporny śmigłowiec. Latał i walczył przez resztę dnia.

Ukryliśmy naszych rannych w małej wnęce w pobliżu lądowiska. Podłoga zasłana była rannymi z maszyn 1 i 2, a w powietrzu unosił się metaliczny zapach krwi. „Wesołek” był lekarzem Sił Specjalnych i już zajmował się robotą wraz z sanitariuszami i lekarzem z marynarki. Pomogłem

pozakładać kroplówki i położyłem trochę, by pogadać z chłopakami.

Siedziałem z Danem dopóki nie przyleciał helikopter mający zabrać go na okręt szpitalny - USS Iwo Jima. Dan był blady i miał źrenice rozszerzone w wyniku utraty krwi i związanego z tym szoku. Tuż przed tym, jak Dan miał być przeniesiony do śmigłowca, pojawił się „Wesołek”, niosąc butlę z tlenem. Przyłożył Danowi do ust maskę i podał tlen. Już po paru sekundach z twarzy Dana zniknęła śmiertelna bladość, a źrenice zaczęły wracać do normy.

Przysiadłem się, by pogadać z jednym z łącznościowców, który złorzeczył i majaczył z bólu. Dostał w udo dwa razy, niemal w to samo miejsce. Kiedy trafił go pierwszy pocisk, przyłożył dłoń do rany. Wtedy dostał kolejny raz - urywało mu końce dwóch palców. Teraz leżał na brzuchu, a tył prawego uda miał porozrywany w strzępy. Zapytałem go, jak się czuje, a on odpowiedział, że udo to pestka, ale palce bolą jak cholera!

Andres siedział na uboczu sam, z zadumaną miną. Kłapnąłem obok niego i zapytałem, czy myślał o spotkaniu z lekarzem. Potrząsnął głową i odparł: „Nie”.

Zostawiłem go samego i podszedłem do Gregga Halli-gana, jednego z nowicjuszy, który również siedział samotnie. Miał smutny, zawstydzony wyraz twarzy. Postanowiłem go pocieszyć.

- Hej, chłopie, jak leci, nie jesteś ranny? — spytałem, klepiąc go po plecach.
- Eee, chyba nic mi nie jest. Tylko noga boli - powiedział gapiąc się na podłogę pełną rannych. - Siedziałem na niej całą drogę z Barbadosu i kompletnie mi ścierpła. Teraz boli jak cholera.

- Zaraz zobaczę, co ci się stało w nóżkę - powiedziałem, próbując żartować. - Może potrzebuje tylko małego masażu i będzie jak nowa. Która to?

Wysunął do przodu lewą stopę. Przyjrzałem się jej i powiedziałem:

- Przyjacielu, ta stopa ma swoje powody, by ci tak dośkwierać. Zostałeś postrzelony tuż nad noskiem buta. Pocisk szedł od przodu do tyłu i wbił się w podbicie na dobre półtora centymetra. Popatrzył w dół na nogę, otrząsnął się lekko i powiedział ze zdumieniem w głosie:

- O cholera. Nic dziwnego, że boli.

Jego cała twarz natychmiast się rozjaśniła. Nie ma to jak wiedza, że zostałeś postrzelony. Od razu się człowiek ożywia. Założyliśmy opatrunek polowy.

Śmigłowiec wrócił po nas, więc zarówno cali, jak i chodzący ranni weszli na pokład, by wrócić na wyspę i dokończyć robotę. Rangerzy byli chwilę spóźnieni, a my musieliśmy pomóc w oczyszczeniu wzgórz otaczających lotnisko, na którym mieli lądować. Znajdowało się nieco ponad kilometr od brzegu, więc tuż po minięciu linii wody znaleźliśmy się na skierowanym w stronę morza końcu lotniska. Kilka śmigłowców już wylądowało, a ludzie ruszyli w górę porośniętych krzewami zboczy, by pozbyć się strzelców i karabinów maszynowych, które mogły zakłócić desant spadochronowy.

Drużyna Dona Feeneya dołączyła do mojej i razem przeczesałiśmy jedno zbocze, ustawieni w tyralierę, i właśnie szliśmy w stronę szczytu, gdy ktoś zawołał: - Samoloty lecą!

Odwróciłem się i zobaczyłem rząd C-130 nadlatujących na niskim pułapie ze wschodu. Ale gdy zbliżyli się do lotniska, pierwsze dwa samoloty dostały z działek automatycznych. Pierwszy w szyku został strącony, ale pozostali lecieli dalej, a potem zobaczyliśmy Rangerów skaczących na spadochronach z tak niskiej wysokości, że otwierały się one tuż nad ziemią. Cholera, cóż za ekscytujący widok! Było to pierwsze bojowe użycie spadochronów od II wojny światowej. Szybko wydobyliśmy panele sygnalizacji lotniczej, by dać znać, że jesteśmy swoi i wypaliliśmy w stronę tych dwudziestotrzymilimetrowych działek, żeby czymś zająć wroga. Pierwszy przelot eskadry zrzucił brygadę Range-rów, a teraz samoloty zawracały, by wykonać drugi zrzut. Rangerzy byli rozrzućeni na przestrzeni tysiąca metrów i właśnie wypinali się ze spadochronów, kiedy dwa pojazdy opancerzone wjechały na lądowisko i zaczęły strzelać z karabinów maszynowych i ciężkiego działka.

— Ja pierdołę, tylko nie to! — wrzasnąłem nerwowo. — Te skurwysyny przerobią chłopaków na mielonkę.

Ale gdy tylko pojazdy dojechały do środka pasa, Range-rzy otworzyli do nich ogień z dwóch 90-milimetrowych granatników bezodrzutowych - gwałtownie kończąc karierę opancerzonego zagrożenia w Point Salines. Teraz samoloty przelatywały po raz drugi, zrzucając kolejne zielone spadochrony niosące dzielnych ludzi.

Działka automatyczne przeniosły swoją uwagę z samolotów na ludzi w powietrzu i na ziemi. „Niedobrze, niedobrze” myślałem, patrząc jak ogień ryje przeciwległy koniec lądowiska. Akurat wtedy, gdy odział jest najmniej odporny. Tuż po wylądowaniu, kiedy dowódcy są rozrzućeni i nie ma czasu na rozpoznanie.

A potem zobaczyłem wspaniały widok. Rangerzy podnieśli się z ziemi jak jeden organizm i wznosząc bojowe okrzyki ruszyli w poprzek lądowiska w stronę wrogich dział. Po dziesięciu minutach kanonada ucichła. Trzeci zrzut dotarł na lądowisko niemal bez zakłóceń.

Później tego samego dnia dowiedziałem się, że to kapral poprowadził ten spontaniczny atak przez lądowisko. Po prostu jeden z ludzi poderwał się z ziemi i wrzeszcząc: „Dosyć tego gówna!”, ruszył przez lądowisko w stronę pozycji wroga. Wszyscy żołnierze wokół niego podnieśli się i ruszyli za nim, a atak rozprzestrzenił się jak zmarszczki na wodzie po całym lądowisku. Cholera! Co za żołnierze!

Ruszyliśmy na następny masyw, by sprawdzić, czy możemy w czymś pomóc. Ale teraz to już była czysta walka piechoty - a poza tym byliśmy w kiepskim stanie. Kilka minut później samoloty zaczęły lądować i wypluwać plutony piechoty oraz sprzęt. Szwadron A dotarł na miejsce w C-141. Wystawili na zewnątrz swoje śmigłowce, zamontowali wirniki, zapakowali się i ruszyli do

ataku na Fort Rupert. Wrócili po 10 minutach. Obrona przeciw-lotnicza wokół fortu była tak ostra, że piloci nie chcieli się zbliżyć — moim zdaniem było to całkowicie uzasadnione.

W chwili gdy wrócił Szwadron A, pojawiła się też drużyna Steve'a Ansleya. Ich misją było odnalezienie ludzi, którzy przeżyli katastrofę śmigłowca nr 5.

Śmigłowiec, zanim się rozwalił, prawie doleciał do wybrzeża. Pilotowi udało się posadzić maszynę na ziemi, ale lądowanie było twarde. Przestrzelono wszystkie przewody hydrauliczne, więc pilot nie miał zbytnej kontroli nad helikopterem. Uderzenie było tak poważne, że ogon całkiem odpadł, a łopaty głównego wirnika poleciały we wszystkie strony. Potem kadłub przekoziołkował jeszcze dwa razy. Na litość boską — tylko jeden człowiek wypadł ze środka podczas tego koziołkowania, ale kadłub wylądował właśnie na nim. Był unieruchomiony pod spodem, gdy rozpoczęła się strzelanina. Zaatakował ich kubański patrol.

Ludzie na pokładzie byli w fatalnym stanie - ze względu na urazy odniesione w wypadku. Żrący płyn hydrauliczny tryskający z przestrzelonych przewodów oślepił ponad połowę z nich. Nawet pomimo oślepienia i dezorientacji Chris

Cable zdołał podczołgać się w górę zbocza, w stronę atakujących Kubańczyków. Nasłuchując wystrzałów i samemu strzelając w ich stronę był w stanie utrzymać ich na dystans.

Pożar objął cały kokpit, a pilot utknął na swoim siedzeniu, otoczony płomieniami. Amos Hormon, choć sam poważnie ranny, obiecał kokpit, gotów raczej zabić pilota własnoręcznie niż dać mu się spalić żywcem. Jednak pilot już był martwy. Zginął od postrzału w głowę.

Operatorem uwięzionym pod kadłubem był John Ginniff, a gdy płomienie gwałtownie ruszyły w dół, wrzasnął:

— Nie pozwólcie mi się spalić!

Trzej jego ranni towarzysze wcisnęli się pod płonący śmigłowiec i w niebywałym przypiływie siły zdesperowani dźwignęli ciężkie żelastwo. Johna odciągnięto w bezpieczne miejsce.

Drużyna Steve'a wylądowała na plaży i ruszyła na pomoc. Podążając za dźwiękiem wystrzałów Steve ruszył w górę zbocza i znalazł Chrisa, ukrytego za drzewkiem i otoczonego rozłożonymi wokół magazynkami i granatami, które rozpoznawał po omacku, samodzielnie powstrzymując atakujących Kubańczyków. Razem opróżnili kilka magazynków, a Steve cisnął parę granatów — to wystarczyło do odstraszenia Kubańczyków. Wycofali się, a Steve dał radę sprowadzić Chrisa w dół zbocza.

Cała załoga śmigłowca była ciężko ranna. Najbardziej poszkodowanym był strzelec ze stanowiska przy drzwiach. Dostał pociskiem wysokiego kalibru, który urwał mu stopę. Dyndała na strzępie skóry i ścięgien, gdy nieśli go na plażę. Ginniff również był w fatalnym stanie. Przed wypadkiem dostał w nogę, a gdy helikopter koziołkując przygwoździł go do ziemi, strzaskana została także miednica. Zarówno on, jak i strzelec musieli odejść na wcześniejszą emeryturę z powodu

odniesionych ran. Chłopaków zabrano śmigłowcem na statek szpitalny USS Iwo Jima i przekazano zespołom medycznym marynarki.

Na naszym wzgórzu było sucho i gorąco, więc doktorek „Wesołek” poszedł poszukać wody. Kiedy wrócił, usiadł koło Andresa i zapytał, czy może obejrzeć jego nogę. Zamiast odpowiedzieć, Andres poprosił o skalpel. „Wesołek” znów odszedł i wrócił po chwili, niosąc tubkę betadyny, świeży bandaż i nowiutki skalpel, jeszcze w papierowej osłonce.

Andres rozciął spodnie nożem polowym i odsłonił siniak wielkości pięści na wierzchu uda.

Dokładnie na jego środku, pod skórą, znajdowało się niewielkie wybrzuszenie. Andres zdezynfekował ręce i posmarował siniec beta-diną. Ścisnął wybrzuszenie jakby wyduszał pryszczę i skalpelem zrobił płytkie nacięcie. Ze środka wyskoczył pociśk. Odłożył go na bok. Oczyszczył wnętrze rany i jej okolice. Zabandażował nogę. Nawet się nie skrzywił, gdy tak się leczył. Tylko cały czas nucił jakąś melodię.

Kiedy następnego dnia zbadał go chirurg, stwierdził, że sam by tego lepiej nie zrobił. Mój przyjaciel Andres był cholernym hombre.

I tak właśnie spędziliśmy dzień na rajskiej wyspie Grenada. Do domu wróciliśmy o godzinie 22 tego samego dnia. Poleciałem na Grenadę kilka dni później licząc, że sobie trochę postrzelam, ale nic z tego nie wyszło. Range-ry i 82. Dywizja zostali jeszcze parę tygodni dłużej, aby wszystko posprzątać. Potem powołano międzynarodową policję karaibską do zaprowadzenia porządku na Grenadzie — póki ta się ponownie nie zorganizuje.

Ameryka ogłosiła wielkie zwycięstwo i znów poprawiła sobie nastrój. Prawdę mówiąc pobór do wojska tak się zwiększył, że sformowano trzeci batalion Rangerów i dzięki temu powołano do życia pułk Rangerów. A pod naciskami Kongresu armia Stanów Zjednoczonych zaczęła się bliżej interesować polepszeniem interoperacyjności różnych służb. To w końcu doprowadziło do stworzenia Dowództwa ds. Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych (US SOCOM), które działo cuda, jeśli chodzi o możliwości przeprowadzania operacji specjalnych przez nasz kraj. Castro się nadał i oświadczył, że nie chce odzyskać swoich wziętych przez nas do niewoli żołnierzy. Czerwony Krzyż w końcu załatwił, by odesłać tych biedaków do domu. Życie na całym świecie biegło, jakby nic się nie stało. A teraz na tym trzykilometrowym pasie lotniska lądują turyści odwiedzający Grenadę.

W miarę upływu dekady okazało się, że żaden z kłopotliwych zakątków świata nie uspokaja się. Jest wręcz przeciwnie. A my byliśmy bardziej zajęci, niż kiedykolwiek. Zastępcze wojny między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim wydawały się wręcz w wysokiej temperaturze. Bliski Wschód wciąż zmagał się ze swoimi odwiecznymi problemami. Porwania ludzi Zachodu w Libanie stały się codziennością, zaś uprowadzenia samolotów były dla nas jak sport.

Afryka była kontynentem wiecznie rozdartym między wschodem a zachodem, między północą a południem. Etiopia, podobnie jak Sudan, była w stanie wojny domowej. Republikę Południowej Afryki pogrążały niepokoje społeczne, a jej problemy rozlewały się przez granice na wszystkie sąsiednie kraje.

Południe Azji załamało się, a problemy pojawiały się jeden po drugim. Indie i Pakistan były w umiarkowanym konflikcie, a tamilscy separatyści na Sri Lance zaczęli wykorzystywać terroryzm w wojnie domowej.

Kilka lat wcześniej we Włoszech porwano Amerykanina, generała Jamesa Doziera. Kraj ten zmagał się wówczas z domorosłymi terrorystami. Chorwaccy separatyści robili zamieszanie na Bałkanach, a tureccy terroryści mordowali na całym świecie tureckich dyplomatów.

Nasi ludzie rozrzucony byli po wszystkich problematycznych zakątkach świata, ale nigdzie nie było bardziej beznadziejnie, niż w Ameryce Środkowej. Do tego czasu Honduras był ni mniej ni więcej tylko rozległą bazą wojskową Stanów Zjednoczonych. Mielśmy tam robiącą wrażenie bazę powietrzną i punkt przerzutowy w Soto Cano Fidel, w samym środku kraju. No i był jeszcze wielki, lecz niemal nieznaną ośrodek na wybrzeżu w pobliżu miasta Trujillo, gdzie doradcy z amerykańskich Sił Specjalnych szkolili honduraskie, salvadorskie i gwatemalskie bataliony bojowe. Wyspy Swan w pobliżu wybrzeża stały się odległą bazą służącą wspieraniu tajnych operacji w Nikaragui.

Oddziały inżynierskie amerykańskiej armii i Straży Narodowej znajdowały się na terenie tego kraju, budując lotniska i drogi, a co najważniejsze - kopiąc studnie. Honduras to dość suchy kraj i natura nie obdarzyła go zbyt hojnie rzekami i strumieniami. Dlatego wojskowi inżynierowie dostali za zadanie wykopać dużej średnicy studnie w strategicznych miejscach w całym kraju. Kiedy studnie zostały przebadane i zatwierdzone, zapieczerowano je, by miejscowi z nich nie korzystali. Studnie i inne zasoby były potrzebne, by wesprzeć wojsko Stanów Zjednoczonych, gdybyśmy zdecydowali się zaatakować Nikaraguę.

Ale przeciwnicy też nie zasypiali gruszek w popiele. Sołweci dokładnie nas obserwowali dzięki satelitom i świetnie wiedzieli, co zamierzamy. Dzielili się tymi informacjami ze swoimi klientami w tym regionie.

Sandiniści, dzięki pomocy Kubańczyków, prowadzili bardzo aktywną operację wywiadowczą w Hondurasie. Ich wysiłki były szczególnie owocne na uniwersytecie, ponieważ sporo studentów było przeciwnych obecności Amerykanów w ich kraju i, jak niektórzy mówili, dominacji rządu Hondurasu. Tarcia nasilały się, kiedy miała miejsce jedna z tych znaczących okoliczności. Taka, która wprawia wszystko w ruch i prowadzi do niewyobrażalnych rezultatów.

W Hondurasie było mniej więcej sześć domniemych grup partyzanckich. Ze względu na niepozorne rozmiary i nieefektywność, nawiązały kontakt zarówno z Kubańczykami, jak i

Nikaraguańczykami, prosząc o wsparcie. Kuba miała wypracowane procedury służące rozwiązywaniu takich spraw w Ameryce Łacińskiej, ale prowadzili bardzo rozsądną politykę. Nie dawali jakiegokolwiek wsparcia, dopóki wszyscy dysydenci z danego kraju nie zaczęli przemawiać jednym głosem. Kuba nie zamierzała grać w łapki z podzielonymi i współzawodniczącymi grupkami.

Monitorowałem ściśle sytuację przez półtora roku i sądziłem, że nic z tego nie będzie, gdy bieg wypadków przyjął niespodziewany obrót. Grupy z Hondurasu doszły do porozumienia i zanim się zorientowaliśmy, ponad trzystu honduraskich rebeliantów przejechało przez Nikaraguę w drodze na przedłużone ćwiczenia bojowe na Kubie.

Sytuacja zaczęła się robić poważna. Przez kilka miesięcy honduraskie wojsko wrzeszczało, że sandiniści rozmieszczają patrole wzdłuż granic kraju. Ale za każdym razem, gdy sugerowaliśmy wpuszczenie naszych grup rozpoznawczych w miejscach przekraczania zielonej granicy, honduraski generał, Gustavo Alvarez, wyrażał sprzeciw. (Kilka lat później Alvarez zwrócił się do Charliego Beckwitha, szukając pomocy w przeprowadzeniu zamachu stanu w Hondurasie.

Beckwith celowo wspominał o sprawie FBI i Alvarez został aresztowany, osadzony i skazany). Byłem pewny, że wiem, co knuje Alvarez. Szybko i skutecznie uczył się, jak wysysać forszę z gringos. Wrzeszcz na całe gardło o zagrożeniach na granicy, a popłynie rzeka pieniędzy. Jeździł po Tegucigalpie wielkim opancerzonym mercedesem i znany był z posiadania kilku ładnych willi i stosownej liczby mieszkających w nich kochanek. Wiadomo było także, że miał kilka tłustych kont bankowych zagranicą.

Być może było to spowodowane faktem, iż hondurascy rebelianci przebywali tyle czasu na Kubie, a może dlatego, że byliśmy rozkojarzeni nasileniem porwań samolotów na Bliskim Wschodzie, ale bez względu na przyczynę, wszyscy, włącznie ze mną, daliśmy się wziąć z zaskoczenia, gdy świeżo wyszkoleni i w pełni gotowi do boju partyzanci przekradli się przez granicę Hondurasu, wracając na swą ojczystą ziemię. Mieliśmy plany związane z taką ewentualnością, więc choć czasu było mało, nie marnowaliśmy go. Jeszcze raz wdepnąłem.

Walka była długa i okropna. Daliśmy odpór grupom partyzanckim osiem dni wcześniej i po niemal nieprzerwanej walce w końcu dorwaliśmy ich na górskich pustkowiach. Oddziały, którymi dowodziłem, składały się z Sił Specjalnych Hondurasu. Indiańscy zwiadowcy znaleźli trop partyzantów, a ja wyznaczyłem działające dzień i noc drużyny „hunter-killer” i nie pozwalałem tropionym na wypoczynek. Snajperzy strzelali do nieuważnych i morderców. Woda była kluczowa dla tej operacji, a ja byłem zdecydowany, by uniemożliwić zdobycie jej partyzantom. Za każdym razem, gdy próbowali napełniać manierki w jakimś małym, błotnistym strumieniu, my już tam byliśmy i pruliśmy do nich bez litości z karabinów maszynowych.

Bronili się zaciekle i desperacko próbowali się nas pozbyć. Ale w miarę jak słabli z powodu

obrażeń, chorób i dezercji, stawali się skołowani i nieefektywni. Gdy zniżyła się siła oporu, celowo odpychałem ich od potencjalnego schronienia przy granicy — w głąb najbardziej nieprzyjaznego i odległego terenu na mapie.

Miałem już w głowie miejsce ich przeznaczenia, a że wyglądało na najlepszą z dostępnych dla nich opcji, zmierzali właśnie tam. Droga na wzgórze celowo była otwarta. Kiedy partyzanci tam umknęli, zamknąłem pętlę i powoli zaciskałem ją aż wszyscy znaleźli się na szczycie.

Oddział partyzantów zaraz po przekroczeniu granicy liczył 300 ludzi. Dezercja i straty spowodowane bezlitosnym tempem walk według moich ocen zawęziły ich liczebność do mniej więcej sześćdziesięciu ludzi. Ludzi, którzy byli słabi i zdemoralizowani.

Moje własne oddziały również były w kiepskiej formie. Wkładaliśmy w akcję dużo wysiłku, szybko się przemierzaliśmy, mało spaliśmy, a przede wszystkim walczyliśmy w piekielnie trudnym, spalonym słońcem terenie. Ale mieliśmy przynajmniej wodę do picia, jedzenie, mnóstwo amunicji i juczne zwierzęta przenoszące najcięższe pakunki. A co jeszcze ważniejsze, mieliśmy inicjatywę. I nadzieję.

Partyzanci nie dysponowali żadną z tych rzeczy. Desperacko wierzyli w zrzut zaopatrzeniowy z Nikaragui, ale ich nadzieja nie miała się spełnić. Szef partyzantów zdał sobie sprawę, że dowództwo ich skreśliło. A że teraz koniec był bliski, mógł albo zażarcie walczyć o przerwanie stryczka zaciskającego się wokół jego karku, albo też z pełną rezygnacją poddać się nieuchronności swego losu. Tak czy owak - byli śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem.

Dwukrotnie tej nocy partyzanci próbowali wyrwać się z pułapki i dwa razy im to udaremniłem. Był to z ich strony szlachetny wysiłek, jednak próby zostały kiepsko przeprowadzone. Były jedynie tylko koszmarną stratą amunicji i ludzi.

Po tym, jak odepchnęliśmy ich po raz drugi, wydałem mojemu oddziałowi rozkaz przygotowania się do ostatecznego ataku o świcie. Na początku misji otrzymałem rozkazy, by unieruchomić partyzantów i wybić ich do nogi. Była to standardowa procedura w tamtych czasach. Zbyt często jeńcy stawali się przyczyną kolejnych akcji terrorystycznych. Łatwiej było radzić sobie z męczennikami niż z żywymi oponentami.

W miarę jak upływały godziny i minuty do pierwszego brzasku, obszedłem nasze pozycje, rozmawiając z każdym z pododdziałów i wydając ostateczne instrukcje. Klepałem niezliczone plecy moich umorusanych, wyczerpanych ludzi i chwaliłem każdą drużynę, mówiąc:

— Jeszcze ten ostatni wysiłek i skończymy tę cholerną sprawę. Potem wrócimy do bazy i nachlamy się tak, że nie damy rady wstać. Ja stawiam.

Honduranom bardzo się spodobała ta ostatnia część. Ci drobni, nieśmiali ludzie są niebezpiecznymi żołnierzami.

Aby działali jak mistrzowie, trzeba im tylko sprawiedliwego traktowania i porządnego

dowodzenia. Naprawdę cieszyłem się, że stoimy po tej samej stronie.

Powiedziałem dowódcom pododdziałów, że gdy wydam rozkaz ataku, mają ruszyć naprzód powoli i ostrożnie, nie ma po co się spieszyć. Ludzie mają przemykać się od jednego ukrycia do drugiego, trzymając się nisko przy ziemi i niszcząc wszystko przed sobą. Nie chciałem widzieć, że ktokolwiek się wychyla. To pewna droga by zostać postrzelonym. Nie brać więźniów, nie ryzykować niepotrzebnie.

A potem naszedł czas. Rozpoczęliśmy szturm, gdy niebo na wschodzie zaczęło szarzeć blaskiem nowego - i dla niektórych ostatniego — dnia. Atak rozwinął się jak podręcznikowy przykład strzelania i manewrów. Jeden oddział prześlizgiwał się ku przodowi jak jadowite węże, podczas gdy inne, pozostając w ukryciu, sypały śmiertelnym gradem ołowiu. Później pierwszy oddział przypadał do ziemi, inna grupa opuszczała leże i podkradała się do ofiary.

Śmiertelne, choć hipnotyzująco piękne, łuki ognia z broni maszynowej skrzyżowały się na małym płaskowyzu na szczycie góry na wysokości ludzkich kolan — niszcząc wszystko, co było w ich zasięgu. Ziemia trzęsła się od ręcznych granatów wpadających do zagłębień, w których kryli się ludzie, desperacko walczący o życie. W niebo wzbiła się chmura pyłu, która po chwili opadła, przykrywając zarówno naszych, jak i wrogów.

Zacieśniliśmy szyk i wzmogliśmy atak z dziką zajadłością. Stopniowo, bezlitośnie wyciskaliśmy resztki życia z naszego wroga. Nie mogli już uciec i nie mieli gdzie się skryć.

Po kolejnej godzinie było po wszystkim. Podczas bitwy rozglądałem się za dowódcą partyzantów, aż w końcu go namierzyłem. Poruszał się z nieodłącznym łącznościowcem przy boku, podejmując ostatnią, desperacką próbę zorganizowania tych paru oddziałików, które mu pozostały. Podniosłem do ramienia karabin, a nici celownika optycznego przecięły się na jego szyi, tuż za uchem.

Pociągnąłem za spust i zdjąłem go strzałem w szyję. Kiedy kula uderzyła, padł tak szybko, jakby zniknął. W miejscu, gdzie przed chwilą było go widać, przeciął się ogień dwóch karabinów maszynowych.

Chwilę po tym, jak padł dowódca, wszelki opór się załamał. Nakazałem jednak, by karabiny maszynowe nie przerywały ognia przez jeszcze kilka minut i krzychałem, by rzucali granatami ręcznymi we wszystkie zakamarki i niewidoczne miejsca na ziemi. Po kilku minutach, podczas których nikt z partyzantów nie ruszał się ani nie strzelał, wydałem polecenie „Wstrzymać ogień!”. Kiedy eksplodował ostatni granat, a strzelanina gwałtownie się zakończyła, ci którzy przeżyli, wstrzymali dech, nasłuchując i dziwiąc się, że jeszcze żyją. Ostrożnie wstałem i zbadałem porytą ziemię i zniszczoną roślinność. Moi ludzie leżeli na pozycjach z przeładowaną bronią, z pełnymi magazynkami. Obsługa karabinów maszynowych przypięła nowe pasy amunicji. Innego ruchu nie dawało się nigdzie dostrzec. Ale to jeszcze nie był koniec.

Wydałem drużynom przez radio polecenie pozostania w gotowości i utrzymania pozycji, podczas

gdy Jimmy Masters wziął jeden z plutonów Honduran, by przeszukać pozycje partyzantów. Chciałem usłyszeć raporty podsumowujące po tym, jak cel zostanie całkowicie oczyszczony. Gdy Jimmy puścił swoich ludzi naprzód, wziąłem mojego łącznościowca i przesunąłem się, by móc doń dołączyć w samym sercu pozycji partyzantów. Chciałem odnaleźć ciało dowódcy rebeliantów zanim zrobi to ktoś inny.

Byłem w posiadaniu informacji, że to Amerykanin, który przeszedł na stronę Sandinistów. Moim zadaniem był sprowadzenie jego ciała i zwłok podlegających mu partyzanckich dowódców do Tegucigalpy na identyfikację. Reszta miała być pogrzebana tam, gdzie padli.

Pojedyncze, urwane strzały rozrywały ciszę, gdy Honduranie dobijali rannych. Sekretne wojny pana Reagana w Ameryce Środkowej były bezlitosne.

Znalazłem ciało dowódcy, leżące obok ciała jego łącznościowca. Obaj nie żyli. Łącznościowiec nie umarł szybko. Dosięły go kule karabinów maszynowych. Lewe udo było poszarpane aż do kości, a lśniące, fioletowo-szare jelita wystawały z podbrzusza. Zwoje wnętrzności miał oplecione wokół brudnych dłoni. Umarł, próbując nie dopuścić, by trzewia były poza brzuchem. Wyglądał na jakieś 16 lat. Nawet wąs mu się jeszcze nie sypał.

Dowódca partyzantów runął na ziemię z lewą ręką zwinętą pod ciałem i wykręconą w prawo głową. Mała, czarna, poszarpana ranka po prawej stronie jego szyi znaczyła miejsce, gdzie trafiła kula. Strzał skreślił mu kark, a śmierć nastąpiła natychmiastowo. Prawie nie było krwi.

Popatrzyłem na niego przez chwilę i otrząpiałem go z brudu. Czuję potrzebę bycia blisko tego człowieka. Położyłem prawą rękę na jego ramieniu. Przed odwróceniem go i dokładniejszym zbadaniem, zmówiłem cicho modlitwę za wszystkich na tym szczycie — martwych i żywych. Ohydną rzeczą jest dotknięcie jeszcze ciepłego ciała człowieka, którego się właśnie zabiło. To uczucie, jakby Bóg patrzył na ciebie przez potężny mikroskop i szczegółowo studiował wszystkie niedoskonałości twojej duszy. Ta chwila jest smutna, uroczysta i niebywale samotna. W takiej chwili ludzi nie dzielą żadne różnice.

Ten człowiek nie był już wrogiem. Był teraz moim bratem — w rzeczywistości zawsze był — a ja byłem sprawcą jego śmierci. Cokolwiek chciał w życiu osiągnąć, marzenia i nadzieje jakie miał na przyszłość — teraz wszystko było skończone.

„Boże Wszechmogący, taki jestem zmęczony”. Ledwo przekroczyłem trzydziestkę, ale czułem się jak starzec niosący ciężar dziewięćdziesięciu lat.

Przewróciłem tego człowieka na plecy i obejrzałem go dokładnie, zanim zacząłem szukać przy nim dokumentów. Za życia był bardzo przystojnym mężczyzną. Średniej budowy, umięśniony, o szerokiej klatce piersiowej i ramionach. Miał idealną budowę na żołnierza. Patrzyłem na jego brudną od pyłu i prochu twarz. Zamknąłem niewidzące oczy.

Jimmy zakończył obchód pola bitwy. Po rozmieszczeniu swoich ludzi podszedł do mnie, gdy

klęczałem w pyłe. Podniosłem rękę i powstrzymałem go zanim zaczął składać raport.

— Jimmy, popatrz uważnie i powiedz mi, że nigdy dotąd nie widziałeś tego człowieka - powiedziałem, przeglądając papiery znalezione w kieszeni denata. Wyciągnąłem nika-raguański identyfikator wojskowy.

— Chryste Panie, Erie, czy zdajesz sobie sprawę, kto to jest? To przecież Keekee Saenz. Pamiętasz go, nie? Był ze mną w Siłach Specjalnych i przystąpił z nami do selekcji. Chyba słyszałem, że wrócił do 3/7 Sił Specjalnych w Panamie.

Odwróciłem identyfikator i przeczytałem nazwisko: kapitan Enrique Eduardo Saenz-Herrera. Enrique Saenz-Herrera, sierżant sztabowy Sił Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Pamiętałem go z selekcji jako cichego, kompetentnego człowieka. Profesjonalistę. Nie miałem okazji lepiej go poznać, ale dobrze mi się z nim gadało przy kilku okazjach. Teraz sobie przypomniałem — odszedł z selekcji w Dniu Zniknięć. A teraz odszedł na dobre. Umarł. Na zapomnianym przez Boga i ludzi przypadkowym górskim szczycie, w dalekiej i niewiele znaczącej części świata. I to ja go zabiłem.

Było w tym coś bezprawnego, złego. Czuję się zbrukany i wykorzystany. Zaczęły mnie nękać rozmaite dziwne sprawy dotyczące tej misji i układać w większą całość. Na przykład dlaczego CIA tak naciskało na tę operację, i dlaczego odmówiono nam wsparcia?

Jak zwykle w przypadku tych ludzi miałem małe szanse, by otrzymać satysfakcjonujące odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, ale z całego serca chciałem sobie poważnie porozmawiać z szefem placówki CIA, gdy już wrócę do Tegucigalpy. Nie mogłem powstrzymać myśli, a mieliśmy tu jeszcze sporo do zrobienia.

Zwołałem pozostałych dowódców drużyn i zebrałem raporty. Kilku ludzi było poważnie rannych, ale, dzięki Bogu, nikt nie zginął. Medycy zajmowali się już rannymi, a drużyna Jimmy'ego oczyszczała lądowisko. Przydzieliłem jeden oddział do grzebania martwych partyzantów, a następnie wydałem rozkaz mojemu łącznościowcowi, by wysłał zakodowany raport ukończenia misji i wezwał helikoptery, aby nas podjęły. Oczy i głowa pulsowały mi, gdy opróżniłem ostatnią manierkę i napiłem się ciepłej jak szczyzny wody. Podniosłem twarz ku niebu i resztą wody oblałem sobie głowę. Potem starłem błotnisty płyn z twarzy i oczu, czując jak reszta wody ścieka po mojej piersi, wsiąkając w obrzydliwie brudną i przepoconą koszulę połową. Nie paliłem od lat, ale wtedy poczułem nieodpartą chęć sięgnięcia po papierosa.

Gdy wstawałem, chrupnęło mi w kolanach. Rozejrzałem się po podziurawionym, dziwnie spokojnym skrawku ziemi. Poprzez dzwonienie w uszach, będące pogłosem ryku bitwy, słyszałem jeden dźwięk - łopat uderzających w kamieniste podłoże. Moi ludzie kopali groby.

Odpowiedzi? Nie, nigdy nie otrzymałem odpowiedzi na moje pytania dotyczące tej misji. Tylko rozkaz zamknięcia się. Zrobiłem, co kazali. Jednak w prywatnym świecie moich myśli nigdy nie

przestałem rozważać, o co tu chodziło. Czy Keekee rzeczywiście przystał do Sandinistów, czy tylko był łatwym do wymienienia pionkiem w jakiejś niezrozumiałej grze. Zachowałem te myśli dla siebie, a rozczarowanie i brak zaufania rosły. Do dzisiaj nie jestem pewny, czy właściwie znam jakieś prawdziwe odpowiedzi. Wierzę jednak w głębi mojego jestestwa - Keekee Saenz pracował dla Stanów Zjednoczonych, gdy został zabity.

Świat wciąż się toczył, pory roku zmieniając się znaczyły obieg Ziemi wokół Słońca, a założenia Cięciwy stanowiły nasz własny sposób odliczania upływających lat. Latem 1986 roku służyłem w Departamencie Naboru i Szkolenia jako starszy instruktor OTC. Przeniosłem się do S&T wcześniej tego roku po tym, jak zostałem ranny w misji z brytyjskim SAS-em.

Całkowicie wydobrzałem z urazów fizycznych, ale mówiąc prawdę, byłem zmęczony. Nie bardzo chciałem się sam przed sobą do tego przyznać, ale osiem ostatnich lat zebrało swoje żniwo. Życie operatora Delta Force było wymagające fizycznie, trzeba było cały czas mieć formę zawodowego sportowca i nie mieliśmy urlopów. Ale ponadto ponosiło się też koszty emocjonalne i umysłowe, co było najbardziej wyczerpujące.

Przez kilka miesięcy zabawiałem się myślą o poszukaniu innego przydziału. Może za granicą, a może z powrotem w Rangerach. Była to trudna decyzja, ponieważ z miejsca, gdzie się znajdowałem, nie było już drogi w górę. Każda zmiana byłaby degradacją zawodową, a za każdym razem, gdy próbowałem o tym rozmyślać, opanowywało mnie poczucie winy.

Straciliśmy wielu ludzi. Z powodu znacznych obrażeń, czy też emerytur i innych przydziałów - a także śmierci - ledwo dawaliśmy sobie radę ze zużywaniem się jednostki. Robiliśmy wszystko, co możliwe, by utrzymywać liczbę personelu na poziomie zgodnym z wymaganiami. A gdybym zdecydował się odejść teraz, zdradziłbym jednostkę i dołożył jej problemów.

Ale później decyzja podjęła się sama. Kiedy obwieszczone wyniki nominacji na starszych sierżantów, okazało się, że zostałem wybrany przez Departament Armii do tego właśnie awansu - ale było coś jeszcze.

Zwołano kolejne posiedzenie, by wybrać kandydatów na stopień sierżanta majora (CSM) - najwyższej rangi podoficerskiej w armii Stanów Zjednoczonych. Znalazłem się wśród garstki wybranych.

Nie do wiary. Do skończenia 34 lat brakowało mi jednego miesiąca, stałem się rym samym najmłodszym żołnierzem kiedykolwiek mianowanym na sierżanta majora.

Teraz już na pewno musiałem znaleźć sobie nowy dom. W każdej jednostce był tylko jeden CSM. Naszym obecnym CSM-em był Dan Simpson, który powiedział mi w żartach:

- Haney, ja się stąd nie wyniosę tylko dlatego, że dościsłaś awans.

To przypieczętowało wszystko. Jeśli armia była na tyle dobra, by uhonorować mnie awansem do najwyższej rangi podoficerskiej, na jaką kiedykolwiek mogłem liczyć, zamierzałem odplacić się im

w najlepszy sposób, jaki znałem. Zamierzałem wrócić do piechoty, gdzie guma naprawdę dotyka drogi i przekażę to, czego nauczyłem się przez ostatnich 16 lat. Zastanawiałem się, gdzie chciałbym służyć i odpowiedź była tylko jedna - Panama.

Działy się tam różne rzeczy. Zawsze przejeżdżałem przez Panamę w drodze na misje w Ameryce Środkowej i Południowej, i od czasu do czasu wpadałem na starych znajomych, którzy stacjonowali tam ze 193. Brygadą Piechoty. Czekala tam jeszcze jedna atrakcja - niebawem mieliśmy się rozprawić z dyktaturą Noriega i koniecznie chciałem wziąć udział w tej akcji. Zadzwoiłem do ekspozytury Centrum Spraw Personalnych Armii. Przygotowany byłem na długą, męczącą kampanię negocjacji związanych z przydziałem, ale kiedy powiedziałem facetowi na drugim końcu linii telefonicznej, że rzeczą, którą najbardziej chciałbym robić była służba w Panamie, jego odpowiedź brzmiała:

— A może pan zacząć za tydzień?

Otrząsnąłem się z zaskoczenia i szybko odpowiedziałem:

— Nie, ale mogę zacząć za trzydzieści dni. Odpowiedź była równie szybka:

— OK., już wysyłamy rozkazy Stałej Zmiany Miejsca Stacjonowania. Proszę zadzwonić do mnie, gdyby nie dośzły w ciągu dwóch dni.

I tyle. Zaszedłem do Dana by go poinformować, że za parę dni będę kończył służbę. Terminy zgrały się idealnie. Właśnie wykańczaliśmy nowy budynek dla oddziału i na dniach mieliśmy go oddać do użytku. Zdecydowałem o zmianach, nie mając okazji stanąć w nowym budynku jako operator. Miałem wyjechać w ostatnim dniu naszego pobytu w starym obiekcie. W ten sposób na zawsze będę „facetem z więzienia”. A tak to wyszło.

Kiedy operator opuszcza oddział, nie ma żadnych wybuchów sentymentów. Żadnych balang, żadnych przedłużających się pożegnań, tylko uścisk dłoni z przyjaciółmi i towarzyszami. I właśnie tak powinno być w oddziale

0 misji takiej, jak nasza.

Ostatniego dnia mojego pobytu w oddziale jadłem lunch z kilkoma starymi kumplami z Departamentu Naboru i Szkolenia. W stołówce panował względny spokój. Szwadron B pojechał na Bliski Wschód uwalniać jakiś samolot, a Szwadron A był w strefie zrzutu — ćwiczyli nowe techniki infiltracji spadochronowej. Kursanci OTC byli na poligonie, więc przy wielkim stole zgromadziła się garstka starych wyjadaczy.

„Będzie mi ich brakowało” - pomyślałem, przyglądając się zgromadzonym wokół stołu przyjaciółom. „Przeszliśmy razem przez niejedno. Wielu dobrych ludzi brakuje między nami. Tych, którzy padli w boju przez te wszystkie lata”. Ale nie był to czas na roztkliwianie się. Armia jest organizmem samoreplikującym, Delta Force również. Ludzie przychodzą i odchodzą, ale jednostka i to, co sobą reprezentuje, pozostaje na zawsze.

Nadszedł czas odjazdu. Siedziałem w moim pickapie, na starym miejscu parkingowym przy alei prowadzącej do Shooting House, rozglądając się po raz ostatni. Uruchoμίłem silnik i ruszyłem. Nie chciałem na koniec odczuwać zażenowania, że mam mokre oczy.

Zatrzymałem się przy bramie, aby zwrócić odznakę

i pożegnać się ze strażnikami, a potem po raz ostatni wyjechałem poza ogrodzenie.

Spojrzałem w lusterko wsteczne wjeżdżając na Buttner Road i skręcając w prawo, kierując się w dół wzgórza. W lusterku widziałem odbicie drutu kolczastego na górze ogrodzenia. Aż do pierwszego zakrętu.

A potem znikło.

EPILOG

Panama rozgorzała wcześniej, niż to przewidywałem. Latem 1987 roku weszliśmy ostatecznie na kurs kolizyjny z reżimem Norwegi. Napięcia osiągnęły temperaturę wrzenia, kiedy panamski siłacz zanegował wyniki wyborów prezydenckich w maju 1988 roku. Wojna była nie do uniknięcia, a w chwili gdy się zaczęła, była doskonałym miejscem odpoczynku.

Dano mi wolną rękę przy szkoleniu oddziałów w technikach walki w mieście, oczyszczania budynków oraz walki w pomieszczeniach. Poza tym mogłem stworzyć dwunastoosobowe drużyny snajperskie w każdym z dwóch batalionów naszej małej brygady.

Kiedy nadeszła wojna, byliśmy gotowi. Te regularne oddziały piechoty wykonały najtrudniejsze z wojskowych zadań — nocny atak w mieście, bez wsparcia — i zrealizowali zadanie z wprawą i opanowaniem starych wetranów. Nasza jednostka, 193. Brygada Piechoty, skrzyła kark panamskim siłom obronnym w mieście Panama. Straciliśmy trzech ludzi — zginęli podczas ataku, a kolejnych dwunastu zostało rannych. A po następnych trzech miesiącach załatwiania drobnych problemów, wróciliśmy do garnizonu.

Byłem gotów przejść na emeryturę. Wiedziałem, co się kroi — armia Zimnej Wojny, a to wyglądało mi na siły, których nie chciałem być częścią. Zrozumiałem, że jeśli nie chcę entuzjastycznie wspierać nadchodzących zmian, to czas odejść. Przeszedłem na emeryturę ze służby czynnej 1 listopada 1990 i nie oglądałem się za siebie.

Po powrocie do Stanów próbowałem być „zwykłym obywatelem”, ale to po prostu nie było w moim stylu. Pracując na ośmiogodzinnym etaciku czułem się jak skazany na dożywotnią bezbarwną harówkę, więc zacząłem

działać jako specjalista od operacji specjalnych do wynajęcia. Okazało się, że doskonale

wstrzeliłem się w czasy.

W moim życiu powojkowym negocjowałem wypuszczenie zakładników porwanych w Kolumbii oraz dowodziłem oddziałami ochrony saudyjskiego księcia, kilku emirów oraz dyrektora generalnego największej korporacji w Meksyku. W 1994 roku pełniłem funkcję szefa oddziału ochrony prezydenta Bertranda Aristide podczas jego powrotu na Haiti.

Pomiędzy tymi misjami pracowałem przy operacjach an-tyterrorystycznych w Algierii, trenowałem zagraniczne siły specjalne, pomogłem udaremnić zamach stanu, a z moimi bliskimi przyjaciółmi, Donem i Judy Feeneyami, ratowaliśmy amerykańskie dzieci porwane i wywiezione z kraju.

Pomiędzy tymi misjami trafiły mi się też badania, audyty zabezpieczeń oraz planowanie reakcji na atak dla klientów robiących interesy w bardziej niebezpiecznych częściach świata. Zapytany kiedyś, czemu pracuję w najniebezpieczniejszych regionach, odpowiedziałem, że nikt jakoś nie chce mnie zatrudniać w Club Med. I to mi się podobało.

Co robiła Delta odkąd ją opuściłem? Oddział przeniósł się do nowej siedziby, gdy ja wyjechałem do Panamy, i niezwłocznie przystąpił do formowania trzeciego szwadronu. Udało się to zrealizować wraz z końcem lat 90.

Taktyka i techniki nie zmieniły się znacząco w porównaniu do początków. Fundamenty powstałe w późnych latach 70. i wczesnych 80. były solidne, ale operatorom udało się znaleźć sposoby na ulepszenie nawet tych wszechstronnie wypróbowanych metod. A nawet minimalne poprawki mogły oznaczać różnicę między porażką a sukcesem, życiem a śmiercią.

W zakresie sprzętu także uczyniono wielki krok na przód, dzięki elektronicznym narzędziom, które pozwalały operatorom na przebadanie celu i przesłanie szczegółowego wywiadu do TCO.

Podobnie fotografia cyfrowa pozwoliła na ulepszenie działań, tak samo jak znacznie bezpieczniejszy sprzęt łącznościowy. Jeśli chodzi o broń palną, zmiany były niewielkie, ale znaczące. Ogromny postęp poczyniono w zakresie środków ochrony osobistej, zwłaszcza kamizelek kuloodpornych i hełmów.

Ale to nie nowoczesne zabawki czynią operatorów Delta Force tak dobrze wyszkolonymi i zabójczymi. Mogliby mieć arkebuzę i tomahawki, a nadal byłiby przerażającymi wojownikami. To ich fenomenalna siła woli, zdecydowanie i determinacja czynią ich najlepszymi żołnierzami. W tym względzie nic nie zmieniło się od pierwszych dni istnienia jednostki.

Delta nigdy nie odpoczywa. W Panamie chłopcy obalili generała Manuela Noriegę i dopadli sporo jego zauszników. Następnie zajmowali się normalnymi zadaniami na całym świecie, ze szczególnym uwzględnieniem Afryki. Wraz z wybuchem konfliktu w Zatoce Perskiej pojawiły się misje daleko za liniami Irakijczyków - zarówno rekonesansowe, jak i bezpośrednie, kończące się atakami zespołów „hunter-killer” na pozycje rakiet Scud na zachodzie irackiej pustyni. Rakiet wymierzonych w Izrael.

Somalia była twardym orzechem do zgryzienia. Szwadron C wraz z kompanią Rangerów utknął w Mogadiszu, a środki transportu zostały zniszczone. Chłopcy musieli walczyć o życie. Słyszałem wiele przypuszczeń od ludzi, którzy nie mieli pojęcia, co dokładnie tam się działo, dlatego powiem tyle: ten oddział walczył przeciwko wszechogarniającym trudnościom, całe popołudnie i noc, bez wsparcia, tylko tą bronią, którą mieli w ręku. I walczyli o tę część miasta aż do zupełnego wyczerpania. Następnego ranka, kiedy oddział ratunkowy wciąż nie był w stanie ich namierzyć, Rangerzy z Oddziału Specjalnego postanowili poradzić sobie sami. A Somalijscy po prostu ich zostawili. Mieli dość tych amerykańskich żołnierzy.

Jedynym, co nie było w Somalii sukcesem, to upewnienie się przez główne dowództwo, że ludzie wyposażeni są w sprzęt odpowiedni do zadań, które przed nimi stały.

kanalTwT^" ^ duŻ° robo* na Bał-

kanach , w każdym innym punkcie zapalnym świata Od czasu do czasu, oglądając pewne zajścia w wieżowcach w świadomościach, dostrzegam znajomością twąJ ed,,t go z naszych ludzi. To zawsze dzieje się w jakimś par"

PO 11 WRZEŚNIA 2001

Ostatnią główną redakcję manuskryptu zakończyłem na kilka tygodni przed tym strasznym atakiem w ów smutny wtorkowy poranek i uważam, że powinienem podzielić się moimi rozważaniami na temat sytuacji, z jaką przyszło nam się zmierzyć.

Nie możemy zrobić nic z przeszłością. Nie możemy wrócić, by coś naprawić, nie możemy odwrócić biegu zegara. Możemy jednak działać dla przyszłości. A pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, jest uświadomienie sobie, że jesteśmy dobrymi i moralnymi ludźmi, i tworzymy naród, który jest nadzieją rodzaju ludzkiego — być może wręcz ostatnią nadzieją rodzaju ludzkiego.

Nie słuchajcie naszych wrogów czy słabszych braci, którzy oskarżają nas o najrozmaitsze okrucieństwa na całym świecie. Gdybyśmy naprawdę byli tacy, jak opisują nas wrogowie, Afganistan byłby tłącym się i niezamieszkałym księżycowym krajobrazem. Podobnie Irak, i pewnie kilka innych miejsc na mapie - wszystkie byłyby w zbliżonym stanie.

Nie, zgrzeszyliśmy raczej zaniechaniem i nieuwagą. Dotąd byliśmy samolubni, skupiając swoją uwagę wokół naszego finansowego pępka. A jak dowiedzieliście się z tej książki, dawniej naprawdę nie przejmowaliśmy się zagrożeniem terroryzmem.

Nasz rząd niewiele robił poza naklejeniem plasterków na rany, jednocześnie ignorując rozprzestrzenianie się infekcji. Po prostu trzymaliśmy terroryzm z daleka od naszych brzośców.

Niewiele zostało wykonane rzeczywistej pracy, ponieważ polityczni przywódcy nie mieli zapału,

by zmierzyć się z problemem, a ich brak siły woli spowodowany był przećwiczeniem, że naród nie poprze tych wysiłków.

Nasi wrogowie stali się zuchwalsi, podczas gdy naród i jego agencje skupiały się na błahostkach, takich jak za-interesowanie sobą, rozbuchane karierowiczostwo i walka biurokratyczna. A potem nadszedł 11 września 2001 roku.

Teraz już wiemy, z czym się musimy zmierzyć, ale jestem przekonany, że my, jako naród, w końcu musimy zdecydować o chronieniu siebie i wytepić plagę terroryzmu. Ale nie wolno zakładać, że będzie to łatwe i nastąpi niebawem. Najgorsze, najbardziej przerażające elementy zagrożenia terrorystycznego będą wyeliminowane dość gwałtownie, ale na tym się nie skończy.

Praca będzie trwała wiele lat, jeśli nie pokoleń, dopóki źródła i przyczyny, które powodują, że terroryzm istnieje, się nie zmieniają. Zauważcie, że powiedziałem zmieniają, a nie zostaną pokonane. Musi się bowiem zmienić nastawienie wielkiej części świata muzułmańskiego. Przekonanie, że Stany Zjednoczone są odpowiedzialne za wszelkie plagi spadające na tę część ludzkości. Nie możemy zmienić ich postawy, ale musimy dopomagać w doprowadzeniu do tego.

Ale równocześnie z pomocą dla ludności muzułmańskiej w odnalezieniu się w nowoczesnym świecie, musimy w dalszym ciągu wyszukiwać i tepić terrorystów, gdziekolwiek się znajdują. Delta Force będzie jedną z głównych broni w tej walce. Bądźmy wdzięczni, że taka broń istnieje i składa się z oddanych, kompetentnych i skłonnych do poświęceń ludzi. Ludzi, którzy są w stanie zawiesić swe życie na włosku w imię dobra wszystkich Amerykanów.

Dlatego mówię do was wszystkich: zachowajcie dzielność. Miejcie nadzieję. Bądźcie cierpliwi i czujni. A dziś wieczorem, gdy ułożycie się wygodnie w swoich łóżkach, w tych ostatnich chwilach przed zaśnięciem, podziękujcie swoim bogom, jacykolwiek by nie byli, że mamy grupę ludzi, którzy wejdą w paszczę lwa i zaryzykują swoje życie, jeśli będzie trzeba, abyśmy my mogli żyć bez strachu.

Pamiętajcie, nie nazywamy się „krajem wolności i domem odwagi” na próżno.

Erie L. Haney Obywatel amerykański, żołnierz

Podziękowania

Jest wielu ludzi, którym chciałbym podziękować za pomoc przy pisaniu tej książki. Z pewnością o kilku zapomniałem, ale ci, których wymieniam poniżej, zasługują na szczególne wyrazy mojej wdzięczności.

Największe podziękowania dla: Katie Hall z wydawnictwa Random House za wiarę w ten projekt i wprowadzenie go w życie; Freda Willarda za wiele cennych porad i rozmowy na temat pisania; mojego wspaniałego przyjaciela i agenta, Gene'a Hanrattyego; dla mojego brata Lowell'a Haney'a za stworzenie elektronicznej wersji maszynopisu; Irwyna Applebauma i Nity Taublib z Bantam Del

za ich uwagę i wizję; Johna Flickera - mojego redaktora; dla obywateli Stanów Zjednoczonych - za umożliwienie mi służenia w armii.

Specjalne podziękowania dla mojej żony, Dianny, bez której wszystko byłoby puste, nieistotne, bez znaczenia.

O autorze

Erie Haney

Sierżant major (w stanie spoczynku) przez ponad 20 lat służył w amerykańskiej armii. Był żołnierzem piechoty, Rangerem, a w końcu jednym z założycieli Delta Force. Gdy odszedł z wojska, założył własną firmę zajmującą się ochroną prezydentów, monarchów oraz prezesów korporacji. Haney wielokrotnie negocjował z latynoamerykańskimi partyzantami uwolnienie zakładników, ratował porwane amerykańskie dzieci na całym świecie, a także doradzał w kwestiach bezpieczeństwa koncernom paliwowym w najbardziej niebezpiecznych zakątkach świata. W 1994 roku Haney chronił prezydenta Jeana-Bertranda Aristide'a. W tym czasie na Haiti, na swojej pierwszej misji, był również GROM, szkolony w fazie powstawania przez operatorów Delty.

Erie Haney był także konsultantem przy powstawaniu serialu telewizyjnego „Jednostka” (The Unit). Scenariusz filmu oparto na książce „Delta Force”.

Spis treści

WSTĘP

Rozdział pierwszy

POCZĄTKI

Rozdział drugi

ZBIERANIE SIŁ

Rozdział trzeci

DO BOJU

EPILOG

PO 11 WRZEŚNIA 2001